

Steven Saylor

Rzym

2008

trident

Wydanie oryginalne

Tytuł oryginału:

Roma

Data wydania:

2007

Wydanie polskie

Data wydania:

2008

Projekt i opracowanie graficzne okładki:

Zbigniew Mielnik

Fotografie na okładce:

Bridgeman/BE&W

Przełożył:

Janusz Szczepański

Wydawca:

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

ISBN 978-83-7510-069-3

Wydanie elektroniczne

Trident eBooks

tridentebooks@gmail.com

*Cieniom Tytusa Liwiusza,
któremu zawdzięczamy
najwcześniejsze opowieści
o początkach Rzymu*

Rzymskie miesiące i daty

Rzymianie dzielili rok na dwanaście miesięcy: Januarius, Februarius, Martius, Aprilis, Maius, Junius, Quinctilis (później na cześć Juliusza Cezara przemianowany na Julius), Sextilis (aby uczcić innego wielkiego cezara, nazwano go Augustusem), September, October, November i December*.

Dni tygodnia nie miały własnych nazw. Pierwszy dzień każdego miesiąca zwano kalendami, piętnasty (w marcu, maju, lipcu i październiku – marmajuloc) lub trzynasty (w pozostałych miesiącach) to idy, dziewięć dni przed idami przypadały zaś nony. Pozostałe dni miesiąca określano przez odniesienie do tych trzech nazwanych.

Od tłumacza należy się Czytelnikowi jeszcze jedno wyjaśnienie. W rozdziale trzecim z konieczności – autor wykładu w nim i w poprzednim swoją dość filuterną interpretację pochodzenia nazwy Wiecznego Miasta – zastosowana została forma łacińska, *Roma*, oczywiście z zachowaniem polskiej deklinacji. Począwszy od rozdziału czwartego, Rzym jest znowu Rzymem.

* W przekładzie, jak we wszystkich poprzednich powieściach Saylor, użyte są ich polskie odpowiedniki. (Przypisy pochodzą od tłumacza).

„Legenda jest historyczna, podobnie jak historia jest legendarna”.

Alexandre Grandazzi, *The Foundation of Rome*

Popas na solnym szlaku

1000 r. p.n.e.

Kiedy wynurzyli się zza zakrętu ścieżki biegnącej brzegiem rzeki, Lara rozpoznała sylwetkę samotnego figowca na szczycie pobliskiego wzgórza. Dni były teraz długie i upalne i drzewo pyszniło się bujnym listowiem, nie był to jednak jeszcze czas owocowania.

Wkrótce dostrzegła i inne charakterystyczne punkty: skalny nawis nad ścieżką, przypominający męską twarz, bagnistą łączkę nad rzeką, gdzie łatwo było zaskoczyć wodnego ptaka, wysokie drzewo wyglądające jak człowiek z uniesionymi ramionami. Zbliżali się do miejsca, gdzie pośrodku nurtu wyrasta wysepka – doskonały zakątek na obozowisko. Tam zamierzali nocować.

Lara wiele razy w swym krótkim życiu przemierzała tę drogę. To nie jej ziomkowie ją stworzyli – była tam zawsze, jak sama rzeka – ale teraz to ich stopy w sandałach z jeleniej skóry i drewniane koła wózków nie pozwalały ścieżce zarosnąć. Zajmowali się handlem solą – to zaś wymagało nieustannego podróżowania.

U ujścia rzeki kilka rodzin zbierało białe kryształki z rozległych nadmorskich solnisk, przesiewało je i pakowało na wózki. Kiedy już były pełne, większość grupy zostawała na miejscu, chroniąc się między skałami czy w prymitywnych chatynkach, kilkunastu zaś co silniejszych ruszało z towarem w drogę. Ze swym cennym ładunkiem przecinali nadbrzeżną nizinę, kierując się ku widniejącym w dali góróm. Nigdy jednak nie pięli się na ich szczyty; docierali tylko do ich podnóży, gdzie wśród lasów i łąk leżały małe, ale liczne wioski. W zamian za sól ich mieszkańcy dawali pobratymcom Lary suszone mięso, skóry, ubrania z wełny, naczynia gliniane, kościane igły i narzędzia, a nawet małe drewniane zabawki. Zakończywszy wymianę, ludzie z solnisk wracali znów nad morze i wkrótce cały cykl zaczynał się od nowa.

Tak było zawsze. Lara nie знаła innego życia niż w ciągłej wędrówce w górę i w dół rzeki. Żadne miejsce nie było dla niej domem. Lubiła wybrzeże, gdzie zawsze było dość ryb do jedzenia, a wieczorami do snu kołysał ją łagodny plusk fal. Mniej jej się podobało pogórze: ścieżka stawała się stroma, noce bywały zimne, a rozległe i dalekie widoki

przyprawiały ją o zawrót głowy. Czuła się nieswojo w wioskach i wstydziła się obcych. Najlepiej jej było w drodze; uwielbiała zapach rzeki w gorący dzień i żabie rechoty nocą. Wśród bujnej nadrzecznej zieleni rosły krzewy winorośli ze słodkimi jagodami, a nawet w największy upał po zachodzie zrywała się przyjemnie chłodząca bryza, do wtóru z tęsknymi szeptami i westchnieniami trzciny i traw.

Ze wszystkich miejsc po drodze najbardziej lubiła to, do którego się właśnie zbliżali – to z wyspą na rzece. Okolica była tam raczej płaska, ale tuż przy wyspie teren falował rzędami wzgórz i dolin, które o wschodzie przypominały pomarszczoną tkaninę. Ludzie Lary mieli starą, przekazywaną z pokolenia na pokolenie drewnianą kołyskę, którą można było umocować na wózku. Wyspa miała podobny do niej kształt: podłużna i zwężająca się ku górnemu biegowi rzeki, wyrzeźbiona tak przez bystry nurt. Larze spodobało się to porównanie ojca i odtąd w okolicznych pagórkach widziała też grupkę starych kobiet w grubych opończach, które się zebrały nad kołyską, by podziwiać niemowlę.

Larth mówił takie rzeczy bez przerwy, wyczarowując dla niej w krajobrazie postaci olbrzymów i potworów. Potrafił wyczuwać obecność numenów*, duchów zamieszkujących skały i drzewa. Czasami do nich przemawiał i słyszał, jak odpowiadają. Rzeka była jego najstarszą przyjaciółką; wiedział od niej, gdzie najlepiej łowić ryby, a z podmuchów wiatru umiał przepowiadać pogodę na następny dzień. Dlatego właśnie był przywódcą ich grupy.

– Jesteśmy już niedaleko wyspy, prawda, tato? – spytała dziewczynka.

– Skąd wiesz?

– Poznałam po wzgórzach. Najpierw zawsze je widać po prawej i cały czas rosną. A tuż przed wyspą na tamtym grzbiecie pojawia się ten figowiec.

– Brawo, córeczko! – pochwalił ją Larth, dumny z jej pamięci i spostrzegawczości.

Był silnym, przystojnym mężczyzną z przetykaną siwizną czarną brodą. Żona urodziła mu kilkoro dzieci, wszystkie jednak umarły bardzo wcześnie i została tylko najmłodsza Lara, której porodu matka nie przeżyła. Kochał ją bardzo, nie tylko dlatego, że jej jasne włosy przypominały mu żonę. Teraz Lara sama dojrzała do macierzyństwa – nabrała kobiecej krągłości bioder, urosły jej piersi. Największym marzeniem Lartha było doczekać się wnuków. Nie każdy mężczyzna dożywa tej chwili, ale on miał tę nadzieję. Przez całe życie był zdrowy – po części dlatego, jak wierzył, że zawsze okazywał szacunek napotykanym numenom.

Tak, numeny trzeba było traktować z respektem. Te z rzeki mogły wciągnąć człowieka pod wodę i utopić; numen z drzewa potrafił zdradziecko podstawić korzeń i przewrócić idącego albo zrzucić mu na głowę uszlą gałąź. Kamienie ni stąd, ni zowąd usuwały się spod nóg – przysiągłbyś, że ze złośliwym chichotem. Nawet samo niebo czasami z gniewnym rykiem posyłało w dół języki ognia, w których człowiek mógł się upiec jak królik, albo co

* W deklinacji łacińskiej to *numen*, *numinis*, l. mn. *numina*, w przekładzie polskim jednak – dla przejrzystości – będą to numeny.

gorsza przeżyć, lecz stracić zmysły. Larth słyszał, że ziemia czasami się rozwierała i połykała nieszczęsnego przechodnia; sam nigdy tego nie widział, ale na wszelki wypadek każdego ranka gorliwie odprawiał rytuał, prosząc ziemię o pozwolenie, zanim postawił na niej pierwszy krok.

– Jest w tym miejscu coś szczególnego – powiedziała Lara, przenosząc wzrok to na lśniąca powierzchnię rzeki po lewej, to na skaliste, nakrapiane zielenią drzew wzgórze przed nimi po prawej. – Skąd się ono wzięło? Kto je zrobił?

Larth zmarszczył brwi. Pytanie nie miało sensu. Miejsce nie było zrobione – ono po prostu było. Jakieś drobne jego cechy mogły się zmieniać z czasem: zwalone przez burzę drzewo wpada do rzeki, jakiś głaz decyduje się potoczyć w dół ze zbocza. Numeny ożywiające wszystko, co istnieje, z dnia na dzień pracują nad takimi zmianami, ale zasadnicze rzeczy są niezienne i odwieczne: wzgórze, niebo, słońce, morze, rzeka i solne złoża u jej ujścia.

Zastanawiał się, jak przekazać te myśli Larze, kiedy nagle nad rzeką poderwała się przestraszona ich nadejściem sarna. Paroma susami wspięła się przez zarośla na ścieżkę, ale zamiast uciec w bezpieczne miejsce, stanęła jak wryta, wpatrując się w nich wielkimi oczyma. Larth usłyszał słowa „Zjedzcie mnie” tak wyraźnie, jak gdyby zwierzę je wymówiło na głos. Sarna oddawała się im w ofierze. Obrócił się szybko, by rzucić rozkaz swoim ludziom, lecz najlepszy myśliwy w grupie, młodzieniec zwany Po, już zareagował: biegł naprzód, unosząc zaostrzony kij, z którym się nigdy nie rozstawał, do morderczego rzutu. Pocisk świsnął między głowami wodza i jego córki. W następnej sekundzie uderzył w pierś zwierzęcia z taką siłą, że sarna upadła na ziemię, bezsilnie potrząsając smukłą szyją i długimi nogami. Po dopadł ofiary, wyszarpnął dzidę i wbił ją po raz drugi. Sarna wydała stłumione westchnienie i przestała się ruszać. Cała grupa zaczęła wiwatować. Zamiast kolejnej rybnej kolacji tym razem najedzą się do syta mięsa.

* * *

Od brzegu nie było daleko do wyspy, ale o tej porze roku – wczesnym latem – rzeka była zbyt wezbrana, by mogli dotrzeć tam w bród. Ludzie Lary dawno już zbudowali proste tratwy z powiązanych rzemieniami pni, zostawiając je w tym miejscu dla przeprawy, a w razie potrzeby naprawiali je lub wymieniali. Kiedy ostatnio szli tędy z solą, tratwy były trzy, wszystkie w dobrym stanie i gotowe do użycia. Teraz jednej brakowało.

– Widzę ją! Tam, wyciągnięta na brzeg wyspy, ukryta w listowiu! – wskazał bystrooki Po. – Ktoś musiał się nią przeprawić.

– Może jeszcze tam są – rzekł Larth.

Nie miał do nikogo pretensji za posłużenie się ich tratwą; wyspa była dość duża, by się nią podzielić. Niemniej sytuacja wymagała ostrożności. Przytknął dłonie do ust i krzyknął. Na

reakcję nie trzeba było długo czekać – wkrótce nad wodą pojawił się mężczyzna, który odpowiedział na zawołanie przyjaznym machaniem ręką.

– Znamy go? – Larth wpatrywał się w niego, mrużąc oczy.

– Chyba nie – odrzekł Po. – Jest młody... może w moim wieku albo i młodszy. Wygląda na silnego.

– Bardzo silnego – poprawiła Lara.

Nawet z tej odległości tężyzna nieznajomego robiła wrażenie. Miał na sobie krótką tunikę bez rękawów. Dziewczyna jeszcze u nikogo nie widziała tak muskularnych ramion.

Niski, żylasty Po zerknął z ukosa na Larę i zmarszczył brwi.

– Nie podoba mi się ten człowiek – mruknął.

– Dlaczego? Patrz, uśmiecha się do nas – zaprotestowała.

Nie wiedziała, że młodzieniec zza rzeki uśmiecha się do niej – i do nikogo innego.

* * *

Na imię miał Tarketios. Larth nie mógł się o nim dowiedzieć więcej, ponieważ nieznajomy mówił językiem, którego nikt w grupie nie znał, a w którym każde słowo wydawało się równie długie i skomplikowane jak to imię. Łatwiej było zrozumieć sarnę niż te dziwne dźwięki, jakie wydawali – było ich trzech – przybysze. Wyglądali jednak przyjaźnie, a dzięki przewadze liczebnej handlarze solą nie czuli się zagrożeni.

Tarketios i jego kompani byli zręcznymi kowalami z regionu położonego o jakieś dwieście mil na północ, obfitującego w żelazo, miedź i ołów. Wracali z wyprawy handlowej na południe. U tego dogodnego brodu szlak solny krzyżował się z drogą wiodącą wzdłuż wybrzeża – do takiego spotkania musiało więc prędzej czy później dojść. Obie grupy rozłożyły się obozem na przeciwnych krańcach wyspy, ale Larth w geście przyjaźni zaprosił nieznajomych na ucztę. Kiedy wszyscy rozsiedli się wokół ogniska i sycili soczystą sarniną, Tarketios starał się wyjaśnić gospodarzom, na czym polega jego zawód. Lara błyszczącymi oczami patrzyła, jak wskazuje na płomień i naśladuje uderzenia młota. Na prężących się mięśniach młodzieńca kładły się czerwone błyski, a kiedy się do niej uśmiechał, czuła w tym czystą przechwałkę. Nigdy jeszcze nie widziała równie białych i równych zębów...

Po widział ich wzajemne spojrzenia i coraz bardziej pochmurniał. Larth widział je także i się uśmiechał.

* * *

Uczta się skończyła. Kowale po wielu gestach wdzięczności za zaproszenie i poczęstunek odeszli do swojego obozowiska, zanim jednak zniknęli w zaroślach, Tarketios raz jeszcze odwrócił się do Lary i posłał jej pożegnalny uśmiech.

Kiedy inni układali się na spoczynek, Larth, jak to miał w zwyczaju, siedział jeszcze samotnie przy ognisku. Lubił patrzeć na dopalające się bierwiona. Ogień, jak wszystko inne, miał swojego numena, który czasami wdawał się z wodzem w rozmowę, ukazując mu wizje. Dopiero z ostatnim gasnącym węgielkiem Larth zapadł w sen.

Zamrugał nagle i ocknął się. Płomień niespodziewanie znów strzelił w górę i po twarzy Lartha przemknął ciepły podmuch, oczy zaś poraził blask silniejszy od słonecznego. Wśród oślepiającego światła wyczuł raczej, niż dostrzegł, unoszącą się nad ogniem rzecz. Był to męski członek, pozbawiony ciała, ale nabrzmiaty i wyprostowany. Miał skrzydła jak ptak i zawisł nieruchomo w powietrzu. Mimo realistycznej cielesności nic sobie nie robił z gorejącego pod nim ognia.

Larth widywał już skrzydlatego fallusa, zawsze w tych samych okolicznościach: kiedy wpatrywał się w płomień i zapadał w senność. Nadał mu nawet imię, a raczej to owa zjawa wypisała je w jego umyśle: Fascinus.

Fascinus był inny niż wszystkie numeny ożywiające drzewa, kamienie czy rzeki. Tamte egzystowały bezimiennie; każdy był przywiązany do zamieszkiwanego obiektu i niewiele się różnił od innych. Kiedy przemawiały, nie zawsze należało im ufać. Bywały przyjazne, ale równie często złośliwe, a nawet wrogie.

Fascinus był inny. Niepowtarzalny. Istniał sam z siebie, bez początku ani końca. Jego forma dobitnie wskazywała, że ma coś wspólnego z życiem i jego początkiem, a jednak zdawał się przybywać spoza świata, jakby wpadał na chwilę przez przejście otwarte żarem ognia. Jego pojawienie się zawsze miało wielkie znaczenie. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby nie dał Larthowi odpowiedzi na trapiący go dylemat lub nie zasiał w jego głowie jakiejś ważnej nowej myśli. Udzielona przez Fascinusa rada nigdy go dotąd nie zawiodła na manowce.

Gdzieś w dalekich krajach – w Grecji, Palestynie, Egipcie – ludzie czcili bogów i boginie, tworzyli ich wizerunki, opowiadali o nich historie i wznosili modły w świątyniach. Larth nigdy takich ludzi nie spotkał. Nie słyszał nawet, że takie krainy istnieją, a już na pewno nie widział nigdy ani nawet nie wyobrażał sobie boga. Samo pojęcie bóstwa nie było mu znane, ale w wyobraźni i przeżyciach Lartha najbardziej przypominał je Fascinus.

Zamrugał gwałtownie, znów rozbudzony. Płomień zgasł, a nieznośną jasność zastąpiła ciemność letniej nocy, rozpraszana jedynie słabiutkim blaskiem księżycowego rogalika. Powietrze znów stało się chłodne i przyjemne. Fascinus zniknął – ale nie omieszkął pozostawić po sobie myśli. *Skoro tak mówi Fascinus, niechże się tak stanie!* Larth pospieszył do naturalnej altany utworzonej przez nadrzeczne krzewy, gdzie lubiła sypiać jego córka. Uklęknął przy niej, ale nie musiał jej budzić – Lara nie spała.

– Tata? Go się stało?

– Idź do niego – powiedział bez ogródek.

Nie musiała pytać o wyjaśnienie. Tego właśnie pragnęła, leżąc bezsennie, owładnięta podnieceniem, w czarnym mroku.

– Jesteś pewien, ojcze?

– Fascinus...

Larth nie dokończył zdania, ale ona zrozumiała w lot. Nigdy nie widziała Fascinusa, ale dobrze go znała z ojcowskich opowiadań. Wiele już razy służył Larthowi dobrą radą – teraz widać także przekazał mu swoją wolę.

Ciemność jej nie przerażała: znała każdy zakręt każdej ścieżyny na wyspie. Kiedy dotarła do obozowiska kowali z północy, zastała Tarketiosa leżącego w pewnym oddaleniu od dwóch towarzyszy, częściowo przed nimi ukrytego przez zakole krzewów. Poznała go po muskularnej sylwetce. Nie spał i czekał, jak ona nie spała w oczekiwaniu, kiedy przyszedł do niej ojciec.

Kiedy podeszła, Tarketios uniósł się na łokciach i szeptem wypowiedział jej imię. Wydawało się jej, że w jego głosie drży jakby desperacja. Takie pożądanie wzbudziło jej uśmiech. Z westchnieniem ułożyła się obok niego. W mdłej poświacie zobaczyła, że ma na szyi jakiś amulet – bezkształtny kawałek metalu zaplątany we włosy na torsie, który zdawał się chwytać i skupiać księżycowe promienie, wydzielając blask silniejszy od ich źródła.

Jego ramiona – te mocarne ramiona, które od pierwszego spojrzenia tak podziwiała – otoczyły ją i przygarnęły w zaskakująco delikatnym uścisku. Jego ciało było równie ciepłe i nagie jak jej własne, ale znacznie twardsze i większe. Przez chwilę miała wrażenie, że jest z nimi Fascinus, że czuje trzepot jego skrzydeł między ich nogami, kiedy wchodzi w nią ta życiodajna rzecz.

* * *

Następnego ranka, kiedy jego ludzie zaczynali się budzić, Larth zobaczył, że jego córka leży jak zwykle na swoim ulubionym miejscu. Czyżby go nie posłuchała? W tej chwili Lara otworzyła oczy. Po jej spojrzeniu i promieniejącej twarzy poznał, że się myli.

Grupa szykowała się do wyruszenia w dalszą drogę. Larth wezwał do siebie Po. Młody myśliwy dziwnie się ociągał i unikał wzroku wodza, gdy ten wydawał mu polecenie.

– Zanim odejdziemy, Po, chcę, abys wrócił na miejsce, gdzie wczoraj zabiłeś sarnę. Zagrab ziemię i przysyp ślady krwi. Jeżeli zrosiła liście lub luźne kamienie, wrzuć je do rzeki. Powinno się to zrobić od razu wczoraj, ale zmierzchało już i mieliśmy dużo pracy przy oprawianiu i pieczeniu zdobyczy. Ruszaj więc i zrób to teraz. Nie możemy zostawiać za sobą krwi.

– Dlaczego?

Larth znieruchomiał zaskoczony. Po nigdy dotąd nie odezwał się do niego takim wyzywającym tonem.

– Krew przyciągnie robactwo i drapieżniki, nie mówiąc już o tym, że numeny mogą się poczuć obrażone. Nieważne, że sarna sama się nam ofiarowała. Ale nie muszę ci tłumaczyć takich spraw. Rób, co ci każe!

Po wpatrywał się w ziemię. Wódz już miał odezwać się znowu, i jeszcze ostrzej, ale jego uwagę odwróciło przybycie kowali.

Tarketios wystąpił naprzód i z ostentacją ofiarował Larthowi dar. Był to żelazny przedmiot, mieszczący się w dłoni, rozdwojony z jednego końca i z bardzo ostrym szpicem na drugim. Był to grot do włóczni – rzecz bardzo użyteczna na polowaniu. Tarketios wyraźnie dał też do zrozumienia, że nie oczekuje niczego w rewanżu.

Ludzie Lartha mieli kilka prymitywnie wykutych noży i skrobaków z żelaza, nikt jednak nie widział dotąd równie pięknej broni jak ten grot. Wódz był pod wrażeniem. Podniósł dar do oczu, po czym pokazał go Po, pytając, co o tym myśli. Zanim jednak myśliwy zdążył zebrać się na odpowiedź, Larth wyjął mu z dłoni dzidę.

– Jesteś wśród nas najlepszym łowcą, tobie się więc grot należy. Tarketios nam pokaże, jak go zamocować na drzewcu.

To rzekłszy, podał oba przedmioty gościowi, podczas gdy Po stał jak otępiały. Kowal uśmiechnął się do obydwu. Na widok jego mlecznobiałych zębów młodzieńcowi drgnęły palce. Tarketios wyjął z mieszka małe gwoździe i młotek i zabrał się do oprawiania broni. Larth patrzył na to zafascynowany, nie dostrzegając, jak na twarz myśliwego wpływa coraz ciemniejszy rumieniec.

Skończywszy pracę, Tarketios podał włócznię Po. Nowy grot był cięższy, niż się młodzieniec spodziewał; drzewce przechyliło się w jego nieprzygotowanej dłoni, a żelazny grot z głuchym stukiem uderzył o ziemię.

– Balans jest teraz inny – zauważył Larth, śmiejąc się z jego zaskoczenia. – Musisz się od nowa nauczyć celować i miotać, ale za to łatwiej będzie tym zabić, nie sądzisz? Nie będziesz musiał tak silnie rzucać.

Po szybko zmienił chwyt i uniósł włócznię do pionu, ściskając drzewce tak mocno, że aż mu kłykcie zbiały.

* * *

Nieco później, gdy handlarze solą zbierali się do odpłynięcia z wyspy, Tarketios podszedł do Lary i poprowadził ją w odosobnione miejsce. Nie było słów, jakimi mogliby wyrazić swoje uczucia. Objęli się tylko na chwilę i znów odstąpili od siebie. Oboje jednocześnie odczytali swoje intencje: każde chciało dać drugiemu coś na pożegnanie. Ta jednomyślność sprawiła, że się w głos roześmieli.

Lara podała mu najcenniejszą rzecz, jaką miała: małe gliniane naczynie z korkiem, zawierające najczystsza sól. Tarketios przyjął dar i odłożył go na bok. Zdjął z szyi rzemyk z

amuletem. Był to dziwny, bezkształtny kawałek nieobrobionego metalu – inny jednak od wszystkich, jakie dotąd widziała. Ciężył jej mocno w dłoni, a barwę miał jeszcze bardziej niezwykłą: czysto żółtą jak słoneczny blask. Jedynym śladem ingerencji człowieka była mała dziurka, przez którą przewleczony został rzemień. Mężczyzna założył go jej na szyję, wymawiając coś, co musiało być nazwą, ale w jej uszach brzmiało tylko dziwnym, obcym dźwiękiem. Lara nie mogła wiedzieć, jak cenny dostaje dar. Był to jedyny metal, który nigdy się nie powleka śniedzią czy rdzą. Po oczach Tarketiosa poznała jednak, jak wielkie spotyka ją wyróżnienie.

Nie wiedziała też jeszcze, że otrzymała od niego również inny dar. W jej łonie rozwijało się nowe życie.

* * *

Słońce stało już dość wysoko, kiedy mała karawana ruszyła w dalszą drogę. Za nimi z wolna malały odległe góry, a przed nimi rzeka szerokim łukiem okrążała niski płaskowyż. Pierwszym drogowskazem była odbijająca w bok ścieżka prowadząca do gorących źródeł nad rzeką. Chłodniejszą porą chętnie tam obozowali, teraz jednak mijali je obojętnie. Larth złapał już swój zwykły rytm marszu, gdy nagle sobie przypomniał o wydanym Po rozkazie.

– Uprzątnąłeś krew z drogi? – zapytał, oglądając się przez ramię na myśliwego. Z jego wyrazu twarzy domyślił się, że polecenie zostało zignorowane. – Zawracaj więc i zrób to natychmiast! – wykrzyknął mocno zirytowany. – Nie będziemy na ciebie czekać. Będziesz musiał biec, by nas dogonić.

Po bez słowa zatrzymał się, pozwalając innym się wyprzedzić. Stał i patrzył za odchodzącymi ziomkami, dopóki ostatni nie zniknął mu z oczu. Włócznia zadrżała mu w dłoni. Spojrzał w dół i stwierdził, że palce mu dygocą. Działać pod wpływem impulsu jest łatwo: widzisz jelenia czy dzika i instynktownie reagujesz, ciskasz dzidę, dobijasz ranne zwierzę, a dopiero potem myślisz. To, co teraz snuło się mu po głowie, było zupełnie inną sprawą.

Po trwał w bezruchu przez długą chwilę, zanim w końcu zawrócił ku wyspie i pobiegł równym truchtem, ważąc w dłoni włócznię.

* * *

Teren cały czas się lekko wznosił. Kilka razy w dogodnych miejscach Larth przystawał i prosił Larę – miała bystrzejszy wzrok – by wypatrywała Po. Szlak jednak był pusty. Po młodym łowcy nie było ani śladu. Słońce zaczynało się zniżać ku zachodowi, a Po wciąż się nie zjawiał. Wodza zaczynała trapić obawa; nie powinien był puszczać młodzieńca samego, ale gniew za nieposłuszeństwo widocznie zamaćił mu myśli.

Jednakże kiedy tylko grupa zatrzymała się, by przygotować sobie następny nocleg, myśliwy zjawił się jakby nigdy nic: szedł ku nim równym krokiem, niezmęczony i spokojny.

– Nie bardzo się spieszyłeś z powrotem – zagadnął Larth oskarżycielko.

– A bo i nie było pośpiechu. Nie można się zgubić, idąc znanym szlakiem.

– Zrobiłeś, com ci kazał?

– Oczywiście.

Wzrok się może Larthowi z wiekiem pogorszył, węch miał jednak wciąż dobry. Przyjrzał się Po uważniej, zwłaszcza włosom i rękom. Były zaskakująco czyste – inaczej niż zazwyczaj.

– Pachniesz gorącymi źródłami.

Przez kilka sekund Po nie odpowiadał.

– Tak. Zatrzymałem się tam, by się wykąpać – wyrzekł w końcu.

– I nawet wyprać ubranie? – Larth dotknął jego tuniki. Była świeżo wypłukana i jeszcze wilgotna.

– Czułem na sobie... krew sarny. Mówiłeś, żeby wszystko dokładnie uprzątnąć. Te numeny na szlaku... – Po spuścił oczy. – Czułem, że muszę się obmyć.

Larth skinął głową, nic więcej nie mówiąc.

* * *

Rozłożyli się obozem u stóp wysokiego, stromego pagórka. Z dawniejszych czasów, gdy sam miał dobry wzrok, Larth pamiętał, że z jego szczytu rozciąga się daleki widok. Odszukał Larę i polecił jej iść za sobą.

– Dokąd, tato?

– Na wzgórze. Spieszmy się, póki widno.

Szła za nim, zdziwiona jego zniecierpliwieniem. Kiedy dotarli na szczyt, Larth zatrzymał się na chwilę, by złapać oddech, i wskazał w górę rzeki. Zachodzące słońce świeciło im w oczy i zamieniło ją w ognistą wstęgę. Nawet on mógł dostrzec pagórkowaty teren wokół wyspy, choć ona sama była ukryta.

– Tam, córko. Patrz ku wyspie. Widzisz coś?

– Wzgórza, las, rzekę – odpowiedziała ze wzruszeniem ramion.

– Czy coś się tam rusza?

Zmrużyła oczy i przesłoniła je dłonią. Na tle czerwonego nieba dostrzegła liczne czarne kropki, wolno krążące nad wyspą niczym cząstki sadzy nad ogniem.

– Sępy – powiedziała. – Widzę wiele sępów.

* * *

Dużo później, kiedy wszyscy już mocno spali, Larth jak zwykle siedział przy ognisku. Długo patrzył w płomienie, po czym wstał i podkraść się tam, gdzie leżał Po. Młody myśliwy położył się na uboczu, jakby chciał zachować dystans od reszty grupy. Włócznia leżała tuż u jego boku i Larth musiał bardzo uważać, by go nie obudzić, zanim ją podniesie.

W świetle ogniska dokładnie obejrzał grot. Nawet w gorącej wodzie nie dałoby się usunąć wszystkich śladów krwi z kutego żelaza; rzeczywiście znalazł jej zaschnięte drobiny w pokrywających powierzchnię grotu miniaturowych rysach.

Wrócił do myśliwego i stanął nad nim okrakiem. Przyłożył mu ostrze włóczni do gardła i obudził kopnięciem w bok. Łowca ocknął się z raptownym drgnięciem i oburącz schwycił drzewce, wódz wyteżył jednak siły i pewnie trzymał broń.

– Mów szeptem! – nakazał chłopakowi, nie chcąc budzić pozostałych. – Zabierz ręce z włóczni i połącz je wzdłuż boków! O, tak. A teraz gadaj prawdę. Wszystkich trzech czy tylko Tarketiosa?

Po przez długą chwilę nie odpowiadał. Larth widział błysk jego oczu w półmroku i słyszał nierówny oddech. Choć młody leżał bez ruchu, wódz czuł jego napięcie.

– Wszystkich trzech – odrzekł w końcu Po.

Larth poczuł, że ogarnia go wielki chłód. Do tej pory nie miał pewności.

– Co z ciałami?

– Wrzuciłem do rzeki.

Moja najstarsza przyjaciółka zbrukana krwią! – pomyślał Larth. Co teraz jej numen pomyśli o nim i jego ludziach?

– Spłyną do morza – odezwał się Po. – Zatarłem wszystkie ślady.

– Nie spłyną! Przynajmniej jedna rzeka musiała wyrzucić na brzeg.

– Skąd wiesz?

– Sępy.

Larth widział tę scenę w wyobraźni: krew w wodzie, zwłoki w trzcinach, żarłoczne ptaki krążące nisko w powietrzu. Pokręcił głową. Ależ z tego chłopaka myśliwy! Tak podejść i zabić trzech mężczyzn! A przy tym co za głupiec... Czy grupa może sobie pozwolić na jego utratę? A na jego zatrzymanie? Było w jego władzy zabić go tu i teraz, ale musiałby usprawiedliwić to przed pozostałymi. Co więcej, przed samym sobą. Bił się długo z myślami, aż wreszcie westchnął i rzekł:

– Wiem o wszystkim, co robisz, Po. Nie zapominaj o tym!

Podniósł grot znad szyi młodzieńca i upuścił broń na ziemię. Odwróciwszy się na pięcie, wrócił na swoje miejsce przy ognisku. Mogło być gorzej, pomyślał. Gdyby szczeniak okazał się na tyle głupi, by zabić tylko Tarketiosa, wtedy dwaj pozostali z pewnością ruszyliby za nim w poszukiwaniu zemsty. Przekazaliby wieść swoim ziomkom i rozniosłoby się, że jeden z handlarzy solą popełnił taką zbrodnię. Konsekwencje i reperkusje ciągnęłyby się przez życie

całego pokolenia, a może dłużej. A tak wiedzieć o wszystkim będą tylko numeny wzdłuż szlaku, rzeka i sępy. I on, Larth.

Wpatrywał się w ogień i żałował jak nigdy dotąd, że Fascinus tej nocy nie przybywa. On by mu podpowiedział, jak postąpić. Ale płomienie zgasły, zapadła ciemność, a skrzydlata zjawa ani myślała go nawiedzić.

Nie pojawiła się już nigdy potem.

* * *

Tej nocy poza objedzonymi sępami na wyspie nie było nikogo. Po kres życia Lartha handlarze solą nigdy już na niej nie obozowali. Powiedział im, że zajęły ją lemury, nieukozone duchy zmarłych, a ponieważ słyszał z wiedzy o takich sprawach, reszta przyjęła jego słowa za dostateczne wytłumaczenie.

Kiedy zima ustąpiła wiośnie, Lara powiła syna. Poród był trudny i dziewczyna omal nie umarła. W chwili, kiedy jej cierpienie sięgało szczytu, miała wizję: po raz pierwszy i ostatni ukazał się jej Fascinus. Była pewna, że słyszy jego kojące zapewnienie: „Przeżyjesz i ty, i dziecko”. Przez cały czas ścisnęła kawałek złota wiszący na szyi; chłodny metal zdawał się wchłaniać ból. W delirycznej gorączce postać Fascinusa i amulet od Tarketiosa zlały się w jedno; powiedziała potem ojcu, że numen skrzydlatego fallusa zamieszkał w jej złocie.

Krótko potem w skromnej ceremonii przy nadmorskim solnisku Lara poślubiła Po. Mąż, choć dobrze wiedział, że dziecko nie jest jego, uznał syna. Zrobił to, ponieważ tak nakazał mu Larth, a zdawał sobie sprawę, że stary wódz ma rację. Po nie miał szans posiadać takiej wiedzy o zwyczajach numenów jak jego teść, ale nawet on czuł, że jego akt przemocy na wyspie wymaga zmazania aktem skruchy. Akceptując syna swej ofiary, zadośćuczynił jej lemurowi, a zarazem udobruchał każdego numena, który mógł być świadkiem morderstwa i poczuć się znieważony świadomie przelaną krwią.

Z biegiem lat wspomnienie Tarketiosa zatarło się w pamięci Lary, ale złoty amulet, jego dar, w którym według niej zamieszkał Fascinus, nigdy nie utracił połysku. Na łożu śmierci oddała go synowi. Nie wyjawiała mu prawdy o jego pochodzeniu, ale i nie skłamała – po prostu teraz bardziej już wierzyła wymyślonej przez siebie historii niż mglistym wspomnieniom z młodości. „Złoto przybyło z ognia”, powiedziała. „Tego samego, w którym twój dziadek widział Fascinusa w noc, kiedy przybyliśmy na wyspę. Bez Fascinusa, mój synu, nie zostałbyś poczęty. Bez niego też ani ty, ani ja nie przeżylibyśmy twoich narodzin”.

Fascinus zainspirował powstanie nowego życia i ochronił je podczas porodu. Miał też i inną moc: potrafił odwrócić złe oko. Lara wiedziała o tym z doświadczenia, ponieważ krótko po powiciu syna słyszała, jak inne kobiety szepczą za jej plecami, i przyłapywała ich dziwne spojrzenia. Patrzyły na nią z ciekawością i podejrzliwością, ona jednak uznała to za przejaw zazdrości. Oczy zazdrośników, jak wiedziała od ojca, mogły wywoływać choroby,

nieszczęścia, a nawet śmierć; mając jednak na szyi Fascinusa, Lara czuła się bezpieczna, w przekonaniu, że lśniąca złoto odbije nawet najniebezpieczniejsze uroki.

I amulet, i jego historia przekazywane były kolejnym pokoleniom, które same musiały rozważyć, jaką właściwie rolę Fascinus odegrał dla ciągłości rodu. Czy skrzydlaty fallus sam ucieleśnił się z płomieni, aby zapłodnić Larę? Czy kiedykolwiek przedtem lub potem zdarzył się taki stosunek między numenem a ludzką istotą? Czy właśnie z tego powodu inne kobiety zachowywały się wobec ich przodkini podejrzliwie i zawistnie? Czy Fascinus wręczył Larze złoty dar, bo wiedział, że taka ochrona będzie potrzebna jej i potomstwu?

Nikt nie wiedział, jak było naprawdę, ale amulet był traktowany jak rodowy skarb i pieczołowicie strzeżony.

* * *

Mijały lata. Ostrzeżenie Lartha przed zamieszkującymi wyspę groźnymi lemurami poszło w zapomnienie i handlarze solą znów na niej biwakowali w swych wędrownkach. Wciąż pozostawała jednak tylko miejscem na popas. Po okolicznych siedmiu wzgórzach grasowały wilki, uganiając się za sarnami i zającami. Bagniste dolinki między nimi pełne były żab i ważek, a ptaki przelatywały nad nimi i przysiadły przez nikogo nie niepokojone. Wokoło nie widać było żadnych śladów ludzkiej bytności poza pozostałościami ognisk wędrowców.

Gdzie indziej na świecie ludzie budowali miasta, prowadzili wielkie wojny, poświęcali bogom świątynie, śpiewali hymny o herosach i śnili o potędze. W dalekim Egipcie od tysięcy lat panowały dynastie faraonów; wielka piramida w Gizie liczyła już piętnaście wieków. Echa zmagania Achajów z Trojanami umilkły przed dwustu laty, a porwanie Heleny i Achillesowy gniew przeszły do legendy. W Palestynie król Dawid zdobył prastare Jeruzalem i uczynił je swoją stolicą, a jego syn Salomon budował pierwszą świątynię dla Jahwe. Dalej na wschodzie migrujący Ariowie kładli podwaliny pod królestwa Medów i Partów, z których miało wyrosnąć wielkie imperium perskie.

Wyspa na rzece i siedem pobliskich wzgórz pozostawały jednak niezamieszkane przez ludzi i zapomniane przez bogów. Ot, dzikie miejsce, jakich wiele, gdzie nigdy nie wydarzyło się nic ważnego.

Przybywa półbóg

850 r. p.n.e.

Kakusowi się zdawało, że kiedyś był człowiekiem.

Urodził się w górskiej wiosce. Jak wszyscy inni miał dwie nogi i dwie ręce, i poruszał się pionowo na dwóch stopach. Z pewnością nie był zwierzęciem jak potulne owce czy dzikie wilki, ale prawdziwą ludzką istotą. Był jednak niepodobny do innych. Tamci chodzili równym i pewnym krokiem; Kakus zaś kulał, ponieważ jedną nogę miał krótszą i w dodatku dziwnie skręconą i zgiętą. Tamci mogli stać wyprostowani z rękami opuszczonymi wzdłuż boków; jego plecy wykrzywił garb, a ramiona nie leżały na tej samej wysokości. Oczy miał wręcz sokole, ale coś było nie tak z jego ustami – nigdy się nie nauczył mówić i umiał wydawać tylko bełkotliwy dźwięk, który brzmiał jak „kakus”; od niego właśnie wzięło się jego imię. Twarz też miał bardzo zniekształconą. Jakieś dziecko powiedziało mu kiedyś, że garncarz zrobił ją z gliny, ale mu się nie podobała, więc ją rozdeptał.

Mało kto patrzył na niego wprost. Ci, co go znali, odwracali wzrok z litości; obcy cofali się ze strachu. Takie deformacje ciała zazwyczaj skazują dziecko na śmierć już w godzinie narodzin, jego matka wyblagała, by go oszczędzono, tłumacząc, że jego niezwykle rozmiary (był tak duży, że o mało nie umarła przy porodzie) zapowiadają przyszłą siłę. Miała rację. Już w dzieciństwie Kakus był większy i silniejszy od najroślejszych mężczyzn we wsi – a wtedy ci, co się nad nim litowali, zaczęli się go bać.

A potem nastął Wielki Głód.

Zima była sucha i mroźna, wiosna sucha i gorąca, lato jeszcze bardziej suche i upalnie. Rzeki zamieniały się w potoki, potem w strumyczki, a w końcu wysychały zupełnie. Uprawy wędły i marniały. Nie było czym karmić owiec. Kiedy się już wydawało, że nic gorszego nie może się wydarzyć, któreś nocy góra zatrzęsała się tak mocno, że niektóre chaty legły w gruzach. Niedługo potem z zachodu nadciągnęły czarne chmury; obiecywały deszcz, ale zesłały tylko pioruny, które wzniciły pożar. Pożoga w mig ogarnęła cały stok i zniszczyła spichlerz z ostatnim zapasem ziarna.

Wieśniacy zwrócili się do starców o radę. Czy kiedykolwiek było tak źle? Co można w takiej sytuacji zrobić?

Jeden ze starszyzny przypomniał sobie podobny czas z dzieciństwa, kiedy ludność wsi zanadto się rozrosła, a wiele nieurodzajnych lat doprowadziło do głodu i rozpacz. Z dawien dawna, jeszcze przed jego narodzinami, istniał pewien obrzęd zwany rytuałem świętego źródła. Zawierano pakt z wielkimi numenami nieba i ziemi: jeżeli wioska przeżyje zimę, wówczas z wiosną trzeba było wygnać z niej grupę dzieci, pozostawiając je na łasce natury.

Lekarstwo wydawało się gorzkie, ale i czasy były ciężkie. Rada starszych uchwaliła, że trzeba dopełnić rytuału świętego źródła. Wieś przyjęła to ze zrozumieniem.

Ile dzieci należy wygnać, miała im podpowiedzieć wróżba. Któregoś bezwietrznego dnia starcy wspięli się na kamieniste urwisko nad wioską. Rozpalili tam ognisko z suchych gałęzi i czekali, aż dym uformuje się w słupek, dzieląc w ten sposób niebo na dwie części. Bacznie obserwowali ptaki, licząc te, które przelatywały z jednej strony na drugą. Zanim ogień dogasł i słupek dymu zniknął, doliczyli się siedmiu. Tyle dzieci trzeba było zatem wybrać.

Wyboru dokonano przez losowanie. Było ważne, by każdy mieszkaniec wsi mógł się przekonać, że jego wynik ustaliły numeny losu i przypadku, a nie spisek któregoś z rodziców. Na oczach całej społeczności dzieci ustawiły się rzędem. Kolejno podsuwano im garnek, w którym znajdowało się siedem czarnych kamyków i reszta białych. Każde dziecko sięgało do garnka. Kiedy wszystkie wybrały, jednocześnie otworzyły zaciśnięte piąstki. Siedmioro trzymało czarne kamyki. Było wiele płaczu, ale kiedy ujrzano, że i Kakusowi przypadł feralny los, nawet jego matka odetchnęła z ulgą.

Ta zima okazała się łagodniejsza od poprzedniej i mimo głodu nikt z wieśniaków nie zmarł. Wyglądało na to, że rytuał udobruchał numeny i uratował wioskę. Kiedy nadeszła wiosna i na drzewach zaczęły się otwierać pączki, zdecydowano, że pora wypełnić zobowiązanie.

Zgodnie z rytuałem dzieci miało powieść do nowego domu jakieś zwierzę; co do tego starcy byli zgodni, nikt jednak nie wiedział, jak je wybrać. Najstarszy z nich orzekł, że ono samo się im objawi – i rzeczywiście, w noc przed ustalonym dniem wygnania dzieci kilku z nich miało sen, w którym widzieli sępa.

Następnego ranka wyprowadzono siódmkę wybranych na centralny plac wsi. Pozostałe dzieci i kobiety zamknięto w domach; zza okiennic na całą okolicę niósł się ich płacz i lamenty. Jeden ze starców o najlepszych oczach wspiął się na urwisko i wypatrywał. W końcu z okrzykiem wskazał na południowy zachód, gdzie tuż nad horyzontem widniała sylwetka wolno krążącego sępa.

Mężczyźni ujęli pałki. Starcy zaczęli bić w bębny i trząść grzechotkami; zaintonowali pieśń, która miała dodać wszystkim odwagi i zatwardzić serca. Tempo melodii rosło, słowa rozbrzmiewały coraz głośniejsze. W końcu z krzykiem i wymachiwaniem pałkami rzucili się w stronę dzieci i przegnali je z wioski.

* * *

Następne dni były niezwykle trudne dla nieszczęsnych wyrzutków. Co rano wypatrywali sępa, a ujrawszy go, ruszali w tym kierunku. Czasami ptak wiódł ich do padliny, która jeszcze się nadawała do jedzenia, ale częściej była już w takim stadium rozkładu, że nawet sępy jej nie chciały. Desperacja nauczyła dzieci polować i łowić ryby, i kosztować każdej rośliny, która wyglądała na jadalną; mimo to bywało wiele dni, kiedy nękał je głód. Kakus był zbyt niezgrabny, by się nadawać na myśliwego; pozostali traktowali go tym gorzej, że jedzenia potrzebował więcej od nich. Był jednak zdecydowanie najsilniejszy, więc gdy nocami zagrażały im drapieżniki, u niego właśnie szukali ochrony.

Pierwsza umarła jedna z dziewczynek. Osłabiona głodem spadła z wysokości i rozbiła głowę. Reszta debatowała, co zrobić z ciałem. To nie Kakus zasugerował rozwiązanie nie do pomyslenia, lecz inny chłopiec, a reszta się skwapliwie zgodziła. On tylko postąpił tak jak wszyscy. Czy właśnie wtedy, gdy po raz pierwszy skosztował ludzkiego mięsa, zaczął się stawać bestią?

Dzień po dniu wędrowali na niższe tereny na południowy zachód od gór. Było tam więcej zwierzyny i ryb w potokach, rośliny też bardziej się nadawały do jedzenia. Mimo to głód wciąż zaglądał im w oczy.

Następny zginął chłopiec ze zranioną stopą. Grupa natrafiła na niedźwiedzia i rozbiegła się w panice, a on pozostał w tyle. Niedźwiedź schwytał go i mocno poturbował, ale oddalił się, gdy Kakus wrócił biegiem, krzycząc i wymachując znalezionej gałęzią. Nieszczęsna ofiara była już jednak martwa.

Kiedy tego wieczoru dzieci zasiadły do kolacji, wydawało się naturalne, że największa porcja powinna przyspać Kakusowi.

Minęło lato, a one wciąż nie mogły znaleźć domu. Kolejne dziecko zmarło po zjedzeniu grzyba, drugie wkrótce potem po kilkudniowej chorobie z gorączką. Pozostali, choć głodni, bali się jeść ich ciała, więc je pochowali w płytkich grobach. Teraz było ich tylko trzech: Kakus i dwóch innych chłopców. Zima nadeszła wyjątkowo ostra; nagie drzewa zdawały się dygotać z zimna, ziemia stwardniała na kamień, zniknęły gdzieś zwierzęta. Nawet najzręczniejszy z myśliwych nie przetrwałby tych warunków, nie uciekając się do desperackiego rozwiązania, na jakie zdecydował się Kakus.

Czy właśnie teraz dokonała się w nim zmiana, gdy postanowił nie czekać na niedźwiedzia lub czyjś upadek ze skały, czy też wywołało ją jakieś inne, przypadkowe zdarzenie? W każdym razie uznał, że wyręczy los. Zrobił to, co musiał, i z najbardziej podstawowej przyczyny: trzeba było coś jeść. Nie działał jednak pochnie. Najpierw zabił silniejszego z chłopców, pozwalając słabszemu pożyć nieco dłużej. Nieszczęśnik niejedną próbował mu uciec, ale bezskutecznie. Kakus czekał tak długo, jak mógł – to znaczy, dopóki głód nie

szarpał go tak silnie, że żaden człowiek by tego nie wytrzymał. Czekał, ponieważ wiedział, że wraz ze śmiercią ostatniego z towarzyszy niedoli nadejdzie coś jeszcze gorszego od głodu: samotność.

Przyszła wiosna i Kakus był sam. Nocami nie mógł zasnąć, leżał więc tylko, wsłuchując się w odgłosy natury i coraz głębiej się osuwając w świat pozbawiony ludzkiego rozumu. Nie ustawał w wędrówce. W końcu zaczął spotykać podróżnych i trafiać na wioski, ale żaden człowiek nie chciał mieć z nim nic wspólnego. Bano się go – i nie bezpodstawnie. Nieraz porwał skądś dziecko i je zjadł. Kiedy to się stało, ścigano go zawzięcie; kilkakrotnie omal nie wpadł w ręce prześladowców, ale udawało mu się jakoś wywinąć, a nawet samemu dopaść któregoś ze ścigających. Pozostali znajdowali wtedy tylko do czysta ogryzione kości. Konieczność przetrwania w dziczy nauczyła go przebiegłości i sztuki ukrywania się. Nie było człowieka, który sprostałby mu fizycznie: Kakus wyrósł na istnego olbrzyma i siłacza.

Miesiące mijały, zmieniały się pory roku. Kakus przeżywał suche lata i ostre zimy, nieodmiennie w samotności i wiecznie w ruchu. Któregoś dnia spostrzegł na niebie sępa. Było to wczesną wiosną; świeża zieleń i łagodne ciepło obudziły w nim mgliste wspomnienia z początku jego tułaczki. Postanowił ruszyć w ślad za ptakiem. Tak trafił na szlak wiodący brzegiem rzeki. W miejscu, gdzie zakreślała szeroki łuk, zobaczył przed sobą kilka wzgórz i unoszące się w niebo pasmo dymu. Sępa dawno stracił z oczu, ale uznał, że równie dobrze może iść dalej tą drogą. Drogi prowadzą do wsi, a we wsiach zawsze można ukraść coś do jedzenia. Tym razem, powiedział sobie, będzie się trzymał w ukryciu i ruszał na łów tylko nocą. Im dłużej uda się mu uniknąć ludzkich oczu, tym później wieśniacy go przepędzą.

Nagle poczuł, jak ogarnia go wielki smutek. Kiedyś sam mieszkał w wiosce. Prawda, że inni często się z nim drażnili i go wyśmiewali, ale jednak akceptowali jak swego, mimo że tak się od wszystkich różnił. A potem go wygnali. Dlaczego? Bo tego żądała sama ziemia i niebo – tak powiedziała mu matka. Dopóki nie musiał opuścić rodzinnej wsi, nigdy nikogo nie skrzywdził, a jednak cały świat stał się jego wrogiem. Smutek narastał w nim i wypełniał go coraz bardziej, aż przeobraził się w ślepy gniew.

Za zakrętem drogi natknął się na młodą dziewczynę, idącą ku rzece z koszem ubrań do prania. Miała jasne włosy, a na jej szyi wisiał na prostym rzemyku błyszczący w słońcu amulet. Ujrawszy Kakusa, dziewczyna wrzasnęła przeraźliwie, upuściła kosz i rzuciła się do ucieczki. Zaślepiony wściekłością, ale i nagle rozszlochany, puścił się za nią biegiem, wykrzykując raz po raz swoje imię. Ścigał ją tylko przez chwilę, ponieważ w dali zobaczył pierwsze zabudowania osady. Zapragnął zapaść się pod ziemię, ale mógł tylko usunąć się z drogi w zarośla. Od strony wioski wciąż dobiegał go krzyk dziewczyny, a po chwili dołączyły do niego niespokojne wołania innych, którzy wybiegając jej naprzeciw, pytali, co ją wystraszyło.

Co ona zobaczyła, spojrzawszy na niego? Na pewno nie człowieka jak ona sama. I nie zwierzę – żaden zwierz, prócz może węża, nie wzbudza takiej odrazy i przerażenia. Zobaczyła zatem... potwora. Tylko potwór mógł wydrzeć z jej gardła podobny krzyk.

A więc stał się potworem! Kiedy to się stało? Przecież kiedyś... dawno temu... musiał być człowiekiem?

* * *

Osada nad rzeką powstała jako placówka handlowa. Ruch na obu przecinających się tam szlakach – solnym i metalowym – tak się wzmógł, że przez rejon Siedmiu Wzgórz niemal zawsze ktoś przejeżdżał, przechodził lub się zatrzymywał na popas. Nie kto inny jak pewien przedsiębiorczy potomek Lary i Po wpadł na pomysł, by się tam osiedlić na stałe i założyć rynek wymiany towarów. Po co handlarze solą mieliby pchać swe wózki aż pod same góry, skoro mogą dowieźć ją tylko tutaj, kupić za nią potrzebne im rzeczy i wrócić do ujścia rzeki po nowy transport? Tak oto zwykle skrzyżowanie dróg stało się punktem docelowym, a dla garstki osadników także domem i źródłem utrzymania z zyskownego handlu. Około dwudziestu chat wyrosło u stóp stromego urwiska, gdzie szeroka i płaska nadrzeczna łąka zapewniała łatwy dostęp ze szlaku i dość miejsca na urządzenie targów. Przecinał ją sezonowy strumień zwany Spinon, wpadający tam do Tybru – bo tak teraz ludzie nazywali tę rzekę.

Zbudowane na szkielecie z przeplecionych gałęzi gliniane okrągłe chaty ze spiczastymi trzcinowymi dachami miały po jednej izbie, a zamiast drzwi powieszono na framudze z bali zwierzęce skóry zszyte w prostokąt. Jedynymi meblami były proste prycze do siedzenia i spania; chata służyła mieszkańcom wyłącznie za schronienie przed żywiołami i do zachowania prywatności; gotowanie i wszelkie spotkania towarzyskie odbywały się pod gołym niebem. Sam rynek, położony na drugim brzegu Spinonu i bliżej Tybru, składał się z kilku krytych strzechą szop, w których magazynowano sól, zagród dla zwierząt i otwartej przestrzeni, gdzie kupcy mogli ustawiać wozy czy wózki i z nich oferować nabywcom swoje towary. Hodowcy wystawiali na sprzedaż krowy, woły, świnie, owce i kozy. Każdego dnia można było tam kupić farbowaną wełnę, futrzane dywany, słomiane i filcowe kapelusze, torby ze skóry, naczynia gliniane, kosze, grzebienie i zapinki z bursztynu lub szylkretu, ozdoby z brązu, żelazne topory i lemieszce. Na smakoszy czekały orzeszki piniowe z gór, raki i mięsiste żaby, garnczki miodu, kule sera, dzbany świeżego mleka i w zależności od sezonu kasztany, jagody, winogrona, jabłka lub figi. Niektórzy kupcy przyjeżdżali do osady w regularnych odstępach i zaprzyjaźnili się z mieszkańcami i ze sobą nawzajem, ale zawsze zjawiały się jakieś nowe twarze, ludzie z dalekich stron, którzy słyszeli od innych o tym targowisku i sami pragnęli przyjrzeć się bogactwu oferowanych tu dóbr.

Oczywiście nie obywało się też bez wymiany wieści i plotek; zawsze można było liczyć na jakąś nową historię czy występ wędrownego śpiewaka. Trafiali się i magicy świadczący wszelkiego rodzaju usługi: jeden potrafił uleczyć chorobę czy bezpłodność, inny oferował wizje przyszłości lub umiał się porozumiewać z numenami. Zdecydowanie najbardziej egzotycznymi gośćmi byli jednak ci kupcy, którzy przybywali łodziami, wiosłując w górę rzeki od morza, gdzie pozostawili na kotwicy swoje statki. Te wspaniałe, wielkie jednostki – wiedziano w osadzie, jak wyglądają, bo niejeden z tutejszych specjalnie w tym celu wyprawiał się do ujścia – woziły swych właścicieli wzdłuż wybrzeża, a nawet, jak twierdzili, przez całe wielkie morze. Żeglarze ci nazywali się Fenicjanami; mówili wieloma językami, nosili jaskrawokolorowe szaty i misternie kutą biżuterię, a ich towary były nadzwyczajne, z niewyobrażalnie odległych krain. Były wśród nich małe figurki ludzi z gliny lub metalu. Z początku osadnicy zakładali, że mieszkają w nich numeny – choć sam pomysł, że numen mógłby bytować w najcudniejszym nawet wyrobie ludzkich rąk, wielu z nich wydawał się niedorzeczny. Przybysze próbowali im wyjaśniać, że ich idole nie mają nic wspólnego z żadnymi duchami, ale są wyobrażeniem czegoś, co nazywali bogiem; ta koncepcja była jednak dla miejscowych zbyt abstrakcyjna i niezrozumiała.

Ostatnim potomkiem Lary i Po była dziewczyna o imieniu Potycja, córka Potycjusza, urodzona i wychowana w osadzie. Od najmłodszych lat pozwalano jej swobodnie włóczyć się po okolicy; dzięki temu znała każdą nadrzeczną skarpe i mulistą plażę w promieniu wielu stadiów w górę i w dół Tybru, bez obaw brodziła lub przepływała z jednego brzegu na drugi, dobrze też zbadała całą dolinę Spinonu aż po jego źródło, otoczone wzgórzami torfiaste jezioro. Na moczarach życie tętniło jak nigdzie indziej – roilo się tam od żab, wazek, jaszczurek, pajaków, węży i najprzeróżniejszego ptactwa. Potycja uwielbiała patrzeć na podrywające się do lotu z trzcin stadko wystraszonych gęsi lub majestatycznie kołujące przed wodowaniem łabędzie.

W miarę jak dorastała, zapuszczała się coraz dalej od osady i któregoś dnia odkryła gorące źródła. Podekscytowana pobiegła natychmiast do domu, by się podzielić wieścią z innymi – i była wielce rozczarowana, dowiedziawszy się, że jej ojciec zna je od dawna. Skąd się bierze ta bulgocząca woda? – chciała koniecznie wiedzieć. Potycjusz odpowiedział, że wypływa z ognistego miejsca głęboko pod ziemią. Zaintrygowana dziewczyna przeszukała całą okolicę w nadziei na znalezienie wejścia do podziemnego świata, nigdy jej się to jednak nie udało. Raz źródła niespodziewanie wyschły, ale wkrótce pojawiły się znowu. Zaniepokojeni osadnicy postanowili zbudować przy nich ołtarz i składać ofiary dla przebłagania ognistych numenów ziemi, aby już nigdy nie odbierały im gorącego daru. Potycjusz wznosił ołtarz samodzielnie – najpierw przywłókł wołami w ustalone miejsce wielki głaz, a potem ociosał go do pożądanego kształtu. Raz do roku posypywano kamienny stół solą, wsypywano też jej trochę do źródeł. Poskutkowało: od tamtej pory już nie wysychały.

Krajoznawcza pasja Potycji zawiodła ją też na wyższe partie terenu. Pierwszym z Siedmiu Wzgórz, które zdobyła, było to wznoszące się tuż za jej rodzinną chatą. Od strony osady prezentowało swoje groźne oblicze – strome, prawie pionowe urwisko, niedostępne nawet dla najbardziej zdeterminowanego dzieciaka; metodą prób i błędów dziewczynka szybko jednak znalazła na przeciwległym stoku całkiem dogodną drogę na szczyt. Widok stamtąd był oszałamiający. Osada i jezioro wydawały się jej dziwnie małe, przekonała się też, że gorące źródła leżą na skraju wielkiej równiny wypełniającej zakole Tybru. Spoglądając w dal, poza te dobrze sobie znane miejsca, zdała sobie sprawę, że świat jest o wiele większy, niż sobie dotąd wyobrażała. Rzeka ciągnęła się w obu kierunkach tak daleko, jak tylko sięgał jej wzrok, a w którąkolwiek stronę spojrzeła, strasznie odległy horyzont zdawał się rozmywać w purpurowej mgielce.

Jedno po drugim zwiedziła tak wszystkie siedem wzniesień. Większość z nich była jeszcze wyższa od tego „domowego”, ale łatwiejsza do wspinaczki – gdy tylko się znało właściwe miejsce jej rozpoczęcia i odpowiedni szlak pod górę. Każde wyróżniało się czymś szczególnym. Jedno porastały buki, na innym pyszniły się prastare dęby, kolejne opanowały wierzby i tak dalej. Żadnemu z nich nikt jeszcze nie nadał nazwy – od niepamiętnych czasów mówiono na nie po prostu Septimontium, Siedem Wzgórz. Nie tak dawno ktoś z przejezdnych żartobliwie powiedział o nich „Ruma”; słowem tym mężczyźni określają między sobą kobiece piersi albo krowie wymiona, a w pagórkowatym krajobrazie o takie skojarzenia nietrudno. Dla osadników było czymś najzupełniej naturalnym, że różne cechy terenu porównywano do części ludzkiego ciała.

Na urwisku naprzeciwko osady, na skraju podmokłej łąki daleko za Spinonem, Potycja odkryła jaskinię. Wciśnięte w załom zbocza i ukryte za gęstymi krzewami wejście trudno było odróżnić od otoczenia – wyglądało jak cień rzucony przez jakiś skalny występ. Zejście w to miejsce ze szczytu okazało się niemożliwe, widziała zaś, że wspinaczka od podnóża będzie wymagała niepośledniej zręczności i odwagi. Pierwsze kilka prób dotarcia do jaskini skończyło się paskudnymi upadkami, podrapanymi dłońmi i kolanami, nie mówiąc już o dziurach w tunice, za które nieodmiennie zbierała solidną burę od matki. W końcu jednak dziewczynka dopięła swego.

Kiedy po raz pierwszy stanęła wewnątrz jaskini, od razu wiedziała, że warto było swoje odcierpieć. W dziecięcych oczach skalna komora wyglądała na ogromną, niemal tak dużą jak jej chata. Była tam naturalna kamienna ława z poręczą pod rękę; zresztą cała grota wyglądała jak wykuty w skale dom, który jakby czekał, aż ona obejmie go w posiadanie. Tym razem, w przeciwieństwie do gorących źródeł, jej odkrycie należało tylko do niej; istnienia pieczary nikt nawet nie podejrzewał i to stopy Potycji po raz pierwszy dotknęły jej szorstkiego dna.

Jaskinia stała się jej tajną kryjówką i schronieniem. W upalne letnie dni dawała jej chłodne miejsce na drzemkę; zimą, gdy na dworze ślimaczyły się szarugi, było jej tam przytulnie i sucho, gdy wsłuchiwała się w szum deszczu i spływającej po skale wody.

W miarę dorastania włóczęga po okolicy stawała się dla Potycji coraz mniej ważna – teraz bardziej była zainteresowana zdobywaniem tych umiejętności, których mogła nauczyć ją matka: gotowania, wyplatania koszyków z trzciny i tym podobnych. Przy okazji usłyszała od niej, że powinna zacząć się zastanawiać, którego z chłopców w osadzie chciałyby poślubić. W jej ciele następowały zmiany świadczące o zbliżaniu się do progu kobiecości.

Jej ojciec uczcił to cennym подарunkiem. Dostała od niego amulet z złotego metalu zwanego złotem.

Przez dziesięć pokoleń złoty samorodek, który Tarketios darował Larze, zachowano w niezmiętej postaci; nikt nie próbował go przerobić, ponieważ metal wydawał się zbyt miękki do normalnej obróbki. Dopiero od przejeźdnego Fenicjanina dziadek Potycji dowiedział się, że złoto można połączyć z innym cennym metalem, srebrem. Za drakońską sumę cudzoziemiec uformował powstały stop w zamówiony przez niego kształt. Według najwyższych norm fenickich robota była raczej prymitywna, ale w oczach Potycji nowy amulet był czymś cudownym. Przedstawiał skrzydlatego fallusa. Jej ojciec nazywał go Fascinusem – źródłem płodności, obrońcą kobiet w położu i noworodków, strażnikiem przed złym okiem. Chociaż go o to pytała i uważnie słuchała odpowiedzi, nie mogła do końca zrozumieć, czy amulet jest Fascinusem, czy zawiera Fascinusa, czy go po prostu wyobraża, jak fenickie figurki ich bogów. Nie przeszkadzało jej to czuć się bardzo dorosłe, gdy go nakładała. Nie była już wiecznie umorusaną dziewczynką z poobijanymi kolanami, która beztrudno wędrowała po Rumie; zachowała jednak jeszcze owo dziecięce zadziwienie i słodkie, choć niepokojące poczucie dorastania w świecie, gdzie niewielu rzeczy trzeba było się bać, za to wiele można było odkrywać.

Do niedawna świat ten pozostawał niezmienny – był miejscem, gdzie nieznanymi spotykali się w dobrej kompanii i gdzie sama miała nadzieję wychować swe dzieci, nie martwiąc się o ich bezpieczeństwo i pozwalając im na swobodne jego odkrywanie, tak jak robiła to ona. Teraz jednak wszystko się zmieniło. Jej świat stał się mroczny i niebezpieczny. Rodzice nie spuszczaali dzieci z oczu, a nawet dorośli mężczyźni nie ośmielali się zapuszczać samopas między wzgórz. Nic już nie było takie samo, odkąd w okolicy pojawił się potwór Kakus.

* * *

Traf chciał, że to Potycja ujrzała go pierwsza, kiedy wybrała się prac nad rzekę. Na widok potwora wrzasnęła, rzuciła kosz z ubraniami i uciekła. Dziwoląg ściagał ją, wydając okropne dźwięki, które zjeżyły jej włos na głowie: „Kakus! Kakus!” Siły już ją opuszczały i mógł ją schwytać, ale nagle sam zaniechał pogoni i dziewczyna dotarła do osady bez szwanku. Była święcie przekonana, że zawdzięcza to tylko i wyłącznie Fascinusowi. Przez całą drogę biegła z jedną ręką na gardle, drugą ściskając amulet, szeptem powtarzając błagalnie: „Ratuj mnie,

Fascinusie! Ratuj mnie!” Później, już bezpieczna wśród swoich i drżąca z ulgi, znów niemal bezgłośnie przemawiała do figurki, składając dzięki i zapewniając o swym oddaniu. To już nie była ofiara dla jakiegoś bezimiennego numena zamieszkującego drzewo lub kamień, ale wezwanie do potężnej, nadludzkiej i inteligentnej istoty – modlitwa, jaką w lot zrozumieliby Fenicjanie. W owej chwili, choć sama Potycja nie miała zielonego pojęcia o znaczeniu tego, co robi, Fascinus stał się pierwszym tubylnym bogiem, któremu oddano cześć na ziemi zwanej przez niektórych żartobliwie „Rumą”.

Przez długi czas nikt poza dziewczyną potwora nie widział i byli w osadzie tacy, którzy słuchając jej opisu Kakusa, osądzili, że musiał powstać w jej wyobraźni. W końcu jej rodzina była znana ze swych fantastycznych wierzeń i obnosiła się z amuletem, któremu nadała imię – nie mówiąc już o tym, że dawała do zrozumienia, jakoby pochodziła ze związku kobiety z numenem. Jak gdyby coś takiego było w ogóle możliwe!

Potem z wolna stało się jasne, że w okolicy naprawdę zdomowило się jakieś złośliwe stworzenie. Najpierw zaczęło ginąć jedzenie, a także drobne przedmioty, których nikt nie miał powodu kraść. Później znajdowano cenniejsze przedmioty przez kogoś celowo zniszczone: to kołowrotek, to garnek, czy wózek-zabawka; wyglądało to tak, jakby jakieś przerośnięte i niezwykle silne dziecko łamało je dla psoty. Złośliwiec atakował nocą i nie zostawiał śladów. Kakus stał się mistrzem w sztuce kamuflażu.

Osadnicy byli rozgniewani i wystraszeni zarazem. Do obawy przed potworem dołączyła inna, może gorsza: że o Kakusie dowiedzą się kupcy i przestaną przyjeżdżać na ich targowisko. Gdyby do tego doszło, wszyscy straciliby źródło utrzymania, a osada rację bytu.

Któregoś ranka, podczas najważniejszych targów bydła, wszystkich obudziło rozpaczliwe ryczenie. Nieopodal zagrody znaleźli martwą krowę z rozszarpanym brzuchem. Brakowało sporej części mięsa. Nie mogła sama przeskoczyć przez płot, a brama pozostała zamknięta. Jaki człowiek może mieć tyle siły, by podnieść dorosłą krowę i przerzucić ją przez palisadę, a potem zabić i rozedrzeć gołymi rękoma? Przez osadę przebiegł dreszcz paniki. Część handlarzy zabrała swoje stada i niezwłocznie popędziła je do domów.

Uzbrojeni w noże i włócznie myśliwi parami przeczesywali Siedem Wzgórz. Jedna dwójka musiała się natknąć na potwora; ich ciała znaleziono po jakimś czasie na zboczu wzgórza wierzbowego – równie poszarpane jak tamta krowa. Wieść rozeszła się szybko wzdłuż szlaków: potwór, który nęka osadę targową, jest ludojadem. Kupcy nie tylko przestali się tam zatrzymywać, ale nakładali drogi, byle ominąć pechowe miejsce. Kiedy drogi opustoszały, potwór tym śmieiej sobie poczynał. Któregoś dnia zaginęło małe dziecko. Jego szczątki odkryto niedaleko osady, u stóp stromego wzgórza na drugim brzegu Spinonu. Jeden z poszukiwaczy, odwracając oczy od tego strasznego widoku, kątem oka dostrzegł jakiś ruch na stoku. Zza porośniętego jeżyną skalnego występu wyjrzała i zaraz zniknęła czyjaś okropna twarz. W chwilę potem posypały się stamtąd kamienie i cała grupa uciekła. Wpatrując się w zbocze z bezpiecznej odległości, zauważyli za zasłoną krzewów coś jakby wylot jaskini. Nie

było sposobu, by się tam wspiąć; zresztą choćby było to możliwe, nikt sobie nawet nie próbował wyobrazić, co by ich tam czekało. Po powrocie do osady poszukiwacze opowiedzieli wszystkim o odkryciu. Ku swemu przerażeniu Potycja zdała sobie sprawę, że monstrum obrało sobie na kryjówkę jej sekretną grootę, która teraz już nie była tylko jej tajemnicą.

I tak Kakus całymi dniami pozostawał w ukryciu, nocami zaś wynurzał się z jaskini i terroryzował osadę. Mieszkańcy nieraz próbowali zdobyć niedostępny stok i zaatakować potwora w legowisku, na co odpowiadał gradem kamieni, nieodmiennie wykrzykując przy tym swoje imię. Jeden z osadników spadł ze skały i skręcił sobie kark. Ten, któremu udało się dotrzeć bliżej niż innym do wejścia do jaskini, zginął na miejscu trafiony pociskiem w czoło. Jego ciało zamiast spaść w dół, zaplątało się w kolczaste krzewy; nikt się nie ośmielił wspiąć po nie, wisiało więc tam przez kilka dni niczym groźne memento dla tych, którzy by chcieli próbować rozprawić się z potworem, aż w końcu zniknęło. Zabrał je Kakus. Kości nieszczęśnika pojawiały się jedna po drugiej u podnóża skały, ogryzione do czysta i wyrzucone.

Potycjusz wpadł na pomysł, by podpalić trawy na stoku. Tłumaczył, że jeśli nawet ogień i dym nie zabiją monstrum od razu, to przynajmniej zmuszą je do ucieczki z niedostępnej kryjówki. Propozycja wydała się wszystkim słuszna. Podpalono suche jeżyny rosnące u podnóża. Pożar szybko rozprzestrzenił się ku górze i przez chwilę wydawało się pewne, że wnet ogarnie wylot jaskini. Nagle znad Tybru powiał silny wiatr i ogień zaczął wędrować to w jedną, to w drugą stronę. Rozżarzone popioły unosiły się spiralnie w niebo i niesione wiatrem przeskakiwały nad Spinonem, padając na słomiane dachy domostw. Nie trwało długo, zanim zajęła się pierwsza chata; pożoga ogarniała kolejne, mimo rozpaczliwych wysiłków mieszkańców, starających się wodą z potoku, podawaną wiadrami, gasić płomienie. Kiedy w końcu pożar wygasł i dymy się rozwiały, pół zbocza było zwęglone, jaskinia jednak pozostała nietknięta.

* * *

Postanowiono trzymać kryjówkę pod nieustanną obserwacją, a wartownik miał podnieść alarm, gdy tylko monstrum spróbuje wychynąć na zewnątrz. Mężczyźni i chłopcy zmieniali się na posterunku, nie spuszczać z oczu majaczącej wysoko jaskini.

Jeden z kuzynów Potycji, silny i porywczy młodzieniec o imieniu Pinariusz, chwalił się przed nią, że on sam raz na zawsze rozprawi się z Kakusem. Zarażona jego entuzjazmem dziewczyna wyznała mu, że wcześniej wiele razy bywała w jaskini. Chłopak nie mógł jej uwierzyć, ale wysłuchał wyjaśnień, jak można tam dotrzeć. Tego popołudnia, gdy na niego wypadała kolej trzymać straż, Pinariusz postanowił działać. Dzień był upalny i senny. Reszta

osadników zapadła w drzemkę; nie spała tylko Potycja, wtajemniczona w plany kuzyna, która pożegnała go pocałunkiem na szczęście.

Z góry dobiegał słaby odgłos, który wzięli za chrapanie potwora; mogło to jednak być brzęczenie much, zwabionych do jaskini wonią krwi i rozkładającego się mięsa. Potycja pamiętała letnie popołudnia, które spędzała w cienistej i chłodnej grocie; nietrudno jej było sobie wyobrazić monstrum uspięne w tym znajomym, ukochanym miejscu. Obraz przyprawił ją o drżenie, ale jednocześnie przeszył ją dziwny, niewytłumaczalny smutek. Po raz pierwszy zastanawiała się, skąd się wziął ten potwór. Czy gdzieś żyją jego ziomkowie? Przecież musiała go wydać na świat matka. Jakie fatum zawiodło go do Rумы i uczyniło najędzniejszym ze wszystkich żywych stworzeń?

Pinariusz wspinał się sprawnie i cicho, ale gdy zbliżył się do jaskini, o mało nie zmyliłby kierunku; obserwująca go z dołu Potycja naprowadziła go na właściwy szlak głośnym szeptem.

Odgłos, który mógł być chrapaniem, raptownie się urwał. Dziewczynę ogarnęło złe przeczucie...

Pinariusz dotarł do wejścia do groty. Podciągnął się na skalną półkę, przystanął dla złapania równowagi, po czym odwrócił się i z zawadiackim uśmiechem pokazał Potycji nóż. W następnej chwili zniknął w otworze jaskini.

Krzyk, jaki rozległ się niedługo potem, był inny od wszystkiego, co do tej pory słyszała, i tak głośny, że postawił na nogi całą osadę. Zaraz po nim uszu mieszkańców dobiegł dziwny dźwięk ni to chrupnięcia, ni to darcia... Zapadła cisza. Po chwili z jaskini wyleciała szerokim łukiem głowa Pinariusza, lądując z głuchym stuknięciem w trawie niedaleko Potycji, która osunęła się zemdlna na ziemię. Półprzytomna, oślepiąca słońcem i słaba od gorąca spojrzała w górę i zobaczyła Kakusa stojącego na krawędzi półki. Patrzył wprost na nią. Jego ogromne, nieforemne ciało pokryte było krwią. Dźwięk, jaki wydobywał się z jego ust – „Kakus? Kakus?” – miał niskie, natarczywe i jakby pytające brzmienie, jak gdyby patrzył na coś fascynującego. Coś, od czego oczekiwał odpowiedzi.

„Kakus?” – wymamrotał jeszcze raz, przekrzywiając głowę i nie spuszczać oczu z Potycji.

Dziewczyna pozbierała się na nogi i rzuciła na oślep do ucieczki. Po paru krokach potknęła się o głowę kuzyna. Wrzasnęła przeraźliwie i zataczając się, dobiegła do osady, nie przestając szlochać.

* * *

Śmierć młodego Pinariusza doprowadziła wielu osadników do kresu wytrzymałości. Jego ojciec, również noszący to imię, stwierdził, że nadeszła pora porzucić osadę. Potwór zadał im tyle cierpień, a oni są wobec niego bezsilni; co więcej, jego przybycie wyzwoliło wielkie zło

na ziemiach Rумы. Wszystkie numeny zwróciły się przeciwko osadnikom. Najgorszym nieszczęściem było spalenie wielu chat przez zdradzieckie płomienie i wiatr, ale były i inne, mniejsze, także w ostatnim czasie. Pinariusz nalegał, by się wyprowadzić. Pozostało tylko uzgodnić kiedy i dokąd – i czy powinni trzymać się razem, czy też pójść osobnymi drogami.

– Jeśli odejdziemy, kuzynie, co tu zatrzyma potwora? – spytał Potycjusz. – Ja myślę, że on pójdzie za nami. Będzie nas śledził na szlaku i pożerał nasze dzieci.

– Być może – przyznał Pinariusz. – Ale na otwartym terenie, z daleka od jego jaskini, może się nadarzyć szansa zabicia go.

– On jest o wiele lepszym myśliwym od każdego z nas. – Potycjusz pokręcił głową. – Właśnie w terenie nie będziemy mieli żadnych szans. Wykończy nas po kolei.

– To właśnie robi teraz! – wykrzyknął łamiącym się głosem pograżony w żalbie ojciec.

Spór nie został rozstrzygnięty, ale Potycja była pewna, że zwycięstwo Pinariusza jest tylko kwestią czasu. Ruma stała się miejscem smutku i rozpacz, to prawda; a jednak sama myśl o opuszczeniu krainy dzieciństwa łamała jej serce.

* * *

I wtedy przybył obcy.

Potycję obudziło porykiwanie. Woły? Od dawna przecież nikt nie pędził stad na targi. Z początku myślała, że śni sen o dniach sprzed czasów Kakusa. Dźwięk jednak nie ustawał, gdy otworzyła oczy i podniosła się na posłaniu. Zerwała się na równe nogi i wybiegła przed chatę zobaczyć, co się dzieje.

Słuch jej nie mylił. Rzeczywiście niewielkie stadko wołów pasło się spokojnie na łące po drugiej stronie Spinonu, u stóp wzgórza, na którym żył Kakus. Nieopodal siedział oparty o drzewo poganiacz. Oczy miał zamknięte, głowa opadła mu na bok; wyglądał na uspiętego. Już na pierwszy rzut oka, nawet z tej odległości, Potycja stwierdziła, że nie widziała go nigdy przedtem. Po pierwsze, był o wiele większy od wszystkich znanych jej mężczyzn... poza Kakusem, jeżeli oczywiście można go nazwać mężczyzną. Nie był przy tym wcale brzydki ani przerażający. Właściwie to wręcz przeciwnie... Potycja sama nie wiedziała, kiedy nogi ją poniosły nad potok, i wkrótce przechodziła już po kamieniach na drugi brzeg.

– Potycjo! Co ty robisz?

Jej ojciec, jak prawie wszyscy mieszkańcy osady, stał przy pustej zagrodzie, obserwując przybysza z bezpiecznej odległości i starając się ocenić, czy należy do niego podejść i kto ma to zrobić. Dziewczyna zrozumiała, że boją się go, ona jednak nie podzielała tej obawy. Podeszedłszy bliżej, ujrzała, że nieznajomy ma rozchylone usta, i usłyszała lekkie pochrapywanie. Włosy miał czarne i długie, gęstą brodę; w ogóle wszystko w nim było takie... za duże. Pociągła twarz o mocnych rysach pasowała do mocarnych ramion. Potycja uznała, że ma przed sobą najprzystojniejszego mężczyznę, jakiego w życiu widziała, choć

zarazem wydał się jej trochę śmieszny, gdy tak chrapał na siedząco. Na ramionach miał skórę jakiegoś zwierzęcia, zawiązaną za łapy na piersiach. Futro było złotej barwy, a z łap sterczały groźnie wyglądające pazury. Poznała, że to lwia skóra. Przybysz budził w niej coraz większą ciekawość.

Musiał wciągnąć w usta jakiegoś owada, gdyż nagle poderwał się, obudzony i czujny. Skrzywił się, zakaszłał i splunął z niesmakiem. Zebrana na drugim brzegu grupa wstrzymała oddech w przestachu, Potycja jednak się roześmiała. Poganiacz wołów wyglądał teraz jeszcze zabawniej – i bardziej pociągająco – niż dotąd.

Wyjął muchę z ust, wzruszył ramionami, potem podniósł na nią oczy i uśmiechnął się.

Potycja westchnęła.

– Nie możesz tu zostać – powiedziała.

Zmarszczył brwi.

– Twoje woły nie są tu bezpieczne – wyjaśniła.

W jego oczach nie było najmniejszego wyrazu zrozumienia. Czyżby nie słyszał o Kakusie? Musi przybywać z bardzo daleka, pomyślała. Kiedy się odezwał, jej domysł okazał się trafny – nie zrozumiała ani jednego słowa.

Pies, który leżał przy pasących się wołach, podniósł się, przeciągnął i ruszył ku nim, merdając ogonem. Poganiacz pokręcił głową i powiedział coś tonem łagodnej wymówki. Najwidoczniej pies miał za zadanie obudzić pana, gdyby ktoś nadchodził, zawiódł jednak sromotnie. Mężczyzna wstał i rozprostował ręce, lekko je unosząc nad głowę. Był jeszcze wyższy, niż się Potycji zdawało. Zadzierając głowę, by nań spojrzeć, czuła się jak małe dziecko. Bezwiednie sięgnęła do szyi i dotknęła amuletu. Poganiacz popatrzył przez chwilę na Fascinusa, a potem spojrzał jej przeciągle w oczy. Jego gorący wzrok wzbudził w niej dziwne uczucia; w tej jednej chwili zrozumiała, że nie jest już dzieckiem, lecz kobietą.

* * *

Wszystkie wysiłki osadników dla porozumienia się z przybyszem spełzły na niczym. Nieznajomy wydawał się nieświadomy niebezpieczeństwa pobytu tak blisko jaskini Kakusa. Pokazywali mu na migi, odgrywali całe pantomimy, przemawiali we wszystkich znanych dialektach, jakich się wyuczyli od kupców, on jednak nic nie pojmował.

– Nie wiem, czy na pewno ma wszystkie klepki – westchnął w końcu Potycjusz.

– Jutro się obudzimy i znajdziemy jego zwłoki u stóp wzgórza – wtórował mu Pinariusz.

– Straszne rzeczy mówicie! – zaprotestowała Potycja. – Myślę, że obaj się mylicie.

Uśmiechnęła się do poganiacza, który odwzajemnił się jej z widoczną przyjemnością. Pinariusz odwrócił nieznacznie głowę do jej ojca i rzekł:

– Możemy się nie zgadzać w wielu kwestiach, kuzynie, ale jedno jest chyba jasne dla nas obu... twoja dziewczynka jest zadurzona w tym nieznajomym.

– No, trzeba przyznać, że robi wrażenie – odparł Potycjusz, od nowa taksując przybysza wzrokiem. – Jak myślisz, skąd wziął tę lwią skórę? Jeżeli Potycji się podoba...

Pinariusz potrząsnął głową i splunął za siebie.

– Będzie z tego bieda. Wspomnisz moje słowa!

* * *

Po południu żar stał się prawie nie do zniesienia. Letnie słońce paliło Rumę bezlitośnie, dopóki znad bagien nie zerwała się lekka, niosąca zapach błota i gnijących roślin bryza, wiejąca wzdłuż Spinonu ku Tybrowi. Powietrze nad łąką, gdzie woły leniwie odpoczywały w cieniu, wypełniało rytmiczne brzęczenie cykad.

Według wierzeń osadników numeny żyją nie tylko w rzeczach i miejscach, ale także w pewnych zjawiskach – jak na przykład sen. Jak wszystkie inne, numeny snu mogły być przyjazne lub nie. Sen leczył chorych i dawał pociechę zrozpaczonemu, ale też obezwładniał nawet najsilniejszego z siłaczy.

Tego popołudnia duchy snu zstąpiły na osadę niczym ręka matki na czoło niemowlęcia, zamykając ludziom oczy, czy tego chcieli czy nie. Mężczyźni walczyli z sennością jak mogli, ale przegrywali te zmagania, nawet o tym nie wiedząc. Spały woły i psy, zasnął też snem sprawiedliwego poganiacz z dalekich stron, oparty o drzewo tak, jak Potycja go po raz pierwszy ujrzała.

Ona jedna nie spała. Siedziała w cieniu dębu i przyglądała się nieznajomemu, zastanawiając się, co niesie jej przyszłość.

Nie spał też ktoś inny. Dzięki długim rękom i niezwyklej sile Kakus znalazł ścieżki zejścia z jaskini, o których nawet Potycja nie wiedziała. Niemal przez całą drogę skrywały go jeżyny; jeśli zachowywał ostrożność i nie musnął choćby jednego liścia, i nie strącił w dół choćby kamyka, jego ruch po zboczu był niemal niewidoczny dla ludzkiego oka. Nawet gdyby chłopiec pełniący wtedy straż się nie zdrzemnął, i tak by go pewnie nie dostrzegł.

Kakus nie wiedział o przybyciu obcego, słyszał za to porykiwanie wołów. Od wielu dni nie miał okazji jeść zwierzęcego mięsa. Szybko wypatrywał stado, nie zauważył jednak Potycji ani poganiacza; oboje byli blisko, ale siedzieli nieruchomo, ponadto skrywał ich cień drzew. Wyszukał wzrokiem najmniejszego wołu i ruszył ku niemu pewnym krokiem. Ani jedna gałązka nie zatrzeszczała pod jego nogami; aż dziw brał, że tak masywne i niezgrabne stworzenie może się poruszać tak szybko i bezszelestnie. Wół jednak wyczuł zagrożenie. Machnął niespokojnie ogonem, podniósł się na nogi i cicho zaryczał. Ujrzał nadchodzącego Kakusa, cofnął się o krok i znieruchomiał.

Dotarwszy do ofiary, Kakus się nie zawahał. Złożył obie pięści, uniósł je wysoko i uderzył jak młotem w czoło zwierzęcia. Wół parsknął raz, zadygotał i padł martwy na ziemię z

ciężkim łupnięciem. Inne woły zaczęły się budzić i krążyć po łące. Uszy psa drgnęły, ale spał dalej w najlepsze.

Potycja, której na chwilę opadły powieki, ocknęła się nagle. Otworzyła oczy i zobaczyła potwora stojącego nie dalej niż o dziesięć kroków. Wciągnęła bezgłośnie powietrze i krzyknęłaby, ale gardło jej się tak ścisnęło, że nie mogła wydobyć głosu.

Zerwała się na nogi. Jej pierwszą myślą było obudzić poganiacza wołów, ale żeby to zrobić, musiałaby przebiec obok potwora. Odwróciła się i rzuciwszy do ucieczki w przeciwną stronę, oddaliła się od osady w stronę wzgórza z jaskinią.

Ruch nie uszedł uwagi Kakusa. Postać dziewczyny mignęła mu przelotnie w wysokiej trawie, ale rozpoznał ją od razu i ruszył w pościg. Nogi miał nierówne, za to długie i silne. Kiedy chciał, mógł biec z niesamowitą szybkością i nadążały za nim chyba tylko muchy, które go zawsze otaczały rojem, zwabione odorem gnijących resztek mięsa i krwi.

Stopa Potycji zawadziła o wystający korzeń i dziewczyna runęła jak długa. Może więc Pinariusz miał rację, przemknęło jej przez myśl: wszystkie numeny Rумы sprzysięgły się przeciwko nim i nawet korzenie drzew były w zмовie z potworem. Jakże była głupia, sądząc, że przybycie poganiacza wołów zwiastuje nadejście lepszych czasów! Tocząc się po twardej, spalonej słońcem ziemi, ścisnęła w dłoni amulet, modląc się do Fascinusa, aby śmierć z łap potwora była szybka.

Kakus jednak nie zamierzał jej zabijać.

* * *

Poganiacz wołów spał, śniąc o dalekim kraju dzieciństwa. Był to sen pełen słońca i ciepłych łąk, tęsknie porykujących wołów i śpiewających cykad.

Nagle się obudził.

Jeden z wołów stał nad nim, dotykając jego policzka mokrym, chłodnym pyskiem. Mężczyzna mruknął z obrzydzeniem, przetarł twarz wierzchem dłoni i rozejrzał się wokoło. Od razu zobaczył, co zaniepokoiło zwierzęta: jedno z nich leżało sztywno i nieruchomo, w nienaturalnej pozycji. Gdzie pies? No, tak – leży bydlę jak zwykle zwinięte w kłębek i za nic ma swoje obowiązki... Psisko ziewnęło, na moment otworzyło oczy, ale zaraz je zamknęło i ułożyło się jeszcze wygodniej. Poganiacz zaklął szpetnie i jednym skokiem stanął na nogach. Jego uszu dobiegł stłumiony odgłos, który mógł być krzykiem kobiety, odruchowo rzucił się więc w tamtą stronę.

Najpierw zobaczył rój much unoszący się nad trawą. Potem mignęło mu nagie, włochate ciało – garbate plecy Kakusa poruszające się w górę i w dół, i na boki. Poganiacz przysunął się bliżej, już ostrożniejszy, nie wiedział bowiem, jakiego człowieka czy bestię ma przed sobą. Wśród sapania i pomruków słyszał powtarzany co chwilę dziwny, gardłowy dźwięk: „Kakus... Kakus...”

A potem rozległ się głos, który zmroził mu krew w żyłach; krzyk, który słyszał przed chwilą, wydobywający się z krtani cierpiącej, przerażonej kobiety.

Krzyknął głośno. Plecy garbusa znieruchomiały i nad trawą ukazała się okropna, szkaradna twarz. Stwór warknął, wydał kolejny okrzyk, w którym tym razem brzmiały zniecierpliwienie i złość, po czym podniósł się na pełną wysokość. To, że był rodzaju męskiego, natychmiast rzucało się w oczy. Kobieta, wciąż niewidoczna w trawie, zaszlochała rozdzierająco.

Poganiacz nie przywykł do widoku niczego, co chodzi na dwóch nogach i dorównywałoby mu wzrostem. To stworzenie było zaś od niego nawet większe. Nie widział też nikogo równie odrażającego. Obrzydzenie rosło mu w gardle, doznał też nieznanego mu przedtem uczucia – chłodnego ukłucia strachu. Lwa, którego skórę nosił, zabił gołymi rękoma, ale w porównaniu z Kakusem nawet największy lew wydawał mu się teraz niegroźny. Zebrał się jednak w sobie i krzyknął ponownie, wyzywając potwora do walki. Chwilę później Kakus rzucił się na niego z ogłuszającym rykiem.

Siłacz nie wytrzymał brutalnego zderzenia z tak dużą masą i padł na wznak na ziemię. Odór potwora wypełnił mu nozdrza, a kropla jego cuchnącego potu zmieszała się w ustach z gorzkim smakiem gleby, gdy toczyli się w morderczym uścisku. Na domiar złego wszechobecne muszyska brzęczały poganiaczowi koło uszu i wpadały między rozwarte wargi, utrudniając koncentrację.

Stwór przygniatał go do ziemi. Mężczyzna gorączkowo macał wokoło, szukając czegokolwiek, co by się nadało jako broń. Trafił palcami na leżącą gałąź, schwycił ją więc i uderzył z całej siły. Ramię przeszył mu bolesny dreszcz, gdy konar łamał się na głowie przeciwnika; kikut, który został mu w dłoni, był ostry i poszarpany, wbił go więc w bok bestii. Krzyk był przeraźliwy; gorąca krew pociekła mężczyźnie po ręce, aż zwolnił uścisk. Potwór zerwał się i odskoczył, dając tym samym poganiaczowi szansę pozbierania się po zwarcu.

Patrzył, jak monstrum wyrywa sobie z krwawej rany jego zaimprovizowane drewniane ostrze i wściekłym miotnięciem odrzuca je w trawę. Przez chwilę zdawało mu się, że tamten ucieknie, Kakus jednak znów zaatakował i znów powalił wroga na ziemię. Tym razem poganiacz był przygotowany; szybko udało mu się wywinąć z uścisku i stanąć na nogach. Niedaleko spostrzegł głaz wielkości cielęcia, podbiegł więc ku niemu. Sam siebie zadziwił, gdy jednym płynnym ruchem uniósł go nad głowę i cisnął w nadbiegającego Kakusa.

Potwór w ostatniej chwili uchylił się przed tym niezwykłym pociskiem, ale i tak głaz prześliznął mu się po ramieniu, wytrącając go z równowagi. Rozwścieczony podniósł jeszcze większy kamień i rzucił. Mężczyzna zanurkował w bok, unikając uderzenia. Kamień trafił w spory dąb, miażdżąc pień. Drzewo zachwiało się i z trzaskiem upadło na ziemię. Stado ptaków z piskiem zerwało się do lotu, a potem wszystko ucichło. Poganiacz z trudem łapał oddech. Potwora nigdzie nie było widać. Czyżby jednak uciekł? A może przygniotło go

drzewo? Na mgnienie oka stracił czujność – i nagle poczuł w nozdrzach znajomy odór i usłyszał brzęczenie much. Błyskawicznie się odwrócił, a w następnej chwili dwie ręce schwyciły go za gardło.

Ogniste plamki zawirowały mu przed oczami. Łąka ściemniała, jakby nagle zaczęło zmierzchać. Głowa zdawała się puchnąć jak napełniany winem bukłak, aż zaczął się bać, że mu pęknie. Próbował rozewrzeć zaciśnięte palce Kakusa, ale chwyt był iście żelazny. Poganiacz rozpaczliwie szukał punktu zaczepienia i w końcu udało mu się złapać przeciwnika za jeden z palców i odgiąć w tył. Usłyszał chrupnięcie pękającej kości, ale Kakus wciąż nie zwalniał uścisku. Złamał mu następny palec i jeszcze jeden. Dopiero gdy zrobił to samo z czwartym, potwór wydał niezmierny okrzyk i dał za wygraną. Zanim jednak zdołał uciec, mężczyzna zwinnie zaszedł go od tyłu i ścisnął mu szyję w równie mocarnym chwycie między ramieniem i przedramieniem jednej ręki, drugą dociskając za nadgarstek. Teraz Kakus musiał walczyć o każdy oddech, ale przegrywał. Nie mógł też przeciwdziałać, mając połamane palce.

Zebrawszy resztkę sił, poganiacz wołów przekręcił głowę przeciwnika w lewo, po czym gwałtownym ruchem pociągnął w przeciwną stronę. Walka była skończona. Kakus miał złamany kark. Jeszcze przez chwilę rzucał się w konwulsjach, po czym jego masywne ciało z wolna osunęło się na ziemię i legło z głową przechyloną pod nienaturalnym kątem i rozrzuconymi kończynami.

Wyczerpany mężczyzna padł na kolana, walcząc z mdłościami i głośno łapiąc powietrze. Ćmiło mu się w oczach, a brzęczenie much zdawało się go ogłuszać.

Pies, teraz zupełnie rozbudzony, przygalopował nagle z wściekłym ujadaniem, ale stanął jak wryty i obnażył kły na widok zwłok. Potem wskoczył na nie wszystkimi czterema łapami, nastawił uszy, wyciągnął szyję i wydał przeciągłe, triumfalne wycie.

* * *

Rozgorączkowana Potycja śledziła ich zmagania w urywanych odsłonach. Kiedy okrzyk nieznajomego odwrócił uwagę Kakusa, udało się jej odpełznąć dalej, podnieść się i uciec. Potykając się i zataczając, oglądała się co chwila przez ramię. Miała wrażenie, że widzi nie dwóch ludzi, ale dwie nadludzkie istoty zwarte w boju na śmierć i życie. Czują, jak ziemia drży pod ich mocarnymi stąpanieniami; widziała, jak podnoszą kamienie, których żaden śmiertelnik by nie udźwignął, i jak wielkie drzewo pada zmiażdżone wśród tych tytanicznych zmagania. Widziała upadek Kakusa i wyczerpanie jego przeciwnika. Jak w malignie dojrzała do potoku. Choć tarła skórę tak zawzięcie, że cała poczerwieniała, wciąż czuła na sobie odór bestii.

Kiedy w końcu znalazła się w osadzie, nikt nie zwrócił na to uwagi. Właściwie w ogóle jej nie zauważano. Dowiedziawszy się o zgładzeniu potwora, mieszkańcy w ekstatycznej

radości obiegli poganiacza wołów, zasypywali go pochwałami i podziękami, wstydliwie dotykali jego potężnych mięśni, próbowali nawet unieść go na ramionach, zrezygnowali jednak pośród śmiechów i okrzyków, gdy okazało się to ponad ich siły.

Nikt nie zdawał sobie sprawy, co się stało Potycji – poza samym bohaterem dnia, który rzucił w jej stronę jedno długie spojrzenie, wyrażające mieszaninę ulgi, żalu i współczucia. Ona sama nic o swoich przejściach nikomu, nawet ojcu, nie powiedziała.

* * *

Truchło Kakusa odciągnięto daleko poza tereny osady. Sępy raz po raz próbowały na nim wylądować, ale ludzie je odpędzali, dopóki poganiacz nie dał im do zrozumienia, żeby dali spokój i pozwolili ptakom nasycić się do woli. Kiedy pierwsi padlinożercy odfrunęli, wydziobawszy Kakusowi oczy i język, bił im brawo.

– Zdaje się, że chłop ma szczególną słabość do sępów – zauważył Potycjusz. – I właściwie dlaczego nie? Kiedykolwiek je widzi, to pewnie dlatego, że właśnie zginął jego kolejny wróg!

Kiedy życzeniu przybysza – i sępów – stało się zadość, osadnicy jęli ciskać w okaleczone zwłoki Kakusa kamieniami, a na koniec je podpalili. Południowo-zachodni wiatr porywał dym i swąd wysoko w górę i daleko od Rummy. Numeny ognia i powietrza tym razem współdziałały z ludźmi, którzy mogli tylko mieć nadzieję, że wraz ze zniknięciem potwora także inne duchy znów będą im okazywać przychyłność. Tej nocy świętowano do późna. Zabity przez Kakusa wół został poćwiartowany i upieczony na wielką ucztę na cześć obcego, który uratował osadę od niechybnej zguby. Apetyt zaś miał niesamowity; pochłaniał wszystko, co przed nim stawiano.

Potycjusz czuł, że powinien wygłosić mowę.

– Za pamięci najstarszych mieszkańców nie spotkało nas nic równie strasznego jak pojawienie się tego monstrum. Nie przydarzyło się też nam nic tak cudownego jak jego zagłada. W desperacji już mieliśmy opuścić nasze domy... – zerknął z ukosa na Pinariusza – ...kiedy wybawiło nas z obierzy zdarzenie, jakiego nikt z nas nie mógłby przewidzieć, przybycie z obcych stron gościa, który okazał się równym przeciwnikiem dla potwora. Widzę w tym znak, że pisane nam jest na zawsze pozostać tu, w Rumie. Cokolwiek się wydarzy, musimy wierzyć w nasze wyjątkowe przeznaczenie. Nawet w najczarniejszych chwilach musimy pamiętać, że strzegą nas przyjazne numeny o wielkiej mocy.

Wino zawsze było w osadzie rzadkim i cennym towarem, tym bardziej zaś teraz, kiedy kupcy przestali tu przyjeżdżać. Pozostało go jednak jeszcze dość, by każdy biesiadnik mógł się solidnie napić, oraz na dodatkowe porcje dla honorowego gościa – bez wody i w takich ilościach, jakie mógł pochłonąć (a było to niemało). Zachęcony aplauzem i gromkimi

śmieciami poganiacz wołów kilkakrotnie odegrał pantomimę swojej walki z Kakusem, tańczył też raz po raz wokół ogniska, aż wreszcie znużony padł i zasnął głębokim snem.

Uczujący byli syci i podchmieleni; wielu z nich od pojawienia się potwora miało za sobą niejedną bezseną noc, teraz więc skwapliwie podążyli za przybyszem do krainy Morfeusza. Zasnęli wszyscy – oprócz Potycji, która się bała, że sen przyniesie jej tylko koszmary.

Znalazła sobie odosobnione miejsce i położyła się na wełnianej macie pod gołym niebem. Noc była ciepła, rozświetlona jasnym księżycem. W takie noce jako dziewczynka wymykała się czasami do jaskini i tam zasypiała, bezpieczna w swej samotni. To się już nigdy jej nie zdarzy – potwór na zawsze zniszczył i jej kryjówkę, i wspomnienia. Potycja zawinęła się w matę i długo, cicho płakała.

Nagle ocknęła się, wyczuwając czyjaś obecność. Jego oddech pachniał winem. Masywna sylwetka przesłoniła księżyc. Zadrżała, ale kiedy uklęknął i delikatnie dotknął jej ręki, przestała szlochać. Pogłaskał ją po czole, całował po policzkach, zbierając wargami spływające łzy.

Kiedy pochylił się nad nią, był wielki jak Kakus, ale teraz wszystko było inne. Woń jego ciała była silna, ale przyjemna. Tamten był brutalny i zachłanny; dotyk poganiacza wołów zaskoczył ją łagodnością i czułością. Kakus sprawiał jej ból, teraz odczuwała tylko przyjemność. Kiedy się cofał, jakby w obawie, by jej nie przygnieść, tuliła się doń jak dziecko do rodzica i przyciągała mocno do siebie.

Kiedy minął spazm ich pierwszego połączenia, leżała przez długi czas cicha i rozluźniona, jak gdyby unosiła się nad ziemią. Nagle zaczęła drzeć i znów się rozplakała. Wiedział, jak straszny, niepojęty dla niego przeszła dramat, i starał się niezgrabnie, lecz z wielką czułością ją pocieszać.

Przyczyny swego płaczu nie rozumiała jednak nawet sama Potycja. Przypomniała sobie coś, o czym usilnie pragnęła zapomnieć. W chwili największej odrazy i rozpacz – kiedy Kakus był w niej, ściskając ją i gniotąc ze wszystkich stron – spojrzała mu w oczy. Nie były to oczy bestii, lecz człowieka jak i ona. W tej jednej chwili ujrzała, że Kakusa przepelnia cierpienie i strach większy, niż umiała sobie wyobrazić. Pod nienawiścią i odrazą do oprawcy poczuła coś innego: litość. To uczucie ugodziło ją jak sztyletem. Teraz, gdy wszystko minęło i mogła się odprężyć, płakała – nie z powodu tego, co jej Kakus zrobił, ale nad nim samym i nad okropnością jego egzystencji.

* * *

Następnego dnia, kiedy osadnicy budzili się z obolałymi z przepicia głowami, nieznajomego już nie było, zniknęły też woły i pies. Pinariusz był zdania, że należy kogoś za nim posłać i prosić o powrót. Potycjusz sprzeciwiał się temu, mówiąc, że tak samo jak

niespodziewanie gość się pojawił, ma prawo zniknąć, a osadnicy nie powinni w żaden sposób wtrącać się w życie ich wybawcy.

Z wolna rozeszła się wieść o śmierci Kakusa. Jeden po drugim kupcy wracali na dawne targowisko, a słysząc opowieść o tajemniczym poganiaczu wołów, podsuwali najróżniejsze pomysły na temat jego tożsamości i pochodzenia. Najbardziej wiarygodną wersję przywieźli fenicycy żeglarze, bywalcy całego ówczesnego świata. Oświadczyli, że nieznajomy musiał być siłaczem z ich własnych legend – półbogiem zwanym Melkartem. Półbóg, jak wyjaśnili, to potomek boga i człowieka. Osadnicy chętnie przyznawali, że obcy wykazał się siłą niedostępną zwykłym śmiertelnikom.

– O, tak, to z pewnością był Melkart – mówił z przekonaniem fenicki kapitan. – Słyszał o nim każdy Fenicjanin, choć niewielu go widziało. Mówicie, że nosił lwią skórę? To by się zgadzało... zabicie lwa było jednym z jego najślawniejszych wyczynów, a skórę zwierzęcia zabrał jako trofeum. Tak, to Melkart zabił tego waszego potwora, jestem najzupełniej pewien. Powinniście wznieść mu ołtarz, jak to zrobiliście dla numenów zamieszkujących gorące źródła. Przecież on zrobił dla was więcej niż one przez cały czas istnienia waszej osady! Powinniście mu składać ofiary i modlić się, by nadal was chronił.

– Ale skąd się ten... ten półbóg tu wziął, tak daleko od ziem, gdzie go znają? – zdumiewał się Potycjusz.

– O, Melkart jest wielkim podróżnikiem. Jest znany w wielu krajach i pod wieloma imionami. Grecy zwą go Heraklesem. Mówią, że jego ojcem jest bóg nieba Zeus.

Osadnicy mieli tylko blade pojęcie, kim mogą być Grecy, ale orzekli, że imię Herakles brzmi przyjemniej niż Melkart, choć Fenicjanin nieco je przekreślił. Postanowili, że będą nazywać poganiacza wołów Herkulesem. Zgodnie z sugestią żeglarza zbudowali ołtarz blisko miejsca, gdzie Potycja pierwszy raz ujrzała śpiącego herosa. Skorzystali też z ich porad co do najlepszego sposobu okazywania mu boskiej czci. Zdecydowano, że psy i muchy trzeba trzymać z daleka od ołtarza, ponieważ pies zawiódł Herkulesa w potrzebie, owady zaś walczyły przeciwko niemu w boju z potworem. Wiedzieli, że lubi sępy, uznali więc, że odtąd te ptaki będą jego świętym symbolem. Zostało też ustalone, że podczas składania ofiar wszystkie części poświęcanego zwierzęcia będą zjadane – na pamiątkę wielkiego, nienasyconego apetytu okazanego przez bohatera.

Tak oto, chociaż to Fascinus był pierwszą boską istotą, do której wznoszono tutaj modły, pierwszy ołtarz ofiarny w Rumie poświęcony został bóstwu już czczonemu w obcych krainach.

* * *

Potycja była w ciąży. Jej ojciec od początku podejrzewał, że między córką i Herkulesem mogło zajść coś więcej niż zwykły flirt, teraz zaś miał tego wyraźny dowód. Bynajmniej nie

był zły; przeciwnie, wiadomość ta sprawiła mu nawet przyjemność. Według rodzinnej legendy wiele pokoleń temu jedna z przodkiń doświadczyła stosunku z numenem; jednym z pradiadów Potycji był sam Fascinus, z którego amuletem się nie rozstawała. Czy półbóg Herkules dostrzegł w niej tę iskierkę nadprzyrodzonego? Czy dlatego uznał ją za godną noszenia jego dziecka? I czyż takie dziecko nie będzie jakimś nowym i szczególnym zjawiskiem na ziemi, skoro w jego żyłach będzie płynąć esencja numena, półboga i człowieka? Potycjusz z wielką przyjemnością oddawał się podobnym rozważaniom.

Potycję trapiły myśli o wiele mroczniejsze. Wiedziała, że jest równie prawdopodobne, iż ojcem dziecka może być ktoś inny. Kakus. Jeżeli to, co wyjdzie z jej łona, okaże się okropnym monstrem, wszyscy się dowiedzą o jej hańbie. Czy zabiją je od razu, a może i ją na dodatek? Czy rośnie w niej bóg czy potwór? Takie i podobne emocje sprawiały, że dziewczyna chodziła jak struta, rozdarta wewnątrz. Ojciec nie mógł tego zrozumieć i bolał nad jej cierpieniem.

Osadnicy wspólnie postanowili, że pierwszą ofiarę ku czci Herkulesa złożą nie w rocznicę jego przybycia, jak to później miało wejść w zwyczaj, lecz wiosną, w dniu, w którym pojawił się Kakus. W ten sposób ceremonia, jak ją nazwano, Uczty Herkulesa miała zatrzeć pamięć owego złowrogiego wydarzenia. Potycjusz jak zwykle wdał się w spór z kuzynem o to, kto ma przyjąć na siebie zaszczytny obowiązek zabicia zwierzęcia ofiarnego, upieczenia mięsa i ułożenia ofiary na ołtarzu przed jej skonsumowaniem. Ostatecznie stanęło na tym, że dokonają rytuału wspólnie, a oba rody będą miały równe udziały w uczcie.

Jednakże w oznaczonym dniu Pinariusz był nieobecny. Wybrał się z wizytą do krewnych mieszkających w gospodarstwie w górę rzeki od osady i długo nie wracał. Potycjusz postanowił zacząć ceremonię bez niego.

Psy przegoniono, a wolim ogonem odpędzano od ołtarza muchy. Zarznięto, podzielono i upieczono dorodnego wołu, a gotowe porcje mięsiwa z nabożną czcią ułożono na ołtarzu. Rozbrzmiała błagalna pieśń, ułożona według wskazówek fenickiego kapitana. Potycjusz dał wszystkim członkom swego rodu znak do rozpoczęcia uczty.

– Musimy zjeść wszystko – zapowiedział. – Nie tylko mięso, ale i wnętrzności: serce, nerki, płuca, śledzionę... taki bowiem dał nam przykład Herkules. Zjedzenie tych części ofiarnego zwierzęcia jest naszym przywilejem i od nich właśnie zaczniemy. Masz, córko... tobie daję porcję wątroby.

Spożywając swoją część, Potycja wspominała, jak po raz pierwszy zobaczyła Kakusa i jak się modliła do Fascinusa; raz jeszcze przeżywała chwile grozy, kiedy potwór ją zaatakował, i chwile czułości w mocarnych ramionach herosa dziś zwanego Herkulesem. Do rozwiązania było już bardzo blisko; tym silniejsze targały nią teraz uczucia. Często płakała i śmiała się równocześnie. Patrząc na nią i widząc, jak jest blada i wycieńczona, Potycjusz nieraz się zastanawiał, czy jego córka nie okazała się zbyt kruchym naczyniem na nasienie półboga.

Uczta była niemal skończona, kiedy nadciągnął ze swoimi Pinariusz.

– Spóźniłeś się, kuzynie, bardzo! Musieliśmy niestety zaczynać bez ciebie – powitał go Potycjusz. Pełen brzuch i dobra porcja lekko tylko rozwodnionego wina wprawiły go w dobry nastrój. – Wnętrznosci już zjedzone, ale zachowaliśmy dla ciebie co soczystsze kawałki mięsiwa.

Pinariusza, który już był zły na siebie za spóźnienie, ta zniewaga tym bardziej rozjuszyła.

– To oburzające! – wykrzyknął z pasją. – Uzgodniliśmy, że ja będę na równi z tobą celebrował ofiarę jako kapłan ołtarza Herkulesa! Spożycie wnętrznosci miało być wspólnym, świętym przywilejem, tymczasem nie zostawiłeś nic dla mnie i mojej rodziny!

– Spóźniłeś się – powtórzył Potycjusz, w jednej chwili tracąc jowialny humor. – Zjesz to, co bóg ci zostawił!

Kłótnia stawała się coraz głośniejsza, a słowa coraz bardziej zapalczywe. Za każdym z przywódców zaczęli się gromadzić członkowie ich rodów. Wyglądało na to, że pierwsza Uczta Herkulesa lada chwila przerodzi się w bijatykę. Narastające napięcie nagle rozładował krzyk Potycji. Zaczął się poród.

Dziecko przyszło na świat za ołtarzem Herkulesa, ponieważ dziewczyna zbyt cierpiała, by ją przenosić do chaty. Poród był krótki, ale bardzo bolesny. Coś było nie tak: dziecko okazało się za duże, by swobodnie wyjść z łona matki; położne zaczynały wpadać w panikę. Potycja oprócz bólu fizycznego nie mniej cierpiała z powodu niepewności.

W końcu urodziła chłopca. Kobiety położyły go jej na piersi. Był duży, nawet bardzo duży – ale nie był potworem. Rączki i nóżki miał normalne, proporcjami ciała nie różnił się od innych dzieci. Potycję wciąż jednak dręczyła niepewność. Spojrzała synkowi w oczy, jak kiedyś patrzyła w oczy Kakusa i Herkulesa. I wciąż nie wiedziała! Oczka, które odwzajemniały jej spojrzenie, mogły należeć do któregoś z nich.

Już jej to jednak nie obchodziło. Kimkolwiek był jego ojciec, dziecko było jej drogie – i Fascinusowi też. Osłabiona i obolała, ale przepełniona nową radością Potycja zdjęła z szyi rzemyk z amuletem i powoli wsunęła synowi przez główkę.

Bliźnięta

757 r. p.n.e.

Ten dzień był dla Potycjusza ważny – chyba nawet najważniejszy w całym jego młodym życiu. Od dziecka bywał świadkiem rytuału, później sam zaczął brać udział w uroczystościach. Teraz, jako czternastolatek, po raz pierwszy asystował ojcu przy celebrowaniu dorocznej ofiary na ołtarzu Herkulesa.

Zgromadzeni członkowie rodów Potycjuszów i Pinariuszów z uwagą obserwowali, jak jego ojciec staje przed ołtarzem i zaczyna opowieść o wizycie półboga. Opisywał, jak Herkules zjawił się, gdy ich przodkowie byli w wielkim niebezpieczeństwie, i zabił potwora Kakusa, po czym równie nagle zniknął. Tymczasem Potycjusz powoli obchodził ołtarz, machając świętą miotłką na postrach każdej musze, której przyszłoby ochota polatać lub usiąść w tym miejscu. Jego równolatek, daleki kuzyn Pinariusz, miał podobne zadanie – krążył tylko po nieco szerszej orbicie i w przeciwnym kierunku, pilnując, by żaden pies nie próbował podejść za blisko.

Ojciec Potycjusza zakończył opowiadanie i zwrócił się do stojącego przy nim ojca Pinariusza. Od pokoleń oba rody wspólnie odprawiały tę ceremonię, co roku zamieniając się rolami. Tym razem Pinariusz starszy intonował modlitwę do Herkulesa, prosząc półboga o nieustanne czuwanie nad ich bezpieczeństwem.

Jak zwykle zabito i poćwiartowano wołu. Kiedy mięso i wnętrzności piekły się nad ogniskiem, porcja surowego mięsa spoczęła na ołtarzu. Kapłani i ich synowie zaczęli się wpatrywać w niebo. Młody Potycjusz z okrzykiem triumfu pierwszy dostrzegł nadlatującego sępa, który wkrótce zaczął krążyć nad zgromadzeniem. Był to święty ptak, ulubieniec Herkulesa; jego pojawienie się oznaczało, że herosowi miła jest ich ofiara i została przezeń łaskawie przyjęta.

Nadeszła pora na ucztę. We wszystkich innych kwestiach związanych ze świętem oba rody równo dzieliły obowiązki; zgodnie jednak z tradycją przywilej spożycia wnętrzności zwierzęcia ofiarnego zastrzeżony był dla Potycjuszów. Tradycyjnie też Pinariusze

dobrodusznie narzekali: „Gdzie nasze porcje? Dlaczego nie dostaliśmy wnętrzności?”, na co ich kuzyni odpowiadali nieodmiennie: „Spóźniliście się! Nic dla was nie zostało!”

Młody Potycjusz traktował swoje obowiązki bardzo poważnie. Próbował nawet wzorem dorosłych poprzekomarzać się z kuzynem, Pinariusz odpowiedział mu jednak tylko ponurym spojrzeniem i nieartykułowanym pomrukiem. Obaj chłopcy nigdy nie byli w przyjaznych stosunkach.

Po uczcie ojciec wziął Potycjusza na stronę.

– Jestem z ciebie dumny, synu – powiedział. – Dobrze się dziś spisałeś.

– Dziękuję, ojcze.

– Pozostał nam jeszcze jeden rytuał do wypełnienia.

Potycjusz zmarszczył czoło.

– Myślałem, ojcze, że na tym koniec?

– Niezupełnie. Sądzę, że wiesz, synu, choć rzadko się o tym mówi... po co Pinariusze mieliby nam jeszcze bardziej zazdrościć... iż nasza linia wywodzi się bezpośrednio od samego Herkulesa.

– Wiem, ojcze.

– I wiesz także, że wśród przodków Potycji był bóg jeszcze starszy od Herkulesa.

Uniósł dłoń, by dotknąć wiszącego na jego szyi złotego amuletu Fascinusa.

Potycjusz mógłby na palcach policzyć, ile razy dane mu było widzieć ów legendarny amulet. Ojciec zakładał go tylko na bardzo ważne okazje. Wpatrywał się teraz w niego, zafascynowany połyskiem złota.

Ojciec uśmiechnął się do chłopca.

– Kiedy byłem w twoim wieku, też po raz pierwszy wziąłem udział w święcie, pełniąc tę samą funkcję co ty dzisiaj. Po uczcie twój dziadek wziął mnie na bok, pochwalił za dobre wywiązanie się z obowiązku i oświadczył, że odtąd nie jestem już chłopcem, ale stałem się mężczyzną. I wiesz, co wtedy zrobił, synu?

– Nie, ojcze. – Potycjusz z powagą pokręcił głową. – Co dziadek wtedy zrobił?

Zamiast odpowiedzieć, ojciec zdjął z szyi rzemień z amuletem i wolno włożył go synowi. Uśmiechnął się znowu, przesunął dłonią po jasnych, jedwabistych włosach chłopaka, tym czułym gestem przypieczętowując ostatnią chwilę jego chłopięctwa.

– Jesteś teraz mężczyzną, mój synu. Tobie przekazuję amulet Fascinusa.

* * *

Potycjusz może i był teraz mężczyzną, ale kiedy zrobił już wszystko, co do niego należało, i mógł wreszcie zająć się tym, na co miał ochotę, znów wrócił do jak najbardziej chłopięcego zachowania. Do końca dnia pozostało jeszcze wiele słonecznych godzin, a on

obiegał odwiedzić po uczcie swych dwóch najlepszych przyjaciół i nie mógł się już doczekać spotkania.

Od czasów Kakusa mała osada nad Tybrem stale się rozwijała i dobrze prosperowała. Przez rynek nad rzeką przepływały wielkie ilości soli, ryb i żywca; te trzy towary przybywały osobno, ale tu się łączyły i dalej wędrowały już jako solone ryby lub mięso. Najstarsze i najzamożniejsze rody, jak Potycjusze i Pinariusze, w dalszym ciągu zamieszkiwały pierwotną osadę nad Spinonem, w pobliżu targowiska, zajmując domy niewiele się różniące od tych z dawniejszych pokoleń, choć ich liczba znacznie się zwiększyła i teraz stały o wiele bliżej siebie. Nowe, mniejsze osady, czasem będące siedzibą jednej tylko rodziny, wyrosły w całej Rumie, zarówno w dolinach, jak i na wzgórzach, a wszystkie połączyła gęsta sieć dobrze wydeptanych ścieżek.

Samo słowo Ruma, określające okolice Siedmiu Wzgórz, z biegiem stuleci zaczęło wymawiać nieco inaczej, a przez powszechne używanie zyskało status oficjalnej nazwy; teraz ludzie nazywali to miejsce Romą. Zachowując skojarzenie z pagórkowatym terenem, słowo to w nowym brzmieniu nabrało pewnego uroku i łagodności – jak gdyby dla podkreślenia, że jest to okolica przyjemna i przyjazna dla mieszkańców.

Wraz z rozrostem osady i jej ludności pojawiła się także potrzeba nadania konkretnych nazw różnym miejscom wokół Siedmiu Wzgórz. Nowe nazwy często pochodziły od rosnących w danej okolicy drzew; i tak wzgórze, na którym dominowały dęby, przyjęło miano Querquetulanus – Dębowego Wzgórza, ostoję wierzby nazwano Wiminalem, a górę z bukowym gajem – Fagutalem.

Pasterze owiec i świń osiedlili się na szczycie wzgórza nad dawną jaskinią Kakusa. Od czczonej przez nich bogini Pales nazwali je Palatynem. Bogów – które to pojęcie ongiś nie było tam w ogóle znane – było teraz w Romie sporo; ich populacja rosła wraz z liczbą mieszkających tam śmiertelników. Każda z małych społeczności rozrzuconych wśród Siedmiu Wzgórz miała swoje lokalne bóstwo, które otaczała stosowną czcią. Część z tych nadludzkich istot zachowała bezimienny charakter pradawnych numenów, inne jednak zyskały imiona i określone cechy i atrybuty, jak przystało na bogów i boginie. Wśród nich zdecydowany prymat miał Herkules – co do tego wszyscy byli najzupełniej zgodni i dlatego też jego ołtarz z czasem nazwano Ara Maxima – Największym. Za ojca Herkulesa uznawano boga nieba, znanego tam pod imieniem Jowisza. Rola Potycjuszów i Pinariuszów jako opiekunów i kapłanów Ara Maxima przydawała im wielkiego prestiżu wśród mieszkańców Romy.

Potycjusz był dumny że może podtrzymywać rodowe tradycje, ale teraz spieszo mu było do mieszkających na Palatynie przyjaciół. Jak burza wpadł do domu, a właściwie skupiska kilku połączonych ze sobą chat, zrzucił z siebie odświętną wełnianą szatę i włożył starą tunikę, sposobniejszą do chłopackich zabaw. Amuletu nie zdjął, pragnął się nim bowiem pochwalić kolegom.

Minął rojne targowisko i przeszedł po drewnianej kładce na drugi brzeg Spinonu. Wkrótce znów był przy ołtarzu, gdzie wciąż się kręciło kilku jego podchmielonych krewniaków. Przed sobą miał Palatyn i prowadzące na szczyt strome, wykute w skale schody. Wykonano je dawno temu, krótko po zgładzeniu potwora Kakusa, aby raz na zawsze położyć kres zagrożeniu związanemu z niedostępną dla ludzi jaskinią; samą grootę jako miejsce przekłete zasypano kamieniami i ziemią. Wkrótce zarosła krzakami i po latach nie pozostało po niej prawie żadnego śladu prócz zarysu starego wejścia, widocznego tylko wtedy, gdy ktoś celowo go szukał wzrokiem. Potycjusz znał historię Schodów Kakusa, jak ludzie nazywali tę karkołomną ścieżkę, a ojciec pokazał mu kiedyś miejsce po jaskini potwora; ilekroć ją mijał, nie omieszkał wymamrotać pod nosem modlitwy dziękczynnej do Herkulesa. Dziś schody miały funkcję wyłącznie praktyczną jako najkrótsza droga na Palatyn.

U ich szczytu rósł stary figowiec. Był starszy od Potycjusza i bardzo duży jak na ten gatunek, z rozłożystymi, tworzącymi gęsty baldachim konarami. Po trudach wspinaczki chłopiec z przyjemnością odpoczywał w jego cieniu. Tym razem również przystanął dla złapania oddechu. Nagle krzyknął, gdy coś uderzyło go w czoło. Pocisk był na tyle miękki, by nie uszkodzić mu skóry, ale i dość twardy, by zabolalo. Po chwili Potycjusz został trafiony kilkoma następnymi. Z góry dobiegł go chichot. Trąc zaczerwienione czoło, spozrzał między gałęzie i oczywiście zobaczył swoich rozbawionych przyjaciół. Remus śmiał się tak, że o mało nie spadł. Romulus ważył w dłoni solidną zieloną figę.

– Hej, wystarczy, wy dwa potwory! – krzyknął Potycjusz.

Zobaczył, że kolega odchyła rękę w tył, i uchylił się, ale za późno. Mimo woli krzyknął, gdy figa wylądowała mu na czubku głowy. Romulus był znany z silnej ręki i celności oka.

– Koniec, powiedziałem!

Potycjusz podskoczył i schwycił za koniec konara, na którym siedzieli obaj bracia. Uwiesiwszy się na nim całym ciężarem, zakołysał nim w górę i w dół. Sprężyste drewno ugięło się łatwo, a ruch był wystarczająco gwałtowny, by stracili równowagę. Wśród krzyków i chichotu obaj spadli w dół jak dojrzałe figi. Zerwali się od razu na nogi, rzucili na kolegę i wspólnymi siłami powalili na ziemię. Cała trójka dyszała ciężko, z trudem łapiąc oddech i natychmiast go tracąc ze śmiechu.

– Co to takiego? – spytał Romulus, sięgając do amuletu i unosząc go, aż rzemień naprężył się na szyi Potycjusza.

Promyk słońca przebił się przez listowie figowca, odbijając się blaskiem od polerowanego złota. Bliźniacy wpatrywali się w amulet, pękając z ciekawości.

– To wizerunek boga, którego nazywamy Fascinusem. – Potycjusz się uśmiechnął, widząc, że przyjaciele są pod wrażeniem. – Mój ojciec dał mi go po uczcie. Mówi, że...

– A skąd twój ojciec wytrzasnął takie dziwo? – spytał Remus. – Ukradł go fenickiemu kupcowi?

– Nie bądź głupi! Fascinus to nasz rodowy bóg. Ojciec dostał go od dziadka, dziadek od pradziadka i tak dalej. Ojciec mówi...

– To musi być miłe – przerwał mu sucho Remus, nie śmiejąc się już i nie wypuszczając z ręki amuletu.

Potycjusz nagle poczuł się nieswojo, co mu się często przytrafiało w towarzystwie dwóch przyjaciół. Pochodził z jednego z najstarszych i cieszących się największym poważaniem rodów w Romie. Romulus i Remus byli znajdami; świniopas, który ich wychował, był po prostu nikim, a jego żona miała fatalną opinię. Ojciec Potycjusza nie aprobował tej przyjaźni i chłopak mógł się z bliźniakami spotykać tylko potajemnie. Kochał ich jak braci, ale czasem – tak jak w tej chwili – niemal namacalnie odczuwał różnicę ich pozycji społecznych.

– I co ten Fascinus robi? – spytał Romulus.

Remus się zaśmiał.

– Wiem, co ja bym robił, gdybym miał skrzydlatego!

Zamachał rękami jak wielkie ptaszysko i wykonał sprośny gest.

Potycjusz żałował już, że nie zostawił amuletu w domu. Tak, to był błąd – jak mógł przypuszczać, że ci dwaj zrozumieją, ile dla niego znaczy.

– Fascinus nas ochrania – powiedział z godnością.

– Ale nie przed spadającymi figami! – parsknął Remus.

– Ani przed chłopakami silniejszymi od ciebie – dodał Romulus, odzyskując humor.

Puścił amulet, chwycił kolegę za rękę i wykręcił do tyłu.

– Nie jesteście ode mnie silniejsi! – zaprotestował Potycjusz. – Każdego z was mogę pokonać, jeśli będziecie się bić jeden na jednego.

– Po co mielibyśmy to robić, skoro jest nas dwóch? – Remus złapał go za nadgarstek drugiej ręki i wykręcił, aż Potycjusz krzyknął z bólu.

Tak było z nimi zawsze. Działali wspólnie, jak gdyby kierował nimi jeden mózg. Tę harmonię Potycjusz, który nie miał braci, zawsze u nich podziwiał najbardziej. Jakie to miało znaczenie, że nikt nie zna ich rodowodu?

Bliźniacze niemowlęta znalazł świniopas Faustulus po wielkiej powodzi. Tyber często wylewał, tym razem jednak poziom podniósł się wyżej, niż ktokolwiek pamiętał. Zatopiony był rynek, torfiaste jezioro zamieniło się w małe morze, a Siedem Wzgórz w wyspy. Kiedy wody opadły, Faustulus zauważył wśród naniesionego na stok Palatynu śmiecia drewnianą kołyskę z dwójką malutkich dzieci. Powódź zabrała w górnym biegu rzeki niejedno życie. Ponieważ po niemowlęta nikt się nie zgłosił, uznano, że ich rodzice musieli zginąć. Faustulus, którego licha chata stała o rzut kamieniem od figowca nad Schodami Kakusa, wychował je jak własnych synów.

Żona świniopasa nazywała się Akka Larencja. Złośliwy żart opowiadany za plecami bliźniaków głosił, że zostali wykarmieni przez wilczycę. Kiedy Potycjusz jeszcze jako mały chłopczyk usłyszał to po raz pierwszy (opowiedziane z mrugnięciem oka i znaczącym

uśmieszkiem przez kuzyna Pinariusza), zrozumiał to dosłownie; dopiero znacznie później się zorientował, że „wilczycami” nazywano prostytutki, a ów żart był obelżywy dla Akki Larencji. Pinariusz powiedział mu też, że nawet imiona jego kolegów były takim prostackim dowcipem – Romulus i Remus miały się kojarzyć z *ruma*, piersiami przybranej matki, którym Faustulus lubił się przypatrywać, gdy karmiła obu bliźniaków naraz. Ponieważ często siadywała w tym celu w cieniu figowca, świniopas i dla niego znalazł stosowne przezwisko; nazwał go „*ruminalis*”, krowim drzewem.

– To człowiek wulgarny i nieczysty, niewiele lepszy od swoich świń! – brzmiała opinia ojca Potycjusza o Faustulusie. – A co się tyczy Akki Larencji, im mniej zostanie powiedziane, tym lepiej. Oni nie są godni miana rodziców, skoro tak pozwalają tym urwisom się wałęsać, gdzie im przyjdzie ochota. A Romulus i Remus też nie są lepsi... para wilków wychowanych w chlewie!

Jednakże nawet ci, którzy z największą dezaprobatą mówili o bliźniakach, nie mogli im odmówić niezwykłej urody. „Tylko Romulus jest ładniejszy od Remusa”, mawiano w okolicy, zmieniając zresztą dowolnie kolejność imion chłopaków. „I tylko Remus może iść w zawody z Romulusem” – odpowiadano zazwyczaj, jako że obaj byli znacznie szybsi i silniejsi od rówieśników i delectowali się każdą sposobnością okazania tej wyższości. W oczach Potycjusza byli wszystkim, czym pragnąłby być każdy chłopiec: urodziwi, silni, zwinni... i nie skrupowani surową ojcowską kontrolą. Nawet kiedy łączyli siły, by zadać mu bobu, ich towarzystwo było dlań pożądane i ekscytujące.

Bliźniacy jakby na hasło jednocześnie puścili jego ręce.

– To jak? – Romulus popatrzył na brata. – Powiemy mu czy nie?

– Mówiłeś, że powinniśmy.

– Tak, ale teraz sam się zastanawiam. Zobacz, jaki z niego waśniak z tym amuletem. Na takich jak my patrzy z góry.

– Nieprawda! – gorąco zaprotestował Potycjusz. – Co macie mi powiedzieć?

Remus rzucił mu chytre spojrzenie.

– Knujemy z bratem spisek. Będzie zabawa! Ludzie potem o niczym innym nie będą gadać całymi dniami.

– Dniami? – prychnął wzgardliwie Romulus. – Latami!

– Ty też się możesz przyłączyć. Jeśli się ośmielisz.

– Pewnie, że się ośmielę. – Potycjusz wzruszył ramionami. Bolały go tak bardzo, że ledwo mógł nimi poruszać, ale za żadne skarby nie dałby tego po sobie poznać. – O jakim spisku mówicie?

– Wiesz, jak nas nazywają za naszymi plecami? – spytał Remus.

Niepewny, co odpowiedzieć, znów wzruszył ramionami, starając się nie skrzywić.

– Nazywają nas wilkami. Romulus i Remus to para wilków, mówią, wykarmionych przez wilczycę.

– Co się przejmujecie? Ludzie są głupi.

– Ludzie się boją wilków.

– Zwłaszcza dziewczyny – dodał Romulus. – Popatrz tylko.

Sięgnął po coś leżącego pod pnem i naciągnął to na głowę. Była to wilcza skóra, wyprawiona tak, że pysk zwierzęcia można było nasunąć na twarz jak maskę, pozostawiając odkryte tylko usta.

– I co o tym myślisz?

Z rękami na biodrach i wilczą twarzą Romulus przedstawiał przerażający widok. Potycjusz wpatrywał się w niego oniemiały. Remus wyciągnął drugą skórę i też się przebrał, stając ramię w ramię z bratem. Wykrzywił usta w pogardliwym uśmiechu, widząc, jakie wrażenie wywarli na koledze.

– Oczywiście jeżeli tylko ja i Romulus się przeberzemy, wszyscy od razu będą wiedzieli, że to my. Dlatego potrzebny jest nam do stada trzeci wilk, żeby utrudnić ludziom odgadnięcie.

– Trzeci wilk?

Remus rzucił mu jeszcze jedną zwiniętą skórę.

– No, nakładaj! – przynaglił niezdecydowanego.

Drżącymi rękami Potycjusz narzucił przebranie na plecy i nasunął maskę na twarz. Nozdrza wypełnił mu ostry odór źle wyprawionej skóry. Spoglądając przez otwory na oczy, poczuł się dziwnie ukryty przed światem i dziwnie odmieniony.

– Ale z ciebie groźne wilczyisko, Potycjusz! – orzekł Remus z uśmiechem.

– Tak uważasz?

– Ale głosik masz dziecięcy! – Remus parsknął śmiechem. – Musisz się nauczyć warczeć, o tak...

Zademonstrował całkiem udane warczenie. Romulus do niego dołączył, a po chwili wahania Potycjusz także spróbował ich naśladować.

– Wyc też się musisz nauczyć.

Remus odchylił głowę do tyłu. Głos, jaki wydobył mu się z gardła, przyprawił Potycjusza o dreszcz. Romulus mu zawtórował, a ich harmonijne wycie było tak niesamowite, że ich kolega w jednej chwili pod wilczą skórą pokrył się gęsią skórą. Kiedy jednak sam zawył, skwitowali to gromkim śmiechem.

– No, to będzie wymagało praktyki – zawyrokował w końcu Romulus. – Nie jesteś jeszcze gotów. Musisz się nauczyć nie tylko wyc jak wilk, ale poruszać się i myśleć jak wilk. Musisz się stać wilkiem!

– A kiedy ten dzień nadejdzie, musisz się pozbyć tego amuletu – dodał jego brat. – Inaczej ktoś na pewno go rozpozna i doniesie twojemu ojcu.

Potycjusz wzruszył ramionami. Już go nie bolały.

– Zawsze mogę go schować pod tunikę i nikt nie zobaczy.

– Pod tunikę? Czyś ty z byka spadł? Wilki nie noszą tunik!

– Ale... w takim razie co będziemy mieli na sobie?

Romulus i Remus spojrzeli po sobie i jak na komendę wybuchnęli śmiechem, a potem unieśli głowy i zawyli donośnie.

* * *

Zima zdążyła nadejść, zanim bliźniacy uznali, że Potycjusz dostatecznie opanował sztukę bycia wilkiem. Ich spisek nie miałby sensu przy chłodzie i szarugach, musieli więc odczekać do powrotu cieplejszej pogody. Wreszcie nadszedł odpowiedni dzień – bezchmurny i przyjemny, kiedy można się było spodziewać, że cała Roma wylegnie na ścieżki i rynki między Siedmioma Wzgórzami.

Tego ranka wcześniej udali się na polowanie. Romulus i Remus od tygodnia tropili wilka, starając się odnaleźć jego kryjówkę. Krótco po brzasku udało im się go wypłoszyć i osaczyć. Romulus zabił zwierzę celnym rzutem oszczepem. Na prowizorycznym ołtarzu – zwykłym płaskim głazie – ściągnęli z wilka skórę i umoczyli ręce w jego krwi. Pocięli ją potem na pasy, którymi obwiązali nadgarstki, kostki, uda i ramiona, a pozostałe trzymali luźno w dłoniach. Potycjuszowi się zdawało, że czuje jeszcze życiową siłę zwierza emanującą z cieplej i miękkiej skóry.

Nie krępował się już biegać po wzgórzach nago. Robił to z kolegami wiele razy, choć zazwyczaj nocami i z dala od ludzkich sadyb. Dziwnie się tylko czuł w wilczej masce na twarzy. Patrzenie na świat oczami wilka, świadomość własnej anonimowości, wyobrażanie sobie, jak groźnie wygląda – wszystko to dawało mu poczucie siły i odmieniało stosunek do całego otoczenia, jak gdyby przebranie rzeczywiście przydało mu cech zwierzęcia.

Biegali po wzgórzach i dolinach, od osady do osady, poszczekując i wyjąc wniebogłosy. Gdy tylko napotykali młodą dziewczynę, rzucali się ku niej na wyścigi, współzawodnicząc, kto pierwszy smagnie ją pasem kosmatej skóry przez pośladki. Byli wilkami, a dziewczęta owcami; porównanie było tym bliższe prawdy, że na ogół chadzały grupkami, zajęte porannymi obowiązkami – przynoszeniem wody czy sprawunków. Na widok „wilków” niektóre podnosiły wrzask, inne zaśmiewały się do łez.

Potycjusz nigdy w życiu nie robił nic równie ekscytującego i radosnego. Był podniecony także erotycznie. Wiele dziewczyn bardziej niepokoił widok jego nabrzmiałej męskości niż groźba wilczej chłosty, choć wciąż część z nich była tym wszystkim raczej rozbawiona; chichotały, skrywając twarze w dłoniach i odwracając wzrok. Romulus i Remus, widząc stan przyjaciela, z rubasznym rechem jęli go smagać pasami po obnażonym członku.

– Jednak szkoda, że nie wzięłeś swojego amuletu – szepnął mu w przelocie do ucha Romulus. – Teraz nie masz fallusa na szyi, żeby chronił tego między nogami!

– Przestań się tak zasłaniać! – Remus trząśł się ze śmiechu. – Porządne lanie dobrze ci zrobi na potencję! Będziesz miał wilka w kroku!

W końcu dali mu jednak spokój i cała trójka wróciła do ścigania piszczących dziewczyn.

* * *

Tak jak bliźniacy przewidzieli, incydent był na ustach wszystkich mieszkańców Romy. Ojciec Potycjusza zebrał najbliższą rodzinę, żeby o tym porozmawiać.

– Trzech młodych łobuzów, nagich pod wilczymi skórami skrywającymi ich tchórzliwe oblicza, biega po całych Siedmiu Wzgórzach, terroryzując każdego napotkanego przechodnia... Takie zachowanie jest oburzające!

– Nikt nie próbował ich powstrzymać? – spytała matka Potycjusza.

– Kilku starców miało odwagę ich zbesztać, ale nicponie tylko zataczali wokół nich koła z dzikim wyciem i omal ich na śmierć nie wystraszyli. Paru młodszych mężczyzn próbowało ich ścigać, ale bezskutecznie.

– Ale jak oni wyglądali, mężu? Czy nie dało się ich po czymś rozpoznać?

– Ja sam ich nie widziałem. A któreś z was?

Potycjusz odwrócił wzrok i nic nie mówił. Zagryzł nerwowo wargi, kiedy młodsza siostra odezwała się potulnie:

– Ja ich widziałam, ojczcie. Byłam u przyjaciółki na Wiminalu, kiedy wpadli do osady, warcząc i wyjąc jak prawdziwe wilki.

Twarz ojca zeszywniała.

– Czy cię w jakikolwiek sposób napastowali?

– Nie, ojczcie! – Dziewczyna się zarumieniała. – Tylko...

– Mów, córko!

– Każdy z nich miał coś w ręku, chyba długie i wąskie pasy wilczej skóry. Trzaskali nimi w powietrzu jak biczami. I czasem...

– Mów dalej.

– Gdy tylko zdybali jakąś dziewczynę czy młodą kobietę, bili ją nimi.

– Bili ją?

– Tak, ojczcie. – Rumieniec nabrał purpurowej barwy. – Od tyłu.

– I ciebie też bili... od tyłu?

– Ja... dobrze nie pamiętam, ojczcie. To było takie przerażające, że nie mogę sobie przypomnieć.

„Kłamczucha!”, cisnęło się na usta Potycjuszowi. On pamiętał doskonale i był pewien, że siostra także. To Remus dał jej klapsa rzemieniem, a ona nie tylko się nie przeraziła, ale biegła za nimi z chichotem, usiłując odplacić mu pięknym za nadobne. Mimo zdenerwowania Potycjusz z trudem stłumił uśmiech.

Ojciec pokręcił głową.

– Oburzające, powtarzam! Ale jeszcze bardziej mnie oburza to, że nie wszyscy się ze mną zgadzają.

– Co masz na myśli, ojcze? – zdobył się na pytanie Potycjusz.

– Dopiero co rozmawiałem z jednym ze starszych Pinariuszów. Wydawał się tym zajściem ubawiony! Mówi, że tylko starcy uważają ten wybryk za skandaliczny, a cała młodzież zazdrości tym wilczym dzikusom, młode kobiety zaś ich podziwiają. Czy i ty im zazdrościsz, Potycjusz?

– Ja? Oczywiście, że nie, ojcze.

Nerwowym ruchem chłopak dotknął Fascinusa na szyi. Założył amulet natychmiast po powrocie do domu, chcąc mieć boga blisko siebie. Właściwie powiedział prawdę – w końcu trudno, by człowiek zazdrościł samemu sobie.

– A ty, córko, chyba nie podziwiasz tych łobuzów?

– Oczywiście, że nie, ojcze. Gardzę nimi!

– To dobrze. Inni mogą sobie chwalić takie wyczyny, ale w naszym rodzie mamy pewne zasady do utrzymywania. Potycjusze świecą przykładem całej Romie. Tak samo powinni postępować Pinariusze, obawiam się jednak, że nasi kuzyni mogli zapomnieć o swej szczególnej pozycji. – Pokręcił głową z dezaprobatą. – Dwaj z tych łobuzów to oczywiście ci utrapięcy Romulus i Remus. Ale kim był trzeci wilkołak? Którego z niewinnych młodzieńców świniopasy skusiły do tej odrażającej zabawy? – Popatrzył prosto w oczy Potycjuszowi, który zbladł pod tym spojrzeniem. – Jak sądzisz, mój synu... czy to mógł być twój kuzyn, młody Pinariusz?

Potycjusz z trudem przełknął ślinę.

– Nie, ojcze. Jestem pewien, że to nie był Pinariusz.

Ojciec wciąż przyglądał mu się badawczo, po czym powiedział:

– No, dobrze. Dość już o tym. Mam poważniejszą sprawę do omówienia. To dotyczy ciebie, synu.

– Słucham, ojcze. – Potycjusz z ulgą przyjął zmianę tematu.

Potycjusz senior odchrząknął i rzekł:

– Jako kapłani Herkulesa odgrywamy ważną rolę wśród tutejszych ludzi. Nasza opinia w sprawach boskich jest powszechnie szanowana. Trzeba się jednak wiele nauczyć, gdy chodzi o odczytywanie woli bogów i numenów. Powiedz mi, synu: gdy rolnikowi wyschnie studnia, do kogo się zwróci, aby udobruchać złośliwego numena, który zamknął źródło? Jeśli rybak chce znaleźć nowe łowisko, komu powierza wyznaczenie jego granic na rzece i ubłaganie numenów wody? Gdy piorun zabije wołu, kogo się radzi pasterz, by ustalić, czy mięso jest przeklęte i należy je spalić na ołtarzu ofiarnym czy może błogosławione i można je z radością spożywać?

– Jeżeli ich na to stać, ojczy, ludzie wzywają w takich razach etruskiego wróżbitę, czyli, jak go w tamtych stronach nazywają, haruspika.

– Otóż to. Nasi dobrzy sąsiedzi z północy, Etruskowie, posiadli wielką mądrość w tych sprawach, a ich haruspikowie świetnie z tego żyją. Wróżenie to jednak tylko zawód jak każdy inny. Można go nauczyć i można się go wyuczyć. W mieście Tarkwinie jest szkoła wróżbiarstwa, najlepsza ze wszystkich, jak mnie zapewniono. Załatwiłem w niej miejsce dla ciebie, mój synu.

Zapadła cisza. Potycjusz przez długą chwilę nie odpowiadał.

– Ale ja nie mówię po etrusku, ojczy – wykrztusił w końcu.

– Oczywiście, że mówisz.

– Tak, ale tylko tyle, ile trzeba, by się z nimi potargować na rynku.

– Wobec tego nauczysz się płynnie ich mowy, a potem wszystkiego, co ci mogą przekazać o wróżeniu. Kiedy zakończysz naukę, powrócisz do Romy jako haruspik i zyskasz ważną pozycję wśród ludzi.

Potycjusz był rozdarty. Z jednej strony ekscytowała go myśl o podróży i pobycie na obczyźnie, z drugiej chwycił za gardło strach przed rozłąką z rodziną i przyjaciółmi.

– Na jak długo mam wyjechać?

– Powiedziano mi, że studia trwają trzy lata.

– Aż tyle! Kiedy mam ruszać, ojczy?

– Jutro.

– Tak szybko!

– Im szybciej, tym lepiej. Jak aż nazbyt dobrze widać po dzisiejszym incydencie, są w naszej okolicy złe wpływy. Mocno wierzę w twój niezłomny charakter, synu, niemniej uważam, że najlepiej będzie cię od nich oddalić i to jak najszybciej.

– Ależ, ojczy, chyba nie myślisz...

– Myślę, że Romulus i Remus muszą mieć bardzo dużą siłę perswazji. Myślę, że ich szkodliwy przykład może wciągnąć nawet najlepszych z naszych młodzieńców w poważne kłopoty. Jest moim ojcowskim obowiązkiem dopilnować, aby nie spotkało to ciebie, synu. Pojedziesz do Tarkwiniów. Będziesz we wszystkim posłuszny nauczycielom. Opanujesz etruską sztukę wróżbiarstwa. Podejrzewam, że masz do tego talent i nauka pójdzie ci gładko. I nie będziesz więcej myślał o Romulusie i Remusie. Bachory świniopasa potrafią tylko jedno, sprawiać wszystkim kłopoty. Wzięli się znikąd i do niczego nie dojdą!

754 r. p.n.e.

Ojciec Potycjusza nie zawiódł się, licząc na chęć syna do nauki i jego naturalne predyspozycje do wróżbiarstwa. W kwestii przyszłych losów bliźniaków nie mógłby się bardziej pomylić.

Potycjusz był pierwszym chłopcem, który uległ ich urokowi, ale bynajmniej nie ostatnim. Dzięki hecy z wilkami cieszyli się estymą niespokojnych duchów Romy, z których wielu aż się paliło, by zostać ich kompanami. Romulus i Remus szybko zyskali liczne grono zwolenników. Zwłaszcza wśród tych, których Potycjusz senior zaliczyłby do szumowin – młodzieńców z nic nie znaczących rodzin, którzy nie widzieli nic złego w porwaniu od czasu do czasu czyjejś krowy z pastwiska lub ostrzyżeniu owcy i sprzedaniu wełny bez wiedzy jej właściciela.

– Ci dwaj źle skończą – prorokował zadowolony, że jego jedynak siedzi bezpieczny w Tarkwiniach, zajęty nauką. – Romulus i Remus wraz z całą swoją ferajną myślą, że ich wybryki są nieszkodliwe... że ludzie, których okradają są albo zbyt bogaci, by się przejąć stratą, albo zbyt bojaźliwi, by szukać odwetu. Ale prędzej czy później nadepną na odcisk niewłaściwemu człowiekowi i tyle będziemy ich widzieli!

Proroctwo omal się nie spełniło; pewnego dnia Remus z kilkoma towarzyszami zapuścił się dalej niż zwykle i wdał w potyczkę z grupą pasterzy w pobliżu Alby Longi, miasta w górzystym regionie na południowy wschód od Romy. W przeciwieństwie do mieszkańców Siedmiu Wzgórz Albanie już dawno temu zostali zmuszeni do posłuszeństwa przez najsilniejszego z nich, który nazwał się królem i nosił żelazną koronę jako oznakę swej władzy. Obecny król, Amuliusz, zgromadził wielkie bogactwo – cenne metale, misternej roboty biżuterię, egzotyczne naczynia gliniane i tkaniny najwyższej jakości – które trzymał w specjalnej zagrodzie za wysokim płotem, strzeżonej przez najemnych wojowników. Sam mieszkał nie w zwykłej chacie jak inni, lecz w dużym drewnianym dworze.

Nad przyczynami potyczki często później rozprawiano. Wielu ludzi z góry przyjęło, że awanturnicy próbowali ukraść kilka owiec, a albańscy pasterze ich przyłapali na gorącym uczynku; sam Remus miał oświadczyć, że to tamci zaczęli, prowokując ich szyderstwami i zniewagami wobec ludu Romy. Jakikolwiek był *casus belli*, zawiadka wyszedł na tym najgorzej. Część jego kompanów zginęła, część dostała się do niewoli, nielicznym udało się uciec. Remus był wśród jeńców; skutego łańcuchami doprowadzono przed oblicze króla Alby, a że zamiast spotulnieć, wciąż trzymał się hardo, Amuliusz kazał go powiesić za ręce pod stropem i osobiście zabrał się do torturowania ogniem, mieczem i biczem.

Kiedy wieść o niewoli brata dotarła do Romulusa na Palatyn, niezwłocznie zaczął zwoływać do boju całą młodzież Romy, głosząc wszem i wobec, że gra idzie nie tylko o Remusa, ale o honor ich miasta. Nawet mężczyźni z najlepszych rodów, którzy nigdy nie przestawali z bliźniakami, garnęli się teraz pod jego komendę. Wiedząc, że najemnicy Amuliusza będą dobrze uzbrojeni, zabrali wszelką dostępną broń – od pasterskich kijów po rzeźnicze noże, proce i myśliwskie łuki – i wyruszyli z odsieczą.

Stanąwszy pod wałami Alby, Romulus zażądał od króla uwolnienia brata i pozostałych jeńców. Amuliusz popatrzył z góry na nieskładny szyk i byle jaki oręż napastników i odmówił z pogardą.

– Czy chcesz okupu? – spytał Romulus.

Amuliusz parsknął śmiechem.

– Na jaki okup stać takich jak wy? Kilka przeżartych przez mole owczych skór? Nie, kiedy już mi się znudzi torturowanie twojego braciszka i jego kompanów, utnę im łby i zatknę je na ostrokołe, aby służyły za przestrożę wszelkiej hołocie waszego pokroju. A jeśli jutrzejszy świt zastanie cię jeszcze w moim królestwie, ty głupcze, to i twoja głowa dołączy do tamtych!

Oddział wycofał się spod miasta. Wysokość chroniącej je palisady z początku zbiła ich z tropu, podobnie jak widok gotowych do walki łuczników Amuliusza. Wydawało się, że nie ma sposobu na przełamanie obrony, zanim wszyscy padną pod gradem strzał. Jednakże pod osłoną nocnych ciemności Romulusowi udało się podłożyć ogień pod najsłabiej strzeżony odcinek wału. Wysuszone pale zajęły się szybko. Dalej poszło już łatwo. W bitewnym chaosie ludzie z Romy okazali się dzielniejsi i bardziej żądni krwi od królewskich najemników i położyli ich pokotem.

Romulus wkroczył dumnie do dworu, bezceremonialnie pochwycił Amuliusza i kazał się zaprowadzić do brata. Struchlały król skwapliwie powiódł go do izby, gdzie Remus wciąż wisiał w okowach, i bez słowa rozpiął łańcuchy. Zbyt słaby, by utrzymać się na nogach, jeniec osunął się bezwładnie na kolana i patrzył, jak Romulus powala jego gnębiciela, kopie go i bije do nieprzytomności, a w końcu podcina mu gardło. Korona – prosty żelazny diadem – potoczyła się z brzękiem na podłogę i zatrzymała u stóp Remusa.

– Podnieś ją, bracie – zachęcił go Romulus. – Teraz już jest nasza.

Pokryty ranami Remus nie miał jednak nawet tyle siły, by unieść koronę. Ze łzami w oczach Romulus uklęknął przy nim i chciał ją mu nałożyć, ale się zawahał, a po chwili cofnął rękę.

– Wspólnie ją zdobyliśmy, bracie, i równe mamy do niej prawo, ale nie możemy jej obaj nosić naraz. Pozwól, że pierwszy ją nałożę, abym mógł w niej stanąć przed tymi, którzy wespół ze mną dzisiaj walczyli, i pokazać im, że odtąd królestwo Alby do nas należy.

Romulus w żelaznej koronie Amuliusza podniósł się i wyszedł na dziedziniec obwieścić swym ludziom zwycięstwo.

* * *

Zagarnąwszy skarbiec Alby, Romulus i Remus w jednej chwili stali się o wiele bogatsi od najzamożniejszych nawet mieszkańców Romy. Gdy tylko Remus odzyskał siły na tyle, by

móc podróżować, na czele lojalnych towarzyszy i całego taboru wozów wyładowanych łupami wrócili triumfalnie do domu.

Ich sukces nie wszystkim w mieście był w smak. Ojciec Potycjusza spotkał się z innymi przedstawicielami starszyny i wyraził swoje wątpliwości.

– Jeżeli Remus został złapany przez pasterzy Amuliusza na próbie kradzieży, to król miał pełne prawo go uwięzić i wystąpić o okup. W takim razie atak Romulusa na Albę nie był usprawiedliwiony, zabicie króla zaś było morderstwem, a przejęcie jego skarbu rabunkiem. Czy mamy bandytów uczynić bohaterami?

Pinariusz senior był odmiennego zdania.

– Nieważne, czy Remus był winien. Amuliusz po jego uwięzieniu nie domagał się okupu ani zadośćuczynienia i wyraźnie stwierdził, że zamierza go uśmiercić. Chcąc ratować brata, Romulus nie miał innego wyjścia, jak chwycić za broń. Amuliusz był głupcem i jak głupiec umarł. Bogactwa Alby słusznie się Romulusowi należą.

– Albanie mogą się z tobą nie zgodzić – odparł Potycjusz. – Taki incydent może się stać przyczyną waśni na całe pokolenia, a poza tym bliźniacy obrazili także bogów. Powinniśmy zasięgnąć rady haruspika, żeby nam objaśnił ich wolę w tej sprawie.

– Pewnie! – Głos Pinariusza ociekał sarkazmem. – Niedługo zasugerujesz, żeby pytać Etrusków, czy i kiedy możemy się wysuszać!

– Tak się składa, kuzynie, że nie potrzebujemy etruskiego haruspika. Mój syn ukończył naukę i lada dzień powinien wrócić do domu. Potycjusz może odprawić odpowiednie obrzędy

– Jak to się szczęśliwie złożyło, że twój chłopak był daleko podczas bitwy o Albę i nie musiał się narażać – zjadliwie odpowiedział Pinariusz, którego syn walczył pod komendą Romulusa.

– Twoje słowa są niesprawiedliwe, Pinariuszu, i niegodne kapłana Herkulesa! – zachnął się Potycjusz. Istotnie czuł ulgę, że syn nie zdążył wrócić na czas, by wziąć udział w wyprawie Romulusa, niemniej insynuacje kuzyna dotknęły go do żywego. Musiał wziąć głęboki oddech, żeby się uspokoić. – Musimy poznać wolę bogów.

– A jeśli wróżba wypadnie niepomyślnie dla Romulusa, co wtedy? – spytał Pinariusz. – Nie, kuzynie, ja myślę, że trzeba znaleźć lepszy sposób, by przekonać wszystkich zainteresowanych z Albanami włącznie, że miał prawo odebrać Amuliuszowi koronę i skarb.

Po chytrym błysku w oczach krewniaka Potycjusz poznał, że nie tylko ma on gotowy plan działania, ale zapewne już zaczął go realizować.

* * *

Potycjusz młodszy przybył do domu z Tarkwiniów następnego dnia. Rodzina powitała go z wielką radością i nie mniejszym zaciekawieniem, miał bowiem na sobie ceremonialne szaty etruskiego haruspika. Na żółtą tunikę nałożył długi, plisowany płaszcz spięty na ramieniu

brązową agrafą, na głowie zaś miał stożkową czapkę umocowaną rzemieniem pod brodą. Ojciec był dumny, widząc amulet Fascinusa na jego szyi. Kiedy mu go wręczał, nazwał syna mężczyzną, mimo że w duchu nie bardzo w to wierzył. Potycjusz bardzo jednak przez lata nieobecności wydorósł. Jego pewna siebie postawa i wyważony sposób wysławiania się nie pozostawiały w ojcowskim sercu żadnych wątpliwości: oto zaprawdę miał przed sobą już nie chłopca, lecz mężczyznę.

Słuchając relacji o oblężeniu Alby i triumfalnym powrocie bliźniaków, Potycjusz zamiast dać się ponieść fascynacji męską przygodą, bardziej się przejął odniesionymi przez Remusa ranami – tym kolejnym dowodem dojrzałości jeszcze bardziej radując ojcowskie serce.

– Wiem, synu, że przyjaźniłeś się z nimi, choć tego nie aprobowałem. Odwiedź ich, porozmawiaj... postaraj się przemówić im do rozumu. Ukaż im wolę bogów. Cała Roma teraz śpiewa im peany, a głupcy w rodzaju Pinariusza tylko zagrzewają ich do dalszych szalonych eskapad. Twoi przyjaciele będą sobie poczynać coraz zuchwalej, aż w końcu ściągną na nas wszystkich gniew jakiegoś potężnego wodza. Roma nie ma takich murów, jakimi Amuliusz otoczył Albę. Nasze bezpieczeństwo zależy wyłącznie od dobrej woli i zdrowego kupieckiego rozsądku tych, którzy chcą robić z nami interesy. Jeżeli bliźniacy nadal będą przelewać krew i łupić sąsiadów, a naszą młodzież zamieniać w bandę rozbójników, to prędzej czy później ugryzą w ogon wilka większego i silniejszego od nich... a wtedy cały nasz lud zapłaci za to straszliwą cenę.

Na drugi dzień rano Potycjusz wybrał się odwiedzić starych przyjaciół. Mimo świeżo zdobytych skarbów bliźniacy wciąż mieszkali w chacie świniopasa na Palatynie. Młodzieńca ogarnęła fala nostalgii, kiedy stawiał nogi na pierwszych stopniach Schodów Kakusa i jak zwykle wypowiadał słowa dziękczynnej modlitwy do Herkulesa, mijając miejsce po jaskini. Wkrótce stanął pod znajomym rozłożystym figowcem, którego gałęzie ugięły się nisko od ciężaru dojrzałych owoców. Cień rzucały tak głęboki, że z początku nie zauważył trzech postaci siedzących kołem przy pniu. Usłyszał jednak cichy szept:

– Widzisz? Mówiłem ci, że wrócił. I jeszcze większy teraz z niego waśniak. Spójrzcie tylko na tę fikuśną czapę!

Do Potycjusza dotarło, że słowa te wyszły nie z ust któregoś z bliźniaków, lecz jego kuzyna Pinariusza.

Romulus zerwał się na nogi. Miał teraz gęstą brodę i wyglądał jeszcze bardziej krzepko niż przed trzema laty. Z udawanym podziwem obejrzał szaty Potycjusza, pstrykając palcem w stożkową czapkę. Ten odwzajemnił mu się równie teatralnym zdziwieniem, wskazując na żelazną koronę na jego głowie. Obydwaj wybuchnęli śmiechem.

Remus podniósł się ostrożnie z bladym uśmiechem. Lekko utykając, podszedł do Potycjusza i objął go serdecznie. Pinariusz nie ruszył się z miejsca, mierząc krewniaka ironicznym spojrzeniem.

– Miło cię znowu widzieć, kuzynie. Jak ci szła nauka?

– Jak najlepiej, gdy tylko moi nauczyciele wbili mi do głowy dość etruskich słów, abym rozumiał ich lekcje.

– No, to się dobrze spisali. A nas tutaj bliźniacy uczyli zupełnie innej sztuki... Jak obalać króla i zdobywać koronę!

– Wiem, ojciec mi opowiedział. Dzięki niech będą Herkulesowi, żeś ocalał, Remusie!

– Herkules może i pomagał, ale to mój brat podciął gardło Amuliuszowi.

Romulus się uśmiechnął.

– Właśnie o tym sobie gwarzyliśmy z Pinariuszem – powiedział.

– Może ja już sobie pójdę, a do tej rozmowy wrócimy kiedy indziej – rzekł Pinariusz, zerkając czujnie na kuzyna.

Spojrzenie było tak lodowate, że Potycjusz bez słowa odwrócił się, by odejść, ale Remus ujął go za ramię.

– Zostań, Potycjuszu. Potrzebujemy twojej rady.

Cała czwórka usadowiła się pod figowcem i Romulus wrócił do przerwanej dyskusji.

– Mamy pewien problem. Są w Romie tacy, którzy nam zarzucają, że w Albie dopuściliśmy się przestępstwa, i zabicie Amuliusza nazywają morderstwem, a zdobycie jego korony i skarbcza rabunkiem. Nieważne, że to tylko głupie gadanie. Jeżeli ludzie będą o nas źle myśleć, może to nam w przyszłości przysporzyć kłopotów. Nikt nie chce waśni z rodem Amuliusza ani dalszych zwad między Romą i Albą. Nie zrozumcie mnie źle. Będę się bił z każdym, kto nas zaczepi, i jestem gotów zabić, jeśli będzie trzeba. Byłoby nam jednak łatwiej, gdyby ludzie uznali, że postąpiliśmy słusznie. Ale jak mamy ich do tego przekonać, skoro nas podejrzewają? Zastanawialiśmy się nad tym z Remusem od kilku dni i do niczego nie doszliśmy, aż tu nagle dziś raniutko zjawia się Pinariusz ze wspaniałym pomysłem. Prawda, Remusie?

– Może i prawda – odrzekł z wyraźnym sceptycyzmem Remus.

– My dwaj nie jesteśmy od myślenia, tylko od działania, dlatego cenimy przyjaźń takich ludzi jak nasz Pinariusz. W Albie walczył jak lew, a przy tym ma głowę nie od parady!

Pinariusz rzucił Potycjuszowi triumfujące spojrzenie.

– O czym ty mówisz, Romulusie?

– O jego planie! A raczej o prawdzie, którą Pinariusz przed nami odkrył, a którą my z kolei prześlemy światu. Mam mu opowiedzieć całą historię czy ty to zrobisz, Remusie?

– Opowiadaj, opowiadaj, braciszku. – Remus uśmiechnął się słabo. – Boję się, że mógłbym coś pominąć.

– Dobra. A więc, Potycjuszku, pamiętasz, jak to było z nami i Faustulusem? To się zdarzyło w roku wielkiej powodzi. Remus i ja zostaliśmy puszczeni na rzekę w drewnianej kołysce, która osiadła na stoku Palatynu... o, gdzieś tam. I Faustulus nas znalazł. Ponieważ wtedy wielu ludzi utonęło, wszyscy myśleli, że jesteśmy kolejnymi sierotami, więc dlaczego

Faustulus i jego żona nie mieliby nas wychować jak własne dzieci? Zawsze byli dla nas dobrzy, temu nikt nie zaprzeczy. Nazywam ich ojcem i matką i jestem z tego dumny.

Odwrociwszy twarz od bliźniaków, Pinariusz wyszczerzył zęby w uśmiechu; Potycjusz wiedział, że kuzyn przypominał sobie któryś z wulgarnych dowcipów na temat „wilczycy”.

– Ale Pinariusz odkrył coś nowego, zadając temu i owemu w Albie kilka pytań. Przypominam, że mówimy o roku wielkiej powodzi. Amuliusz nie był jeszcze królem. Panował tam wtedy jego brat Numitor. Amuliusz jednak... ten krwiożerczy sukinsyn... zabił go i sam nałożył koronę. To ci dopiero było morderstwo i rabunek! Nie ma chyba gorszej zbrodni... Zabił własnego brata! Pozostała tylko jedna osoba, która mogła sprawiać mu problem: jego bratanica Rea Sylwia. Co by było, gdyby urodziła syna, a on któregoś dnia postanowiłby pomścić dziadka i odebrać uzurpatorowi królestwo? Aby takiej ewentualności zapobiec, Amuliusz zmusił Reę, aby wstąpiła na służbę Westy... to taka ich bogini ziemi. Jej kapłanki, nazywane w Albie westalkami, ślubują wieczyste dziewictwo, a za złamanie ślubów czeka je kara śmierci. Łajdak musiał się mieć za wielkiego spryciarza... Pozwolił bratanicy żyć, uniknął więc splamienia sobie rąk jej krwią, a jednocześnie zabezpieczył się przed potencjalnym rywalem i na dodatek mógł głosić, że uczynił to na chwałę bogini! Plan jednak niezupełnie się powiódł... Mimo przysięgi, mimo odosobnienia w gaju poświęconym bogu wojny, Mamersowi, Rea Sylwia zaszła w ciążę. Część Alban twierdziła, że musiał ją zniewolić Amuliusz, jako że nikt inny nie miał do niej przystępu, a człowiek, który zgładził własnego brata, nie zawahałby się wszak przed gwałtem na bratanicy. Inni jednak opowiadają o wiele dziwniejszą historię... Jeśli im wierzyć, to dziewczynę wykorzystał nie kto inny jak sam Mamers... bo przecież żyła w jego świętym gaju. Kim naprawdę był ojciec, nikt się nigdy nie dowie, albowiem Rea zmarła w położu. Może zamordował ją Amuliusz, a może takie już było jej przeznaczenie. Dopiero teraz dochodzimy do najciekawszego wątku. Otóż według mieszkańców Alby Rea Sylwia urodziła... bliźnięta! Czyż nie ciekawi cię, mój Potycjuszu, co też się mogło stać z owymi dwoma chłopczykami, wnukami zamordowanego króla Numitora?

Potycjusz patrzył na niego z niedowierzaniem.

– Co ty sugerujesz, Romulusie?

– Wielka powódź, pamiętaj, przyjacielu! A kiedy ja i Remus zostaliśmy znaleźieni przez Faustulusa, co?

– I myślisz, że...

– Noworodki zniknęły... ale jak Amuliusz się ich pozbył? Mógłby zgodnie z prawem doprowadzić do zgładzenia Rei Sylwii, skoro złamała swoje kapłańskie śluby, ale nawet taki drań jak on nie chciał mieć na rękach krwi niewiniątek. Chodzą słuchy, że zrobił to, co ludzie zwykle robią, gdy chcą się pozbyć kalekich lub niechcianych dzieci: kazał słudze wynieść bliźnięta w jakieś odludne miejsce i zostawić na pastwę losu.

– Nikt nie ponosi odpowiedzialności za śmierć niemowlęcia porzuconego na pustkowiu. – Potycjusz skinął poważnie głową. – Umierają z woli bogów.

– Ale czy zawsze umierają? Wszyscy słyszeliśmy opowieści o noworodkach wychowanych przez dzikie zwierzęta albo w inny sposób uratowanych, ponieważ jakiemuś bogu czy numenowi podobało się je ocalić. Kto może powiedzieć, że tych dwoje dzieci, ułożonych obok siebie w kołysce na jakiejś pustej nadrzecznej łące, wielka woda nie poniosła daleko od Alby, gdzie nikt ich nie znał i gdzie dorastały w skromnej chacie przybranych rodziców, bezpieczne przed Amuliuszem... do chwili, kiedy bogowie uznali za stosowne poprowadzić je ku ich przeznaczeniu?

– Romulusie, wygadujesz wierutne bzdury! – Potycjusz pokręcił głową. – Toż to szalona historia!

– I to jak jeszcze! Genialnie szalona. Cała zasługa po stronie Pinariusza. To on zebrał te wszystkie fakty, dostrzegł oczywiste między nimi połączenie i był tak dobry, że przyszedł tu i nas oświecił.

Remus drgnął i skrzywił się. Zabolało go coś czy też nie w smak był mu entuzjizm brata?

– Trudno to nazwać faktami, bracie. To tylko spekulacje.

– Możliwe. Ale czyż ludzie właśnie takim szalonym historiom nie dają chętnie wiary?

– A ty wierzysz w to, Romulusie? – wtrącił Potycjusz.

Studiowanie wróżbiarstwa zaszczepiło w nim wielki szacunek dla poszukiwania prawdy. To często trudne i niewdzięczne zajęcie; człowiek nie zawsze może polegać na własnych oczach i uszach, a cóż dopiero mówić o relacjach innych, a nawet w najlepszych okolicznościach wola bogów może być niezbyt czytelna i w konsekwencji dość dowolnie interpretowana. Zręczna manipulacja prawdą w wykonaniu jego przyjaciela wprawiała go w zakłopotanie, a i Remus musiał mieć podobne wątpliwości.

– Może i wierzę – odrzekł Romulus. – Czy możesz mi powiedzieć, jak miała na imię kobieta, z której łona wyszliśmy? Nie? To dlaczego nie mogła to być Rea Sylwia?

– Ale... w takim razie... waszym ojcem musiałby być Amuliusz. Człowiek, którego zabiliście dla korony!

– Niewykluczone. Ale może spłodził nas bóg wojny Mamers? Nie krzyw się tak, Potycjusz! Ty sam twierdzisz, że pochodzisz od boga, którego wizerunek dynda ci na szyi, i że w twoich żyłach płynie krew Herkulesa. Dlaczego więc ja i Remus nie możemy być synami Mamersa? Tak czy owak, ta historia czyni nas wnukami i dziedzicami króla Numitora. Pozbywając się Amuliusza i przejmując jego skarb, dokonaliśmy jedynie zemsty na mordercy dziadka i odzyskaliśmy, co nam się prawnie należało!

Nastąpiła długa cisza, którą przerwał Remus.

– Ja też, jak Potycjusz, mam zastrzeżenia wobec tego pomysłu. Muszę jednak przyznać, że przypisanie sobie królewskiego pochodzenia rozwiązałoby nam wiele problemów. Nie

tylko teraz, dla udobruchania mieszkańców Alby, ale i później, na wypadek gdyby nasi ziomkowie przestali być wobec nas lojalni albo zaczęli zazdrościć nam powodzenia.

Romulus położył bratu dłoń na ramieniu i się uśmiechnął.

– Mój brat jest najmądrzejszym z ludzi. A ty, Pinariuszu, najsprytniejszym – dodał, co tamten skwitował chytrym uśmieszkiem. – I jakże jesteśmy szczęśliwi, że możemy dzisiaj powitać po długiej nieobecności naszego najstarszego i najwierniejszego przyjaciela.

Obdarzył Potycjusza tak ciepłym, pełnym uczucia spojrzeniem, że cały niepokój młodzieńca ulotnił się, jak poranna mgiełka nad Tybrem roztapia się w promieniach wschodzącego słońca.

753 r. p.n.e.

Jeżeli triumf bliźniaków nad Albą nazwiemy fundamentem, to przez następne miesiące konsekwentnie i metodycznie wznosili na nim swoją budowlę. W promieniu kilku dni jazdy od Romy rozrzucone były posiadłości wielu ludzi, którzy zebrali dość bogactw, by otoczyć się drużynami i nazwać królami. Romulus i Remus kolejno ich atakowali, zawsze znajdując stosowny powód do wojny. Byli już doskonałymi i nieustraszonymi wojownikami, wygrywali więc każdą bitwę, zagarniali dobra pokonanych i nakłaniali ich ludzi do przejścia pod swoje rozkazy. Z każdym kolejnym sukcesem umacniała się ich reputacja niezwycięzonych – i ludzie łatwo uwierzyli, że dwaj bracia mogą istotnie być potomkami Mamersa. Im większą zaś cieszyli się sławą, tym więcej mężczyzn się do nich garnęło, skuszonych perspektywą przygody i łupów. Nie było dnia, żeby na rynku nie pojawił się obcy przybysz, pytając o bliźniaków. Do Romy ściągali teraz ludzie zupełnie innego pokroju niż uczciwi kupcy, których rodziny odwiedzały targowisko od pokoleń, czy pracowici robotnicy, szukający sezonowego zajęcia w rzeźniach i przetwórnich mięsa. Wyglądali groźnie; niektórzy nosili broń, hełmy z brązu i źle dobrane fragmenty zbroi, na ciele zaś blizny po licznych bitwach. Inni przybywali jedynie w łachmanach, a wielu z nich miało rozbiegane oczy i niezbyt chętnie opowiadało o swej przeszłości. Trafiali się jednak także niewinni, podekscytowani, żądni przygód młodzieńcy z dobrych domów, porwani opowieściami o wyczynach Romulusa i Remusa i palący się do służby pod ich komendą.

– Co oni zrobili z naszą Romą! – wyrzekł Potycjusz senior. – Nie pamiętam już czasów, kiedy mogłem obejść wszystkie siedem wzgórz i nie napotkać ani jednej osoby, której bym nie znał z imienia. Znało się wszystkich sąsiadów, wiedziało się, kim byli ich ojcowie, dziadkowie i kuzyni i jakich bogów czciło się w ich domach najbardziej. Każda rodzina żyła tu od pokoleń. Teraz, ilekroć wyściubię nos z domu, mam wrażenie, że się natknąłem na zbieraninę wyrzutek i złodziei bydła! Już było źle, gdy tacy obwiesie ściągali tu

nieproszeni... a teraz bliźniacy ich tu wręcz wzywają! Przybywajcie do nas, mówią. Nieważne, kście wy, skąd jesteście i przed czym uciekacie... Jeśli nadajecie się do walki i gotowi jesteście przysiąc nam lojalność, to łapcie za broń i chodźcie z nami łupić i palić! Każdy rzeźmieszek i bandzior od gór po morze znajdzie schronienie w Romie, na wzgórzu Asylum. Bo i dlaczego nie? Tacy właśnie są potrzebni naszej sławnej hultajskiej dwójce!

Potycjusz, który teraz miał własną chatę nieopodal domu bliźniaków na Palatynie, planował tylko krótką wizytę, ale wpadł jak śliwka w kompot; ojciec wyraźnie miał krasomówczą wenę i nie zanosilo się na rychły koniec tyrady. Szczególnie ukłuła go wzmianka o Asylum. Kiedy grupa ich zwolenników zaczęła szybko rosnać, bliźniacy znaleźli dla nich kwatery na szczycie wysokiego wzgórza bezpośrednio nad targowiskiem. Było to miejsce jak stworzone na obozowisko armii: dwa najwyższe punkty po przeciwnych stronach szczytu zapewniały rozległy widok na całą okolicę, a strome stoki czyniły je najłatwiejszą do obrony naturalną fortecą w Romie. Nazwa, jaką od niedawna przyjęło się je określać – Asylum – wzięła się od wzniesionego tam przez Romulusa i Remusa ołtarza ku czci Asyleusa, boga włóczęgów, uciekinierów i wygnańców, oferującego schronienie tym, którzy nigdzie indziej znaleźć go nie mogli. Jako haruspik i kapłan Herkulesa, Potycjusz przewodniczył ceremonii poświęcenia ołtarza. Ostre słowa ojca o Asylum i jego lokatorach odebrał jak osobistą reprimendę.

Potycjusz senior dopiero się jednak rozgrzewał.

– A ty, mój synu, chodzisz z nimi na te wyprawy – rzekł z wyrzutem. – Przyłączyłeś się do łupieżców!

– Towarzyszę Romulusowi i Remusowi jako haruspik, ojczu. Przy rzecznych brodach proszę numeny o bezpieczną przeprawę. Przed każdą bitwą odczytuję z wnętrzości zwierząt ofiarnych, czy dzień sprzyja zwycięstwu. W czasie burzy szukam boskich znaków w błyskawicach. Do takich rzeczy zostałem wyszkolony w Tarkwiniach, ojczu.

– Zanim zostałeś haruspikiem, byłeś kapłanem Herkulesa, synu. Nie zapominaj, że przede wszystkim jesteś strażnikiem Ara Maxima.

– Wiem o tym, ojczu. Ale sam pomyśl... Herkules był synem boga i herosem dla ludzi. Romulus i Remus też...

– Nie! Bliźniacy są tylko sierotami wychowanymi przez świniopasa i jego wszeteczną żonę! Prędzej bym ich porównał do Kakusa niż do Herkulesa!

– Ojczu, jak możesz!

– Myśl trochę, mój synu. Herkules uratował ludzi i odszedł swoją drogą, o nic nikogo nie prosząc. Kakus mordował i kradł bez żadnych skrupułów. Którego z nich twoi ukochani przyjaciele bardziej przypominają?

Potycjusz aż się zachłysnął, słysząc tak otwarte oskarżenie. On sam, jeśli kiedykolwiek żywił podobne wątpliwości, wyzbył się ich raz na zawsze z chwilą, gdy zdecydował się stanąć u boku bliźniaków i z nimi związać swój los.

– A teraz – ciągnął ojciec – chcą otoczyć sporą część Romy murem jeszcze większym i mocniejszym od częstokołu broniącego dworu Amuliusza w Albie.

– Mur to chyba dobra rzecz, ojcze? Roma stanie się prawdziwym grodem. Jeśli zostaniemy zaatakowani, nasi ludzie będą za nim bezpieczni.

– A czemuż to ktokolwiek miałby atakować jej porządnych, uczciwych mieszkańców?... Ach tak, zapomniałem, że dwóch z nich sieje dookoła wojnę i cierpienie, zwożąc do domu więcej zrabowanych łupów, niż im do szczęścia potrzeba? Synu, iść przez życie można dwiema drogami. Jedną z nich szli zawsze twoi przodkowie: w zgodzie ze wszystkimi, uczciwie handlując i gościnnie podejmując przybyszów, nie dążąc do zgromadzenia nadmiernych bogactw, za to usilnie się starając nie obrażać ludzi ani bogów. Jeżeli człowiek czegoś potrzebuje, musi coś w zamian oferować. Roma zapewniała wszystkim dobre i bezpieczne miejsce do takich transakcji, dlatego w interesie wszystkich było zostawiać naszą osadę w spokoju. Nasze skarbcze nie pęczniały od złota, nie przyciągaliśmy więc też uwagi złych, chciwych ludzi. Jest jednak i ta inna droga, którą wybierają Amuliusze, Romulusowie i Remusowie tego świata... siłą wydzierać innym to, co uczciwą pracą zarobili. Tak, to droga do szybkiego wzbogacenia się, ale równie często na jej końcu czeka nędza i śmierć. Łatwo zastraszyć i okraść sąsiada, a zdobytym łupem opłacać obcych, by ci pomagali zastraszać i okradać kolejnych sąsiadów. Tylko co będzie, gdy ci gnębieni się zjednoczą i przyjdą się zemścić albo gdy pojawi się na scenie jeszcze silniejszy grabieżca, któremu zapachnie wypełniony skarbiec bliźniaków? Aaa, prawda, powiedziałeś, że przecież wtedy będziemy bezpiecznie ukryci za murem. Cóż za bzdura! Czy ci dwaj nie wyciągnęli żadnych wniosków ze swego zwycięstwa nad Amuliuszem? Czy króla Alby obroniły przed nimi mury i najemni żołnierze? Czy całe jego bogactwo kupiło mu choćby jeden oddech więcej, kiedy Romulus podcinał mu gardło?

Potycjusz pokręcił głową.

– Wszystko, co mówisz, ojcze, ma wielki sens, poza tym, że jest między bliźniakami a Amuliuszem jedna zasadnicza różnica. On utracił łaskę bogów i fortuna obróciła się przeciwko niemu. Romulusa i Remusa bogowie jednak miłują!

– Chciałeś chyba powiedzieć, że ty ich miłujesz, synu!

– Nie, ojcze. Mówię to nie jako ich przyjaciel, ale jako kapłan i haruspik. Bogowie miłują bliźniaków, to niezbity fakt. W każdej bitwie, zwłaszcza takiej na śmierć i życie, musi być zwycięzca i przegrany. Romulus i Remus zawsze zwyciężają. Nie mogłoby tak być, gdyby nie życzyli sobie tego bogowie. Z pogardą mówisz o drodze, którą wybrali, ale ja ci powiadam, że ich wyborowi musiało towarzyszyć boskie błogosławieństwo. Jak inaczej wytłumaczyć ich nieustające powodzenie? Dlatego z nimi idę i używam wszystkich swoich umiejętności, aby im tę drogę oświetlać.

Jego ojciec, nie umiając odeprzeć tych argumentów, umilkł.

* * *

Bliźniacy uzgodnili, że mur musi stanąć, ale nie byli zgodni co do jego umiejscowienia. Romulus opowiadał się za otoczeniem Palatynu; Remus uważał, że wybór powinien paść na leżący dalej na południe Awentyn. Dzień po dniu Potycjusz słuchał ich sporów.

– Kierujesz się tylko sentymentem, bracie – powiedział Remus. – Wychowaliśmy się na Palatynie, dlatego chcesz z niego uczynić centrum Romy. Ale tam poza kilkoma pasterzami i ich trzodą nikt nie mieszka. Po co otaczać murem pasące się owce? A może zamierzasz przegonić pasterzy i zbudować całe wzgórze? Mówię ci, zostawmy je dzikie i otwarte, jakie było przez całe nasze życie, i zbudujmy miasto gdzie indziej. Naturalnym na to miejscem jest równina na południe od Spinonu, bliżej rzeki. Targowisko, składy soli i rzeźnie już się tłoczą u podnóża Awentynu i to właśnie wzgórze powinniśmy ufortyfikować, i tam założyć miasto.

– Jakże roztropnie to zabrzmiało, braciszku! – Romulus roześmiał się w głos.

Dwaj bracia w towarzystwie Pinariusza i Potycjusza szli właśnie spacerem po Palatynie. Niebo było olśniewająco błękitne, tylko nad horyzontem kłębiły się białe chmury. Nakrapiane kwiatami stoki wzgórza pyszniły się bujną zielenią traw, ale nie delectowała się nią choćby jedna owca; wszystkie zapędzono do zagród, udekorowanych tego dnia pękami gałęzi jałowca i wieńcami z liści wawrzynu. Były to bowiem Palilia – święto bogini Pales. Tu i ówdzie unosiły się w niebo smużki dymu. Wszystkie rodziny zbudowały własne ołtarzyki z płaskich kamieni; palono na nich różne rzeczy – garście siarki dla oczyszczenia, emitujące kłęby niebieskiego dymu; gałązki pachnącego rozmarynu, wawrzynu i sabińskiego jałowca; potem zaś właściwe ofiary, złożone z łodyg fasoli zmieszanych z popiołem z wcześniej spalonych cieląt i skropionych końską krwią. Pasterze jałowcowymi wiechciami kierowali ofiarny dym nad stłoczone w zagrodach zwierzęta, co miało zapewnić im zdrowie i płodność. Po dokonaniu rytuału pożywiano się ciastkami z prosa i ciepłym mlekiem skropionym winnym moszczem.

– Bardzo roztropnie – powtórzył Romulus. – Ale to nie kwestia rozumu, braciszku. Tu chodzi o stworzenie miasta odpowiedniego dla dwóch królów. Mówisz, że wybieram Palatyn, bo jestem sentymentalny. A żebyś wiedział, że jestem! Jak możesz iść tędy w ten święty dzień i nie czuć, że to wyjątkowe miejsce? Nie bez powodu bogowie kazali naszej kolebce osiąść akurat tutaj. Zaprawdę, to samo serce Romy! Musimy otoczyć Palatyn murem i w ten sposób uhonorować dom, w którym wyrosliśmy. Bogowie będą błogosławić naszemu przedsięwzięciu.

– To śmieszne! – rzucił Remus tak ostro, że wszyscy drgnęli zaskoczeni. – Jeśli nie umiesz słuchać rozumu, to jak zamierzasz rządzić miastem?

Romulus z widocznym wysiłkiem starał się mówić spokojnie.

– Jak dotąd, mój bracie, jakoś sobie radziłem, tworząc armię i prowadząc ją do boju.

– Dowodzenie armią i kierowanie miastem to dwie różne rzeczy. Czyżbyś był tak głupi, że tego nie rozumiesz?

– Ty masz czelność nazywać głupcem mnie, Remusie? To nie ja dałem się jak głupi złapać Amuliuszowi i to nie mnie trzeba było ratować...

– Jak śmiesz mi to w oczy wypominać! A może sprawia ci przyjemność przypominanie mi dni, które spędziłem w męce tylko dlatego, żeś ty marnował czas w Romie...

– Jesteś niesprawiedliwy, bracie! To nieprawda!

– I ponieważ to ty wykończyłeś Amuliusza, teraz sam paradujesz w jego koronie, chociaż mi obiecałeś, że będziemy się nią dzielić równo.

– A więc o to ci chodzi? To ją sobie bierz! Noś ją, ile chcesz!

Romulus zdjął z głowy żelazny diadem i cisnąwszy go ze złością w trawę, odwrócił się i odszedł. Pinariusz natychmiast pobiegł za nim.

Jako dzieci bliźniacy nigdy się nie kłócili. Teraz robili to niemal bez przerwy, a temperatura ich sporów wciąż rosła. Romulus zawsze był uparty i impulsywny, i to Remus musiał go powstrzymywać. Odniesione z rąk Amuliusza rany zmieniły go jednak nie do poznania. Fizycznie nigdy nie wrócił do dawnej kondycji i na stałe pozostało mu lekkie utykanie. Co ważniejsze, opuściła go też dawna równowaga; stał się równie porywczy i skłonny do gniewu jak jego brat. Romulus także się zresztą zmienił od czasu Alby. Wciąż był pełen temperamentu, ale też bardziej zdyscyplinowany i zdecydowany, no i oczywiście jeszcze bardziej pewny siebie i arogancki.

W Albie Remus zaznał cierpienia i upokorzenia; Romulus pławił się w chwale i satysfakcji z roli wybawiciela brata. Jeden był ofiarą, drugi bohaterem. Ta nierówność ról wbiła się między nich klinem, tworząc najpierw drobną rysę na monolicie, która jednak stale się powiększała. Potycjusz wiedział, że w kłótni, której był świadkiem, nie chodzi o mur, ale o jakiś straszny rozdźwięk między braćmi, którego żaden z nich nie umie ani nazwać, ani naprawić. Rzucona przez Romulusa korona wylądowała u stóp Potycjusza. Pochylił się, by ją podnieść; zdziwiony jej ciężarem, podał Remusowi, który wziął ją w ręce, ale na głowę nie nałożył.

– Tę sprawę z murem trzeba załatwić raz na zawsze – powiedział cicho, wpatrując się w diadem. – Co o tym sądzisz, Potycjusz? – Zobaczył zakłopotaną minę przyjaciela i zaśmiał się niewesoło. – Nie, nie proszę cię o dokonanie wyboru. Potrzebna mi twoja wiedza haruspika. Jak możemy to rozstrzygnąć, odwołując się do boskiego wyroku?

Przez mgnienie oka przesunął się nad nimi cień. Potycjusz spojrzął w górę i zobaczył szybującego wysoko sępa.

– Myślę, że wiem, jak to zrobić – powiedział.

* * *

Próba sił odbyła się następnego dnia. Oczywiście nie Potycjusz, lecz bliźniacy tak to nazwali, najwyraźniej tak właśnie o tym myśląc. Dla haruspika był to poważny rytuał, wymagający odeń użycia całej zdobytej w Tarkwiniach wiedzy.

Odprawiano go jednocześnie na obu wzgórzach. Romulus stał w najwyższym punkcie Palatynu, patrząc w kierunku północnym. Obok siebie miał Pinariusza, który występował jako kapłan Herkulesa. Remus z Potycjuszem zajęli miejsca na Awentynie, zwrócenie na południe. W obu miejscach wbite mocno w ziemię tkwiły żelazne pręty; za ich pomocą można było dokładnie wyznaczyć moment kulminacji słońca. Nakreślona na piasku w pewnej odległości linia miała posłużyć do pomiaru czasu: do chwili, gdy dotknie jej przesuwający się cień, każdy z braci miał obserwować niebo w poszukiwaniu lecących sępów, a dwaj kapłani zapisywać ich liczbę kreskami stawianymi ostrzem włóczni. Dlaczego akurat sępów? Potycjusz tak wyjaśnił swoje rozumowanie zainteresowanym:

– Sęp jest poświęcony Herkulesowi, którego zawsze radował widok tych ptaków. Ze wszystkich stworzeń to on jest najmniej szkodliwy. Nie niszczy zbiorów, nie zjada owoców z drzew ani nie atakuje bydła. Nie zabija żadnej żywej istoty, tylko żywi się padliną. Innego ptaka nie tknie przy tym nawet martwego, podczas gdy orły, sokoły i sowy potrafią napadać także na własny gatunek. Z całego ptactwa sępy najrzadziej się widuje, a mało kto z ludzi może się pochwalić, że widział ich młode. Z tego powodu Etruskowie wierzą, że sępy przybywają z jakiegoś innego świata. Dlatego niechże właśnie one staną się dla nas wyrazem boskiej woli w sprawie umiejscowienia przyszłego grodu Roma.

Nadeszło południe. Na Awentynie Remus podniósł rękę i wskazał na niebo.

– O, tam jest jeden!

Potycjusz stłumił uśmiech. W Tarkwiniach nauczył się rozpoznawać wszystkie gatunki ptaków z dużej odległości.

– Myślę, że to raczej sokół, Remusie.

– Masz rację – zgodził się po dłuższym wyężaniu oczu jego przyjaciel.

Obserwowali dalej. Czas zdawał się stać w miejscu.

– Jest, widzę go – oznajmił nagle Potycjusz.

Remus poszedł wzrokiem za jego wyciągniętą ręką i skinął głową. Haruspik nakreślił linię w piasku.

W końcu cienie prętów dojrnęły do wyznaczonej kreski. Na piasku widniało sześć znaków; tyle sępów pojawiło się na południowej części nieba. Uśmiechnięty Remus aż klasnął w dłonie z zadowolenia; Potycjusz zgodził się z jego zdaniem, że to duża liczba i dobrze wróży jego sprawie.

Zeszli z Awentynu. Z Romulusem i Pinariuszem mieli się spotkać przy kładce nad Spinonem. Czekali długo, aż wreszcie Remus się znecierpliwił i ruszył ku Schodom Kakusa. Potycjusz podążył za nim. Na schodach Remus kilkakrotnie się potknął; haruspik zwrócił uwagę, że jego przyjaciel kuleje bardziej niż zwykle.

Zastali pozostałą dwójkę siedzącą na pniu zwałonego drzewa w pobliżu miejsca, skąd do niedawna obserwowali niebo – byli roześmiani i pogrążeni w ożywionej rozmowie, najwyraźniej w wysmienitym humorze.

– Mieliśmy się spotkać nad potokiem – rzekł Remus z pretensją w głosie. – Dlaczego tu jeszcze siedzicie?

Romulus wstał i uśmiechnął się szeroko.

– Dlaczego król Romy miałby opuszczać serce swego królestwa? Mówiłem ci, że to Palatyn jest godzien tego miana, a dzisiaj bogowie jasno pokazali, że się ze mną zgadzają.

– O czym ty mówisz?

– Idź i sam zobacz. – Romulus machnął ręką w stronę miejsca, gdzie Pinariusz stawiał znaki w piasku.

Kiedy Potycjusz ujrzał, ile ich jest, głośno wciągnął powietrze.

– To niemożliwe – wyszeptał.

Kresek było tyle, że nie można było ich policzyć jednym rzutem oka. Remus zaczął to robić na głos:

– ...dziesięć, jedenaście, dwanaście... Dwanaście! – Odwrócił się do brata. – Chcesz powiedzieć, że aż tyle sępów widziałeś?

– Owszem.

– Nie były to sokoły, jaskółki, orły?

– To były sępy, braciszku. Najświętsze ptaki Herkulesa i najrzadsi goście na niebie. W ciągu ustalonego czasu patrzyłem i ujrzałem dwanaście sępów na północnym niebie.

Remus otworzył usta, by coś odpowiedzieć, ale zaraz je zamknął i stał tylko w osłupieniu. Potycjusz równie zaskoczony patrzył na Pinariusza.

– Czy to prawda, kuzynie? – zapytał po chwili. – Ty też je widziałeś na własne oczy? Sam rysowałeś kreski? Dopełniłeś rytuału uczciwie i sumiennie wobec bogów, jak przystoi kapłanowi Herkulesa?

Pinariusz odwzajemnił mu się zimnym spojrzeniem.

– Oczywiście, drogi kuzynie. Wszystko odbyło się jak należy. Romulus widział dwanaście sępów, a ja postawiłem dwanaście kresek. Ile sępów zobaczył Remus?

Jeżeli Pinariusz kłamał, to kłamcą musiał być także sam Romulus. Czy oszukałby brata w tak ważnej sprawie, i to z uśmiechem na ustach? Potycjusz zerknął na Remusa; szczęka przyjaciela drgała, powieki mrugały raz po raz. Od czasu tortur u Amuliusza miewał czasem nerwowe tiki, teraz jednak było to coś innego: Remus walczył z łzami. Musiał tę walkę przegrywać, po chwili bowiem potrząsnął głową i bez słowa odszedł, utykając jeszcze silniej.

– Ile zobaczył Remus? – powtórzył pytanie Pinariusz.

– Sześć.

– A więc wola bogów jest oczywista. – Pinariusz skinął głową. – Prawda, kuzynie?

* * *

Kiedy Romulus wziął go później na stronę i poprosił o radę jako haruspika w sprawie wytyczenia granic miasta, Potycjusz się wzbraniał. Nie posunął się do oskarżenia go o kłamstwo, Romulus jednak wyczytał to z jego oczu. Nie przyznając się do niczego, odrzucił zgłaszane przez przyjaciela wątpliwości co do sposobu liczenia sępów. Była kwestia sporna, oświadczył, należało ją jakoś rozstrzygnąć, a teraz życie musi się toczyć dalej. Subtelny pochlebstwem przekonał Potycjusza, że jego współpraca ma zasadnicze znaczenie dla powstania miasta. Tłumaczył, że można to robić właściwie i niewłaściwie, więc dla dobra mieszkańców Romy wszystko powinno się odbywać zgodnie z wolą bogów – któż zaś, jeśli nie Potycjusz, może najlepiej ją odgadnąć? Romulus podkreślał, że gorąco pragnie, aby Remus miał równy udział w rytuale, i ostatecznie przekonał haruspika, by przyjął na siebie rolę mediatora.

Kiedy nadszedł dzień ustalenia pomerium – świętych granic nowego grodu – dzięki nadzorowi Potycjusza ceremonia przebiegała zgodnie z pradawną tradycją przejętą od Etrusków i obaj bliźniacy uczestniczyli w niej na równych prawach. W miejscu, które haruspik wyznaczył jako dokładny środek Palatynu, na zmianę posługując się szpadlem, wykopali głęboką jamę. Każdy, kto chciał zostać obywatelem przyszłego miasta, podchodził i wypowiadając słowa: „Oto garść ziemi od...” – tu podawał swoje imię i miejsce pochodzenia – rzucał podniesioną z przyzmy grudkę z powrotem do dołu. Obrzędu dopełniali i ci, których rody były zasiedziały w Romie od pokoleń, i przybysze najświeższej daty, a mieszanie się ziemi w jamie symbolizowało stapianie się ich wszystkich w jedną społeczność. Nawet ojciec Potycjusza mimo wcześniejszych zastrzeżeń dorzucił garść piasku przyniesionego spod progu swego domu.

Kiedy jama została w ten sposób zasypana, ustawiono na jej miejscu kamienny ołtarz. Potycjusz wezwał Jowisza, ojca Herkulesa, na świadka zakładania miasta; Romulus i Remus podobne prośby złożyli Mamersowi i Weście, jako ich domniemanemu ojcu i bogini, której poświęciła się ich matka Rea Sylwia. Zawczasu obeszlą Palatyn i ustalili, jaki będzie najlepszy przebieg fortyfikacji. Teraz zeszli do stóp wzgórza, gdzie czekał zaprzężony w parę zwierząt – białego byka i białą krowę – pług z brązu. Bracia zaczęli kolejno wyorywać bruzdę, która miała wyznaczyć tereny przyszłego grodu; gdy jeden pchał pług, drugi szedł obok w koronie Amuliusza na głowie. Romulus orkę rozpoczął, Remus zakończył, zamykając krąg.

Tłum, idący za nimi krok w krok przez całą drogę, jał wiwatować, śmiać się i szlochać z radości. Bracia unieśli ku niebu zmęczone ramiona, po czym zwrócili się ku sobie i objęli się serdecznie. W owej chwili Potycjusz był święcie przekonany, że istotnie są wybrańcami bogów i żadna ziemską potęgą nie może ich pokonać.

Tego dnia, w miesiącu, który później nazwano Aprilis, w roku, który po wielu pokoleniach potomni mieli określać jako siedemset pięćdziesiąty trzeci przed naszą erą, narodziło się miasto Rzym.

* * *

Niezwłocznie rozpoczęto budowę umocnień. W porównaniu z wielkimi fortyfikacjami powstałymi w innych miejscach na świecie, jak choćby dawną Troją, było to projekt bardzo skromny. Bracia nie chcieli wznosić muru z kamienia; byłoby to po prostu nie możliwe, ponieważ w okolicy nie było ani kamieniołomów, ani sprawnych murarzy, którzy umieliby wycinać i układać bloki, ani też nikogo, kto by dysponował odpowiednią wiedzą inżynierską dla zaprojektowania takiej budowli. Nowy gród miała otoczyć sieć fos, ziemnych wałów i drewnianych ostrokołów; na niektórych odcinkach obwodu fortyfikacji same strome stoki wzgórza zapewniały naturalną, dodatkową obronę. Choć jednak w oczach greckiego tyrana lub budowniczego egipskich świątyń wzbudziłyby może uśmiech politowania, pierwsze fortyfikacje Romy były przedsięwzięciem na skalę nigdy przedtem nie widzianą w regionie Siedmiu Wzgórz. Siły roboczej dostarczyli zarówno mieszkańcy Asylum, towarzysze broni bliźniaków, jak i miejscowa młodzież, która wraz z nimi dorastała. Mało kto miał doświadczenie w pracach, jakich teraz od nich wymagali. Częste błędy i sporo zmarnowanych wysiłków były powodem licznych sprzeczek między budowniczymi.

Jeżeli cokolwiek szło źle, to raczej Romulus dawał się ponieść złości. Wrzeszczał na robotników, groził im, a bywało, że i uderzył. Im goręcej zapewniali o swej niewinności, w tym większą wpadał furję, podczas gdy Remus trzymał się na dystans i obserwował braterskie wybuchy z ledwo skrywanym rozbawieniem. Potycjuszowi się z początku wydawało, że wszystko po prostu wraca do normy: Romulus znów był tym w gorącej wodzie kąpanym, a Remus spokojnym i zrównoważonym. Kiedy jednak podobne sceny powtarzały się z rosnącą częstotliwością – niepowodzenie na budowie, oznaki gniewu Romulusa, protesty podwładnych, ironia i obojętność Remusa – haruspik zaczął żywić podejrzenia.

Nie był w tym osamotniony. Pinariusz także każdego dnia przebywał na budowie i niewiele rzeczy uchodziło jego bystremu wzrokowi i umysłowi. Pewnego popołudnia odciągnął Potycjusza na bok.

– Kuzynie, tak dłużej być nie może. Myślę, że powinieneś pogadać z Remusem... chyba, że to ty go do tego podżegasz.

– Co masz na myśli, Pinariuszu?

– Na razie nic nie mówiłem Romulusowi o moich podejrzeniach. Nie chciałbym jeszcze bardziej poróżnić bliźniaków.

– Mówże jaśniej!

– Dobrze. Za dużo jest problemów z tą budową. Nasi ludzie może nie są fachowcami, ale głupi nie są. Nie mogą też wszyscy być leniami i tchórzami, którzy nie chcą przyjąć za nic odpowiedzialności. Romulus z każdym dniem jest coraz bardziej poirytowany, podczas gdy Remus omal mu się nie śmieje w nos. Odrobina nieszkodliwej psoty to jedno, ale celowe, zdradzieckie działanie to już zupełnie inna sprawa.

– Chcesz powiedzieć, że ktoś sabotuje budowę?

– Być może to tylko seria głupich kawałów. Może ktoś po prostu chce wyprowadzić Romulusa z równowagi, ale skutki trudno uznać za zabawne. Romulus zaczyna wychodzić na głupca, jego autorytet jest podkopany. Morale robotników spada... Za tym musi stać ktoś bardzo sprytny. Czy to nie ty, kuzynie?

– Oczywiście, że nie!

– Wobec tego kto? Ktoś z bliskich kręgów Remusa, kto może z nim swobodnie rozmawiać, musi z nim bardzo poważnie o tym podyskutować. Może ty powinienes się tego podjąć, Potycjusz.

– I oskarżyć go o zdradę?

– Użyj słów, jakie uznasz za właściwe. Dopilnuj tylko, aby Remus zrozumiał, że tak dłużej być nie może.

* * *

Kiedy Potycjusz zwrócił się z tą sprawą do Remusa – bardzo ostrożnie, w zawołany sposób, niczego mu nie zarzucając, sugerując jedynie, że nieznana osoba lub osoby usiłują wstrzymać postęp prac – ten zbył go wzruszeniem ramion.

– Kto miałby coś podobnego robić? Nikt taki mi nie przychodzi do głowy. Czy jednak wzięłeś pod uwagę, drogi Potycjusz, że samo przedsięwzięcie może być przeklęte? Że jeśli rzeczywiście ktoś pragnie uniemożliwić jego dokończenie, to wcale nie musi to być człowiek?

Potycjusz pokręcił głową.

– Zrobiliśmy wszystko, żeby przebłagać numeny i uprosić bogów o błogosławieństwo. Ty sam zanosieś modły do Mamersa i Westy...

– Tak, ale czy pierwsza wróżba rzeczywiście została właściwie przeprowadzona?

Potycjusz poczuł się osobiście dotknięty.

– Próba sępów była solennie przemyślana. Zastosowałem wszelkie prawa wróżbiarstwa, jakich się wyuczyłem w Tarkwiniach...

– Niczego ci nie mam do zarzucenia, przyjacielu, ani nie podaję w wątpliwość twoich kwalifikacji haruspika – przerwał mu Remus. – Ale czy samo liczenie było prawidłowe... i uczciwe? Jeżeli nie, to wybór Palatynu oparty był na fałszu, a miasto wymyślone przez mojego brata jest zniewagą dla bogów... którzy mają swoje sposoby, by to okazać.

– Ale jeśli tak sądzisz, Remusie...

– Nie powiedziałem, że tak sądzę. Podsuwam tylko taką możliwość. Jest przynajmniej równie wiarygodna jak twoje przypuszczenie, że ktoś działa tu na szkodę. Zapytam raz jeszcze, Potycjusz: kto chciałby to robić? Komu może zależeć na sianiu zamieszania, a przy tym byłby tak zuchwały i przebiegły zarazem, by tego dokonać?

Remus uniósł brwi i posłał przyjacielowi pobłażliwy uśmiech, oznaczający, że dla niego ta sprawa jest zamknięta. Potycjusz jednak, jeszcze bardziej zaniepokojony niż dotąd, poczuł, że budzi się w nim nowe podejrzenie. Był teraz pewien, że Remus nie uczynił nic w celu przeszkodzenia w budowie muru, choć tak sobie podrwiwał z wybuchów gniewu brata. Jeżeli więc naprawdę jest wśród nich wichrzyciel, ktoś, kto mówi jedno, a myśli drugie, kto zawsze zdaje się kierować jakimś własnym, ukrytym motywem... to czyż takim człowiekiem nie jest jego kuzyn Pinariusz?

Potycjusz nie podzielił się z przyjacielem tym nowym domysłem. Postanowił na razie siedzieć cicho, obserwować i czekać. Później miał żałować, że nic nie powiedział – nie tylko Remusowi, ale i Romulusowi; niewykluczone jednak, że nic, co by zrobił, nie mogło odmienić biegu wydarzeń.

* * *

Nadeszło lato, a wraz z nim długie, parne dni. Prace przy fortyfikacjach postępowały, ale tempo znacznie spadło, wciąż też się pojawiały jakieś komplikacje. Ludzie byli zmęczeni długotrwałym wysiłkiem; pragnęli znów ruszyć na wojaczkę i po łupy. Właśnie w taki szczególnie upalny i wilgotny dzień, gdy temperamenty łatwo wrzały, wydarzyło się największe nieszczęście.

Ludzie pracowali przy odcinku muru, gdzie teren był stosunkowo płaski i dlatego wymagał odpowiednio mocnego ufortyfikowania. Najpierw przygotowywano elementy częstokołu z zastrzonych pali, ułożonych obok siebie i wiązanych grubymi rzemieniami. Potem wykopano wąski rów, stawiano w nim gotowe części i spinano razem tak, by po zasypaniu rowu i ubiciu ziemi palisada była sztywno osadzona w podłożu. Użyte pnie i konary niewiele przewyższały człowieka, a po wkopaniu były jeszcze niższe; gdyby podczas oblężenia nazbierało się pod palisadą wiele trupów, napastnik o długich nogach i silnych nerwach mógłby się pokusić o jej przeskoczenie. Romulus uznał, że na tym odcinku potrzebna jest następna linia obrony, rozkazał więc ludziom, by wykopali zewnętrzny okop, głęboki do kolan, który miał później być najeżony zastrzonymi kołkami.

Kopanie było pracą najbardziej znienawidzoną, zwłaszcza teraz, gdy spalona słońcem ziemia była twarda jak kamień. Ociekali potem, klęli pod nosem i opowiadali sobie nawzajem, jak byłoby słodko sięść teraz na koń i popędzić z wiatrem, szukając szczęścia, przygody, łupów i kobiet.

Nagle, najpierw w paru miejscach, a potem wzdłuż całego odcinka świeżo postawionego częstokołu grunt między nim a okopem zaczął się osuwać. Robotnicy kopali zbyt blisko pali; ubita ziemia – jedyne ich zakotwiczenie – poddała się i w jednej chwili palisada się zachwiała i runęła prosto na zajętych kopaniem ludzi.

Romulus i Remus byli akurat w pobliżu, dyskutując wraz z Potycjuszem i Pinariuszem na temat następnego odcinka muru. Usłyszawszy krzyki, rzucili się w tamtą stronę. Zwalona ściana była zbyt ciężka, by można było ją unieść, i przygnięcionych trzeba było spod niej wywlekać. Tam, gdzie to było niemożliwe, ratujący gorączkowo zabrali się do demontażu, tnąc rzemienie nożami, i odciągali pojedyncze pale na bok. Poszkodowanych było wielu, ze zmiądzonymi palcami, złamanymi rękami, pękniętymi czaszkami; trzymali się za zranione miejsca, krzyczeli i jęczeli z bólu.

Wśród powstałego chaosu i zgiełku Potycjusz kątem oka dostrzegł, że Pinariusz bierze Remusa na stronę i coś mu szepcze do ucha. Nigdy dotąd nie widział na twarzy Remusa takiego grymasu wściekłości. Co Pinariusz mu mówił? Potycjusz przysunął się bliżej i usłyszał gorączkowy szepot kuzyna:

– To nie był mój pomysł, przysięgam! Romulus nalegał, a ja bałem się mu odmówić...

– Wiedziałem! – krzyknął Remus. – Podejrzywałem od początku, ale do tej chwili nie mogłem mieć pewności. Ten kłamca!

Ścisnąwszy w rękę nóż, odsunął Pinariusza i ruszył w stronę brata.

Romulus wyprostował się akurat znad leżącego rannego robotnika i zobaczył nadchodzącego. Poblądł, widząc wyraz jego twarzy, i odskoczył do tyłu.

Remus nie zaatakował. Wskazał tylko nożem na zburzony częstokół.

– Widzisz, bracie, co osiągnąłeś swoimi kłamstwami i knowaniami? Jesteś teraz zadowolony?

Romulus patrzył na niego, nic nie rozumiejąc.

– Narzekałeś, że ściana nie jest dość wysoka – ciągnął Remus. – No, to się jej teraz przyjrzyj! Każdy może ją przeskoczyć, nawet kulawy! – Wziął rozbieg i jednym skokiem pokonał przeszkodę, po czym odwrócił się, by dalej drwić z brata. – Na co komu mur, który nie może stać prosto? A dlaczego nie może? Dlatego, że bogowie robią ci kawał, braciszku! Wkurzyłeś ich. Możesz okłamać mnie i wszystkich w Romie, ale bogów się oszukać nie da. Śmieją się teraz z ciebie, jak i ja się śmieję!

– Bogowie są po mojej stronie! To ty niszczyłeś moją pracę. Jak śmiesz spiskować za moimi plecami, a potem winić za to bogów? Jak śmiesz kpić ze mnie? – wykrzyknął rozjuszony Romulus, łapiąc za szpadel i rzucając się na brata.

Żaden z przeciwników nie miał dostatecznej przewagi, by walka szybko się rozstrzygnęła. Remus był teraz słabszy fizycznie, ale dysponował lepszą bronią. Romulus zaślepiony gniewem niezgrabnie wymachiwał szpadlem, odsłaniając się raz po raz przed nożem brata. Drobne cięcia, jakie otrzymywał, w tym większą wprawiały go furię i

pozbawiały resztek rozważli, ból zaś odbierał mu siły. Parokrotnie zdołał jednak trafić Remusa w ramię lub biodro na tyle silnie, by go zwalić z nóg, on jednak szybko się odbijał, odzyskiwał równowagę i natychmiast kontratakował. W końcu kolejny cios spadła dosięgnął jego dłoni i wytrącił z niej nóż.

Romulus wznosił ramię nad głowę i szykował się do zadania bezbronnemu ostatecznego ciosu z całych sił. Patrzący jak jeden mąż wstrzymali oddech. Zamiast uderzyć, wydał tylko z siebie dziki okrzyk, odrzucił broń i rzucił się na brata, sięgając do jego gardła. Zwarci w uścisku potoczyli się na ziemię.

Potycjusz przycisnął ręce do piersi. Aż do tej chwili naprawdę się bał, że któryś z braci może zabić drugiego. Teraz jednak, szczepieni z całych sił i walczący gołymi rękoma, muszą w końcu opaść z sił i odzyskać zmysły. Wznosił otwarte dłonie ku niebu i zaczął szeptem modlić się do Herkulesa. Wymawiając święte imię, miał wrażenie, że słyszy jego echo gdzieś obok; zerknął w tamtym kierunku i ujrzał, że Pinariusz też stoi z uniesionymi rękami i porusza ustami w modlitwie. Tylko o co się modlił?

Żaden z bliźniaków nie dawał za wygraną. Okładali się pięściami, dusili, usiłowali wbić przeciwnikowi palce w oczy. Przewagę zyskiwał to jeden, to drugi.

Tego dnia na Remusa wypadła kolej noszenia żelaznej korony. Przylegała ciasno do jego głowy; nie zsunęła się podczas walki, dopóki Romulus nagle mu jej nie ściągnął. Remus krzyknął i usiłował ją odebrać. Obydwaj chwycili żelazny diadem z całych sił, wykręcając i ciągnąc we wszystkie strony, aż podnieśli się na kolana. Korona zdawała się teraz wisieć nieruchomo w powietrzu. Kłykcie im zbieleły, ścięgna wystąpiły na nadgarstki, a z zaciśniętych na żelazie palców zaczęła płynąć krew.

Remus przegrał. Puścił koronę i pociągnięty siłą napiętych do granic mięśni upadł na wznak. Romulus też się zatoczył, ale błyskawicznie odzyskał równowagę i zanim brat zdołał się pozbierać, uniósł koronę wysoko i z całej siły uderzył.

Potycjusz, który ani na chwilę nie przerwał gorączkowych modłów, usłyszał trzask pękającej czaszki. Odgłos był ostry i przeszywający, jak przy łamaniu suchej gałęzi w mroźny zimowy dzień. Cios był tak potężny, że pozostawił w głowie Remusa wgniecenie, w którym zmieściłaby się męska pięść.

Romulus dyszał ciężko, drżąc z napięcia i wyczerpania. Przez chwilę wpatrywał się w zakrwawioną twarz brata, a potem chwiejnie stanął na nogach. Powoli nałożył na głowę splamioną czerwienią koronę. Okrążył leżące martwe ciało, krocząc niepewnie jak pijany, tocząc wzrokiem po osłupiałych twarzach. Przystanął i wskazując dłonią na Remusa, wykrzyczał:

– Patrzcie wszyscy! Widzicie? Tak skończy każdy, kto się ośmieli skakać przez moje mury!

Ktoś w tłumie jęknął, ktoś głośno wciągnął powietrze; niektórzy szlochali; paru z najokrutniejszych i żądnych krwi wagabundów, którzy przybyli do Romy szukać schronienia

w Asylum, mruknęło z aprobatą. W tle słychać było zawodzenia wciąż uwięzionych pod częstokołem robotników. Przed oczyma Potycjusza pływały wielkie, oleiste plamy. Czuł się słabo, kręciło mu się w głowie. Zdawało mu się, że rzeczywistość ustąpiła sennemu koszmarowi.

Romulus raptownie się zatrzymał. Ramiona opadły mu bezwładnie. Podążył wzrokiem za własnym, zakrwawionym, oskarżycielsko wycelowanym palcem ku strzaskanemu czołu Remusa. Pierś zaczęła mu się unosić i opadać konwulsyjnie. Osunął się na kolana, odchylił do tyłu i wydał z siebie jęk tak przeraźliwy i straszny, jakiego żaden z obecnych nigdy jeszcze nie słyszał. Ludzie zakrywali sobie uszy, by go do siebie nie dopuścić, ale na próżno. Potycjusz miał wrażenie, że serce mu stanęło, a krew ścięła się lodem.

Romulus rzucił się na zwłoki brata, zanosząc się rozpaczliwym płaczem.

Haruspik odwrócił wzrok. Po chwili zdał sobie sprawę, że ma przed sobą swego kuzyna, beznamiętnie obserwującego rozgrywającą się scenę. Był prawie pewien, że przeżywa straszny sen – czyż bowiem na jawie ktokolwiek mógłby patrzeć na gróź czynu Romulusa i reagować, jak Pinariusz, ledwo skrywanym uśmiechem?

* * *

Remus został pochowany na szczycie Awentynu, w tym samym miejscu, w którym tak niedawno wypatrywał zesłanych przez bogów sępów. Ceremonię odprawił Potycjusz, on też wygłosił mowę pogrzebową. Romulus stał wśród żałobników; nie płakał, nie odezwał się też ani słowem. Odtąd już nigdy nie mówił o bracie, a po pogrzebie zabronił wszystkim wspominać w jego obecności imię Remusa.

Wszyscy zwrócili uwagę na dziwny fakt: po śmierci Remusa skończyło się pasmo niepowodzeń. Budowa umocnień postępowała bez dalszych problemów i wielki projekt wkrótce został ukończony.

Potycjuszowi nie dawało to spokoju. Czyżby Remus go okłamał, wypierając się odpowiedzialności za utrudnianie budowy? Nie. Był przekonany, że winien jest ktoś inny, kto teraz zaprzestał szkodliwej działalności, aby wyglądało na to, że winowajcą był zabity bliźniak. Ta sama osoba zatrąła też myśli Romulusa przeciwko bratu, a także sprowokowała Remusa, informując go w dniu jego śmierci, że próba sępów była sfalszowana.

Potycjusz nie miał jednak na to żadnych dowodów, a bez nich jego teoria nie miała żadnego znaczenia; jego wpływ na króla był już na to za słaby. Po śmierci Remusa jego brat jeszcze bardziej polegał na Pinariuszu. To za jego radą brał na siebie jako król Romy coraz więcej funkcji religijnych – odbierając je Potycjuszowi. Haruspik pozostał dziedzicznym kapłanem Herkulesa i strażnikiem Ara Maxima; tak miało być do końca jego dni. Od czasu do czasu król korzystał z jego wiedzy wróżbiarskiej, ale i tak coraz częściej sam się brał do

odczytywania boskich znaków na niebie. Też w końcu miał do tego kwalifikacje – czyż nie był synem boga?

717 r. p.n.e.

Romulus miał zaledwie osiemnaście lat, gdy zakładał miasto i obejmował nad nim władzę. Trzydzieści sześć lat później wciąż był królem Romy.

Przez te lata osiągnął wiele i stoczył wiele wojen. Większość z nich nie wykraczała poza okresowe najazdy na sąsiadów w celu grabieży i podporządkowania sobie innych królów. Poważniejszą kampanię prowadził w ostatnich czasach przeciwko pobliskiemu miastu, Wejom, które rościły sobie prawa do złóż soli u ujścia Tybru i usiłowały przejąć kontrolę nad handlem tym cennym towarem. Wejanie zostali pokonani, a dominacja Romy jako solnego imperium – ustalona raz na zawsze. Przeciwnik nie został jednak podbity; Weje jeszcze przez wiele pokoleń miały się wdawać z potężnym sąsiadem w wojenne awantury.

W Romie wzniesiono ołtarze wielu bogom i boginiom, powstawały też świątynie. Pierwszą postawił Romulus na szczycie wzgórza Asylum, poświęcając ją królowi bogów, Jowiszowi. Był to niewielki drewniany budynek – dłuższy bok mierzył tylko piętnaście kroków – o prostej fasadzie z niczym nie ozdobionym frontonem wspartym na dwóch filarach. Nie było w nim posągu, tylko ołtarz, ale złożone zostały tam łupy zdobyte przez Romulusa na innych królach.

Dla uczczenia swej domniemanej matki Rei Sylwii zbudował świątynię Westy: okrągłą chatę z wikliny, pokrytą strzechą – podobną do tej, w której sam się wychował, tylko większą. W palenisku płonął tam nieustannie święty ogień, podtrzymywany przez dziewicze kapłanki. Mamersowi – swemu ojcu – wznosił ołtarz na szerokiej równinie w zakolu Tybru, która doskonale się nadawała na ćwiczenia wojskowe. Nazwano ją później Polem Mamersowym.

Po ufortyfikowaniu Palatynu przyszła pora na Asylum, a potem na Awentyn; tak po latach spełniły się ambicje nieszczęsnego Remusa. Bagniste jeziorko, z którego wypływał Spinon, Romulus kazał osuszyć i zasypać gruzem i mocno ubitą ziemią. Powstała w ten sposób dolina, dostępna ze wszystkich siedmiu wzgórz Romy, tworzyła naturalny plac, na którym zbiegały się wszystkie ścieżki; szybko awansował do rangi miejsca spotkań i zyskał nazwę Forum.

Dla siebie król zbudował wystawny dwór, większy i wspanialszy od tego w Albie. Rodzinną chatę zamienił w święte miejsce, które miało być zachowane dla potomnych w oryginalnym ubogim stanie, jako świadectwo jego skromnego pochodzenia. Drzewo, pod którym przybrana matka karmiła bliźniaków, także zostało uświęcone pod nazwą „ruminalis”

– tak uwieczniony został rubaszny żart Faustulusa. Romulus zadekretował też, że zawsze musi tam rosnać figowiec.

Aby nagrodzić swoich najdzielniejszych wojowników i najwierniejszych zwolenników, ustanowił elitarną instytucję nazwaną senatem. Jej stu członkom przyznał specjalne przywileje i obarczył specjalnymi obowiązkami. Wśród setki wybranych znaleźli się oczywiście Potycjusz i Pinariusz.

Romulus wprowadził też zmiany w kalendarzu świąt. Od niepamiętnych czasów każdej wiosny obchodzono Palilia; z uwagi na bliskość daty symbolicznej orki bliźniaków, stały się także okazją do obchodów rocznicy założenia miasta. Po kilkunastu latach już tylko pięćdziesięcioletni starcy, jak Potycjusz, pamiętali jeszcze czasy, kiedy dzień ten był poświęcony wyłącznie bogini Pales i nie miał nic wspólnego z najnowszą historią Romy.

Ku rozbawieniu Potycjusza do rangi dorocznego rytuału wyniesiona została też rocznica młodzieńczego wybryku bliźniaków – biegu wilków. Jakże jego ojciec, póki żył, pomstował na ten nowy zwyczaj! Każdego przedwiośnia mieszkańcy Romy świętowali teraz Luperkalia, dzień poświęcony Luperkusowi, bogu trzód i pasterzy. Składano mu w ofierze kozę, a młodzi synowie senatorów paradowali półnago, zamiast wilczych skór przybierając się jednak paskami ze skóry ofiarnego zwierzęcia. Młode kobiety podsuwały im nadgarstki, wierząc, że smagnięcie świętą sierścią zapewni im płodność. Miało to pewnie swoje uzasadnienie; tak się w każdym razie składało, że dziewięć miesięcy po Luperkaliach rzeczywiście rodziło się sporo dzieci... Rytuał, zapoczątkowany jako pantomima wilczej sfory, przerodził się w święto pocziwej rogacizny – jak przystało na cywilizowany lud żyjący za osłoną murów pod władzą króla.

Inne tradycje pozostały niezmiennie przez całe długie panowanie Romulusa. Święto Herkulesa celebrowano rokrocznie przy Ara Maxima jak od niepamiętnych pokoleń – ze spóźnionym przybyciem Pinariuszów i uzurpowaniem sobie przywileju spożycia wnętrzości ofiarnego wołu przez Potycjuszów.

* * *

Po raz pięćdziesiąt czwarty w życiu – i, choć tego jeszcze nie wiedział, ostatni – Potycjusz pełnił swoje kapłańskie obowiązki podczas Uczty Herkulesa. Tego dnia debiutował w niej jego wnuk, świętą miotelką z wołowego ogona odganiając muchy od ołtarza. Chłopak spisywał się doskonale i dziadek był z niego naprawdę dumny. Potycjusza od rana nie opuszczał dobry nastrój, mimo nieznośnego upału... i nieuniknionej, dorocznej nieprzyjemności obcowania z kuzynem Pinariuszem, drugim kapłanem Herkulesa.

Było już po uczcie. Potycjusz wrócił do swego domu na Palatynie i układał się do drzemki. Waleria, jego długoletnia żona, leżała tuż obok z zamkniętymi oczami; nasyciła się świątecznym mięsiwem i sen zmorzył ją szybciej niż męża. Potycjusz patrzył na nią, czując,

jak ogarnia go znajoma fala czułości i miłości. Była siwa prawie jak on i miała równie poorly zmarszczkami twarz, ale jej widok wciąż sprawiał mu wielką przyjemność. Była wierną, lojalną żoną, mądrą i cierpliwą matką, i dobrą partnerką. Nawet gdyby niczego innego od życia nie otrzymał, byłby mu wdzięczny za to, że dało mu Walerię. Chociaż właściwie powinien powiedzieć: gdyby nawet niczego nie otrzymał od Romulusa, to winien jest mu wdzięczność za to, że dał mu Walerię...

Za kilka dni mieszkańcy Romy zaczną celebrować wielkie letnie święto, Consualia. Potycjuszowi jednoznacznie kojarzyło się ono z Walerią i na odwrót, nie mógł myśleć o niej, nie wspominając zarazem tamtych odległych w czasie Consualiów...

Pierwsze takie święto, jeszcze tak nie nazwane, Romulus odprawił we wczesnym okresie panowania. Z jego nakazu w długiej, wąskiej dolinie między Palatynem i Awentynem urządzono konkursy atletyczne: biegi, skoki, akrobacje, śmiałe popisy na wierzchowcach, miotanie kamieniami. Do współzawodnictwa z młodzieżą Romy zaproszono też sąsiadów – Sabinów zamieszkujących najbardziej wysunięte na północ z Siedmiu Wzgórz, zwane przez nich Kwirynałem, na cześć ich boga Kwirynusa. Oficjalnym powodem zaproszenia były sportowe zawody, ale Romulus szykował dla niczego się nie spodziewających gości niemiłą niespodziankę...

Kiedy Potycjusz usłyszał o planach króla, stanowczo zaprotestował. Gościnność wobec przybyszów była świętym, ustanowionym przez bogów prawem. Wszyscy kapłani w całym znanym mu świecie byli w tej kwestii zgodni: podróżnego przybywającego w dobrych zamiarach należy zawsze uprzejmie przyjąć, a kategorycznym obowiązkiem gospodarza jest zapewnienie mu bezpieczeństwa. To, co knuł Romulus – podżegany, co do tego haruspik nie miał wątpliwości, przez jego kuzyna Pinariusza – sprzeciwiało się prawom boskim i ludzkim. Próbował odwieść go od tego pomysłu, ale król był nieugięty.

– W Rzymie jest za wielu mężczyzn, a za mało kobiet. Do tego wciąż ściągają tu nowi. U Sabinów jest zaś na odwrót, kobiet mają więcej niż mężczyzn. Zwraçałem się już do ich przywódcy, Tytusa Tacjusza, aby przysłał narzeczone dla moich ludzi, ale on odmawia. Matki wyrzekają, że jesteśmy zbyt nieokrzesani, i chcą, by ich córki wychodziły tylko za Sabinów, nawet jeśli to oznaczałoby konieczność opuszczenia Kwirynału i życia gdzieś wśród gór. To nonsens! Moi ludzie zasługują na to, by mieć żony, a dla Sabinek są wystarczająco dobrzy. Zarzucasz mi bezbożność, wiedz jednak, że modliłem się do Consusa, by mnie wspomógł radą w tej sprawie.

– I bóg dobrych rad coś ci objawił?

– Tak jest. Wyobraź sobie, że przez różne znaki okazał poparcie dla mego zamysłu.

Romulus wprowadził w czyn swój nieczyny plan. Na zorganizowane przez niego zawody ściągnął kwiat młodzieży sabińskiej, a kobiety i starsi towarzyszyli im, by ich rozgrzewać do walki. Bez trudu można było odróżnić, które są zamężne, matrony i dziewice bowiem trzymały się w osobnych grupach. Goście przybyli na zaproszenie, jak więc nakazywał dobry

obyczaj, nie wzięli ze sobą broni. Zaczęły się sportowe zmagania. Młodzi Sabinowie dobywali wszystkich sił, podczas gdy miejscowi wyraźnie je oszczędzali. Na dany przez Romulusa znak część z nich porwała panny i uprowadziła je za miejskie mury, reszta zaś chwyciła za broń. Bez trudu odparli kontratak wyczerpanych i bezbronnych gości.

Na tym sprawa się oczywiście nie zakończyła. Tytus Tacjusz, z początku zdecydowany odbić porwane dziewczęta, wezwał na pomoc krewnych z innych plemion sabińskich, nie zdołał jednak zebrać wystarczających sił, by skutecznie oblegać ROME. Dochodziło do licznych potyczek w otwartym boju lub z zasadzki, nie przynosiły jednak rozstrzygnięcia; Romulus tymczasem zachęcał swoich ludzi, aby starali się zdobyć serca branek bez użycia przemocy. Wiele z nich poślubiło w końcu swoich zalotników z własnej woli i urodziło im dzieci; nawet te, które były w Romie nieszczęśliwe, zaczęły rozumieć, że nie mają po co wracać na Kwirynał, ponieważ Sabinowie i tak uznałyby je za zhańbione i niegodne małżeństwa. Koniec końców Tytus Tacjusz postanowił ratować beznadziejną sytuację i zakończyć spór negocjacjami. Romulus zgodził się wypłacić odszkodowanie rodzinom porwanych kobiet, w zamian za co Sabinowie uznali ich małżeństwa i tak pokojowe stosunki między obiema grupami zostały na nowo nawiązane. Indywidualne właśnie tliły się jeszcze przez jakiś czas, ale ostatecznie mieszane związki przyczyniły się do zacieśnienia więzów przyjaźni i narodzenia się trwałego sojuszu między Romulusem a Tacjuszem.

Potycjusz nie ustawał w protestach przeciwko planowi porwania Sabinek – dopóki nie ujrzał Walerii. Znalazła się ona w grupie branek zamkniętych w murach posiadłości króla. Wystraszona i zrozpaczona, nie należała do najpiękniejszych, ale coś w niej przykuło uwagę haruspika, który nie mógł oderwać od niej oczu. Pinariusz dostrzegł to i szepnął mu do ucha: „Chcesz jej, kuzynie? Bierz ją... bo jak nie, to ja wezmę!” Kiedy się do niej zbliżyli, Waleria pobladała, widząc drapieżne spojrzenie Pinariusza; gdy jednak ujrzała Potycjusza z miną równie zboląłą i nieszczęśliwą jak ona, jej twarz rozjaśniło zgoła inne uczucie. W tej jednej chwili między dwojgiem młodych zadziergnęła się więź, która miała trwać między nimi do śmierci. Ze wszystkich Sabinek Waleria pierwsza wzięła ślub nieprzymuszona i pierwsza też dała mężowi dziecko.

Sam Romulus pojął za żonę Hersylię. Ich małżeństwo było szczęśliwe, lecz bezpłodne. Potycjusz, sam spłodziwszy kilkoro dzieci, zastanawiał się czasem, czy to nie boskie przekleństwo pozbawiło króla potomstwa za tak jawne pogwałcenie świętych praw gościnności. Nie wiadomo, czy Romulus miał podobne myśli, nigdy bowiem tego tematu nie poruszał.

Na pewno jednak dużo myślał nad instytucją małżeństwa i rodziny, jako król zaś przekuł te rozważania w obowiązujące prawo. Małżeństwo nie mogło być odtąd rozwiązane, choć mąż mógł legalnie zabić żonę, gdyby popełniła cudzołóstwo albo piła wino (Romulus był bowiem zdania, że wino prostą drogą prowadzi kobiety do wiarołomstwa). Ojciec rodziny miał nad swymi dziećmi i wnukami władzę absolutną aż po kres swego żywota; mógł je

wynajmować innym do pracy, więzić, bić, a nawet zgładzić. Żaden syn nigdy nie wyrastał spod ojcowskiej kurateli. Tak powstało pojęcie *pater familias*, ojca rodziny, najwyższego, niekwestionowanego autorytetu we własnym domostwie – miało ono przetrwać w Rzymie przez wiele stuleci.

O tym wszystkim rozmyślał Potycjusz, wspominając pierwsze Consualia, porwanie Sabinek i swoje pierwsze spotkanie z Walerią. Choćby niczego nie otrzymał od Romulusa, winien jest mu wdzięczność za nią...

Waleria spała; Potycjusz poznał to po jej lekkim pochrapywaniu. Przyglądając się jej twarzy i przebiegając w pamięci ich wspólne lata, uznał, że ich związek byłby szczęśliwy i trwały niezależnie od surowych praw Romulusa, tak samo jak ich dzieci rosłyby w szacunku i posłuszeństwie bez królewskiego paragrafu o głowie rodziny. Ojciec Potycjusza nieraz potępiał niektóre jego decyzje, nigdy jednak nie odwoływał się do prawa, aby go za nie ukarać albo złamać jego wolę. Co mógł wiedzieć Romulus – który nie miał własnych dzieci i twierdził, że nie jest synem człowieka – o wychowywaniu potomstwa albo szacunku dla ojca? A jednak świat po Romulusie miał być inny niż przedtem – właśnie z powodu prawa, jakie narzucił rodzinom Romy.

Ktoś zastukał do drzwi. Potycjusz wstał szybko, ale ostrożnie, by nie zbudzić Walerii, i poszedł otworzyć. Popołudniowe słońce oślepiło go i zamieniło gościa w czarną sylwetkę, nie poznał go więc, dopóki tamten się nie odezwał.

– Dzień dobry, kuzynie.

– Pinariusz? Co tu robisz? Święto się skończyło. Myślałem, że nie będę musiał cię oglądać przynajmniej przez następny rok!

– Cóż za niemile słowa, kuzynie. Nie zaprosisz mnie do środka?

– Co mamy sobie do powiedzenia?

– Wpuść mnie, a się przekonasz.

Potycjusz zmarszczył brwi, ale usunął się na bok, przepuszczając nieproszonego gościa.

– Mów cicho – uprzedził. – Waleria śpi.

Zza wiklinowego przepierzenia skrywającego sypialnię dobiegało ciche, rytmiczne chrapanie.

– Przyjrzałem się jej dzisiaj na uczcie – powiedział Pinariusz. – Wciąż jest urodziwą kobietą. Gdybym tylko zadziałał wtedy szybciej od ciebie...

– Po co przyszedłeś?

Pinariusz zniżył głos jeszcze bardziej.

– Nadchodzi zmiana, kuzynie. Niektórzy z nas ją przeżyją, a niektórzy nie.

– Mów jaśniej.

– Zawsze miałaś wobec króla zastrzeżenia. Od samego początku jego panowania regularnie się z nim spierałaś. Gdybym ci powiedział, że wkrótce skończą się jego rządy, czy uroniłbyś łzę?

– Nonsens! Romulus jest sprawny i silny jak inni o połowę młodszy. Wciąż wie, gdzie jest ludźmi do bitwy i walczy w pierwszym szeregu. Dożyje stu lat, zobaczysz.

Pinariusz westchnął i pokręcił głową.

– Ty naprawdę nie masz pojęcia, co się dzieje, kuzynie?

Tak Pinariusz zawsze z nim rozmawiał – zagadkami, z mieszaniną litości i pogardy. Potycjusz zdał sobie jednak sprawę, że kuzyn mówi poważnie i o sprawie wielkiego znaczenia.

– Oświeć mnie zatem. Co się takiego dzieje za plecami króla?

– Senatorowie szemrzą, że król stał się nazbyt arogancki, że za długo panuje, swą władzę uważa za coś oczywistego i często jej nadużywa. Widziałeś, jak kroczy po Palatynie w swojej szkarłatnej tunice i szacie z purpurowym brzegiem, w otoczeniu swych młodych wojowników. Nazywa ich z etruska liktorami... masz, jeszcze jedna fanfaronada. Ostatnio, gdy łaskawie się zniżył do wzięcia udziału w obradach senatu, rozsiadł się na swym pysznym tronie i patrzył na nas z góry, nawet nie udając, że słucha. Żartował tylko i śmiał się ze swymi liktorami. Nastawił uszu dopiero wtedy, gdy jakiś nędznik, leniwy świniopas, stanął przed nim z jakąś wydumaną skargą na szanowanego i majątnego człowieka. I jaki wyrok wydał nasz pan i władca? Na korzyść świniopasa, przeciwko senatorowi! Jeszcze nie ochłonęliśmy z oburzenia, kiedy obwieścił, że podzielił nowo zdobyty kawał dobrej ziemi między swoich żołnierzy... bez konsultacji z nami... i nie przyznając nam żadnego udziału w zdobyczy! Co będzie dalej? Czy król zacznie wyrzucać z senatu swoich starych towarzyszy i zastępować ich hołotą wczoraj przybyłą do Romy?

Potycjusz wybuchnął szczerym śmiechem.

– Romulus kocha prostych ludzi, a oni jego. Dlaczego miałoby być inaczej? On sam został wychowany przez świniopasa! Żyje może w pałacu, ale sercem jest w chlewie. Swoich żołnierzy też miłuje z wzajemnością. Urodził się na wicherzyciela i podżegacza tłumu. Biada senatorom, którzy zanadto obrośli w tłuszcz i stali się zbyt chciwi, by utrzymać miłość króla! Narzekasz, że poczyna sobie arogancko, ale czyż chodzi ci tylko o to, że paraduje w purpurze? Nie, ciebie obchodzą jedynie własne przywileje, tak zazdrośnie strzeżone przed obcymi i prostym ludem, który niby to nie wie, gdzie jego miejsce.

Pinariusz zacisnął zęby, wysuwając szczękę do przodu.

– Może i tak, kuzynie, ale tak, jak jest teraz, dłużej być nie może. Zbliży się dzień rozrachunku, wyznaczony w niebiańskim kalendarzu.

– Ciągłe ktoś spiskuje przeciwko Romulusowi, ale on każdy spisek potrafił stłumić – burknął Potycjusz. – Czyżbyś przyszedł mi powiedzieć, że szykuje się kolejny? Zapraszasz mnie, bym się do niego przyłączył?

– Ach, kuzynie, zawsze przejrzyś mnie na wskroś! – Pinariusz się zaśmiał. – Nigdy nie mówię ci prawdy, a mimo to nie mam przed tobą tajemnic!

– Nie chcę mieć nic wspólnego z żadnymi knowaniami na szkodę króla – odparł stanowczo Potycjusz. Za ścianą Waleria westchnęła przez sen i przewróciła się na drugi bok.

– Nie chcę słyszeć już ani słowa na ten temat. Lepiej odejdz, Pinariuszu.

– Jesteś głupcem, kuzynie. Zawsze nim byłeś.

– Być może. Nie zamierzam jednak być także zdrajcą.

– W takim razie przynajmniej trzymaj się od króla z daleka, jeśli chcesz zachować głowę. Jak to mawiają Etruskowie? Gdzie kosa tnie chwasty, tam i trawę skraca. Poznasz, że nadszedł czas, kiedy słońce zgaśnie i jasny dzień się w noc zamieni.

– O czym ty mówisz?

– Twoi Etruskowie wiele cię nauczyli o wróżbach, Potycjusz, ale niczego o zjawiskach niebieskich. Tę naukę zostawiono mnie. Przed laty Romulus polecił mi znaleźć mędrców, którzy potrafią przewidywać ruch Słońca i Księżycy, abyśmy mogli lepiej określać pory roku i ustalać dni świąt. Są sposoby obliczania, kiedy nastąpią pewne wyjątkowe zdarzenia. Nadchodzi dzień, kiedy na krótką chwilę zgaśnie słońce i bogowie się odwrócą od naszego króla. Romulus opuści ziemię, a z nim każdy, kto stanie zbyt blisko niego. Czy mnie zrozumiałeś?

– Zrozumiałem, żeś jeszcze bardziej szalony, niż dotąd myślałem!

– Zostałeś ostrzeżony, kuzynie. Zrobiłem, co mogłem, aby cię uratować. Jeśli jednak piśniesz o tym choćby słówko komukolwiek, piękna Waleria zostanie wdową wcześniej, niż powinna.

– Wyjdz z mego domu, kuzynie!

Pinariusz odszedł bez słowa.

* * *

Po tej wizycie Potycjusz spędził niejedną bezsenłą noc. Nie wątpił, że wiadomość o spisku przeciwko królowi jest prawdziwa; wiedział też, że grożąc mu, Pinariusz nie żartował. Czy ma ostrzec Romulusa? Raz po raz wyobrażał sobie tę scenę, nie mógł się jednak zmusić do działania. Czy dlatego, że się bał Pinariusza? A może dlatego, że mimo zapewnień o lojalności jego stosunki z Romulusem były teraz nie mniej napięte niż senatorów?

Pinariusz dał mu do zrozumienia, że atak nastąpi już wkrótce. Zaledwie parę dni później Roma celebrowała Consualia; odbywały się obrzędy religijne i zawody atletyczne upamiętniające pierwsze takie wydarzenie i porwanie Sabineek. Obowiązki Potycjusza wymagały jego obecności u boku króla, całe święto spędził więc nękany niepewnością. Obchody zaczęły się od złożenia ofiary Consusowi, bogu sekretnych rad, z którym Romulus „konsultował” plan uwięzienia sabińskich kobiet, a w podziękę za sukces zbudował mu ołtarz. Przez cały rok był on zakopany; odsłaniano go tylko na czas Consualiów, kiedy król wznosił do boga modły o nieustanne sprzyjanie jego ukrytym zamysłom. Jakież dzień byłby bardziej

odpowiedni dla przygotowanego w tajemnicy zamachu? Pinariusz także wykonywał ceremonialne posługi przy Romulusie i Potycjusz bacznie go obserwował; kuzyn jednak nie zdradzał żadnych oznak napięcia ani emocji. Ofiara została dokonana, przyjęta przez Consusa łaskawie, pogoda sprzyjała zawodnikom i dzień upłynął bez najmniejszego incydentu.

Upływały kolejne dni i tygodnie, a zamach na Romulusa nie następował; Potycjusz nie mógł się jednak wyzbyć odbierającego sen niepokoju. Co więcej, złapał się na tym, że innym już okiem patrzy na króla i senatorów. Wszystko, co mówił Pinariusz, było prawdą: Romulus stał się arogancki i nieostrożny; jawnie faworyzował młodych wojowników i przybyszów i równie jawnie okazywał wzdętkę dawnym przyjaciołom. Senatorowie skrywali gniew w jego obecności, lecz gdy tylko orszak liktorów przeszedł, na ich twarzach wykwitła nienawiść i zaczęli szeptać między sobą – milknąc jednak natychmiast, ilekroć Potycjusz znalazł się w zasięgu słuchu.

* * *

Lato ustąpiło jesieni, jesień wyparła zima, a tę wiosna. Zbliżało się kolejne gorące lato, a senatorowie wciąż nie podejmowali żadnego działania. Panowanie króla wydawało się niezachwiane jak zawsze. Czyżby spiskowcy zrezygnowali z zamachu? Może owo zapowiadane przez Pinariusza niebieskie zjawisko jednak nie wystąpiło w przewidzianym czasie? Kto wie – łudził się czasem Potycjusz – czy jego odmowa przyłączenia się do konspiracji nie stała się dla nich dostatecznym powodem do odstąpienia od planu? Nie mógł wiedzieć, jak jest naprawdę, inni senatorowie bowiem nie dopuszczali go do swych narad. Zwlekając tak długo, zaprzepścił też bezpowrotnie szansę na ostrzeżenie króla; jakże mógłby mu teraz wytłumaczyć, dlaczego w obliczu zagrożenia nie powiadomił go od razu? Potycjusz czuł się coraz bardziej osamotniony. Wmawiał sobie, że jak wszystkie poprzednie knowania przeciwko Romulusowi, to także speliło na niczym. Niemniej nie mógł się otrząsnąć z narastającego w nim złego przeczucia.

Dawno temu Potycjusz zerwał ze starą rodową tradycją. Zamiast przekazać amulet Fascinusa swemu synowi, gdy ten osiągnął wiek męski, zatrzymał go dla siebie, zamierzając go zakładać na specjalne okazje, póki nie legnie na łożu śmierci. Było to zgodne, rozumował, z wprowadzonym przez Romulusa prawem *pater familias*, w myśl którego dożywotnio pozostawał najwyższym autorytetem w rodzinie. Teraz jednak wiedziony przeczuciem postanowił wręczyć amulet najstarszemu wnukowi. Najpierw zamyślał zgodnie z tradycją dokonać tego podczas następnej Uczty Herkulesa, ale złe myśli stawały się tak natarczywe, że zwołał rodzinne zebranie na cały miesiąc przed świętem. Zapłakał, ujrawszy wszystkich bliskich pod jednym dachem, pewien, że to już ostatnia taka okazja; oni zaś dziwili się jego łzom, nie próbował bowiem niczego wyjaśnić. Z namaszczeniem zdjął z szyi rzemyk z Fascinusem i założył go przejętemu chłopcu. Kiedy już ceremonia się dopełniła, Potycjusz

poczuł wielką ulgę. Fascinus był najstarszym bóstwem jego rodu, starszym nawet od Herkulesa; teraz bezpiecznie przekazał go następnemu pokoleniu, spełniając najdawniejszy obowiązek nałożony nań przez praprzodków.

Następnego dnia został wezwany do odprawienia auspicjów podczas poświęcenia ołtarza Wulkana, boga ognistej krainy podziemia. Wzniesiono go na Kozim Bagnie, na wschodnim krańcu Pola Mamersa, gdzie płynący wzdłuż całej doliny pod Kwirynałem strumyk ginął w gorącym, bulgoczącym trzęsawisku. Przez stulecia niejedna zabłąkana koza zginęła w zdradliwym błocku, stąd też wzięła się jego nazwa i koncepcja, że musi to być święte miejsce Wulkana, gdzie bóg zabierał sobie ofiary, niekoniecznie zgodnie z wolą ludzi.

Romulus postanowił, że ceremonia odbędzie się z wielką pompą. Nakazał, aby stawili się na nią wszyscy senatorowie i cały lud Romy. Od rana ludzie gromadzili się na Polu Mamersa, ściągając z domostw rozrzuconych po całych Siedmiu Wzgórzach. Wojownicy, którzy brali udział w licznych kampaniach króla, mieli na sobie zdobyte w boju pysznie zdobione brązowe pancerze, hełmy z barwnymi pękami końskiego włosia i skórzane pasy z żelaznymi sprzączkami. Nawet najbiedniejsi obywatele ubrali się na tę okoliczność w najlepsze szaty – choćby miało to oznaczać po prostu czystą tunikę bez dziur.

O zapowiedzianej godzinie nadszedł król na czele swojego orszaku. Potycjusz włożył ceremonialny złoty płaszcz i stożkową czapkę. Szata Romulusa była dopiero co ufarbowana; haruspik wyraźnie czuł charakterystyczną woń czerwonego barwnika uzyskiwanego z marzanny. Młodzi liktorzy otrzymali nowo wykute napierśniki, lśniące jasno w południowym słońcu. Zgodnie z zapożyczoną od Etrusków tradycją uzbrojeni byli w wiązki różeg i topory – różgi miały służyć do wychłostania każdego, kto by obraził króla, topory zaś do egzekucji na miejscu tego, kogo by król nazwał swym wrogiem.

Nowy ołtarz zbudowano z wapiennych bloków na usypanym w tym celu wysokim kopcu. Zdobiły go wymyślne reliefy przedstawiające sceny bitewne z niedawnej wojny przeciwko Wejom oraz triumfalnego przemarszu Romulusa ulicami Romy. Wynajęto do tego najlepszych rzeźbiarzy etruskich; patrząc w oszołomieniu na ich dzieło, Potycjusz pomyślał, jaką skromnością i prostotą odróżnia się od niego Ara Maxima.

Nieopodal miejsca, w którym stanął, żałośnie meczała ofiarna koza, jakby przeczuwając, co ją wkrótce czeka. Romulus miał osobiście ją zabić na ołtarzu; do Potycjusza należało sprawdzenie, czy wybrane zwierzę nie ma żadnej skazy: zaropiałych oczu, wydzieliny w uszach i nozdrzach, plamy na sierści, kulawych nóg czy chorych racic. Obejrzał kozę szczegółowo, po czym oświadczył, że nadaje się na ofiarę. Kiedy słudzy wiązali jej nogi, potoczył wzrokiem po twarzach senatorów, zajmujących pierwsze rzędy w zgromadzeniu. Jego oczy spotkały się ze spojrzeniem Pinariusza.

Kuzyn miał dziwny wyraz twarzy. Uśmiechał się, lecz wzrok miał ponury. Z nagłym strachem uświadomił sobie, że chwila, o której Pinariusz mówił, w końcu nadeszła. Ale jak

ktokolwiek mógłby się ośmielić zaatakować króla w takim miejscu i czasie? Liktorzy byli w pogotowiu, cała Roma na niego patrzyła, a dzień był święty. Więc jak?...

Związana i mecząca już teraz wniebogłosy koza została złożona na płycie ołtarza. Romulus uniósł rytualny nóż i zwrócił się ku tłumowi zgromadzonemu na Polu Mamersa.

– Tak wielu! – wyszeptał tak cicho, że słyszeć go mógł tylko najbliższy stojący Potycjusz.
– Czy kiedykolwiek myślałeś, gdy byliśmy młodzi, że taki dzień nadejdzie? Że wszyscy stać będą przed nami i nazwą nas królami, i że tylko bogowie będą stać nad nami?

Haruspik słyszał słowa króla, wiedział jednak, że nie dla niego są przeznaczone. W okamgnieniu zrozumiał, dlaczego nigdy się nie zdobył na ostrzeżenie go o spisku – nie z powodu strachu przed zemstą Pinariusza i nie przez wzgląd na własne drobne urazy wobec króla. W głębi serca nigdy nie wybaczył Romulusowi zamordowania Remusa. Król zresztą też sobie tego nie wybaczył.

Szmer tłumu ucichł w oczekiwaniu na królewską inwokację do Wulkanu. Potycjusz patrzył na morze głów. Wydało mu się, że zachodzi jakaś zmiana w oświetleniu, jakaś rosnąca szarość bardzo szczególna, a nawet niesamowita. Inni także to zauważyli. Niektórzy odwrócili się, by spojrzeć na słońce. To, co ujrzeli, było dziwne i niewytłumaczalne. Duża część tarczy była czarna jak węgiel, jak gdyby nagle zgasł pod nią słoneczny ogień. Ludzie pokazywali sobie to zjawisko rękami i krzyczeli w przestachu. Po chwili nie było już na Polu Mamersa nikogo, kto by nie patrzył w niebo. Słońce stopniowo ciemniało, aż wreszcie wyglądało jak czarny krąg w ognistej aureoli. Tłum zamarł w strachu i zadziwieniu, a wkrótce rozległy się paniczne krzyki.

W tym samym czasie Potycjusz poczuł na twarzy powiew silnego wiatru. Dzień był dotąd pogodny, ale teraz od zachodu toczyły się czarne, skłębione chmurzyska, zaciemniając już i tak mroczne niebo. Wiatr strącił mu czapkę. Potycjusz usiłował ją złapać, ale chybił i żółty stożek odfrunął, koziolkując w powietrzu. Niewidzialna ręka przeniosła go ponad ołtarzem, a potem cisnęła na połyskującą powierzchnię Koziego Bagna. Czapka ważyła tyle co nic, a jednak żarłoczne błoto wchłonęło ją w jednej chwili.

Potycjusz znów spojrział na tłum. W upiornym, z każdą chwilą gasnącym świetle Pole Mamersa przedstawiało scenę chaosu. Ponad wyciem wiatru słyszał wrzaski przerażenia i bólu. Ludzie biegali jak oszaleli we wszystkie strony, tratując tych, którzy upadli. Młoda gwardia Romulusa była równie wystraszona jak inni; zamiast uformować obronny krąg wokół króla, liktorzy rozpiezchli się jak jesienne liście pod uderzeniem szarugi. Błyskawica przeszła czarne niebo i uderzyła w Asylum; grzmot, który niemal w tej samej chwili przetoczył się nad okolicą, omal Potycjusza nie ogłuszył. Oślepiiony nagłym blaskiem postąpił naprzód, gdzie przed chwilą jeszcze widział Romulusa, ale jego wyciągnięta ręka łapała tylko powietrze.

Wielkie krople deszczu siekące mu twarz wydawały się twarde jak kamyki. W nozdrzach poczuł zapach marzanny i wiedział, że król musi być blisko. Pod palcami wyczuł czyjeś

szaty; zacisnął więc na nich dłoń. W świetle kolejnej błyskawicy zobaczył, że nie Romulusa ma przed sobą, lecz Pinariusza. Jego kuzyn w jednej ręce trzymał zakrwawiony miecz. W drugiej, dzierżąc ją za włosy, unosił odciętą głowę. Potycjusz nie widział twarzy, ale na potylicy dostrzegł żelazną koronę.

Kiedy zginął Remus, haruspik myślał, że się znalazł w sennym koszmarze. Teraz, pomimo całej grozy chwili, ostro i całym ciałem czuł się jak obudzony ze snu. Jeszcze jedna błyskawica na moment rozświetliła niebo. Patrzył z dziwną obojętnością, jak Pinariusz bierze zamach mieczem. Odruchowo sięgnął do szyi, by dotknąć Fascinusa, ale nie znalazł go tam; tak, przecież wczoraj dał go wnukowi... Przynajmniej amulet jest bezpieczny.

Pinariusz z głośnym okrzykiem ciął go w szyję.

* * *

Sam Jowisz usankcjonował jego czyn. Tak w każdym razie rozumował Pinariusz, choć bowiem od dawna znał dzień i godzinę zaćmienia Słońca i planował jak najlepiej wykorzystać nieunikniony strach i chaos, jakie to zjawisko musiało wzbudzić w społeczności Romy, nie mógł przewidzieć potężnej burzy, jaka wtedy właśnie się rozpełtała. Błyskawice są rękami Jowisza, grzmot jego głosem. Sam bóg oświetlił mu drogę do ołtarza i ryknął z aprobatą, kiedy jego miecz spadał na szyję Romulusa.

Ostrzegął kuzyna, aby trzymał się z daleka od króla. Wszyscy inni, włącznie z liktorami, uciekli w popłochu, ale kiedy już dokonano się przeznaczenie, kto stał na miejscu, chwytając go za szatę i gapiąc się z rozdziawioną gębą na krwawą głowę w jego ręku? Kuzyn Potycjusz. Decyzję, by zgładzić i jego, podjął w jednej chwili i, jak się okazało, słusznie. Zatwierdził ją kolejnym grzmotem Jowisz.

Nie tracąc ani chwili, Pinariusz i jego wspólnicy odarli ciało Romulusa z szat i cisnęli w Kozie Bagno, gdzie po chwili zniknęło bez śladu. To samo zrobili z trupem Potycjusza. Nawet jeśli trzęsawisko kiedykolwiek wyda ich sekret, kto będzie mógł zidentyfikować dwa nagie ciała pozbawione głów? Senatorowie rozeszli się spiesźnie, unosząc po kawałku ubrania ofiar, przyrzekłszy je spalić natychmiast po powrocie do domów.

Pinariusz położył koronę Romulusa na ołtarzu, aby łatwo ją można było znaleźć. Zamierzał sam pozbyć się głowy króla, ale w tej sytuacji przekazał ją jednemu z towarzyszy, nakazując zakopać gdzieś potajemnie. Śmierć Potycjusza nałożyła nań pilniejsze zadanie. Kuzyn był głupcem, ale jednak jego krewnym i kapłanem Herkulesa; pochowanie jego głowy było ostatnią i należną przysługą, jaką mógł mu wyświadczyć.

Zaćmienie się kończyło. Mrok powoli rzedł, choć burza dalej szalała z całą siłą. Pole Mamersa opustoszało, ale Pinariusz na wszelki wypadek trzymał głowę Potycjusza ukrytą pod połą szaty, brnąc w ulewie w stronę wzgórza Asylum. Nowi przybysze wciąż tam obozowali, ale żywioł i ich zmusił do szukania schronienia gdzie indziej. Skierował się w

stronę świątyni Jowisza; aby podziękować bogu za błogosławieństwo dla wydarzeń dnia, postanowił zakopać głowę kuzyna w jej cieniu.

Uklęknął w błocie i po raz ostatni spojrzął na twarz Potycjusza. Potem gołymi rękami zabrał się do kopania głębokiej jamy w miękkiej, wilgotnej ziemi.

Koriolan

510 r. p.n.e.

Dwunastoletni chłopiec siedział ze skrzyżowanymi nogami na podłodze, recytując wyuczoną lekcję. Jego dziadek zajął miejsce na prostym składanym krześle; nie miało oparcia, ale starzec trzymał się wyprostowany jak struna, dając przykład wnukowi.

– Powiedz mi, Tytusie, którego dnia król Romulus opuścił ziemię?

– Było to w nony lipcowe, dwieście sześć lat temu.

– Ile miał wówczas lat?

– Pięćdziesiąt pięć.

– I gdzie się to zdarzyło?

– Przy ołtarzu Wulkana, który stoi nad Kozim Bagnem, po wschodniej stronie Pola Marsowego.

– Tak, ale czy wtedy też tak się ono nazywało?

Chłopiec zmarszczył czoło, ale po chwili przypomniał sobie właściwą lekcję i rozjaśnił się.

– Nie, dziadku. Za czasów króla Romulusa ludzie zwali je Polem Mamersa, bo takie imię nosił wtedy bóg Mars.

– I o czym nam to mówi?

– Że słowa i imiona mogą się zmieniać z biegiem czasu... zazwyczaj stają się krótsze i prostsze... ale bogowie są wieczni.

Starzec się uśmiechnął.

– Bardzo dobrze! A teraz opowiedz o wniebowstąpieniu króla Romulusa.

– Było wtedy zaćmienie Słońca i wielka burza, ludzie uciekli w panice. Dlatego właśnie święto obchodzone corocznie tego dnia nazywa się Populifugia, Ucieczka ludu. Jeden człowiek, przodek rodu Pinariuszów, jednak nie uciekł. Nazywał się po prostu Pinariusz. Większość ludzi nosiła wtedy tylko jedno imię, nie dwa, jak my dzisiaj. Pinariusz był świadkiem cudu, jaki się wydarzył. Niebo się otworzyło i na ziemię opadł wir w kształcie lejka. Była to ręka Jowisza, który uniósł Romulusa do nieba. Wcześniej jednak bóg zdjął z

jego skroni żelazną koronę i złożył ją na ołtarzu Wulkana, aby mógł ją nałożyć następca króla. Tak oto Romulus został jedynym z ludzi, który nigdy nie umarł, tylko opuścił ziemię, by żyć jak bóg między bogami.

– Bardzo dobrze, Tytusie! Uczyłeś się, widzę, bardzo pilnie, prawda?

– Tak, dziadku.

Zadowolony z siebie Tytus Potycjusz dotknął zawieszonoego na złotym łańcuszku amuletu. Dostał go od ojca podczas ostatniej Uczty Herkulesa, kiedy po raz pierwszy asystował mu jako kapłan przy ołtarzu.

– No, to wymień królów, którzy panowali po Romulusie, i powiedz, jakie były ich największe osiągnięcia?

– Romulus nie miał syna, więc po jego odejściu senatorowie spotkali się i debatowali nad tym, kto ma go zastąpić. To dało precedens, który przerodził się w stały zwyczaj, że tron nie jest dziedziczny, a królowie są wybierani dożywotnio przez senat. Wybrano wtedy Numę Pompiliusza, męża z ludu Sabinów, który dotąd nawet stopy nie postawił w Rzymie. To było kolejnym, mądrym precedensem... że nowy król może być przybyszem z zewnątrz i nie powinien wywodzić się spośród senatorów, w przeciwnym bowiem razie mogliby między sobą walczyć o koronę. Panowanie Numy było długie i pokojowe. Był człowiekiem bardzo pobożnym i uczynił wiele dla zorganizowania kultu bogów i powstania kolegiów kapłańskich. Po nim nastąpił Tulliusz Hostyliusz. Był on równie wojowniczy, jak Numa spokojny. Pokonując wrogów Rzymu, uczynił go najważniejszym miastem w całej łacińskojęzycznej Italii. To on zbudował wielki gmach zebrań na Forum, zwany *curia Hostilia* gdzie do dziś odbywają się obrady senatu. Następnym królem był Ankus Marcjusz, wnuk Numy. Zbudował on pierwszy most na Tybrze, założył też miasto Ostia w jego ujściu, aby służyło jako morski port Rzymu. Piątym królem był pierwszy Tarkwiniusz. Miał w sobie grecką krew, ale wywodził się z etruskiego miasta Tarkwinie, od którego przyjął imię. Był i wielkim wojownikiem, i dobrym budowniczym. Zbudował nasz wielki podziemny ściek, Cloaca Maxima, który biegnie dawnym korytem Spinonu i zbiera wodę z Forum. Założył też tor wyścigów konnych w dolinie między Palatynem i Awentynem, dziś zwany Circus Maximus, i wyposażył go w pierwsze stałe trybuny. Sporządził także plany i położył fundament pod największą budowlę na całym świecie i wszystkich czasów, nową świątynię Jowisza na Kapitolu.

Tytus wstał i podszedł do okna. Okiennice były rozwarłe, by wpuścić ciepły wiatr. Dom Potycjuszów stał wysoko na Palatynie i widok na wielki plac budowy na sąsiednim wzgórzu był stąd doskonały. Opleciona rusztowaniami, na których uwijał się rój rzemieślników i robotników, świątynia zaczynała już nabierać kształtu. Zaprojektowana była na wzór etruski (a właściwie, o czym mało kto w Rzymie wówczas mógł wiedzieć – grecki) zwany areostylem, z szerokim, ozdobnym frontonem wspartym na szeroko rozstawionych kolumnach i monumentalnym wejściem ze schowanego pod nim przedsionka.

Dziadek nigdy nie pomijał okazji do dydaktycznej dygresji.

– Czy to wzgórze zawsze zwane było Kapitołem?

– Nie. Od czasów króla Romulusa nazywało się Asylum, ale teraz ludzie nadali mu nową nazwę, Kapitol, czyli Wzgórze Głowy.

– Dlaczego?

– Z powodu dziwnego znaleziska, na jakie trafili kopacze przy pracy nad fundamentami nowej świątyni, za czasów króla Tarkwiniusza. Odkryli ludzką głowę, która wyglądała na bardzo starą, ale była bardzo dobrze zachowana. Kapłani orzekli, że to znak od bogów, i to bardzo dobry, wróżący Rzymowi, że zostanie głową świata. – Tytus znów zmarszczył brwi. – Jak to się mogło stać, dziadku? Kto mógł pochować na Kapitolu głowę bez ciała... i jakim cudem przetrwała tyle czasu w ziemi?

Starzec odchrząknął, po czym odpowiedział:

– Są na świecie rzeczy, których żaden człowiek nie umie wyjaśnić, a mimo to są prawdziwe, tak nam bowiem mówi tradycja. Jeśli wątpisz w prawdziwość tej historii, to zapewniam cię, że ja sam jako młody człowiek miałem zaszczyt widzieć tę głowę krótko po jej odkryciu. Rysy mężczyzny nieco już się zatarły, ale widać było, że miał jasne włosy przetykane siwizną i takąż brodę.

– Musiał więc przypominać ciebie, dziadku.

Starzec uniósł brwi.

– Aż tak stary to ja nie jestem! Ale wracajmy do listy królów. Po pierwszym Tarkwiniuszu...

– Panował Serwiusz Tulliusz. Był niewolnikiem w domostwie króla, ale zyskał tak wielkie znaczenie, że po śmierci Tarkwiniusza wdowa wyznaczyła go na jego następcę. Wydatnie wzmocnił i rozbudował fortyfikacje miejskie, aż w końcu objął wałami, murami, palisadami i fosami całe Siedem Wzgórz. Kazał też wykopać podziemną celę w więzieniu u stóp Kapitolu, dziś zwaną Tullianum, w której wrogowie królów traceni są przez uduszenie. Te projekty przedkładał nad inne, prace przy świątyni zostały więc przerwane. Po Serwiuszu nastał obecnie nam panujący król Tarkwiniusz, syn Tarkwiniusza Starego. Słynie z tego, że nabył księgi sybillińskie, w których pełno jest proroczych rad na ciężkie czasy.

– A jak do tego doszło?

Tytus się uśmiechnął, gdyż była to jedna z jego ulubionych historii.

– Sybilla mieszka na wybrzeżu, w jaskini pod Kurne. Bóg Apollo nakazał jej napisać setki dziwnych wierszy na palmowych liściach. Zszyła je razem w dziewięć zwojów, przywiozła do Rzymu i zaoferowała królowi Tarkwiniuszowi, mówiąc, że jeśli ktoś potrafi prawidłowo interpretować jej wiersze, będzie mógł przepowiedzieć przyszłość. Króla to kusilo, ale odpowiedział, że cena jest zbyt wysoka. Wtedy Sybilla machnęła ręką i trzy zwoje stanęły w płomieniach. Zaproponowała mu potem kupno sześciu pozostałych... za tę samą cenę, której wcześniej żądała za dziewięć! Tarkwiniusz wpadł w złość i znów odmówił, na co

ona spaliła następne trzy zwoje i powtórzyła swoje warunki. Król, nie mogąc przestać myśleć o całej tej tajemnej wiedzy, jaką bezpowrotnie utracił, poddał się. Zapłacił, ile żądała za dziewięć ksiąg, i dostał tylko trzy. Księgi sybillińskie są wielką świętością i wolno z nich korzystać tylko w czasie największego zagrożenia. Aby było je gdzie przechowywać, Tarkwiniusz wznowił budowę wielkiej świątyni, zapoczątkowaną przez jego ojca.

Tytus znów zerknął przez okno. Prace przy świątyni trwały przez większość jego młodego życia. Teraz, gdy wielkie kolumny i masywny fronton stanęły już na swoim miejscu, jej ostateczny kształt z każdym miesiącem był coraz lepiej widoczny. Nawet ci, którzy podróżowali w dalekie strony, do wielkich miast Grecji i Egiptu, twierdzili, że nigdzie nie ma równie wspaniałego gmachu.

– Nie dziwota, że nazywają go Tarkwiniuszem Pyszny – mruknął pod nosem.

Starzec znieruchomiał.

– Co powiedziałeś?

– Że ludzie nazywają króla Tarkwiniuszem Pyszny. Sam słyszałem.

– Jacy ludzie? Gdzie?

Tytus wzruszył ramionami.

– Różni. Obcy. Sklepiarze, przechodnie na Forum...

– Nie słuchaj ich! I nikomu tego nie powtarzaj!

– Ale dlaczego?

– Po prostu rób, jaki ci każe!

Tytus spuścił głowę. Dziadek był najstarszym z Potycjuszów, *pater familias*. Jego wola była w rodzinie prawem i nie jemu, małemu chłopcu, ją kwestionować.

Stary człowiek westchnął.

– Wyjaśnię ci, ale tylko raz. Kiedy ludzie używają tego słowa w odniesieniu do króla, nie jest to komplementem. Przeciwnie... chcą przez to powiedzieć, że jest on arogancki, uparty i próżny. Dlatego nigdy nie mów tego na głos, nawet mnie. Słowa potrafią być niebezpieczne, zwłaszcza takie, które mają zranić króla.

Chłopiec poważnie skinął głową, ale zaraz się zmarszczył.

– Jedno mnie zastanawia, dziadku. Mówisz, że korona nie jest dziedziczna, ale przecież ojciec naszego króla też był królem.

– Tak, ale nie przekazał władzy bezpośrednio synowi.

– Wiem, najpierw rządził Serwiusz Tulliusz. Ale czyż Tarkwiniusz go nie zabił i tylko dlatego został królem?

Potycjusz senior aż się zachłysnął, ale nie odpowiedział. Tytus był dość dorosły, by go uczyć historii, ale wciąż za mały, by mówić mu o politycznych machinacjach, dzięki którym poszczególni władcy wstępowali na tron, i o skandalach, jakie wstrząsały państwem za ich panowania. Młodemu człowiekowi, który jeszcze nie pojął znaczenia dyskrecji, lepiej nie opowiadać złych rzeczy o królach dawno zmarłych; tym bardziej należy się powstrzymywać

od takich uwag na temat żyjącego... O Tarkwiniuszu i trupach, po których doszedł do władzy, jak i tych, które zostawiał za sobą później, niewiele było do powiedzenia, co by się nadawało dla chłopięcych uszu.

Jako syn króla, Tarkwiniusz miał ambicję zdobyć władzę. Ożenił się z jedną z dwóch córek Serwiusza Tulliusza, kiedy jednak się przekonał, że jest bardziej lojalna wobec ojca niż wobec niego, uznał, że lepsza będzie jej bardziej bezwzględna siostra. Wkrótce zmarła i żona Tarkwiniusza, i mąż jego szwagierki; kiedy pogrążeni w żałobie wdowiec i wdowa się pobrali, po całym mieście rozbrzmiewało szeptanym echem słowo „trucizna”. Nie trwało długo, a małżonkowie zabili króla i Tarkwiniusz sam się ogłosił jego następcą, nie zwracając sobie głowy formalnościami w rodzaju elekcji i jej zatwierdzenia przez senat.

Wdarłszy się na tron siłą, nowy król rządził za pomocą strachu. Poprzedni władcy konsultowali się z senatorami w ważnych sprawach i powoływali ich na ławników; Tarkwiniusz okazywał im tylko pogardę. Uzurpował sobie prawo ferowania wyroków w najpoważniejszych procesach i wykorzystywał to, by skazywać niewygodnych, choć niewinnych ludzi na śmierć lub wygnanie; konfiskował majątki skazańców i finansował z nich swoje wielkie przedsięwzięcia, w tym i budowę nowej świątyni. W owym czasie senat rozrósł się do trzystu członków, król jednak rychło przerzedził ich szeregi, uśmiercając kolejno najbogatszych i najznacześniejszych. Jego synowie wyrosli na obraz i podobieństwo tatusia, a chodziły słuchy, że jednego z nich zamierza wyznaczyć na następcę tronu, zrywając z uświęconym tradycją zwyczajem obierania królów przez lud.

Mężczyzna westchnął i zmienił temat.

– Przynieś swój rylce i tabliczkę. Poćwiczysz pisanie.

Tytus posłusznie wyjął przybory ze specjalnego pudełka. Tabliczką była płaska deszczułka w ramce, pokryta grubą warstwą wosku; rylcem, czyli zaostrzonym żelaznym prętem o średnicy i ciężarze dopasowanym do chłopięcej dłoni, można było żłobić w wosku linie i litery, a w razie pomyłki lub po zakończeniu lekcji powierzchnię wygładzić, by była gotowa do następnego użycia.

– Wypisz mi w kolejności chronologicznej imiona siedmiu królów – polecił dziadek.

Znajomość pisma Rzymianie zawdzięczali Etruskom, ci zaś nauczyli się go od mieszkańców *Graecia Magna* – Wielkiej Grecji, jak nazywano południe Italii zasiedlone w ostatnich pokoleniach przez helleńskich kolonistów, reprezentantów kultury bardziej zaawansowanej i wyrafinowanej od miejscowej. Szybko doceniono zalety sztuki pisania i czytania: dzięki niej można było sporządzać spisy, prowadzić księgi rachunkowe, zapisywać królewskie proklamacje i prawa, utrzymywać i poprawiać kalendarz, no i oczywiście przysyłać wiadomości. Jej opanowanie wymagało wielkiej pilności, a najłatwiej było się jej nauczyć za młodu. Jako dziedzicznemu kapłanowi Herkulesa i członkowi warstwy patrycjuszów, potomkowi jednego z założycielskich rodów Rzymu z perspektywą zostania w

przyszłości senatorem jak dziadek, młodemu Tytusowi umiejętność pisania była bardzo potrzebna.

Tytus zwykle bardzo starannie stawiał litery, tego dnia jednak nie bardzo mógł się skoncentrować. Co chwila się mylił, zacierał linie i kreślił je od nowa, często spoglądając ku oknu. Jego dziadek patrzył na to z uśmiechem; jeśli chodzi o zawojowanie chłopięcej wyobraźni, kaligrafia nie może konkurować z budową wielkiej świątyni. Fascynacja Tytusa nowym projektem nie była może rzeczą złą... Znajomość takich spraw mogła się kiedyś chłopakowi przydać. Odczekał, aż wnuk mozolnie dokończy ostatnią literę w imieniu Tarkwiniusza, i poklepał go po głowie.

– Wystarczy – rzekł. – Dosyć lekcji na dzisiaj. Możesz odejść.

Tytus podniósł wzrok, zaskoczony.

– Nie słyszysz? Możesz iść. Jestem dziś trochę zmęczony. Porównanie do odkrytej na Kapitolu głowy sprawiło, że zacząłem odczuwać swój wiek! Wyglądź wosk, schowaj przybory i zmiataj. A pozdrów ode mnie tego swojego Wulkę!

Popołudnie było ciepłe i słoneczne, do zmierzchu pozostało jeszcze kilka godzin. Tytus biegł przez całą drogę z rodzinnej siedziby na Palatynie w dół, na Forum, i dalej pod górę, aż na szczyt Kapitolu. Nie zatrzymał się, póki nie dotarł na Skałę Tarpejską, strome urwisko, z którego strącano zdrajców. Oprócz miejsca kaźni była też wspaniałym punktem widokowym na rozpostarte u jej stóp miasto. Jego przyjaciel Gnejusz Marcjusz lubił się bawić miniaturowymi drewnianymi żołnierzami, udając ich dowódcę; Tytus wolał patrzeć z góry na Rzym, wyobrażać sobie, że budynki są zabawkami, przenosić myślami z miejsca na miejsce i konstruować nowe.

Rzym bardzo się zmienił od czasów Romulusa. Wtedy Siedem Wzgórz pokrywały lasy i pastwiska, osady były małe i rozrzucone daleko od siebie. Teraz domy stały wszędzie, gdzie spojrzeć, ciasno stłoczone, z wijącymi się między nimi gruntowymi lub wysypanymi grubym żwirem uliczkami. Część obywateli wciąż żyła w krytych strzechami chatach i trzymała w zagrodach zwierzęta, ale wiele budynków było już drewnianych, niektóre miały dwa piętra, a bogate rodziny – jak Potycjusze – stawiały sobie wspaniałe kamienne wille z zamykanymi oknami, wewnętrznymi dziedzińcami, tarasami i dachami z glinianej dachówki. Forum stało się centrum obywatelskiego życia; przez całą jego długość biegła teraz brukowana via Sacra, Święta Droga. Stały tam liczne świątynie i gmach senatu. Rynek nad rzeką zwano Forum Bovarium – od słowa *bovillis*, wołowy; jak za dawnych czasów, tak i teraz odbywały się tam targi bydła, ale już na znacznie większą skalę – ściągali tam kupcy i hodowcy z całej środkowej Italii. Pierwotna osada u podnóża Kapitolu wraz z historyczną chatą Potycjuszów została rozebrana, oddając miejsce rozwijającemu się rynkowi. Pośrodku Forum Bovarium został tylko pradawny ołtarz Ara Maxima, gdzie zgodnie z odwieczną tradycją Potycjuszowie z Pinariuszami celebrowali doroczną Uczę Herkulesa.

Pod władzą królów Rzym rósł, prosperował i potężniał. Najwspanialszy tego dowód wyrastał właśnie na szczycie Kapitolu. Odwróciwszy się plecami do miasta, Tytus zapatrzył się na monumentalną budowlę, z każdym dniem coraz bliższą ukończenia. Zauważył, że od jego ostatniej wizyty rusztowanie na przedniej ścianie zostało podwyższone o kolejne piętro. Robotnicy kładli teraz tynk na cofniętej części frontonu.

– Tytusie, mój przyjacielu! Dawno cię nie widziałem!

Mężczyzna był wysokiego wzrostu, z siwiejącą brodą, mniej więcej w wieku ojca chłopca. Błękitna tunika pokryta była gipsowym pyłem; w ręku miał tabliczkę i rylec do szkicowania.

– Wulka! Ostatnio byłem zajęty lekcjami, ale dziś dziadek pozwolił mi wcześniej wyjść.

– To doskonale, bo mam ci coś szczególnego do pokazania. – Wulka się uśmiechnął i skinął na chłopca, by szedł za nim.

Wulka był Etruskim, słynnym w całej Italii architektem i artystą. Król Tarkwiniusz zatrudnił go nie tylko do nadzoru nad budową, ale i do ozdobienia świątynnego wnętrza i frontonu. Budowlę wznoszono ze zwykłych materiałów – drewna, bloków ciosanych z tufu i wapiennego tynku – ale po skończeniu malowania efekt miał być olśniewający. Ściany miały być żółte, czarne i białe, podstawy i kapitele kolumn czerwone, podobnie jak elementy frontonu, drobne architektoniczne detale zaś miały podkreślać zieleń i błękit w wielu odcieniach.

Największe wrażenie miały jednak wywierać inne dzieła Wulki: posągi bogów. Ściśle mówiąc, nie stanowiły one dekoracji, ale raczej rację bytu świątyni. Architekt nieraz opisywał Tytusowi swoje plany, ilustrując je szkicami na wosku, ale samych figur chłopak jeszcze nie widział; statuy z terakoty wykonywano w wielkiej tajemnicy w ukrytym kapitolńskim warsztacie, do którego dostęp miał tylko sam Wulka i najzdolniejsi z jego rzemieślników. Ku wielkiemu zaskoczeniu chłopca artysta poprowadził go teraz przez prowizoryczne drzwi na ogrodzony plac przy świątyni; w jeszcze większe zdumienie wprowadził go widok, jaki mu się ukazał po chwili. Drepcząc za dorosłym przyjacielem, skręcił za róg budowli i stanął przed posągiem Jowisza.

Tytus o mało nie krzyknął. Statua była wykonana z terakoty, jeszcze nie pomalowana, ale miał dojmujące wrażenie, że naprawdę znalazł się przed boskim obliczem. Siedzący na tronie brodaty, potężnie zbudowany ojciec bogów patrzył na niego z pogodnym wyrazem twarzy. Ubrany był w togę do żywego przypominającą szatę, w jakiej zwykł chodzić król, a w prawym ręku zamiast berła dzierżył błyskawicę.

– Togę pomalujemy na purpurowo, z obramowaniem ze złotej folii – wyjaśnił Wulka. – Błyskawica także będzie pozłacana. Król trochę grymasił, usłyszawszy, ile musi zapłacić za folię, ale się uspokoił, gdy mu uzmysłowiłem, ile by musiał kosztować piorun ze szczerego złota.

Tytus był oszołomiony.

– Wspaniały! – wyszeptał. – Nigdy sobie nie wyobrażałem... To znaczy, opisywałeś mi, jak statua będzie wyglądać, ale nigdy naprawdę... ona jest... o wiele więcej... – Zabrakło mu słów, więc tylko kręcił głową w zadziwieniu.

– Oczywiście nikt nigdy nie będzie oglądał boga z tak bliska – zauważył Wulka. – Jowisz będzie ustawiony na piedestale w głębi głównej izby, aby mógł spoglądać z góry na każdego, kto wejdzie do świątyni. Pozostałe dwa posągi znajdują się w osobnych, mniejszych niszach, Junona po prawej i Minerwa po lewej.

Oderwawszy wzrok od potężnej rzeźby, Tytus dopiero teraz zobaczył za nią dwie mniejsze figury, jeszcze nie w takim stadium zaawansowania; Junonie nie przytwierdzono głowy, a Minerwa dopiero zaczynała nabierać kształtu. A potem oczy chłopca spoczęły na czymś bardziej nawet fantastycznym niż posąg Jowisza.

Rzeźba była ogromna i tak złożona, że nie mieściło mu się to w głowie. Także przedstawiała Jowisza, ale tym razem stojącego w kwadrydze ciągniętej przez cztery konie. Posąg nadnaturalnej wielkości, ze zbroją w piorun ręką wzniesioną do rzutu, robił jeszcze większe wrażenie niż ten na tronie. Każdy z rumaków był inny, a wszystkie wyrzeźbione bardzo realistycznie, od rozszerzonych nozdrzy i rozwianych grzyw po muskularne nogi i grube ogony. Rydwan był jak prawdziwy, z drewna i brązu, ale gigantyczny, o bogato zdobionych bokach.

– Oczywiście można go rozmontować, żeby łatwiej go było ustawić na szczycie frontonu – powiedział Wulka. – Konie będą białe... cztery wspaniałe, śnieżnobiałe ogiery godne króla bogów. Zamocowanie tej rzeźby na frontonie będzie ostatnim etapem budowy. Kiedy Jowisz w swej kwadrydze stanie pewnie na miejscu, świątynia będzie gotowa do konsekracji.

– Wulko, nie mogę uwierzyć, że mi to pokazujesz! – wykrzyknął Tytus z szeroko otwartymi oczyma. – Kto jeszcze je widział?

– Tylko moi robotnicy. No i oczywiście król, skoro to on za nie płaci.

– Ale dlaczego ja?

Wulka powiedział coś po etrusku, po czym przetłumaczył na łacinę:

– Jeśli pchła posiedzi w budzie dostatecznie długo, to w końcu zobaczy psie jądra. – Widząc zaś, że chłopak nie pojmuje, dodał ze śmiechem: – To stare i nieprzyzwoite etruskie powiedzenie, młody człowieku, które z pewnością by się nie podobało twojemu statecznemu dziadkowi. Ile to razy widziałem, jak się ukradkiem przemykasz po budowie, zanim cię zawołałem i zapytałem o imię? I ile razy byłeś tu od tamtej pory? Iloza pytaniami mnie zasypywałeś, a to o narzędzia, a to o materiały i o poszczególne czynności? Nie wiem, czy potrafię zliczyć! Śmiej się, że poza mną nie ma w całym Rzymie człowieka, który by znał tę świątynię lepiej niż ty, Tytusie Potycjuszu. Gdybym miał nazajutrz umrzeć, ty mógłbyś pokierować robotnikami.

– Ale nie umrzesz, Wulko! Jowisz by na to nie pozwolił!

– Ani Jowisz, ani król, przynajmniej dopóki nie skończą budowy.

Tytus podszedł do jednego z koni i ośmielił się go dotknąć.

– Nigdy nie sądziłem, że będą takie wielkie i piękne. To będzie największa i najwspanialsza świątynia, jaką kiedykolwiek i gdziekolwiek zbudowano!

– Chciałbym mieć taką pewność! – odrzekł z uśmiechem Wulka.

Nagle Tytus jęknął i chwycił się za głowę, trąc miejsce, gdzie uderzył go kamyk. Podniósłszy głowę, dostrzegł następny pocisk spadający z nieba i w porę odskoczył. Zza płotu skrywającego prace przed wzrokiem ciekawskich dobiegł go chłopięcy chichot.

– To chyba twoi dwaj przyjaciele, Tytusie – powiedział architekt. – Ale ich nie chcę tu widzieć, więc jeśli chcesz się z nimi zobaczyć, musisz wyjść na zewnątrz.

– Tytusie! – zawołał teatralnym szeptem jeden z kolegów. – Co tam robisz? Czy ten stary etruski wariat cię aby nie napastuje?

Tytus się zarumienił, ale Wulka tylko zwichrzył mu dłonią czuprynę i się uśmiechnął.

– Nie przejmuj się. Już dawno przestałem brać sobie do serca chłopięce przewiska. No, biegnij już i zobacz, czego ci dwaj od ciebie chcą.

Tytus niechętnie pożegnał się z przyjacielem i wyszedł z zagrody na plac. Zza stosu cegieł wyskoczyli jego dwaj koledzy, Publiusz Pinariusz i Gnejusz Marcjusz; jeden złapał go za rękę, a drugi zaczął łaskotać. Tytus zdołał się im wyrwać i rzucił do ucieczki, ścigany zawzięcie aż do Skały Tarpejskiej. Cała trójka zaśmiewała się do łez, z trudem łapiąc oddech.

– Co ci ten Etrusk tam pokazywał? – spytał Gnejusz.

– Myślę, że urządzili sobie grę – rzucił Publiusz. – Stary mu powiedział: Pokaż mi swojego Fascinusa, a ja ci pokażę swój pręt mierniczy!

– Też mi gra! – prychnął Gnejusz. – Każdy może zobaczyć jego Fascinusa.

Tytus zrobił kwaśną minę i schował amulet pod tunikę.

– Każdy, ale nie wy. Nie jesteście godni go oglądać.

– Ja jestem! – zachnął się Publiusz. – Czyż nie jestem kapłanem Herkulesa jak i ty? I patrycjuszem jak ty? Czy nie biegaliśmy razem w ostatnie Luperkalia? Co innego nasz przyjaciel Gnejusz...

Gnejusz rzucił mu gniewne spojrzenie. Publiusz dotknął tematu, który był dlań coraz bardziej drażliwy. Publiusz i Tytus pochodzili z rodów patrycjuszowskich, wywodzących się od pierwszych senatorów, których król Romulus nazwał ojcami – *patres* – Rzymu. Patrycjusze zazdrośnie strzegli pradawnych przywilejów swojej kasty. Pozostali obywatele, i biedni, i bogaci, byli tylko prostymi ludźmi, zwanymi plebejuszami. Mogli się bogacić na handlu i wyróżniając się w boju, a nawet dojść do wielkiego znaczenia – daleki krewny Gnejusza, Ankus Marcjusz, został nawet królem – ale żaden z nich nie mógł nawet marzyć o prestiżu, jaki z urodzenia należał się patrycjuszom.

Matka Gnejusza, Weturia, pochodziła wprawdzie z takiej patrycjuszowskiej rodziny o korzeniach niemal równie starych jak Potycjusze i Pinariusze, ale jego nieżyjący już ojciec był plebejuszem, a zgodnie z prawem syna przypisywano do stanu, do którego należał ojciec.

Dla przyjaciół nie miało to większego znaczenia: Gnejusz był najlepszym atletą, najwprawniejszym jeźdźcem, a przy tym najprzystojniejszym i najsprytniejszym ze znanych im chłopaków. Dla niego samego pochodzenie było kwestią bardzo istotną. Jego ojciec zginął w bitwie, osierocając go w bardzo młodym wieku; wychowywany przez matkę, bardziej identyfikował się z jej rodem. Weturia nauczyła go być dumnym jak patrycjusz, toteż wielce go irytowało, że nigdy nim nie będzie naprawdę. Bynajmniej nie sympatyzował z zamożniejszymi plebejuszami, którzy postulowali zniesienie różnic stanowych; zawsze brał stronę patrycjusza i okazywał pogardę takim, jak ich nazywał, nowobogackim prostakom.

Nosił się zazwyczaj z wyniosłą pewnością siebie, co Tytus wielce u niego podziwiał; ta postawa zresztą współgrała z jego szlachetną urodą. Jedyłą szczyrbą w tym pancerzu było właśnie jego poczucie niespełnionej przynależności stanowej. Publiusz, który lubił go prowokować, nie mógł się czasem oprzeć i robił aluzje do plebejskiego statusu kolegi. Tym razem jednak Gnejusz nawet okiem nie mrugnął, tylko zmierzył go stalowym spojrzeniem.

– Bardzo niedługo, Publiusz Pinariuszu, wszyscy trzej wejdziemy w wiek żołnierski. Każdy Rzymianin jest wojownikiem. Najwyższym obowiązkiem, jaki Rzym nakłada na swoich obywateli, jest wymóg ćwiczeń każdej wiosny i wypraw po nowe łupy każdego lata. Nie każdemu jednak Rzymianinowi jest pisana jednakowa chwała. Biedniejszy plebs, który musi walczyć pieszo, bo go nie stać na konia, ma gorzej. Możemy tylko mieć dla nich litość, bo niewiele mają korzyści z przelania własnej krwi. Jednak od ludzi majątnych jak my, mających najlepszą broń i zbroje, a także czas na szkolenie i opanowanie pięknej sztuki jeździectwa, Rzym oczekuje znacznie więcej. Na tym świecie chwała liczy się najbardziej, a największą mogą osiągnąć tylko najwięksi wojownicy. Tym właśnie pragnę zostać, choćby po to, by matka była ze mnie dumna... największym wojownikiem, jakiego Rzym kiedykolwiek widział. Na razie, Publiusz, możesz ze mnie drwić do woli, bo jesteśmy tylko chłopcami. Wkrótce jednak będziemy mężczyznami, a wtedy bogowie zobaczą, który z nas z większą dumą będzie mógł się zwać Rzymianinem!

– Parwenuisz! – Publiusz nie dawał się zbić z tropu. – Pyszalkowaty plebejusz!

Gnejusz odwrócił się i odszedł, jak zwykle z podniesionym czołem. Tytus zareagował na jego namiętą przemowę podobnie jak na widok posągu Wulki. Patrząc za odchodzącym przyjacielem, wyszeptał tylko:

– Wspaniały!

Publiusz zerknął na niego spod oka i trzepnął dłonią w tył głowy.

– Widzę, że jesteś w Gnejuszu jeszcze bardziej zakochany niż w tym etruskim pederastie!

Dopiero co nauczył się tego greckiego słowa i uwielbiał go używać.

– Och, zamknij się już, Publiusz!

* * *

Tego wieczoru Potycjusz senior wydał wielką ucztę, w której brali udział ojciec i stryjowie Tytusa z rodzinami, zaprosił też dwoje gości: młodego kuzyna króla Tarkwiniusza o imieniu Kollatyn i jego żonę Lukrecję. Kobiety siedziały razem z mężczyznami, ale kiedy po posiłku służąca wniosła dzban wina, nie podano im pucharów. Gdy Kollatyn wznosił toast za zdrowie króla, panie tylko patrzyły.

Był to młodzieniec o miłej aparycji i wesołym usposobieniu, może nieco głośny i apodyktyczny, ale nie tak arogancki jak synowie Tarkwiniusza. Jego przystępność sprawiła, że Potycjusz postanowił nawiązać i utrzymywać z nim znajomość, w nadziei że przez niego może uzyskać dostęp do króla bez nieprzyjemnej konieczności przedstawiania z królewiczami.

Wygłosiwszy toast, gość wychylił kielich do dna, zamiast tylko pociągnąć łyk czy dwa.

– Jakie wspaniałe wino! – zakrzyknął, cmoknąwszy głośno, po czym spojrzał na żonę. – Szkoda, że nie możesz go spróbować, kochanie.

Lukrecja spuściła oczy, rumieniąc się. W tej chwili wzrok wszystkich mężczyzn, z Tytusowym włącznie padł na nią; chłopiec pomyślał, że nigdy jeszcze nie widział kobiety choćby w połowie tak pięknej jak ona. Rumieniec tylko podkreślił doskonałość jej mleczej cery. Włosy miała ciemne i lśniące, i tak długie, że chyba nigdy nie były ścinane. Ubrana była wprawdzie w skromną stolę z ciemnoniebieskiej wełny i z długimi rękawami, ale linie jej fałd pozwalały się domyślać figury o cudownych proporcjach. Kiedy jej policzki znów przybladły, uniosła głowę i się uśmiechnęła. Tytusowi się zdawało, że serce przestało mu bić, kiedy przez moment uchwycił wzrokiem spojrzenie jej zielonych oczu.

Lukrecja odwróciła się do Kollatyna.

– Czasami, kiedy mnie całujesz, mężu, czuję słaby smak wina na twoich ustach. To mi wystarcza.

Kollatyn wyszczerzył zęby i ujął jej dłoń.

– Lukrecjo, Lukrecjo! Ależ z ciebie kobieta! – rzekł ze śmiechem, po czym zwrócił się do pozostałych. – Mądrze postąpił król Romulus, kiedy zakazał kobietom pić wino. Mówią, że Grecy z południa pozwalają na to swoim żonom, przez co wiecznie mają z nimi kłopoty. Nawet tu, w Rzymie, są tacy, którzy dopuszczają podobne rozprężenie. Ludzie z najwyższych sfer, którzy powinni wiedzieć lepiej!

Tytus wyczuł raczej, niż zrozumiał, że mowa o królewskich kuzynach Kollatyna.

– Ale nie może z tego wyjść nic dobrego – ciągnął mężczyzna. – Tym przyjemniej mi się przekonać, że dawne cnoty i zdrowy rozsądek panują w domu Potycjuszów, jak przystało na jeden z najstarszych rodów Rzymu.

Dziadek Tytusa skłonił głowę, przyjmując komplement, po czym zaproponował następny toast:

– Za dawną *virtus*!

Kollatyn znów wypił do dna. Tylko Tytusowi jako chłopcu podano wino rozcieńczone wodą, gość jednak, tak jak inni mężczyźni, pił je czyste i zaczynał czuć jego wpływ.

– Jeśli mamy uczcić cnotę – rzekł – to specjalny toast należy się najgodniejszej wśród nas osobie... mojej żonie Lukrecji. Nie masz lepszej nad nią kobiety w Rzymie! Na dowód zaraz wam opowiem pewną historię. Za Lukrecję!

– Za Lukrecję! – powtórzył Tytus.

Kobieta znów zalała się rumieńcem i spuściła oczy.

– Parę dni temu – zaczął Kollatyn – odwiedziłem mego kuzyna Sekstusa. Jego dwaj bracia byli tam także, więc byliśmy w komplecie... ja i wszyscy królewscy synowie. Piliśmy, może odrobinę za wiele... ci młodzi Tarkwiniusze wszystko robią w nadmiarze!... i w pewnej chwili doszło do dysputy, który z nas ma najcnotliwszą żonę. No, może raczej ja poruszyłem ten temat... Kiedy mężczyzna jest z czegoś dumny, czy ma siedzieć cicho?... Moja Lukrecja, powiedziałem im, jest najcnotliwszą z kobiet. Nie, nie, zaczęli mnie przekrzykiwać, ich żony są co najmniej tak samo porządne. Akurat, prychnąłem im w nos. Chcecie się założyć? No, Tarkwiniusze nigdy się nie uchyla od zakładu! Poszliśmy więc złożyć wizyty naszym małżonkom. Sekstusową zastaliśmy w jej skrzydle domu, jak się zabawiała grą planszową i plotkowaniem ze służbą. Niezbyt to chwalebne, przyznacie sami. Ruszamy więc do domu Tytusa. Jego dama... musi być ze trzy razy większa od Lukrecji... leżała na sofie i wcinała jedno po drugim ciastka miodowe, otoczona górą okruchów. Ładna mi cnota, obżarstwo! No to idziemy dalej, do Arrunsa. Z przykrością wam powiem, że zastaliśmy ją z paroma przyjaciółkami i wszystkie piły wino! Kiedy Arruns udawał wstrząśniętego, powiedziała, żeby się nie wygłupiał i jej dolał. Najwyraźniej ona to robi na co dzień, ani trochę się nie bojąc kary. Pomaga mi to zasnąć, oświadczyła. Wyobrażacie sobie? No więc idziemy do mnie. Robiło się już późno, sądziłem więc, że Lukrecja może już spać, ale wiecie, co robiła? Siedziała przy kołowrotku i przędła, śpiewając przy tym kołysankę naszemu dziecku, leżącemu przy niej w kołysce. Powiadam wam, w życiu nie czułem takiej dumy jak w owej chwili! Nie tylko wygrałem zakład, ale trzeba by wam widzieć miny Tarkwiniuszy, kiedy ją ujrzeli. Zawsze jest piękna, ale wtedy, w prostej białej sukni bez rękawów, żeby jej nie krępowały rąk przy pracy, z blaskiem lampy na twarzy... nawet mi zaparło dech w piersi na ten widok. Tamci pozielenieli z zazdrości! Kochanie, strasznie jestem z ciebie dumny. – Kollatyn podniósł dłoń żony i ucałował ją.

Tytus westchnął cicho, wyobrażając sobie Lukrecję w białej sukni bez rękawów i przy kołowrotku, ale jego dziadek zmarszczył brwi i poruszył się niespokojnie, po czym szybko zmienił temat i rozmowa zesłała na tory polityczne. Stopniowo, taktownie, starzec próbował wybadać, jak dalece szczery może być wobec gościa. Z każdym wychyłym pucharem stawało się coraz bardziej jasne, że Kollatyn niespecjalnie przepada za swym królewskim kuzynem. Tytusowi zaś arystokratyczne zabarwienie jego poglądów przypominało wyniosłego Gnejusza Marcjusza.

– Całe to zalecanie się króla do plebsu... i to nie tej lepszej jego części, szacownych obywateli, jakich wy i ja moglibyśmy zaprosić do stołu, ale zwykłych robotników i leniuchów... bardzo mi się nie podoba, powiadam wam – perorował dalej Kollatyn. – Oczywiście to bardzo sprytne z jego strony... zarazem zyskuje sobie poklask ludu i odbiera władzę senatowi. Prześladowuje bogatych, konfiskuje ich majątki i podejmuje za nie wielkie budowy publiczne, dające hołocie zatrudnienie i zarobek. Ta okropna świątynia jest tego najlepszym przykładem. Posyła najdzielniejszych patrycjuszy do walki z naszymi sąsiadami, a zdobyte terytoria obraca w kolonie, gdzie może się osiedlać nie posiadający ziemi plebs. Najlepsza krew Rzymu jest przelewana po to, żeby jakiś żebrak mógł dostać własny zagon do obsiania! Gdyby został królem tradycyjnie, drogą wyborów, wtedy nikt nie miałby prawa narzekać. Mówią, że senatorowie na klęczkach musieli błagać Numę Pompiliusza, aby przyjął ofiarowaną mu koronę... Kuzyn Tarkwiniusz zaś zmusił ich do błagania na kolanach, żeby nie odbierał im majątków. Nawet mądry Numa odwoływał się do rady senatu, ale nie nasz król! On ma lepsze źródło wiedzy. Ilekroć powstanie jakaś wątpliwość w kwestii polityki publicznej, czy chodziłoby o wojnę, czy o załatwienie rysy w Cloaca Maxima, wyciąga księgi sybillińskie, wybiera pierwszy lepszy wiersz, odczytuje go na Forum i oświadcza, że to dowód, iż bogowie go popierają. Zaiste pyszny z niego Tarkwiniusz, bez dwóch zdań! Ależ mi zaschło w gardle... Dostanę jeszcze wina?

– Może wolałbyś wody? – zasugerował dziadek Tytusa.

– Nie wiem, dlaczego miałbym pić wodę, skoro w tym domu dają tak wspaniałe trunki. O, jest służący. Tak, tak, lej po brzegi! Mmm... świetne, smakuje jeszcze lepiej niż na początku. O czym to ja... Aha, księgi sybillińskie. No, przynajmniej Sybilli król za nie zapłacił uczciwie, choć kiepski zrobił interes. Zazwyczaj po prostu bierze, co mu się podoba, nawet od członków własnej rodziny. Przypomnijcie sobie, jak postąpił z siostrzeńcem Brutusem. Ludzie kochają Brutusa. Na ucho powiedzą wam, że byłby z niego znacznie lepszy władca niż jego wuj. Należy do tych nielicznych, na których Tarkwiniusz nie śmie otwarcie podnieść ręki, ale za to stopniowo odebrał mu wszystkie dobra, kawałek po kawałku, zamieniając go w biedaka. Mimo to Brutus znosił każdą niegodziwość bez słowa sprzeciwu, za co go wszyscy tym bardziej szanują.

Kollatynowi plątał się już język i kleiły oczy; raptownie opuściła go energia. Potycjusz senior skorzystał z okazji, by zakończyć biesiadę. Zaczął się podnosić zza stołu, ale zanim zdążył wstać, gość przemówił znowu.

– Kuzyn Tarkwiniusz może mi zabrać wszystko jak Brutusowi. Może to zrobić ot, tak! – Pstryknął głośno palcami. – Szybko jak Jowiszowy grom! Obrócić moje bogactwo w ruinę jak zesłane przez Neptuna trzęsienie ziemi! Mogę stracić wszystko, ale jednego mi ani on, ani jego synalkowie nigdy nie odbiorą... najcenniejszego mojego klejnotu... mojej Lukrecji!

Przez cały wieczór żona słuchała go cierpliwie, cicho śmiejąc się z jego żartów, bez zakłopotania, gdy stawał się zbyt głośny, i rumieniła się słodko na każdy komplement. Teraz

z wdziękiem ujęła go za rękę i wstała, zmuszając go do tego samego. Wiedziała, że czas opuścić gościnny dom, i bez wysiłku pomogła mocno podchmielonemu mężowi zrobić to z godnością. Obserwując ją, Tytus pomyślał, że jest nie tylko piękna, ale i bardzo mądra i kochająca.

* * *

Kilka dni później młody Potycjusz siedział wraz z dwoma przyjaciółmi, Publiuszem i Gnejuszem, na kamiennym grzbiecie na szczycie Skały Tarpejskiej, przyglądając się pracującym na rusztowaniach budowniczym nowej świątyni. Tytus wyjaśniał im, jak Jowiszowa kwadryga zostanie wciągnięta na fronton – Wulka wyłożył mu to szczegółowo – kiedy Gnejusz mu przerwał. Miał zwyczaj nagle zmieniać temat, jeśli rozmowa go nudziła.

– Moja matka mówi, że będzie rewolucja.

– Co to znaczy? – spytał Publiusz, równie jak on znużony technicznym monologiem Tytusa.

– Dni króla Tarkwiniusza są policzone. Tak mówi moja matka. Ludzie... a w każdym razie ci, co się liczą... mają go dość. Odbiorą mu koronę i dadzą komuś godniejszemu.

– Och, a Tarkwiniusz pewnie pokornie się pochyli i da ją sobie zdjąć? – parsknął krótkim śmiechem Publiusz. – Co tam twoja matka może wiedzieć! Jest w końcu tylko kobietą. Mój pradziadek mówi coś zupełnie innego.

Publiusz był bardzo dumny z tego, że jego pradziadek nie tylko jeszcze żyje, ale jest przy zdrowych zmysłach, prawdziwy *pater familias* ich rodu.

– Pradziadek mówi, że Tarkwiniusz obciął nogi wszystkim, którzy mogliby mu zagrozić... takim jak jego siostrzeniec Brutus... i że lepiej się przyzwyczajmy do myśli, że tron po nim przejmie jego syn. Tarkwiniusze mogą panować równie długo, jak Pinariusze będą się opiekować Ara Maxima, powiada. A twój dziadek, Tytusie? Gdy go akurat nie usypiasz bajaniami o budowie świątyni, co *pater familias* Potycjuszów ma do powiedzenia o naszym ukochanym królu?

Tytus nie zamierzał się przyznawać, że dziadek unika poruszania przy nim takich tematów. Miał pewne pojęcie o jego poglądach, ale wiedział też, że nie życzyłby on sobie, aby jego wnuk paplał o nich znanemu z długiego języka Publiuszowi.

– Mój dziadek by pewnie powiedział, że chłopcy w naszym wieku nie powinni się zajmować niebezpiecznymi plotkami.

– Plotkami zajmują się tylko niedoinformowane kobiety, jak matka Gnejusza. Kiedy rozmawiają znający się na rzeczy mężczyźni, jak my, to jest to poważna dyskusja polityczna – odparł Publiusz.

Tytus się roześmiał i już miał rzucić jakąś kąśliwą uwagę na temat nadętych bufonów, kiedy Gnejusz znieacka rzucił się na Publiusza.

Młody Pinariusz nie był dla niego godnym przeciwnikiem, zwłaszcza zaatakowany z zaskoczenia. W okamgnieniu leżał na obu łopatkach, bezsilnie wymachując rękami i nogami.

– Przepraszam za tę zniewagę mojej matki! – zażądał nie na żarty rozeźlony Gnejusz.

Tytus próbował go odciągnąć, ale ramiona przyjaciela były nieustępliwe jak stal.

– Gnejuszu, puść go! Jak on może cokolwiek powiedzieć, skoro ściskasz mu gardło? Puszczaj, mówię! Udusisz go na śmierć, ty wariacie!

Tytus był naprawdę zaniepokojony, a jednocześnie sam się dusił ze śmiechu; twarz Publiusza zrobiła się purpurowa jak królewska toga, a dziwne dźwięki, jakie wydawał, brzmiały, jakby powinny się raczej wydobywać z jego drugiego końca. Tytus rechotał, aż go boki rozboleły. Gnejusz starał się utrzymać marsową minę, ale też w końcu nie wytrzymał i wybuchnął śmiechem, mimo woli rozluźniając chwyt. Publiuszowi udało się wyrwać i odtoczyć na bok. Złapał się za szyję i wbił w kolegę wściekłe spojrzenie. Między kasznięciami i sapaniem udało mu się wyskrzeczować protest:

– Jesteś szaleńcem, Gnejuszu Marcjuszu! O mało mnie nie zabiłeś!

– Powiniem cię zabić za to, że znieważasz moją matkę i godzisz w mój honor.

– Twój honor! – Publiusz pokręcił głową. – Powinno być jakieś prawo zabraniające plebejuszowi jak ty choćby palcem dotknąć patrycjusza jak ja.

Gnejusz tym razem nie rzucił się do nowego ataku, ale stanął jak wryty. Twarz mu poczerwieniała jak burak.

– Jak śmiesz powiedzieć mi coś takiego!

– Jak śmiem nazwać cię plebejuszem? Tym właśnie jesteś, Gnejuszu Marcjuszu! Tylko głupiec nie umie przyjąć własnego losu, jak mówi nasz *pater familias*.

Tytus cmoknął z dezaprobatą. Dlaczego Publiusz nie przestaje prowokować Gnejusza? Czy chce zlecieć ze Skały Tarpejskiej? Zaczął się zastanawiać, czy nie powinien pójść po pomoc, kiedy jego uszu dobiegł niosący się z dołu, od strony miasta, hałas.

– Co to jest? – spytał.

– Co takiego? – Publiusz nie spuszczał czujnego wzroku z przeciwnika.

– Ten odgłos. Nie słyszycie? Jakby jęczał olbrzym...

– Albo ryczał. Tak, teraz słyszę. To brzmi jak szum w muszli.

Dziwny dźwięk nawet Gnejusza wytrącił z zacierzewienia.

– Albo szloch – powiedział. – To głos wielu płaczących naraz kobiet.

– Coś się stało! – krzyknął Tytus. – To się niesie od Forum.

We trójkę podeszli na skraj urwiska i spojrzeli w dół. Robotnicy ze świątyni także to dosłyszeli i zaczęli się wspinać wyżej na rusztowanie, żeby mieć lepszy widok.

Na Forum zebrał się wielki tłum, a zewsząd wciąż nadciągali ludzie. Na schodach kurii stała grupka senatorów w togach; wśród nich Tytus rozpoznał wychudłą twarz siostrzeńca króla. Zamiast togi Brutus miał na sobie poszarpaną tunikę niegodną nawet żebraka – dobitna oznaka ubóstwa, w jakie wpędził go wuj. Przemawiał właśnie do zgromadzonych.

– Słyszycie, co mówi? – spytał kolegów.

– Jest za daleko, a tłum za głośny – złościł się Gnejusz. – Czemu oni się nie zamkną?

Ludzie najbliżej gmachu senatu stali w milczeniu, zwróceniu w kierunku mówcy, ale ci z tyłu kręcili się we wszystkie strony, wznosili ku niebu ramiona, krzyczeli i płakali. Rozstępowali się jednak, robiąc przejście komuś, kto usiłował przedostać się ku senatorom.

– Co to za jeden? I co on niesie? – Tytus przysłonił oczy dłonią.

– Który? – spytał Publiusz, wciąż zachrypnięty.

– Nie poznaję go, ale widzę, co niesie – powiedział Gnejusz. – To kobieta. On niesie jakąś kobietę. Jest zupełnie wiotka. Ludzie usuwają mu się z drogi... Ma chyba krew na tunice. Kobieta chyba musi być...

– Martwa – dokończył za niego Tytus, tknięty złym przeczuciem.

Mężczyzna mozolnie przedzierał się przez tłum. Gdzie stąpnął, ludzi najpierw ogarniało poruszenie, a potem nieruchomieli i milkli. Zanim dotarł do schodów senatu, cały plac opanowała dziwna, złowroga cisza. Potykając się, jakby ciężar był ponad jego siły, wspinał się stopień po stopniu na szczyt. Brutus i inni senatorowie pochylili głowy i odsunęli się na bok. Człowiek odwrócił się twarzą do stłoczonych ludzi.

– Wiedziałem! – szepnął pobladły Tytus. – To Kollatyn. A to znaczy, że kobieta w jego ramionach...

Martwe ciało spowijała niebieska stola z długimi rękawami, zakrwawiona na piersi. Ciemne włosy kobiety zwisały prosto, tak długie, że ich końce dotykały stóp jej męża.

Brutus postąpił naprzód. W absolutnej ciszy jego głos rozbrzmiał tak donośnie, że i tu, na Skale Tarpejskiej, słysząc go było wyraźnie.

– Powiedz im, Kollatynie. Mnie nie uwierzą. Nie zechcą uwierzyć w tak straszną wieść. Powiedz im, co się stało.

Rozdzierający szloch zrozpaczonego mężczyzny rozbrzmiał echem po Forum, aż zgromadzonym ciarki przeszły po plecach. Przez długą chwilę nie mógł się opanować, ale kiedy w końcu przemówił, jego słowa dźwięczały głośno i czysto.

– Sekstus Tarkwiniusz to zrobił. Syn króla! Zgwałcił moją żonę, moją ukochaną Lukrecję. Pod moją nieobecność przyszedł do naszego domu. Powitała go jak honorowego gościa, zaprosiła do stołu i wyznaczyła mu izbę na nocleg. W środku nocy przyszedł do niej i siłą wdarł się do łóża... naszego łóża! Przyłożył jej sztylet do szyi... Patrzcie, ostrze zostawiło ślad na skórze! Sługa słyszał jej błagania o litość, ale jeden z ludzi Sekstusa pilnował drzwi. Posłano po mnie, ale zanim wróciłem, jego już nie było. Lukrecja płakała, była jak oszalała z rozpacz, nie mogłem jej uspokoić. Sekstus zostawił na stole nóż, którym ją sterroryzował. Zanim zdołałem ją powstrzymać, wbiła go sobie w serce. Skonała mi na rękach!

Jak gdyby ciężar nagle przerósł jego siły, Kollatyn osunął się na kolana, wciąż tuląc do piersi martwe ciało żony, zwiesił bezwładnie głowę i zapłakał.

Brutus wystąpił naprzód i uniósł zakrwawiony sztylet.

– To ten nóż! – krzyknął. – Ten sam, którym posłużył się zbrodniarz i którym ona pozbawiła się życia. – Odczekał, aż ucichną okrzyki zgrozy. – Jak długo jeszcze będziemy to znosić cierpliwie? Co jeszcze pozwolimy sobie odebrać tyranowi i jego synom? To się musi zmienić tu i teraz, dzisiaj!

Brutus trzymał sztylet w wyprostowanej nad głową ręce i zwrócił się w stronę Kapitolu, jakby wzywał Jowisza z niedokończonych świątyni. Tytusowi się wydawało, że ten surowy, wychudły mężczyzna patrzy wprost na niego i jego przyjaciół. Wrażenie było przejmujące i chłopiec aż zadrżał.

– Na tę niewinną krew, która splamiła to ostrze! Na bogów, przysięgam, że ogniem i mieczem, i ze wszystkich sił będę ścigał Tarkwiniusza Pysznego, jego nikczemną żonę i wszystkie jego dzieci, z których żadne nie zasługuje na życie wśród porządnym ludzi, a tym mniej, by nimi rządzić. Wyrzucę ich stąd i nigdy już nie pozwolę, aby oni lub ktokolwiek inny został królem Rzymu!

Wybuchnął tumult. Wszyscy krzyczeli naraz, kobiety rwały sobie włosy z głów, mężczyźni wznosili zaciśnięte pięści. Kilkudziesięciu ludzi wbiegło na stopnie senatu i porwał Brutusa na ramiona; zdawał się teraz płynąć nad tłumem, wciąż wznosząc ku niebu krwawy dowód zbrodni.

Nawet na swej bezpiecznej pozycji na Kapitolu Tytus Potycjusz poczuł ukłucie strachu. Nigdy dotąd nie oglądał podobnego widowiska. Furia tłumy wydała mu się uwolnioną nagle siłą żywiołu. Serce waliło mu w piersiach, usta miał zbyt suche, by mówić.

– Jak myślisz, co on chciał przez to powiedzieć? – spytał Gnejusz zaskakująco spokojnym głosem.

– No, chyba wyraźniej się wysławić nie mógł – odrzekł Publiusz. – Chce wypędzić Tarkwiniusza z Rzymu.

– Tak. A potem?

Publiusz prychnął z poirytowaniem.

– Oczywiście sam zajmie miejsce króla.

– Nie, Publiusz, tego on nie powiedział. Ja słyszałem coś innego: „Nigdy już nie pozwolę, aby oni lub ktokolwiek inny został królem Rzymu”. Brutus chce usunąć króla, ale nie zamierza nikim go zastępować.

– Ale jeśli nie będzie króla, to kto będzie rządził miastem? – Publiusz zmarszczył czoło.

Tytus był zdumiony jak i jego koledzy, przerażony i rozradowany zarazem, i zdjęty bólem, że Lukrecję – piękną, mądrą, kochającą Lukrecję – spotkał taki straszny los. To, czego był świadkiem, przerastało jego siły i zdolność pojmovania. Wiedział tylko, że tego dnia coś się skończyło i zaczęło coś innego, a ich życie zmieniło się na zawsze.

509 r. p.n.e.

Odziany w kapłańskie szaty i dumnie prezentujący Fascinusa na szyi – dziś bowiem występował w podwójnej roli: jako kapłan Herkulesa i jako dziedzic tradycji Potycjuszów – Tytus stał między ojcem i dziadkiem w pierwszych rzędach tłumu zgromadzonego na Kapitolu przed nowo wybudowaną świątynią Jowisza. Pinariusze także byli obecni, zajmując równie honorowe miejsca. Pradziadek Publiusza wyglądał na bardzo osłabionego i nie mniej zdezorientowanego; ale komu nie kręciło się w głowie po wszystkich burzliwych wydarzeniach ostatniego roku?

Za chwilę miała się odbyć konsekracja świątyni. Do ostatnich minut Wulka gorączkowo wszystko sprawdzał i gdzie trzeba, poprawiał – tu pacnął pędzlem zadrapaną łokieć Minerwy, tam przetaił nie dość lśniący brąz zawiasów drzwi, polecił podwładnym przesunąć tron Jowisza o palec w lewo, posąg nie stał bowiem idealnie pośrodku postumentu. Tytusowi nie przeszkadzało, że jego idol wszędzie widzi drobne niedoróbki; dla niego nie było nic piękniejszego na świecie od tej budowli. Zaiste godna była tak świetnego miejsca na Kapitolu, gdzie górowała nad całym miastem. Teraz, kiedy wreszcie uwolniona została spod kratownicy rusztowań, mógł w pełni docenić doskonałość jej proporcji i ogrom wspierających fronton kolumn. Na samym szczycie ciągnięta przez cztery bielutkie rumaki kwadryga najwyższego władcy bogów i ludzi zdawała się zrywać do lotu, a majestat gromowładnego Jowisza wzbudzał nabożny lęk.

U wejścia stali obok siebie dwaj konsulowie, Brutus i Kollatyn, nadzorujący przebieg uroczystości. Choć chudy jak zawsze, Brutus nie miał już na sobie łachmanów, ale jak Kollatyn przywdział togę z purpurowym szlakiem jako oznaką nowej godności jednego z dwóch najwyższych urzędników republiki.

Republika... słowo to wciąż obco brzmiało w uszach Tytusa. Utworzone zostało z dwóch wyrazów: *res*, (rzecz, okoliczność, stan) i *publica* (publiczna). *Res publica*, czyli rzeczpospolita. W następstwie nagłego upadku i odejścia Tarkwiniusza – powstanie było tak powszechne i nagłe, że odbyło się prawie bezkrwawo – przywódcy senatu postanowili sami rządzić miastem, nie powołując nowego króla. Prości obywatele głośno nalegali, by dano im ich własne zgromadzenie i prawa, które by ich chroniły, ponieważ dotąd łaska królewska była dla nich jedyną obroną przed chciwością bogatych i potężnych patrycjuszów.

– Zasady, przepisy, prawa! – wyrzekł dziadek Tytusa po pierwszych, burzliwych obradach nowego rządu. – Kiedy nikt nie jest królem, wszyscy są królami i myślą, że wszystko powinno się dziać tak, jak oni chcą, a przynajmniej mieć coś do powiedzenia w każdej sprawie. W rezultacie mamy chaos! Nie kończące się spory i żadnej zgody, poza tym że trzeba ustalić nowe zasady, które by unieważniły wszystkie stare prawa. Nikt nie jest zadowolony, każdy myśli, że inni lepiej na tym wychodzą. Jak się tego słucha, to człowiek o mało nie tęskni za tym, któregośmy zwali Pyszny!

Mimo wszystkich trapiących młode państwo problemów był to dzień świętowania. Konsekracja świątyni Jowisza, która miała być koronnym dziełem Tarkwiniusza, teraz uświetniała pierwszą rocznicę utworzenia republiki. Wspaniałość żywo pomalowanych posągów i zapierająca dech doskonałość formy architektonicznej Tytusowi się skojarzyła z nowym duchem jego rodzinnego miasta.

Przybyszowi z zewnątrz mogłoby się wydawać, że stojący przed wejściem dwaj konsulowie są współwładcami, niewiele się różniącymi od królów. Szaty wyróżniały ich spośród ogółu zebranych i jak królowie byli strzeżeni przez zbrojnych liktorów. Nawet to, że zostali wybrani na swój urząd, nie było niczym nowym – wszyscy panujący w Rzymie, poza samozwańcem Tarkwiniuszem, wyłaniani byli drogą elekcji. Ale konsulowie, obydwaj na równych prawach, aby jeden mógł kontrolować drugiego, mieli piastować stanowisko tylko przez rok, a potem przekazać władzę następnym dwóm, którzy wygrają wybory. Dzięki temu podziałowi władzy konsulów i systemowi dorocznych elekcji, jak wszyscy mieli nadzieję, państwo miało służyć ludziom, a Rzymu już nigdy nie miał tyranizować król pokroju Tarkwiniusza.

Ceremonia publiczna dobiegła końca. Otworzyły się wielkie drzwi świątyni. Konsulowie weszli pierwsi, na czele starannie wybranej grupy obywateli, jako że budowla mogła pomieścić tylko niewielką część zgromadzonych. Znaleźli się w niej dziadek Tytusa i wspierany przez niego drugi najstarszy kapłan Herkulesa, pradziadek Publiusza, który z trudem pokonał schody. Tytusowi nie dane było uczestniczyć w tej bardziej kameralnej uroczystości, ale dzięki przyjaźni z Wulką już wcześniej miał okazję obejrzeć wykończone wnętrza i mógł się do woli napatrzeć na wspaniałe posągi bóstw.

Tłum zaczynał się z wolna rozpraszać. Nastrój był radosny, ludzie pozdrawiali się, obejmowali, śmiali. Chłopcu też się udzieliła ogólna atmosfera; czuł, jak go rozpiesza duma i uniesienie. Kiedy w pobliżu spostrzegł Gnejusza, zrobiło mu się jeszcze radośniej na sercu, ale w tej samej chwili usłyszał szept Publiusza:

– Patrz, twój plebejski przyjaciel. Jakim cudem się znalazł tak daleko w przedzie? Musi dziś zgrywać Weturiusza, udaje, że krew jego matki czyni go jednym z nas.

– Zamknij się, Publiusz! Nie próbuj go obrażać. Celowe wywoływanie niezgody w taki dzień byłoby dowodem braku szacunku dla Jowisza.

– Na wszystkich bogów, nie chcę obrażać twoich religijnych uczuć, Tytusie! – Publiusz parsknął śmiechem. – Dobra, w takim razie idę dalej. Pozdrów ode mnie tego nadętego pospolitaka w sposób jak najmilszy Jowiszowi.

Dopiero kiedy Publiusz zniknął mu z oczu, Tytus podszedł do Gnejusza.

– Miałeś rację – rzekł tamten zamiast przywitania. – Chociaż cudzoziemiec, Wulka – dał nam prawdziwie imponującą świątynię. Cały Rzym może być z niej dumny. Nie mogę się doczekać widoku posągów.

Tytus tylko skinął głową. Publiuszowi pochwaliby się od razu, że już je widział, ale Gnejusz mógłby pomyśleć, że się wywyższa i kłuje go w oczy swoim uprzywilejowanym pochodzeniem.

– Stałeś bliżej konsulów niż ja. – Uśmiech przygaś na ustach Gnejusza. – Nie sądzisz, że Brutus wygląda raczej niezdrowo?

– Możliwe. Dziadek mówi, że podobno jest chory.

– Gdybyż tylko o to chodziło!

– Co masz na myśli?

Gnejusz ujął Tytusa pod ramię i odciągnął na stronę, po czym spytał przyciszonym głosem:

– Nie słyszałeś pogłoski o jego synach?

Dwaj synowie konsula byli o parę lat starsi od Tytusa, który znał ich na tyle, by pozdrowić po imieniu, kiedy się spotykali na Forum.

– Pogłoski?

Gnejusz pokręcił głową.

– To, że twój dziadek wciąż cię uważa za chłopczyka, nie oznacza, że musisz myśleć jak chłopczyk! Jesteśmy na to za starzy, stary. Czasy są niebezpieczne, trzeba bardziej się interesować tym, co się wokół nas dzieje.

Tytus uśmiechnął się przekornie i dotknął swojego amuletu.

– Mnie tam obchodzi tylko to, jak zostać budowniczym jak Wulka.

– Takie rzeczy powinieneś zostawić rzemieślnikom. Ludzie tacy jak my rodzą się, by walczyć.

– Ale świątynie zbliżają nas do bogów. Ich budowanie jest równie ważne jak wygrywanie bitew.

– Na to nawet nie odpowiem! – Gnejusz prychnął wzgardliwie. – Ale mieliśmy mówić o Brutusie i jego synach. Ponieważ najwyraźniej nie masz o niczym pojęcia, pozwól, że cię oświecę. Ten dziwaczny stan rzeczy... ta tak zwana republika... wisi na włosku. Nasi sąsiedzi sprzymierzają się, aby wydać nam wojnę. Myślą, że bez króla jesteśmy słabi... i mają rację. Całe te przepychanki i kłótnie odbierają nam siły. Bezwartościowy motłoch dał się chwilowo udobruchać, gdy uzurpatorzy pozwolili mu splądrować dobra Tarkwiniusza... hańba Brutusowi i Kollatynowi, że do tego dopuścili!... ale teraz znów staje się podejrzliwy wobec nowych urzędników i zaczyna się domagać zastąpienia senatu przez ich własne, plebejskie zgromadzenie. Niech bogowie mają Rzym w opiece, jeżeli do tego dojdzie! A teraz... – Gnejusz jeszcze bardziej zniżył głos – ...podobno szykuje się spisek, by przywrócić króla na tron. Zamieszani w to są najbardziej szacowni obywatele.

– Czy to w ogóle możliwe? – Tytus aż się zachłysnął.

– Na pewno nie bez przelewu krwi, ale owszem, możliwe. Tarkwiniusz i jego synowie dopóki żyją, nie porzucą prób odzyskania tronu. Ja bym też nie przestał!

– Ale kto zechce im pomagać? Po tym, co Sekstus zrobił Lukrecji...

– A co takiego zrobił? Tak, zgwałcił cudzą żonę. Nie pierwszy to raz i nie ostatni. Było to przestępstwo, jasne... ale nie powód do obalenia całego systemu rządów, który uczynił Rzym potężnym państwem. Nie zapominaj, że to dzięki królowi mamy dziś świątynię, która cię napawa taką dumą. Wrogowie Tarkwiniusza po prostu wykorzystali ten gwałt do podburzenia ludu przeciwko niemu, aby móc spokojnie zająć jego miejsce.

Tytus mimo woli zadrżał.

– Gnejuszu... chyba ty nie przystałeś do tych spiskowców, co? Odpowiedz!

Gnejusz przybrał wyniosłą, obojętną minę i Tytus widział, że przyjaciel wyraźnie delektuje się jego konsternacją.

– Nie, nie przystałem – odrzekł w końcu. – Ale nie powiem, abym zupełnie się nie zgadzał z tymi, którzy uważają, że Rzymowi było lepiej za króla.

– Ależ, Gnejuszu, przecież nawet ktoś taki jak ty... – Tytus ugryzł się w język; wiedział, że musi unikać urażenia przyjaciela, ale też chciał mu udowodnić, że nie jest kompletnym ignorantem politycznym, za jakiego został wzięty. – Kollatyn jest patrycjuszem, ale Brutus nie. Jego matka była siostrą króla, ale ojciec pochodził z plebsu. Wygrywając wybory na konsulów, ustanowili precedens na przyszłość. W republice każdy wartościowy człowiek, plebejusz czy patrycjusz, będzie miał szansę rządzić.

– Przez rok! – Gnejusz prychnął wzgardliwie. – Co w tym dobrego?

– A senat? – nie ustępował Tytus. – Tarkwiniusz zabił tylu senatorów, że konsulowie każdego dnia nominują nowych, aby przywrócić dawną liczbę trzystu. Także plebejuszy.

– Jeszcze gorzej! Czy to według ciebie najlepsze, na co mężczyzna może mieć nadzieję? Że zostanie jednym z trzystu?

Tytus był teraz naprawdę zdezorientowany.

– Gnejuszu, ty chyba źle to wszystko zrozumiałeś – powiedział niepewnie, a w myśli słyszał, co by na to powiedział Publiusz Pinariusz: „I dla ciebie może się znaleźć miejsce w nowej republice, choć jesteś tylko zwykłym pospolitakiem”.

– Nie, Tytusie, to ty nic nie rozumiesz. Ta republika, rządy ludu... cóż może zaoferować ponad szansę zostania byle senatorem, jednym z całego ich tłumu, a w najlepszym razie konsulem, pierwszym wśród równych, i to też tylko jednym z pary, wybranym zaledwie na rok? Dopóki Rzym miał króla, człowiek miał do czego dążyć.

– Nie rozumiem cię.

– Nadzieja, Tytusie! Mąż ambitny, wielkiego formatu, doskonały wojownik... o głowę wszystkich przerastający... w dawnych czasach mógł liczyć na to, że kiedyś zdobędzie tron, stanie się prawdziwym władcą, królem Rzymu! Ale teraz, kiedy monarchię zlikwidowano i zastąpiono tym żalosnym tworem, jaka takiemu mężowi pozostaje nadzieja?

Tytus wpatrywał się w zarumienioną twarz przyjaciela, zafascynowany i zarazem przerażony. Czyżby Gnejuszowi naprawdę się roilo nałożenie korony? Skąd się biorą takie

nieposkromione ambicje? Podziwiać je, czy się ich bać? Niemal pragnął w tej chwili, aby Publiusz znalazł się przy nim i nakłął to rozdęte ego jakąś złośliwą uwagą. Potrząsnął głową i rzekł:

– Jak zeszedliśmy na taki temat? Miałeś mi powiedzieć coś o Brutusie i jego synach...

– Nieważne – przerwał Gnejusz.

Odwrócił twarz, ale w jego głosie Tytus słyszał cały gniew, ból i rozdrażnienie młodego człowieka, którego marzeń nie rozumie nikt inny, nawet najbliższy przyjaciel.

* * *

Tak jak dziadek Tytusa, Brutus zdawał sobie sprawę z wagi umiejętności pisania i czytania, toteż dopilnował, aby posiedli ją jego dwaj synowie. Nie mógł się spodziewać, że czyni to na ich zgubę.

Młodszy brat jego żony, Witeliusz, był po same uszy zamieszany w spisek zawiązany w celu reintronizacji króla. On właśnie przekonał swych siostrzeńców do tej sprawy i nakłonił do konspiracji, obiecując im po zwycięstwie deszcz nagród i zaszczytów. W miarę zbliżania się dnia wyznaczonego na powrót Tarkwiniusza – dnia, w którym Forum miało utonąć we krwi – tyran był coraz bardziej nerwowy i żądał od swych zwolenników mocniejszych zapewnień o lojalności. Wymógł na nich napisanie listów jasno wyrażających ich intencje, z własnoręcznymi podpisami. Obaj synowie Brutusa, Tytus i Tyberiusz, takie listy podpisali i oddali je niewolnikowi ich wuja Witeliusza.

Niewolnik był przekupiony przez Brutusa i miał informować go o knowaniach jego pana. Konsul wiedział o zaangażowaniu szwagra, a że nie bardzo się wzajemnie lubili, był zdecydowany go zdemaskować. Nie wiedział jednak nic o udziale synów.

Niewolnik miał obiecaną wolność i prawa obywatela republiki, jeżeli zdoła dostarczyć dowody istnienia konspiracji. Z mieszanymi uczuciami strachu i ekscytacji wkroczył do izby, w której siedzieli obaj konsulowie, by wręczyć im listy, które mu powierzono.

– Ile? – spytał Brutus.

– Dwadzieścia listów – odrzekł niewolnik. – Podpisanych przez dwadzieścia jeden osób.

– Na jednym z listów są więc dwa podpisy? – Brutus zmarszczył brwi.

– Tak, konsulu.

Brutus czytał kolejno wszystkie i podawał je Kollatynowi. Niektóre nazwiska były dla niego zaskoczeniem, inne nim wstrząsnęły. Bolesnie świadom powagi chwili, starał się za wszelką cenę nie okazywać emocji.

Ostatni list niewolnik podał mu ze spuszczoną głową, nie śmiejąc spojrzeć mu w oczy. Konsul wpatrywał się w rozwinięty pergamin przez długi czas, siedząc tak nienaturalnie sztywno, że Kollatynowi przemknęło przez myśl, iż doznał paraliżu. Zniecierpliwiony wyjął

mu list z rąk, ale kiedy ujrzał widniejące u dołu dwa imiona, sam omal nie wypuścił go z dłoni.

Brutus wciąż nie reagował. Kiedy się odezwał, głos miał drewniany, wyzuty z wszelkich emocji.

– Znamy więc ich imiona i mamy dowody winy. Wiemy, gdzie mieszkają. Musimy wysłać liktorów, aby aresztowali ich jak najprędzej, aby żaden nie zdołał ostrzec pozostałych.

– A potem? – spytał Kollatyn, zawieszając głos.

– Nie ma potrzeby wytaczać im procesu. Senat udzielił nam specjalnych pełnomocnictw na takie właśnie nadzwyczajne okoliczności. Trzeba ratować republikę, zadziałamy więc błyskawicznie i zdecydowanie.

* * *

Następnego dnia większość obywateli stawiała się na Polu Marsowym, gdzie na wzniesionej specjalnie platformie ustawiono krzesła dla konsulów. O wyznaczonej godzinie doprowadzono przed nich odartych z odzieży więźniów. Wszyscy byli młodzi i wszyscy pochodzili z szanowanych rodzin. Z daleka mogli wyglądać na nagich atletów paradyjących przed widownią w Circus Maximus, gdyby nie to, że zawodnicy zwykle machają rękami do widzów na trybunach, ci mężczyźni zaś mieli ręce związane na plecach.

Oczy wszystkich były zwrócone na synów Brutusa. Jeśli czegokolwiek się nauczyli od ojca, to na pewno opanowania i godnej postawy. Podczas gdy niektórzy ze spiskowców miotali przekleństwa lub błagali o litość, płakali lub szamotali się z liktorami, Tytus i Tyberiusz stali sztywno wyprostowani z zaciśniętymi ustami, patrząc wprost przed siebie.

Przed trybuną ułożono rzędem grube pnie drzew. Liktorzy ustawili przed nimi skazanych, po czym zmusili ich, by ukłękli i oparli się piersiami na pniach. Każdemu kolejno owinięto szyję długim sznurem, łącząc ich jak ogniwa łańcucha; zwisające między pniami odcinki naprężono za pomocą wbitych w ziemię kołków. Tak unieruchomieni skazańcy byli teraz przygotowani do kaźni.

Najpierw zostali wychłostani. Liktorzy się nie spieszyli, pracowali rytmicznie i dokładnie. Synów i szwagra konsula bito nie mocniej ani nie słabiej od innych; biczowanie trwało dopóty, dopóki piasek nie przesiąknął krwią. Kilku zemdłało, ale szybko przywrócono ich do przytomności wiadrami zimnej wody.

Gdyby skazańcy byli jeńcami z pokonanej armii, zwykłymi przestępcami albo zbuntowanymi niewolnikami, tłum śmiałby się z nich i szydził; teraz jednak na placu panowała nabrzmiała napięciem cisza; z rzadka tylko tu i ówdzie rozlegał się stłumiony szloch, a niektórzy mężczyźni chowali twarze w rękach, nie mogąc patrzeć na to, co się dzieje. Większość zebranych starała się za wszelką cenę naśladować Brutusa, który siedział

na krześle nieruchomo jak statua i obserwował wymierzanie kary zdrajcom bez najmniejszego drgnięcia.

Nadszedł czas śmierci. Skazańców jednego po drugim ścinano; liktorzy przekazywali sobie topór, wycierając ostrze z krwi przed każdym kolejnym ciosem. Synowie konsula znajdowali się w samym środku rzędu i kiedy przyszła kolej na Tytusa, na piasku spoczywało już w kałużach krwi dziesięć głów jego towarzyszy. Część dalej leżących mężczyzn zanosila się płaczem, paru w panice szarpało się w więzach. Ktoś stracił kontrolę nad jelitami i do mdłej woni krwi dołączył ostry odór fekaliiów i moczu. Ostatni w kolejce Witeliusz wrzeszczał teraz bez ustanku, aż w końcu jeden z liktorów, nie mogąc tego znieść, zatkał mu usta zakrwawioną szmatą.

Kat przetaił pobeżnie topór, unioł go nad głowę i ciął silnie w szyję Tytusa. Tyberiusz, który cały czas mocno zaciskał powieki, zginął w chwilę potem. Zostało jeszcze dziewięciu skazanych.

Brutus wciąż niewzruszenie obserwował przebieg kaźni. Ludzie wpatrywali się w jego twarz, na próżno szukając na niej cienia nowych emocji, i mimo całej grozy sytuacji nie mogli go nie podziwiać.

Pozostał już tylko Witeliusz. Zanim liktor do niego podszedł, udało się mu wypluć knebel i znów zaczął krzyceć. Topór wzniósł się i opadł, a wraz z jego głuchym uderzeniem nad Polem Marsowym nagle zaległa cisza.

Kollatyn podniósł się z krzesła z nienaturalną sztywnością ruchów; tylko ciągłym zaciskaniem i otwieraniem dłoni zdradzał, jak bardzo jest zdenerwowany. Po nim wstał Brutus. Na ułamek sekundy się zachwiał i ludzie jak jeden mąż wstrzymali oddech, bojąc się, że upadnie. Kollatyn instynktownie wyciągnął rękę, by go chwycić pod ramię, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. Przemówił do niego szeptem, proponując, że zastąpi go w obowiązku, który zgodnie z ustaleniem miał na siebie wziąć Brutus, ale ten potrząsnął tylko głową. Wysunął prawą rękę; na tę milczącą komendę jeden z liktorów podał mu ceremonialną laskę.

– Zbliź się, Windycjuszu! – zawołał konsul.

Niewolnik, który wydał Witeliusza i pozostałych konspiratorów, podszedł pod trybunę. Brutus spojrział na niego z góry.

– Za twój wkład w ratowanie republiki przed wrogami obiecano ci nagrodę – powiedział.
– Przez krótki czas jej istnienia ani razu niewolnik nie został jej obywatelem. Ty będziesz pierwszy. Wobec wszystkich tu zgromadzonych przyznaję ci prawa, przywileje i obowiązki wolnego Rzymianina.

Windycjusz pochylił głowę, a Brutus trzykrotnie dotknął jej laską. Gdy przemówił znowu, jego głos miał nieco szklane brzmienie, lecz się nie załamywał.

– Niech wszyscy ujrzą, że niewolnik może zostać obywatelem, służąc republice. I niech wszyscy ujrzą, że każdy obywatel, który ją zdradzi, nie zazna miłosierdzia. Wszyscy dziś

straceni mężowie dopuścili się zdrady. Zdradzili swoje miasto i was, swoich współobywateli. Niektórzy winni byli także innej zbrodni... zdradzili własnego ojca. Za niełojalność wobec ojca czy ojczyzny kara może być tylko jedna i dzisiaj byliście jej świadkami. Uczyniliśmy to na Polu Marsowym, gdzie nic nas nie skrywa przed okiem nieba. Niech bogowie nas widzą, a przez swą nieustającą łaskę potwierdzą, że to, cośmy dzisiaj zrobili, było dobre i słuszne.

Brutus zszedł z trybuny z podniesionym czołem. Stąpił prosto, ale ciężko wspierał się na lasce, oznace swej godności. Nigdy przedtem nie potrzebował laski; nigdy potem nie mógł się już bez niej obejść.

Wśród stojących w pierwszych rzędach patrzyli na jego odejście młodzi Tytus Potycjusz i Gnejusz Marcjusz. Tytus z racji pochodzenia był przyzwyczajony do zajmowania najlepszych miejsc, ale tego dnia wolałby pewnie być wszędzie, byle nie tam. Kilka razy, zwłaszcza podczas samej egzekucji, był bliski omdlenia, ale ponieważ niedaleko stał dziadek, nie śmiał odwrócić wzroku. Gdy robiło mu się słabo, ścisnął jedną ręką Fascinusa, drugą jak dziecko sięgał po dłoń kolegi. Gnejuszowi było głupio, ale trzymał go za rękę bez protestu – w końcu był mu winien wdzięczność za wprowadzenie go na tak dobre miejsce.

Gnejusz miał mocniejsze nerwy i widok krwi, nawet w takiej ilości, nie przyprawiał go o podobną słabość. Nie litował się też nad skazańcami. Dla niego sprawa była jasna: podjęli straszne ryzyko, zdając sobie sprawę z potencjalnych konsekwencji. Gdyby ich plan się powiódł, nie okazaliby swoim ofiarom ani odrobiny więcej miłosierdzia, niż dzisiaj sami doznali. Gnejusz nie wiedział tylko, co ma myśleć o Brutusie. Ten człowiek miał żelazną wolę; jeśli ktokolwiek ze śmiertelnych godzien był nosić koronę, to właśnie on – a przecież ani myślał rościć sobie do niej prawa. Musiał naprawdę nienawidzić monarchii. Brutus zainwestował w dziwne pojęcie republiki wszystkie swoje siły i nadzieje. Zażądała od niego najwyższej ofiary, śmierci synów z jego własnej, ojcowskiej ręki. Nawet bóg, gdyby domagał się tak okrutnego dowodu lojalności, musiałby się liczyć z odmową i odrzuceniem – tymczasem Brutus wciąż wielbił republikę!

Gnejusz wiedział, że patrzy na narodziny nowego porządku, w którym nie królowie panują, lecz patrioci. Świat się zmienił, ale on nie; wciąż miał ambicję być pierwszym wśród ludzi, szanowanym nad wszystkich innych. Jak to osiągnąć w tym nowym świecie, nie miał jeszcze pojęcia, wierzył jednak mocno w swoje przeznaczenie. Czas i bogowie z pewnością wskażą mu drogę do celu.

504 r. p.n.e.

Przybycie Attusa Klaususa do Rzymu odbyło się z wielką pompą i celebrą. Wszyscy zainteresowani zdawali sobie sprawę, że to doniosłe wydarzenie, choć nikt nie wiedział, jak dalekosiężne będą jego skutki.

Pierwsze pięciolecie republiki naznaczone było licznymi problemami i wyzwaniem. Wrogowie wewnętrzni spiskowali, pragnąc powrotu monarchii. Wrogowie z zewnątrz usiłowali podbić lub choćby podporządkować sobie dumne miasto. Obywatele się burzyli, władza przechodziła od frakcji do frakcji w nieustannych zmaganiach woli i wybujałych osobowości.

Do odwiecznych nieprzyjaciół Rzymu należały plemiona Sabinów ze wschodu i południa, z dawien dawna zjednoczone w nienawiści wobec sąsiada. Kiedy jeden z ich wodzów, Attus Klausus, zaczął orędownąć za zawarciem pokoju, inni przywódcy obrócili się przeciw niemu i Klausus znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Zwrócił się z gorącą prośbą do senatu rzymskiego o pozwolenie na osiedlenie się w republice wraz ze swymi wojownikami i ich rodzinami. Senatorowie długo roztrząsali petycję, aż w końcu upoważnili konsulów do negocjacji z Klaususem. W zamian za solidną kontrybucję dla świecącego pustkami skarbu miasta i zgodę na wcielenie jego ludzi do szeregów rzymskiego wojska imigrant został przywitany z otwartymi ramionami. Jego rodzinie obiecano nadanie ziemi na rzeką Anio, a on sam został wciągnięty na listę patrycjuszy i otrzymał godność senatora.

W dzień jego przyjazdu na Forum zebrał się spory tłum witających, wznosząc okrzyki na jego cześć, kiedy szedł z rodziną wzdłuż via Sacra. Sypano mu nawet kwiaty pod nogi, a flety i rogi grały radosną starą pieśń o Romulusie, porwaniu Sabineek i szczęsnym jego zakończeniu. Kiedy mała procesja dotarła do schodów senatu, żona i dzieci Attusa zostały na zewnątrz, on sam zaś wspiął się schodami do wejścia.

Tytus Potycjusz jak zwykle stał na przedzie i mógł się dobrze przyjrzeć Sabinowi. Dostojna postawa wodza i królewska grzywa szpakowatych włosów zrobiły na nim wielkie wrażenie. Jego dziadek był w czekającej na górze grupie senatorów i urzędników, którzy przywitali nowo przybyłego i wręczyli mu senatorską togę. Tunika, jaką Attus miał na sobie, była doskonałej roboty, zielona ze złotymi zdobieniami, ale szatę przyjął z namaszczeniem i swobodnym ruchem uniósł ramiona, pozwalając, by ją na nim odpowiednio udrapowano. Leżała na nim dobrze – wyglądał, jakby urodził się rzymskim senatorem.

Potem przysła kolej na uroczyste przemowy. Początkowo skupiony Tytus zaczął wkrótce tracić zainteresowanie ich treścią i błędzić wzrokiem po otoczeniu. Zwrócił uwagę na stojącą nieopodal rodzinę Attusa. Żona świeżo mianowanego senatora była wyjątkowo piękną kobietą, a i po dzieciach widać było, że są potomstwem dwojga urodziwych ludzi. W oko wpadła mu zwłaszcza jedna z córek, ciemnowłosa piękność o szlachetnym nosie, zmysłowych ustach i zielonych oczach. Tytus nie mógł od niej oderwać wzroku. Dziewczyna poczuła na sobie jego spojrzenie i odwzajemniła je, przez długą chwilę przyglądając mu się badawczo, zanim się uśmiechnęła i odwróciła wzrok ku ojcu, który właśnie zaczynał swoją mowę.

Chłopak czuł w sercu poruszenie, jakiego nie doznał od czasu, gdy po raz pierwszy zobaczył nieszczęsną Lukrecję.

Klausus mówił po łacinie z uroczym sabińskim akcentem. Wyraził wdzięczność senatorom – nie wspominając ani słowem, jak zauważył Tytus, o zwykłych obywatelach – i przyrzekł nie ustawać w wysiłkach w celu nakłonienia innych wodzów Sabinów do zawarcia pokoju z Rzymem.

– Jeżeli jednak nie zdołam ich przekonać w sali narad, wówczas trzeba będzie skruszyć ich opór na polu bitwy... i w tym także będę miał swój udział. Wojownicy, których ze sobą przywiodłem, są teraz dumnymi Rzymianami, jako i ja jestem dumnym rzymskim senatorem. Zaprawdę, nakładając tę togę, wyrzekam się zarazem mego sabińskiego imienia. Dziś rano obudziłem się jako Attus Klausus, ale od tej chwili nazywam się Appiuszem Klaudiuszem. Myślę, że to imię pasuje do mnie równie dobrze jak ta toga!

Mówca się uśmiechnął i powoli obrócił dookoła, prezentując nową szatę, co wzbudziło aplauz i przyjazny śmiech. Tłum już go pokochał.

Tytus także czuł przypływ miłości i nadziei, wiedział już bowiem, jak nazywać w myślach obiekt swego pożądanego. Córka człowieka zwanego Klaudiuszem musi się nazywać Klaudią! „Klaudia... Zakochałem się w najpiękniejszej dziewczynie w mieście, a jej imię brzmi: Klaudia”.

* * *

– Appiusz Klaudiusz powiedział, że decyzję zostawi córce. Cóż za dziwna z niego postać!

– Tak, dziadku – odpowiedział nerwowo Tytus. – No i...?

– O co pytasz?

– No, co postanowiła?

– Na Herkulesa, młody człowieku, a skądże mam to wiedzieć? Podczas wizyty rozmawiałem tylko z jej ojcem. Dziewczyny nawet nie widziałem. Jeżeli choć trochę przypomina charakterem twoją babcię, to nie licz na jej szybką decyzję! Daj jej trochę czasu do namysłu.

Po przybyciu do Rzymu Appiusz Klaudiusz i jego rodzina byli zapraszani do domów przez najznamienitsze osoby. Wśród pierwszych, którzy go ugościli, byli oczywiście Potycjusze – nie bez wpływu Tytusa, który żywo namawiał dziadka do jak najszybszego wydania uczyty. Oczywiście nie omieszkał przedstawić się Klaudii, udało mu się nawet zamienić z nią kilka zdań na osobności. Okazała się jeszcze bardziej fascynująca, niż mógł sobie wyobrazić; jej głos wydał mu się najśladszą muzyką, a słowa czystą magią. Klaudiusz, którego zaczynano już postrzegać w Rzymie jako ekscentryka, zadbał o wykształcenie córek na równi z synami; Klaudia umiała nawet czytać i pisać, a kiedy Tytus wspominał o swoim

zainteresowaniu architekturą, opowiedziała, jak wielkie wrażenie wywarła na niej świątynia Jowisza na Kapitolu.

– Wyobrażasz sobie, dziadku? – relacjonował potem podekscytowany. – Kobieta, która umie pisać i czytać! Jakże pomocna może być mężowi!

– Albo jak groźna... Żona, zdolna kontrolować prywatną korespondencę małżonka? Cóż za okropność! Ale co ty właściwie chciałeś przez to powiedzieć, Tytusie? Pragnąłbyś poślubić tę dziewczynę?

I tak zaczęły się zaloty Tytusa Potycjusza do Klaudii. Pozwolono mu spotkać się z nią jeszcze kilkakrotnie, oczywiście zawsze w obecności jednej z jej służebnic w roli przyzwoitki. Z każdą wizytą był nią coraz bardziej oczarowany. Negocjacje w sprawie małżeństwa prowadzili przede wszystkim ojcowie obu rodzin; dziadek Tytusa wysłał do Appiusza stosowne zapytania, na co ten odpowiedział pozytywnie. Obaj wiedzieli, że ten związek przyniesie korzyści obu stronom. Klaudiusz był człowiekiem bardzo majątnym i jego córka wniosłaby cenne wiano; Potycjuszom taki zastrzyk finansowy bardzo by się przydał. Oni z kolei byli jednym z najstarszych i najszacowniejszych rodów Rzymu; przez małżeństwo z jednym z Potycjuszów Klaudiusze zostaliby automatycznie uznani za pełnoprawnych patrycjuszy.

Wszystko szło dobrze, aż pewnego dnia dziadek Tytusa wrócił z kolejnej wizyty ze złą wieścią. Tytus nie był jedynym starającym się o rękę hożej Klaudii.

– Kim on jest? – dopytywał się wzburzony młodzian. – Kimkolwiek by był, ja go... ja go... – Nie był pewien, co by tamtemu zrobił, czuł jednak, że ogarnia go taka fala agresji, jakiej nigdy jeszcze nie doświadczył.

– To twój przyjaciel Publiusz Pinariusz – odrzekł *pater familias*. – Wyobrażasz sobie? Jak się zdaje, Publiusz ujrzał dziewczynę tego pierwszego dnia przed senatem i Pinariusze zaprosili Klaudiuszów następnego dnia po nas. Publiusz od tamtej pory jest równie wytrwały w zalotach jak ty... Stawia to Appiusza Klaudiusza w dość niezręcznej sytuacji. Argumentuje... i trudno mu odmówić racji... że bardzo niewiele różni Potycjuszów od Pinariuszów, jeśli chodzi o dobrą partię dla jego córki. Nasze rody są równie stare i równie zasłużone w historii miasta.

– Tylko że oni się spóźnili na Uczę Herkulesa!

– No, tak... – Dziadek się roześmiał serdecznie. – Nie sądzę jednak, aby gafa popełniona przed kilkuset laty wystarczyła do przechylenia szali na naszą korzyść. Skoro zaś obaj z Publiuszem jesteście równie dobrymi kandydatami, Klaudiusz orzekł, że wybór pozostawi córce.

– A kiedy ona ma się zdecydować?

– Mój drogi chłopcze... Jak ci już powiedziałem, nie wiem. Nie wyznaczyłem mu żadnego ostatecznego terminu.

– A może powinieneś. Jakże ja zniosę tę niepewność! To gorsze od mojej pierwszej bitwy. Wtedy przynajmniej wiedziałem, że tylko ode mnie zależy, czy się spiszę dobrze czy źle. To zaś jest istna tortura! Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, a mogę tylko bezsilnie czekać. Jestem zdany na jej łaskę i niełaskę!

Tytus zaczął nerwowo krążyć po ogrodzie. W każdym rogu rosły różane krzewy; chłopak chodził od jednego do drugiego, nie zauważając ani ich piękna, ani intensywnej woni kwiatów. Senior rodu obserwował go z uśmiechem, przypominając sobie – mgliście – jak to było czuć romantyczne tęsknoty za młodych, kawalerskich czasów.

– Dąsanie się i zamartwianie w niczym ci nie pomoże – zauważył w końcu. – Może powinieneś...

Przerwało mu nadejście niewolnika oznajmiającego przybycie gościa. Dziadek uniósł brwi.

– To może być nasza oczekiwana wiadomość. Klaudiusz obiecał przysłać posłańca, gdy tylko dziewczyna się zdecyduje.

– To nie posłaniec, panie – odezwał się sługa. – To ta młoda pani, która już nas odwiedzała.

– Klaudia? – Tytusowi nagle zabrakło tchu.

Niemal biegiem rzucił się korytarzem do atrium. Przez otwór w dachu południowe słońce wpadało tam wprost na impluwium – niewielką sadzawkę do chwywania wody deszczowej. Plamki odbitego światła tańczyły na sylwetce Klaudii i jej przyzwoitki.

– Przyszłaś! – wyszeptał, ośmielając się ująć jej obie dłonie.

– Tak... – odpowiedziała, spuszcżając oczy. – Musiałam posłać wyrazy ubolewania...

Serce w Tytusie zamarło.

– ...Publiuszowi Pinariuszowi. Posłaniec ojca powinien właśnie stukać do ich drzwi. Do ciebie jednak wolałam przyjść sama i osobiście powiedzieć... Tak, zostanę twoją żoną, Tytusie Potycjuszu.

Tytus wznosił ręce, odchylił głowę i wydał okrzyk radości, a potem mocno ją objął. Niewolnica dyskretnie odwróciła wzrok, ale skryty w głębi korytarza dziadek obserwował pierwszy pocałunek młodych z uśmiechem satysfakcji. Negocjacje zakończyły się więc sukcesem, pomyślał. Oby tylko młody Pinariusz nie chował w sercu zbyt głębokiej urazy...

* * *

Śluby w Rzymie bywały najczęściej skromnymi uroczystościami rodzinnymi, bez obrzędów religijnych. Wiele par pobierało się niemal bez żadnej ceremonii; wystarczyło, żeby mężczyzna i kobieta oświadczyli, że biorą ślub, i zamieszkali razem, aby ich małżeństwo zostało uznane.

Małżeństwo dwojga patrycjuszy to jednak zupełnie inna sprawa.

Najpierw dziadek Tytusa odprawił auspicje w celu określenia szczęśliwego dnia dla ceremonii. Ponieważ panna młoda nazajutrz po ślubie musi dokonać pewnych rytuałów religijnych w nowym domostwie, różne dni w roku automatycznie nie mogły być brane pod uwagę z powodu konfliktu z innymi obrzędami. Cały luty i maj zgodnie z pradawną tradycją uważane były za miesiące niepomysłne dla zawierania małżeństw. Potycjusz senior złożył na Ara Maxima pergamin, na którym wypisał pięć potencjalnych dat. Kolejno kładł przy każdej kamyki, obserwował lot ptaków, by odczytać boską wolę – i tym sposobem wybrał w końcu najodpowiedniejszy dzień.

Miało to być pierwsze rzymskie wesele w rodzinie Appiusza Klaudiusza, pragnął on więc dopilnować, by wszystkim miejscowym tradycjom stało się zadość. Kiedy się dopytywał o pochodzenie rozmaitych zwyczajów, niektóre mu objaśniano, o innych, przekazywanych od stuleci z pokolenia na pokolenie, nikt już nic powiedzieć nie umiał.

W wybrany dzień o zachodzie słońca orszak weselny wyruszył z willi Appiusza, prowadzony przez najmłodszego chłopca w rodzinie – młodszego brata oblubienicy – który niósł żagiew z tarniny, zapaloną w domowym palenisku; płomień z niego miał być dodany do ognia w rodzinnym domu pana młodego.

Za chłopcem z pochodnią kroczyła kapłanka Westy w charakterystycznej szacie: białej płóciennej palli, z plecioną biało-czerwoną opaską na krótko obciętych włosach. Niosła ciasto z poświęconego ziarna, posypane świętą solą; pierwsze jego kęsy spożyją później młodzi małżonkowie, a reszta zostanie podzielona między gości.

Panna młoda szła zaraz za westalką. Klaudia nałożyła na tę okazję złoty welon i także sandały, a długą białą stolę zebrała w talii purpurową wstążką, zawiązaną na plecach w specjalny węzeł zwany splotem Herkulesa; później jego rozwiązanie będzie przywilejem – i wyzwaniem – dla pana młodego. Niosła symbole prządki: kądziel i wrzeciono z wełną, w czym pomagali jej dwaj mali kuzyni, niewiele starsi od dzielnie dźwigającego pochodnię jej brata. Z początku traktowali ten swój ceremonialny obowiązek z namaszczeniem i mieli sztucznie poważne miny, kiedy jednak malec z pochodnią się potknął, wybuchnęli chichotem tak zaraźliwym, że nawet westalka nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

W ślad za panną młodą szli jej rodzice i reszta orszaku, śpiewając bardzo starą pieśń weselną o Tallasjuszu. Klaudiusze musieli się jej szybko nauczyć, ale uroczy tekst bardzo się im podobał, zwłaszcza w obecnym kontekście. Kiedy Romulus i jego ludzie porwali sabińskie kobiety, najpiękniejsza z nich przypadła w udziale niejakiemu Tallasjuszowi, wiernemu oficerowi króla, który zawczasu ją sobie upatrzył. Kiedy ją unosił, pozostałe Sabinki błagały, by powiedział, dokąd ją zabiera – i tak powstało to epitalamium:

Dokąd mnie zabierasz?

Do Tallasjusza, męża godnego!

Dlaczego mnie tam wiedziesz?

Bo ciebie nad wszystkie upodobał!
Jaki mnie los tam czeka?
Poślubisz go i będziesz mu żoną!
Któryż z bogów mnie uratuje?
Bogowie ten dzień pobłogosławia!

Orszak ślubny dotarł do domu Potycjuszów. Przed wejściem, pod gołym niebem, stał prowizoryczny ołtarz, na którym w blasku nasączonych woskiem knotów złożono w ofierze owcę. Jej skórą przykryto dwa krzesła przeznaczone dla młodych; odprawiono auspicje, które oczywiście wypadły pomyślnie, a potem wzniesiono prośbę do bogów o błogosławieństwo dla tego małżeństwa.

Wciąż dzierżąc kądziel i wrzeczono, Klaudia wstała z krzesła i została odprowadzona przez matkę do drzwi, udekorowanych girlandami kwiatów. Matka objęła ją czule, a Tytus, pozorując atak, wysunął się naprzód i siłą odciągnął pannę młodą. Było to kolejne echo porwania Sabineki, podobnie jak następna czynność: zaczerwieniony po czubek nosa wziął dziewczynę na ręce, kopnięciem otworzył drzwi i przeniósł ją przez próg jak brankę.

Matka Klaudii zapłakała; ojciec śmiechem pokrywał cisnące się i jemu do oczu łzy. Goście weselni wiwatowali. Tymczasem w izbie Tytus ułożył żonę na dywanie z owczych skór, a ona odłożyła na bok swoje narzędzia. Wręczywszy jej klucze do domu, zapytał z zapartym tchem:

– Kim jesteś, nowa domowniczo?

Klaudia odpowiedziała zgodnie z prastarym rytuałem, nadając sobie nowe imię, będące żeńską formą imienia męża:

– Gdziekolwiek będziesz, Tytusie, tam i ja będę, twoja Tycja.

Imię to przeznaczone było tylko dla nich, na intymne chwile sam na sam – dla świata oficjalnie nie istniało.

* * *

Na ucztę weselną poza obu rodzinami zaproszono tylko nielicznych bliskich przyjaciół obojga młodych. Tytus długo się zastanawiał, czy na tej liście powinien umieścić i Publiusza Pinariusza; w końcu poszedł za radą dziadka i wysłał kuzynowi zaproszenie. Jak przewidział senior, zaproszony oszczędził wszystkim zakłopotania i grzecznie odmówił, tłumacząc się zaplanowaną już wcześniej wizytą u krewnych na wsi. Zaproszenie przyjął za to Gnejusz Marcjusz. Od niedawna sam był zaręczony z plebejską dziewczyną Wolumnią; jeżeli był rozczarowany tym, że nie żeni się z patrycjuszką, dobrze to ukrywał. Nosił się wyniośle jak zawsze, a nawet był jeszcze bardziej pewny siebie, mając za sobą pierwsze zasługi na polu bitwy. Na razie daleko mu jeszcze było do wytyczonego sobie ambitnego celu – zostania

największym wojownikiem, jakiego Rzym kiedykolwiek widział – ale miał już za sobą dobry początek, dając się poznać dowódcom jako żołnierz śmiały i sprawny. Tytus zajęty przyjmowaniem życzeń od wszystkich gości mógł poświęcić przyjacielowi tylko chwilę uwagi. Obawiał się, że Gnejusz może się czuć trochę nieswojo wśród tak licznie zgromadzonych Klaudiuszów i Potycjuszów; wystawność patrycjuszowskiej uczty i bogactwo dekoracji mogły w nim budzić zazdrość, a nawet niechęć. Wkrótce jednak zauważył, że Gnejusz jest pogrążony w rozmowie z samym Appiuszem; obaj na przemian to o czymś bardzo poważnie dyskutowali, to wybuchali śmiechem, po czym znów się skupiali na jakimś zawiłym temacie. Tytus był ciekaw, o czym tak zawzięcie rozprawiają, powoli więc przeciskał się przez biesiadną ciżbę, aż znalazł się dość blisko, by słyszeć rozmowę.

– A przecież – mówił Klaudiusz – jak zrozumiałem, jeszcze przed utworzeniem republiki dochodziło do poważnych tarć między najlepszymi rodami a pospółstwem. Oskarżanie Brutusa o wsadzenie kija w mrowisko wydaje mi się niesprawiedliwe. Jego zamiarem z pewnością było rozłożenie władzy zagarniętej przez Tarkwiniusza na wszystkich senatorów, tak aby wszyscy najlepsi ludzie mogli kolejno obejmować ster rządów, by tak rzec.

– Rewolucja rozpoczęta przez Brutusa trwa nadal i w każdej chwili może się wymknąć spod kontroli – odrzekł Gnejusz. – Takie ruchy zaczynają się na górze, a potem rozprzestrzeniają w dół. Cała sztuka w tym, by zatrzymać ten proces, zanim najgorsi zabiją najlepszych i przechwycą władzę.

– Ale wygląda na to, że republika się sprawdza w działaniu – zareplikował Klaudiusz. – To prawda, być może na nieszczęście, że nawet najniżej stojący obywatele mają prawo wybierania urzędników... z drugiej jednak strony tylko najlepsi mogą się o urzędy ubiegać. Poza tym obywatele nie głoszą indywidualnie, lecz dzielnicami, te zaś głosy mają różną wagę. Te, do których należą dobre rody, liczą się o wiele bardziej niż głosy plebsu. Wygląda to na rozsądne rozwiązanie.

– Być może... gdyby satysfakcjonowało także pospółstwo. Czy jednak słuchałeś kiedyś podżegaczy na Forum? Głoszą, że biedakom powinno się umorzyć długi. Wyobrażasz sobie, jaki to by spowodowało chaos? Mówią, że plebejuszom należy się prawo powoływania własnych urzędników, którzy by ich chronili przed patrycjuszami. A więc miastem miałby kierować nie jeden rząd, lecz dwa! Albo że plebs powinien się zastanowić nad secesją... odejść i założyć własne miasto, pozostawiając Rzym na pastwę nieprzyjaciół. To przecież zdrada!

– To rzeczywiście poważne kwestie – przytaknął Appiusz. – Bogom dzięki, że Rzym ma jeszcze jasno myślących młodych ludzi jak ty, Gnejuszu Marcjuszu, którzy wiedzą, że niektóre stworzenia urodziły się do ciągnięcia pług, a inne do jego prowadzenia.

– I bogom dzięki, Appiuszu Klaudiuszu, że człowiek tak mądry i czcigodny jak ty postanowił połączyć swój los z losami naszego Rzymu.

Tytus się uśmiechnął i odszedł zadowolony, ale bynajmniej nie zaskoczony, że jego arystokratyczny teść tak się świetnie dogaduje z jego mocno przekonany o wyższości elit przyjacielem.

493 r. p.n.e.

Niewolnik wszedł do gabinetu, niosąc duży zwój pergaminu. Chrząknięciem zwrócił na siebie uwagę Tytusa.

– Przepraszam, panie. Zdaje się, że to tych planów potrzebowałeś?

Potycjusz stał pochylony nad stołem przy oknie, studiując podobnie wyglądający pergamin. Wyrwany z zadumy przez przybycie sługi podniósł wzrok i skinął z roztargnieniem głową.

– Co? Ach, tak, plany świątyni Jowisza na Kapitolu! Muszę obejrzeć stare rysunki Wulki. Może pomogą mi rozwiązać problem, na jaki natrafiłem przy projektowaniu nowej świątyni Ceres. Połóż je tam, w rogu, później się nimi zajmę.

Niewolnik wykonał polecenie, po czym wrócił do stołu i znów chrząknął.

– Tak? Co tam jeszcze?

– Prosiłeś, panie, abym ci przypomniał, kiedy zbliży się czas triumfu.

– Oczywiście! Byłem tak zajęty, że zupełnie o tym zapomniałem. Nie mogę się spóźnić! Staremu Kominiuszowi nie sprawiłoby pewnie różnicy, czy bym się stawił, czy nie, ale Gnejusz nigdy by mi nie wybaczył, gdybym przeoczył jego chwilę chwały. Przynieś toge, pomożesz mi się ubrać.

* * *

Godzinę później Tytus stał w gronie kolegów na stopniach senatu. Jego dziadek zmarł krótko po jego ślubie z Klaudią; ojciec odszedł w ślad za nim przed trzema laty. Tytus Potycjusz miał teraz dwadzieścia dziewięć lat; był głową rodziny i jednym z najmłodszych senatorów. Jak przez całe życie, tak i teraz rodowód dawał mu prawo zajmować honorowe miejsca; w tym wypadku na jednym z najwyższych stopni, skąd miał doskonały widok. O stopień wyżej stał jego teść Appiusz Klaudiusz, który zdobył wielkie poważanie w senacie, a nieco niżej stary przyjaciel Publiusz Pinariusz. U stóp schodów, jak ongiś on sam, w przednich szeregach grupy oczekujących na pojawienie się triumfalnego pochodu patrycjuszy, niecierpliwie wyciągał szyję jego syn.

Okazją do uroczystości było szczęśliwe zakończenie wojny z Wolskami, ludem żyjącym na południe od Rzymu. Kampanią dowodził konsul Postumiusz Kominiusz. Jego armia w

krótkim czasie zajęła miasta Ancjum, Longula, Polusca i najbardziej łakomy kąsek, Korioli. Wdzięczny senat entuzjastycznie przegłosował przyznanie konsulowi prawa do triumfalnego wjazdu do Rzymu. Zaszczyt ten, niegdyś będący przywilejem jedynie królów, za czasów republiki stał się najwyższą nagrodą dla wodzów, którzy odnieśli szczególnie ważne i spektakularne zwycięstwa.

Wyczekiwany przez tłumnie zgromadzonych Rzymian pochód wszedł wreszcie na via Sacra. Tytus usłyszał przenikliwe dźwięki piszczałek grających wojskowego marsza. Na czele kolumny stał otoczony przez muzykantów biały wół, którego później miano wraz z częścią łupów złożyć w ofierze przed kapitolijną świątynią Jowisza. Tuż za nim prowadzono jeńców pochwyconych w ostatniej bitwie, pozbawionych zbroi i odzianych w łachmany. Brudni i potargani, szli skuci łańcuchami, zwieszając z rezygnacją głowy. Tłum lżył ich i wyśmiewał, chłopcy ciskali w nich kamykami; jakiś posiwiasty, bezzębny weteran wysunął się spomiędzy ludzi i splunął na najbliższego z pojmanych. Po zakończeniu parady szczęśliwsi mogli zostać zwolnieni do domów, jeśli rodziny wpłaciłyby okup. Pozostałych czekał już tylko targ niewolników.

W następnej kolejności szli więźniowie wyższej rangi, najważniejsi obywatele podbitych miast. Im nie pozostawiano wyboru między wykupem a niewolnictwem; podczas rytuału ofiarnego opuszczano ich do podziemnej celi Tullianum, gdzie kaci zadawali im śmierć przez uduszenie; jak bowiem głosili kapłani, ofiary są miłsze bogom, jeśli towarzyszy im śmierć największych wrogów Rzymu.

Za jeńcami ciągnął tabor wozów z łupami wojennymi: zdobyczą bronią, sztandarami, skrzyniami monet i klejnotów, cennymi przedmiotami jak rzeźby, wazy czy grawerowane srebrne zwierciadła – jednym słowem wszystkim, co miało większą wartość i dało się wywieźć. Najbogatsza zdobycz pochodziła z Korioli, gdzie mieszkali najzamożniejsi z Wolsków.

Za wozami maszerował oddział liktorów w czerwonych tunikach, z wysoko uniesionymi toporami, wznoszących okrzyki: *Io triumphe! Io triumphe! Io triumphe!* Sam wódz jechał za nimi czterokonnym rydwanem, który zdobiły brązowe płyty z wrytą sylwetką skrzydlatej bogini zwycięstwa. Patrząc na najeżdżającą kwadrygę, Tytus uśmiechnął się, wyobraziwszy sobie, co by na ten widok powiedział jego dziadek. „Romulus szedł przez via Sacra pieszo podczas swoich triumfów. Nogi mu wystarczały! Ten nonsens z kwadrygami zaczął się dopiero za Tarkwiniusza Starego!”

Stukot kopyt i turkot kół na bruku coraz silniej przebijały się ponad skandowane okrzyki liktorów, a wkrótce same zostały zagłuszone przez ryk tłumu.

Kominiusz miał na sobie tunikę obszytą liśćmi palmowymi, a na niej przetykany złotem płaszcz. Głowę wieńczyła mu korona z liści wawrzynu; w prawej dłoni trzymał pęk wawrzynowych gałązek, w lewej buławę z wizerunkiem orła. Rydwanem powoził jego najmłodszy syn. Na znak przelania przez żołnierzy nieprzyjacielskiej krwi twarz miał

pomalowaną na czerwono cynobrem. Zbliżywszy się, zasalutował senatorom uniesioną buławą, dostojnicy zaś odwzajemnili pozdrowienie.

Za konsulem równym krokiem ciągnęli jego żołnierze; na czele dumnie kroczył przyjaciel Tytusa, Gnejusz Marcjusz, bohater bitwy o Korioli.

W minionych latach Gnejusz brał udział w wielu wyprawach wojennych, zyskując opinię nieustraszonego wojownika, jednak jego wyczyny w tym ostatnim boju, w którym służył jako zastępca Kominiusza, wyniosły go na szczyty chwały. W krytycznej chwili bitwy obrońcy miasta odważnie otworzyli bramę i ruszyli do kontrataku. Doszło do bezpośredniego, krwawego i strasznego starcia. Wśród bitewnego chaosu jeden Rzymianin ani na chwilę się nie zawahał i nie zdrzął, siejąc grozę i śmierć: Gnejusz Marcjusz. Pchany nadludzką, zdawało się, mocą, przedarł się ku wciąż otwartej bramie i samopas wpadł do miasta. Przeciwnicy obiegli go hurmą, on jednak był nie do pokonania. Wkrótce plac zasłany był trupami Wolsków; on zaś chwycił pochodnię i jął podkładać ogień pod wszystko, co tylko dawało się podpalić. Pożar przeraził obrońców i odwrócił ich uwagę. Rzymianie wtargnęli za mury i zaczęła się bezpardonowa rzeź.

Po bitwie Kominiusz pochwalił Gnejusza za męstwo przed frontem całej armii, podarował mu też wspaniałego rumaka z rzędem godnym wodza i obiecał tyle zdobycznego srebra, ile będzie mógł unieść, a na dodatek dziesięciu niewolników do wyboru. Gnejusz przyjął konia, mówiąc, że pomoże mu bić wrogów Rzymu, oraz wybrał sobie jednego tylko jeńca – człowieka, w którym rozpoznał jednego z najgodniejszych przeciwników w walce – i uwolnił go. Pozostałe dary odrzucił, tłumacząc, że zrobił ani więcej, ani mniej niż powinien każdy rzymski wojownik, i że już samo zdobycie Korioli jest dla niego wystarczającą satysfakcją. Owego dnia stał się w oczach towarzyszy broni bohaterem. Teraz, maszerując za nim w triumfalnym pochodzie główną ulicą Forum, zaczęli skandować najpierw cicho, a potem coraz głośniej: „Koriolan! Koriolan! Koriolan!” – honorowy tytuł zdobywcy Korioli.

Ponieważ takie miano w zasadzie należy się zwycięskiemu dowódcy, Tytus sądził początkowo, że żołnierze chcą uczcić nim konsula Kominiusza. On najwyraźniej myślał tak samo, ponieważ na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech; odwrócił się do tyłu i wznosił buławę, dziękując swoim oddziałom za ten zaszczyt. W następnej chwili stało się jednak jasne, kogo wojacy mieli na myśli. Cała ich grupa złamała szyk, rzucając się naprzód i unosząc Gnejusza Marcjusza na ramionach. Ponieśli go dalej ku senatowi, nie przestając skandować: „Koriolan! Koriolan! Koriolan!”

Człowiek mniejszego kalibru mógłby zdradzić oznaki zazdrości, widząc w dniu własnego triumfu tak uhonorowanego podkomendnego, ale Kominiusz był równie wytrawnym politykiem jak wodzem. Ani okiem mrugnął, dumny uśmiech w jednej chwili zmienił się w ciepły wyraz sympatii, a wciąż uniesiona buława – w salut dla bohatera. Kiedy i tłum podjął żołnierski okrzyk, konsul w mig wykorzystał okazję. Kiwnął na niosących Gnejusza wiarusów, a oni ze śmiechem podbiegli i wsadzili go na kwadrygę wodza.

Niektórzy widzowie zachnęli się na ten wyłom w obyczaju. Tytus usłyszał głośne sapnięcie stojącego nieopodal Pinariusza i jego szept:

– Na Herkulesa, widzieliście kiedyś coś równie zuchwałego?

Znakomita większość zgromadzonych jęła jednak tym głośniejsze wiwatować, a w wielu oczach pojawiły się łzy wzruszenia, zwłaszcza w chwili gdy Kominiusz serdecznie objął Gnejusza, a potem ujął jego dłoń, położył obok swojej na buławie i uniół ją – wspólnie z bohaterem – jeszcze wyżej.

– Ludu rzymski! Oto Gnejusz Marcjusz, bohater z Korioli! Niech żyje Gnejusz Marcjusz Koriolan!

– Koriolan! Koriolan! – krzyčeli Rzymianie; nowy przydomek Gnejusza odbijał się stukrotnym echem wśród murów Forum niczym grzmot.

Appiusz Klaudiusz pochylił się do zięcia i szepnął:

– Zawsze wiedziałem, że ten twój przyjaciel zdobędzie kiedyś sławę. Dziś to się dokonało i jego imię powtarza cały Rzym.

Klaudiusz się wyprostował, przyłożył dłonie do ust i zaczął krzyčec z innymi:

– Koriolan! Koriolan! Koriolan!

* * *

– Świątynia zostanie więc wkrótce konsekrowana? – spytał Gnejusz, odstawivszy puchar.

– Już niedługo! – Tytus roześmiał się radośnie. – Miło, że pytasz, Gnejuszu... a może mam cię teraz nazywać Koriolanem? Obaj jednak wiemy, że świątynie cię niezbyt ciekawią, a architektura jeszcze mniej. Tak rzadko się teraz widzujemy, że chyba powinniśmy porozmawiać na temat, który interesowałby nas obu.

Siedzieli we dwójkę przy kolacji w ogrodzie domu, w którym Gnejusz mieszkał z matką i żoną. Poprzedniego dnia wiele osób wydało prywatne uczy na cześć triumfatorów; jedzenia było do przesytu i Tytus był pewien, że chyba już nigdy nie poczuje głodu; wystarczyła jednak dobrze przespana noc, by znów poczuł pustkę w żołądku i ochotę na jakąś prostą strawę. Jeszcze bardziej pragnął towarzystwa starego przyjaciela i rozmowy sam na sam, bez wianuszka nieustannie garnących się do bohatera znajomych i nieznajomych, krzyčących co chwila: „Niech żyje Koriolan!” Kiedy więc Gnejusz zaprosił go na domową kolację (głównym daniem była jakże smaczna polewka z grochu i prosa, uwarzona przez jego matkę), Tytus był wniebowzięty.

– To prawda, że nasze drogi się ostatnimi laty rozeszły – przyznał gospodarz. – To się może jednak wkrótce zmienić.

– Niby jak? Mam może rzucić senat i powierzone mi projekty budowlane i ruszyć z tobą na wojaczkę? Nigdy nie był ze mnie dobry wojak. Mógłbym ewentualnie nosić za tobą włóczęgę albo przytrzymywać ci otwarte bramy miast, gdy ty będziesz siał w nich grozę...

– Wręcz przeciwnie, Tytusie. To ja wtargnę na twoje terytorium.

– Chcesz zostać budowniczym?

– Nie, senatorem.

– O czym ty mówisz? – zdumiał się Tytus.

Gnejusz się uśmiechnął.

– Kominiusz mi wczoraj to obiecał, jeszcze gdy jechaliśmy jego kwadrygą. Tłumy wrzeszczały, a on mi szeptał do ucha: „Widzisz, jak cię kochają, chłopcze? Zdziwiają! Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Miejsce takiego człowieka jak ty jest w senacie, gdzie możesz zdziałać więcej dobrego niż pod Korioli. Zrobię cię senatorem i już to tylko wystarczy, by ludzie powiedzieli, że dobrze wykorzystałem mój rok w roli konsula”.

– Gnejuszu, toż to wspaniała nowina! Tylko że teraz to już zupełnie nie będę wiedział, jak się do ciebie zwracać... Senatorze? Koriolanie? Senator Gnejusz Marcjusz Koriolan... Aż mi w ustach zaschło!

– Napelnij je więc grochówką i przestań się wygłupiać! – odrzekł ze śmiechem Gnejusz.

Po chwili Tytus ujrzał jednak, że jego przyjaciel porusza ustami, bezgłośnie powtarzając ten nowy tytuł, i że sprawia mu to wyraźną przyjemność.

– Jakże muszą cię kochać bogowie! – westchnął. – Zawsze mówiłeś, że zostaniesz największym wojownikiem w historii Rzymu... i nim zostałeś. Teraz możesz stać się najbardziej ukochanym politykiem. Kominiusz nie jest głupi. Nie wyznaczyłby cię na senatora, gdyby się na tobie nie poznał. Appiusz Klaudiusz także to dostrzega. Nie zdziwię się, gdy kiedyś zostaniesz konsulem. Wspomnisz moje słowa!

– Być może. Na razie jednak będę potrzebował kogoś, kto mnie nauczy, jak się poruszać na tym nowym dla mnie terytorium. A najlepszym nauczycielem będziesz ty, Tytusie.

– Ja? Chyba żartujesz. Ucz się od najlepszych! Appiusz Klaudiusz wziął mnie pod swoje skrzydła, kiedy zostałem senatorem. Dzięki jego wpływom poruczono mi budowę świątyni Ceres. Dla ciebie zrobi przynajmniej tyle samo... jeśli w ogóle taki zdolny gość jak ty potrzebuje czyichkolwiek skrzydeł.

– Klaudiusz to człowiek, z którym warto się znać. Nic jednak nie zastąpi przyjaciela od dzieciństwa. – Gnejusz pochylił się ku Tytusowi, kładąc mu dłoń na ramieniu. – Do kogo miałbym się zwrócić w kłopotcie, jeśli nie do ciebie?

– Zaszczycasz mnie, Koriolanie.

Gnejusz parsknął śmiechem.

– No, to jak idzie praca przy świątyni?

– Mieliśmy nie rozmawiać na tematy, które jednego z nas nie interesują.

– Jako żołnierza zapewne nie. Ale jako senatora mogą mnie bardzo interesować.

– Jutro więc przyjdiesz i sam zobaczysz. Lokalizacja jest doskonała, na szczycie Awentynu, wprost nad wejściem w Circus Maximus. Będzie podobna do świątyni Jowisza, choć nie tak majestatyczna. Prezentować się jednak będzie wspaniale. Niestety, nie ma już wśród nas Wulki, do stworzenia terakotowej statuy bogini zatrudniliśmy jednak najlepszych etruskich rzeźbiarzy. Freski i reliefy na ścianach wykonają specjalnie sprowadzeni dwaj greccy artyści, Gorgasos i Damofilos. Już prawie kończą, a efekt jest naprawdę oszałamiający! Natomiast... – Tytus urwał w pół zdania, widząc, że przyjaciel w ogóle go nie słucha, tylko zapatrzył się gdzieś w dal z roztargnieniem malującym się na twarzy.

Gnejusz po chwili się zorientował, że zapadło milczenie, i błysnął szelmowskim uśmiechem.

– Masz rację, Tytusie. Nic mnie nie obchodzi świątynia i jej wspaniałości. Obchodzi mnie za to polityka, jaka się za nią kryje.

– Jaka polityka? To głód! – odparł Tytus. – Inspiracją do budowy świątyni stała się klęska głodu sprzed trzech lat. Tylu mężczyzn ruszyło wtedy na wojnę, że nie było komu obsiać pól, a z tych uprawianych wiele uległo zniszczeniu. Rzym nie miał wystarczających zapasów i ludzie głodowali... przynajmniej ci biedniejsi. Mój ojciec także wtedy umarł... nie z wycieńczenia, patrycjuszom nigdy wszak strawy nie braknie, ale na febrę. Zaraza przychodzi ramię w ramię z głodem, a przed nią nie chronią przywileje urodzenia. Rady szukano w księgach sybillińskich. Wróżbici orzekli, a senat postanowił, że trzeba postawić świątynię dla Ceres i ją ubłagać, by nie zsyłała już na nas nieurodzaju. Czasami w wierszach Sybilli rzeczywiście kryją się sensowne porady!

– Głód, powiadasz... – Gnejusz nagle spowaźniał. – A może ktoś miał w tym jakiś inny cel? Ceres jest ulubioną boginią plebsu. Czy to prawda, że upamiętniające konsekrację jej świątyni ceremonie będą organizowane wyłącznie przez plebejuszy, tak jak przygotowywanie obchodów święta Jowisza jest domeną patrycjuszy?

– To prawda. Odtąd będzie więc nowe święto plebejskie i stare patrycjuszowskie. Co w tym złego? – spytał Tytus z westchnieniem.

Dobrze wiedział, dokąd prowadzi argumentacja Gnejusza, słyszał ją już bowiem nieraz z ust teścia. Doprawdy zadziwiające, jak bliskie sobie są poglądy ich obydwu: nieustanna podejrzliwość wobec wszystkiego, co mogłoby w jakikolwiek sposób powiększyć wpływy plebejuszy. Klaudiusz nie dlatego doprowadził do powierzenia budowy nowej świątyni swemu zięciowi, że apróbował sam pomysł, lecz z całkiem przeciwnych pobudek: „Jeśli już musi to być zrobione, to lepiej, abys ty się tym zajął, mój chłopcze, aniżeli jakiś karierowicz, któremu zależy tylko na zjednywaniu sobie tłumu!”

Tytusowi Potycjuszowi polityka była raczej obojętna; jeśli w ogóle zdarzało mu się zajmować – choćby w myślach – stanowisko w jakiejś spornej kwestii, to częściej okazywał sympatię dla sprawy ludu. Dla niego najbardziej liczyło się coś zupełnie innego: jak optymalnie dostosować projekt do potrzeb, a koszty do możliwości, nie poświęcając przy tym

jakości. Największą dlań radością i pasją było śledzić, jak jego dzieło przeobraża się z wytworu wyobraźni we wspaniałą rzeczywistość.

Gnejusz pokręcił głową.

– Jeżeli pospólstwu nadal będzie się ustępować, Tytusie, to któregoś ranka możesz się obudzić w świecie, którego już nie rozpoznasz. Ostatni będą sobie uzurpować pierwszeństwo, a odwieczny prestiż nazwisk takich jak Potycjusz przestanie mieć jakiegokolwiek znaczenie. Nie widzisz, że to nowe plebejskie święto niebezpiecznie zmieni równowagę sił? Oni od samych narodzin republiki na wszelkie możliwe sposoby, drobnymi kroczkami i wielkimi skokami nieprzerwanie spiskują, aby wyrwać władzę z rąk patrycjuszy, zawsze z wielką szkodą dla pomyślności i bezpieczeństwa Rzymu.

– Niektórzy odparliby, że tylko starali się wywinąć spod buta najbogatszych – zareplikował Tytus.

– Wywinąć to się oni starają, tu się z tobą zgadzam! Odmawiają spłacania długów, a to jawna kradzież. Niektórzy nie chcą służyć w wojsku, co jest jawną zdradą. A już najbardziej oburzający był ich ubiegłoroczny numer z tą tak zwaną secesją. Całymi tysiącami spakowali manatki i sobie wymaszerowali. Sparaliżowali miasto i odmówili powrotu, dopóki ich żądania nie zostaną spełnione.

– Czy nie były to żądania rozsądne?

– Oczywiście, że nie były! Appiusz Klaudiusz walczył jak lew, żeby powstrzymać senatorów przed kapitulacją, ale bez skutku. Zgodzili się na wszystko i secesja się skończyła. Teraz wolno im wybierać własnych urzędników! A co będą robić ci tak zwani edylowie?

– Ich podstawowe zadanie jest święte. Mają strzec nowej świątyni Ceres.

– Tak. A co się będzie w niej przechowywać? Archiwum senackich dekretów. To też było jednym z ich postulatów. Wszystkie uchwały mają być spisywane, aby każdy, komu na to przyjdzie ochota, mógł się w nich doszukiwać sprzeczności i niesprawiedliwego traktowania ludu.

– Czy to takie straszne, Gnejuszu, że prawo i proklamacje będą odtąd zapisane? Królowie rządili za pomocą słowa mówionego. Mogli szastać obietnicami i zaraz potem się z nich wycofywać. Jednym kaprysem mogli zrujnować człowiekowi życie i wykręcić się od wszelkiej odpowiedzialności. Mój dziadek, niech go Herkules błogosławi, nauczył mnie szanować słowo pisane. Wierz mi, nie ma w tym nic złego, że prawo będzie precyzyjnie zapisane.

– Jeszcze gorsi od edylów... o wiele gorsi... są ci nowi plebejscy urzędnicy, trybunowie – nie dawał się zbić z tropu Gnejusz. – Ja bym ich raczej nazwał zbójcami! Pod pretekstem obrony praw ludu przed rzekomym uciskiem ze strony władz miasta mogą konfiskować majątek każdego... rozumiesz? Każdego!... kto według nich skrzywdził szarego obywatela. Gdzież zaś trafią skonfiskowane dobra? Oczywiście do świątyni Ceres, pod czułą pieczę

edyłów. Kto zaś ośmieliłby się grozić bądź w jakikolwiek sposób przeszkadzać trybunowi, musi się liczyć z wygnaniem albo i karą śmierci!

Tytus westchnął ciężko.

– Nie zaprzeczysz jednak, że zdarzały się przypadki gnębienia plebsu. Dawno temu, podczas klęski głodu, sam widziałem starego weterana, kalekę w łachmanach, ściganego przez zbirów pewnego senatora. Pewnie był mu winien pieniądze, ale najwyraźniej nie mógł spłacić długu, a był zbyt niedołężny, by go odpracować. Błagał ich o litość, a w końcu zerwał z grzbietu tunikę, by pokazać blizny po ranach, jakie odniósł, bijąc się za Rzym. Gdyby już wówczas istniał trybunał, miałby kto położyć kres temu haniebnemu widowisku! Gdyby stała już wtedy świątynia Ceres, weteran miałby gdzie szukać schronienia, gdyż takie zadanie będzie między innymi spełniała.

– Słyszałem tę wyświechtaną historyjkę chyba ze sto razy i nigdy w nią nie wierzyłem. – Gnejusz prychnął pogardliwie. – Żaden mąż godny miana rzymskiego weterana nie usiłowałby starymi ranami wykpić się od spłaty długu!

Tytus pokręcił głową.

– W świątyni będzie także centrum rozdawania żywności ubogim. Czy i to ci przeszkadza?

– Pewnie, że przeszkadza! Za co edylowie będą kupować dla nich zboże? Za majątki skonfiskowane patrycjuszom, którzy ośmielą się narazić trybunom! – Gnejusz uniósł brwi, odchylił się do tyłu i założył ręce na piersi, głęboko wzdychając. – Ech, mój drogi Tytusie... Chyba lepiej było wtedy, kiedy ja byłem wojakiem, ty budowniczym i nie mieliśmy wspólnych zainteresowań.

– Mandat senatora niekoniecznie zbliża ludzi – zauważył z przekąsem Tytus. – Ale jeśli mimo różnic w poglądach jakoś się umiemy dogadać z moim teściem, to chyba nam powinno pójść tym bardziej gładko, Gnejuszu. Przekonasz się, że niewiele mam niezłomnych przekonań, a w polityce najważniejszy dla mnie jest konsensus. Jediną rzeczą, która mnie naprawdę pasjonuje, jest architektura.

W tej chwili za plecami Tytusa rozległ się kobiecy głos.

– Czy mnie słuch myli, czy coś mówiłeś, Tytusie, o oddawaniu mojej strawy ubogim? Polewka z ciecierzycy i prosa wydaje ci się zbyt pospolita?

Gość zerwał się z krzesła, by powitać matkę przyjaciela. Dość było jednego spojrzenia na Weturię, by wiedzieć, skąd u jej syna taka dumna, wyniosła postawa.

– Dzień dobry, Weturio. Źle mnie zrozumiałaś. Dla twojej potrawy znajduję tylko słowa najwyższego uznania.

– To dobrze... sama ją warzyłam. W te nieliczne dni, kiedy mój syn znajduje w domu wytchnienie od walki z wrogami Rzymu, nie będzie go karmił żaden niewolnik!

Pochyliła się od tyłu nad siedzącym Gnejuszem i czule go objęła, na co on odpowiedział uściskiem i pocałunkiem. Wdowa Weturia wciąż była bardzo urodziwą kobietą i widać było,

że Gnejusz ją bezgranicznie uwielbia. „Choćby dlatego, by przynieść dumę mojej matce”, powiedział kiedyś, zdradzając swą ambicję zostania największym wojownikiem w historii Rzymu. W tej chwili matka Koriolana naprawdę promieniała dumą.

* * *

Nieczęsto się zdarza, aby pierwsze przemówienie nowo mianowanego senatora wzbudziło takie wzburzenie w tej kurii, a potem zamieszki na ulicach.

Kominiusz dotrzymał słowa. Nadzwyczajna nominacja bohatera dnia w poczet członków senatu została przeprowadzona błyskawicznie. Koriolan przywdział togę z purpurowym brzegiem, a ceremonia objęcia urzędu, choć nie tak uroczyste celebrowana jak w wypadku Appiusza Klaudiusza, odbyła się z wszelkimi przewidzianymi przez protokół szykanami i obfitowała w mowy powitalne. To, że Gnejusz nie należał do grona patrycjuszy, nie było żadną przeszkodą; niejednemu przed nim zamożnemu i wpływowemu plebejuszowi udało się wejść w szeregi senatorów. Nieliczni dochrapali się nawet godności konsula, począwszy od samego wielkiego Brutusa, choć droga do tego była stroma i niełatwa. Dzięki wybitnym zasługom lub majątności można było osiągnąć status *nobilitas* i znaleźć się wśród „najlepszych”, ale żeby zdobyć najwyższe z możliwych stanowisk, trzeba było czegoś nieprzeciętnego. Jak kiedyś powiedział kuzynowi Publiusz Pinariusz, „nie wystarczy być po prostu nobilem, by dotrzeć na szczyt w naszej nowej, wspaniałej republice. Szlacheckość musi być stara jak dobre wino w omszałej beczce z zardzewiałymi obręczami. Na to trzeba całych pokoleń!”

Jeżeli ktokolwiek mógł być przeciwny nobilitacji Gnejusza, to tylko plebejska mniejszość w senacie. Jej przedstawiciele dobrze wiedzieli, jakie są przekonania młodego wojownika, postanowili jednak wstrzymać się od protestu. To Gnejusz zaatakował ich pierwszy.

Bardziej konserwatywni senatorowie od początku sprzeciwiali się ustanowieniu trybunów jako obrońców ludu. Ci, którzy pogodzili się z tym aktem, uznając w nim potrzebę chwili, poniewczasie tego żalowali. Nikt jednak, nawet czołowy reakcjonista Appiusz Klaudiusz, nie odważył się publicznie wezwać do zniesienia tego urzędu. Spierano się nawet, czy taki postulat byłby zgodny z prawem; utrudnianie trybunom działania było przestępstwem karanym banicją lub śmiercią – a czyż każda próba zmiany status quo nie mogła zostać uznana za taki właśnie występki? Trzeba było dopiero człowieka nieustraszonego, by zrobił to, czego się obawiał Appiusz i jego koledzy.

W dniu inauguracji Gnejusza porządek obrad niczym szczególnym się nie wyróżniał. Potrzebne były fundusze na remont odcinka Cloaca Maxima i zniszczonej przez ulewy drogi na południe od miasta. O naprawę prosił się też fragment muru obronnego pod Awentynem. Wywiązała się żywa dyskusja nad tym, komu należy powierzyć te prace; starało się o nie kilku senatorów, zbyt jednak znanych nie tylko z tego, że zawsze zgarniają lukratywniejsze

kontrakty, ale i z zawyżania rachunków. Po kilku jadowitych przemowach temat robót publicznych zdecydowano się odłożyć na późniejszy termin.

Tytusa Potycjusza pytano o postępy w pracach przy budowie świątyni Ceres.

– Miło mi zakomunikować, że dzieło naszych greckich artystów jest na ukończeniu. Niektórzy z was już mieli sposobność je oglądać. Mogę chyba bez przesady powiedzieć, że patrząc na tę świątynię, nasze wnuki i prawnuki będą słać swoich przodków za stworzenie tak doskonałego daru dla bogini. W latach obfitości będziemy mieli gdzie jej dziękować, a w czas nieurodzaju zanosić modły o jej łaskę.

Przez izbę przebiegł szmer aprobaty. Tytus był powszechnie lubiany, a jego kompetencje nie podlegały dyskusji. Po tym krótkim raporcie wszyscy zwrócili uwagę na nowo mianowanego senatora, który zawczasu poprosił o głos. Gnejusz wstał ze swego miejsca pomiędzy Appiuszem Klaudiuszem i Tytusem, i zdecydowanym krokiem wystąpił na środek izby, aby móc się swobodnie poruszać i kolejno zwracać do każdego ze słuchaczy.

– Koledzy, powiem wprost, nie jestem człowiekiem delikatnym. Swojej sztuki oratorskiej, jeśli tak ją można nazwać, nie szlifowałem na Polu Marsowym, gdzie żebrzą o głosy ci, którzy aspirują do godności konsula. Nie zwykłem nikomu pochlebiać, a już zwłaszcza gorszym ode mnie. Przemawiać nauczyłem się na polu bitwy, zagrzewając innych mężów do walki i przelewania krwi za Rzym. Dzisiaj staję do innej bitwy, od której także zależą losy naszego miasta. To wy, senatorowie, jesteście wojownikami, których muszę poderwać do boju! Nie tak dawno temu, kiedy plebs urządził tak zwaną secesję, jeden z was, czcigodny Agryppa Meneniusz, wygłosił do nich żarliwą mowę, usiłując przemówić im do rozumu. Opowiedział im bajkę, która brzmiała mniej więcej tak. Dawno temu części ludzkiego ciała nie żyły w harmonii jak dzisiaj, ale każda kierowała się własną myślą i potrzebą. Pracowite ręce, bystre oczy i czujne uszy zauważyły, że brzuch nic właściwie nie robi, tylko leniwie czeka, aż inne członki go nakarmią. „Wszystkie pracujemy, żeby go zadowolić, ale co on robi dla nas?”, pytały. „Damy mu wreszcie nauczki!”, rzekły i postanowiły więcej go nie żywić. Ręce przestały zbierać ziarno, oczy wypatrywać zwierzyny, palce nie chciały podnosić jedzenia do ust, a usta się nie otwierały. Kiedy głodny brzuch zaczął protestować... nie dla własnej korzyści, lecz ku przestrodze!... one się tylko śmiały. Jakże były złośliwe... i jak nierozumne! Nie potrwało bowiem długo, a kończyny zaczęły słabnąć, dłonie drżeć, oczy i uszy tępieć. Osłabione padały ofiarą wszelkich możliwych chorób. Na koniec pojęły, że i brzuch pełni ważną rolę w wielkim wspólnym dziele, on to bowiem utrzymuje przy życiu pozostałe członki, które bez niego nie mogą istnieć! Bunt zgasł, naturalny porządek rzeczy został przywrócony. Ciało stopniowo ozdrowiało i żadnemu z nich nie przychodziło już do głowy spiskować przeciwko żołądkowi. Kiedy prosił o pokarm, bez szemrania pracowały pospołu, by go zaspokoić. Ach, gdybyż ta bajka Agryppy wystarczyła, by ukazać malkotantom ich błąd! Miastem muszą rządzić najlepsi i najmądrzejsi z obywateli, którym należą się za to szacunek i przywileje, na jakie zasługują. Pozostali też mają swoją

rolę, ale nie jest nią władza! Istnieją po to, by wypełnić szeregi żołnierzy, zakładać nowe kolonie i powiększać potęgę Rzymu, sprawiać, by otaczał go krąg posłusznych sprzymierzeńców, zbierać plony i budować drogi. Motłoch nie jest zdolny rządzić, a mimo to uparcie i bezmyślnie stara się obalić lepszych od siebie i zająć ich miejsce! Wiadomo, że to mu się udać nie może, ponieważ tak samo jak zbuntowane przeciwko brzuchowi członki działa wbrew naturalnemu porządkowi świata i wbrew woli bogów. A jednak ci malkontenci zdołali już wyrządzić wielkie szkody, i to przy tchórzliwej współpracy większości tu obecnych członków tej szacownej izby! Pora skończyć z polityką ustępstw. Powiem więcej, trzeba ją odwrócić, zanim będzie za późno na naprawianie zła. To nie jest tylko nasza wewnętrzna sprawa, zwykłe nieporozumienie między obywatelami. Nie wolno nam zapominać, że Rzym jest otoczony przez wrogów, którzy nie spuszczają z nas oka. Jakże musi ich radować nasz kłopot! Jeden po drugim najlepsi Rzymianie zostaną zniszczeni przez nierozumną hołotę. Kto wówczas będzie go bronić przed nieprzyjaciółmi? Mali ludzie unicestwią wielkich... i tak samo słabsze miasta się zjednoczą, by zniszczyć sam Rzym. Odbiorą wam ziemię i majątek, wasze rodziny sprzedadzą w niewolę. Nasz ukochany Rzym przestanie istnieć... i potomni powiedzą, że zarodkiem tej klęski było utworzenie urzędu trybunów ludowych!

W kurii zawrzało. Senatorowie krzyczeli jeden przez drugiego: „Ta kwestia jest już rozstrzygnięta! Plebs nie jest naszym wrogiem!” Innych jednak wystąpienie Gnejusza uradowało. Appiusz Klaudiusz zerwał się z krzesła z okrzykiem:

– Niech żyje Koriolan, jedyny, który nie boi się mówić prawdy!

Gnejusz uniósł obie ręce nad głowę, by uciszyć kolegów. Kiedy wrzawa z wolna ucichła, jeden z nich zakrzyknął:

– Do czego właściwie zmierzasz, Gnejuszu Marcjuszu?

– A jak myślisz? Wnoszę o zniesienie trybunatu.

– Twój wniosek jest nielegalny! Wycofaj go natychmiast!

– Ani myślę! Obstawę przy nim i proszę was wszystkich, abyście mnie wsparli. Popelniono śmiertelnie groźny błąd i trzeba go naprawić dla dobra Rzymu!

Jeżeli Gnejusz liczył na formalne przyjęcie swego wniosku pod głosowanie, to się przeliczył. Jak senat długi i szeroki, nikt już nie siedział spokojnie; wszyscy naraz głośno domagali się, by ich wysłuchano. Przekrzykiwanie się przeszło we wzajemne obelgi, a te w rękoczynny. Koriolan stał jeszcze przez chwilę pośrodku tego chaosu, po czym z obrzydzeniem machnął ręką i wyszedł z budynku. Na schodach dogonił go Tytus.

– Gnejuszu, dokąd idziesz?

– Przed siebie. Gdziekolwiek, byle dalej od tego bałaganu. Senat okazał się taki właśnie, jak sobie wyobrażałem... sami królowie, ale nie ma korony. Nie mam pojęcia, jak oni kiedykolwiek mogą coś osiągnąć. Nie uwierzysz, ale nie dalej jak dziś rano Kominiusz sugerował, że powinienem się zastanowić nad kandydowaniem na konsula! Wyobrażasz mnie

sobie w roli zalotnika nie tylko tej zbieraniny, ale i na dodatek całej rzymskiej hołoty? Bo ja nie!

– Zazwyczaj na posiedzeniach nie bywa tak... nieporządnie. – Tytus się roześmiał. – Trzeba ci przyznać, że umiałeś ich poruszyć.

– Dobrze mi to wyszło, prawda? – Gnejusz też się uśmiechnął. – Tego im było trzeba.

Nagle spowaźniał. Byli na samym środku Forum, a drogę zagradzała im liczna grupa mężczyzn. Jeden z nich wystąpił przed szereg.

– Czy to ty jesteś Gnejuszem Marcjuszem, zwanym Koriolanem?

– Dobrze wiesz, że tak. A ty kim jesteś?

– Nazywam się Spuriusz Icylusz i jestem trybunem ludowym. Doszły mnie słuchy o groźbach skierowanych przeciwko mnie i zamachu na dobro całego plebsu.

– O czym ty mówisz?

– Czyż nie postulowałeś w senacie, zaledwie przed chwilą, zniesienia trybunatu, przez co zagrożone byłoby bezpieczeństwo wszystkich plebejuszy?

– Skąd ci o tym wiadomo? Czyżbyś miał szpiegów w senacie?

– Oczy i uszy trybunów są wszędzie. Jesteśmy obrońcami ludu.

– Jesteście zwykłymi chuliganami.

– Groziłeś trybunom czy nie?

– Powiedziałem to senatorom, powtórzę też tobie prosto w oczy. Tak, uważam, że jeśli Rzym ma przetrwać, urząd trybunów należy rozwiązać!

– Gnejuszu Marcjuszu, aresztuję cię za grożenie trybunowi i przeszkadzanie mu w pełnieniu obowiązków. Twój los rozstrzygnie się w głosowaniu zgromadzenia ludowego.

– To jakiś idiotyzm!

– Pójdiesz ze mną. – Spuriusz wyciągnął rękę, by chwycić Gnejusza za ramię.

– Ani mi się śni! Zabierz te brudne łapy ode mnie! – krzyknął Koriolan i odepchnął adwersarza tak silnie, że ten się przewrócił.

Paru mężczyzn wyciągnęło pałki i rzuciło się na senatora. Gnejusz rozłożył pierwszego ciosem prosto w nos, i zaraz zwinnie uchylił się przed pałką. Tytus, początkowo zdezorientowany, także przyłączył się do walki – przewaga była jednak po stronie atakujących.

– Tytusie, musimy wiać! – krzyknął Gnejusz.

– Wiać? I to mówi... Koriolan? – Tytus o włos uniknął ciosu pałką.

– Bez broni i bez szans nawet Koriolan strategicznie podaje tyły!

Ludzie trybuna blokowali im odwrót do senatu, dwaj przyjaciele rzucili się więc w przeciwną stronę, ku Kapitolowi, ścigani przez rozjuszonych napastników. Kiedy ostatnio wspinali się na wzgórze, był to dzień triumfu Gnejusza, okrzykniętego bohaterem. Tytus nagle pomyślał, że przynajmniej część ich prześladowców musiała tam wtedy być i krzyczeć „Koriolan!” Jakże wtedy wszyscy go kochali; jakże go teraz nienawidzą! Gnejusz ma rację,

uzmysłowił sobie. Motłoch jest kapryśny i nierozumny; nie zasługuje na to, by żołnierz tej miary co Gnejusz Marcjusz przelewał zań krew.

Zbliżali się do szczytu wzgórza. Z trudem łapiąc oddech, Tytus zwrócił głowę do przyjaciela.

– Pomyślałeś, że kiedy już się znajdziemy na górze, nie będziemy mieli gdzie uciekać dalej?

– Nie ma strategicznego odwrotu bez strategii – odparł Gnejusz. – Wejść do świątyni Jowisza i zażądać azylu. Jeśli oni mogą szukać schronienia w twojej świątyni Ceres, to chyba Jowisz nie odmówi go senatorowi!

Kiedy jednak dotarli w pobliże świątyni, okazało się, że część ścigających jakimś sposobem zdołała ich ubiec i droga do sanktuarium jest odcięta. Pozostawało im tylko uciekać dalej, aż wreszcie znaleźli się na Skale Tarpejskiej. To był koniec drogi. Najszybsi z prześladowców prawie deptali im po piętach, a teraz jeden z nich triumfalnie krzyknął do pozostałych:

– Nie do wiary! Bogowie przywiedli ich prosto na miejsce straceń!

– Cofnąć się! – rozbrzmiał głos trybuna Icylusza. – Nikt nie będzie dzisiaj stracony! Ten człowiek jest aresztowany.

Z tłumu natychmiast padły okrzyki: „Sprawiedliwości musi stać się zadość! Zepchnąć go! Zabić!”

Tytus, omdlewający z wysiłku, spojrział w przepaść i cofnął się w przestachu. Serce biło mu jak oszalałe, czuł zawroty głowy.

– Teraz widać, kim naprawdę jesteście – rzucił Gnejusz. – Bezdusznymi mordercami!

– Nikt nikogo nie zamorduje! – upierał się Spuriusz Icylusz. Przepchnął się przed napierający tłum i już ciszej powiedział: – Senatorze, nie wiem, jak długo uda mi się ich powstrzymać. Nie rób niczego, co by ich mogło sprowokować. Dla własnego bezpieczeństwa musisz pójść ze mną.

– Nie pójdę! Nie ma w Rzymie takiej władzy, która by mogła aresztować obywatela tylko za to, że powiedział głośno, co myśli. Odeślij swoje kundle, trybunie, i zostaw mnie w spokoju.

– Śmiesz zwać nas psami? – Jeden z mężczyzn zamachnął się i cisnął pałką.

Pocisk chybił celu, otarł się jednak o skroń Tytusa, który oszołomiony zatoczył się i omal nie spadł ze skały. Gnejusz podskoczył, by go chwycić; przez moment zdawało się, że obaj runą w dół, ale w ostatniej chwili udało się im odzyskać równowagę i cofnąć na bezpieczną odległość od krawędzi. Tłum, który zamął na chwilę w oczekiwaniu, zawył teraz rozczarowany i ruszył naprzód. Icylusz rozłożył ręce, by ludzi zatrzymać, było ich jednak zbyt wielu.

Nagle gdzieś na tyłach gromady wszczęło się jakieś zamieszanie. To konsul Kominiusz przybył na ratunek. Pałki i kamienie nie mogły sprostać toporom liktorów, którzy z łatwością utorowali sobie drogę przez tłum.

– Trybunie, co tu się dzieje? – zapytał surowo Kominiusz.

– Kładę areszt na tym człowieku, konsulu.

– Kłamstwo! – krzyknął Gnejusz. – Te zbiry ścigały mnie i mojego kolegę od samego Forum, nie kryjąc swoich zbrodniczych zamiarów! Kiedy przybyłeś, właśnie się szykowali, by nas strącić ze skały.

– Bo tak się karze zdrajców takich jak ty! – odkrzyknął ktoś z tłumu. – Śmierć każdemu, kto chce pozbawić lud jego obrońców!

– Cofnąć się! – rozkazał Kominiusz. – Spuriuszu Icyliusz, nakazuję ci położyć kres temu szaleństwu! Odwołaj swych ludzi i wycofaj areszt.

– Ośmielisz się przeszkodzić trybunowi w legalnym wypełnianiu obowiązków, konsulu?

Icyliusz wbił wzrok w rozmówcę. Przez chwilę trwali w tym niemym pojedynku, aż wreszcie Kominiusz spuścił oczy.

– Niechże więc odbędzie się proces, skoro się upierasz – powiedział. – Teraz jednak puścisz Koriolana wolno.

Trybun przez długą chwilę patrzył na konsula, po czym skinął głową.

– Dobrze. Niech lud zadecyduje o jego losie.

Rozczarowany tłum powoli się rozpraszał. Ludzie szemrali, spluwali pod nogi liktorom, ale się rozchodzili. Odszedł także Icyliusz. Gnejusz wybuchnął śmiechem i podszedł, by ucisnąć swego byłego dowódcę, Kominiusz miał jednak posępną minę.

Tytus, jeszcze słaby po otrzymanym uderzeniu, usiadł niepewnie na skale. Wciąż kręciło mu się w głowie, a sylwetki ludzi wydawały mu się nierealne jak zjawy. Gdy się ocknął z tego chwilowego odrętwienia, stwierdził, że wpatruje się w świątynię i wspaniałą Jowiszową kwadrygę na jej szczycie. Jakże drogie mu było to dzieło starego Wulki!

– Czasem mam wrażenie, że nawet bogowie się obrócili przeciwko mnie – szepnął Gnejusz, krążąc tam i z powrotem po zalanym księżycową poświatą ogrodzie. Jego twarz skrywał cień, podobnie jak oblicza pozostałych mężczyzn, którzy przybyli na jego wezwanie. Nie zapalono ani jednej lampy; najmniejszy płomyk mógłby zaalarmować jego wrogów i zdradzić, że oto w domu Gnejusza Marcjusza odbywa się potajemne spotkanie.

Był tam Tytus, byli Appiusz Klaudiusz i Kominiusz, a oprócz nich w perystylu tłoczno było od mężczyzn w pełnym bojowym rynsztunku, jakby się wybierali na wojnę. Po ich oświetlonych przez księżyc nogach Tytus poznał, że w większości są młodzi, a po jakości zbroi, że należą do ludzi zamożnych.

W minionych dniach wokół Gnejusza skupiło się wielu takich młodych wojowników-nobilów, a także jemu podobnych plebejuszy z patrycjuszowską krwią w żyłach. Oddani byli Koriolanowi – nigdy go nie nazywali inaczej – bezgranicznie. Nie mniej fanatyczna była

determinacja zwolenników trybuna Icylusza, którzy pragnęli śmierci Gnejusza. Zażarty spór nad jego losem podzielił Rzymian jak nigdy dotąd. Nazajutrz miał się odbyć jego proces.

– Bogowie nie mają nic wspólnego z całą tą farsą! – odparł z goryczą Appiusz Klaudiusz.
– To ludzie są winni. Słabi i głupi ludzie! Senatorowie powinni cię czcić jak bohatera, Gnejuszu, a tymczasem wszyscy cię opuścili.

– Oby to było takie proste! – rzekł z westchnieniem Kominiusz. – Prawo wybierania trybunów lud uzyskał dopiero po zjadłej walce. Atakując ten przywilej, Gnejusz stanął na drodze szarżującego byka.

– Czy mamy więc beczynnienie się przyglądać, jak ten byk traktuje najlepszych mężów Rzymu? – spytał łamiącym się głosem Tytus Potycjusz.

Dzień, w którym rozjuszony tłum zapędził ich na Skalę Tarpejską, był punktem zwrotnym w jego życiu. Wezbrał w nim wielki gniew, który zatwardził jego serce dla plebsu, a zbliżył bardziej niż kiedykolwiek do przyjaciela z dzieciństwa. Wyrzucał sobie, że tak długo był ślepy na zagrożenie ze strony rzymskiego motłochu, i nie pojmował, że to Gnejusz ma słuszość. Czuł się winny, że od początku nie wspierał go z większym zaangażowaniem i nie zabrał głosu w jego obronie, kiedy senatorowie zakrzyczeli go owego brzemiennego w skutki dnia.

– Nie przejmuj się tym bykiem, Tytusie. – Gnejusz położył mu dłoń na ramieniu. – To bydlę mnie nawet nie dotknie! Prędzej się rzucę na własny miecz, niż poddam karze wymierzonej przez tę hołotę.

– Ta hołota, jak ją nazywasz, to zgromadzenie ludowe – zauważył sucho Kominiusz. – Przykro mi, ale ich prawo do sądenia ciebie nie podlega dyskusji. Omówiliśmy tę kwestię w senacie szczegółowo...

– Hańba! – mruknął Appiusz Klaudiusz. – Robiłem, co mogłem, by ich przekonać, ale bez skutku!

– Tak więc ta parodia wymiaru sprawiedliwości, ten tak zwany proces, odbędzie się jutro – powiedział Gnejusz. – I naprawdę nie ma nadziei, konsulu?

– Ani trochę. Icylusz podburzył plebs do stanu wrzenia. Sądziłem, że wpływ lepszych obywateli może trochę ochłodzić nastroje, ale na ludzi nie podziałało nawet jawne przekupstwo. Będiesz sądzony i uznany za winnego naruszenia godności i narażenia trybunów na niebezpieczeństwo. Twój majątek ulegnie konfiskacie i będzie zlicytowany, zyski zaś trafią na fundusz dla ubogich w świątyni Ceres. Twoja matka i żona zostaną bez środków do życia.

– A co się stanie ze mną?

– Czeka cię publiczna chłosta, a potem egzekucja. – Konsul zwiesił głowę.

– Nie! Nigdy! – krzyknął jeden z młodych żołnierzy z cienia, a koledzy zaraz mu zawtórowali.

Gnejusz uniósł dłoń, by ich uciszyć, i znów zwrócił się do Kominiusza:

– A jeżeli jeszcze dziś z własnej woli opuścę miasto i udam się na wygnanie?

Konsul wziął głęboki oddech.

– Icylusz może cię sądzić *in absentia*, myślę jednak, że uda mi się go od tego odwieść. I tak odniesie zwycięstwo, utrwalając nienaruszalność trybunatu. Jeżeli nie będzie procesu, twój majątek pozostanie nietknięty, a matka i żona zabezpieczone.

– Nie dbam o własne życie – powiedział Gnejusz. – Jak chcą, mogą mnie poćwiartować i pożreć. Nigdy jednak nie dopuszczę do tego, by moje dobra zagarnęli edylowie, by karmić leniwą rzymską hołotę! – Odwrócił twarz ku niebu. W zimnym księżycowym świetle jego rysy wyglądały jak rzeźbione w marmurze. – Banita... Po tym wszystkim, com dla Rzymu uczynił!

Pochylił głowę, znów kryjąc się w cieniu, i zwrócił się do otaczających go wojowników:

– Niektórzy z was podczas ostatniego spotkania przysięgli, że raczej podniosą miecze i przeleją plebejską krew, niż pozwolą na moją egzekucję, a w razie potrzeby podążą za mną na wygnanie. Dzisiaj jednak, kiedy nadeszła chwila decyzji, zwalniam was z tej obietnicy.

– Ale my się nie zwalniamy! – zaprotestował któryś. – Rzymianin nigdy nie łamie danego słowa!

– Czyż jednak, wyrzekając się Rzymu, nadal będziemy Rzymianami? Pomyślcie, co to znaczy być człowiekiem bez ojczyzny! Ten los narzucono mi siłą. Nie mogę nim obciążać nikogo z was.

Jeden z młodych wysunął się naprzód.

– Przyszliśmy tu z bronią i gotowi na bój... i na śmierć, jeśli będzie trzeba. Tyś naszym wodzem. Jeśli wybierzesz odwrót zamiast bitwy, pójdziemy za tobą, Koriolanie!

– Nawet poza bramy Rzymu?

– Choćby na koniec świata! Jak poszliśmy za tobą za mury Korioli. Ty wtedy sam przedarłeś się przez bramę, a my wlekliśmy się z tyłu jak leniwi uczniowie. Dziś tak nie będzie! Zostajemy przy tobie, Koriolanie!

– I tak mówicie wszyscy?

– Tak mówimy wszyscy! – zabrzmiał chóralny okrzyk.

Gnejusz się roześmiał.

– Tym wrzaskiem obudziliście pewnie cały Palatyn! Niedługo wszyscy w Rzymie będą się zastanawiać, co też się knuje u Gnejusza Marcjusza. Nie mamy więc wyboru, trzeba ruszać, nie zwlekając.

Podczas gdy tamci się zbierali do drogi, Gnejusz pożegnał się z Appiuszem i Kominiuszem, a ujrawszy trzymającego się w cieniu Tytusa, podszedł do niego.

– Już się pożegnałem z bliskimi – powiedział. – Opiekuj się moją matką i żoną, przyjacielu, tak jak się opiekujesz swoją Klaudią.

– Powinienem jechać z tobą.

– Słyszałeś, co powiedziałem swoim żołnierzom. – Gnejusz pokręcił głową. – Takiego poświęcenia nie mogę wymagać od nikogo.

– A jednak oni idą za tobą.

– Z własnego wyboru.

– Którego i ja powinienem dokonać.

Gnejusz milczał przez długą chwilę. Mrok skrywał mu twarz, ale Tytus czuł na sobie jego spojrzenie.

– Musisz ukończyć swoją świątynię, Tytusie.

– Niech będzie przeklęta ta świątynia i wszystko, co się z nią wiąże!

– Człowiek musi mieć coś, w co wierzy...

– Jak ty wierzyłeś w Rzym?

– Wierz w Rzym, Tytusie. Wierz w świątynię Ceres. Zapomnij, że Koriolan w ogóle żył.

Z tymi słowy Gnejusz Marcjusz Koriolan odwrócił się i odszedł, otoczony wiernymi towarzyszami.

Do domu Tytusa było niedaleko. Appiusz zaproponował, że go odprowadzi, zięć jednak się wymówił, wołąc wracać samotnie. Noc była ciepła i okiennice zostawiono otwarte. Wszedłszy do domu, Tytus stanął w drzwiach izby, gdzie spała Klaudia. Długo patrzył na jej spowitą w księżycową poświatę twarz, po czym przeszedł do sypialni syna. Nad jego łóżkiem stał jeszcze dłużej.

Nie mógł się pozbyć wizji, jaką zasiał w jego umyśle Kominiusz: wizji Gnejusza atakowanego przez rozwścieczonego byka. Herkules, nad którego ołtarzem rodzina Tytusa sprawowała pieczę od wielu pokoleń, też kiedyś walczył z bykiem na dalekiej Krecie. Bogowie wymagają od ludzi ofiar, herosi zasługują na lojalność. Czy Koriolan nie był herosem na miarę Herkulesa?

W gabinecie, przy świetle księżyca (obawiał się bowiem, by płomień lampy nie zbudził śpiących) Tytus napisał krótki list do Appiusza Klaudiusza: „Teściu, upraszam cię, miej w opiece swą córkę i wnuka. Musiałem tak postąpić, bo wiem, że to słuszne”.

Raz jeszcze wrócił do pokoju syna. Zdjął z szyi talizman i ostrożnie wsunął rzemyk przez główkę dziecka. Chłopiec bezwiednie dotknął rączką chłodnego metalu, ale się nie przebudził.

Trzeba było się spieszyć. Może dogoni Koriolana jeszcze w granicach miasta...

491 r. p.n.e.

– Długą drogę przebyliśmy, żeby się tu znaleźć – powiedział Gnejusz.

– Zaiste, bardzo długą – odrzekł Tytus z melancholijnym uśmiechem.

Dobrze rozumiał, jaką drogę ma na myśli przyjaciel: nie tę pod końskimi kopytami, których każde stuknięcie zbliżało ich do Rzymu, lecz owe dziwne, pełne niespodziewanych zakrętów ścieżki, jakimi toczyło się ich życie od chwili, gdy przed dwoma laty uciekali nocą z rodzinnego miasta.

Człowieka kalibru Gnejusza Marcjusza, wodza biegłego w sztuce wojennej i znanego z odwagi, a przy tym dysponującego drużyną bezgranicznie mu oddanych żołnierzy, w niejednym mieście powitano by z otwartymi rękami. To, że wybrał akurat Wolsków, było ironią losu, choć może nie zaskoczeniem. Swego czasu wytoczył im wprawdzie sporo krwi, ale zawsze w honorowej walce – któż więc, jak nie oni, miałby się na nim najlepiej poznać? Tytusa z początku wielce dziwiło, że tak entuzjastycznie przyjęli go w swoje szeregi akurat ci, z którymi jeszcze niedawno zażarcie wojował; dopiero później pojął, że takie już jest żołnierskie życie i że jednym zrzędzeniem losu nieprzyjaciel może się zmienić w sojusznika.

Oczywiście Gnejusz nie byłby sobą, gdyby pozostał dla Wolsków tylko przydatnym sojusznikiem. Szybko zdobył wśród nich mir jako najlepszy z wojowników, a potem równie szybko awansował na głównodowodzącego ich armii. Odwetowa kampania przeciwko Rzymowi nie była jego pomysłem, tylko rady starszych, która długo i usilnie musiała go przekonywać, aby pokonać jego opór. Kto mógłby lepiej przewidywać i skutecznie przeciwdziałać każdemu posunięciu Rzymian, jeśli nie ten, który był największym rzymskim wojownikiem? Cóż mogło przynieść Wolskom większy triumf od ujrzenia, jak Koriolan robi z Rzymem to samo, co kiedyś zrobił Korioli? I czyż sam Gnejusz Marcjusz znalazłby słodsza zemstę niż rzucenie na kolana miasta, które nim wzgardziło?

W wojnie z Rzymem Gnejusz przeszedł sam siebie. Za młodości marzył o zostaniu największym żołnierzem swej ojczyzny, a został największym wodzem w całej Italii. Tytus, który walczył z nim ramię w ramię we wszystkich bitwach, uważał, że tyle zwycięstw, jakie przypadły w udziale jego przyjacielowi, można było odnieść tylko z pomocą bogów. Nie zdradzał się z tym nikomu, ale w głębi duszy wierzył, że w Koriolanie, bohaterze swoich czasów, odrodził się pradawny duch Herkulesa. To religijne przekonanie było mu wielką pociechą w tych bolesnych chwilach, kiedy ogarniała go przemożna tęsknota za Rzymem i rodziną.

Teraz zaś zbliżała się ostateczna rozgrywka. Armia Wolsków maszerowała ku tej samej bramie, którą kiedyś uciekał z Rzymu jej dzisiejszy dowódca. Rzymianie ponosili w tej wojnie klęskę za klęską. Ich oddziały były przerzedzone, brakowało im broni, której wielkie składy wpadły w ręce wroga. Także ludzie byli osłabieni – ich zboże spłonęło na pniu, kolonie zostały splądrowane, a dopływ awaryjnych dostaw ziarna z Sycylii przerwany. Im bardziej zaś Rzym słabł, tym chętniej pod sztandary Wolsków garnęli się jego mniejsi sąsiedzi, kiedyś w wojnie z nim pokonani i upokorzeni. Siły banity były nie do pobicia.

Kiedy czoło jego kolumny znajdowało się jeszcze o dwa dni marszu od murów Rzymu, do Gnejusza przybyli rzymscy posłowie. Przypomnieli mu, skąd się wywodzi, i błagali, by

zawrócił swą armię. Wódz przyjął ich wzgardliwie, ale pozwolił wrócić do miasta cało i zdrowo. W rozmowie z Tytusem stwierdził, że już sam pomysł podobnej perswazji świadczy o tym, iż Rzymianie są pewni własnej przegranej.

Następnego dnia zjawili się dwaj kolejni wysłannicy. Chmurę pyłu, jaką wzbijały koła ich rydwanu, widać było z daleka, zaskoczeniem dla Tytusa była natomiast ich tożsamość. Kiedy zbliżyli się na tyle, by można było rozróżnić rysy ich twarzy, poznał Appiusza Klaudiusza i Postumiusza Kominiusza.

Gnejusz polecił swym ludziom zostać na miejscu, sam zaś z Tytusem ruszył posłom na spotkanie. Wymienili pozdrowienia, Tytus nie śmiał jednak spojrzeć teściowi w oczy. Kominiusz zaczął od zapewnienia Gnejusza, że jego matka i żona mają się dobrze; nikt nie szukał na nich pomsty, kiedy jego zdrada wyszła na jaw, teraz zaś nie ma już takiego śmiałka, który by się na nie porwał.

– Moja córka Klaudia i młody Tytus Potycjusz także są zdrowi – dodał Appiusz Klaudiusz, choć zięć wciąż unikał jego spojrzenia.

Przemawiając w imieniu konsulów i senatu, wysłannicy przyznali, że Gnejusza spotkała wielka krzywda. Obiecali mu przywrócenie obywatelstwa i mandatu senatorskiego, a także bezwarunkowy immunitet chroniący przed prześladowaniem ze strony trybunów.

Gnejusz z szacunkiem wysłuchał swych dawnych opiekunów, po czym spytał:

– A co z samymi trybunami i edylami? Czy te urzędy zostaną zniesione? Czy rozbierzenie świątynię Ceres?

Kominiusz i Klaudiusz spuścili oczy. Ich milczenie było dostatecznie wymowną odpowiedzią. Gnejusz parsknął śmiechem.

– Myślicie, że uda się wam zawrócić Koriolana kilkoma słowami, a mimo całej władzy senatu nie potraficie narzucić swej woli nawet popółstwu! Mnie już nie powstrzymają żadne puste obietnice. Jeżeli naprawdę kochacie Rzym, wracajcie i doradźcie kolegom kapitulację. Nie pragnę przelać więcej krwi, niż będzie trzeba, a i moich ludzi, którym się marzy splądrowanie waszego miasta, łatwiej mi będzie pohamować tylko wtedy, gdy wezmą je bez walki. Cokolwiek bowiem postanowicie, bronić się czy poddać, jutro o tej porze Rzym będzie mój.

– Gorzki to powrót, Gnejuszu Marcjusz! – rzekł Kominiusz.

– Ale jednak powrót.

– A jeżeli zdobędziesz miasto... przed czym niech nas Jowisz broni... co wtedy zrobisz? – spytał Appiusz Klaudiusz.

Gnejusz odetchnął głęboko, po czym odpowiedział:

– Jeżeli sami się ze strachu nie zabijają, pewnych moich wrogów spotka to, na co zasługują. Chyba wiecie, kto jest na czele tej listy.

– Trybun Spuriusz Icylusz.

– Z jaką przyjemnością strącę go ze Skały Tarpejskiej!

– A co z senatem?

– Być może pozwolę mu nadal istnieć, jego rolę ograniczę jednak do takiej, jaką pełnił pod władzą królów. Będzie tylko ciałem doradczym i wspierającym monarchę. Oczyszczę go z mniej użytecznych senatorów i zastąpię ich świeżą krwią Wolsków.

Kominiusz stłumił jęk rozpaczy, Klaudiusz natomiast wbił przenikliwe spojrzenie w Tytusa.

– A ty co masz na ten temat do powiedzenia, mój zięciu?

Tytus bez mrugnięcia patrzył mu w oczy.

– Kiedy byłem chłopcem, dziadek uczył mnie historii Rzymu. Musiałem z pamięci recytować poczet królów. Tarkwiniusz Pyszny miał być ostatnim, a władzę monarszą raz na zawsze zastąpiło coś, co nazwano republiką. Parodia i tragiczny błąd! Nieudany eksperyment! Dziś jest ostatni dzień republiki. Jutro na Forum ludzie będą krzyczeć: „Niech żyje król Koriolan!”

Dobyl miecza i wzniosł go w salucie Gnejuszowi, a ściągnięte wodze zmusiły konia do stanięcia na tylnych nogach.

– Niech żyje król Koriolan! – powtórzył na cały głos.

Drużyna wiernych towarzyszy, z którą Gnejusz udał się na wygnanie i którzy zawsze jechali na czele jego armii, usłyszała go i ochoczo podjęła.

– Niech żyje król Koriolan!

Okrzyk przetoczył się rosnącą falą przez całą okolicę. Żołnierze jak jeden mąż unieśli broń, a potem jęli uderzać nią o tarcze, nie przestając skandować:

– Niech żyje król Koriolan!

Tytusowi zdawało się, że Klaudiusz nagle więdnie w oczach. Kominiusz bez słowa zawrócił rydwan. Po chwili dwaj posłowie zniknęli w chmurze pyłu, spiesząc z powrotem do Rzymu.

Armia niezwycięzonego Koriolana stanęła w tym miejscu obozem. Do celu pozostało jej kilka mil.

* * *

Nazajutrz o świtaniu odtrąbiono sygnał do wymarszu. Koriolan jak zwykle jechał w przedzie, mając u boku Tytusa, a za sobą swą rzymską drużynę. Każdy krok zbliżał ich do miasta i do ostatecznej rozgrywki. Przed nimi widniał grzbiet niewielkiego wzniesienia; kiedy na nim staną, roztoczy się przed nimi widok na odległe wzgórze Rzymu.

Ponad stukotem końskich kopyt i nieustannym chrzęstem rynsztunku Tytus dosłyszał inny, obcy dźwięk, słaby z początku, lecz z każdą chwilą przybierający na sile. Zdawał się dobiegać gdzieś od przodu, zza owego pagórka. Coś się do nich zbliżało, jeszcze niewidoczne, co wydawało ten straszny, rozdzierający, przerażający dźwięk – jęk, jakiego

dusza może się spodziewać, schodząc do królestwa Plutona, głos krańcowej rozpacz i beznadziei.

Gnejusz także go słyszał. Zmarszczył brwi i odwrócił głowę w bok, nadstawiając ucha.

– Co to jest? – wyszeptał.

– Nie wiem, ale przyprawia mnie o gęsią skórę – odrzekł Tytus.

Ogarnął go nagle przesądny strach. A jeśli bogowie kochają Rzym bardziej niż Koriolana? Może zdradzając ojczyznę, Tytus i Gnejusz popełnili straszliwy grzech? Jakiego nieziemskiego potwora niebiosa stawiają im na drodze? Czy też to sama ziemia się rozstępuje, by wszystkich ich pochłoniąć bezpowrotnie? Tak właśnie to brzmiało – niesamowite wycie i jęk, jakby witał ich wielotysięczny chór zmarłych.

Jeszcze tylko dwieście, sto, dziesięć kroków... i będą na szczycie, i się dowiedzą.

Gnejusz zbielełymi palcami ścisnął wodze. Tytus głośno przełknął ślinę i obejrzał się przez ramię. Widać było wyraźnie, że potworny dźwięk wywarł wrażenie nawet na najbardziej zahartowanych w stu bitwach weteranach.

Stanęli na wzniesieniu.

Przed nimi, niczym gigantyczny czarny wąż, którego ogon ginał gdzieś aż pod murami odległego Rzymu, ciągnęła się procesja kobiet w żałobnych sukniach. Wyglądało na to, że na drogę wyległy wszystkie mieszkanki miasta. Nieziemski jęk był ich zbiorowym lamentem. Niektóre cicho szlochały, inne kiwały się i zawodziły, kilka śmiało się jak oszalałe. Część szła sztywno, jakby we śnie, część miotała się w transie na wszystkie strony, powłócząc rozpuszczonymi włosami po ziemi.

Tylko grupa kobiet na czele tej drgającej kolumny kroczyła z wielką godnością, z podniesionymi głowami i w zupełnym milczeniu. Po biało-czerwonych opaskach na czołach Tytus poznał dziewice Westy. Szło ich pięć; szósta, zgodnie z tradycją, pozostała w świątyni, by pilnować wiecznego ognia. W czas takiego kryzysu jego podtrzymywanie było ważniejsze niż kiedykolwiek. Przed westalkami maszerowały trzy kobiety, które choć dumne i wyniosłe, odziane były w ciemne, podarte szaty jak żebraczki. Szły boso, ale widać było, że do tego nie nawykły – ich stopy zostawiały krwawe ślady. Mimo bólu ani jedna nie utykała i nie wypadła z rytmu.

Jak poprzedniego dnia podczas wizyty senatorów, Gnejusz dał żołnierzom znak, by się zatrzymali, sam zaś z Tytusem pojechał na spotkanie procesji.

– Jak senatorowie się nie wstydzą! – rzucił Tytus. – Posłom nie udało się ciebie zatrzymać, to teraz zniżyli się do chowania się za plecami kobiet!

Nie słysząc odpowiedzi, zerknął na przyjaciela. Zamiast wzgardliwej miny ujrzał na jego twarzy wyraz niepokoju, a w oczach... czyżby to łzy tak lśniły? Serce w nim upadło – zaczął przeczuwać, co się wydarzy.

Na sygnał westalek procesja się zatrzymała. Trzy kobiety w łachmanach szły jednak dalej i stanęły dopiero wtedy, gdy obaj jeźdźcy się z nimi zrównali. W stojącej pośrodku Tytus

rozpoznał matkę Gnejusza, Weturię. Wyglądała znacznie starszej, niż gdy spotkał ją ostatnim razem. Trzymała się prosto, ale musiała się oprzeć na towarzyszkach. Po jej prawej stronie stała żona Gnejusza, Wolumnia. Przeniósłszy wzrok na trzecią z kobiet, Tytus mimo woli omal nie krzyknął. Nie widział Klaudii od wyjazdu z Rzymu. Na jej rysach trwale odbiły się troski i nieszczęście ostatnich lat. Stała ze spuszczoną głową, nie patrząc na męża.

Weturia za to wbiła gorejący wzrok w syna.

– Gnejuszu! – zakrzyknęła.

– Mamo... – wyszeptał.

– Będziesz tak sterczał nade mną jak pan nad niewolnicą czy zsiądziesz z konia?

Gnejusz w jednej chwili był na ziemi. Tytus poszedł za jego przykładem, ściskając wodze obu wierzchowców bardziej dla podparcia się niż dla utrzymania ich w ryzach. Zakręciło mu się w głowie. Przemknęło mu przez myśl, że tak samo się czuł wtedy na Skale Tarpejskiej, gdy rzucona przez kogoś pałka trafiła go przelotnie w skroń. Wszystko, co się działo między tamtą chwilą a obecną, wydało mu się snem, z którego zaraz zostanie brutalnie wyrwany. Wyraźnie słyszał przyspieszone, mocne bicie swego serca.

Gnejusz podszedł do matki i wyciągnął ręce, ona jednak nie przyjęła uścisku. Cofnął się o krok.

– Dlaczego mnie nie obejmiesz, mamo? Czemu stoisz tak sztywno?

– Gdybym uniosła ręce, upadłabym, muszę się bowiem wspierać na Wolumni i Klaudii.

– Ja cię wesprę.

– Kłamca!

– Mamo!

Spojrzenie Weturii zdawało się palić go żywym ogniem.

– Zawsze myślałam, że jeśli dożyję takiego wieku, iż nie będę mogła sama stać na nogach, podtrzyma mnie silne synowskie ramię. Kiedy jednak przyszedł czas, że zaczęłam go potrzebować, Gnejuszu, ciebie przy mnie nie było. Musiałam polegać na innych... ku memu wstydu! Oby bogowie zesłali na mnie zupełną niemoc, jeśli kiedykolwiek się na tobie oprę!

– Twarde to słowa, matko.

– Nawet nie w połowie tak twarde jak los, który mi zgotowałeś.

– To, co zrobiłem, nie wynikało z mojej własnej woli. Zostałem do tego zmuszony.

– Wyzbyłeś się wszelkiej godności w dniu, kiedy podniosłeś miecz przeciwko Rzymowi. Czyniąc to, przyłożyłeś mi nóż do piersi. Dzisiaj chcesz mi go wbić w serce.

– Nie, mamo. To wszystko robię dla ciebie. Zawsze mnie uczyłaś...

– Nigdy cię nie uczyłam być zdrajcą! Jeśli powiesz coś takiego, prędzej wyrwę ci miecz z pochwy i rzucę się na jego ostrze, niż wezmę choćby jeszcze jeden oddech!

– Mamo, mamo!

Weturia nagle wyrwała rękę z uścisku synowej i z całej siły uderzyła Gnejusza w twarz. Kłaśnięcie było tak zaskakująco głośnie, że aż konie się spłoszyły i szarpnęły głowami, a

wodze omal nie wypadły Tytusowi z rąk. Stara kobieta zachwiała się i upadłaby, gdyby młodsze jej nie podtrzymały. Gnejusz stał jak wrośnięty w ziemię. Po długiej chwili dał przyjacielowi znak, by się przysunął bliżej, i szepnął mu do ucha:

– Jedź i powiedz ludziom, że nakazuję postój. Niech mi rozstawią namiot przy drodze. Za dużo oczu na nas patrzy, a ja się muszę rozmówić z matką bez świadków.

* * *

Co zostało powiedziane w tym namiocie? Jakie padły obietnice lub groźby, jakie wspomnienia i sny ożyły? Nikt tego nie będzie wiedział prócz Koriolana i jego matki.

Weturia pierwsza wyszła na drogę. Wolumnia i Klaudia – która ani razu przez cały ten czas nie spojrzała Tytusowi w oczy – szybko podskoczyły, by ją wesprzeć. Bez słowa odeszły ku czekającym w oddaleniu westalkom. Weturia powiedziała im coś cicho, one zaś dały znak pozostałym kobietom, by zawróciły do miasta. Teraz żadna z kobiet już nie zawodziła i nie krzyczała; procesja sunęła w absolutnej, aż nienaturalnej ciszy.

Gnejusz bardzo długo nie wychodził z namiotu. Kiedy się w końcu wynurzył, na jego twarzy malowała się taka determinacja, jakiej Tytus nigdy przedtem u niego nie widział. Dosiadł konia i wezwał do siebie swą rzymską gwardię. Wojownicy stanęli przed nim w szyku. Tytus stanął na skrzydle oddziału, ze strachem czekając na słowa wodza.

– Nie będzie szturm na Rzym – oświadczył Koriolan.

Zdumieni mężczyźni zaczęli spoglądać po sobie.

– Kiedy opuszczaliśmy nasze miasto, byliśmy gotowi na spotkanie z przeznaczeniem. Ono zaś wiodło nas jakby po kręgu... i dziś krąg ten miał się zamknąć. Tak się jednak nie stanie. Jesteśmy prawie u bram Rzymu... i bliżej nie podejźmiemy. Gdzieś za górami czy za morzem leży wielki świat, daleki od ziem Rzymian i Wolsków. Może tam właśnie odnajdziemy nasze przeznaczenie.

Żołnierze wymieniali niespokojne spojrzenia, tak żelazna była jednak ich dyscyplina, że ani jednemu nie wyrwało się słowo protestu.

– Ruszymy teraz z powrotem przez szeregi Wolsków. Dojechawszy na tyły armii, po prostu pojedziemy dalej.

– A co z nimi? – spytał Tytus.

– Z Wolskami? Jeżeli chcą, mogą próbować szturm na Rzym.

– Sami nigdy się na to nie porwą! Jesteś ich żywym talizmanem. Tylko Koriolan może ich poprowadzić do zwycięstwa!

– W takim razie pewnie i oni zawrócą. – Gnejusz ściągnął mocniej wodze i ruszył przed siebie.

Drużyna podążyła za nim. Tytus spiął konia i dogonił przyjaciela, zajmując swe zwykłe miejsce u jego boku. Zdezorientowana piechota Wolsków rozstępowała się przed nimi, patrząc na wodza w niemym zdumieniu.

– To sprawka tej staruchy! – krzyknął jeden z żołnierzy. – Obróciła syna przeciw nam!

– Koriolan nas porzuca!

– Niemożliwe!

– To sam popatrz!

– Po co więc nas tu przywiódł?

– To pułapka! Koriolan nas tu zwabił, a teraz Rzymianie szykują jakiś straszny podstęp!

Konsternacja ogarnęła całą armię. Tytus miał wrażenie, że płynie przez wzburzone morze gniewnych twarzy. Szum jego fal narastał, prądy wirowały to w jedną, to w drugą stronę.

– Wracaj, Koriolanie! – krzyczano. – Prowadź nas na wroga albo...

Kamień uderzył w hełm Tytusa. Ostry, metaliczny dźwięk zawibrował mu w czaszce. Znów przypomniał sobie ten moment na Skale Tarpejskiej, kiedy omal nie runął w przepaść, a Gnejusz go cudem uratował. Świat wokół niego coraz bardziej tracił realność, ludzie i ziemia jakby się oddalali, gniewne głosy dobiegały jak zza ściany.

Coraz więcej pocisków grzechotało o jego zbroję. Tytus prawie nie czuł uderzeń. Wolskowie zaczęli od kamieni, ale już wkrótce wyciągnęli miecze. To samo zrobili Rzymianie. Szczęk żelaza wydawał się Tytusowi dziwnie przytłumiony. Ruch wokół niego nagle przyspieszył, zamazując w oczach ludzkie sylwetki. Ze zdziwieniem zobaczył krew na brzeszczocie swej broni, a potem poczuł palący ból w boku. Świat zawirował i przewrócił się do góry nogami. Tytus zdawał sobie sprawę, że musi spadać z konia, nie poczuł już jednak uderzenia o ziemię.

* * *

Senat zadekretował, że dzień uratowania miasta przed Koriolanem ma być odtąd świętem dziękczynienia, a szczególną czcią otoczone mają być kobiety Rzymu, które osiągnęły to, czego nie mogły dokonać ani oręż, ani dyplomacja.

To były najłatwiejsze decyzje. Po nich przyszło jednak podejmować trudniejsze. Poważny spór wywiązał się w kwestii Ara Maxima. Od zarania historii ołtarzem opiekowały się rody Potycjuszów i Pinariuszów, dziedzicznych kapłanów wspólnie celebrujących Uczę Herkulesa. Czy wobec dyshonoru, jaki ściągnął na swą rodzinę Tytus Potycjusz, pytano, ten ród ma nadal zachować swe religijne funkcje, czy raczej należy go ich pozbawić i przekazać innej rodzinie albo wyznaczonym z urzędu kapłanom?

Wśród tych, którzy byli zdania, że państwo nie powinno naruszać tradycji starszej niż ono samo, był Appiusz Klaudiusz. Twierdził, że skoro sam Herkules wybrał tych, którzy mieli stać na straży jego kultu, to żaden urzędowy akt nie może zmienić jego boskiej woli

objawionej w niepamiętnych czasach. To było jednak jego oficjalne stanowisko. W prywatnych rozmowach przyznawał, że z trudem znosi hańbę, jaką przyniósł mu zięć. Wyrzekł się córki i wnuka i ogłosił, że dopóki on i ktokolwiek z noszących jego nazwisko potomków będzie miał jakiegokolwiek wpływy w Rzymie, żaden z Potycjuszów nie będzie wybrany na jakikolwiek znaczący urząd.

Argumenty Klaudiusza przekonały senatorów. Piecza nad Ara Maxima miała pozostać w rodowych rękach bez żadnych zmian. Nowo wybrany konsul Publiusz Pinariusz złożył jednak protest i obwieścił, że jego rodzina nie będzie dalej pełnić tej tradycyjnej posługi ramię w ramię ze zhańbionymi Potycjuszami.

– Po tylu wiekach i niezliczonych pokoleniach wyrzekamy się tego zaszczytu. Niech Potycjusze odtąd sami się zajmują ołtarzem!

Wiele w owych dniach mówiono wśród rzymskiej elity o tych dwóch prastarych patrycjuszowskich rodach i o przedziwnych zrzędzeniach losu, które zawiodły Pinariusza na najwyższy urząd, Potycjuszów zaś strąciły na dno.

* * *

Po latach pewien obdarty włóczęga znalazł się o kilka mil na południe od Rzymu. Był człowiekiem bez rodziny i ojczyzny, skazanym na wieczną tułaczkę, żyjącym tylko dzięki własnym zmysłom, choć i te często go zawodziły, a wtedy musiał polegać na ludzkim miłosierdziu; człowiekiem złamanym, bez marzeń i nadziei. W te okolice zabłądził po raz pierwszy od wielu lat. Miał tylko mgliste pojęcie, gdzie się znajduje, wiedział jednak, że małej przydrożnej świątyni, na którą się natknął, wtedy tam nie było. Zbudowana była według prostego wzoru, ale z widoczną starannością i pięknie ozdobiona. Na jej stopniach odpoczywał młody pasterz.

– Powiedz mi, chłopcze – zagadnął go włóczęga – czyja to świątynia? Jakiemu bogu jest poświęcona?

Chłopak popatrzył nań nieufnie, stwierdził jednak, że posiwiały nieznajomy wygląda nieszkodliwie.

– Nie bogu, tylko bogini. Fortunie, pierwszej córce Jowisza. Ona decyduje o ludzkim szczęściu i niedoli.

– Pamiętam, że w Rzymie wiele świątyń jest jej poświęconych – rzekł włóczęga, nagle rozmarzonym głosem.

– Tak, ale ta jest inna. To miejsce poświęcone Fortunie Muliebris.

– Fortunie kobiet? Dlaczego tak ją nazwano?

– Dlatego, że to Rzymianki ją ufundowały, jeśli możesz w to uwierzyć. W tym właśnie miejscu, rozumiesz, zdrajca Koriolan został zawrócony z drogi do Rzymu.

– Naprawdę? – Tym razem w głosie obcego słychać było dziwne drzenie.

– A jakże! Po wszystkim kobiety uznały, że trzeba to upamiętnić. Senat i kapłani na to przystali, a nasze babki same zebrały pieniądze na budowę. Pięknie wygląda, prawda?

– Prawda... – Włóczęga z podziwem popatrzył na budowlę. – Ja też kiedyś byłem budowniczym.

– Ty? – Pasterz obrzucił rozmówcę spojrzeniem pełnym powątpiewania, po czym uderzył dłonią w udo i wybuchnął śmiechem. – Jasne! A ja byłem senatorem, wiesz? A teraz popatrz tylko, na co mi przyszło, uganiać się za tymi brudnymi owcami!

A więc to tutaj... Tytusa ogarnęła fala od dawna tłumionych wspomnień. Jak przez mgłę pamiętał śmierć Gnejusza. Nawet największy wojownik w całej Italii nie może samopas pokonać całej armii, którą sam wyszkolił. On przynajmniej zginął w walce. Tytus jeszcze pamiętał, choć na szczęście równie mgliście, tortury, jakim poddali go rozjuszeni Wolskowie, zanim w końcu puścili wolno. Wszystko to było teraz odległe jak zapomniany sen. Tak jednak wyglądały wszystkie jego dni – nawet wczorajszy, nawet dzisiejszy.

– Jeżeli lubisz się przyglądać świątyniom, to podejdź drogą trochę dalej, na tamto wzgórze – powiedział pasterz. – Stamtąd będziesz miał widok na całe miasto. Najwyższa jest świątynia Jowisza. To ci dopiero budowla! Siedzi na Kapitolu jak korona na głowie króla. Nawet z daleka zobaczysz, jaka jest wspaniała. Idź, popatrz sobie.

Serce Tytusa łomotało, jakby się chciało wyrwać z klatki zeber. Jak wciąż zwykł bezwiednie czynić w chwilach wielkich emocji, nawet po tych wszystkich długich latach, sięgnął dłonią do szyi, gdzie ongiś na skórzanym rzemyku nosił talizman Fascinusa. Oczywiście go tam nie znalazł. Zostawił go przecież śpiącemu synkowi w noc swej ucieczki z Rzymu. Co się teraz dzieje z jego chłopcem? Czy w ogóle żyje? Jak mu się powodzi? Czy dochowuje prastarych obowiązków wobec Herkulesa, jak przed nim jego przodkowie?

– Idź, idź! – zachęcał pasterz, wskazując w stronę wzgórza. – Widok wart jest zachodu, przekonasz się.

Obdartus nie odezwał się już ani słowem. Odwrócił się i odszedł w przeciwnym kierunku.

Dwanaście tablic

450 r. p.n.e.

– Wznieśmy toast! – zakrzyknął Lucjusz Icyliusz.

– Co? Jeszcze nie mamy dosyć? – Lucjusz Werginiusz roześmiał się serdecznie.

Był solidnej postury mężczyzną i bardzo lubił wino, a protestował tylko żartem.

– Jako gospodarz będę nalegał! – odparł Icyliusz, kiwnięciem długiej, kościstej ręki sygnalizując służebnej, by napełniła puchary.

Okazja była radosna – świętowano rychłe zaślubiny syna Icyliusza, Lucjusza juniora, z Werginią, córką Werginiusza. Małżeństwo to miało połączyć dwie z najbardziej znaczących rodzin plebejskich w Rzymie. Werginiusze znani byli w mieście niemal równie długo jak niektóre rody patrycjuszowskie. Gałąź, do której należał Lucjusz, nie należała do najzamożniejszych, słynęła za to ze sprawności żołnierskiej. W niedawnych kampaniach przeciwko Sabinom i Ekwom udowodnił, że godzien jest swych bitnych przodków. Icyliusze byli dobrze sytuowani, aktywni politycznie, ambitni i energiczni. Mężczyźni z obu rodów pełnili swego czasu funkcje trybunów ludowych. Związek Lucjusza i Werginii był więc obu stronom jak najbardziej na rękę, przede wszystkim jednak wynikał z prawdziwego uczucia – młodzi zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia. Tym chętniej więc i weselej tego wieczora biesiadowano.

– Zdrowie matek! – Icyliusz wznosił puchar. – Nie wolno nam nie doceniać siły rzymskiej matrony. Ponad czterdzieści lat temu, kiedy zdrajca Koriolan maszerował na Rzym, co go zmusiło do zawrócenia, gdy zawiodły wszystkie inne środki? Nie miecze, nie mury ani żalosne płaszczenie się senatorów, ale matczyzna perswazja ocaliła miasto od zagłady. Wznoszę więc toast za matki państwa młodych!

– Tak jest, za nasze matki! – zawtórował mu nieco za głośno młody Lucjusz, nienawykły do trunku w takich ilościach.

Uhonorowane toastem dwie matrony skromnie spuściły oczy, same jednak nie piły, podobnie jak dwie młodsze kobiety – młodsza siostra narzeczonego, ciemnowłosa piękność Icylii, oraz oblubienica, która w ogóle jeszcze nie poznała smaku wina. Nie potrzebowała

zresztą sztucznych podniet, aby jej błękitne oczy błyszcząły, a przypominające różane płatki policzki nabrały koloru. Werginia miała jasne włosy i karnację, a kruczowłose Lucjusz bardziej śniadą; ona była niska i pełnych kształtów, on wysoki i szczupły. Te widoczne różnice podkreślały jednak tylko urodę obojga i nie było wśród biesiadników nikogo, kto by się nie zaklinał, że nie widział jeszcze piękniejszej pary.

Icyliusz wychylił puchar do dna i otarł usta wierzchem dłoni.

– Może was dziwi, że w tak miłym towarzystwie wspomniałem niesławnej pamięci Koriolana, którego imię budzi wstręt w sercu każdego patrioty.

– Ach, bo to się wiąże z twoim toastem... dowodzi, jak silny wpływ mają matki na synów – rzekł Werginiusz, któremu język zaczynał się już trochę plątać.

– Tak, ale nie tylko z tego powodu. Wymieniłem imię tego drania także po to, żeby wam przypomnieć, jak wielkie dobrodziejstwo uczynił dla Rzymu jeden z moich krewnych, Spuriusz Icyliusz. On to właśnie przepędził Koriolana z miasta. Matka może go nie dopuściła do naszych bram, ale to jednemu z Icyliuszów zawdzięczamy, że go już nie ma wśród nas. Mówię o tym, Werginiuszu, aby ci pokazać, że rodzina, do której wchodzi twoja córka, choć nie może się poszczycić tak długą historią jak twoja, też jednak zapisała swoją kartę w historii. I jeszcze niejedną zapisze, mając tak godnego spadkobiercę jak mój chłopak Lucjusz!

– A pewnie, skoro moja Werginia da mu wspaniałych synów!

Dziewczyna spiekła raka, podobnie zresztą jak jej narzeczony, choć starał się ukryć zakłopotanie pod męskim rubasznym śmiechem. Na twarzy Icylii, jeszcze bardziej śniadej od brata, rumieńca tak łatwo widać nie było, ale słowa Werginiusza wyraźnie jej nie były w smak. Jeżeli ktoś z współbiesiadników zauważył jej zboląłą minę, złożył to na karb panińskiej skromności.

– Ale, poważniej mówiąc... – Icyliusz urwał w pół zdania, rozpaczliwie próbując stłumić beknienie. Kiedy krytyczny moment minął, podjął z poważną miną: – Czterdzieści już lat upłynęło, odkąd ten niegodziwiec Koriolan ośmielił się grozić trybunom, za co został przykładnie ukarany. A mimo to niezgoda między stanami w wielu kwestiach jest dziś ostrzejsza niż kiedykolwiek. Rzadko się zdarza, by plebejusza wybrano na konsula... i wiercie mi, że to nie przypadek. Patrycjusze coraz zazdrośniej strzegą swych przywilejów i wprowadzają wszelkie możliwe utrudnienia, aby nie dopuścić nawet najwartościowszych plebejuszy na wyższe urzędy. Sam dobrze o tym wiesz, Werginiuszu.

– Niestety, mój dobry Icyliuszu, to smutna prawda – przytaknął zagadnięty.

Lucjusz jęknął boleśnie.

– Tato, proszę cię, tylko bez polityki. Nie dzisiaj!

– Milcz, synu. To nie polityka, ale poważna rodzinna rozmowa. Werginiusze i Icyliusze reprezentują wszystko, co najlepsze wśród plebejuszy. Wasz związek to nie tylko połączenie pięknej dziewczyny i porządnego młodzieńca, ale nadzieja na przyszłość dla nas wszystkich. Czy kiedykolwiek dojdzie do trwałego pokoju między nami i patrycjuszami? Trzeba zacząć

od tego, że błędy trafiały się obu stronom. Od czasów Koriolana nie próbowaliśmy secesji, ale może czasem nazbyt skwapliwie korzystaliśmy z potęgi trybunatu, aby ukarać bardziej aroganckich patrycjuszy. Niektórzy trybunowie niepotrzebnie podżegali tłum i nadużywali danej im władzy. Z kolei niejeden z tamtych różnymi przebiegłymi sztuczkami wywinął się od kary, kpiąc ze sprawiedliwości. Każda taka nieprawidłowość podsycala niezgodę i wywoływała kolejne starcia. W tych mrocznych czasach, mimo najusilniejszych starań najlepszych mężów Rzymu, nasze dwa stany zdają się coraz bardziej od siebie oddalać. Możemy tylko mieć nadzieję, że potomstwo Lucjusza i Werginii odziedziczy lepszy Rzym od tego, w którym przyszli na świat ich rodzice!

– Święte słowa, Icyliusz! – Werginiusz był wyjątkowo zgodnie nastawiony. – Szkoda, że nie ma tu decemwirów. Przydałoby się im usłyszeć, co mówisz.

Młody Lucjusz, solidnie już podchmielony, wznosił puchar.

– Za zdrowie decemwirów!

Starsi rzucili mu spojrzenie, pod którym poczuł się nagle malutki; nastrój był jednak zbyt pogodny, by ta chwila napięcia trwała dłużej niż okamgnienie. Pierwszy uśmiechnął się Werginiusz, a nieco później Icyliusz.

– Za decemwirów, mój synu? Toast kojarzy się z gratulacjami, a w wypadku tego... hmm... szacownego grona byłoby to, delikatnie mówiąc, przedwczesne. Nikt jeszcze nie widział owoców ich trudu, choć naszym dziesięciu małym Tarkwiniuszkom udało się już przyprawić niejednego obywatela o gorzki smak w ustach.

– Tarkwiniuszkom? To chyba nazbyt surowe określenie, Icyliusz? – Werginiusz pokręcił głową.

– Czyżby? – Spojrzenie gospodarza było lodowate.

Dwa lata wcześniej napięcie w Rzymie sięgnęło takiego ekstremum, że i patrycjusze, i plebejusze zgodzili się podjąć nadzwyczajne kroki. Zniesiony wybory, rozwiązano senat, zwolniono też z obowiązków wszystkich urzędników, z trybunami włącznie. Tymczasową władzę oddano w ręce rady złożonej z dziesięciu mężów, nazwanych decemwirami. Ich naczelnym zadaniem było jednak spisanie obszernego kodeksu praw. Wówczas wydawało się to dobrym pomysłem: dziesięciu najmądrzych ludzi w Rzymie miało zbadać, dlaczego aparat państwowy przestał działać, rozwiązać problem wszelkimi dostępnymi środkami, ustanowić sprawiedliwe prawo i wykuć je w kamieniu, aby były dla każdego widoczne. Plebs od dawna się tego domagał, wierząc, że czytelna lista czynów zabronionych i przywilejów obywatelskich lepiej niż cokolwiek położy kres bezczelnym nadużyciom patrycjuszy. Łatwiej było jednak to powiedzieć, niż zrobić. Proces ciągnął się już drugi rok bez widocznych rezultatów, a sami decemwirowie coraz częściej bezkarnie nadużywali swej władzy, jak przedtem skorumpowani urzędnicy, których zastąpili.

Icyliusz cmoknął z irytacją.

– Mieliśmy wszyscy nadzieję... może głupią... że decemwirowie wezmą przykład z Cyncynata...

– Wiwat Cyncynat! Pijmy za Cyncynata! – wpadł mu w słowo Werginusz, który służył pod sławnym wodzem.

Przed ośmiu laty, kiedy rzymska armia została wciągnięta w pułapkę przez Ekwów i czekała ją niechybna zagłada, były wódz Lucjusz Kwinkcjusz Cyncynat, który już rzucił wojaczkę i zajął się rolnictwem, został wezwany na pomoc. Na sześć miesięcy obwołano go dyktatorem i oddano w jego ręce absolutną władzę. Cyncynat z niechęcią zostawił pług, poprowadził zebrane pospiesznie siły na odsiecz, sprawił Ekwom tęgie lanie, złożył dymisję i wrócił do gospodarstwa – a wszystko to w ciągu zaledwie piętnastu dni. Mówiono, że pług czekał nań dokładnie tam, gdzie go zostawił, a on najspokojniej w świecie zabrał się do ukończenia rozpoczętej przed dwoma tygodniami bruzdy, jak gdyby nic się po drodze nie wydarzyło. Sprawny, śmiały i skromny Cyncynat jeszcze za życia przeszedł do legendy.

Decemwirowie nie brali jednak z niego przykładu. Wykorzystując różne kruczki, przedłużyli przyznany im początkowo czas urzędowania i dalej rządili w dyktatorskim stylu, podczas gdy lud na próżno wyczekiwał opublikowania nowego kodeksu. W ostatnich miesiącach pozwalali sobie na coraz jawniejsze nadużycia, a każdego, kto próbował protestować, bezlitośnie represjonowali. Za zbyt ostrą krytykę można było umrzeć, a dopóki decemwirowie dzierżyli władzę, immunitet chronił ich przed oskarżeniami o morderstwo.

– Dobra wiadomość jest taka, że nowe prawo powinno zostać ogłoszone lada dzień – powiedział Icyliusz. – Decemwirowie nazwali je Dwunastoma tablicami. Mam nadzieję, że spisali się tak doskonale, że dzięki tej dwunastce zapomnimy o podłości dziesiątki Tarkwiniuszków.

Lucjusz zmarszczył brwi.

– Słyszałem niedawno pogłoskę na temat tego nowego prawa.

– Jaką pogłoskę?

– Mój nauczyciel, Ksenon, twierdzi, że mają być zabronione małżeństwa między patrycjuszami i plebejuszami.

– Okropny pomysł! – zakrzyknął Werginusz.

– A skąd twój grecki nauczyciel miałby wiedzieć takie rzeczy? – spytał Icyliusz.

– Och, uczy w końcu także innych. – Lucjusz wzruszył ramionami. – Wśród jego uczniów są i wnuki paru decemwirów. Zdarza mu się słyszeć różne rzeczy.

Icyliusz wpatrzył się w pusty puchar.

– Nie ulega wątpliwości, że są tacy... i wśród patrycjuszów, i wśród nas... według których powiększanie, a nie zmniejszanie dystansu między stanami jest lekarstwem na społeczne choroby Rzymu. Taki zakaz mógłby mieć swoje zalety.

– W takim razie chyba mam szczęście, że najpiękniejsza dziewczyna w mieście jest akurat plebejką jak ja... i że to ze mną jest zaręczona! – Lucjusz rzucił rozpromienione spojrzenie Werginii, która odpowiedziała uśmiechem i spuściła oczy.

Nikt w tej chwili nie patrzył na Icylię, której twarz wykrzywił brzydki grymas.

– Dziesiątka Tarkwiniuszy... – mruknął Werginiusz. – Najgorszy jest chyba Appiusz Klaudiusz. Parę pokoleń temu Klaudiusze nie byli jeszcze Rzymianami. Ba! Nie byli nawet Klaudiuszami! Co to było za nieokrzesane sabińskie imię, pod którym się urodził jego dziadek?

– Attus Klausus – przypomniał Icyliusz.

– Ach, tak! A teraz jego wnuk rej wodzi między decemwirami. Skrajnie nieprzyjemny typ... Paraduje w purpurowej todze w otoczeniu liktorów i myśli, że każdy, kogo spotyka, będzie tańczył tak, jak jemu się akurat spodoba zagrać! Teraz chce wprowadzić zakaz mieszanych małżeństw. Cóż za patrycjuszowska hipokryzja! Nie dalej jak przed paroma miesiącami prosił mnie o rękę Werginii.

– Tato! – Dziewczyna podniosła głos. – Chyba nie powinieneś wspominać...

– A niby dlaczego nie? Przecież ani ja, ani ty nie daliśmy temu staremu capowi do zrozumienia, że byłby mile widziany. Niech mnie Jowiszowy grom trzaśnie, jeśli kłamię! Tak jest, powtarzam, parę miesięcy temu Appiusz Klaudiusz chciał się żenić z moją córką.

– I jaką mu dałeś odpowiedź, Werginiuszu?

Pytanie padło z ust milczącej dotąd Icylii.

– Jak to, jaką? Odmowną, ma się rozumieć! Nie mówię, że byłby złą partią... wprawdzie jest wdowcem z kilkorgiem dzieci, może trochę za starym dla Werginii, ale z drugiej strony Klaudiusze zdążyli sobie wyrobić dobre imię przez zaledwie trzy pokolenia, no i są patrycjuszami, choć świeżej daty. – Werginiusz mówił to od niechcenia, ale najwyraźniej uważał, że nie zaszkodzi, jak Icyliusz się dowie, że jego przyszła synowa mogła wyjść za człowieka wyższego stanu. – Odrzuciłem jego prośbę, bo go nie lubię... ot i wszystko. Ani mi się śni mieć go za zięcia i nie takiego ojca pragnę dla moich wnuków! O wiele bardziej wolę ciebie, Lucjuszu. A co ważniejsze, tak samo myśli Werginia!

Werginiusz roześmiał się głośno i wstał, by pocałować córkę. Werginia odwróciła głowę, nadstawiając mu policzek i kryjąc w ten sposób przed wszystkimi wyraz twarzy.

– W takim razie trzeba to uczcić! – zawołał Icyliusz. – W górę puchary!

– Znowu? – Werginiusz opadł na sofę z udawanym jękiem.

– Tak jest. Pijemy za miłość!

– Za to zawsze warto wypić. Na cześć Wenus, bogini miłości, która najwyraźniej pobłogosławiła ten związek iskrą namiętności. Czyż może być coś lepszego nad prawdziwe uczucie, które aprobują obaj ojcowie?

Mężczyźni spełnili toast do dna, po czym wybuchnęli śmiechem. Obie matki przyłączyły się do nich, porwane ogólną wesołością. Nawet nachmurzona Icylija rozjaśniła się i śmiała ze wszystkimi.

Nie do śmiechu było tylko Werginii. Od chwili, gdy jej ojciec wspomniał o Appiuszu Klaudiuszu i jego odrzuconych zalotach, z jej różanej buzi nie schodził wyraz niepokoju.

* * *

Następnego dnia rano Icylija i Werginia wybrały się na rynek, oczywiście pod czujnym okiem matek.

Obie dziewczyny wychowywały się w różnych kręgach i niewiele miały wspólnych znajomych; ponieważ jednak wkrótce miały zostać szwagierkami, wszyscy oczekiwali od nich, by zachowywały się jak stare przyjaciółki. Od ogłoszenia zaręczyn Werginii z Lucjuszem kilkakrotnie wychodziły razem do miasta, ale każda czuła, że to wymuszone i sztuczne spotkania. Towarzyszące im nieodmiennie ich matki, wiecznie zajęte szczegółami ślubnej ceremonii, miały więcej wspólnych tematów niż one. Sprawę jeszcze bardziej komplikowało to, że każdej ciążył jakiś problem, nie były jednak gotowe się nimi dzielić. Szły obok siebie przez rynek, pogrążone we własnych myślach, z rzadka tylko wymieniając uwagi.

– Co myślisz o tym, Werginio? – spytała Icylija, przesuwając palcami po beli delikatnego żółtego płótna.

Kupiec rozjaśnił się w szerokim uśmiechu.

– O, to materia z Syrakuz na Sycylii. Wszystko, co najlepsze, pochodzi właśnie z Syrakuz, a u mnie możecie kupić najtaniej.

Syrakuzy były grecką kolonią, założoną przez osadników z Koryntu i równie starą jak Rzym. Podobnych miast było wiele – nie tylko na samej wyspie, ale w całej południowej Italii, gdzie Greków żyło tylu, że cały ten region nazwano Wielką Grecją. Od pokoleń między obu stronami trwał ożywiony handel, a Rzymianom udawało się unikać zamieszania w niezliczone wojny i wojenki, jakie co rusz wybuchały między kolonizatorami. W ostatnich latach Syrakuzy zaczęły zajmować wiodącą pozycję jako miasto najlepiej prosperujące, cieszące się największymi swobodami i najsprawniej zarządzane w całym zachodnim basenie Morza Śródziemnego. Jego flota dominowała na Morzu Tyrreńskim, syrakuzkańscy kupcy otwierali składy w Ostii, aby tym łatwiej zdobywać rynki Rzymu i sąsiednich miast. Eksportowane przez nich zboże niejednemu raz ratowało lud rzymski przed głodem; uczeni z Syrakuz bywali nauczycielami w najlepszych domach – stamtąd pochodził także Ksenon, dbający o edukację Lucjusza Icyliusza.

– Wygląda porządnie – odrzekła Werginia, prawie nie spojrzawszy na materiał.

– Może młode damy bardziej zainteresują wyroby garncarskie – podsunął usłużnie kupiec. – Pewnie jeszcze nie mają panie własnych domostw, ale tak piękne dziewczęta rychło znajdą mężów i będą potrzebowały dzbanów i pucharów dla gości.

Ich stan paniński łatwo było poznać po prostych tunikach z długimi rękawami; dziewczyny nie awansowały jeszcze do bardziej skomplikowanych stoli noszonych przez ich matki.

– Popatrzcie na ten szczególnie piękny wzór... – Kramarz podniósł czarny dzbanek. – To czerwone obramowanie jest nietypową odmianą w tradycyjnym greckim deseniu...

Icylią, która się nachmurzyła i odwróciła głowę, gdy tylko mężczyzna wspomniał o małżeństwie, nagle zobaczyła w głębi rynku znajomą twarz. Serce podeszło jej do gardła. Zerknąwszy za siebie, przekonała się, że obie matki, pogrążone w ożywionej rozmowie, szły dalej, nie zauważając, iż córki się zatrzymały przy kramie. Pod wpływem impulsu ścisnęła Werginię za ramię, odciągnęła od trajkoczącego sprzedawcy i szepnęła jej do ucha:

– Werginio, musisz mi wyświadczyć przysługę!

– Cóż takiego, Icylio?

– Proszę cię, błagam...

– Ale o co ci chodzi?

– O nic. Muszę cię tylko na chwilę zostawić... Tylko na momencik, przysięgam! Gdyby nasze mamy zawróciły i o mnie pytały... powiedz, proszę, że... że musiałam pójść do damskiej toalety nad Cloaca Maxima.

– A jeśli się zdziwią, dlaczego z tobą nie poszłam, albo postanowią cię tam szukać?

– Wtedy powiedz... Och, nie wiem co!

Werginia się uśmiechnęła. Nie była pewna, co knuje jej przyszła szwagierka, ale po różnych drobnych znakach zaczęła się domyślać, że Icylią musi mieć potajemnego wielbiciela. Jej niespodziewana prośba mogła mieć z tym coś wspólnego. Pomyślała, że oto nadarza się okazja, by pozyskać zaufanie dziewczyny i zbliżyć się do niej. Czyż w końcu nie tego pragnęły ich matki?

– Oczywiście, że ci pomogę, Icylio. Rób, co musisz... ale nie zabaw zbyt długo! Nie mam wielkiego doświadczenia w okłamywaniu mamy.

– Niech cię Fortuna obsypie łaskami, Werginio! Zobaczysz, wrócę w mig.

Rzuciwszy ostatnie czujne spojrzenie w stronę niczego nie podejrzewających matron, zniknęła w tłumie.

Spostrzegł ją w tej samej chwili co ona jego. Czekał za najbliższym rogiem z niespokojnym wzrokiem i wyczekującym uśmiechem.

– Icylio!

– Tytusie! Och, Tytusie...

Musiała wyteńczyć całą siłę woli, by nie rzucić mu się w ramiona tu i teraz; choć znaleźli się już poza głównym nurtem ludzkiego wiru, wciąż jednak pozostawali widocznymi.

Młodzieniec zachłannie ujął ją pod rękę i poprowadził za następny róg, w wąską przestrzeń między dwoma budynkami, osłoniętą przed wzrokiem przypadkowego przechodnia przez rozłożysty cyprys.

Przycisnął dziewczynę do siebie i całował, zdawało się jej, bez końca. Icylią nie była wstydliva. Sama beznadziejność ich związku sprawiła, że podczas tych rzadkich, ulotnych chwil, gdy byli razem, odrzucała wszelkie zahamowania. Przesunęła dłońmi po jego mocnych ramionach, karku i pokrytej drobnym, jasnym owłosieniem piersi, przelotnie muskając zawieszony na szyi talizman. Nazywał go Fascinusem i twierdził, że to bóg, który od stuleci ma w opiece jego rodzinę.

Icylią nie mogła się powstrzymać od myśli, że przez parę ostatnich pokoleń Fascinus słabo się starał. Trudno było uwierzyć, że Potycjusze byli niegdyś bogaci; nawet najlepsze tuniki Tytusa były mocno sfatygowane. Kiedy spotkała go po raz pierwszy, miał na sobie jedyne ubranie nie pokryte łatami: kapłańskie szaty, w których występował przy Ara Maxima. Patrząc, jak wspólnie z ojcem odprawia obrzędy, chłoneła jego męską urodę. Musiała imać się wyrafinowanych forteli, aby zawrzeć z nim znajomość, ale namiętność, jaka się w obojgu obudziła, była tak nagła i tak przemożna, że chyba sama Wenus ich ku sobie doprowadziła. Jednakże kiedy Icylią w możliwie najbardziej okreźny sposób napomknęła ojcu o Tytusie Potycjuszu, zareagował z furją, która zdumiała ją i zbiła z tropu.

Z początku myślała, że to ubóstwo jej ukochanego albo sam fakt, że jest patrycjuszem, budzi w jej ojcu taką niechęć, miała jednak nadzieję, że uda się te bariery pokonać. Dopiero brat wytłumaczył jej, z jakiego powodu Fortuna odwróciła się od Potycjuszów – dziadek Tytusa walczył u boku Koriolana. Przestała się dziwić nienawistnej reakcji ojca. Imię zdrajcy było w jej domu przeklęte, a wraz z nim każdy, kto się z nim sprzymierzył. Ojciec nigdy się nie zgodzi, aby wyszła za Potycjusza; podobnie Tytus nie mógł liczyć na aprobatę swego ojca, albowiem nie kto inny jak jeden z Icyliuszów doprowadził do wygnania Koriolana, a w konsekwencji do ruiny ich przodka.

Sytuacja była beznadziejna. Te krótkie, ukradkowe chwile były wszystkim, czego się mogła spodziewać po ich zakazanym związku, niemniej pragnęła ich tak bardzo i z trudem znosiła puste dni między kolejnymi spotkaniami. Kiedy Tytus uniósł rąbek jej tuniki i przycisnął twardą męskość do jej ud, ani przez moment się nie opierała; przytuliła się doń z całych sił i modliła do wszystkich bogów, aby zatrzymali czas i zamienili tę chwilę w wieczność.

Wszedł w nią. Czowała w sobie jego ruchy. Jego oddech palił ją w ucho. Gdzieś w samym jądrze jej jestestwa zapłonął ogień, powoli promieniując na zewnątrz, coraz gorętszy i drżący, popychając ją ku ekstatycznej kulminacji. Rozkosz była tak dojmująca, tak doskonała... Jak mogłaby wątpić w to, że ich uczucie jest miłe bogom? Pokochała Tytusa, bo taka była ich wola – to zaś usuwało w cień wszelkie obiekcje marnych śmiertelników, włącznie z ojcowskimi.

Potem, ciężko dysząc wprost w jej ucho, chłopak szepnął:

– Musimy spróbować jeszcze raz. Pójdziemy do naszych ojców i będziemy ich błagać o pozwolenie na ślub. Musi być jakiś sposób, by ich przekonać!

– Nie! Mój ojciec nigdy się... – Icylija urwała w pół zdania i w desperacji pokręciła głową. Ekstaza szybko minęła, a na jej miejsce wkradły się bezsilność i rozpacz. – Nawet gdyby się zgodził, nie będzie to miało znaczenia. Nowe prawo... słyszałam takie straszliwe wieści...

– O czym ty mówisz?

– Mój brat wie o tym od swojego nauczyciela. Decemwirowie ustanowili nowe prawo. Chcą zakazać małżeństw między patrycjuszami i plebejuszami. Jeśli do tego dojdzie, nie będzie już żadnej nadziei!

Tytus zacisnął szczęki.

– I ja słyszałem tę pogłoskę. Cały świat się sprzysiągł przeciwko nam! – Westchnął i pocałował ją delikatnie w usta.

– Muszę już iść, kochany.

– Naprawdę? Boisz się, że Werginia im powie?

– Nie, ale nasze mamy są z nami. Pewnie już mnie szukają. Gdyby...

Tytus uciszył ją zapierającym dech pocałunkiem, kiedy jednak poczuł, że go odpycha, natychmiast zwolnił uścisk. Wyśliznęła się zwinnie z jego ramion. Na pożegnanie dotknęła palcem jego talizmanu, a po chwili już jej nie było.

* * *

– Odejdź ode mnie, ty okropny człowieku!

Na rynku do Werginii przyczepił się – już nie po raz pierwszy – natrętny mężczyzna drobnej budowy, który zwał się Marek Klaudiusz. Była pewna, że nie urodził się z tym nazwiskiem; podejrzewała, że jest byłym niewolnikiem, który po wyzwoleniu przyjął zgodnie ze zwyczajem imię dawnego pana. Marek najwyraźniej nie wyzbył się jeszcze uniżonego i przymilnego sposobu bycia sługi. Patrzył na nią obłeśnie, ale głowę co chwila przechylał w bok, jakby chciał uniknąć wymagowanego ciosu, i oblizywał wargi.

– Ale dlaczego nie chcesz przyjść, panienko? On chce z tobą tylko porozmawiać.

– Nie mam Appiuszowi Klaudiuszowi nic do powiedzenia.

– Za to on chciałby ci tyle rzeczy powiedzieć!

– Ja ich nie mam ochoty słyszeć.

– To nie zajmie dłużej niż chwilę. Jest tam. – Marek wskazał dłonią na dom po drugiej stronie rynku.

– W sklepie korzennym?

– Jest jego właścicielem. Na pięterku jest przytulne mieszkanko. Widzisz to okno z uchylonymi okiennicami? On teraz patrzy na ciebie.

Werginia rzuciła okiem ponad kramami na wskazany budynek. Słońce raziło ją w oczy, musiała więc przysłonić je dłonią. Wnętrze izby było zbyt mroczne, by mogła dostrzec jakiegokolwiek szczegóły, wydawało się jej jednak, że majaczy tam czyjaś ciemna sylwetka.

– Proszę cię, zostaw mnie w spokoju – powiedziała. – Powiem ojcu...

– To byłoby nierozsądne. Decemwir by sobie tego nie życzył – przerwał jej mężczyzna, mocniej akcentując tytuł swego chlebobdawcy. – To bardzo potężny pan.

Werginii serce zabiło mocniej.

– Grozisz mojemu ojcu?

– Nie ja, panienko, nie ja! Kimże jest pokorny Marek Klaudiusz, by móc zaszkodzić tak wielkiemu wojownikowi jak Werginiusz? O, na to trzeba znacznie bardziej wpływowego człowieka... a doprowadzić go do ruiny mógłby chyba tylko... decemwir.

Dziewczyna znów spojrzała na okno. Tak, z całą pewnością stał w nim jakiś brodaty mężczyzna.

– Popatrz! – Marek zachęcił ją ruchem głowy. – Ma dla ciebie prezent.

Tajemnicza postać przysunęła się bliżej. Widać było, że to mężczyzna i coś trzyma w ręku. Kiedy wysunął dłoń za okno, przedmiot zaśnił w promieniach słońca.

– Widziałaś? – szepnął jej do ucha natręt. – Ładne cacko dla ładnej panienki... srebrny naszyjnik z paciorkami z lapis lazuli. Jak ślicznie te niebieskie kamienie wyglądałyby na twojej alabastrowej szyi! Ha! Chyba ma dla ciebie coś jeszcze, w drugiej ręce!

Mężczyzna w oknie wyraźnie ścisnął coś pod tuniką, pośrodku ciała... Werginia stłumiła okrzyk i odsunęła się od Marka. Rzuciła się biegiem przed siebie... i wpadła prosto na Icylię.

– Gdzie ty byłaś? – zakrzyknęła. – Wypatrywałam cię i wypatrywałam, aż tu ten wstrętny człowiek...

– A, tu jesteście! – Matka Icylii machała do nich, wspinając się na palce, by dojrzeć dziewczęta ponad głowami tłumu.

– Jaki człowiek? – spytała szeptem Icylia.

Werginia obejrzała się przez ramię. Marek Klaudiusz zniknął w tłoku, przeniosła więc wzrok na okno nad sklepem korzennym. Okiennice były szczelnie zamknięte.

W następnej chwili obie matki były już przy nich i gdyby nawet dziewczęta chciały się sobie zwierzyć, okazja po temu minęła.

* * *

Kilka dni później zwoje pergaminu zawierające pierwszą część Dwunastu tablic zostały wywieszane na Forum. Rzymianie tłumnie obiegli ścianę ogłoszeń, plebejusze i patrycjusze pospołu. Jakiś mężczyzna o dobrym wzroku i donośnym głosie zaofiarował się, że odczyta nowe prawo tak, aby wszyscy słyszeli; propozycję przyjęto chętnie, tym bardziej że wielu z

obecnych nie umiało czytać. Nie szło to jednak gładko, co chwila ktoś mu bowiem przerywał jakimś pytaniem czy komentarzem, a kiedy skończył, rozgorzała żywa dyskusja.

– No, przynajmniej tradycyjne prawa ojca rodziny zostały umocnione. Bardzo dobrze! Dopóki człowiek oddycha, powinien mieć władzę nad żoną i dziećmi, jak i nad ich żonami i potomstwem!

– A cóż to za pomysł z tym prawem do sprzedawania synów i wnuków w niewolę, a potem ich wykupywania?

– Co ty, wczoraj się urodziłeś? Takie rzeczy robi się od dawna. Ktoś wpada w długi, nie może ich spłacić, więc oferuje w zamian syna jako sługę na pewien czas. Nowe prawo tylko sankcjonuje zwykłą praktykę, a przy tym ustanawia limit, ile razy można to zrobić... co jest dobre dla synów i wnuków.

– No, nie! To odtąd wyzwoleniec będzie miał pełne prawa obywatelskie?

– Dlaczego nie? Mało to razy niewolnik jest bękartem pana zrodzonym z jego niewolnicy? Jeżeli właścicielowi podoba się go wyzwolić, to dlaczego nie miałby być obywatelem jak pozostali synowie?

– No, decemwirowie jednak się spisali...

– Tak, żeby tylko teraz łaskawie złożyli urzędy, przywrócili senat i pozwolili nam wybrać konsulów!

– I trybunów, nie zapominaj! Musimy wybrać obrońców ludu!

– Chyba podżegaczy ludu, chciałeś powiedzieć!

– Obywatele, obywatele, proszę! Nie wszczynajmy na nowo starego sporu! Przecież po to mamy Dwanaście tablic, żeby leczyć rany, a nie jątrzyć! Trzeba iść naprzód...

Stojąca nieco na uboczu Icylija pilnie nadstawiała uszu. Nie wypadło młodej pannie wkroczyć między rozdyktowanych mężczyzn i zadawać pytań, bardzo jednak pragnęła się dowiedzieć, czy wśród wywieszonych przepisów jest i ów zapowiadany zakaz zawierania mieszanych małżeństw. Wraz z Werginią miały tego dnia odwiedzić świątynię Fortuny, by zasięgnąć rady wróżbity w sprawie nowej daty ślubu. Werginiusz został niespodziewanie odkomenderowany gdzieś poza miasto w misji wojskowej i ceremonię trzeba było przełożyć co najmniej o miesiąc. Obie matki jak zwykle pogrążone w rozmowie zostawiły je w tyle, a kiedy Icylija ujrzała zbiegowisko i zorientowała się, o czym ludzie dyskutują, uprosiła towarzyszkę, by z nią przystanęła i posłuchała.

– To na nic... – mruknęła w końcu zniechęcona. – Nikt nie wspomina o małżeństwach, tylko w kółko o niewoli i władzy ojców rodzin. Możemy iść dalej, Werginio... Werginio!

Rozejrzała się wokoło. Werginia przepadła jak kamień w wodę. Matrony się zorientowały, że zgubiły gdzieś młodsze pokolenie i zawróciły z niezadowolonymi minami.

– Icylio! Dlaczego marudzicie? Nie ma czasu na gapienie się! Za dużo mamy dziś do zrobienia. Gdzie Werginia?

– Nie wiem.

- Nie była z tobą?
- Była, ale zatrzymałyśmy się na chwilę, odwróciłam się, a potem...
Przerwał jej mężczyzna, który nadbiegł skądś mocno zaniepokojony.
- Czy ty jesteś żoną Werginiusza? – spytał.

Matka Werginii skinęła głową.

- Gdzie twój mąż? Musi natychmiast tu przyjść!
- Nie ma go w mieście.
- A gdzie jest?
- Wyjechał w sprawach wojskowych. Co się takiego stało?
- Nie bardzo to rozumiem, ale sprawa jest bardzo dziwna. Twoja córka, Werginia...
- Co z nią?
- Chodź i sama zobacz!

Mężczyzna poprowadził całą trójkę przez Forum w stronę sali posiedzeń decemwirów. Przed budynkiem zebrał się już tłumek gapiów. Pośrodku tej sceny, pomiędzy liktorami pełniącymi straż przed wejściem, stał Marek Klaudiusz. W rękę trzymał sznur, którego drugi koniec oplatał szyję Werginii. Dziewczyna stała drżąca ze spuszczoną głową i z wypiekami na policzkach.

Matka z trudem stłumiła jęk przerażenia.

- Co to ma znaczyć? – krzyknęła, przepychając się przez tłum.

Ludzie się przed nią rozstąpili, kiedy jednak chciała uwolnić córkę, liktorzy zagrodzili jej drogę, grożąc toporami. Cofnęła się przestraszona.

- Kim jesteś? Coś zrobił z moją córką?

– Nazywam się Marek Klaudiusz – odpowiedział, patrząc na nią pogardliwie. – A ta kobieta nie jest twoją córką.

- Oczywiście, że jest. To moja córka Werginia.

– Kłamiesz! Ona się urodziła w moim domu jako niewolnica. Przed laty zniknęła, wykradziona przez kogoś nocą. Teraz dopiero się dowiedziałem, że zabrał ją niejaki Lucjusz Werginiusz. Niegodziwiec podawał się za jej ojca, a teraz spiskuje, by ją wydać za mąż pod tym fałszywym pretekstem.

– Toż to jakieś szaleństwo! – wyjąkała oszołomiona kobieta. – Werginia jest moim dzieckiem. Urodziłam ją! Natychmiast ją uwolnij!

Klaudiusz zaśmiał się ironicznie.

– Porwanie cudzej niewolnicy i próba doprowadzenia do zakazanego małżeństwa to poważne przestępstwa według nowego prawa uchwalonego przez decemwirów. Co masz do powiedzenia, kobieto?

Matka nieszczęsnej branki zachłysnęła się i zaczęła szlochać.

- Kiedy mój mąż się...
- Właśnie, gdzie jest ten nikczemnik?

– Wyjechał...

– Ha! Łajdak musiał zwąchać pismo nosem i uciekł.

– To absurd!

Kobieta potoczyła błagalnym spojrzeniem po zgromadzonych. Kilku mężczyzn patrzyło na nią ze współczuciem, ale na twarzach innych malował się niesmak i pogarda. Niektórzy otwarcie szczerzyli zęby, podekscytowani niespodziewanym widowiskiem. Nie co dzień się zdarza, by rzekomo dobrze urodzona dziewczyna okazała się niewolnicą, dawny właściciel zaciskał jej pętlę na szyi, a fałszywa matka miotała się jak obłąkana...

Matka Icylii wysunęła się naprzód, by ją uspokoić, dało się jednak widzieć pewną sztywność w jej zachowaniu, a wyraz twarzy trudno było odczytać. Czy człowiek przedstawiający się jako Marek Klaudiusz zasiał w jej umyśle ziarnko wątpliwości? Oskarżał Werginiusza o świadome oszustwo; jeżeli to była prawda, to ofiarami tego oszustwa padliby oni, Icyliusze. Kim trzeba być, żeby ofiarować komuś rękę córki, a podstawić w jej miejsce niewolnicę, i to porwaną innemu właścicielowi?

Icylii przychodziła do głowy tylko jedna myśl: odszukać brata. Wycofała się z tłumu i co sił w nogach pobiegła do domu.

Marek Klaudiusz założył ręce na piersi.

– Żono Werginiusza, skoro nie przyznajesz się do porwania mojej niewolnicy i upierasz się przy twierdzeniu, że to twoja córka, jej tożsamość musi ustalić sąd. Sądy są jednak zawieszane i to decemwirowie rozstrzygają wszelkie sporne kwestie. Jeśli się nie mylę, tego rodzaju sprawy są w gestii...

– W takim razie natychmiast wezwijmy decemwirów! – krzyknęła matka Werginii. – A teraz oddaj mi córkę!

Klaudiusz wyduł usta i pogładził się po podbródku.

– Co to, to nie. Gdyby jej domniemany ojciec tu był, może dałbym się przekonać... ale nie kobiecie, która nie ma żadnych praw.

– Jestem jej matką!

– To ty tak twierdzisz, ale gdzie mężczyzna, który by za to poręczył? Skoro Werginiusz jest nieobecny, mogę przekazać tę dziewczynę tylko właściwym władzom.

Niektórzy przysłuchujący się tej wymianie mężczyźni, nawet ci, którzy okazywali współczucie obu kobietom, zaczęli kiwać głowami i potakiwać, uznając argumentację Marka Klaudiusza.

– Oddam ją tylko w ręce decemwira – powtórzył. – Ach, patrzcie! Oto człowiek, który może przejąć tę odpowiedzialność. On właśnie decyduje w podobnych sporach.

W tej chwili pojawił się bowiem, niby zupełnie przypadkowo, kroczący z wielką godnością i z wyrazem niewinnego zaciekawienia na twarzy nie kto inny, jak decemwir Appiusz Klaudiusz, pięknie się prezentujący w urzędowej purpurowej todze ze złotym brzegiem, otoczony strażą przyboczną złożoną z liktorów. Powagi dodatkowo przydawały mu

siwiejące włosy i elegancko przystrzyżona broda. Werginia, która od dłuższego czasu stała bez ruchu, sparaliżowana wstydem, na jego widok skuliła się i zaczęła dygotać z przerażenia. Jej matka rzuciła się do stóp Appiusza.

– Pomóż nam, decemwirze! – zakrzyknęła przez łzy.

– Oczywiście, że ci pomogę, dobra kobieto – odpowiedział cicho, pochylając się, by łagodnie dotknąć jej głowy, po czym zwrócił się do Marka Klaudiusza opanowanym, niskim głosem, w którym tylko bardzo uważny słuchacz mógłby wyłowić delikatny dreszcz podniecenia. – Obywatelu, co się tutaj dzieje?

– Wszystko zaraz wyjaśnię, czcigodny decemwirze. Właśnie ująłem tę oto zbiegłą niewolnicę, która przed laty uciekła z mego domostwa.

Werginia nagle schwyciła za pętlę na szyi i daremnie usiłując się z niej uwolnić, rzuciła się do ucieczki. Marek jednak był na to przygotowany. Przebiegłszy zaledwie parę kroków, dziewczyna upadła, gwałtownie szarpnięta napiętym sznurem. Jej matka wrzasnęła przeraźliwie, zdjęta zgrozą.

Appiusz Klaudiusz uniósł brwi i spokojnie powiedział:

– Widzę, że się zjawiłem w samą porę. Ta sytuacja najwyraźniej wymaga mądrości i autorytetu, jakie może zapewnić tylko osoba decemwira.

W tej chwili przez tłum przedarła się Icylija, ciągnąc za rękę brata. Oboje byli zdyszani po długim biegu.

– Puść ją! – krzyknął Lucjusz.

– A ty kim jesteś, młody człowieku? – spytał Appiusz.

– Nazywam się Lucjusz Icyliusz. Ta dziewczyna ma zostać moją żoną.

Marek burknął coś pod nosem i obrzucił go palącym spojrzeniem.

– Ta kobieta jest moją niewolnicą, nie może więc być niczyją żoną. Gdybym zaś postanowił pokryć tę sukę...

Lucjusz rzucił się na niego z rykiem wściekłości, unosząc pięść do ciosu, ale liktorzy bez trudu zatrzymali go w pół kroku.

– Dosyć tego! – krzyknął decemwir. – Nie będę tolerował przemocy! Zakłócasz spokój, młodzieńcze.

– Ten człowiek chce porwać wolno urodzoną dziewicę! – odkrzyknął Lucjusz. – To nie jest przemoc? Gdybyśmy tylko wciąż mieli trybunów...

– Ach, teraz cię poznaję! – rzucił wyniośle Appiusz. – Młody Icyliusz, syn rodziny słynącej z wichrzycielstwa. No, młody człowieku, możesz sobie płakać za trybunami, ile chcesz. Jedynymi urzędnikami państwowymi są decemwirowie i to jeden z nich musi rozstrzygnąć tę sprawę. A ponieważ tak się składa, że to ja się zajmuję kwestiami prawa własności...

– Jakiej własności? To zwykłe porwanie!

– Być może, chłopcze... Ale o tym to już ja zadecyduję.

– Decemwirze, znasz tę dziewczynę. To Werginia, córka Lucjusza Werginiusza. Czyż ty sam nie prosiłeś... – Lucjusz urwał w pół słowa. Matrymonialna propozycja Appiusza Klaudiusza, o której sam się dowiedział tylko dlatego, że jego przyszły teść za dużo wypił, nie była tematem do publicznej dysputy.

– Młodzieńcze, jeżeli nie przestaniesz podburzać tłumu do gwałtu, nie będę miał wyboru, jak tylko rozkazać liktorom, by cię uspokoili... choćby siłą. Kiedy raz wydam taki rozkaz, możesz zginąć na miejscu.

Icylia schwyciła brata za łokieć.

– Lucjuszu, zrób, co ci każe. Uspokój się.

Młodzieniec wyrwał się z jej uścisku. Z gniewu i bezsilności łzy napłynęły mu do oczu.

– Decemwirze, czyż nie widzisz, co ten człowiek knuje? Nie zdajesz sobie sprawy, co on zrobi z Werginią? Ona jest dziewicą, moją narzeczoną. Nie może spędzić nocy pod dachem jakiegokolwiek mężczyzny prócz jej ojca!

– Rozumiem twój niepokój – odparł Appiusz.

Decemwir, korzystając ze sposobności, otwarcie wpatrywał się w dziewczynę, wciąż znieruchomiałą tam, gdzie upadła: na czworakach, z hańbiącym sznurem na szyi, drżącą i zaczerwienioną, bezgranicznie przerażoną. Usta mu się rozchyliły, oczy zwięzły do szparek w nalanej tłuszczem twarzy. Nie było w tłumie mężczyzny, który by nie patrzył na Werginię; nikt też nie zauważył wymalowanego na jego twarzy pożądania. Nawet Lucjusz, nie mogąc znieść widoku ukochanej w takim stanie, wbił oczy w ziemię.

Appiusz Klaudiusz opanował się jednak, wyprostował ramiona i uniósł głowę.

– Lucjusz jest młody i porywczy, ale ma rację – oświadczył. – Dopóki nie zostanie udowodnione, że dziewczyna jest w istocie własnością Marka Klaudiusza, nie można jej pozostawić w jego ręku. Do czasu powrotu Werginiusza, kiedy będzie można rozsądzić spór, ja sam wezmę ją pod opiekę. Mam za salą posiedzeń decemwirów własny pokój. Dziewczyna będzie tam zupełnie bezpieczna. Obywatelu, oddaj mi sznur.

Marek z ukłonem wręczył mu arkan. Decemwir pochylił się nad zapłakaną dziewczyną i dotknął jej mokrego policzka.

– Wstawaj, dziecko, idziemy.

Ujął ją pod ramię, by pomóc się podnieść. Mało kto zauważył, jak silnie ścisnął jej rękę, wbijając palce w mięsień, aż jęknęła z bólu. Dygocząc niepoohamowanie, ruszyła niepewnie za nim. Appiusz otoczył ją ramieniem i coś szepnął do ucha. Świadcowie pomyśleliby, że to słowa pociechy; tymczasem on, nie mogąc się dłużej powstrzymać, mówił, co zamierza z nią zrobić, gdy tylko znajdą się sami w jego izbie. Werginia zeszywniała i otworzyła usta do krzyku, głos uwiązał jej jednak w gardle.

Kiedy Appiusz doprowadził ją do wejścia, ostatkiem woli chwyciła się framugi i słabo zawołała o pomoc. Lucjusz krzyknął w rozpacz i rzucił się za nimi.

Liktorzy wzięli go między dwa rzędy jak w kleszcze. Po chwili leżał już na ziemi, próbując się osłonić przed bezlitośnie świszczącymi pałkami. Grupa młodych plebejuszy, rozjuszona publicznym pobiciem swojaka, zaatakowała funkcjonariuszy i pomogła Lucjuszowi się pozbierać. Podniosła się ogólna wrzawa, bruk splamiła krew. Na pomoc liktorom z budynku wybiegły posiłki. Takiej sile atakujący sprostać nie mogli i tłum szybko się rozproszył. Wstrząśnięty i poturbowany Lucjusz, utykając, powlókł się do domu, wspierany przez matkę i siostrę. Matka Werginii szła z tyłu, zanosząc się płaczem.

Postępowanie Appiusza Klaudiusza w tym dniu i w następnych jeszcze długo potem było przedmiotem sporów i spekulacji. Kiedy cała prawda wyszła na jaw, wielu orzekło, że decemwira musiało ogarnąć szaleństwo. Żaden rozumny człowiek z pewnością nie mógłby przypuszczać, że intryga Marka Klaudiusza wytrzyma dokładniejsze śledztwo, ani też że Rzymian nie poruszy dramat Werginii. A jednak było oczywiste, że Appiusz musiał wszystko zawczasu przemyśleć, każdy bowiem kolejny krok wydawał się starannie zaplanowany. Jak się okazało, to za jego sprawą został wydany rozkaz kierujący Werginiusza do służby poza miastem. Nie było tak, że decemwir skorzystał po prostu z nadarzającej się okazji i uległ nagłej pokusie, która zaćmiła mu umysł i zagłuszyła sumienie, tylko z góry cały manewr ukartował i bezlitośnie zrealizował.

W niecałą godzinę po porwaniu Lucjusz wysłał umyślnego do wojskowego obozu, gdzie stacjonował Werginiusz. Wezwany jechał galopem przez całą noc i zjawił się w Rzymie następnego dnia rano. Obaj mężczyźni, ojciec i narzeczony uwięzionej, bezzwłocznie wyruszyli na Forum, gdzie opowiadali całą historię każdemu, kto chciał słuchać. Wieść o incydencie zdążyła się już rozejść po mieście i tragedia młodej Werginii była na ustach wszystkich. Kiedy ludzie się zwiedzieli, że Lucjusz i Werginiusz przemawiają publicznie, na Forum zaczęły ściągać tłumy. Mówcy byli w opłakanym stanie. Po nerwowej, nieprzespanej nocy w siodle starszy był wyczerpany i zachrypnięty. Młodszy, solidnie obity przez liktorów, miał głowę owiniętą zakrwawionym bandażem, posiniaczoną twarz i jedno oko niewidoczne pod opuchlizną. Zwichniętą prawą rękę podtrzymywał temblak.

– Obywatele! – krzyczał chrapliwie Werginiusz. – Wielu z was mnie zna, jeszcze więcej o mnie słyszało. Walczyłem za Rzym w wielu bitwach. Biłem Ekwów pod rozkazami Cyncynata! Jeśli ktokolwiek zasługuje na wasz szacunek jako żołnierz, to chyba ja. A w imię czego rzucamy nasze życie na szalę, idąc na wojnę? Walczymy po to, by zapewnić bezpieczeństwo naszym żonom i dzieciom! Popatrzcie jednak, co się zdarzyło. Kiedy ja byłem w polu, gotując się do kolejnego boju, stało się właśnie to, czego się najbardziej zawsze obawiam... i to w samym sercu naszego miasta, tu, na Forum! Moją córkę, dziewicę czystą jak westalka, wydarto matce i więziono przez noc wbrew jej woli! Czy zrobił to jakiś dziki najeźdźca? Nie! Porwał ją patrycjusz, człowiek, którego niejednen z was podziwia i szanuje... choć nie pomyliłby się ten, kto by go nazwał właśnie sabińskim najeźdźcą. Jego

dziadek nazywał się Attus Klausus i przeklinam dzień, w którym tę sabińską świnię przyjęto w poczet naszych senatorów!

Część zebranych przyjęła te słowa z aplauzem, inni jednak zaczęli gwizdać i rzucać obelgi. Ktoś krzyknął:

– Ta dziewczka nie jest twoją córką! To cudza niewolnica!

– Kłamstwo! Tożsamość mojej córki nie ulega wątpliwości! Została porwana w biały dzień tylko z jednego powodu: aby zaspokoić żądze decemwira Appiusza Klaudiusza. Obywatele, czy możecie sobie wyobrazić, jaki ból sprawia mi samo mówienie o tym? Jaki czuję wstyd, będąc zmuszony błagać w takiej sprawie o waszą pomoc? Czy nie ma wśród was ojców, którzy wiedzieliby, czego się boję?

– To śmieszne! – krzyknął ktoś inny. – Byłem tam, Werginiuszu. Widziałem całe zajście. Imputować decemwirowi ukartowanie tego wszystkiego to już wielka przesada. Ludzie tacy jak Appiusz Klaudiusz mają za wiele do stracenia, żeby postępować tak bezmyślnie. Zgodzę się, że ten cały Marek Klaudiusz mógł mieć jakieś własne plany...

– Albo też mówił prawdę – przerwał mu ten, który zaprotestował pierwszy. – Nie takie rzeczy się już zdarzały! Romulus i Remus byli książętami, ale wychował ich świniopas. Dlaczego mniej prawdopodobne miałyby być to, że niewolnicę wychowano jak córkę obywatela?

– Werginia jest moją córką, krwią z mojej krwi!

– Może i tak. Może Marek się pomylił. W takim wypadku decemwir postąpił jak najśluszej, przejmując kontrolę nad sytuacją. Zamiast drzeć szaty i rzucać straszliwe oskarżenia na Appiusza Klaudiusza, powinieneś mu raczej dziękować!

– Czyś szalony? – krzyknął Lucjusz. – Nie widzisz, co tu się stało? Patrycjusz porwał plebejkę wbrew jej woli i nie zważając na protest jej narzeczonego! Kto wie, co z nią robił przez noc? Omal nie tracę zmysłów, kiedy o tym pomyślę!

Kilkunastu plebejuszy, poruszonych łzami młodzieńca, wpadło w taki gniew, że zaczęli okładać pięściami tych, którzy argumentowali przeciwko Werginiuszowi, oskarżając ich, że są płatnymi agentami decemwira. Nie przewidzieli jednak, że w tłumie było znacznie więcej zwolenników Appiusza, niż się mogło wydawać. Kiedy wybuchła bijatyka, obie strony okazały się równie silne. W końcu musieli interweniować liktorzy, którzy po krótkiej utarczce rozpędzili walczących.

Werginiusz i Lucjusz spędzili na Forum cały dzień, nie przestając agitować. Kilkakrotnie gromadził się wokół nich tłum słuchaczy i za każdym razem dochodziło do bójek. Liktorzy tłumili je sprawnie i szybko, ale po chwilowym rozproszeniu rozgrzawkowani ludzie wracali w coraz większej liczbie. W końcu późnym popołudniem na placu pojawił się z silną eskortą Appiusz Klaudiusz. Wyglądał niezwykle pogodnie; można nawet powiedzieć, że był zadowolony z siebie.

– Jestem gotowy do wydania werdyktu w sprawie ustalenia tożsamości kobiety znanej pod imieniem Werginia – oznajmił. – Ustawcie trybunę!

Wkrótce przed kurią stanęło podwyższenie, na którym umieszczono ceremonialne krzesło. Appiusz dostojnie wszedł po stopniach i zasiadł w nim wyprostowany, starannie poprawiając fałdy purpurowej togi. Lucjusz precyzyjnie się przed wszystkim; wyraz satysfakcji na twarzy decemwira przyprawił go niemal o mdłości. Trybunę otaczał kordon liktorów. Jeden z tych, którzy poprzedniego dnia go pobili, poznał go i parsknął pogardliwym śmiechem. W chłopaku aż się zagotowało, trzymał jednak nerwy na wodzy.

Appiusz Klaudiusz odchrząknął i przemówił.

– Wysłuchałem już na osobności, w mojej izbie, argumentów Marka Klaudiusza. Są przekonujące. Wspomniał o pewnym znaku szczególnym niewolnicy, którą mu wykradziono. Sam więc zbadałem dziewczynę i naocznie stwierdziłem, że istotnie taki znak posiada.

– Jaki znak? – wykrzyknął Lucjusz.

– Nie ma potrzeby ujawniać tej informacji.

– O jakim znaku mówisz? – nie ustępował młodzieniec.

Decemwir uśmiechnął się z udawanym zażenowaniem.

– Wolałbym się w to nie zagłębiać, ale skoro się upierasz, powiem: po wewnętrznej stronie lewego uda ma ona niewielkie znamię. Umiejscowione jest tak, że nie mógł go widzieć żaden mężczyzna poza jej mężem lub też, jak w tym wypadku, obywatel, który miewał okazję dokładnie obejrzeć swych niewolników.

Lucjusz ukrył twarz w dłoniach i zaszlochał.

– Niemniej muszę jeszcze wysłuchać, co ma do powiedzenia ten Werginiusz – ciągnął Appiusz. – Porwanie niewolnicy i usiłowanie wydania jej za męża jako wolną obywatelkę to poważny zarzut.

– To parodia sprawiedliwości! – Lucjusz nie posiadał się ze wzburzenia. – Odarłeś ją z odzienia! Zobaczyłeś, co było do zobaczenia, a teraz Marek Klaudiusz może twierdzić, że to właśnie ten znak szczególny, po którym może ją rozpoznać!

– Milcz, chłystku, jeśli nie chcesz znowu dostać cięgów. Nie wiem, czy tym razem byś je przeżył. Właściwie to jestem pewien, że nie.

Liktor z ironicznym uśmiechem uderzył niespodziewanie Lucjusza pałką w obandażowaną głowę. Chłopak krzyknął z bólu i osunął się na kolana.

– Podejź tu, Werginiuszu!

Wezwany precyzyjnie się do trybuny. Wyglądał jak własny cień. O krok za nim stanęła starsza kobieta w prostej tunice.

– Kogo ze sobą przyprowadziłeś? – spytał Appiusz.

Głos Werginiusza był bardzo ochryply.

– Decemwirze, to jedna z moich niewolnic, piastunka, która opiekowała się Werginią od urodzenia. Jak widzisz, jest w podeszłym wieku, ale pamięć ma dobrą. Przywiodłem ją tutaj,

bo... – Zawahał się, jakby stracił wątek. – Przyprowadziłem ją, przyszło mi bowiem do głowy że... kto wie, może moja córka w niemowlęctwie została podmieniona na dziecko niewolnicy. Werginia też miała znamię. Gdybyś pozwolił tej kobiecie ją obejrzeć... tak jak ty mogłeś to zrobić... – Zaciśnął zęby i z widocznym wysiłkiem wycedził: – Jeżeli na to pozwolisz, Appiuszu Klaudiuszu, to może dam się przekonać, że dziewczyna, którą brałem za córkę, jednak nią nie jest.

Decemwir pokręcił głową.

– Nie mogę ci jej oddać. Mógłbyś z nią uciec.

– Nie proszę o jej przekazanie, decemwirze. Chcę tylko ją obejrzeć razem z tą niewolnicą, przez chwilę i gdzieś na osobności...

Appiusz przez długą chwilę nie odpowiadał, w milczeniu gładząc się po brodzie.

W tłumie rozległy się groźne pomruki. Ktoś krzyknął:

– Niech ją obejrzy!

– Tak jest, pozwól mu na to! – zawtórowali inni.

W końcu urzędnik skinął głową.

– Niechże tak będzie. Ty i piastunka możecie wejść do mojej izby. Dwaj liktorzy was tam zaprowadzą.

Werginusz z niewolnicą ruszyli ku stopniom kurii. Lucjusz rzucił się za nimi, ale przyszyły teść powstrzymał go stanowczym gestem.

– Nie, Lucjuszu. To nie dla ciebie zadanie.

– Ale ja muszę się z nią zobaczyć!

– Nie! Werginia jest moją córką, a nie twoją żoną. Ten obowiązek ciąży na mnie i na nikim innym.

Weszli do budynku. Sala posiedzeń była pusta. Jeden z liktorów poprowadził ich długim korytarzem do izby Appiusza. Wpuścił ich do środka samych, ale nie pozwolił zamknąć drzwi.

– To się przynajmniej odwróć! – warknął Werginusz.

Liktor wbił w niego gniewne spojrzenie, ale posłuchał.

Pomieszczenie było małe i ciemne, na tyle oddalone od frontu, że nie dobiegały tam żadne odgłosy z zewnątrz. Podczas gdy on z Lucjuszem przez cały dzień szukali poparcia na Forum, Appiusz przebywał tam sam na sam z Werginią... Werginusz pociągnął nosem i skrzywił się lekko.

– Cuchnie jak w burdelu, co? – mruknął liktor.

Dziewczyna siedziała na sofie nakrytej zmiętym prześcieradłem. Na widok wchodzących zerwała się, zakrywając piersi. Oczy miała czerwone i zapuchnięte od płaczu.

– Tato! Dzięki bogom, nareszcie!

Werginusz odwrócił wzrok.

– Piastunko, zbadaj ją. A ty, liktorze, nie waż się tu zaglądać!

Stara niewolnica podeszła do sofy. Ujrzawszy ją, Werginia jakby znów zamieniła się w dziecko. Stała biernie, gdy kobieta uniosła brzeg jej tuniki i pochyliła się, by zajrzeć między nogi.

– Co widzisz? – spytał ledwo dosłyszalnie ojciec.

– Panie, dziecko nie jest już dziewicą. – Staruszka zadrżała i zaczęła cicho płakać.

Liktor prychnął złośliwie.

Werginia cofnęła się i obciągnęła tunikę. Patrzyła pod nogi, a usta jej drżały, gdy niepewnie szepnęła:

– Tato?

Werginiusz paroma krokami znalazł się przy niej. Dziewczyna rozwarła ramiona i skuliła się, jakby zarazem oczekiwała uścisku i uderzenia.

Sięgnął po szyję. Ostatkiem sił wydobył z siebie okrzyk rozpacz. Zabrział upiornie – chrapliwe, stłumione skrzeknięcie. Był to ostatni dźwięk, jaki Werginia słyszała.

* * *

Zaledwie w chwilę od wejścia do kurii Werginiusz wyłonił się z drzwi, niosąc córkę na rękach. Poczzerwieniały liktor wybiegł za nim, przestraszony.

– Decemwirze, to się stało tak szybko, że nie mogłem go powstrzymać! Przez myśl mi nie przeszło, że on...

Appiusz Klaudiusz wstał. Pięści miał zaciśnięte, ale na jego twarzy nie było widać żadnego uczucia.

Jak ciepły wiatr przez łąk pszenicy, pomruk poniósł się przez tłum, falą rozprzestrzeniając się od tych, którzy z bliska widzieli Werginiusza, ku dalszym szeregom. Tuż za nim pomknęły jęki i westchnienia, ścigane przez stłumione okrzyki, gdy ludzie z zewnątrz jęli się przepychać do przodu, chcąc ujrzeć to na własne oczy. Parę osób, którym się udało uchwycić tę scenę tylko przelotnie, myślało, że dziewczyna żyje, a ojciec ją niesie zemdloną; zaczęli wiwatować uradowani, że Werginiusz uratował córkę. A potem spostrzegli, jak bezwładnie zwisają jej ręce, kołyszące się z każdym ciężkim krokiem ojca, i jak złowrogo czerwieni się plama na jej piersi. Okrzyki radości przerodziły się w żałosny szloch.

Marek Klaudiusz zagroził Werginiuszowi drogę. Rozłożył ręce, by go zatrzymać, z paniką w oczach obejrzał się jednak przez ramię na decemwira. Appiusz odpowiedział mu nieznacznym uniesieniem brwi.

– Coś ty zrobił, głupcze? – zakrzyknął sługus. – Zabiłeś ją... moją własność!

– To twoja wina – odparł Werginiusz. – Twoja i decemwira. Nie daliście mi wyboru. To była moja córka i zrobiłem to, co ojciec zrobić powinien. Niech bogowie mnie sądzą. Niech wejrzą z wysokości także na waszą zbrodnię. – Odwrócił się ku trybunie i uniósł ręce wyżej. – Niech cię bogowie osądzą, Appiuszu Klaudiuszu!

Twarz decemwira była jak wykuta w kamieniu. Tylko w oczach widać było cień emocji, którą jedni wzięli za strach, inni jednak za drwinę.

Nagle zebranych zaskoczył rozpaczliwy krzyk. Spomiędzy ludzi wysunął się Lucjusz. Ścisnął dłońmi głowę, z twarzą zmienioną nie do poznania. Padł na kolana przed Werginiuszem, chwycił bezwładną rękę narzeczonej i przycisnął do ust, ale zaraz puścił, jakby jej martwota zdjęła go grozą. Ujął oburącz grube pasma jej włosów i z niepowstrzymanym szlochem zanurzył w nie twarz.

Appiusz Klaudiusz, przewidując, co się za chwilę stanie, rozkazał liktorom zacieśnić kordon. Zdawało się, że cały Rzym wstrzymał oddech... a potem eksplodował przemocą.

Wszystkie uliczne zamieszki, jakie do tej pory przetaczały się przez miasto, były niczym w porównaniu z huraganem furii, jaki zawirował na Forum i błyskawicznie rozlał się po dalszych ulicach. Rzekłbyś, Siedem Wzgórz dotknęło jedno wielkie szaleństwo. Wzburzenie pospólstwa losem nieszczęsnej Werginii uwolniło ogromne, przyczajone jak w napiętej sprężynie fale gniewu i uraz, nie mające nic wspólnego z tym jednym występny aktem Appiusza Klaudiusza. W chaosie, jaki ogarnął Rzym, ludzie działali kierowani najbardziej porywczymi impulsami, wcielając w czyn najmroczniejsze pragnienia zemsty. Wrogów ścigano i bezlitośnie bito; włamywano się do domów i niszczone co popadnie; zastarzałe i świeże krzywdy wyrównywano z nawiązką i niepohamowaną agresją.

Wiele krwi polało się tego dnia na uliczny bruk – ani kropla nie popłynęła jednak z żył Appiusza Klaudiusza. Tylko jego śmierć mogła zaspokoić rozjuszony tłum, tylko widok jego trupa obok zwłok Werginii mógł ugasić szalejący w ich sercach pożar. Tron, na którym siedział, rozbito na drzazgi, nie ostała się też sama trybuna – wśród rumowiska nie było jednak ciała decemwira. Ludzie rozbili szyki liktorów, wdarli się do kurii i przetrząsnęli każdą izbę, po Appiuszu zaginęła jednak wszelki ślad. Tą niewytłumaczoną ucieczką zagrał plebsowi na nosie; była jak zamierzona obelga dla ich słusznego gniewu.

Niemal zapomniany w ogólnym zamęciu Werginiusz złożył ciało córki na ziemi i klęknął przy niej wraz z Lucjuszem. Ojciec i narzeczonej zapłakali razem, a ich łzy mieszały się z krwią najdroższej im osoby.

449 r. p.n.e.

Zanim ciąża Icylii zaczęła być widoczna, w Rzymie zaszło wiele zmian.

Ta, która najbardziej jej dotyczyła, wiązała się ze śmiercią jej ojca. Któregoś dnia, idąc przez Forum stary Lucjusz Icyliusz nagle złapał się za pierś i upadł. Kiedy doniesiono go w lektyce do domu, serce przestało już bić. Po jego śmierci głową rodziny został Lucjusz junior. To on miał teraz prawo decydować o losach Icylii i jej nienarodzonego dziecka.

Wielkie przemiany dokonały się też w mieście. Tragiczna śmierć Werginii wstrząsnęła Rzymem w posadach. Czy Appiusz Klaudiusz miał choćby mgliste przecucie, jak potworne siły wyzwoli jego szalony plan? Trudno sobie wyobrazić, jak ktokolwiek, choćby do cna zaślepiiony przez żądze, mógł podjąć tak bezmyślne działanie. Przez całe pokolenia jego imię pozostało synonimem tego, co Grecy zwą *hybris* – pychy tak przemożnej, że sami bogowie czują się w obowiązku interweniować i unicestwić winnego.

Czy Appiusz przewidział, że Werginiusz zamierza uśmiercić córkę? Czy celowo na to pozwolił, uznawszy po chłodnej kalkulacji, że to dla niego najlepsze wyjście z sytuacji? Roztrząsając tę historię, niejeden wypowiadał podobne przekonanie. Argumentowano, że decemwir zaspokoił już pożądanie, jakie obudziła w nim dziewczyna, i nie była mu już potrzebna. Przeciwnie, stała się dla niego ciężarem. Jej śmierć uwalniała go od obowiązku ustalenia jej tożsamości – a jakież mogło być lepsze rozwiązanie od sprowokowania jej ojca do działania? Klaudiusz sądził, że znalazł sposób, by wziąć, na co miał ochotę, i uniknąć zapłacenia za to ceny. Jeżeli człowiek ma władzę, spryt i dość zuchwałości, by zrealizować tak nieczny plan, to może żywić nadzieję, że nawet najokropniejsza zbrodnia ujdzie mu płazem.

Inni byli zdania, że nawet Appiusz Klaudiusz nie mógł być tak wyrachowany i chłodny. Skoro pożył Werginii tak desperacko, że porwał się na tak szaloną intrygę, to chyba jedna noc i dzień nie wyczerpały jego apetytu. Absolutny brak reakcji, z jakim przyjął czyn Werginiusza, najlepiej według nich świadczył, jak głęboko był nim wstrząśnięty.

Jakiegokolwiek jednak były zamiary decemwira, jego żądze nie miały nic wspólnego z polityką; ojcu i narzeczonemu zmarłej udało się jednak przekonać plebs, że było inaczej. Bezlitosny patrycjusz zhańbił plebejską dziewicę, pobił i upokorzył jej plebejskiego ukochanego, i doprowadził zrozpaczonego ojca do aktu krańcowej rozpaczki. Zbrodnia popełniona na Werginii przebrała miarkę niezadowolenia wywołanego tyranią decemwirów. Po raz pierwszy od pokoleń pospółstwo zdecydowało się na secesję – jak ongiś, gdy dzięki niej zyskali prawo wybierania trybunów. Ludzie opuszczali miasto, rolnicy rzucali pługi, plebejscy żołnierze odmawiali walki. Wszyscy żądali zniesienia decemwiratu, a przede wszystkim aresztowania, osądzenia i ukarania Appiusza Klaudiusza.

W końcu, po wielu negocjacjach i pompatycznych demonstracjach, decemwirowie złożyli urzędy. Kilku udało się uniknąć procesu; pozostałych oskarżono o nadużywanie władzy i zabroniono opuszczać miasto – w tym oczywiście Appiusza, który zabarykadował się w dobrze strzeżonym domu i odmawiał wyjścia. Jego występki były najgorsze ze wszystkich, najmniej jednak okazywał skruchy. Opierając się wymiarowi sprawiedliwości do końca, ostatecznie wolał się powiesić, niż stanąć przed sądem.

Marek Klaudiusz, jego współnik w występkach, nie miał odwagi pójść w ślady pana. Został osądzony i skazany. Sam Werginiusz prosił, by oszczędzono mu śmierci, sąd pozwolił więc Markowi udać się na wygnanie. Mówiono potem, że w dniu jego wyjazdu z Rzymu duch

Werginii, który od miesięcy błąkał się od domu do domu na Siedmiu Wzgórzach, szlochając i jęcząc nocami, strasząc dzieci i rozdzierając serca ich rodziców, odnalazł wreszcie spokój i przestał nawiedzać miasto. Senat wznowił działalność, wybrano nowych urzędników. Wśród trybunów ludowych znalazł się i Werginusz, i młody Lucjusz Icyliusz. Nienawiść do byłych decemwirów jako tyranów była powszechna, ale ich dzieło jako prawodawców traktowano z całym należnym respektem. Dwanaście tablic przyjęto w drodze konsensusu między patrycjuszami i plebejuszami za obowiązujący kodeks; jego umowna nazwa stała się ciałem, gdy tekst odlano w brązie i wystawiono na Forum, gdzie każdy obywatel mógł go odczytać lub poprosić kogoś o to. Rzymskie prawo przestało odtąd być ustną tradycją – zlepkiem zapleśniałych precedensów, chwilowych nastrojów, mglistych domniemań i abstrakcyjnych dedukcji – znaną tylko doświadczonym senatorom i jurystom. Dwanaście tablic stało się prawem jasno określonym, namacalnym, które każdy mógł zobaczyć i poznać. Nie było chyba wprawdzie nikogo, kto by nie miał jego paragrafom czegoś do zarzucenia, ale te obiekcje zmiotła w niebyt bezcenna wartość kodeksu jako całości. Dawniej najwyższą wagę miało ulotne, mówione słowo królów, potem wybieranych konsulów; teraz królem było słowo pisane – a dostęp do niego miał każdy obywatel.

* * *

W dniu wystawienia brązowych tablic Icyli przywdziała prostą tunikę jednej z niewolnic i wymknęła się z domu, by w umówionym odludnym miejscu przy rynku – gdzie poczęło się jej dziecko – czekać na przybycie Tytusa. Jej ukochany nie wiedział jeszcze o ciąży. Przyszedł spóźniony; przeciskając się obok gałęzi cyprysu, zdołał przywołać uśmiech na twarz, pocałował ją, lecz gdy się cofnął, znów był zasępiony – jak i ona.

– Przychodzę prosto z Forum – powiedział. – Widziałem tablice.

– Przeczytałeś?

– Nie wszystko, ale część o małżeństwach tak. – Opuścił głowę. – Jest tak, jak się obawialiśmy. Nie może być związków między patrycjuszami i plebejuszami.

Icylią głośno westchnęła. Do tej pory usilnie trzymała się nadziei, że jednak, jakimś cudem, będzie mogła wyjść za Tytusa. Teraz ta nadzieja się ostatecznie rozwiła. Czuli się przerażona i bezgranicznie samotna, mimo uścisku obejmujących ją ramion.

– Tytusie, muszę ci coś powiedzieć.

Odgarnął jej z twarzy kosmyk włosów i poczuł pod palcami ciepłą wilgoć.

– Co takiego, Icylio? Cokolwiek to jest, na pewno nie może być gorsze od wieści, którą przyniosłem.

– Noszę w sobie dziecko. Twoje.

Poczuła, jak jego ręce sztywnieją. Po chwili przytulił ją tak mocno, że ledwo mogła oddychać... a potem nagle zwolnił uścisk, jakby się obawiał, że zrobi jej krzywdę. W jego oczach zobaczyła wyraz dotąd jej nieznany, zarazem szczęścia i rozpaczy.

– Czy twój brat...

– Lucjusz nic jeszcze nie wie. Nikt nie wie... prócz ciebie. Ukrywałam to przed wszystkimi, ale dłużej się już nie da.

– Kiedy?

– Nie wiem. Nie znam się na tych sprawach... i nie mam kogo się poradzić!

Świeże łzy polały się jej po policzkach.

– Icylio, Icylio! Co zrobimy? Musisz powiedzieć Lucjuszowi. Zawsze byliście sobie bliscy... Może...

– Już nie jesteśmy! Teraz się go boję. Od śmierci Werginii zmienił się nie do poznania. Mocno ucierpiał w starciu z liktorami. Omal nie stracił oka. Jest w nim tyle gniewu, tyle goryczy! Kiedyś nie nienawdził patrycjuszy... Teraz jest bardziej mściwy niż ojciec. O niczym innym nie mówi, jak tylko o tym, jak zaszkodzić swoim wrogom. Nie możemy liczyć na jego pomoc, Tytusie.

– Ale prędzej czy później będzie musiał się dowiedzieć. To on podejmie decyzję.

– Decyzję? – Icylia nie była pewna, co Tytus ma na myśli.

Odsunął się od niej na tyle, by móc ściągnąć z szyi rzemyk. Przez chwilę załśnił w słońcu jego złoty talizman.

– To dla naszego dziecka – powiedział, nakładając go jej przez głowę.

– Ależ Tytusie, to twoje rodowe dziedzictwo!

– Tak jest. Przekazywane z pokolenia na pokolenie od niepamiętnych czasów. Dziecko, które nosisz, jest moje. Daję ci Fascinusa dla niego. Prawo zakazuje nam się pobrać, a gdyby nawet zezwalało, nie zgodziłby się na to twój brat. Nie ma jednak prawa i nie ma człowieka, który mógłby nam zabronić miłości. Życie, które w tobie rośnie, jest tego dowodem. Icylio, przyjmij Fascinusa, a gdy dziecko się urodzi, przekażesz go jemu.

Talizman był chłodny i zaskakująco ciężki. Tytus utrzymywał, że przynosi szczęście, ale Icylia miała co do tego wątpliwości.

– Och, kochany, co z nami będzie?

– Nie wiem. Wiem tylko, że cię kocham – odszepnął.

Był pewien, że dziewczyna mówi o nich obojgu, ona jednak myślała o sobie i bezradnym stworzeniu pod sercem. W tej chwili poczuła, że dziecko się poruszyło i kopnęło, jakby ukłute strachem matki.

* * *

Położne, u których Lucjusz szukał rady, były jednomyślne. Owszem, są sposoby na pozbycie się ciąży – na przykład za pomocą giętkiej wierzbowej gałązki albo przez zażycie trucizny zwanej sporyszem – ale było już o wiele za późno, by można było o tym myśleć bez poważnego narażenia samej Icylii. Jeżeli choć trochę zależy mu na siostrze, musi pozwolić jej urodzić dziecko.

Wiadomość wielce go zirytowała. Najstarsza, pomarszczona położna, która w swym długim życiu widziała już chyba wszystkie możliwe sytuacje związane z pojawieniem się nowego życia, odciągnęła go na stronę.

– Uspokój się, trybunie. Kiedy dziecko już przyjdzie na świat, łatwo się go będzie pozbyć. Jeżeli chcesz uratować siostrę i uniknąć plotek, posłuchaj...

Icylii została odesłana daleko od Rzymu, do krewnej starej położnej, mieszkającej w rybackiej wiosce pod Ostią. Nie było potrzeby wymyślać usprawiedliwień dla jej nieobecności. Młoda, niezamężna kobieta prawie nie funkcjonuje w życiu publicznym i mało kto zauważył jej zniknięcie, a ci, którzy o to pytali, chętnie przyjęli wyjaśnienie Lucjusza, że dziewczyna wciąż pozostaje w odosobnieniu z żałoby po ojcu.

Poród był długi i trudny; trwał prawie dobę – dość więc było czasu, by zawiadomiony Lucjusz mógł zdążyć z Rzymu na czas. Kiedy Icylii wróciła do przytomności w mrocznym pokoju, zobaczyła nad sobą brata. Serce zabiło jej mocno szaloną nadzieją. Przecież nie pędziłby tu z miasta tylko po to, by kazać utopić dziecko w Tybrze albo puścić w koszu na morskie fale...

– Bracie! Tak się nacierpiałam...

Lucjusz skinął głową.

– Widziałem prześcieradła. Dużo krwi straciłaś.

– Dziecko...

– To chłopiec. Silny i zdrowy.

Głos jego był dziwnie bezbarwny. Nie mogła nic odczytać z jego twarzy. Wskutek odniesionych ran nigdy się już nie uśmiechał, a górna powieka uszkodzonego oka zwisiała, niemal je zasłaniając.

– Proszę, braciszku, przynieś mi go! – Icylii wyciągnęła rękę.

Pokręcił tylko głową.

– Najlepiej będzie, jeżeli nigdy go nie zobaczysz.

– Co ty mówisz!

– Parę dni temu przyszedł do mnie Tytus Potycjusz. Poprosił... nie, błagał... abym pozwolił mu adoptować twoje dziecko. Nikt nie musi wiedzieć, skąd się wzięło, mówił. Powiem, że to sierota wojenna albo potomek dalekiego kuzyna. Oświadczył, że prosił swego ojca o pozwolenie i je uzyskał. – Lucjusz zapatrzył się gdzieś w ścianę. – Odpowiedziałem mu, że tak czy inaczej będzie to bękart. To bez znaczenia, powiada. Jeśli urodzi się chłopiec,

będzie nosił moje nazwisko i wychowam go jak syna, przyrzekał. Dlatego właśnie dziś tu przyjechałem, siostrzo.

– Żeby oddać dziecko Tytusowi? – Icylia zaszlochała trochę z żalu, trochę z radości.

– Przeciwnie! Powiedziałem tej patrycjuszowskiej świni, że pod żadnym pozorem i nigdy go nie dostanie. Dlatego tu jestem. Bałem się, że odkryje, gdzie jesteś, i będzie próbował porwać dziecko. Dopilnuję, by tak się nie stało.

Dziewczyna kurczowo schwyciła go za rękę.

– Nie, bracie, nie zabijaj go!

Lucjusz uniósł brwi.

– Miałem taki zamiar. Teraz jednak, kiedy widziałem waszego syna, wpadłem na lepszy pomysł. Zabiorę chłopca ze sobą do Rzymu i wychowam go jako domowego niewolnika. Wyobrazasz sobie? Patrycjuszowski bękart będzie u plebejusza chłopcem do bicia! – rzekł, uśmiechając się ponuro.

– Ależ Lucjuzu, przecież to twój siostrzeniec!

– Nie! To mój niewolnik.

– A co będzie ze mną?

– Znam jednego greckiego kupca z Krotonu, w najdalszym zakątku Wielkiej Grecji. Zgodził się pojąć cię za żonę. Odpływasz z Ostii nazajutrz. Nie wolno ci ani słowem więcej wspominać o dziecku i nie wolno ci nigdy wracać do Rzymu. Będziesz miała takie życie, jakie sobie ułożysz. To nasza ostatnia rozmowa.

– Bracie! To okrutne!

– Los jest okrutny, siostrzo. Fortuna jest okrutna. Wydarła mi Werginię...

– A ty teraz wydierasz mi dziecko?

– Bękart, który nie zasługuje, by żyć. To z mojej strony akt miłosierdzia.

– Pozwól mi go choć zobaczyć!

– Nie.

Icylia zrozumiała, że nic nie wskóra.

– Zrób więc dla mnie choć to jedno – poprosiła, drżącymi rękoma zdejmując z szyi Fascinusa. – Daj mu to ode mnie.

Lucjusz wyrwał jej z dłoni rzemyk z niecierpliwym grymasem.

– Co to jest, jakiś amulet? Nie pochodzi na pewno od nikogo z naszej rodziny. Dał ci go Potycjusz, tak?

– Tak.

Lucjusz długą chwilę patrzył na mały, złoty przedmiot, po czym wolno skinął głową.

– Dlaczego nie? Wygląda na złoto. Mógłbym go równie dobrze przetopić dla siebie, ale uczynię, o co prosisz. Oddam go niewolnikowi jako ozdobę. Będzie mi przypominać o jego pochodzeniu. Tak jest! Prastara krew Potycjuszów popłynie w żyłach niewolnika, a ich rodowy talizman będzie pamiętką ich hańby!

Westalka

393 r. p.n.e.

Na krótko przed największą katastrofą, jaka miała spaść na miasto, niczego nie podejrzewający lud rzymski świętował swój największy triumf. Jeden z najstarszych rywali został wreszcie pokonany.

Weje leżały zaledwie o dwadzieścia mil od Rzymu. Mężczyzna o mocnych nogach mógłby tam dotrzeć w jeden dzień. Jeździec na dobrym koniu potrzebował kilku godzin na podróż tam i z powrotem. Pomimo to, choć Rzymianie podbili wiele bardziej odległych miast, pokolenie za pokoleniem dumne Weje zachowywały niezależność, czasem z potężnym sąsiadem wojując, czasem z nim handlując. W ostatnim stuleciu dorobiły się wielkich bogactw, a zawierane przez nie sojusze zaczynały zagrażać rzymskiej dominacji na szlaku solnym i drodze wodnej na Tybrze.

Przez dziesięć kolejnych lat Rzymianie oblegali Weje, ale gdy nadchodziła zima, a z nią zawieszenie działań wojennych, miasto wciąż pozostawało nie zdobyte. Żeby je pokonać, trzeba było naprawdę wielkiego wodza, mawiano. W końcu taki się pojawił. Nazywał się Marek Furiusz Kamillus. Nikt, kto miał szczęście oglądać jego triumfalny wjazd do Rzymu, nigdy tego nie zapomniał. W powszechnej opinii była to zdecydowanie najwspanialsza parada za ludzkiej pamięci; liczbą jeńców, bogactwem łupów – dzięki zamożności pokonanego przeciwnika – jak również radosnym nastrojem przewyższała wszystkie poprzednie triumfy. Choć jednak wszystko to robiło wielkie wrażenie, to nie z tych powodów uważano tę uroczystść za niezapomnianą; przyczynił się do tego widok Kamillusa sunącego w rydwanie ciągnionym przez cztery białe konie.

Stojąca na podwyższeniu przeznaczonym dla dostojników religijnych westalka Pinaria omal się nie zaschłusnęła. Zwróciwszy się do towarzyszki, spytała szeptem:

- Foslio, widziałaś kiedyś coś podobnego?
 - A skądże! Nikt tego jeszcze nie widział. Cztery białe konie!
- Pinaria pokręciła głową w zadziwieniu.
- Zupełnie jak kwadryga Jowisza na szczycie świątyni kapitolńskiej!

– Żaden wódz dotąd tego nie zrobił – rzuciła z przekonaniem Foslia.

Siedemnastoletnia Pınaria była najmłodszą z sześciu kapłanek Westy. Jej sąsiadka była od niej starsza tylko o pięć lat, ale odznaczała się pilnością w nauce, która szła w parze ze skłonnością do popisywania się wiedzą. Szczególnie dobrze opanowała historię obrzędowości religijnej, a triumfalny wjazd dowódcy kampanii, jak zresztą wszystkie ceremonie publiczne, należał do tej właśnie kategorii.

– Romulus zawsze wkraczał do miasta pieszo. Tarkwiniusz Stary pierwszy wjechał kwadrygą. Nikt jednak się jeszcze nie ośmielił naśladować Jowisza i zaprząć rydwan w cztery białe konie!

– Myślisz, że to bezbożne? – spytała Pınaria.

– Nie mnie o tym rozsądzać – odrzekła Foslia tonem, który mówił coś wręcz przeciwnego.

– Przyznasz jednak, że wygląda to wspaniale.

– Pewnie. No i wódz jest taki przystojny... nawet z twarzą pomalowaną na czerwono!

Dwie młode westalki popatrzyły po sobie i wybuchnęły śmiechem. Virgo Maxima nie pochwałała takich wypowiedzi, ale zdarzały się one wszystkim kapłankom. Pınaria miała nawet wrażenie, że poza sprawami religii mężczyźni byli jedynym tematem rozmów, a stosunkowo często pojawiała się w nich osoba Kamillusa. Wódz miał wprawdzie już pięćdziesiąt lat, ale posturę mocniejszą od niejednego trzydziestolatka, tors szeroki, muskularne nogi i wspaniałą grzywę siwych włosów.

– Myślisz, że on wie, jak pięknie ta siwizna pasuje do białej maści koni? – zastanawiała się Foslia.

– Człowiek, który podbił Weje, na pewno nie ma czasu na takie próżne myśli – oburzyła się Pınaria.

– Coś ty? Nie ma próżniejszych mężczyzn od wodzów armii, a już zwłaszcza w dniu triumfu. Ale popatrz, co jest na następnym wozie! Toż to statua Junony Reginy!

Ze wszystkich łupów wydartych mieszkańcom Wejów ten był najcenniejszy: ogromny posąg boskiej patronki miasta, królowej-matki bogów, Junony, której poświęcona była najwspanialsza świątynia. Juno Regina skutecznie chroniła swych podopiecznych od wielu pokoleń; w przeddzień ostatecznego szturm Kamillus poprzysiągł, że jeśli zdobędzie miasto, przewiezie statuę bogini do Rzymu i zbuduje dla niej jeszcze piękniejszą świątynię. Teraz spełniał pierwszą część tego zobowiązania.

Ludzie, choć już zachrypnięci od wiwatowania, na widok posągu Junony zaczęli krzyczeć jeszcze głośniej. Wieziono go na dużym wozie ciągniętym przez jeńców, wśród których byli też jej kapłani, odarci z szat i skuci łańcuchami. Rzeźba była drewniana, ale nie było widać łączeń – powierzchnię wygładzili najlepsi etruscy snycerze, pokryli jaskrawą farbą i złoceniami. Junona wyobrażona była na tronie, z berłem w jednym ręku i pucharem w drugiej, i z pawiem u stóp.

– Wspaniała! – orzekła Foslia. – Nie ma na świecie drugiej takiej Junony. Nawet ta, którą sam wielki Wulka stworzył dla świątyni kapitolinińskiej, nie może się z nią równać. Ten ogrom! Trzykrotnie chyba przerasta człowieka. A te łagodne rysy! Popatrz na pawia. Czyś kiedykolwiek widziała taką gamę barw?

Jakiś chłopiec, podjudzony przez kolegów, wyprysnął spomiędzy gapiów, podbiegł do jednego z wejańskich kapłanów i zwinnym ruchem zdarł mu przepaskę biodrową, po czym natychmiast, triumfalnie nią wymachując, wycofał się w bezpieczne miejsce. Wejanin, mężczyzna w średnim wieku, który był już wyraźnie osłabiony marszem i wysiłkiem, spłoszył ze wstydu i bezsilnie zapłakał; nie mógł się zakryć, ręce miał bowiem przykute do liny od wozu. Pinaria głośno wciągnęła powietrze, Foslia uniosła brwi, żadna jednak nie odwróciła wzroku.

– Ciekawe, co na to bogini? – spytała młodsza.

– Patrz dalej, lada chwila może przemówić.

– Chyba żartujesz?

– Dlaczego? Znasz tę historię... kiedy Kamillus posłał żołnierzy, aby zabrali posąg ze świątyni, jeden z nich dla zabawy ukłonił się i zapytał, czy bogini życzy sobie przenieść się do nowego domu. Możesz sobie wyobrazić, jaki był wstrząśnięty, kiedy posąg naprawdę skinął głową... i przemówił! Myśleli, że ktoś robi im kawał, powtórzyli więc pytanie. Odpowiedziała tak wyraźnie, jak ja mówię do ciebie: „Tak, zabierzcie mnie zaraz do Rzymu!”, i to podobno z gniewem. Junona nie lubi się powtarzać. To oczywiste, że chciała się tu przenieść. Gdyby nie straciła serca dla Wejan, nigdy byśmy ich nie podbili. Z rozkazu Kamillusa specjalnie dla niej stanie nowa świątynia na Awentynie. Za budulec zapłaci wejańskimi łupami, a jeńcy zapewnią siłę roboczą. Ten nagi kapłan nie musi się tak rumienić. Niewolnikowi nie potrzeba odzienia, żeby kopać rowy albo nosić kamienie.

– Jak myślisz, czy Grecy tak samo traktowali pokonanych Trojan? – spytała Pinaria.

Westalki dużo ostatnio dyskutowały o losie Wejów, snując porównania do upadku Troi, którego historię Rzymianie poznali od helleńskich kolonistów z południa. Oba miasta były oblegane przez dziesięć lat. Jedno i drugie zostało zdobyte podstępem: Grecy dostali się za mury Troi dzięki słynnemu drewnianemu koniowi Odyseusza, Rzymianie wykopali tunel, którym grupa żołnierzy nocą wdarła się do Wejów i otworzyła bramę czekającym oddziałom.

– Pewnie, że tak – odrzekła Foslia. – Trojanki, w tym królowa Hekabe i jej córki, zostały niewolnicami Achajów, to samo spotkało tych nielicznych mężczyzn, którzy przeżyli szturm. Żadnego miasta nie da się łatwo podbić, jeśli jego lud nie obrazi czymś bogów... a w takim razie zdobywcy sprawiają im radość, zabijając i niewoląc pokonanych. My, Rzymianie, wiemy to od dawna. Upokarzanie naszych wrogów to jeden ze sposobów oddawania czci bogom, od których zadowolenia zależy nasze powodzenie.

Logika wywodu Foslii była jak zawsze nie do podważenia i Pinaria chętnie ją akceptowała, jednakże widok sponiewieranego kapłana nie dawał jej spokoju. Przeniosła

spojrzenie na kwadrygę triumfatora, oddalającą się już w stronę Kapitolu. Kamillus, który nieustannie odwracał się to w jedną, to w drugą stronę, pozdrawiając zebranych, akurat obejrzał się przez ramię. Ich oczy się spotkały. Wódz przestał machać ręką, przekrzywił lekko głowę i błysnął zębami w zagadkowym uśmiechu.

Foslia schwyciła ją za łokieć i aż pisnęła z radości.

– Pinario, on patrzy prosto na ciebie! Pewnie, jesteś tak śliczna, nawet z krótkimi włosami... Och, gdyby na mnie tak spojrział, chyba bym umarła!

Pinaria zarumieniła się i spuściła oczy. Kiedy znów odważyła się zerknąć w tamtą stronę, kwadryga zniknęła już za zakretem.

Z zamyślenia wyrwał ją nagły wybuch śmiechu i aplauz gapiów. Za wozem ze statua dreptało stadko gęsi. Co chwila któraś wyciągała szyję lub zatrzepotała skrzydłami, gęgając przy tym przeraźliwie. Były to święte gęsi Junony Reginy, odebrane Wejom razem z ich panią – obiekt religijnego kultu, ale i po prostu powszechnej sympatii. Rozpieszczone ptaszyska jakby zdawały sobie sprawę ze swej uprzywilejowanej pozycji; maszerowały z dumnie zadartymi głowami, nie zwracając uwagi na tłum i wrzawę. Jedna nagle podbiegła do przodu i skubnęła dziobem owego obnażonego kapłana, który zaskoczony wydał żalosny okrzyk.

– Na pewno mści się na niedawnym strózu za jakieś przewiny – szepnęła Foslia.

Ludzie śmiali się, gwizdali i pokrzykiwali. Triumfalna parada Marka Kamillusa rzeczywiście wypadła wspaniale.

* * *

W ostatniej godzinie przed zmierzchem, po złożeniu na ołtarzu przed świątynią Jowisza ofiary z białego wołu i rytualnym uduszeniu najważniejszych jeńców w Tullianum, kiedy uliczne uczty i tańce zaczynały z wolna dogasać, westalki zebrały się w okrągłej świątyni swojej patronki.

Kiedy inne przyglądały się triumfalnemu pochodowi, jedna zgodnie z prastarą tradycją została na miejscu, by doglądać świętego ognia. Było to ich podstawowym obowiązkiem. Gdyby kiedykolwiek ten wieczny płomień zgasł, na Rzym spadłyby niewątpliwie najgorsze nieszczęścia i katastrofy. Teraz cała piątka dołączyła do niej, by wspólnie odmówić wieczorną modlitwę pod przewodnictwem przełożonej, zwanej virgo maxima, czcigodnej Postumii.

Nie mniej ważne było dotrzymanie ich ślubów czystości. Gdyby którakolwiek z nich je złamała, może udałoby się jej to ukryć przed innymi śmiertelnikami – ale przecież nie przed boginią. Westa wiedziałaby o tym i święty ogień nieuchronnie by zgasł. Tylko dziewica niepokalanie czysta może bowiem go podtrzymywać.

Westalki wzięły się za ręce i stanęły kręgiem wokół paleniska. Młodsze nuciły harmonijnie, lekko się kołysząc w rytm, a virgo maxima zaintonowała codzienną pieśń.

– O pani nasza, usłysz nas. Utrzymałyśmy twój płomień przez kolejny dzień, by teraz rozświetlał nieśmiertelnym blaskiem nadchodzącą noc. Ty nas ogrzewasz i nam przyświecasz tym samym wiecznym ogniem, który ciepłem otulał małego Romulusa w chwili jego narodzin.

Postumia była najstarszą z kapłanek, ale w jej krótkich, siwych włosach wciąż jeszcze widać było czarne pasma, a głos brzmiał czysto i mocno. Przez chwilę nuciała i kołysała się z pozostałymi, wpatrzona w płomienie, po czym podjęła modlitwę:

– Każda z nas na trzydzieści lat oddała się w twą służbę. Przychodzimy do ciebie, Westo, jako dziesięcioletnie dzieci. Przez dziesięć lat się uczymy. Przez dziesięć pełnimy przy tobie posługę dla dobra naszych ziomeków. Przez następne dziesięć przekazujemy naukę nowicjuszkom. Potem możemy odejść albo przy tobie pozostać. Pobłogosław mi, Westo. Moje trzydzieści lat minęło już dawno, ja jednak wybrałam ciebie. Pozwól mi zostać na twej służbie, dopóki będę miała oczy, by widzieć twój święty płomień, i dość sił, by się nim opiekować. Dopóki starczy mi słów i mądrości, by uczyć moje następczynie. Pobłogosław nam wszystkim, Westo, ale szczególnie ciepło obejmij najmłodszą z nas. Jest z nami od siedmiu lat. Teraz, gdy Foslia wchodzi w ostatni rok swej pierwszej dekady, Pinaria pozostała jedyną nowicjuską. Wiele się jeszcze musi nauczyć. Otocz ją, o pani, szczególną opieką.

Pinaria, która dotąd kołysała się jak w transie, lekko drgnęła, usłyszawszy niespodziewanie swoje imię. Nieczęsto się zdarzało, aby virgo maxima wymieniała którąkolwiek z kapłanek podczas modlitwy. Dlaczego robi to teraz i dlaczego wybrała akurat ją? Następne słowa przełożonej zaniepokoiły ją jeszcze bardziej.

– Modlimy się, o pani, abyś pamiętała o wszystkich twoich służebnicach, które były tu przed nami, od czasów króla Romulusa, który wybrał pierwsze cztery rzymskie westalki, i króla Tarkwiniusza Starego, który zwiększył naszą liczbę do sześciu i w swej mądrości ustanowił karę straszliwszą od śmierci dla tej z nas, która by złamała śluby... karę, która do dziś pozostaje w mocy.

Nie tylko Pinaria, ale wszystkie jej cztery towarzyszkę mimo woli zadrżały, gdy w ich modły tak brutalnie wdarła się ta bezmierna groźba przejmująca wizja. Znieruchomiały i zamilkły; w świątyni zapadła absolutna cisza, przerywana tylko delikatnym trzaskaniem płonących drzew. Serce Pinarii biło tak mocno, że była pewna, iż wszystkie muszą to słyszeć. Dlaczego virgo maxima wspomniała o niej w modlitwie, a zaraz potem przywołała groźbę okrutnej kary dla tej, która by zbłądziła?

– Daj nam wszystkim siły, Westo – szepnęła Postumia. – Życie twojej kapłanki nie zawsze jest łatwe, a dla niektórych trudniejsze niż dla innych. Tylko twój święty ogień w naszych sercach może nam pomóc wytrwać w czystości.

Modlitwa była skończona i westalki opuściły ręce. Za otwartymi drzwiami świątyni zmierzch zamienił się w nocną czerń.

– Zapalcie pochodnie od świętego ognia, aby rozświetlał wam drogę do naszego domu. Przez następne cztery godziny służba przy palenisku przypada Pinarii. Ponieważ jest tylko nowicjuską, zostaną z nią jakiś czas.

– Ale, virgo maxima, przecież pilnowałam już ognia tyle razy! Wiem jak... – Dziewczyna urwała, widząc surowe spojrzenie przełożonej, i spuściła oczy. – Oczywiście, virgo maxima. To będzie dla mnie zaszczyt, jeśli zostaniesz ze mną.

Czwórka kapłanek opuściła świątynię. Foslia wyszła ostatnia, zdążywszy jeszcze zerknąć na Pinarię z poczuciem winy, zanim cicho zamknęła za sobą drzwi.

Postumia przez długie minuty w milczeniu wpatrywała się w ogień, aż w końcu wzięła głęboki oddech.

– Pewnie trudno ci to sobie wyobrazić, Pinario, ale kiedyś też miałam siedemnaście lat. Nie byłam tak urodziwa jak ty... o, daleko mi było do ciebie! Z twoimi kasztanowymi włosami i lśniącymi zielonymi oczyma jesteś naprawdę wyjątkowo piękna... na twoje szczęście albo na zgubę. Byłam jednak młoda i niebrzydka, a przy tym bardzo, bardzo próżna, jak tylko może być dorastająca dziewczyna. Złożone śluby traktowałam bardzo poważnie, niemniej nie widziałam nic złego w noszeniu ozdób. Miałam srebrne bransolety, czasem zakładałam naszyjnik z karneolu, odziedziczony po babce. Mawiałam, że czerwone kamienie świetnie pasują do bieli i czerwieni naszych opasek na głowę, ale tak naprawdę chodziło o to, że podkreślają róż moich policzków. Nacierałam dłonie i twarz wonnymi olejkami sprowadzanymi aż z Egiptu... tak w każdym razie utrzymywał kupiec, który raz w miesiącu odwiedzał dom westalek ze swym kramem z pachnidłami.

– I virgo maxima się na to zgadzała? – spytała zdziwiona Pinaria.

Postumia nigdy nie pozwalała żadnej z nich nosić biżuterii ani używać żadnych perfum czy kremów; a chociaż mężczyznom wolno było przebywać w ich domu za dnia – nigdy po zmierzchu – mogli tam wejść tylko wtedy, gdy sprowadzały ich oficjalne misje albo rodzinne sprawy z którąś z westalek. Nie do pomyslenia było, żeby jakiś wędrowny sprzedawca kosmetyków choćby wściubił nos za wrota!

– Nasza przełożona była bardzo tolerancyjna. Ubóstwiała młodsze westalki, a ja byłam jej ulubienicą. Zachęcała mnie nawet: jak ten naszyjnik ładnie na tobie wygląda, Postumio... Jak cudną masz skórę, taką gładką, bez najmniejszej skazy... Nie mogę jej winić za własną próżność, ale na pewno nie robiła nic, aby mnie z niej wyleczyć. Nie starała się też ukrócić mojej skłonności do flirtowania. Tak, Pinario. Próżność prowadzi do flirtu. Co komu po urodzie, której nikt nie widzi? A skąd dziewczyna ma wiedzieć, czy się podoba, jeżeli nie patrzy mężczyznom w oczy? Najpierw przyjmuje ich pełne podziwu spojrzenia, potem komplementy, a w końcu... – Kapłanka zawiesiła głos. – Takie zachowanie jest dla westalki bardzo niebezpieczne. Nawet nie wiesz jak bardzo! A wszystko się zaczyna od oczu. Mężczyzna patrzy na nas, nam to sprawia przyjemność... ta zaś, choć się wydaje tak niewinna, wiedzie nas do pragnienia innych przyjemności.

Pinaria zmarszczyła brwi.

– Virgo maxima, nie rozumiem, dlaczego mi o tym mówisz. Ja nigdy nie noszę odób. Nie zezwalasz na to, a nawet gdybyś się zgodziła, nie pragnę...

– Kamillus patrzył dzisiaj na ciebie.

Dziewczyna zamrugnęła.

– Być może.

– Patrzył na ciebie z przyjemnością.

– Tak? Nie zauważyłam...

– I tobie też było to miłe, prawda? Taki wielki człowiek, bohater chwili, tak silny i przystojny, zechciał zapragnąć twojego widoku.

– Nie zrobiłam nic złego! – upierała się zarumieniona dziewczyna.

– Odwzajemniłaś jego spojrzenie.

– Może, ale tylko przez chwilę! – Pinarii przemknęło przez myśl, że jej przełożona może być... zazdrosna. – virgo maxima, Kamillus jest z pewnością człowiekiem religijnym. Nie ma Rzymianina bardziej szanującego bogów i bardziej przez nich ukochanego. Przed ostatecznym szturmem na Weje ślubował wznieść nową, piękną świątynię Junonie, a ona w zamian pozwoliła mu zdobyć miasto. Obiecał też dziesiątą część łupu ofiarować Apollinowi...

– Nie kwestionuję jego pobożności. Ale nawet mężczyzna pobożny jest tylko mężczyzną. Pinario, Pinario! Nie mówię, że Kamillus jest dla ciebie groźny... dopóki sama go nie skusisz. Ty sama jesteś dla siebie zagrożeniem.

– Ale, virgo maxima...

– Zamilcz!

Pierś Postumii uniosła się i opadła w nagłym przypiływie emocji. Kapłanka zapatrzyła się w ogień; odezwała się dopiero, gdy się trochę uspokoiła.

– Posłuchaj, Pinario. Jak powiedziałam, w twoim wieku byłam bardzo próżna. Upiększałam się, akceptowałam męskie spojrzenia... i je odwzajemniałam. Śmiałam się, gdy mnie zabawiali, i sama starałam się być dowcipna, a kiedy im się podobały moje żarty, czułam się podekscytowana. Nie robiłam nic złego i na pewno nie zламаłam ślubów. Niemniej moje zachowanie przyciągało uwagę. W roku, kiedy ukończyłam nowicjat i stałam się w pełni kapłanką, pojawiło się wiele niepokojących znaków. Urodziło się koźle z dwiema głowami. Podczas letniego gradobicia z nieba spadały żaby. Co najgorsze, wróżba za wróżbą wskazywały na rychłe niepowodzenie wojenne. Wszyscy byliśmy niespokojni. Każdy chciał znać przyczynę. Czy wodzowie zapomnieli złożyć ofiary bogom? Czy winę ponosił pontifex maximus? Gdyby najwyższy autorytet religijny zaniedbał swe obowiązki... A może to strażnicy ksiąg sybillińskich źle odczytali proroctwa i zawiedli nas na manowce? Zbadano wszystkie możliwości, nikt się jednak nie dopatrywał najmniejszych uchybień, nie można też było zarzucić niczego osobom odpowiedzialnym za święte obrzędy. I wtedy celem

dochodzenia stałam się ja. – Postumia znów zamikła na długą chwilę. – Czy wiesz, jaka kara czeka westalkę, której by udowodniono utratę dziewictwa?

– Oczywiście, że wiem – wyszeptała z trudem Pinaria.

– Powiedz zatem.

– Jeśli na dziewicę Westy padnie oskarżenie o złamanie ślubów czystości, śledztwo prowadzi sam pontifex maximus, werdykt zaś wydaje kolegium kapłanów. Jeżeli uznają ją za winną...

– Mów dalej.

– Kapłani zdzierają z niej szatę. Współwinnego mężczyznę zakuwa się w kajdany i na jej oczach zostaje zaćwiczony na śmierć. Potem i ona jest biczowana... tak długo, dopóki może utrzymać się na nogach. Następnie ją odziewają jak do pogrzebu, na czarno, i przywiązują rzemieniami do mar. Więzy są tak ciasne, że nie może nawet krzyknąć. Na oczach wszystkich czarno przybrany karawan wiezie ją przez całe miasto, jak gdyby już nie żyła i miała zostać pochowana...

– Nie przerywaj, mów.

– Zabierają ją za mury, gdzie czeka wykopana krypta. Opuszczają ją do środka, zamykają wejście i przysypują kopcem ziemi. Nigdy więcej nie wspomina się jej imienia. – Pinaria w ustach czuła taką suchość, że ledwo mogła mówić. – Żaden człowiek jej nie zabija, nikt też nie widzi jej śmierci. O tym, co się z nią stanie w grobie, wie tylko Westa.

Postumia posepnie skinęła głową.

– Kim była ostatnia westalka, której wymierzono taką karę?

Dziewczyna zmarszczyła czoło.

– No, Pinario! Foslia odpowiedziałaby natychmiast.

– Przypominam sobie... to było prawie sto lat temu...

– Dokładnie dziewięćdziesiąt siedem – sprostowała surowo Postumia. – Za czasów mojej babki.

– Skoro tak mówisz, virgo maxima...

– W jakich to było okolicznościach? Jak się nazywała?

– Miała na imię Urbinia. Kobiety w Rzymie padały wtedy ofiarami zarazy, zwłaszcza ciężarne. Bardzo często zdarzały się poronienia. Pontifex podejrzewał, że popełniony został grzech nieczystości. Okazało się, że Urbinia oddała się nie jednemu, lecz aż dwóm mężczyznom, a mimo to miała czelność dalej zajmować się świętym ogniem. Wytoczono jej proces i skazano. Po jej ukaraniu zaraza wygasła i znów zaczęły się rodzić zdrowe dzieci.

– Urbinia była ostatnią westalką, której udowodniono nieczystość – przytaknęła Postumia. – Ale nie pierwszą. Pochodzisz, Pinario, z bardzo starego rodu, prawda?

– Tak, virgo maxima.

– Z klanu starszego niż republika i królowie, który dał Rzymowi wielu urzędników i konsulów, wojowników i kapłanów, a i westalek też niemało. Jednakże nawet

najczcigodniejsze rodziny miewają ciemne plamy w swej historii. Karę dla westalek ustanowił król Tarkwiniusz Stary. A jak się nazywała pierwsza z nas, wobec której ją zastosowano?

– Na imię miała... – Dziewczynie się zdawało, że serce jej przestało bić.

– No, dziecko! Znasz odpowiedź.

– Nazywała się tak jak ja, Pinaria. Moja przodkini była pierwszą westalką, która...

– Która została żywcem pogrzebana... – szepnęła Postumia. – Żywcem... pogrzebana. Spotkało to Pinarię, spotkało Urbinię... i mnie też chcieli to zrobić. Nawet teraz, po tylu latach, nie mogę o tym mówić spokojnie.

– Ale przecież byłaś niewinna.

– Pewnie, że byłam, ty głupia dziewczyno! Inaczej byśmy tu nie rozmawiały. W końcu udało mi się, dzięki bogini, przekonać o tym pontifeksa. Ale już samo dochodzenie... zgroza, jaką czułam... upokorzenie... strach... Do dzisiaj budzę się z krzykiem, gdy mi się to przyśni!

– Kapłanka odkaszlnęła. – Kiedy zostałam virgo maxima, przyrzekłam sobie, że żadna westalka pod moją pieczę nie będzie musiała przechodzić przez podobny koszmar. Nie wystarczy tylko dotrzymać ślubów. Niewinność to za mało! Dziewica Westy musi być ponad wszelkie pokusy... ale też ponad wszelkie podejrzania. Rozumiesz mnie dobrze, Pinario?

– Tak, virgo maxima, rozumiem – odrzekła z drżeniem i zapłakała.

Stara kapłanka objęła ją i mocno przytuliła, gładząc po włosach.

– No, już dobrze, moje dziecko. Przeraziłam cię... ale robię to dla twojego dobra. I dla nas wszystkich.

Choć wrota świątyni były zamknięte, przez izbę przemknął nagły podmuch, jakby sama budowla odetchnęła. Święty płomień zachybotał, przygasł... i przez chwilę zdawało się, że zniknie.

390 r. p.n.e.

– Oczywiście zakaz zawierania małżeństw między patrycjuszami i plebejuszami nigdy nie powinien być uchylony – stwierdziła kategorycznie Postumia.

Foslia roześmiała się w głos.

– Ależ, virgo maxima, co to ma wspólnego z tak zwaną kwestią wejańską?

Przełożona, podnosząca właśnie do ust nadziewany liść winogronowy, odłożyła przysmak i odchrząknęła, lekko zirytowana tym przejawem braku szacunku.

– Wszystkie kwestie dobra i zła wzajemnie na siebie wpływają. W sprawach religii... a nie ma spraw nie związanych z religią... każdy temat się wiąże z wszystkimi innymi.

Foslia nie kryła sceptycyzmu.

– Zakaz mieszanych związków obowiązywał przecież tylko przez krótki czas, taki był niepopularny. Poza tym to się działo tak dawno temu! Moje pokolenie praktycznie nie wie, że podobne prawo w ogóle istniało!

Rozmowa toczyła się w domu westalek przy kolacji. Wieczór był przyjemny i kapłanki spożywały ją pod gołym niebem, siedząc na wyniesionych na tę okazję sofach. Miejsce naprzeciw virgo maxima zajmowała najmłodsza z westalek; wciąż była nią Pinaria, ponieważ od dnia triumfu Kamillusa przed trzema laty żadna z nich nie umarła ani nie odeszła, nie przyjęto więc żadnej nowicjuszki.

Służebne w milczeniu podawały świeże potrawy i zabierały puste naczynia. „Oczy i uszy pontifeksa”, nazywała je Foslia. „Obserwują nas jak jastrzębie”, powiedziała kiedyś: „Przysłuchują się każdemu naszemu słowu. Jeżeli kiedykolwiek którejś z nas zdarzy się zbłądzić, najwyższy kapłan będzie o tym wiedział wcześniej niż sama bogini, która nie ma tak czujnych szpiegów”. Pinaria wiedziała, że to żarty, ale wcale jej nie było do śmiechu.

Teraz komentarze Foslii nie wydawały się zabawne przełożonej.

– Przypomnę ci, że zawarcie małżeństwa przez dwoje patrycjuszki wymaga ceremonii religijnej, podczas gdy w wypadku plebejuszki jest to zwykła świecka umowa. Za czasów decemwirów był to jeden z najmocniejszych argumentów za wprowadzeniem zakazu. W takim mieszanym związku partner ze stanu wyższego jest pozbawiony należytej mu oprawy obrzędowej, a to nie może się podobać bogom. Patrycjusz może poślubić tylko patrycjuszkę, nie pomijając żadnego z przewidzianych świętą tradycją rytuałów. Owszem, zakaz został zawieszony... ale to nie znaczy, że nie zostanie przywrócony. – Postumia wzięła kęs potrawy i odłożyła resztę na srebrny talerzyk, gestem nakazując służącej, by go sprzątnęła. Jedzenie skończone; pora na kazanie dla dobra młodych kapłanek. – Okresy pobożności i bezbożności przychodzą cyklicznie. Ja dorastałam w atmosferze tolerancji, teraz jednak żyjemy w czasach niewiele się różniących od epoki decemwirów. W ostatnich latach z powodu ciągłych wojen zawieszono wybory konsulów i miastem rządzi sześciu trybunów wojskowych. Co się zaś tyczy konfliktu między stanami, to może być nawet ostrzejszy niż wtedy, ponieważ patrycjuszki bez końca ustępują, a pospólstwo wciąż domaga się nowych przywilejów: chcą więcej ziemi dla osadnictwa, kolejnego umorzenia długów, lepszej dla siebie ordynacji wyborczej. Jeżeli nasi przywódcy użyją władzy do przywrócenia zakazu mieszanych małżeństw, to przynajmniej w tej sferze Rzym będzie znowu w harmonii z wolą bogów, a oba stany będą mogły podjąć przypisane im role w państwie. To nie ja wpadłam na ten pomysł. Wyszedł on od najwyższego kapłana. Nie dalej jak wczoraj powiedział mi, że zamierza złożyć w tej sprawie petycję trybunom. W tym domu zaś nie sprzeciwiamy się jego woli. Jeżeli masz w tej sprawie inne zdanie, Foslio, to zachowaj je dla siebie.

– Tak jest, virgo maxima. – Ironia w głosie kapłanki wskazywała, że na pewno je zachowa. – Masz naturalnie rację, że małżeństwo... w każdym razie gdy zawierają je

patrycjusze... to sprawa religijna. My jednak rozmawialiśmy o kwestii wejańskiej, ta zaś przecież dotyczy tylko dwóch rzeczy, pieniędzy i polityki.

Postumia pokręciła głową.

– Przeciwnie, Foslio. Czyż nie widzisz, że problem Wejów jak najbardziej się wiąże z religią? Pinario, prawie cię dzisiaj nie słychać. Jesteś wprawdzie najmłodsza, ale już skończyłaś nowicjat. Powiedz, co o tym myślisz.

– Dobrze, virgo maxima. – Pinaria przełknęła jeszcze nadziewaną kozim serem oliwkę i zaczęła: – Jestem przekonana, że podbój Wejów przez Rzym jest lustrzanym odbiciem zdobycia Troi przez Greków. Po pierwsze, oblężenie zajęło dziesięć lat. Po drugie, rozstrzygnięte zostało raczej dzięki sprytnemu podstępowi niż brutalnej sile. Po trzecie, choć w owej chwili wydawało się rozwiązaniem wszystkich naszych problemów, odkryliśmy, podobnie jak Grecy po zburzeniu Troi, że zwycięstwo prowadzi tylko do pogłębienia napięć w ojczyźnie.

– Kontynuuj. – Postumia w zamyśleniu skinęła głową.

– Weje były tak bogate, że wszyscy liczyli na to, iż tak ogromna zdobycz pozwoli załagodzić konflikt między stanami. Wydawało się, że będzie tego aż nadto dla każdego Rzymianina. Kiedy jednak przyszło do podziału łupów, nikt nie był usatysfakcjonowany. Budowa świątyni Junony wraz z uroczystością jej konsekracji kosztowała znacznie więcej, niż się ktokolwiek spodziewał. Do tego trzeba dodać dziesięcinę przyobiecana przez Kamillusa kapłanom Apollina. Plebejusze zaczęli szemrać, że okrada się ich ze zdobyczy, za którą tak długo przelewali krew. Patrycjusze odpowiadali, że byłoby świętokradztwem usiłować odebrać to, co przyrzeczono bogom.

– I jaki był rezultat sporu?

– Wzajemne gorzkie oskarżenia o niesprawiedliwość i chciwość.

– Czyli nic nowego pod słońcem – wtrąciła Foslia, która żadnej dyskusji nie mogła się przysłuchiwać biernie. – Od pokoleń patrycjusze argumentują, całkiem rozsądnie zresztą, że wszyscy musimy łączyć siły dla wspólnego dobra. Trzeba nam jedności pod mądrym przywództwem, powszechnego poświęcenia w obliczu tak wielu zagrożeń ze strony licznych wrogów. Samolubni i krótkowzroczni plebejusze zaś od równie dawna potrafią tylko narzekać, a bywało nawet, że odmawiali służby wojskowej!

– Tak, ale... – zaczęła Pinaria, lecz urwała w pół słowa, dobrze wiedząc, że pewne idee zasłyszane poza murami domu westalek nie zawsze spotykają się z aprobatą jego mieszkank, zwłaszcza zaś przełożonej.

– Mów śmiało – zachęciła ją Postumia.

– Tak, podziel się z nami swoją opinią – zawtórowała Foslia z psotnym błyskiem w oku i nadzieją, że ujrzy, jak przełożona daje się wyprowadzić z równowagi.

Pinaria mówiła wolno, strannie wymawiając słowa.

– To nie są moje przemyślenia, wiedzcie o tym, ale słyszy się różne rzeczy. Na przykład niektórzy twierdzą, że chociaż sama świątynia jest hołdem dla Junony, to pieniądze na jej budowę trafiały do kieszeni wykonawców wybranych przez władze. Większość z nich to i tak już bogaci patrycjusze, a że na ogół w pracy wysługują się niewolnikami, w dodatku sprzedanymi im tanio przez miasto jeńcami wojennymi, robotnicy plebejscy nie mają żadnego zysku z podobnych inwestycji.

– Ich zyskiem jest dobra wola bogini, której miła jest nowa świątynia! – oświadczyła virgo maxima. – Sprowadzić budowę takiego przybytku, a więc akt pobożności, do zwykłego handryczenia się o pieniądze, to istne świętokradztwo, jakiego mogą się dopuszczać tylko najgorsi podżegacze. Doprawdy, Pinario, musisz się nauczyć wpuszczać podobne herezje jednym uchem i wypuszczać drugim. Pomyśl... zwykły rozsądek nakazuje zawsze oddawać pierwszą i największą część łupów bogom. W przeciwnym razie możemy stracić ich łaskę, a gdzie się wtedy znajdziemy? To nie my podbiliśmy Weje, ale one nas! Potem odpowiednia część należy się naszym odpowiedzialnym, ciężko pracującym przywódcom, którzy pilnują, aby bogów czczono we właściwy sposób. Dopiero wtedy plebs powinien się zadowolić tym, co dla niego zostanie... tak samo jak tym, że mają się żenić w obrębie własnego stanu! Zamiast hołubić szalone mrzonki o tym, że sami są zdolni do rządzenia miastem, przystoi im słuchać tych, których rody udowodniły, że najlepiej potrafią kierować jego przeznaczeniem. Żyjemy w niebezpiecznym, pełnym wrogów świecie. Tylko wypróbowane i miłe bogom przywództwo może nas ocalić przed katastrofą.

Pinaria pochyliła głowę.

– Przemawiasz mądrze, virgo maxima.

– A mimo to... – Głos Postumii drżał od emocji. – A mimo to trudno się czasem opędzić od myśli, że najgorsi nasi wrogowie są tu, w mieście, a nie poza nim. Motloch nie nadaje się do rządów, ale ma trybunów i inne wpływowe osoby, które szukają jego poparcia, jak to widzieliśmy aż za dobrze w ostatnich dniach.

Westalki jak na komendę odsunęły jedzenie. Przełożona dotknęła tematu bolesnego dla nich wszystkich. Kłopotliwe milczenie przerwała Foslia.

– Czy nie ma dla Kamillususa nadziei, virgo maxima?

– Nic się nie zmieniło – odrzekła z westchnieniem Postumia. – W tej chwili Marek Furiusz szykuje się do opuszczenia Rzymu. Woli wygnanie od hańbiącego procesu. Rozjuszony sporem o łupy z Wejów plebs wyładował furię na człowieku, który je zdobył i odpowiadał za ich podział. Zarzucili Kamillusowi, że bezprawnie zapewnił korzyści swojej rodzinie i przyjaciółom.

– Ale przecież na pewno jest niewinny – odezwała się jedna z westalek.

Postumia pokręciła głową.

– Niestety, ludzie obeznani z procedurą sądową mówią mi coś innego. Jeżeli prawo interpretować dosłownie, to Marek Furiusz rzeczywiście dopuścił się wykroczenia. Nie

potrafi się rozliczyć ze wszystkich dóbr przeznaczonych do podziału. Sąd traktuje takie sprawy bardzo poważnie i nie może przymykać oczu. Doprawdy, ten kodeks jest tak napisany, jakby chciano dać broń do ręki wrogom każdego człowieka pełniącego funkcję publiczną. Im wyżej ktoś awansuje i bardziej odpowiedzialne podejmuje decyzje, tym bardziej jest narażony na oskarżenia o korupcję. Dlatego nasz ukochany Kamillus jest dzisiaj wygnańcem. A zaledwie trzy lata temu cały Rzym wiwatował na jego cześć, sławiąc jak zbawcę! Niech mi Westa wybaczy te słowa, ale jeśli zechciałby podnieść na nas miecz jak ongiś Koriolan, trudno byłoby mi zaprzeczyć, że miasto sobie na to zasłużyło. On oczywiście nigdy tego nie robi. Jest zbyt wielkim człowiekiem i lojalnym Rzymianinem, choć wrogowie zrobili zeń wyrzutka. Wieczorem musimy o nim pamiętać przy modlitwie. Oby ogień Westy go nieustannie ogrzewał, nawet gdy będzie daleko od jej świętego paleniska.

– Oby Westa miała go w opiece! – zawtórowały pozostałe.

Ostatnio niejedna ronila łzy nad losem bohatera. Przez minione trzy lata wszystkie westalki nabrały dla zdobywcy Wejów niemal nabożnego szacunku. O jego triumfach wojennych i monumentalnych projektach publicznych mówiły z wielką atencją; o szlachetnych rysach i mocarnej posturze, wcieleniu ideału męskiej urody, szeptały między sobą. Osoba Kamillusa obrosła w domu westalek niemal kultem, a jego upadek złamał im serca.

Pinaria nie płakała. Wspominała dzień Furiuszowego triumfu i swoje zdumienie na widok czwórki białych koni w jego zaprzęgu. Wszystkowidzący Jowisz musiał też się im przyglądać ze swych chmurnych wyżyn... Czyżby uznał, że ten śmiertelnik sobie z niego drwi? Na usta cisnęło się jej pytanie, że skoro virgo maxima upatruje boską wolę we wszystkich zdarzeniach, to dlaczego miałoby być inaczej z upadkiem Kamillusa? Pinaria raz już się jednak tego dnia naraziła przełożonej i nie zamierzała popełnić tego samego błędu po raz drugi, imputując jakąkolwiek winę mężczyźnie tak przez westalki szanowanemu. Przyszło jej za to do głowy, że nurt dygresji odwrócił rozmowę od tematu, którym się zaczęła: od kwestii wejańskiej.

Zwycięzcy zebrali w Wejach bogatą zdobycz. Mieszkańców miasta sprzedano w niewolę, budowle odarto ze wszelkich zdobieć tak dokumentnie, jak sępy potrafią to zrobić z truchłem padłego zwierza. Jednak nawet najżarłoczniejszy padlinożerca zostawia przynajmniej kości; nie inaczej było z Wejami. Choć złupione do cna, pozostały tam jednak mury, domy, budynki publiczne, ulice, ogrody i świątynie – martwe miasto bez obywateli. Co należy z nim zrobić?

Jedna z frakcji, której przewodził trybun ludowy Sycyniusz, argumentowała, że połowa ludności Rzymu powinna się przeprowadzić do Wejów, zajmując opuszczone domostwa. Najemcy staliby się posiadaczami, pogrążeni w długach mogliby zacząć życie od nowa. Rolnikom, którym obiecano małe gospodarstwa na dalekich ziemiach pokonanych Wolsków, można by przydzielić grunty wokół Wejów, dzięki czemu mogliby korzystać z atrakcji nowo zasiedlonego miasta i mieszkać blisko rzymskich krewnych i znajomych. Dzieląc populację

jednego zatłoczonego miasta na dwa, z dnia na dzień udałoby się zlikwidować większość trapiących ją nierówności.

Opozycja wobec pomysłu Sycyniusza była równie zajadła jak jego zwolennicy rozentuzjasmowani. Rzymscy kamienicznicy i lichwiarze mieli wszystko do stracenia i nic do zyskania. Rządzący widzieli w projekcie groźbę rozwodnienia ich władzy; co by się bowiem stało, gdyby Weje zamiast stać się dodatkiem do Rzymu, znów wyrosły na jego rywala z własnymi urzędami i kolegami kapłańskimi? Sycyniusza oskarżano o zamiar wzbogacenia się na dystrybucji dóbr wejańskich, a może i chęć zostania królem. Dla przeciwników plan trybuna był niczym innym, jak kolejną próbą secesji plebsu – tylko tym razem permanentnej. Bogowie okazują łaskę tylko jednemu miastu, Rzymowi, musi on więc pozostać w niezmienionej formie. Domagano się, by Weje zburzyć i spalić.

Do najzagorzalszych przeciwników migracji należał Kamillus. Wwygłoszonej w senacie mowie użył sformułowania, które stało się bojowym hasłem opozycji: „Miasta opuszczonego przez bogów nie wolno zasiedlać ludziom!” Niektórzy mówili, że banicja jest karą, jaką przyszło wodzowi zapłacić za sprzeciw wobec projektu Sycyniusza i jego frakcji. Oskarżono go o korupcję, przed czym nie umiał się obronić, ale prawdziwym powodem było jego stanowisko w kwestii wejańskiej.

Czy Rzym powinien pozostać jednym miastem czy się podzielić na dwa? Ten nierozstrzygnięty dylemat kładł się cieniem na wszelkie inne zagadnienia. Debata była ostra i nieugięta, co często skutkowało bijatyką na Forum. Wydawało się, że nie ma wariantów pośrednich; migracja albo miała stać się panaceum na wszystkie problemy społeczne, albo groziła unicestwieniem Rzymu. Stawka była astronomicznie wysoka. Nic dziwnego, że Foslia zakpiła sobie z mało istotnej w tym kontekście dygresji na temat małżeństw mieszanych, którą *virgo maxima* być może chciała odwrócić uwagę od zasadniczego tematu.

Z drugiej strony, jak dowodziła Postumia, wszystkie takie zagadnienia były ze sobą na jakimś poziomie powiązane. Polityka ma to do siebie, że każdą kwestię rozbija na mniejsze kwestyjki, a wszystkie są drażliwe i nie do rozwiązania: każdy chce narzucić innym własną wersję i wygrywa ten, kto w danej chwili potrafi wywrzeć najsilniejszy nacisk. Religia zaś scala wszystkie pytania w jedno, na które odpowiedź jest oczywista: taka jest wola bogów.

Pinaria często miała wrażenie, że świat poza murami domu westalek jest chaotycznym wirem niepewności i przemocy. Wrogowie Rzymu chcą jego upadku równie mocno jak Rzym pragnie ich klęski. Obywatele miasta nieustannie walczą między sobą o władzę i bogactwa; nawet w łonie rodziny bracia bywają zaciętymi rywalami, a czasem wręcz buntują się przeciw woli *pater familias*. Jednakże wszystkie te starcia są jedynie cieniem czegoś zarazem o wiele większego i trudno dostrzegalnego, jak świątynia musi być niepojęta dla mrówki przez swój ogrom: woli bogów. Mądrość nie rodzi się w człowieku ani nie pochodzi od innych śmiertelników; wypływa ze zrozumienia, czego pragną bogowie. Jak to jednak osiągnąć? Tego Pinaria, mimo długich lat nauki, wciąż jeszcze nie wiedziała.

Była zadowolona, że kolacja jest skończona, a z nią i ta kłopotliwa rozmowa. Teraz wszystkie pójdą do świątyni na cowieczorne modły. Dyskusje, choć taką satysfakcję przynoszą błyskotliwym ludziom w rodzaju Foslii i nauczycielom, jak virgo maxima, niczego nigdy nie rozwiązują. Spokój przynosi dopiero udział w dobrze znanym, świętym rytuale, a największe ukojenie spływało na Pinarię w tych bezcennych chwilach, kiedy mogła bez przeszkód wpatrywać się w święty ogień Westy, wolna od wszelkich zbytecznych myśli, wiedząc, że on jeden na całym świecie jest czysty i wiecznotrwały.

– Nadchodzą! Nadchodzą! Muszę wszystkich ostrzec! Nadchodzą!

Szaleniec przedarł się przez szeregi broniącej dostępu do domu westalek służby, wbiegł do westybulu i dalej do atrium, zatrzymując się dopiero pośrodku impluwium. Było samo południe i słońce padało prosto na niego. Kiedy jak rozłószczone dziecko tupał nogami w sięgającej mu kostek wodzie, w rozpryskiwanych kroplach lśniły tęczowe odbłaski.

– Nadchodzą, mówię! – krzyczał z zaciśniętymi pięściami i zmarszczonym czołem. – Dlaczego nikt mnie nie słucha?

Westalki i wystraszone służące trzymały się z daleka i obserwowały go zahipnotyzowane. Foslia, która dopiero co weszła, spytała Pinarię na ucho:

– Kim jest ten stwór?

– Nie wiem. Widziałam go już na ulicy przed świątynią.

– W tych łachmanach wygląda na żebraka. I ta okropna, zmierzwiona czupryna i broda! Groził komuś?

– Nie. On chce nas chyba przed czymś ostrzec. Postumia poszła poszukać pontifeksa...

– Chyba żartujesz? Powinna raczej sprowadzić liktorów, żeby go zabrali w kajdanach!

– Potraktowała go dość poważnie.

Od wejścia dało się słyszeć zamieszanie. W westybulu zjawiała się Postumia w towarzystwie wezwanego dostojnika, za nimi zaś kroczyła cała grupa kapłanów i augurów. Na ich widok nieznajomy osunął się na kolana z okrzykiem:

– Pontifex maximus! Nareszcie! Ty na pewno ujrzysz prawdę w moich słowach.

Kapłan miał na sobie togę wyróżniającą się liczbą udrapowanych fałd; kaptur, którym nakrywał głowę podczas uroczystości religijnych, teraz był zsunięty do tyłu, ukazując siwą tonsurę. Patrzył na nieznajomego z góry, gładząc się po długiej, białej brodzie.

– Marek Cedycjusz! Jakże nisko upadłeś... nie mówię tylko o twojej postawie.

– Pontifeksie, znasz tego człowieka? – zdziwiła się Postumia.

– Znam. Cedycjusz był godnym plebejuszem, folusznikiem i farbiarzem wełny. Spójrz na ciemne plamy wokół jego paznokci. Jakiś czas temu porzucił jednak swój warsztat i został włóczęgą. Często można go spotkać na ulicy nad świątynią Westy. Nie widziałaś nigdy, jak się snuje tam i z powrotem, mamrocząc coś pod nosem? No, Cedycjuszu, coż to za nonsens? Co ty sobie myślisz, żeby się tak wdierać do świętego przybytku i straszyć dziewice Westy? Co masz na swoje usprawiedliwienie?

– Och, pontifeksie, musisz mnie wysłuchać!

– Przecież słucham, głupcze! Mów!

– Słyszałem głos. Byłem sam na ulicy... oprócz mnie nie widać było żywego ducha, przysięgam!... i przemówił do mnie głos, tak wyraźny i czysty, jak ja teraz mówię do ciebie. Głos zniknął! – Cedycjusz załamał ręce i zagryzł wargę.

– Na Herkulesa, człowiecze! Wykrztuśże to z siebie wreszcie! Myślisz, że nie mam nic lepszego do roboty? Co ci ten głos powiedział?

– Powiedział: Galowie nadchodzą. To właśnie powiedział, tak wyraźnie jak ja tobie: Galowie nadchodzą.

Kapłan uniósł brwi.

– Galowie?

Jeden z towarzyszących mu mężczyzn przysunął się bliżej i wyjaśnił:

– To plemię dzikusów z dalekich ziem na północy, pontifeksie, zza wielkich gór zwanych Alpami. Przed kilku laty odkryli dogodną przełęcz i część ich osiedliła się w Italii. Założyli miasto Mediolanum. Poeci mówią, że przywiodło ich na nasze ziemie pragnienie wina, u siebie bowiem go nie mają. Ich mowa to podobno zlepek pomruków, bardzo nieokrzesanych i drażniących ucho.

– Tak, słyszałem o nich – odrzekł dostojnik. – Po cóż by jednak mieli tu przybywać, Marku Cedycjuszu, i dlaczego miałyby nas to obchodzić?

Cedycjusz uderzył dłońmi o wodę, bliski łez.

– Galowie nadchodzą! – krzyknął. – Nie rozumiesz? To będzie straszne, najstraszniejsze, co się kiedykolwiek wydarzyło! Zagłada! Śmierć! Zniszczenie! Ostrzeżcie urzędników! Uciekajcie wszyscy natychmiast i zabierzcie westalki! Błagajcie bogów o ocalenie!

Od kilku chwil niski, pulchny kapłan z orszaku przeglądał jakiś zapisany zwój, obracając wałki w dłoniach i szukając czegoś w tekście. Nagle zadrżał, zwracając na siebie uwagę Pinarii. Foslia też to zauważyła. Schwyciła koleżankę za rękę i szepnęła do ucha:

– Zdajesz sobie sprawę, co on trzyma w ręku? To jedna z ksiąg sybillińskich!

– Niemożliwe! Przecież są przechowywane na Kapitolu, w specjalnej komorze pod świątynią Jowisza?

– Oczywiście. Tam właśnie kapłani studiują ich grecki tekst, tłumaczą na łacinę i debatują nad jego znaczeniem. Ten mały musi być jednym z nich. To na pewno jedna z ksiąg Sybilli.

– Nigdy nie myślałam, że je zobaczę – odszepnęła Pinaria, czując, jak przeszywa ją strach. Do zawitych wersetów zaglądano tylko w czasach wielkiego kryzysu.

Niski kapłan znów się wzdrygnął i wydał cichy okrzyk podniecenia.

– Pontifeksie, coś znalazłem! Wiedziałem, że jest o tym jakaś wzmianka, a teraz udało mi się ją odszukać. Sama Sybilla przewidziała tę chwilę i przekazała nam radę.

– Cóż więc mówi? Przeczytaj przepowiednię.

Kapłan podniósł na chwilę wzrok i popatrzył szeroko otwartymi oczyma na Marka Cedycjusza. Odchrząknął, zamrugał i zaczął czytać.

Na wodzie klęknie mąż, nie utonie.
Mądrych pouczy, gnąc się w pokłonie.
Niech go słuchają, inaczej biada,
Nadchodzi burza, śmierć i zagłada.

Zwinął pergamin. Wzrok wszystkich skierował się na mężczyznę klęczącego w płytkiej wodzie, który przekazał im ostrzeżenie tajemniczego głosu: „Nadchodzą Galowie”.

* * *

Wkrótce po proroctwie Marka Cedycjusza nadeszła wieść, że wielkie siły Galów oblegają Kluzjum, miasto położone nad dopływem Tybru, o sto mil w górę rzeki od Rzymu. Senatorowie zebrali się na radę, debatowali nad słowami włóczęgi i przepowiednią Sybilli. Uradzono, by wysłać do Kluzjum poselstwo, aby zebrać o najeźdźcach wiadomości z pierwszej ręki. Jeżeli rzeczywiście są tak liczni, jak głosi plotka, i tak groźni, jak utrzymywał Cedycjusz, posłowie mieli próbować środków dyplomatycznych – prośby, groźby lub paktowania – by nakłonić Galów do odwrotu spod oblężonego miasta, a przynajmniej odwieść ich od dalszego marszu na południe i najechania na Rzym.

Na wysłanników wybrano trzech braci z szanowanej rodziny Fabiuszów. Galowie przyjęli ich z kurtuazją, słyszeli bowiem o Rzymie i wiedzieli, że z jego siłą trzeba się liczyć. Kiedy jednak Fabiusze spytali, czym im zawinili mieszkańcy Kluzjum, by ich sprowokować do napadu, i czy nie uważają, że niesprawiedliwa wojna jest obrazą bogów, wódz galijski tylko się im roześmiał w twarz. Brennus był mężem masywnej budowy, o mocarnej muskulaturze i szerokiej szczęce okolonej gęstym rudym zarostem. Wyglądał jak wyciosany z granitu. Galowie byli rasą niemal olbrzymów i Brennus zdecydowanie górował wzrostem nad Rzymianami. Nawet gdy przemawiał z rubasznym humorem, posłom się wydawało, że patrzy na nich z góry także w przenośni.

– Czym nam Kluzjanie zawinili? – powtórzył. – Tym, że mają za dużo, a my za mało. I tym jeszcze, że jest ich tak mało, a nas tak dużo. A co do obrazy bogów, wasi może się różnić od naszych, ale prawa natury wszędzie są jednakowe... słaby ulega mocniejszemu. Tak jest z bogami, zwierzętami i z ludźmi. Z tego, com o was słyszał, Rzymianie, też nie jesteście inni. Czyż nie nagrabiliście cudzego mienia i nie obracaliście wolnych ludzi w niewolników tylko dlatego, że byliście od nich silniejsi i że tak wam się podobało? Tak myślałem! Nie kaźcie więc nam się litować nad biednymi Kluzjanami. Trzeba było samemu mieć litość dla tych, których podbijaliście i ciemiężyliście. Może powinniśmy się za nimi ująć, uwolnić ich spod

waszego jarzma i pomóc odzyskać dobra. Jak by się wam to podobało, Rzymianie? Co wy na to? Ha!

Brennus wybuchnął gromkim śmiechem. Fabiusze czuli się do żywego urażeni, przełknęli jednak zniewagę i zmilczeli. Sprawa mogłaby się na tym zakończyć, gdyby najmłodszy i najbardziej krewki z braci, Kwintus, nie zapragnął zasmakować galijskiej krwi. Wszystkie ludy, w tym i Galowie, uznają nakazaną przez bogów nietykalność posłów; powszechnie jest przyjęte okazywać im gościnność i dbać o ich bezpieczeństwo. Z kolei oczekuje się od nich, że nie wykorzystają tego zwyczaju, aby podnieść oręż na gospodarzy. Kwintus Fabiusz złamał to święte prawo. Następnego dnia, nałożywszy kluzjańską zbroję, dołączył do obleżonych i ruszył do bitwy z Galami. Upatrzył sobie szczególnie rośłego wojownika, zaatakował go i zabił jednym pchnięciem miecza. Chcąc mieć trofeum, zeskoczył z konia i już miał zdjąć swej ofierze pancerz, ale hełm spadł mu z głowy. Brennus, który akurat walczył w pobliżu, ujrzał jego twarz i od razu rozpoznał.

Ogarnęła go furia. Gdyby mógł się rzucić na Rzymianina, śmierć jednego lub drugiego zakończyłaby pewnie sprawę, ale wir walki rozłączył obu mężczyzn, którzy wyszli z bitwy bez uszczerbku.

Fabiusze odjechali do Rzymu. Brennus, człowiek impulsywny i dumny, całą noc kipiał złością, a rankiem obwieścił zdumionym wojom, że obleżenie jest skończone. Za wielką zniewagę – najpierw przez sugestię, że obraził bogów, potem bezczelnie gwałcąc boskie prawa – Rzymianie muszą być ukarani. Rozkazał, by cała armia, ponad czterdzieści tysięcy ludzi, bez zwłoki ruszała na południe.

Tymczasem w Rzymie pontifex maximus wniósł o ukaranie Kwintusa Fabiusza za tak bezmyślny postępek. Dowodził, że wina obciąża wyłącznie jego, a reszta obywateli jest od niej wolna; jeśli sami wymierzają mu karę, może uchroni to miasto przed boskim gniewem. Reakcja była inna, niż się spodziewał. Ludzie lekceważąco mówili o groźbie odwetu tak ze strony bogów, jak i nieprzyjaciół. Czyż bowiem Fabiusz nie wykazał, jak łatwo pokonać choćby najroślejszego Gala? I czy bogowie nie doprowadzili go cało i zdrowo do domu? Nadchodził czas wyborów; zamiast napiętnować młodego Fabiusza, lud obrał wszystkich trzech braci trybunami wojskowymi. Na wieść o tym Brennus zapalał tym silniejszym gniewem. Jego przemowy rozpały bojowego ducha we współplemieńcach i wraz hordy błyskawicznym marszem przetoczyły się przez dolinę Tybru, szybko zbliżając się do Rzymu.

Był wprawdzie jeden człowiek, który już nieraz udowodnił, że umie zjednoczyć rzymskie siły i poprowadzić je do zwycięstwa, ale teraz go zabrakło: banita Marek Furiusz Kamillus. Każdego wieczoru westalki gorąco modliły się o jego powrót, choć wszędzie widziały oznaki przepowiadające katastrofę. Na próżno – nikt nie pomyślał o odwołaniu wyroku i wezwaniu bohatera, nie wyznaczono też dyktatora, który by przejął rządy na czas kryzysu. Przeciwnie, trzech Fabiusze i pozostali trybunowie uznali za właściwe podzielić się władzą. Zdołali zgromadzić armię równie liczną jak galijska, w przeważającej większości złożona jednak była

z niedoświadczonych rekrutów. Wielu nigdy dotąd nie miało w ręku miecza czy włóczni; butni jak ich przywódcy, byli zaledwie niezdiscyplinowaną, niesforną, za to skorą do przechwałek zbieraniną. W przeddzień bitwy dowódcy, wciąż skłóceni z kapłanami żądającymi kary dla Kwintusa Fabiusza, zaniedbali odczytania auspicji i złożenia ofiar bogom. Rzym miał stanąć do walki ze sprawną armią Galów bez wodza na miarę Kamillus, bez wyćwiczonego wojska i bez boskiej pomocy.

Bitwa rozegrała się w czasie przesilenia letniego. Najdłuższy dzień roku okazał się najtragiczniejszym w historii miasta.

Siły rzymskie posuwały się wzdłuż Tybru, źle rozstawione i w nieładzie wskutek sprzecznych rozkazów dowódców. Kiedy czoło kolumny zbliżyło się do miejsca, gdzie do Tybru wpada płynąca stromym wąwozem rzeka Allia, około dziesięciu mil od miasta, usłyszano hałas, jakby ryczały nieprzeliczone stada zwierząt. Odgłos stopniowo narastał, aż wreszcie Rzymianie się zorientowali, że musi to być bojowa pieśń w prostackim języku Galów. Przednia straż nie przekazała żadnego ostrzeżenia, a wodzom wydawało się niemożliwe, by nieprzyjaciel mógł nadciągnąć tak szybko. Przez przednie szeregi przebiegł dreszcz strachu. W następnej chwili Rzymianie stanęli oko w oko z Galami.

Wybuchła panika. Żołnierze złamali szyk i rzucili się do ucieczki, tratując się nawzajem i spychając do rzeki. Tysiące utonęło w jej nurcie. Tysiące zapędziło się w wąski jar, gdzie zostali niemal w pień wycięci. Tym, którzy przeżyli tę bitwę, udało się to tylko dlatego, że zaskoczony tak łatwym zwycięstwem Brennus zaczął podejrzewać pułapkę i powstrzymywał swych ludzi. Pozwoliło to niedobitkom, którzy zdjęli zbroje i porzucili broń w celu szybszej ucieczki, odbić się od czoła pościgu i uratować ciała kosztem odartych z godności dusz. Ponieważ bliżej im było do Wejów niż do Rzymu, większość schroniła się właśnie tam. Tylko nieliczni dotarli do domu z wieścią o klęsce.

Rzymska armia przestała istnieć, zdziesiątkowana, rozproszona i rozbrojona. Uradowani zwycięstwem, ale wyczerpani rzezią Galowie tej nocy zatrzymali się na odpoczynek. Nazajutrz zabrali się do zdzierania łupów z poległych; było ich tylu, że potrwało to aż do zachodu słońca.

Następnego dnia o świtaniu ruszyli na Rzym. Kiedy po kilkunastu godzinach dotarli tam forsownym marszem, ujrzeli otwarte bramy i ani jednego strażnika na murach. Wszędzie panowała dziwna cisza. Widok był tak niesamowity, że Brennus nie zdecydował się wkroczyć do miasta przy zapadającym zmroku, tylko do rana rozłożył się obozem pod murami.

* * *

Pinaria przespała tę noc samotnie w świątyni Westy. Nawet bogini nie była obecna – święty ogień wygasł i w palenisku pozostał tylko zimny popiół.

Poprzedniego dnia, gdy cała reszta szykowała się do ucieczki, uwijając się w panice po domu westalek, ogarnęło ją przemożne pragnienie, by jeszcze choć parę chwil spędzić w świątyni. Zamierzała szybko przemknąć tam i z powrotem, ale tłoczący się na ulicach uchodźcy pokrzyżowali jej plany. Rzymianie tysiącami porzucali swoje miasto. Niektórzy uciekali na piechotę, unosząc z sobą tylko to, co mieli na sobie; inni ładowali, co się dało, na ręczne wózki albo zaprzęgali osły do wozów, próbując ratować cały dobytek. Kiedy Pinaria brnęła pod prąd tej ludzkiej rzeki, na widok kapłańskiej szaty ustępowano jej z drogi, ale miejscami tłok był po prostu zbyt wielki. Dodatkowo dawał się wszystkim we znaki upał. Ludzie jęczyli i szlochali; jakaś kobieta krzyczała, że jej dziecko upadło i zginęło jej z oczu, tratowane przez dorosłych. Pinaria spojrzała w tamtą stronę, ale tłum poniósł ją naprzód wbrew jej woli.

W końcu przedarła się do świątyni i wyrwawszy się z tłoku, wbiegła na stopnie. Wrota stały otwarte, wewnątrz nie było nikogo. Dziewczyna zamknęła je za sobą, oparła się o ścianę i odetchnęła. Po co tu przysła? Westy już tam nie było; bogini trzeba szukać tam, gdzie jej święty ogień, który zamknięto w przenośnym żelaznym koszu, by wynieść z Rzymu w bezpieczne miejsce. Związaną z tym posępną ceremonię odprawili wspólnie virgo maxima i pontifex maximus przy wtórze płaczu westalek. Dopóki jednak można podtrzymać wieczny płomień, istniała jakaś szansa na przetrwanie miasta.

W okrągłej nawie sanktuarium panował półmrok i zaskakująca cisza, ciężkie drzwi tłumiły bowiem gwar sunącego ulicą tłumu. Na Pinarię spłynął dziwny spokój.

– I co komu po prorocत्वach? – spytała na głos, choć nie miał jej kto usłyszeć.

Marek Cedycjusz ostrzegwał władze i kapłanów o zagrożeniu, ale na nic się to nie zdało. Pomimo podjętych starań o zawrócenie Galów z marszu – ba! zaprawdę wskutek tych starań! – obca armia ciągnęła na Rzym i nic nie mogło jej powstrzymać. Przepowiednia szalonego folusznika okazała się równie nieprzydatna jak prorocтва trojańskiej księżniczki Kasandry. Czy los Troi miał się stać udziałem także Rzymu?

Pinaria zadrżała i skryła twarz w dłoniach. Poczula się nagle wyczerpana. Ukłękła na posadzce i oparła się o puste palenisko.

Nie chciała zasnąć. Sądziła nawet, że to niemożliwe w taką noc, kiedy rozgrywa się dramat miasta i jego mieszkańców. Somnus, bóg snu, wiedział jednak lepiej, czego jej potrzeba. Wraz z synem Morfeuszem, malarzem sennych marzeń, objęli ją w niewyczuwalnym uścisku.

* * *

Obudziła się z gwałtownym drgnięciem, nieświadoma miejsca i czasu. Gdzie była? Po chwili zdała sobie sprawę, że jest w świątyni. Poczula przyływ panicznego strachu. Czyżby zasnęła na służbie i pozwoliła zgasnąć płomieniom? Zerknęła na ciemne, zimne palenisko i

serce podeszło jej do gardła... a potem sobie wszystko przypomniła: nadchodzą Galowie, święty ogień ewakuowano. Czuła, że minęło sporo czasu, odkąd weszła do przybytku. Zza drzwi nie dobiegał żaden dźwięk. Dzień się jeszcze nie skończył, przez szparę pod nimi sączyło się bowiem słoneczne światło. Otworzyła jedno skrzydło i oślepią porannym blaskiem osłoniła oczy. Ręka Somnusa musiała na niej spocząć wyjątkowo ciężko, skoro przespała wszystkie godziny mroku. Morfeusz także ją odwiedził, przypomniła sobie bowiem sen. Była w nim Foslia; trąkotała jak najęta, popisując się erudycją. Wszystko, co mówiła, irytowało Pinarię i pogłębiało jej niepokój...

„Romulus szedł pieszo podczas triumfu. Myślisz, że Brennus wjedzie do Rzymu kwadrygą jak Kamillus? Ciekawe, czy też jest przystojny...”

We śnie było tego więcej, choć Pinaria protestowała i zatykała uszy.

„Trojanki zabrano w niewolę. Czy westalki też zostaną niewolnicami? Nie wyobrażam sobie, aby Galowie długo pozwolili nam zachować dziewictwo...”

Choć krzyczała na Foslię, tamta nie przestawała paplać, jak zwykle z niezbitą pewnością siebie.

„Żadnego miasta nie da się podbić, jeśli jego lud nie obrazi czymś bogów... a w takim razie zdobywcy sprawiają im radość, zabijając i niewoląc pokonanych. Teraz Galowie podbili Rzym. Jak myślisz, co to znaczy, Pinario? Co nam to mówi o Rzymie?...”

Ale koszmar! Mimo lejącego się już z nieba żaru Pinaria zadygotała. To, co ujrziała, schodząc wolno na ulicę, było jednak równie niepokojące i dziwne. Bruk był zasłany porzuconymi przedmiotami, które ludzie mieli nadzieję unieść ze sobą, ale zrezygnowali z nich, gdy do głosu dochodziła panika albo zwykły rozsądek: glinianymi naczyniami, workami wypchanymi odzieżą, szkatułkami pełnymi błyskotek i pamiątek, drewnianymi zabawkami, a nawet krzesłami i trójnożnymi stolikami. Po bokach leżały przewrócone wózki i ich ładunek, którego nikt nie miał czasu zbierać.

Wokoło nie było widać ani jednego człowieka, nie dawał się słyszeć żaden odgłos. Pinaria całe życie mieszkała w mieście; nawykła do przepelniającej je energii, gwaru i tłoku. Widok opustoszałych ulic był nierealny. Rzym zamienił się w pustą skorupę, grobowiec pozbawiony nawet zwłok.

Odeszli także bogowie. Przed ewakuacją Rzymianie opróżnili świątynie ze wszystkich obiektów kultu. Ogień Westy, posągi bóstw, święte talizmany królów, księgi Sybilli – wszystko zostało wywiezione lub zakopane w tajnych kryjówkach rozrzuconych po mieście. Pozostali tylko Somnus z Morfeuszem; być może wciąż się nad nią unosili, Pinaria bowiem miała wrażenie, jakby szła przez dziwny, niezmierny krajobraz rodem z koszmaru. Błąkała się po Forum, czasem zaskoczona przez echo własnych kroków. Wyszedłszy zza kolejnego rogu, omal się nie zachłysnęła z wrażenia. Jednak nie była w mieście sama. Na pozbawionym oparcia krześle przed wejściem do swej rezydencji siedział najwyższy kapłan. Usłyszał ją, drgnął i spojrzął w jej stronę, równie zdziwiony jej widokiem jak ona jego obecnością.

Podbiegła do niego. Kapłan nie ruszył się z miejsca, siedział sztywno ze zmarszczonym czołem.

– Pinaria! Co ty tu robisz? Wszystkie westalki odeszły już wczoraj.

– Tak, pontifeksie. – Ukłękła przy starcu. – I ja miałam odejść wraz z nimi, ale chciałam jeszcze ostatni raz odwiedzić świątynię. Miałam zostać tylko chwilę...

– Ciii... Słyszysz?

Dziewczyna przechyliła głowę. Dźwięk był odległy i z początku cichy, ale wyraźnie się zbliżał. Była to ludzka mowa, przerywana okrzykami i gardłowym śmiechem.

– Galowie – szepnął kapłan. – A więc wreszcie przyszli.

– Dlaczego ty tu jesteś, panie? Dlaczego w porę nie uciekłeś?

– Niektórzy z nas wciąż są Rzymianami. Uciekać z ojczyzny? Nigdy!

– Ale kiedy oni cię znajdą...

– Nie jestem jedyny. Przejdź się przez miasto, a zobaczysz innych, którzy zostali. Najczęściej to starcy jak ja, ludzie, którzy nigdy w życiu nie pierzchali przed wrogiem i nie mają zamiaru robić tego teraz. Nie będziemy też trwożliwie kryć się po izbach. Każdy z nas wyciągnął krzesło przed swój dom i spokojnie czeka na to, co ma nadejść, z nienaruszoną rzymską godnością.

– Ależ ci Galowie to potwory! Każdy z nich to olbrzym, dwa razy większy od normalnego człowieka. Piją ludzką krew, składają ofiary z dzieci, jeńców palą żywcem!

– Mogą zabić moje ciało, ale nie ducha. Uciekaj, Pinario. Zbliżają się tutaj.

– Dokąd?

– Przejdź na drugą stronę ulicy, szybko! Schowaj się w gałęziach tej morwy i siedź cicho, cokolwiek ujrzysz. Idź!

Pinaria, choć z ociąganiem, zostawiła go samego. Zdążyła się ukryć, zanim na ulicę wkroczył oddział Galów, ze śmiechem wymachujących mieczami. Byli rzeczywiście wysocy, choć nie tak, jak to sobie wyobrażała. Nie byli też wcale szpetni; paru można by nawet nazwać przystojnymi, mimo dziwacznych fryzur i nie strzyżonych bród.

Żołnierze spostrzegli kapłana i zamilkli. Podeszli bliżej, spoglądając na niego z zaciekawieniem. Siedział nieruchomo, z dłońmi na kolanach i wzrokiem skierowanym prosto przed siebie. Powoli go otoczyli, zamienili po parę słów w swoim dziwnym języku. Paru ze śmiechem udało, że chcą go pchnąć mieczami. Nie zareagował; nawet nie zmrużył powiek. W końcu jeden z nich, rudowłosy olbrzym, którego rozkazów inni słuchali, nachylił się i spojrzał mu z bliska w twarz. Złapał go za brodę, zaśmiał się i pociągnął.

Tym razem reakcja była błyskawiczna. Trzasnął wymierzony z całej siły policzek, odbijając się echem tak głośnym, że Pinaria z trudem powstrzymała okrzyk.

Gal odskoczył i ryknął z furją. Dobył długiego miecza i zakreślił nim koło w powietrzu. Starzec się nie poruszył, ale twarz mu zbieleła jak płótno. Żołnierz wziął zamach i ciał go z całych sił w kark. Głowa kapłana wleciała w górę, ciągnąc za sobą siwą brodę jak ogon

komety. Spadła na bruk, odbiła się raz i potoczyła z rozpędu, zatrzymując się zaledwie kilka kroków od kryjówki westalki.

Pinaria mimo woli otworzyła usta do krzyku, wtem z tyłu wśliznęła się czyjaś ręka, zakrywając je mocno, a silne ramię objęło ją tak ciasno, że z trudem mogła nabrać powietrza.

Tam, gdzie przed chwilą białe szaty pontifeksa, tryskała w górę czerwona fontanna. Kończyny drgały konwulsyjnie, palce rąk przebierały w powietrzu jak oszalałe. Galowie śmiali się i nadstawiali twarze, jakby rosił je chłodny deszcz, a nie krew. Widok był tak okropny, że Pinaria zaczęła się szarpać w uścisku nieznanego, rozpaczliwie pragnąc rzucić się do ucieczki i biec, gdzie ją oczy poniosą, on jednak trzymał ją mocno. Na plecach czuła bicie jego serca. Ciało westalki jest święte; dziewczyna nie przywykła do ludzkiego dotyku. Uczucie tak namacalnej bliskości było dla niej zarazem przerażające i dziwnie kojące.

Galowie zrzucili trupa kapłana z krzesła, kopnęli je kilka razy i zaczęli się zbierać do odejścia. Dowódca rzucił krótki rozkaz i jeden z nich pobiegł, by podnieść odciętą głowę. Podszedł tak blisko drzewa, że Pinaria była pewna, iż ją zobaczy; on jednak nawet nie spojrzał w jej stronę. Podniósł upiorne trofeum za brodę i wrócił do kolegów, kręcąc nim jak procą. Po chwili cała grupa zniknęła za rogiem.

Mężczyzna powoli rozluźnił uścisk. Wysunęła się z objęcia i odwróciła do niego. Był to młody chłopak, niewiele starszy od niej, ubrany w poszarpaną tunikę. Wystrzępione skrawki ciemnej skóry na jego stopach trudno było nawet nazwać sandałami. Pinaria zerknęła na dłoń, która zakrywała jej usta, potem na drugą, która jeszcze przed chwilą... dotykała jej piersi.

– Gdzie twój pierścień? – spytała.

Młodzieniec tylko uniósł brwi. Miał jasne, niebieskie oczy i był bardzo urodziwy, mimo niesfornej czupryny przypominającej targany wiatrem wiecheć słomy.

– Twój pierścień obywatela – powtórzyła. – Gdzie go masz?

Zgodnie z obyczajem przejętym od Greków każdy wolny Rzymianin nosił sygnet, najczęściej prostą żelazną obrączkę. Niektórzy mieli wycięte w niej symbole lub inicjały; jeżeli zachodziła potrzeba, mogli pieczętować nią listy lub dokumenty.

– Nie mam pierścienia – odpowiedział. – Za to mam coś innego.

Wskazał na wiszący na jego szyi amulet. Wyglądał na ołowiany, raczej prymitywnie odlany w kształt męskiego członka ze skrzydełkami.

Pinaria pobladła.

– Jesteś niewolnikiem, tak?

– Tak.

– Niewolnik śmiał mnie dotknąć!

Chłopak zaśmiał się cicho.

– Wołałabyś, żebym pozwolił ci krzyknąć? Ci Galowie by cię zaraz znaleźli, a potem i mnie. A że jestem od ciebie ładniejszy, kto wie, które z nas by chcieli... hmm... zniewolić. Nie

wiem jak tobie, ale mnie się nie uśmiecha zostać zabawką któregoś z tych wielkich krwiopijców.

Pinaria wpatrywała się w niego zdezorientowana. Żaden mężczyzna jeszcze do niej nie przemawiał tak dosadnie, a mało który z niewolników w ogóle śmiał się do niej odezwać, jeśli nie musiał odpowiedzieć na jej rozkaz czy pytanie. Na pewno zaś nikt nigdy nie patrzył jej w oczy tak zuchwale i z takim łobuzerskim uśmiechem.

Niewolnik zmierzył ją wzrokiem od góry do dołu.

– Musisz być westalką.

– Jestem nią.

– Co cię tu zatrzymało? Powinno cię tu od wczoraj nie być.

Dziewczyna nagle poczuła, że się zaraz rozplacze. Wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić.

– Jesteś bardzo impertynencki.

– Czy to samo powiesz Brennusowi, kiedy każe cię przywiązać rozkrzyżowaną do palików pośrodku Forum, a kolejka Galów chętnych do nawiązania z tobą znajomości będzie sięgać aż pod Awentyn?

Pinaria uderzyła go w twarz, a potem zanosła się niepohamowanym szlochem. Niewolnik nie próbował jej dotykać, tylko cofnął się o krok i założył ręce na piersi.

– Nastraszyłem cię?

– Tak.

– To dobrze, bo za chwilę będzie tu ich więcej, a to nie najlepsze miejsce na kryjówkę.

– Muszę się wydostać z miasta – powiedziała przez łzy.

– To niemożliwe.

– Dokąd więc mam pójść?

– Weź mnie za rękę.

– Co?

– Galowie idą. Słyszysz ich rechot?

Nadstawiła ucha. Gdzieś, całkiem niedaleko, rozlegała się dzika pieśń w chropawym języku. Wyglądało na to, że śpiewający są pijani.

– Nazywam się Pennatus. No, dawaj rękę i nie puszczaj. Będziemy biegli, i to bardzo szybko.

– Dokąd?

– A skąd mam wiedzieć? W bogach nadzieja, że nas poprowadzą.

– Bogów nie ma już w Rzymie – odrzekła, ale ujęła podaną dłoń.

* * *

Biegli, klucząc po uliczkach, raz w górę, raz w dół; nie zmierzali nigdzie, starali się tylko nie natknąć na Galów. Pojawiało się ich coraz więcej; rozchodzili się po mieście jak szczury po statku i coraz trudniej było unikać spotkania. Parokrotnie ich spostrzeżono, żołnierze z krzykiem rzucali się w pogoń, ale za każdym razem udawało się młodym Rzymianom zmylić trop. Pennatus zdawał się znać miasto na wylot – każdą krętą alejkę i każdą dziurę w murze.

Widzieli po drodze wiele okropności. Jak powiedział pontifex, niejeden obywatel czekał na zdobywców bez strachu, siedząc niczym posąg przed własnym domem. Niektórych ścinano na miejscu, innych duszono lub kłuto nożami. Kilka trupów wisiało też na drzewach. Okazało się, że w mieście pozostało zaskakująco wielu ludzi, którzy jak Pınaria zamierzali uciec, ale nie zdążyli przed nadejściem nieprzyjaciela. Ulice zamieniły się w igrzyska; Galowie byli myśliwymi, Rzymianie zwierzyną. Na oczach westalki zabijano mężczyzn, gwałcono kobiety i dziewczęta. Pijani winem i morderczym szalem żołnierze płądrowali sklepy i podpalali kamienice. Gapili się z rozwartymi ustami na wspaniałe wille Palatynu, a jeszcze szerzej je otwierali, widząc nagle wśród tego bogactwa prymitywną chatę Romulusa i Remusa. Czy tak nieczułe, półludzkie stworzenia mogły zrozumieć, co to święte miejsce symbolizuje? Pınaria ze zgrozą patrzyła z cienia, jak grupa podchmielonych barbarzyńców staje kręgiem wokół chaty i zaczyna zlewać ją moczem, pokrzykując przy tym i wzajemnie się dopingując jak na zawodach. Żadna z widzianych tego dnia przerażających rzeczy nie uraziła jej tak głęboko i nie kazała tak desperacko zwątpić w odrodzenie się Rzymu z tego upadku, jak ta wołająca o pomstę do nieba profanacja.

Dzień zdawał się nie mieć końca. Wreszcie, kiedy przechodzili pod Skałą Tarpejską, usłyszeli dobiegające z wysoka głosy:

– Tutaj! Na górę! Na Kapitolu będziecie bezpieczni!

Zadarli głowy i ujrzeli drobne figurki ludzi wyglądających zza krawędzi urwiska. Machali do nich, gorączkowo pokazując coś w tyle za nimi.

– Galowie! Tuż za wami, za rogiem! Uciekajcie! Spieszcie się! Jeśli się wam uda dobiec do ścieżki...

Pınaria była zbyt przerażona, by myśleć, i zbyt zmęczona, by się ruszyć z miejsca. Pennatus pociągnął ją za sobą, mocno ściskając za rękę. Przebiegając przez otwarty plac zostali dostrzeżeni przez tę samą grupę Galów, która zabiła kapłana; jeden z nich wciąż podrzucał w rękę jego skrwawioną głowę. Dziewczyna krzyknęła przeraźliwie, na co oni wybuchnęli śmiechem i rzucili się w pogoń.

Pınaria i Pennatus dobiegli do dróżki wiodącej stromym zboczem na szczyt Kapitolu, tej samej, którą każdy triumfalny pochód docierał pod świątynię Jowisza. Osłabła z żalu, zeszywniała z przerażenia westalka osiągnęła kres wytrzymałości, a jednak holowana niezłomnie przez towarzysza niemal frunęła za nim pod górę. On chyba naprawdę musi mieć skrzydła, przemknęło jej przez głowę, jak sugeruje jego imię; jakże inaczej mogłaby wciąż

biec naprzód, skoro resztki woli wyparowały z niej tak dokumentnie, że zmęczone nogi nie mają nawet komu dalej odmawiać posłuszeństwa...

Urwiste zbocza Kapitolu zawsze czyniły z niego najlepszą naturalną pozycję obronną w Septimontium. Przez pokolenia nagromadzone na nich budowle, monumenty i mury zamieniły wzgórze niemal w fortecę. obrońcy na szczycie musieli tylko zasypać kilka przejść, żeby odciąć oblegającym dostęp. To właśnie robili, gdy niewolnik i westalka dotarli w końcu na górę. W przegradzającej drogę barykadzie z kamieni i drewna widniała jeszcze wąska szczelina. Stał w niej jakiś mężczyzna, gwałtownie machając rękami w ich stronę.

– Galowie za wami!

Na barykadzie ukazał się inny Rzymianin, uniósł łuk i wypuścił strzałę, która niemal otarła się o włosy Pinarii. Usłyszała świst, a zaraz potem czyjś chrapliwy, urwany krzyk – tak blisko za plecami, że aż się skuliła w biegu. Ścigający dosłownie deptali im po piętach.

Pennatus dopadł szczeliny i jednym skokiem znalazł się po drugiej stronie, ciągnąc ją za sobą. Potknęła się o kamień i skaleczyła ramię o wystającą belkę, ale była już bezpieczna. Znowu zadźwięczała cięciwa łuku, świsnęły strzały, a kilku ludzi w szalonym pośpiechu dokończyło zasypywanie przejścia. Łucznik wydał triumfalny okrzyk:

– Ha, uciekają! Jednego trafiłem prosto w oko, drugiego w ramię. Nawet giganci rejterują, kiedy im pokazać, kto tu rządzi!

Zeskoczył z barykady, aż zagrzechotała źle dopięta zbroja. Zdjął hełm, ukazując czysto ogoloną twarz i bujne czarne włosy. Oczywiście miał niemal po kociemu zielone. Wyprostował się i spojrzał na Pinarię.

– Nazywam się Gajusz Fabiusz Dorso – przedstawił się niskim, dźwięcznym głosem, z tak widoczną przyjemnością wymawiając swe imię, że efekt był niemal komiczny. Zerknąwszy na jej szatę, spytał: – Czy to możliwe, byś była jedną z westalek?

– Na imię mam Pinaria – odpowiedziała, starając się opanować drżenie głosu.

– A to co takiego?

Gajusz Dorso spojrzał na jej ramię. Tkanina była tam rozdarta, a blada skóra podrapana i zakrwawiona. Odwrócił skromnie oczy, świadom świętości jej ciała.

– Jak to się stało? Niewolnik musiał cię traktować bardzo nieostrożnie! Jeśli chcesz go ukarać...

– Nie bądź głupi! – ofuknęła go ostro. – To zwykłe zadrapanie, a on uratował mi życie.

Zakryła zranione miejsce dłonią i syknęła, nagle czując ból. Spojrzała na Pennatusa. Może nie jest aż taki przystojny jak mi się wydawało, pomyślała; przy Gajuszu wygląda trochę śmiesznie z tymi zmierzwionymi włosami i w byle jakiej tunice. Niemniej kiedy się do niej szeroko uśmiechnął – coż za zuchwałość u niewolnika! – nie mogła mu nie odpowiedzieć uśmiechem. Poczowała, że się czerwieni, i spuściła oczy.

* * *

– Gdybyś naprawdę miał skrzydła, mógłbyś stąd odlecieć – powiedziała. – A gdybym ja...

Stali za szansem od strony Forum i patrzyli na leżące za nim wzgórza. Już wiele dni upłynęło od najazdu Galów. Widok Rzymu okupowanego przez dzikusów z początku ją przerażał i bezmiernie zdumiewał, ale z czasem spowszedniał. Rzadko już się zdarzało, by na szczyt Kapitolu docierał krzyk jakiegoś nieszczęśnika wyłuskanego z kryjówki i bezlitośnie mordowanego. Większość ukrywających się ludzi została schwytana już w pierwszych dniach, a tylko garstce wybrańców Fortuny udało się schronić tu, na niedostępnej skale. Wciąż jednak były w niebo słupy dymu z coraz to nowych pożarów. Galowie metodycznie plądrowali dom za domem, a gdy już nic nie dało się zrabować, podkładali ogień z czystej radości niszczenia i chęci pogwałcenia patrzących na to z Kapitolu Rzymian. Tego dnia nie było wiatru i dym wzbijał się wysoko, tworząc nad miastem szarą zasłonę, przez którą z trudem przedzierało się słońce i jasny dzień zamieniał się w chmurny cień przedświt.

Grupa obrońców – Gajusz Fabiusz Dorso nalegał, by tak właśnie o sobie myśleli, a nie jak o więźniach, ponieważ byli Rzymianami na rzymskiej ziemi – na razie miała co jeść i pić. W pierwszych dniach oblężenia zajęci byli umacnianiem swych pozycji: wznosili płoty, kopali rowy, a nawet skuli fragmenty zbocza, aby jeszcze bardziej utrudnić wrogom dostęp na szczyt. Dopóki czujnie trzymali straż, ich forteca pozostawała praktycznie nie do zdobycia. Desperacja nigdy jednak nie odstępowała ich dalej niż na parę kroków. Musieli się bezsilnie przyglądać, jak ich ukochane miasto ulica po ulicy obraca się w perzynę; nie mieli żadnych wieści o losie tych, którzy uciekli; na dodatek wszystkich trapiła przerażająca myśl, że bogowie naprawdę ich porzucili. Wszystkie te troski zaprzętały im głowę za dnia i malowały ciemną barwą senne koszmary.

Żeby tak mieć skrzydła i móc odlecieć...

Pennatus się uśmiechnął. Zawsze się uśmiechał, choć dobrze sobie zdawał sprawę z powagi ich sytuacji. Nie był podobny do żadnego ze znajomych Pinarii. Większość niewolników była milcząca i pokorna, nie pragnęła niczego bardziej, jak nie być zauważonym. Większość wolnych mężczyzn zachowywała się przy niej z nieco wymuszoną atencją lub zakłopotaniem, często maskowanym obojętnością. Z Pennatusem było zupełnie inaczej. Ciągłe żartował i bagatelizował ich sytuację, a z jej szczególnej pozycji nic sobie nie robił. Sprawiał wrażenie pozbawionego wszelkich religijnych skrupułów, jeżeli nie wiary w ogóle. Często mówił rzeczy wykraczające poza granice bluźnierstwa, nie tyle ubliżając bogom, ile raczej wykluczając ich istnienie. Pinaria nikogo takiego dotąd nie знаła, a nawet nie wyobrażała sobie, że może być ktoś taki. Nie było rzeczy, której bałby się lub wzbraniał jej powiedzieć. Czasem czuła, że z nią flirtuje, nie miała jednak w tych sprawach dość doświadczenia, by móc to stwierdzić z całą pewnością. Gdyby tylko była tu z nią Foslia! Miałaby wtedy z kim porozmawiać o nieznanym uczuciu, jakie budził w niej ten dziwny niewolnik.

– Może to dobrze, a może źle, ale mimo skrzydlatego imienia nie umiem fruwać – rzekł Pennatus. – Opowiadałem ci już, skąd się wzięło?

Westalka pokręciła głową.

– Nadał mi je mój pan, kiedy byłem niemowlęciem. Moja matka też należała do niego.

– A ojciec?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Nigdy go nie widziałem. Bardzo możliwe, że to pan mnie spłodził.

Pinaria się zarumieniła, na co niewolnik cmoknął z dezaprobatą.

– Do licha, czy oni was, westalek, niczego nie uczą o prokreacji? No jasne, nie uczą. Jakie praktyczne zastosowanie mogłybyście znaleźć dla takiej wiedzy?

Czerwień policzków dziewczyny przeszła w paś.

– Doprawdy, Pennatusie! Będę się modlić do Westy, żebyś nabrał większego szacunku dla jej służebnic.

– Nie kłopotz się. Jestem tylko niewolnikiem. Twoja bogini nie interesuje się mną bardziej niż ja nią.

Pinaria westchnęła z irytacją.

– Miałeś mi powiedzieć, skąd się wzięło twoje imię.

– Od tego amuletu, z którym się nie rozstaję. Jak widzisz, ma skrzydła. Nosiła go moja matka. Chronił ją w połogu, ale potem oddała go mnie. Włożyła mi go na szyję krótko po moich narodzinach. Mój stary pan miał kiepski wzrok i widział tylko, że to coś skrzydlatego, tak mnie więc nazwał: Pennatus, czyli Skrzydlaty. Matka zmarła, kiedy byłem jeszcze bardzo mały. Amulet mi o niej przypomina.

Dziewczyna spojrzała na ciemnej barwy przedmiot spoczywający w zagłębieniu między mięśniami jego szerokiego torsu. Widać go było zawsze, tunika Pennatusa miała bowiem głębokie wycięcie, odsłaniające połowę klatki piersiowej. Nie po raz pierwszy Pinaria zwróciła uwagę na jego wyraźnie zarysowaną muskulaturę i miękkie, jasne włoski pokrywające opaloną na brązowo skórę.

– Z czego jest zrobiony ten twój skrzydłak?

Uśmiechnął się tajemniczo, jakby z jakiegoś dla niego tylko zrozumiałego żartu.

– A jak myślisz?

– Z ołowiu?

Skinał głową, nucąc kilka taktów jakiejś melodii.

– Właśnie. A który pan chciałby zabierać niewolnikowi bezwartościowy ołowiany wisiorek? Co innego, gdyby amulet był odlany z cennego metalu, srebra czy złota... Długo bym się nim wtedy nie cieszył. Nawet miły, tolerancyjny, nieco dzieciniały na starość właściciel mógłby się na niego skusić.

– Pewnie tak – zgodziła się westalka, która mało kiedy zastanawiała się nad życiem niewolników, ich problemami i upokorzeniami. Świat był dla niej taki, jakim stworzyli go

bogowie, a ich woli się nie kwestionuje. Jeżeli jednak jest się kimś takim jak Pennatus, który zdaje się nie wierzyć w bogów, jakże inaczej muszą się mu jawić i świat, i ludzie...

Pennatus miał szczęście. Pan traktował go dobrze, a on odpłacał mu lojalnością i opieką, której starzec ciągle potrzebował. Kiedy nadeszli Galowie, był zbyt słaby na podróż. Niewolnik pozostał przy nim, tracąc szansę na ucieczkę. Wstrząs z powodu klęski okazał się zbyt ciężki dla jego właściciela – serce przestało mu bić, zanim jeszcze wróg wkroczył do miasta – i młody sługa został sam, zdany na własny spryt. Tak oto, włóczęc się samopas, natknął się na Pinarię.

Kapłanka westchnęła i zapatrzyła się na bijące w niebo kolumny dymu. Po chwili jej uwagę zwrócił hałas dobiegający od podnóża Kapitolu. Banda pijanych Galów okładała kijami posąg Herkulesa. Drewno pękało na twardym marmurze, ale oni rozochoceni, wśród salw dzikiego śmiechu, nie ustawali w ataku. W końcu któremuś udało się odłamać herosowi palec i cała grupa zaczęła tańczyć, wyjąc triumfalnie.

– Co za idioci! – Pennatus parsknął śmiechem.

– Co za potwory! – Pinarii wybryk Galów nie rozbawił, raczej przygnębił. Podniosła oczy ku zasnutemu warstwą dymu niebu. – Gdybyś miał te swoje skrzydła, Pennatusie, czy nie pragnąłbyś natychmiast stąd odlecieć gdzieś bardzo daleko?

– Może bym i pragnął. – Chłopak popatrzył na nią spod uniesionych brwi. – A może trzymałbym je zwinięte i został tu z tobą.

– Nie gadaj głupstw! – zachnęła się, ale nagle poczuła się jakby mniej smutna.

Patrzyli na siebie przez długą chwilę, po czym oboje odwrócili się, słysząc zbliżające się kroki. Szedł ku nim Gajusz Dorso, jak zawsze po wojskowemu wyprostowany, ale tym razem bez zbroi; miał na sobie odświętną togę przetykaną purpurowo-złotym brzegiem, a na głowie opaskę z tego samego materiału. Najwyraźniej szykował się do jakiegoś religijnego obrzędu. W rękach niósł kilka małych naczyń z kowanej miedzi, ale widać było, że jest mu trochę niewygodnie.

– Jesteś gotowy, Pennatusie? – spytał. – Wino i oliwę mogę ponieść sam, ale musisz mi pomóc z prosem i solą.

Niewolnik skinął głową i podszedł, by uwolnić go od paru naczyń.

– Co się dzieje? – spytała Pinaria.

Dorso jeszcze dumniej podniósł głowę.

– Dziś jest dzień dorocznej ofiary Fabiuszów na Kwirynale. Ponieważ tylko ja z całego rodu zostałem w Rzymie, ten obowiązek spada na mnie.

– A gdzie chcesz ją złożyć?

– Jak to gdzie? Na starym ołtarzu Kwirynusa, oczywiście.

– Ale jak? Między Kapitołem a Kwirynałem musi być z tysiąc Galów!

– Tak, a drugi tysiąc wyroił się na samym wzgórzu jak szczury. Niemniej jestem zobowiązany dochować tradycji i zrobię to.

– Ależ, Gajuszu, to niemożliwe!

– Rytuał był odprawiany tego dnia rok w rok przez wiele pokoleń, niezależnie od okoliczności. Dawno temu, podczas pierwszej wojny z Wejami, oddział złożony z samych Fabiuszów... było ich trzystu siedmiu... wyruszył bić się za Rzym. Wpadł w straszliwą zasadzkę, z której wyszedł żywy tylko jeden z nich. Aby podobna tragedia nigdy się już nie powtórzyła, corocznie składamy ofiarę praojcu Romulusowi w jego wcieleniu boga Kwirynusa. Dziś jest ten właśnie dzień.

– Zejść teraz z Kapitolu to szaleństwo.

– Możliwe. Większym jednak szaleństwem byłoby zaniedbanie ofiary. Jesteś westalką, powinnaś to rozumieć najlepiej. Pójdę przez Forum, prostą drogą do ołtarza. Odprawię obrzęd. Tą samą drogą wrócę. Jeżeli Galowie mnie zaczepią, powiem, że przeszkadzają w świętej procesji. To dziwni ludzie. Nie mają wielkiego pojęcia o bogach i religii, ale są przesądni i łatwo można ich nastraszyć.

– Przecież ty nie znasz ani słowa w ich języku!

– Zobaczą, że niosę święte naczynia. Po twarzy poznają, że spełniam religijną posługę. Kwirynus mnie ochroni.

Pinaria kręciła głową nieprzekonana. Spojrzała na niewolnika i z trudem przełknęła ślinę.

– Czy musisz zabierać ze sobą Pennatusa?

– Zgodnie ze zwyczajem niewolnik zawsze towarzyszy Fabiuszowi w procesji.

– Ale on nie jest twoim niewonikiem.

– To prawda i nie przymuszam go, by szedł ze mną. Poprosiłem go o to, a on się zgodził.

– Pennatusie, czy to prawda?

Młodzieniec wzruszył ramionami i błysnął zawadiackim uśmiechem.

– Wydawało mi się to całkiem rozsądne. Nudzę się tu, zamknięty na górze od tylu dni. Myślę, że to będzie niezła przygoda.

– Nie, tak nie można. Słuchaj... – zwróciła się do Gajusza. – On jest... on jest bezbożny. Nie może uczestniczyć w takim rytuale. Nie ma dla bogów większego szacunku niż Galowie.

– Tym lepiej! – odparł Dorso. – Jeśli mi się nie uda wyrzucić na nich wrażenia, to może w nim dostrzegą bratnią duszę i zostawią nas w spokoju. – Uśmiechnął się do niewolnika, który odwzajemnił mu się tym samym.

Przyjaźń, jaka połączyła obu młodych ludzi, była dla Pinarii wielką zagadką. Trudno było o dwa bardziej odmienne charaktery. Gajusz Fabiusz Dorso był pobożnym, zrównoważonym patrycjuszem i żołnierzem; dał się lubić, choć nie brakowało mu pychy i próżności. Jak mógł nie tylko zaakceptować, ale polubić Pennatusa, niewolnika i bluźniercę nie mającego szacunku dla niczego i nikogo? A jednak, rzuceni przez los na oblężony Kapitol, w sytuacji, gdy legł w gruzach normalny porządek, ci dwaj znajdowali we wzajemnym obcowaniu przyjemność, która z każdym dniem rosła i się pogłębiała. Teraz, ku zdumieniu i przerażeniu Pinarii, wybierali się na szaloną eskapadę, z której na pewno nie wyjdą cało.

Podeszła do Gajusza i położyła mu dłoń na ramieniu.

– Proszę... zaklinam cię, nie rób tego! Zrezygnuj z ceremonii. Bogowie... jeżeli jeszcze została im jakaś resztką miłości dla nas... zrozumieją i wybaczą.

Pod jej dotknięciem Fabiusz spokorniał.

– Proszę cię, westalko... potrzeba mi twojego błogosławieństwa, a nie zniechęcania. Prawda jest taka: wróciłem z bitwy nad Allią i mimo upadku miasta pozostałem tu wyłącznie w tym celu, by dopełnić rytuału. Jestem... – wziął głęboki oddech – ...aż nadto świadomy, jaką rolę odegrali moi krewniacy w tej niepotrzebnej wojnie, ściągając na nas gniew nie tylko Galów, ale być może i bogów. Nie mogę cofnąć czasu i odwrócić szkód wyrządzonych przez mojego porywczego, bezbożnego kuzyna Kwintusa. Powinna go spotkać kara za to przestępstwo... sam pontifex maximus tak powiedział... tymczasem lud go pochwalił i uczynił dowódcą legionów. Teraz, kiedy spadła na nas katastrofa, na moich barkach spoczął obowiązek uczczenia bogów i moich przodków przez dokonanie tradycyjnego obrzędu. Gdybym... – znów przerwał na moment, wzdychając ciężko. – Gdybym zginął podczas tej próby, może moja krew zadowoli i udobrucha bogów. Może przyjmą mnie w ofierze zamiast kuzyna Kwintusa i ich łaska znów spłynie na Rzym.

Pinaria była tak wzruszona, że długo nie mogła wydobyć z siebie głosu. Walczyła z cisnącymi się jej do oczu łzami, aż wreszcie powiedziała:

– Gdyby była tu virgo maxima, ona sama udzieliłaby ci błogosławieństwa. Nie ma jej jednak z nami, a ja jestem jedyną westalką w Rzymie, więc pobłogosławię ci z całego serca, Gajuszu Fabiuszu Dorso. Idź i złóż ofiarę... i wracaj szczęśliwie!

Dorso uklonił się jej nisko, odwrócił się i ruszył ku barykadzie, trzymając przed sobą naczynia z winem i oliwą.

Pennatus odczekał chwilę, rzucając westalce dziwne spojrzenie. Minę miał poważną, ale oczy mu się śmiały. Spojrzał na spoczywające w dłoniach garnuszki prosa i soli, zmarszczył brwi i wyduł usta, po czym jakby nagle podjął decyzję.

– No, dobra! Powiedziałem, że z nim pójdę, to pójdę.

– Wracaj szczęśliwie, Pennatusie – szepnęła.

Omal nie wyciągnęła ręki, by go też dotknąć, ale w ostatniej chwili się powstrzymała. Bogini raczej by się nie podobała taka poufałość wobec niewolnika...

Pennatus wyprostował ramiona i nabrał powietrza.

– Oczywiście, że wrócę. Czyż nie będą mnie chronić twoi bogowie? Jeśli Galowie nam zagrażą, po prostu rozwinę skrzydła i przylecę prosto do ciebie!

Młodzieńcy pomaszzerowali przez Kapitol. Wieść o zamiarze Fabiusza rozeszła się wśród obrońców lotem ptaka, toteż pod barykadą zebrał się spory tłumek żegnających. Żołnierze rzucili się, by pomóc im przejść na drugą stronę. Nie uronili ani ziarnka soli, ani kropli oliwy, co zostało poczytane za dobry omen. Wiele par oczu śledziło każdy krok śmiałków na prowadzącej w dół zbrocza ścieżce. Szmer rozmów ucichł, gdy na barykadzie dołączyła do

nich Pinaria. Ludzie się odsunęli, by zrobić jej miejsce, a ona wpatrzyła się w odchodzących i zaczęła bezgłośnie poruszać ustami. Biorąc to za modlitwę, stojący obok zaczęli także zanosić prośby do Kwirynusa o szczęśliwy powrót jego czcicieli; nikt nie wiedział, że słowa bezszelestnie ulatujące z warg westalki nie są skierowane do żadnego bóstwa.

– Wracaj do mnie, Pennatusie! – błagała w myśli. – Wróć do mnie!

Godziny wlokły się niemiłosiernie. Słońce zaczęło już schodzić ku dalekim zatybrzańskim wzgórzom i rzucało na chmurę dymu krwawą poświatę. Obrońcy wpatrywali się w odległy Kwirynał, nie widać tam jednak było nic, co mogłoby im zdradzić losy Fabiusza i Pennatusa. Pinaria przemierzała otwarte przestrzenie na szczycie, bezwiednie szepcząc modlitwy do Westy, w głębi serca czuła jednak, że przemawia w próżnię. Ogień bogini zniknął z Rzymu, a jej świątynię zbezczeszcili barbarzyńcy. Westa musi być bardzo, bardzo daleko stąd, myślała, dalej, niż może sięgnąć nawet najbardziej oddana westalka. Zresztą nawet gdyby była tuż obok i mogła ją słyszeć, to czyż nie przejrzałaby na wyłot jej serca i nie wiedziałyby, że jej modlitwa jest w istocie bluźnierczą? Westalka może się modlić o bezpieczeństwo Fabiusza – rzymskiego obywatela wypełniającego świętą misję. Słowa, które nieproszone pchały się jej na usta, nie dotyczyły jednak jego i nie miały nic wspólnego z dopełnieniem religijnego obowiązku. Co by bogini powiedziała, słysząc, jak jedna z jej kapłanek tak gorąco pragnie powrotu niewolnika? To nawet lepiej, że Westy tu nie ma, że nie może słyszeć bezgłośnego krzyku Pinarii...

Z posepnego zamyślenia wyrwał ją okrzyk jednego z wartowników.

– Tam! Spójrzcie w dół, na Forum! Widzę ich! Jest Dorso, jest niewolnik... i całe setki Galów!

Wiadomość dała Pinarii nagły przebłysk nadziei, ale zaraz znów ogarnęła ją czarna rozpacz. W wyobraźni podsycanej własnymi niedawnymi przeżyciami widziała, jak dwaj młodzieńcy pędzą co sił w nogach, uciekając przed ścigającymi ich rozjuszonymi wielkoludami; widziała, jak barbarzyńcy ich dopadają, unoszą miecze... a potem zatykają na drzewca ich odcięte głowy. Rzuciła się biegiem ku barykadzie, wdrapała na szczyt i bez tchu spojrziała na zbocze.

Takiego widoku się absolutnie nie spodziewała. Dorso i Pennatus kroczyli dostojnie, z podniesionymi głowami, niosąc przed sobą na uniesionych dłoniach puste już naczynia. Właśnie zaczęli wspinaczkę krętą drogą na szczyt Kapitolu. Za nimi w milczeniu szedł tłum Galów z dobytą bronią, trzymali się jednak z tyłu i nie próbowali dwóm Rzymianom przeszkodzić ani ich zatrzymać.

Oficer dowodzący wartą pokręcił z desperacją głową.

– Ach, ci Galowie i ich okrutne gry! Oczekają, aż nasi dotrą pod barykadę, by zabić ich tuż pod naszymi nosami. Podłe bestie! Musimy ich ostrzelać teraz, póki Dorso ma jeszcze szansę im uciec. Łucznicy! Napiąć cięciwy!

– Nie! – krzyknęła Pınaria. – Nie widzisz ich twarzy? Jest tak, jak Fabiusz przewidział. Galowie się go boją. Widzicie, jak się trzymają na dystans? Jak szepczą między sobą i się przepychają, by lepiej ich obu widzieć? Zupełnie jakby rzucił na nich urok. Jeśli wystrzelicie, czar pryśnie. Opuśćcie łuki! Nic nie róbcie ani nie mówcie!

Mężczyźni posłusznie zdjęli strzały z cięciw i umilkli.

Fabiusz i Pennatus byli coraz bliżej, a Galowie uparcie za nimi podążali. Pınaria czuła, jak serce szamoce się jej w piersi. Oczekiwanie sprawiało jej palący ból. Czemu oni tak wolno idą? Są na ostatnim zakręcie. Wyraźniej było teraz widać twarz Fabiusza: pogodną i uduchowioną, twarz człowieka przepelnionego spokojem i harmonią, gotowego żyć lub umrzeć zależnie od boskiej woli.

A potem zobaczyła Pennatusa. Serce znów zabiło jej mocniej, kiedy ich spojrzenia się spotkały, a on się uśmiechnął... i mrugnął do niej!

Dobrnęli do barykady. Od razu wyciągnęło się ku nim kilka pomocnych rąk. Dorso wgramolił się na górę i obejrzał przez ramię.

– Durni Galowie – mruknął. – Łucznicy! Teraz macie szansę zabić kilku tych głupców. Brać ich na cel i strzelać, zanim zdążą uciec!

Świsnęły strzały, powietrze przeszyły krzyki trafionych i odgłosy chaotycznego odwrotu. Dorso szybko sprowadził Pınarię na dół, w bezpieczne miejsce.

– To twoje błogosławieństwo sprawiło, westalko! – szepnął. – Czułem, że bogini domowego ogniska czuwa nad nami przez całą drogę.

– Naprawdę? – Kapłanka patrzyła na niego w napięciu, zerkając co chwila na niewolnika. – Naprawdę czułeś jej obecność?

– Coś musiało nas strzec – odpowiedział. – To było zdumiewające! Galowie stawali na nasz widok jak wryci i rozstępowali się przed nami, jakby ktoś kosą wycinał nam przejście. Ani jeden się nie ośmielił podejść. Nikt nawet nie krzyknął!

Patrycjusz i niewolnik popatrzyli na siebie i nagle, w spontanicznym odruchu objęli się mocno, wybuchając radosnym śmiechem jak dwa wisusy po szczęśliwie zakończonej przygodzie. Jakże Pınaria pragnęła dołączyć się do ich uścisku! Tak jest, uzmysłowiła sobie; pragnie objąć Pennatusa i znaleźć się w jego objęciach, upewnić się, że wciąż żyje i oddycha, poczuć ciepło jego ciała i dotykać włosów na jego muskularnej piersi, gdzie na rzemyku wisi czarny amulet. Od tych myśli było jej słabo i czuła, jak płoną jej policzki, nie mogła ich jednak od siebie odpędzić.

Czy mogło być tak, jak powiedział Dorso? Czy naprawdę Westa czuwała nad obydwojma mężczyznami, chroniła ich mimo nieczystych uczuć zanoszącej modły jej kapłanki? A może Pennatus przeżył tylko dlatego – właśnie dlatego – że bogini jest nieobecna i nie może ukarać grzesznej westalki i obiektu jej pragnień? Innego wyjaśnienia nie było. Albo Westa o wszystkim wie i przyzwala (szalona myśl!), albo też odeszła, kto wie, czy nie na zawsze, i nie ma już władzy nad poświęconą jej dziewczicą (co też jest zwariowanym pomysłem). Pınaria

doznała jednak olśnienia: tak czy inaczej nie ma już żadnych powodów, by trzymać swe nowo odkryte uczucia na wodzy. Ta myśl nią wstrząsnęła. Zdawało się jej, że ziemia się pod nią otwiera i niebo pęka nad głową.

Spojrzała na Pennatusa, a on na nią. Oczy obojga przemawiały w tym samym języku. Wiedziała, że on wie i że czuje to, co ona.

Ta jedna chwila jej uświadomiła, że jest zgubiona. Rozpląkała się. Ludzie, którzy wylegli na powitanie Fabiusza, sądzili, że to łązy radości i ulgi; pochylili głowy przed świętą dziewicą, która tak mocno przeżywała jawny dowód na to, że bogowie wciąż jednak kochają Rzym.

* * *

Na obleżonym Kapitolu trudno było o odosobniony kąć, ale jedynej westalce, która dzieliła los obrońców, zapewniono możliwie największą prywatność. Wszyscy sypiali pod gołym niebem lub w świątyniach i budynkach publicznych, dla niej jednak przygotowano osobną małą izbę w podziemiu sanktuarium Jowisza, z niekrępującym wejściem od tyłu, z dala od ludzkich oczu. To Pennatus zasugerował Fabiuszowi, że wypadałoby zamontować choćby prosty zamek w drzwiach, żeby nikt nie mógł tam wejść wbrew jej woli czy po prostu przypadkowo. Ponieważ znał się na takich rzeczach, wykonanie zamka powierzono właśnie jemu.

– Masz złote ręce! – pochwalił go Dorso, kiedy robota była skończona.

Pewnej nocy Pinaria usłyszała dyskretne pukanie. Było już późno, nie była jednak senna. Wstała z łóżka i bez wahania otworzyła drzwi, nawet nie pytając, kto za nimi stoi.

Zobaczyła jego ciemną sylwetkę na tle rozświetlonego przez księżyc nieba. Jej pierwszą myślą było, że chyba oszalał; jak mógł do niej przyjść w tak jasną noc? Przecież ktoś może go zauważyć!

W następnej chwili był już wewnątrz, zamykając za sobą drzwi. Potem nagle znalazła się w jego ramionach. Ich ciała przywarły mocno do siebie. To ona pierwsza go pocałowała. Było to dla niej zupełnie nieznanne przeżycie. Wydawało się jej, że dzielą każdy oddech, a ich serca stopiły się w jedno, dwa razy mocniej bijące.

Nie nawykła do nagości, nawet w intymności domu westalek, ale on tego żądał. Pozwoliła, by zdjął z niej szatę, a potem pomogła mu ściągnąć tunikę; nie chciała, by cokolwiek między nimi działo się tylko z jego inicjatywy lub wbrew jej woli. Cokolwiek się zdarzy, nastąpi nie dlatego, że ona tylko na to biernie przyzwoli, ale dlatego, że będzie do tego dążyła.

O seksie wiedziała to i owo, nigdy jednak sobie nie wyobrażała, jakie doznania mu towarzyszą. Dotyk jego ciała był fascynujący, ale to, co czuła, kiedy w nią wszedł i zaczął się poruszać, nie dało się z niczym porównać. Najpierw przeszył ją ostry ból, ale wkrótce o nim zapomniała, ogarnięta narastającą przyjemnością. Ich zespolenie było jak skomplikowany

taniec, albo raczej jak nieziemsko piękna pieśń, raz powolna i łagodna, raz gwałtowna i szybka, aż tchu brakowało. Rytm jego ruchów zainspirował ją do szukania własnego; czasem starała się dopasować do niego, cichym okrzykiem frustracji kwitując nieudane próby; czasem z bezgłośnym śmiechem chwyciła go za biodra, usiłując narzucić własne tempo. Poddawał się, opierał, znów kapitulował. Chwilami zdawali się rywalizować, a nawet walczyć, a w następnej chwili osiągnęli doskonałą, ekstatyczną harmonię. Do szczytu dotarli jednocześnie. Pinaria poczuła jego spazm, a przez całe jej ciało przetoczyła się fala za falą niewypowiedzianej rozkoszy.

Stało się. Teraz nie było już powrotu.

* * *

Okupacja Galów trwała przez całe upalne lato i przeciągnęła się na jesień. Chłodniejsze dni przyniosły obrońcom Kapitolu ulgę, ale coraz bardziej dawał się im we znaki głód. Przydział żywności ograniczony był teraz do kęsa chleba i kubka wina dziennie. Najeźdźcy wciąż plądrowali dom po domu w pozostałych dzielnicach miasta i dym pożarów nieustannie zasnuwał niebo. Po fiasku pierwszych prób zdobycia Kapitolu wyglądało na to, że dali im spokój i zrezygnowali z regularnego oblężenia, ale Rzymianie wciąż trzymali strażę na murach.

Pinaria i Pennatus leżeli nadzy na łożu, w promieniach księżycy wpadających przez małe, wysoko umieszczone okienko. Była północ, ale nie chciało im się spać, skoro tyle można było jeszcze dać sobie przyjemności. Dziewczyna była uradowana, choć nie zaskoczona nienasyconym apetytem kochanka. Dziwiła ją tylko równie wielka, jeśli nie jeszcze większa siła jej własnego pożądania. Jak do niedawna z oddaniem pielęgnowała święty ogień Westy, tak teraz z równym zapalem podtrzymywała płomień buzujący w ich ciałach podczas tych nocnych schadzek. Współżyjąc z Pennatusem, czuła się jakby gdzieś poza światem śmiertelników, w tajemniczej przestrzeni podobnej do tej, w której muszą mieszkać bogowie. Uwielbiała jego ciało, które niczym Jowiszowy rydwan ją tam niosło; jego męskość – tak mocarną, a zarazem odsłoniętą i delikatną, którą tak ochoczo oddawał jej w posiadanie. Była pewna, że to grzeszne i złe myśli – bogów jednak już nie było, westalka przestała być dziewicą, a niewolnik został jej panem. Świat oszalał i stanął na głowie, ale Pinaria nigdy przedtem nie czuła się tak żywa i spełniona.

Zza okna dobiegał co jakiś czas okrzyk: „Wszystko w porządku!”, którym najbliższy wartownik dawał znać, że czuwa i wróg się nie zbliża. Jak echo odpowiadali mu z daleka inni, rozlokowani na umocnieniach wokół wzgórza. Raz zagegała żałośnie obudzona gęś. Uratowane przed Galami święte ptaki Junony zostały zabrane z Awentynu na Kapitol i umieszczone w małej zagrodzie przy świątyni Jowisza.

– Przyjdzie nam je wkrótce zjeść – zauważył Pennatus.

– Gęsi? Przecież są poświęcone Junonie!

– Na co się jej zdadzą, kiedy wszyscy jej wyznawcy padną z głodu?

– Nikt się nie ośmieli ich tknąć.

– Ale nie ma już dla nich dość ziarna. Są coraz chudsze. Jeszcze tydzień i nie zostanie na nich ani krztyny mięsa, a za dwa zdechną same. Lepiej więc zjeść je teraz, kiedy jeszcze mogą nas posilić.

– Już prędzej zjemy psy!

– Psy przynajmniej są przydatne. Trzymają w nocy straż z wartownikami. Mój stary pan bardzo lubił zwłaszcza gęsią wątróbkę. Podobno to delikates.

– Ależ okropieństwa opowiadasz!

Pennatus przysunął się bliżej i owinał ją zachłannym uściskiem.

– Czy chodzi ci o to, co szepczę ci do ucha, kiedy jestem w tobie?

Zadrżała i ścisnęła jego członek, znów twardy i pełny pod jej palcami, choć skończyli zaledwie minuty temu. Odwzajemnił się, nakrywając i lekko ugniatając dłonią jej pierś, a potem pochylił się i musnął wargami nabrzmiałą brodawkę. Westchnęła, czując powracającą falę przyjemności.

– Kamillus przybędzie dużo wcześniej, niż komukolwiek przyjdzie ochota na gęsi Junony.

Tą nadzieją karmili się wszyscy. Zaledwie kilka dni wcześniej dzielny żołnierz Poncjusz Kominiusz zdołał się przedrzeć przez galijskie szeregi, wpłynąwszy w obręb miasta Tybrem w tunice wypchanej korkiem; pod osłoną nocy przedostał się na Kapitol, wspinając się odcinkiem zbocza tak stromym, że nikomu z Galów nie przyszło do głowy go pilnować. Wartownik, obok którego posterunku się wynurzył zza krawędzi urwiska, był równie zaskoczony jego widokiem, jak tym, że nieznamy go pozdrowił po łacinie. Kominiusz przyniósł obrońcom wieść, że rzymskie siły stopniowo się zbierają pod wodzą banity Kamillusa, który go przysłał z oficjalną prośbą do garstki chroniących się tu senatorów o przyznanie mu władzy dyktatorskiej. Odpowiedź była natychmiastowa i pozytywna; Kominiusz niezwłocznie wyruszył z powrotem, niosąc Kamillusowi zapewnienie o pełnym poparciu dla jego działań i obietnicę modłów za jego zwycięstwo. Czy posłańcowi udało się bezpiecznie opuścić Rzym? Tego nikt nie wiedział, ale już same nowiny z zewnątrz podniosły oblężonych na duchu. Niezwyciężony Kamillus, pogromca Wejów, już ciągnie na wroga i może się pojawić lada dzień. Uratuje ich i przepędzi Galów z Rzymu!

Pennatus przewrócił się na plecy, odsuwając się od Pinarii. Jego męskość stała się zauważalnie bardziej miękka w jej dłoni.

– I co potem? – spytał. – Ty znów będziesz westalką, a ja niewolnikiem.

Pot pokrywający jej skórę nagle wydał się jej zimny i lepki. Puściła go i naciągnęła koc na piersi. Przyszłość tak lakonicznie zarysowana przez kochanka – powrót do życia sprzed najazdu Galów – była o wiele mniej mroczna i straszna od tej, która jej się jawiła. Dobrze

pamiętała, co czeka westalkę uznaną za winną złamania ślubów i człowieka, z którym dopuściła się tego świętokradztwa.

– Któż może wiedzieć, co nam szykuje Fortuna? – szepnęła. – Kto mógł przewidzieć, że bohater Kamillus zostanie wygnany, a Rzym podbiją dzicy Galowie i odmienią całe nasze życie? Czy śniło się nam, że zostaniemy kochankami? Że ja będę...

Nagle załamanie jej głosu sprawiło, że zmarszczył brwi i przyjrzał się jej uważniej.

– Dokończ, Pinario. Co chciałaś powiedzieć?

Wzięła głęboki oddech.

– Może się mylę. Może to przez nerwy, Galów i w ogóle... czasem się to chyba kobietom zdarza, gdy dzieje się coś strasznego albo głodują...

– O czym ty mówisz?

– Już dwie pełnie księżyca minęły, odkąd... płynęła ze mnie krew. Nie znam się na tych sprawach, ale nawet westalka wie, co to znaczy, gdy kobieta przestaje miesiączkować!

Pennatus uniósł się na łokciu i spojrzał na nią szeroko otwartymi oczyma. Twarz miał teraz ukrytą w cieniu.

– Jesteś brzemienna?

– Nie wiem na pewno... Jak mówiłam, może być inne wytłumaczenie.

Przysunął się bliżej i znów mogła go widzieć. Nowina wyraźnie go oszołomiła.

– Pinario... To... wspaniała wiadomość! Wspaniała, ale i straszna.

– Prędzej czy później ktoś zauważy. – Dziewczyna zadrżała. – Co wtedy pocznę?

– Może się uda i nikt nie zwróci na to uwagi?

– Nie zwróci uwagi, że ja tyję, podczas gdy wszyscy chudną?

– Możesz poszerzyć szatę. Możesz powiedzieć, że potrzebujesz odosobnienia. Będę ci usługiwał i nikomu nie pozwolę się zbliżyć. Kto wie, czy wkrótce nie nadejdzie Kamillus i nas uwolni... a wtedy będziemy mogli opuścić Kapitol...

– I dokąd pójdziemy? Nigdy nie uda mi się ukryć mojego stanu przed westalkami.

– To będziemy się ukrywać. Albo uciekniemy. Tak jest, uciekniemy za góry, do Galii, i zamieszkamy między bezbożnymi barbarzyńcami! Nie wiem, co zrobimy, Pinario, ale coś wymyślimy. Sama powiedziałaś, że nie wiadomo, co przyniesie przyszłość.

Wśliznął się pod koc i przytulił ją mocno. Leżeli w milczeniu, wpatrzeni w ciemny róg izby.

– Wiem, czego się boisz – powiedział po chwili. – Tego, co ludzie z nami zrobią, gdy prawda wyjdzie na jaw. Ale... czy to wszystko?

– Nie rozumiem.

– Czy nie jesteś nieszczęśliwa, bo dziecko w twym łonie będzie miało ojca niewolnika?

– Pennatusie! Nigdy się nie spodziewałam nosić czyjegokolwiek dziecka. Nie wiem, co mam myśleć, nie wiem, co czuję. Nie powiedziałam, że jestem nieszczęśliwa...

– Bo widzisz... jest coś, czego o mnie nie wiesz, a co może sprawić różnicę.

Odwróciła się na bok i spojrzała mu w oczy lśniące odbitym księżycowym blaskiem, delikatnie przesuwając czubkami palców po policzku.

– Wiem, że jesteś bardzo odważny, Pennatusie. I bardzo zabawny. Czasami też okropny... jakie rzeczy potrafisz wygadywać! Wiem, że jesteś inny niż wszyscy i że cię kocham, i że ty kochasz mnie. Jakże cudowna jest taka miłość! Czasami myślę, że musiała ją nam podarować sama bogini... choć wiem, że to niemożliwe. Jakże mogłabym żałować, że dałeś mi dziecko, kochany. Gdybyż tylko...

– Też bym chciał, żeby było inaczej. Żebyś ty nie była westalką, a ja niewolnikiem. Gdyby los zechciał, mógłbym być ci równy urodzeniem, Pinario. W moich żyłach płynie krew patrycjusza.

– Jak to?

– Ten mój talizman... to coś więcej, niż na to wygląda. Tak samo jak ja! To nie ołowiany wisiołek, Pinario. Został tylko pokryty ołowiem, aby ukryć jego prawdziwą postać i by żaden pan nie zechciał mi go odebrać. Jeśli zdrapiesz szarą wierzchnią warstwę, zobaczysz złoty połysk. To czyste złoto, moje dziedzictwo. Nazywa się Fascinus i jest niewyobrażalnie stary. Starszy niż Rzym, a nawet niż wszyscy nasi bogowie i boginie. Był tu wcześniej niż Jowisz!

– Znowu bluźnierstwa? – Pinaria syknęła z dezaprobatą. – To wcale nie jest zabawne, wiesz?

– Ani bluźnierstwa, ani żarty. To prawda, Pinario. Przed śmiercią matka powiedziała mi, skąd pochodzę i kim naprawdę jestem. Urodziłem się niewolnikiem i ona też, ale jej ojcem był syn Tytusa Potycjusza, Rzymianina z najstarszego patrycjuszowskiego rodu, i Icylii, siostry trybuna ludowego Lucjusza Icyliusza. Był nieślubnym dzieckiem i wuj obrócił go w niewolnika. Nosił jednak talizman Potycjuszów, a od ojca dowiedział się prawdy o swoim pochodzeniu. Przekazał potem Fascinusa swojej córce, a mojej matce. Była niewolnicą w domu Icyliusza. Ten później sprzedał ją mojemu panu, u którego się urodziłem. Umierając, oddała talizman mnie. To wizerunek Fascinusa, najstarszego bóstwa, jakie czczono w Rzymie. Znano go jeszcze przed Herkulesem i Jowiszem, i na długo przed pojawieniem się wszystkich innych bogów, którzy pojawili się tu za sprawą Greków.

Dziewczyna słuchała w zamyśleniu.

– Nigdy mi tego nie mówiłeś.

– To moja największa tajemnica.

– Przecież ty gardzisz bogami!

– Ale wierzę w Fascinusa.

– Drwisz z wolnych obywateli, wyśmiewasz próżność patrycjuszy.

– Sam jestem patrycjuszem... z krwi, jeśli nie z urodzenia. Moim pradziadkiem był Tytus Potycjusz. Nie rozumiesz, Pinario? Dziecko, które w tobie rośnie, nie jest potomkiem byle kogo, jakiegoś tam niewolnika nie wiadomo skąd przez wiatry przywianego, który nie ma przodków wartych uwagi. Twoje dziecko będzie miało w sobie krew pierwszych osadników

Rzymu... tak po mieczu, jak i po kądzieli. Cokolwiek ludzie powiedzą i cokolwiek stanowi prawo, nie musisz się za nie wstydzić. Możesz być z niego dumna, choć tylko potajemnie!

– Pennatusie! Nie czuję wstydu z powodu tego, cośmy zrobili, ani tego, co nam to przyniosło. Może nawet nie popełniliśmy występku. Jeżeli Westa naprawdę odeszła za swoim ogniem i wszyscy inni bogowie opuścili swoje świątynie, to może Rzymem włada teraz twój Fascinus, samotnie i niepodzielnie, jak wtedy przed niezliczonymi pokoleniami... a skoro tak, to jesteśmy bez winy. Któż może to wiedzieć na tym świecie, gdzie wszystko może się w okamgnieniu tak zmienić? Nie, Pennatusie, nie znajdziesz we mnie wstydu. Ale na pewno się boję... o ciebie, o mnie i dziecko. – Pokręciła smutno głową. – Nie chciałam ci o tym mówić. Uległam impulsowi. Zamierzałam trzymać to w sekrecie, dopóki się nie upewnię albo...

Ugryzła się w język i nic już więcej nie powiedziała. Po co miałaby mu opowiadać, dokąd wiodą ją myśli za każdym razem, gdy wspomni o dziecku, które być może w niej się rozwija? Są sposoby na pozbycie się niechcianej ciąży. Słyszała, że można pić jakieś mikstury, niektóre silnie trujące, albo posłużyć się giętką gałązką, na przykład wierzbową. Nie była jednak obeznana z takimi sprawami, a nie miała się do kogo zwrócić o radę i pomoc. Poza tym na całym Kapitolu nie rośnie ani jedna wierzba! Teraz, kiedy podzieliła się z kochankiem swoimi podejrzeniami, on zaś w odpowiedzi wyznał jej swój największy sekret i okazał tak szaloną dumę z ojcostwa...

Potrząsnęła głową. Sumienie kapłanki, wciąż się w niej kołaczące, szeptało: „Do czego to doszło, żeby niewolnik czuł się dumny z potomstwa? Co to za świat, w którym westalka umie sobie wmówić, że jej grzeszna ciąża może się podobać bogu?”

Nagle wśród nocnej ciszy odezwała się jedna z gęsi Junony. Niespodziewany odgłos rozładował między nimi napięcie. Pennatus się roześmiał, a i Pinaria zdobyła się na błądy uśmiech.

Gęganie się powtórzyło i ucichło, ale po chwili znów rozbrzmiało równie głośno i natarczywie.

– Jeśli ona się nie uspokoi, to i sama Junona jej nie ustrzeże przed oskubaniem – mruknął młodzieniec, nachylając się do ust dziewczyny.

Pocałunek był miękki i czuły. Pennatus wyciągnął rękę, by ją objąć, ale się cofnął. Do hałaśliwego ptaka dołączyły inne i teraz już darły się chóralnie.

– Dobrze, że nie próbujemy zasnąć – mruknął.

– To pewnie wartownik je wyrwał ze snu tym swoim pokrzykiwaniem.

– Chyba nie, bo dawno go nie słyszałem. – Pennatus zmarszczył brwi. – Właściwie to zbyt dawno. Czyżby usnął?

Gęsi nie przestawały gęgać.

– Zostań tu – nakazał szeptem. – Zamknij za mną drzwi. Inni też mogą nie spać, obudzeni przez te skrzydlate potwory. Może już mi się nie udać wrócić niepostrzeżenie. Pocałuj mnie jeszcze raz!

Wysunął się z jej objęć, sięgnął po miecz – Dorso upierał się, by go uzbroić, choć niewolnikom nie wolno było nosi oręża – i wymknął się na zewnątrz. Odczekał, aż szczękanie zamykany zamek, po czym pospieszył ku najbliższemu stanowisku wartownika, tuż obok gęszej zagrody. Skaliste zbocze Kapitolu było w tym miejscu bardzo strome, prawie niedostępne. Prawie, bo to właśnie tędy przedostał się do obrońców Poncjusz Kominiusz. A jeśli on tego dokonał, mogli się o to pokusić także inni... Noc była jasna; czy wystarczająco, aby oddział Galów mógł powtórzyć jego wyczyn?

Wydawało się to niemożliwe; poza tym w tej głuchej ciszy... jeśli nie liczyć gęsiego chóru... strażę z pewnością by usłyszały, że ktoś się tamtędy wspina. Chyba że...

Gęsi darły się jak opętane.

Pennatus ujrzał wartownika stojącego na posterunku nad urwiskiem – i nagle zdał sobie sprawę, że widzi nie Rzymianina, lecz Gala! Na jego oczach zza krawędzi wyloniły się głowy dwóch następnych.

Ścisnął w dłoni Fascinusa i zrobił coś, czego nigdy dotąd nie robił: szeptem zaczął się modlić o siłę i odwagę.

– Z drogi, niewolniku!

Odziany w zbroję mężczyzna bezceremonialnie odepchnął go na bok i pobiegł dalej. Pennatus poznał Marka Manliusza, byłego konsula i przyjaciela Fabiusza. Posiwiwały weteran z dobytym mieczem rzucił się na Galów. Z bojowym okrzykiem uderzył pierwszego tarczą. Barbarzyńca stracił równowagę i z krzykiem runął w przepaść, pociągając za sobą dwójkę towarzyszy. Na ich miejsce pojawiali się jednak następni. Manliusz uwijał się jak w ukropie, tnąc i parując ciosy. Pennatus otrząsnął się z oszołomienia i ruszył mu na pomoc.

Jego miecz uderzył o coś z głośnym metalicznym szczęknięciem. Wziął zamach i pchnął ponownie, tym razem trafiając w miękkie ciało. Śmiertelny spazm ranionego zdawał się przenosić po brzeszczocie na rękę niewolnika i dalej na całe ciało. Pennatus nigdy dotąd nikogo nawet nie skaleczył, nie mówiąc o zabijaniu. W księżycowym świetle krew na kamieniach była błyszcząca i prawie czarna.

Usłyszał tuż za sobą okrzyk. Odwrócił głowę i ujrzał Gajusza Fabiusza; młody żołnierz wznosił właśnie broń i ciął w odsłoniętą szyję Gala tak silnie, że niemal odrąbał mu głowę. Z rany trysnęła w górę fontanna krwi. Pennatus przeraził się, widząc na twarzy przyjaciela wyraz takiej zaciętości i nienawiści. Galowie zniszczyli jego miasto, wygnali bogów i obrócili w ruinę cały jego świat. Teraz wreszcie miał okazję wyrzucić za to zemstę choć na kilku z nich.

Co Galowie zrobili Pennatusowi? Inwazja przyniosła mu nieoczekiwaną wolność, przyjaźń, jakiej w normalnych warunkach nigdy by nie zaznał, i miłość, o jakiej nigdy nie ośmieliłby się marzyć. Bał się tych półdzikich najeźdźców, ale nie mógł wykrzesać w sobie takiej nienawiści, jaką żywił Dorso. A potem pomyślał o Pinarii. Jeżeli Kapitol padnie,

wszystko będzie stracone. Pınaria... Najpiękniejsza, najdelikatniejsza istota na świecie. Co oni mogą z nią zrobić?

Jakimś cudem przeciwnik Fabiusza żył jeszcze; opadłszy na kolana, chwiał się i drżał. Pennatus zamachnął się, wrzasnął na całe gardło i dokończył dzieła. Głowa Gała poszybowała w powietrze, za krawędź urwiska... skąd wciąż przybywali nowi atakujący. Gęsi gęgały przeraźliwie, ludzie wrzeszczeli; potyczka przerodziła się w regularną bitwę, w której z obu stron zmagano się wielu wojowników. Skapani w bladej poświacie walczący, czerniejąca na skale krew, ogłuszająca wrzawa i szcęk broni – wszystko to miało dla Pennatusa nierealny wymiar, jak dziwny sen. Nie był jednak dziwniejszy – ani mniej niebezpieczny – od snu na jawie, w którym został potajemnym kochankiem upadłej westalki.

* * *

Atak został odparty. Marka Manliusza, który pierwszy rzucił się na wroga, okrzyknięto bohaterem i nagrodzono dodatkowym przydziałem chleba i wina. Pełne racje przywrócono także świętym gęsiom, które wyczuły zbliżających się Galów i zaalarmowały obrońców. Nieszczęsnych wartowników wodzowie chcieli początkowo skazać na śmierć za tak rażące zaniedbanie obowiązków; przyjęto za pewnik, że wszyscy posnęli na służbie, bo nawet jeden pies nie zaszczekał (czworonogi też zresztą chciano ukatrupić, skoro gęsi okazały się lepszymi od nich strażniczkami). Dorso sprzeciwiał się jednak zbiorowej karze, wskazując, że obrońcy nie mogą sobie pozwolić na utratę tylu ludzi; szeregowi żołnierze protestowali jeszcze goręcej. Uradzano ostatecznie, że karę poniesie tylko ten wartownik, który pełnił służbę w miejscu ataku.

Żołnierz utrzymywał, że nie zasnął. Powiedział, że w nocnej ciszy usłyszał rozmowę kobiety z mężczyzną; znudzony monotonią oddalił się z posterunku w stronę świątyni Jowisza, chcąc się zorientować, skąd głosy dochodzą. Wymówka nie zjednała mu sympatii. Został strącony z tego samego urwiska, którym wdarli się na Kapitol Galowie. Wraz z nim symbolicznie poniósł karę jeden pies. Rzymianie podwoili czujność; nie inaczej postąpili Galowie, zdecydowani nie dopuścić do obrońców już ani jednego posłańca z zewnątrz.

* * *

Okupacja Rzymu i oblężenie dzielnie się trzymającego Kapitolu ciągnęło się całą zimą. Deszcze zapewniły Rzymianom wodę do picia, coraz trudniej było jednak o żywność.

– Szkoda, że z nieba wraz z wodą nie spadają ryby – zauważył smętnie Pennatus, przyglądając się strugom ulewy spod frontonu świątyni Jowisza.

– Albo ciastka z miodem – dorzucił Dorso.

– Albo suszone mięso... – rozmarzył się Manliusz, nawykły do bardziej żołnierskiej diety.

Jednakże nie tylko obleżeni byli w dramatycznej sytuacji. Galom też nie było do śmiechu. Nie znając życia miejskiego, nie mieli pojęcia o problemach sanitarnych i nie wiedzieli, co robić z własnymi odpadami i odchodami. Zamienili ulice Rzymu w istny chlew i wkrótce wybuchła wśród nich epidemia. Umierało ich tak wielu i tak szybko, że pozostali przy życiu nie nadążali z grzebaniem ciał i uciekali się do ich zbiorowego palenia na stosach. Znow, jak w pierwszych miesiącach okupacji, w niebo wzbły się słupy dymu – ale teraz wraz z nim w powietrzu czuć było przyprawiający o mdłości odór palących się ludzkich ciał. Niepoprawny kpiarz Pennatus powiedział kiedyś Fabiuszowi: „Ci Galowie mają fioła na punkcie ognia. Skończyły się im domy do palenia, to zaczęli się sami nawzajem podpalać”.

Nie tylko choroby trapiły najeźdźców, ale i głód. W początkowej fazie oblężenia bezmyślnie puścili z dymem magazyny pełne zboża, którego teraz im dotkliwie brakowało. Choć obrońcy Kapitolu nie mogli o tym wiedzieć, Kamillus przejął kontrolę nad większością okolicznych ziem i Galowie nie mogli już swobodnie wysyłać podjazdów dla uzupełnienia zapasów. Miasto, którego zdobyciem tak się chęłpili, stawało się ich więzieniem i grobem.

Pinaria publicznie modliła się wraz z wszystkimi o rychłe przybycie wybawcy, w głębi duszy żyła jednak w stałym strachu. Robiła, co mogła, by ukryć ciążę – i dotychczas się jej to udawało, być może dlatego, że dziecko w jej łonie było niedożywione i małe. Co jednak będzie potem? Jeśli nawet uda się jej ukryć w izbie przed ludzkim wzrokiem i urodzić je bez niczyjej wiedzy, to przecież prędzej czy później ktoś musi usłyszeć jego płacz. Czy byłaby zdolna zabić własne dziecko? Niemal każdego dnia pozwala się umierać noworodkom, zwłaszcza jeśli się rodzą zdeformowane, ale nawet najbardziej nieczuła matka nie odbiera im życia własnoręcznie; zazwyczaj ktoś inny wynosi je i zostawia gdzieś na pastwę żywołów i dzikiego zwierza. Najszybszym i najłatwiejszym sposobem byłoby zrzucić niemowlę ze skały – ale i to mogło się okazać niemożliwe przy tak gęsto teraz rozstawionych i czujnych strażach. Czy Pennatus się podejmie tego zadania, jeśli go o to poprosi? Cóż za straszna rzecz, żądać od ojca, by uśmiercił własnego potomka!

Jeżeli jednak pozwolą mu żyć, z pewnością zostanie odkryte, uznane za niezbity dowód ich winy, a cała trójka zostanie i tak zgładzona. Ileż to razy Pinaria budziła się w nocy z koszmarne snu, w którym najpierw musiała patrzeć, jak oprawcy mordują Pennatusa, a potem zamykają ją bez światła i powietrza w podziemnym grobowcu wraz z dzieckiem i jego rozpaczliwe kwilenie jest ostatnim dźwiękiem, jaki świdruje jej uszy, dopóki oboje nie umrą.

Czasem wyobrażała sobie, że dziecko urodzi się martwe. Byłby to koniec jej strachu i niepewności – ale jakaż straszna jest sytuacja matki, która musi pragnąć czegoś podobnego! Może lepiej będzie samej skoczyć ze skały, i to wkrótce, zanim brzuch jej zacznie rosnać. Niech ją tam Galowie znajdą i rzucają na stos. Ludzie będą wtedy czcić jej pamięć, świętej i czystej westalki, która sama złożyła siebie w ofierze bogom. Nienarodzone dziecko zginie wraz z nią i nikt nigdy się nie dowie o winie Pennatusa. Choć jest tylko niewolnikiem, tak wspaniały młody człowiek na pewno ma przed sobą życie warte przetrwania. Niedługo

zapomni i o niej, i o skutku ich grzesznego pożycia. Będzie tak, jak gdyby nigdy jej na świecie nie było...

Nie pozwalała sobie tylko na jedną wizję – jako niemożliwą do spełnienia i dlatego nieznośnie bolesną – że dziecko przyjdzie na świat zdrowe i silne; że będzie mogła spojrzeć na jego twarzyczkę, z dumą ją pokazać ludziom, pielęgnować je i kochać z całym oddaniem i czułością, jak najnormalniejsza matka pod słońcem. Tego nigdy, przenigdy w życiu nie zazna.

Te pełne rozpaczmyśli pochłaniały ją coraz bardziej. Odsunęła się od Pennatusa; już się nie kochali nocami. Akt, który dawał jej tyle rozkoszy, teraz jawił się jako zdradziecka pułapka, w którą jak głupia dała się złapać. Przez jakiś czas spotykali się jeszcze potajemnie – ale o czym można było rozmawiać, jak nie o cierpieniu, które znoszą z rąk Galów, i jeszcze większym, które ich czeka z chwilą wyzwolenia? W końcu Pinaria zakazała Pennatusowi odwiedzać jej izbę; tłumaczyła to względami bezpieczeństwa, naprawdę jednak nie mogła po prostu znieść przebywania z nim sam na sam.

Zbliżyła się za to do Gajusza Fabiusza, który zawsze traktował ją z wielkim szacunkiem i respektem. Z racji łączącej obu młodych mężczyzn przyjaźni Pennatus często dotrzymywał im towarzystwa, był jednak na tyle rozsądny, by nie okazywać jej jakiegokolwiek poufałości. Ból i rozterkę skrywał pod ironią i gorzkawym dowcipem; nikt nie zauważył w jego zachowaniu nic nowego. Zmianę dostrzeżono jednak w Pinarii i zaczęto o niej rozmawiać. Ludzie nazywali ją „smutną westalką”, sądzili jednak, że to nad ich wspólnym losem tak boleje – i szanowali tym bardziej za tę oznakę świętości.

* * *

Galowie panoszyli się w Rzymie przez siedem miesięcy, od szczytu lata po koniec zimy. W idy lutowe Pinaria, snująca się po Kapitolu z głową jak zwykle ogarniętą chmurnymi myślami, dowiedziała się od Fabiusza nowiny. Ujrzawszy ją z daleka, podbiegł do niej i coś mówił; była zbyt zamyślona, by słyszeć jego słowa, po jego podnieceniu poznała jednak, że zdarzyło się coś ważnego. Kątem oka uchwyciła jakiś ruch. Rozejrzała się wokoło i zdziwiona zdała sobie sprawę, że całe wzgórze aż kipi – ludzie gdzieś się spieszą, kręcą tam i z powrotem, łapią jeden drugiego za ręce, szepczą, krzyczą, płaczą, śmieją się.

– Co się dzieje, Fabiuszu?

– Przybył posłaniec, Rzymianin! Galowie pozwolili mu przejść. Wszedł drogą prosto z Forum!

– Posłaniec? Od kogo?

– Od Kamillusa oczywiście! Chodź, posłuchajmy, jakie przynosi wieści.

Poprowadził ją ku świątyni Jowisza, na której najwyższym stopniu stał żołnierz w zbroi, lecz bez broni. Tłumnie zgromadzeni ludzie rozsunęli się, by ją przepuścić do pierwszych rzędów. Zasypywano wysłannika pytaniami, on jednak uciszał ich uniesionymi rękoma.

– Cierpliwości! Poczekajmy na wszystkich, żebyśmy nie musiał wszystkiego sto razy powtarzać!

– Co tam, wystarczy, że jest już Gajusz Fabiusz i nasza smutna westalka! – odkrzyknął Manliusz. – Reszta się nie liczy. Mów, co masz do powiedzenia!

Gruchnął śmiech. Nastrój był radosny, wszyscy bowiem widzieli po twarzy żołnierza, że przybywa z dobrą nowiną.

– Skoro tak, to słuchajcie. Przez ostatnie miesiące nasze siły się przegrupowały pod wodzą dyktatora Marka Furiusza Kamillusa...

Przerwały mu głośnie wiwaty.

– ...który kilka razy stał się z Galami w drobnych potyczkach. Nie możemy twierdzić, że pobiliśmy wroga, ale nieraz im solidnie daliśmy bobu... i już mają dosyć! Są gotowi opuścić Rzym.

Wrzawa, jaka się podniosła po tych słowach, mogłaby zbudzić umarłego, posłaniec jednak znów dał znak, by zamilkli.

– Nie odjadą jednak bez okupu.

– Okupu? – zakrzyknął Manliusz. – Czy już nie zagrabili wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość?

– Tak, ale żądają więcej. Mamy im zapłacić w złocie, srebrze i klejnotach. Kamillus zebrał już wszystko co się dało od uciekinierów i zwrócił się do naszych przyjaciół o wsparcie...

– Okup powinni zapłacić mieszkańcy Kluzjum! – Manliusz nie ustępował. – Przecież to dzięki naszemu poświęceniu uniknęli grabieży!

– Kluzjanie już się dołożyli, i to bardzo szczerze – odparł żołnierz. – Ale to jeszcze za mało. Kamillus zwraca się teraz do was, obrońców Kapitolu, którzyście wytrwali na posterunku, o pomoc w zgromadzeniu brakującej sumy.

Rozległy się okrzyki protestu.

– My mielibyśmy płacić? – zdumiał się Manliusz. – Od miesięcy żyjemy stęchłą, zarobaczoną mąką i deszczówką! Tym ludziom nic nie zostało!

– Na pewno? Może ktoś wie o zakopanym przed Galami skarbie. Może kilka kobiet ma jeszcze trochę biżuterii. Każda Rzymianka na wygnaniu już oddała wszystko co do pierścionka.

– Ale to niesprawiedliwe! Nie powinno się naszych kobiet obdzierać z ozdób tylko po to, by zaspokoić nienasyconą chciwość Brennusa!

– Innego wyjścia nie ma. – Posłaniec rozłożył ręce. – Galom trzeba zapłacić. Kiedy odejdą, miasto znów będzie nasze i będziemy mogli się zabrać do odbudowy.

Dorso obejrzał się przez ramię na Pennatusa i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Może i ty powinienes się dorzucić – powiedział. – Oddaj Galom ten amulecik, z którym się obnosisz.

Niewolnik odruchowo ścisnął Fascinusa tak mocno, że mu kłykcie zbieleły, i skrzywił się, nagle pobladył.

– Uspokój się! – Dorso parsknął śmiechem. – Nawet Gal nie zechciałby tego bezwartościowego kawałka ołowiu!

* * *

Wyplaty okupu dokonano na Forum. Brennus wymógł na Rzymianach, aby odbyło się to z należytą pompą i w obecności samego Kamillusa. Obrońcy Kapitolu patrzyli na to ze swej wyżyny z mieszanymi uczuciami rozpacz i ulgi. Galowie ustawili wielką wagę, na której można by zważyć wołu. Na jednej szali ułożono ołowiane ciężarki, na drugą Rzymianie sypali kosztowności. Piramida sztabek, monet, ozdób i drogich kamieni rosła i rosła, aż w końcu szale drgnęły i zaczęły się wyrównywać.

Przez zgromadzony na szczycie tłum przebiegło zbiorowe westchnienie. Taką fortunę przychodzi im płacić za odzyskanie ich własnego miasta!

W dole Brennus wstał i podszedł do wagi, śmiejąc się na cały głos.

– Jeszcze za mało!

Kamillus spojrzał na niego spode łba.

– O co ci chodzi? Szale stoją równo!

– Zapomniałem o czymś. Chyba chcecie, żebym go odłożył, nie? – Brennus dobył miecza i rzucił go na odważniki.

Wśród rzymskiej delegacji podniosły się gniewne pomruki i okrzyki niesmaku. Paru oficerów położyło dłonie na rękojeściach, Kamillus jednak uniósł rękę, by ich powstrzymać.

– Mamy jeszcze trochę w zapasie – rzekł spokojnie i odwróciwszy się, polecił dorzucić złota na wagę.

Po chwili szale znów się wyrównały. Brennus wydał triumfalny ryk i klasnął w dłonie, aż echo się poniosło przez Forum. Galijskie szeregi dołączyły doń w ogłuszających wiwatach i śmiechu. Nawet ze szczytu Kapitolu widać było, jak twarz Kamillusa purpurowieje z furii i gorczy.

Pinaria patrząca wraz z innymi poczuła nagle obecność Pennatusa. Odszukał jej dłoń, a ona pozwoliła mu ją uścisnąć.

– Cokolwiek się stanie, najmilsza... Kocham cię – szepnął.

– I ja... – Dziewczyna nie mogła się zmusić, by dopowiedzieć wyznanie.

Nagle drgnęła, wyrwała rękę i dotknęła brzucha. Poczuła pierwsze ruchy dziecka; wiedziała, że zostało już bardzo mało czasu.

* * *

Jak cofająca się powódź, Galowie odpływali z murów Rzymu. Zajęło to kilka dni, było ich bowiem wciąż wielu i nigdzie im się nie spieszyło. Do ostatnich chwil szukali jeszcze łupów i niszczyli, co popadło. obrońcy Kapitolu, choć niecierpliwi, odczekali z rozebraniem barykad i zejściem na Forum, aż ostatni nieprzyjaciel zniknął za bramą. Uniesieni odzyskaną wreszcie wolnością, ale zdjęci zgrozą na widok ruin ukochanego miasta, rozproszyli się po Siedmiu Wzgórzach, chcąc jak najszybciej sprawdzić, co się stało z ich domami i na swojej ziemi czekać powrotu Kamillusa i wychodźców.

Dorso z Pennatussem odprowadzili Pinarię do domu westalek. Budynek wydawał się nienaruszony, choć wyłamane drzwi wisiały krzywo na zawiasach. Drząc z niepokoju, dziewczyna weszła do środka. Fabiusz wykonał ruch, jakby chciał ruszać za nią, ale powstrzymała go przeczącym ruchem głowy.

– Nie, zostań tu. To, co mam teraz do zrobienia, muszę zrobić sama.

– Ale nie mamy pewności, że będziesz tam bezpieczna! – zaprotestował młodzieniec. – Nie mogę cię tak zostawić, westalko.

– Możesz i musisz. Sądysz, że bogini mnie chroniła tak długo tylko po to, by dopuścić do jakiegoś nieszczęścia w naszym własnym domu? Idź, Fabiuszu. Muszę oczyścić wszystko przed przybyciem moich sióstr. Nie spieszno ci zobaczyć, jak wygląda twój dom?

Dorso zmarszczył brwi, ociągając się z odejściem.

– A ty, Pennatusie? Dokąd pójdziesz? – spytał.

Niewolnik wzruszył ramionami.

– Chyba do domu mojego pana... jeśli coś z niego jeszcze pozostało.

– A więc, do zobaczenia.

– Do zobaczenia.

Rozeszli się, każde w swoją stronę.

Niemal natychmiast po przekroczeniu progu odeszły jej wody płodowe, a wkrótce potem zaczęły się bóle. Zataczając się, dobrnęła do swej sypialni. Izba była brudna, pościel zmięta i poplamiona; jakiś Gal musiał tam spać. Poczowała narastające obrzydzenie i mdłości, nie miała jednak wyboru. Zmęczona i wystraszona padła na łóżko.

Po chwili otworzyła oczy i ujrzała Pennatusa. Pomyślała w gorączce, że to Westa zsyła jej zjawę jak wyrzut sumienia; ale wtem on się uśmiechnął i już wiedziała, że to nie majaki. Zdjął rzemyk z szyi i nałożył jej przez głowę.

– Fascinus opiekuje się kobietami w połogu – szepnął. – Nie bój się, kochana! Będę przy tobie.

– Ale co ty wiesz o rodzeniu?

– Spytaj lepiej, czego nie wiem – zaśmiał się szelmowsko. – Kiedy byłem dzieckiem, patrzyłem, jak niewolnice rodzą bękarty mojego pana. Później byłem chłopcem na posyłki dla położnych. Wiem, co robić, Pinario. Będziecie przy mnie bezpieczni, ty i dziecko.

– Och, Pennatusie, czy ty nigdy nie przestaniesz mnie zadziwiać?

– Nigdy nie przestanę cię kochać.

– To właśnie zdumiewa mnie najbardziej.

Poród był przedwczesny i dziecko przyszło na świat małe, ale zdrowe. Był to chłopiec. Zapłakał głośno, gdy Pennatus podniósł go wysoko, by dokładnie obejrzeć. Pınaria potem przez godzinę trzymała go na piersi. Zimowy dzień miał się ku końcowi i cienie się wydłużały, gdy z ulicy dobiegły ich głosy. Uchodźcy wracali już do miasta i lada chwila mogły pojawić się westalki.

– Co ja mam zrobić z dzieckiem, Pennatusie?

– Urodził się zdrowy i cały, a to znaczy, że bogowie chcą, by żył.

– Naprawdę tak myślisz?

– Ja chcę, żeby żył, cokolwiek oni o tym sądzą.

– Błuznisz, ty niepoprawny... – Pınaria pokręciła głową i zaśmiała się niewesoło. – To bez sensu, żebym ja cię strofowała. W końcu to ja dopiero co urodziłam dziecko w domu westalek.

– Zostaniesz tu?

– Nie mam dokąd pójść.

– Nie możesz go zatrzymać, wiesz o tym.

– Wiem.

– Potrafisz go oddać, Pınario?

Popatrzyła na przytulone niemowlę.

– Dokąd go zabierzesz? – spytała. – Co chcesz zrobić?

– Mam pewien plan.

– Ty zawsze masz plan. Mój ty spryciarzu... – wyszeptała łamiącym się głosem.

Łagodnie wyjął jej niemowlę z rąk, nie zważając na jej płynące już teraz strużkami łzy. Dotknęła leżącego między piersiami talizmanu.

– Musisz wziąć i to, dla dziecka.

– Nie, Pınario. Fascinus jest dla ciebie. Odwraca złe uroki, ochroni cię przed domyślnością innych westalek.

– Nie, Pennatusie...

– To mój dar dla ciebie. Niech ci mnie przypomina, jak mi przypominał o matce.

– Twoja matka nie żyje.

– W świecie, do którego musisz wrócić, i ja nie żyję. Nigdy się już nie zobaczymy, a w każdym razie nie tak, jak to dotąd bywało. Ani przez chwilę nie będziemy sami, nie powiemy sobie ani jednego słowa miłości. Będiesz jednak wiedziała, że nasze dziecko, dowód naszego uczucia, żyje i ma się dobrze. To ci przyrzekam!

Pınaria zacisnęła powieki i rozplakała się. Kiedy znów je otworzyła, Pennatusa i dziecka już nie było. W izbie zrobiło się ciemno. Czas płynął i płynął, i wkrótce znów zaczęło jaśnieć.

Gdzieś w głębi budynku rozmawiały kobiety, z początku cicho i niewyraźnie, ale z każdą chwilą słyszała je lepiej. Rozpoznała głosy czcigodnej Postumii i Foslii. Wołały ją:

– Pinario! Pinario, jesteś tu?

Westalki wróciły do domu.

* * *

– Powiedz mi jeszcze raz, gdzie i kiedy znalazłeś to dziecko? – spytał Dorso z marsem na czole.

– Wczoraj, porzucone w krzakach obok ruin domu mojego pana. Matka musiała je dopiero co urodzić.

– Kim mogła być?

– Na pewno nie Galijką. Mały jest na to zbyt ładny, nie sądzisz?

Fabiusz przyjrzał się niemowlęciu.

– Przystojniak z niego, trzeba przyznać. A zatem to syn powracającej Rzymianki?

– Tak mi instynkt podpowiada. Bez wątplenia kobieta doznała wielu trudów i cierpień podczas tułaczki, a po powrocie pewnie zastała swój dom spalony. Perspektywa wykarmienia i wychowania dziecka mogła się jej wydać ponad siły. Galowie zniszczyli nie tylko mury, ale i dusze: oto rzymska matka tak ostatecznie utraciła nadzieję, że porzuciła dziecko! I to takie ładniutkie...

– Widzę, że zdążyłeś je bardzo polubić.

– Jest w nim coś szczególnego, nie dostrzegasz tego? Myślę, że to był jakiś znak. Pomyśl... znalazłem je tuż po odejściu Galów, w chwili gdy Rzymianie dopiero wracali do miasta. To jest jak obietnica zesłana przez bogów: Rzym się odrodzi.

– Czy mnie słuch nie myli? Pobożność i optymizm na twoich ustach, Pennatusie?

– Zmieniły mnie te miesiące na Kapitolu. Jestem teraz innym człowiekiem.

– A niedługo będziesz wolnym człowiekiem, jeżeli będę miał w tej sprawie cokolwiek do powiedzenia. Byłeś przy mnie, gdy szedłem złożyć ofiarę Kwirynusowi. Walczyłeś z nami ramię w ramię, gdy Galowie omal nas nie zaskoczyli i tylko gęsi nas uratowały. Zasłużyłeś na wolność po stokroć, a twój pan nie żyje. Chcę porozmawiać z jego spadkobiercami, zapłacić im jakąś rozsądną cenę i dopilnować, by cię wyzwolili. Co ty na to, Pennatusie?

– Co ja na to? Bogowie się do mnie uśmiechają, nie może być inaczej, skoro w jednej godzinie ocaliłem to dziecko i uzyskałem od ciebie tak piękną obietnicę. Ale...

– Cóż takiego? Mówże!

– Jeżeli naprawdę zamierzasz wynagrodzić pokornego sługę za zasługi na Kapitolu, to mam inną prośbę. Nie tyle dla mnie... bo czymże ja jestem, jak nie pękniętą nitką w wielkiej materii tkanej przez Parki?... ale dla tego bezradnego, niewinnego dziecka.

Dorso zmarszczył brwi i ściągnął usta.

– Mów dalej.

– Cóż mi po wolności? Zdany na siebie w zniszczonym mieście taki tępak jak ja na pewno by marnie zginął. Wolałbym, żebyś mnie po prostu od nich kupił i zatrzymał jako swego niewolnika. Przynajmniej, że każdego dnia będę się starał udowodnić, że jestem wart być twoim wiernym sługą. To będzie dla mnie wielki honor, służyć najdzielniejszemu potomkowi najdzielniejszego rzymskiego rodu, Fabiuszów. A jeśli kiedyś, po latach, uznasz za stosowne mnie wyzwolić, będę z dumą nosił twoje miano: Gajusz Fabiusz Dorso Pennatus.

Dorso nie był odporny na pochlebstwa, nawet wygłaszane przez niewolnika.

– Rozumiem twój punkt widzenia. Z radością spełnię tę prośbę, przyjacielu. Będziesz w moim domu najwyższym rangą, moim zaufanym niewolnikiem.

– I jeszcze... wiem, że żądam od ciebie rzeczy niezwyklej, ale czuję się w obowiązku to powiedzieć... proszę cię, abyś adoptował to niemowlę i wychował jak własnego syna. – Widząc zaskoczenie na twarzy Fabiusza, Pennatus szybko i z naciskiem mówił dalej, nie dając mu dojść do słowa. – Przecież taki akt nie byłby bez precedensu... i to jak szacownego i przedwiecznego. Jak Romulus i Remus byli znajdami, wyrzuconymi na brzeg przez wielką powódź, tak i tego chłopca przyniosły fale inwazji Galów. Faustulus przyjął bliźniaków do własnego domu i nigdy nie miał powodu żałować tej decyzji, ponieważ była spełnieniem boskiej woli. Ty też z pewnością nie pożałujesz, żeś zaopiekował się niewinnym sierotą.

Fabiusz uniósł lekko brwi. Dlaczego Pennatus tak się przejmuje tym dzieckiem? Ta cała tyrada o boskiej woli i wróżbach nie pasuje do jego charakteru... chyba że zamknięcie na Kapitolu rzeczywiście go tak bardzo odmieniło. Czy nie jest bardziej prawdopodobne, że jego troska o noworodka wypływa z bardziej osobistych pobudek? Dorso szybko policzył w myślach: oblężenie trwało siedem miesięcy, normalna ciąża dziewięć. Nietrudno mu było sobie wyobrazić, że Pennatus miał z kimś romans na krótko przed najazdem, a potem stracił kochankę z oczu – przypuszczalnie też była niewolnicą, ale niewykluczone, że wolną kobietą. Kto wie nawet, czy nie wysoko urodzoną; nie takie rzeczy się już zdarzały. Teraz chłopak zszedł z Kapitolu i się dowiedział, że został ojcem. Matka, obojętnie kto nią był, czuła się zmuszona oddać dziecko – a teraz ten chytrus umyślił sobie wcisnąć własnego bękarta na wychowanie jemu, Fabiuszowi!

Dorso miał wielką ochotę powiedzieć Pennatusowi, że przejrzał jego intrygę, i zażądać ujawnienia prawdy. Coś go jednak powstrzymywało... Bogowie działają w tajemniczy sposób, czasem posługując się wątpliwymi i niewierzającymi, a nawet niewolnikami jako nieświadomymi narzędziami ich woli. Pennatus pewnie myśli, że wodzi nowego pana za nos; tymczasem może być tak, że obu ich jakaś nadprzyrodzona siła prowadzi jak po sznurku dokładnie tam, gdzie chce.

Przypomniał sobie długą drogę z Kapitolu na Kwirynał, kiedy niewolnik mężnie zgodził się mu towarzyszyć. Z perspektywy czasu oceniał to jako akt szaleńczej brawury – a przecież okazało się to najlepszą rzeczą, jaką w życiu zrobił. Zyskał nieśmiertelną sławę; jego imię

ludzie będą czcić jeszcze przez pokolenia. Nie dokonał tego jednak sam. Pennatus był z nim cały czas, przebył krok w krok tę samą drogę i przeżył to samo napięcie – tymczasem o nim nie będzie pamiętał nikt. Czy on, Fabiusz, nie jest wobec tego jego dłużnikiem? Tak. Dług jest tak wielki, że spłacić go można tylko czynem równie śmiałym jak wyprawa na Kwirynał.

Popatrzył przyjacielowi w oczy i poważnie skinął głową.

– Dobrze, Pennatusie. Adoptuję twoje... to znaczy, adoptuję to dziecko. Będzie moim synem. – Wziął niemowlę z jego rąk i uśmiechnął się do jego drobnej twarzyczki, a potem wybuchnął śmiechem na widok wyrazu oszołomienia na licach niewolnika. – Cóż to, nie sądziłeś, że się zgodzę?

– Miałem nadzieję... marzyłem... modliłem się... – Pennatus upadł na kolana, złapał Fabiusza za rękę i pocałował w dłoń. – Niech cię wszyscy bogowie błogosławią, mój panie!

Odruchowo sięgnął do szyi, by dotknąć Fascinusa, ale palce trafiły tylko na nagą skórę.

* * *

Życie w Rzymie powoli zaczynało wracać do dawnego porządku. Senat wznowił działalność, urzędnicy wrócili na swoje funkcje. Niemal od razu też wrócił temat kwestii wejańskiej. Kamillus był zdecydowany załatwić tę sprawę raz na zawsze. Kilku najbardziej radykalnych trybunów argumentowało, że miasto jest tak zrujnowane, a jego świątynie tak splugawione przez nieczystych Galów, że należy je niezwłocznie porzucić. Proponowali, by cała ludność przeniosła się do Wejów, gdzie wielu uchodźców schroniło się na czas wojny i zaczęło się tam czuć jak u siebie. Kamillus w lot pojął szansę, jaką sami włożyli mu w ręce. Pomijając milczeniem wszystkie inne możliwe rozwiązania, użył tej argumentacji do obrócenia debaty w prosty wybór: wszystko albo nic. Żądał od obywateli jasnej decyzji: czy chcą na zawsze opuścić Siedem Wzgórz i zamieszkać w Wejach, czy raczej rozebrać tam kamień po kamieniu i belka po belce każdy budynek, a uzyskany budulec wykorzystać do odbudowy Rzymu?

Zapewniwszy sobie wcześniej pełne poparcie senatorów, stanął na Forum przed zgromadzonymi tłumnie Rzymianami i przemówił.

– Obywatele! Niezgoda podsycana przez trybunów jest dla mnie tak bolesna, że przez cały ten czas jedyną mą pociechą w goryczy wygnania było to, że jestem z dala od tych wiecznych swarów. Nie wróciłbym do tej głupoty, choćby mnie proszono tysiącem senackich dekretów. Wróciłem jednak, ponieważ moje miasto mnie potrzebowało... i teraz znów mnie potrzebuje, abym bił się w jeszcze bardziej desperackiej kampanii: o samo jego istnienie! Wiele wycierpieliśmy i wiele przelaliśmy krwi, by wyprzeć z niego nieprzyjaciół... Po co? Żeby dziś je porzucić? Kiedy Galowie zajęli Rzym, garstka dzielnych ludzi zamknęła się na szczycie Kapitolu, nie chcąc uchodzić na tułaczkę. Teraz trybunowie chcą dokonać tego, co się nie udało najeźdźcom! Chcą zmusić tych dzielnych Rzymian, jak i nas wszystkich, by się

wyrzekli swego miasta. Czy tak ma wyglądać zwycięstwo, że stracimy to, co jest nam najdroższe? Nade wszystko jednak trzeba się liczyć z wolą bogów. Kiedy postępujemy zgodnie z nią, wszystko idzie dobrze. Kiedy ją lekceważymy, spada na nas katastrofa! Głos z nieba objawił Markowi Cedycjuszowi prorocstwo o nadejściu Galów. Trudno o wyraźniejsze ostrzeżenie! A mimo to jeden z naszych posłów jawnie pogwałcił święte prawo i podniósł broń na tych, do których go wysłano. Zamiast go skarcić, wy go nagrodziliście. I co się stało? Niedługo trzeba było czekać na tragedię. Urażeni bogowie pozwolili Galom podbić i zniszczyć nasze miasto. Jednakże podczas okupacji zdarzały się akty tak wielkiej pobożności, że zły los się odwrócił i znów spłynęła na nas łaska niebios. Gajusz Fabiusz Dorso mimo niebezpieczeństwa dokonał cudownego wyczynu. Dla uczczenia boskiego założyciela Rzymu opuścił bezpieczne schronienie na Kapitolu i udał się na Kwirynał, nieuzbrojony i obojętny na zagrożenie. Taką roztaczał aurę świętości, że ani jeden z Galów nie śmiał go zaatakować – powrócił z misji bez najmniejszego uszczerbku. A chociaż obrońcy Kapitolu przymierali głodem, nikomu nie przyszło do głowy porwać się na poświęcone Junonie gęsi – i dzięki temu dane im było doczekać oswobodzenia. Jakież mamy szczęście, że żyjemy w mieście założonym przez Romulusa za boskim przyzwoleniem! Jego następcy wypełnili je ołtarzami i świątyniami; bogowie mieszkali niemal na każdym rogu. Paru głupców powie: „Przecież bogów można równie dobrze czcić w Wejach”. Nonsens! Błuznierstwo! Gdyby bogowie chcieli żyć w Wejach, nigdy by nie dopuścili do ich upadku. Gdyby nie woleli mieszkać w Rzymie, nigdy byśmy go nie odzyskali! Miejsca ulubionego przez niebiosa nie da się spakować w kufer i zabrać ze sobą! Tak, nasze miasto leży w gruzach i przez jakiś czas musimy znosić niewygody. Ale jeśli nawet przyjdzie nam mieszkać w nędznych chatkach, to co? Tak żył Romulus! Nasi przodkowie byli świniopasami i uchodźcami, a jednak w kilka lat zbudowali miasto, gdzie wcześniej były tylko las i bagna. Weźmiemy z nich przykład i odbudujemy Rzym lepszy, niż był kiedykolwiek! Katastrofa, jaką nam przynieśli Galowie, jest tylko krótkim epizodem. Rzymowi pisane jest wielkie przeznaczenie, a jego historia dopiero się zaczyna. Czyście zapomnieli, skąd wzięła się nazwa Kapitolu? Odkopano tam ludzką głowę, co kapłani uznali za najlepszy omen: to jest miejsce, gdzie kiedyś będzie mieć swą siedzibę głowa całego świata, największa potęga na ziemi. Ten dzień jeszcze nie nadszedł... ale nadejdzie! Porzućcie Rzym, a wyrzekniecie się własnego przeznaczenia i skażecie waszych potomków na niebyt. Zajrzyjcie w swoje serca, Rzymianie! Tu jest wasza ojczyzna. Powiem wam z własnego doświadczenia, że nie ma nic gorszego, jak usychać z tęsknoty za domem. Będąc na wygnaniu, nigdy nie przestałem śnić o tych wzgórzach i dolinach, krętej wstędze Tybru, widokach ze szczytów, bezkresnym niebie, pod którym przyszedłem na świat i wyrosłem. Tu jest moje miejsce. Tu i nigdzie indziej, teraz i na zawsze!

Ludzie byli głęboko poruszeni jego słowami, ale wciąż pozostawali niezdecydowani. Gdy skończył, odpowiedzią była tylko długa, pełna zakłopotania cisza.

W tej właśnie chwili na Forum wkroczyła dziesiątka żołnierzy wracających z patrolu. Miał ich zastąpić inny oddział, ale zmiennicy się spóźniali. Zirytowany dowódca rzucił komendę do zatrzymania się.

– Nie ma sensu szukać gdzie indziej – powiedział. – Równie dobrze możemy zostać tutaj.

Akustyka na Forum jest taka, że jego słowa słyszeli wszyscy zgromadzeni, czysto i wyraźnie, jakby dochodziły z nieba. Ludzie zaczęli spoglądać na siebie ze zdumieniem. Gdzieniedzie rozlegał się nerwowy śmiech i okrzyki.

– To omen! – zawołał jakiś mężczyzna. – Znak od bogów! Głos przemówił do Cedycjusza, zanim to wszystko się zaczęło. Teraz głos mówi do nas wszystkich: „Możemy zostać tutaj”!

– Zostajemy tutaj! – skandowano. – Zostajemy tutaj!

Podniosła się wrzawa. Ludzie wiwatowali, śmiali się, ronili łzy wzruszenia. Kamillus, który ze swojego podwyższenia dobrze widział całe Forum i wiedział, skąd dobiegł ów tajemniczy głos, był zdruzgotany. Mimo całej elokwencji i pasji, jaką włożył w przygotowanie mowy, szalę przeważała dopiero rzucona mimochodem i nie na temat uwaga jakiegoś anonimowego żołnierza.

Na honorowym miejscu stały westalki, zachowujące mimo ogólnego zgiełku kamienny spokój. Virgo maxima, sztywno wyprostowana, pozwoliła sobie tylko na ledwo widoczny uśmiech. Foslia, bardziej niż kiedykolwiek oczarowana, wpatrywała się w męską sylwetkę dyktatora. Ręką poszukała dłoni stojącej obok niej Pinarii i ścisnęła ją mocno.

– Och, Pinario! – szepnęła. – Tyle wszyscy przeszliśmy... a ty więcej niż którakolwiek z nas. Ale teraz wszystko znów będzie dobrze. Westa ani na chwilę nie przestała nad nami czuwać, a dziś jej sługa Kamillus powiedzie nas znów na drogę cnoty!

Pinaria nie odpowiedziała. Utrata dziecka i rozstanie z Pennatusem pogrążyły ją w głębokim smutku. Powrót do zwykłych, codziennych posług westalki nie przyniósł jej pocieszenia. Kontemplacja świętego ognia przepełniała ją tylko wątpliwościami. Podczas przymusowego pobytu poza Rzymem, jak ją zapewniały pozostałe, płomień ani na chwilę nawet nie przygasł, tylko palił się równo i jasno. Jak to możliwe, zadawała sobie pytanie, skoro ona tylekroć łamała śluby czystości? Jej występki powinien doprowadzić do zgaśnięcia ognia Westy na zawsze! Dlaczego wina pozostała bez konsekwencji? Czy bogini jest nieuważna, czy tolerancyjna... a może po prostu nie istnieje? Jeżeli popełniony został grzech, Pinaria powinna umrzeć. Jeżeli grzechu nie było, to nigdy nie powinna zostać rozdzielona z dzieckiem!

Foslia ścisnęła jej dłoń i zerknęła na nią ze współczującym uśmiechem. Biedactwo, tyle wycierpiała podczas oblężenia... nic dziwnego, że jest tak skłonna do płaczu. Widząc, że Pinaria pochyła głowę i chwyta się za szyję, Foslia przestraszyła się, że zabolęła ją serce albo odczuwa duszność. Nie wiedziała nic o ukrytym pod szatą talizmanie.

373 r. p.n.e.

Obywatele zagłosowali za zburzeniem Wejów i odbudową Rzymu. Dla upamiętnienia proroctwa objawionego Markowi Cedycjuszowi zbudowano w miejscu, gdzie je usłyszał, świątynię poświęconą nowemu bóstwu: Aius Locutius, Wieszczemu Głosowi. Kamillus ustanowił też dekretem doroczne święto ku czci gęsi kapitolńskich: uroczystą procesję, na której czele w bogato zdobionej lektyce jechał najdorodniejszy z ptaków Junony, na końcu zaś niesiono zatknięte na tyczkę ciało psa.

Miasto odbudowywano pospiesznie i bezładnie. Ludzie stawiali domy i mury, nie zważając na linie graniczne posesji. Nowe budynki często naruszały publiczne prawo swobodnego przejścia, zamieniając uliczki w wąskie zaułki, a nawet blokując je zupełnie. Spory o działki miały się ciągnąć jeszcze przez pokolenia, podobnie jak skargi na kanały ściekowe, które kiedyś biegły pod nawierzchnią ulic, a teraz znalazły się pod prywatnymi domami. Przez stulecia odwiedzający Rzym cudzoziemcy mieli się dziwić, że tamtejsza zabudowa bardziej przypomina obozowisko nomadów niż dobrze rozplanowane miasto, jak na przykład u Greków.

Syn Pinarii i Pennatusa – który nie wiedząc o tym, miał w sobie patrycjuszowską krew i Pinariuszów, i Potycjuszów – został adoptowany przez przedstawiciela niemal równie starego rodu Fabiuszów. Dorso nadał dziecku imię Keso i wychowywał z taką miłością, jakby był jego rodzonym dzieckiem. Można nawet powiedzieć, że chłopiec cieszył się większym uczuciem przybranego ojca niż młodsze rodzeństwo, przypominał mu bowiem najlepsze lata młodości. Żaden okres w życiu Gajusza Fabiusza nie był już tak mu drogi jak owe miesiące przeżyte na oblężonym Kapitolu, kiedy nic nie wydawało się niemożliwe, a każdy kolejny dzień był jak dar od bogów.

Pennatus przeżył swe dni jako lojalny sługa Fabiusza. Jego wrodzony spryt i dyskrecja wyciągały pana i przyjaciela z niejednej opresji, często nawet bez jego wiedzy. Szczególną jednak miłością niewolnik darzył młodego Kesona. Przyjaciół domu to nie dziwiło, wiedzieli bowiem, że to on znalazł i uratował chłopca w niemowlęctwie. Widok ich obu – Pennatusa czule się opiekującego dzieckiem, które patrzyło nań z całą ufnością – niejednego mógł wzruszyć.

Pinaria do końca życia pozostała westalką, choć nie przestawały jej trapić wątpliwości, z których jednak nigdy nikomu się nie zwierzyła. Nie robiła takiej tajemnicy z otrzymanego od kochanka daru; pieczołowicie usunęła warstwę ołowiu, przywracając talizmanowi pierwotny złoty połysk, a po śmierci Postumii, kiedy virgo maxima została Foslia, zaczęła go nosić otwarcie. Zdziwionym i zaciekawionym westalkom wyjaśniła, jak prastare są dzieje Fascinusa, nie zdradzając jednak jego pochodzenia. Dla Foslii szczególnie intrygujące były ochronne właściwości amuletu. Objąwszy stanowisko przełożonej, wprowadziła praktykę włączania Fascinusa do triumfalnych pochodów; kazała zrobić jego wierną kopię – nazywaną

fascinum – i umieszczala je w niewidocznym miejscu pod rydwanem triumfatorów, aby odwracał zły urok, jaki mogły sprowadzić na nich zawistne spojrzenia. Od tej pory stało się to tradycyjnym obowiązkiem kapłanek Westy. Podobne amulety, wykonane z pospolitych metali, wkrótce weszły do powszechnego użycia. Niektóre miały skrzydełka jak oryginał, ale w większości rzemieślnicy je pomijali. Po latach niemal każda ciężarna Rzymianka nosiła własne fascinum, by chronić siebie i dziecko od złych czarów.

Podczas oblężenia Kapitolu Pınaria i Fabiusz bardzo się polubili. Po oswobodzeniu zachowywała wobec niego ostrożny dystans, żeby ich przyjaźń nie wzbudziła niczyjej podejrzliwości, ale ich drogi często się krzyżowały podczas publicznych uroczystości. Czasami udawało się jej wtedy zobaczyć Pennatusa, unikała jednak jego wzroku i nigdy nie zamieniła z nim choćby paru słów.

Przy tych okazjach widywała też swojego syna i mogła z daleka śledzić, jak rośnie i się rozwija. Kiedy Keso skończył szesnaście lat i osiągnął wiek męski, celebrując urodziny przez nałożenie togi męskiej, nikt nie widział nic dziwnego w tym, że na uroczystość została zaproszona westalka. Każdy w Rzymie wiedział, że to Pınaria wspierała niegdyś modlitwą ojca młodzieńca w jego słynnym marszu między Galów, on zaś darzył ją szczególną estymą.

Młody Keso był jednak trochę zaskoczony, kiedy kapłanka wzięła go na stronę w ogrodzie, a jeszcze bardziej zdziwił go dar, który mu wręczyła. Był to złoty łańcuszek, na którym wisiało lśniące, złote fascinum.

Keso się uśmiechnął. Ze swoimi niesfornymi, słomianej barwy włosami i jasnoniebieskimi oczami wciąż wyglądał dla niej jak dziecko.

– Ależ ja nie jestem niemowlakiem! A już na pewno nie brzemienną kobietą... Jestem już mężczyzną. To przecież mój dzień togi!

– A jednak chcę, żebyś to przyjął. Widzisz, ja wierzę, że twojemu ojcu towarzyszyła podczas jego słynnego marszu i chroniła go pradawna siła, starsza od naszych bogów. Ta siła mieszka w tym właśnie talizmanie.

– Chcesz powiedzieć, że ojciec miał go na sobie, idąc między Galów?

– Nie, ale był blisko niego. Bardzo blisko... To nie jest zwykłe fascinum, jakie za parę miedziaków można kupić na straganie. To pierwowzór ich wszystkich, od którego wszystko się zaczęło. Nazywa się Fascinus i jest wyobrażeniem boga, który zamieszkiwał Siedem Wzgórz na długo przed pojawieniem się innych bóstw, nawet Herkulesa i Jowisza.

Keso słuchał tego nieco nieufnie. Dziwiły go takie słowa w ustach westalki, a jeszcze bardziej sam dar, wizerunek męskiego życiodajnego organu. Posłusznie założył jednak łańcuszek na szyję i podniósł do oczu talizman. Od razu spostrzegł, że nosi ślady zęba czasu.

– Rzeczywiście wygląda na starość – zauważył.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jak wielką. Jest równie stary jak bóstwo, które przedstawia.

– Ale to zbyt cenny podarunek! Nie mogę go przyjąć.

– Możesz i musisz. – Ujęła jego dłonie i mocno uścisnęła. – Dziś, w swoje szesnaste urodziny, dostajesz od westalki Pinarii Fascinusa, Kesonie Fabiuszu Dorso. Proszę, abyś zakładał go na specjalne okazje, a z czasem przekazał go swojemu synowi. Czy zrobisz to dla mnie?

– Oczywiście, że tak, pani. To dla mnie zaszczyt.

Usłyszeli lekki szmer, a odwróciwszy się, zobaczyli niewolnika Pennatusa obserwującego ich z perystylu. Na jego twarzy malowały się emocje, jakich młodzieniec, choć znał go całe życie, nigdy dotąd nie widział: niezwykle pomieszanie smutku i radości, żalu i spełnienia. Zmieszany Keso spojrzał na kapłankę – i ku swemu niezmiernemu zdumieniu te same uczucia wyczytał z jej oblicza.

Pennatus zniknął po chwili gdzieś w głębi domu. Pinaria puściła rękę chłopca i odeszła w przeciwnym kierunku, zostawiając go samego z dziwnym amuletem. Jacy tajemniczy są ci dorośli! Wygladzając fałdy nowiutkiej togi, Keso zastanawiał się, czy na pewno jest gotów stać się jednym z nich.

Architekt własnego losu

312 r. p.n.e.

– A więc, młody człowieku, to dziś twój dzień togi... i jaki przy tym piękny! No, opowiadaj, jak go dotąd świętowałeś.

Kwintus Fabiusz przyjmował gościa w swoim wspaniałym ogrodzie pośrodku willi, ubrany na tę okazję w najlepszą togę. Siedział z rękoma założonymi na piersi i marszem na czole, jakby chciał skarcić młodzieńca za jakąś przewinę. Kesona uprzedzano, że jego wybitny kuzyn zawsze ma surową minę; największy wódz Rzymu był znany z tego, że nigdy się nie uśmiecha. Chłopak starał się trzymać fason, ale musiał odkaszlnąć, żeby wydobyć z siebie głos.

– Wstałem dziś bardzo wcześnie, kuzynie Kwintusie. Ojciec przekazał mi rodowe dziedzictwo, złote fascinum na złotym łańcuszku. Zawsze je nosił na szyi, a dzisiaj założył go mnie. Ten amulet ma swoją historię: mój pradziadek dostał go od słynnej westalki Pinarii. Potem tato pomógł mi nałożyć nową togę. Nie miałem pojęcia, że to takie skomplikowane i że tak trudno ułożyć fałdy, żeby dobrze wyglądały! Poszliśmy na długi spacer po Forum, gdzie przedstawiał mnie przyjaciołom i znajomym. Mogłem wejść na Rostre, żeby zobaczyć, jak Rzym wygląda z perspektywy oratora.

– Kiedy ja byłem chłopcem, podium dla mówców jeszcze się tak nie nazywało – przerwał mu Kwintus. – Dopiero później zyskało ozdobę w postaci dziobów zdobytych okrętów, a od nich swą dzisiejszą nazwę. Czy wiesz kiedy?

Keso znów odchrząknął.

– Zdaje się, że za konsulatu Lucjusza Furiusza Kamillusa, wnuka wielkiego Kamillusa. Nadbrzeżne miasto Ancjum padło przed rzymskim orężem, a jego mieszkańcy musieli zdemontować tarany, czyli rostra, ze stów swoich okrętów i przysłać je nam na znak hołdu.

Kwintus jeszcze mocniej zmarszczył brwi i rzekł:

– Mów dalej.

– Kiedy zszedłem z Rostry, zgodnie z naszą rodzinną tradycją poszliśmy na Kapitol tą samą drogą, którą mój pradziadek, Gajusz Fabiusz Dorso, szedł złożyć ofiarę na Kwirynale,

rzucając wyzwanie Galom. Przy ołtarzu Kwirynusa augur odczytał auspicje. Widzieliśmy samotnego sokoła przelatującego z lewa na prawo, co wróżbita uznał za pomyślny znak.

– Pewnie, że pomyślny! Sokół będzie cię strzegł w boju. I jakie to uczucie, młody człowieku, nosić toge?

– Bardzo przyjemne, kuzynie Kwintusie! – odrzekł z zapalem Keso.

Prawdę mówiąc, wełniana szata okazała się cięższa i było mu w niej goręcej, niż się spodziewał.

Kwintus skinał głową. Toga wyglądała na młodym Kesonie raczej absurdalnie, podkreślając tylko jego młody wiek i chłopięcą urodę – blond loki, rumiane policzki bez jednego włoska zarostu, pełne czerwone usta i jasnoniebieskie oczy. Głośno powiedział jednak tylko:

– Jesteś już mężczyzną. Gratuluję.

– Dziękuję, kuzynie Kwintusie – odrzekł Keso z wymuszonym uśmiechem.

Ze wszystkich zdarzeń owego dnia to było chyba najważniejsze. Najgodniejsza persona i głowa całego rodu, wielki polityk i wódz Kwintus Fabiusz, wyświadczył mu zaszczyt, zapraszając na ucztę z okazji wkroczenia w wiek męski – mieli zasiąść do stołu tylko we dwóch. Podenerwowany i zmęczony młodzieniec za wszelką cenę chciał dobrze wypaść, siedział więc sztywno wyprostowany i starał się wytrzymać stalowy wzrok sławnego kuzyna.

– W takim razie przejdźmy do jadalni. Pobiesiadujemy jak dwaj światowcy i porozmawiamy o twojej przyszłości.

Rozmowa dotyczyła jednak niemal wyłącznie przeszłości. Przy stole zastawionym najróżniejszymi przysmakami – jak wieprzowa wątroba z selerem w winnym sosie, flaki gotowane z cynamonem i gałką muszkatołową czy baranina w sosie z fenkułów – Kwintus opowiadał o różnych wydarzeniach z historii rodu. Chłopak większość z tych opowieści już słyszał, ale nikt ich nie umiał przekazać w taki sposób. Za czasów młodości wodza żył jeszcze pradziadek Kesona, czcigodny Dorso, i relację o jego słynnym marszu wśród Galów Kwintus słyszał z pierwszej ręki.

Nie obyło się bez przypomnienia najslynniejszego i najtragiczniejszego zarazem wyczynu, wielkiej ofiary Fabiuszów podczas wojny z Wejami, kiedy to ród wystawił cały duży oddział, z którego pozostał zaledwie jeden człowiek.

– Z trzystu siedmiu wojowników przeżył tylko ów młodzieniec, aby ponieść w przyszłość nasze nazwisko – zakończył opowiadanie Kwintus. – Jak las szlachetnych drzew, nasz ród odrodził się z tego jednego nasienia... co jest widocznym znakiem, że bogowie przeznaczyli nam wielką rolę w dziejach Rzymu.

Z równą skromnością dostojnik głosił własną chwałę. W początkach kariery, jako magister equitum – dowódca jazdy – dyktatora Lucjusza Papiriusza Kursora, wbrew jego wyraźnym rozkazom wdał się w bitwę z Samnitami. Odniósł wprawdzie walne zwycięstwo, groziła mu jednak kara śmierci za niesubordynację.

– Stoję na Forum, mój ojciec klęczy przed Papiriuszem, błagając o darowanie mi życia. Tylko żywiołowy protest senatorów i ludu powstrzymał dyktatora od wydania rozkazu liktorom, aby mnie zabili na miejscu. Zachowałem głowę, lecz straciłem urząd. Fortuna szybko jednak zmienia zdanie! Zaledwie po trzech latach zostałem jednym z najmłodszych konsulów w historii. Rozgromiłem znowu Samnitów, za co urządzono mi wielki triumf. Rok później w kolejnej wojnie z tym samym ludem moi następcy dopuścili do sromotnej klęski. Nie brałem udziału w bitwie w Wąwozie Kaudyńskim... może na szczęście, a może nie. Chyba znasz tę haniebną historię?

Keso szybko odłożył oliwkę, którą właśnie podnosił do ust.

– Tak, kuzynie. Rzymska armia pod dowództwem konsulów Tytusa Weturiusza Kalwina i Spuriusza Postumiusza, chcąc skrócić sobie drogę, pomaszerowała przez wąski i stromy parów, zwany Wąwozem Kaudyńskim. Kiedy przednia straż dotarła do przeciwległego końca, okazało się, że droga jest zablokowana głazami i zwalonymi drzewami. Wodzowie nakazali spieszny odwrót, ale wróg tymczasem zamknął także wejście. Armia była w pułapce: mieli do wyboru śmierć głodową albo próbę przedarcia się przez barykady, która w tej sytuacji musiałaby się skończyć masakrą Rzymian. Po kilku dniach impasu konsulowie przyjęli warunki Samnitów.

– A jakie to były warunki? – spytał Kwintus. – Śmiało, młodzieńcze, mów, czego cię uczono.

– Rzymianie musieli złożyć broń i zbroje, a także całą odzież. Nagich zmuszono do przejścia pod ustawionym nad wyjściem jarzmem, na znak poddania się zwycięzcom. Nawet konsulom Samnici nie oszczędzili tej hańby. Naśmiewali się z nich i wymachiwali mieczami przed oczyma. Wojsko wróciło do domu całe, ale okryte wstydem i niesławą. Był to czarny dzień w historii naszego miasta.

– Najczarniejszy od najazdu Galów! – zakrzyknął wódz. – Zamiast jednak udawać, że nic się nie stało, musimy się przyznać do klęski i dopilnować, by podobny błąd... jak można było nie wysłać przodem zwiadowców!... nigdy się już nie powtórzył. Wojna z Samnitami trwa, ale nie może być wątpliwości co do jej wyniku. Tylko przez podboje możemy się rozwijać i prosperować. Obowiązkiem każdego Rzymianina jest dobyć miecza, a gdy trzeba, oddać życie, aby wypełnić przeznaczenie Rzymu. Jest nim dominacja nad całą Italią, a potem ekspansja na północ. Któregoś dnia wyrzemy zemstę na Galach i raz na zawsze zlikwidujemy zagrożenie z ich strony. Czy spełnisz swój obowiązek wobec Rzymu, młodzieńcze?

Keso wziął głęboki oddech.

– Bardzo bym chciał zabić kilku Samnitów, jeśli się da. A potem i kilku Galów.

– Bardzo dobrze!

Po raz pierwszy tego wieczoru na twarzy Kwintusa Fabiusza pojawił się uśmiech; zgasł jednak natychmiast, gdy rozmowa wróciła do polityki. Fabiusze, tłumaczył, muszą dochodzić swoich patrycjuszowskich przywilejów i chronić je przed zagarnięciem przez plebs.

– Oczywiście są wśród nich ludzie godni wysokich urzędów. Dla Rzymu jest z korzyścią, gdy najambitniejsi i najzdolniejsi z plebejuszy awansują do szeregów nobilew, żenią się z patrycjuszkami i wspólnie z nami rządzą miastem. Rzym nagradza zasługi. Plebs, cudzoziemcy, a nawet wyzwoleni niewolnicy mają szansę wspinać się po szczeblach kariery, choć nie brak przeszkód, które mają im tę wspinaczkę utrudnić. I tak być powinno! Demokracja, jaką się praktykuje w niektórych greckich koloniach na południu... gdzie każdy człowiek ma równe prawo głosu... dzięki bogom Rzymu jeszcze nie osiągnęła. Tu obowiązują zasady republikańskie, czyli prawo nobilew do równoprawnego i otwartego współzawodniczenia między sobą o polityczne godności.

Ułożył się wygodniej na sofie i zamilkł, delektując się podsmażanymi warzywami.

– Ale odszedłem od tematu rodowej historii, bardziej odpowiedniego w twoim dniu togi – podjął po dłuższej chwili. – Nasze korzenie spowija, oczywiście, całun tajemnicy, jak wszystkie sprawy z czasów, zanim w Rzymie poznano pismo. Największe nasze autorytety wierzą jednak, że pierwsze rzymskie rodziny pochodzą w prostej linii od bogów.

– Mój przyjaciel Marek Juliusz twierdzi, że ich przodkinią była Wenus – wtrącił Keso.

– Doprawdy? – Kwintus uniósł brwi. – To by wyjaśniało, dlaczego są lepszymi kochankami niż żołnierzami. Nasza genealogia jest trochę bardziej heroiczna. Według rodowych kronikarzy pierwszy z Fabiuszów był dzieckiem Herkulesa i leśnej nimfy, urodzonym na brzegu Tybru w zaraniu czasu. Krew herosa płynie w naszych żyłach po dziś dzień.

Kwintus wydzielił gościowi drugą skąpą rację uśmiechu, po czym nagle zmarszczył czoło i umilkł. Obydwaj zdali sobie sprawę, że myślą o tym samym: gałąź rodu, z której pochodził Keso, powstała przez adopcję i nie mogła się powoływać na tak prastare korzenie. Żaden nie wiedział, że prawda jest o wiele bardziej złożona: to właśnie roszczenie Fabiuszów nie miało żadnego uzasadnienia i tylko Keso, pochodzący po mieczu z rodu Potycjuszów, mógł się nazwać potomkiem Herkulesa.

Niewygodna chwila przedłużała się nieznośnie i chłopak czuł, jak robi mu się gorąco. Zbliżyli się do tematu, który zawsze go wprawiał w zakłopotanie, odkąd w dzieciństwie się dowiedział, że jego dziadek nie urodził się Fabiuszem, tylko był adoptowanym sierotą nieznanego pochodzenia. Historię tę opowiadano z dumą, ponieważ świadczyła o pobożności wielkiego Dorso, który przygarnął znalezione w ruinach miasta niemowlę. Tłumaczono Kesonowi, że dziadek był niezwykłym człowiekiem – sami bogowie zadecydowali bowiem o tym, że ma się stać Fabiuszem. Oni dają życie, a potem liczy się to, co człowiek z nim zrobi. Prawdziwym sprawdzianem Rzymianina nie jest jego rodowód, ale zdolność kształtowania świata podług własnej woli.

Pomimo tych wyjaśnień i zapewnień Keso nieraz z niepokojem myślał o swym pochodzeniu. Czuł, że w tym ważnym dniu prędzej czy później ta kwestia musi zostać poruszona – i właśnie tak się stało, choć nie została wypowiedziana wprost. Nie mógł już dłużej wytrzymać i raptownie zmienił temat.

– Opowiadałeś, kuzynie, o swojej wspaniałej karierze, nie wspomniałeś jednak o epizodzie, który zawsze mnie intrygował.

– Tak? Jakiż to epizod?

– To było chyba niedługo przed moim urodzeniem, kiedy dopiero zaczynałeś działalność polityczną. Miało to związek ze słynnym przypadkiem otrucia... a raczej z wieloma takimi przypadkami.

– Mówisz o śledztwie, które się odbyło podczas mojej kadencji edyla kurulnego. – Kwintus ponuro pokiwał głową. – Tak, to była istna plaga otruc!

– Jeśli wolisz o tym nie mówić...

– Przeciwnie. Podobnie jak z katastrofą w Wąwozie Kaudyńskim, nie ma sensu ukrywać takich incydentów, choćby najbardziej niesmacznych. Masz rację, byłem wtedy młody i ogromnie mnie ekscytowała moja funkcja publiczna. Jako edyl kurulny automatycznie zostałem przyjęty w poczet senatorów, a do moich obowiązków należało utrzymanie prawa i porządku w mieście.

– Brzmi to jak fascynująca praca.

– Tak? Przeważnie wiązało się to z nudnymi czynnościami administracyjnymi. Grzywny za niszczenie własności publicznej, rozpatrywanie skarg przeciwko lichwiarzom i tak dalej. Raczej mało interesujące zajęcia dla młodzieńca, któremu marzyła się wojaczka! Moje narzekania były jednak niczym wobec panującej tego roku ogólnie ponurej atmosfery. Ludzie się bali, że spadła na nas jakaś bardzo dziwna plaga. Jej ofiarami padali tylko mężczyźni... nie dotknęła ani jednej kobiety... ale najdziwniejsze, że objawy były różne. Niektórzy umierali szybko, inni niby wracali do zdrowia, ale nagle choroba powracała z tym większą siłą i nie dawało się ich już uratować. Co więcej, wśród dotkniętych plagą było nieproporcjonalnie dużo mężczyzn o wysokiej pozycji społecznej. Zaraza najczęściej uderza przede wszystkim w uboższych i nisko urodzonych, a nie na odwrót. Dziwna natura choroby i rosnąca liczba ofiar nie od razu zwróciły uwagę. Minęło kilka miesięcy, zanim zaczęto łączyć te przypadki ze sobą, ale wtedy już mocno zaniepokoiło to władze i kapłanów. Wyglądało na to, że z jakiegoś powodu rozgniewaliśmy bogów... tylko czym? W końcu senat odwołał się do prastarego remedium, stosowanego w czasie zarazy. Jak wiesz, w świątyni Jowisza przechowywana jest drewniana tablica, umocowana na drzwiach prowadzących do sanktuarium Minerwy. Każdego roku w idy wrześniowe jeden z konsulów wbija w nią gwóźdź dla zaznaczenia upływu czasu. Dzięki temu możemy dokładnie określić wiek świątyni i republiki. Tablica jest umieszczona właśnie tam, gdyż od Minerwy właśnie otrzymaliśmy dar liczb. Spełnia jednak jeszcze inną funkcję, choć rzadziej. Kiedy na miasto spada plaga, może zostać wyznaczony

specjalny dyktator... nie wojskowy, lecz religijny... który ma tylko jedno zadanie: wbić w tablicę dodatkowy gwóźdź. Skąd się ten zwyczaj wziął, nie wiadomo, ale po pierwsze, przyczynia się do złagodzenia skutków choroby, a po drugie upamiętnia lata jej pojawiania się. Tak zrobiono i w tym wypadku. Funkcja ta przypadła w udziale Gnejuszowi Kwinktyliuszowi, jak sobie przypominam. W otoczeniu kapłanów i westalek udał się na Kapitol i uroczyście wbił gwóźdź, po czym złożył urząd. Rytuał nie przyniósł jednak poprawy sytuacji... plaga nie ustępowała, liczba ofiar wciąż rosła. W mieście panował coraz większy strach, władze nie wiedziały, co począć. Byłem oczywiście zaniepokojony jak wszyscy, ale przecież nie do mnie należało szukanie sposobu przebłagania bogów i zażegnania zarazy. Aż któregoś dnia, gdy pracowałem w swojej izbie na Forum, zgłosiła się do mnie młoda kobieta. Po stroju i zachowaniu poznałem, że jest wolno urodzoną służącą z dobrego domu. Oznajmiła, że ma mi do powiedzenia coś strasznego, ale tylko pod warunkiem że ochronię ją przed wymiarem sprawiedliwości i zemstą tych, których zbrodnie mi wyjawii. Pomyślałem, że to pewnie nic specjalnego... ot, jakiś wykonawca zawiąza rachunki dla miasta. Zapewniłem ją, że włos jej z głowy nie spadnie, a ona... wyobraź sobie moje zaskoczenie... powiada, że trapiąca Rzym plaga to dzieło nie boskich, lecz ludzkich rąk, i że to sprawka nie mężczyzn, ale kobiet! Rzuciła oskarżenie na swą pracodawczynię, a wraz z nią na niektóre z najlepiej urodzonych Rzymianek. Na pierwszy rzut oka jej historia wydała mi się absurdalna. Z jakiego powodu tyle kobiet miałyby się uciekać do trucizny swych mężów i krewnych? Jeden czy dwa takie wypadki mogły się zdarzyć, ale aż tyle w ciągu jednego tylko roku? Niemniej umarły już setki mężczyzn, a przyczyny wciąż nie odkryto. Zażądałem dowodów. Zaproponowała, że zabierze mnie do domu, gdzie wyrabia się trucizny. Jeśli będziemy mieli szczęście, powiedziała, może zastaniemy którąś z nich przy ich warzeniu. Musiałem działać szybko. W jednej chwili praca, którą uważałem za żmudną i nudną, zaciężyla mi tak, jak świat musi ciążyć Atlasowi... – Kwintus westchnął, ale oczy mu błyszczały; wspomnienie tej historii musiało przynieść mu sporą satysfakcję.

– I co zrobiłeś, kuzynie?

– Jak powiedziałem, liczyła się szybkość, ale trzeba też było zachować właściwe formy, inaczej bowiem groziłoby to utratą potencjalnych dowodów winy. Niezwłocznie zaalarmowałem konsulów... ależ ten stary Gajusz Waleriusz wrzeszczał, gdy go wyrwałem z poobiedniej drzemki!... Wziąwszy ich na świadków, poprowadziłem wraz z liktorami do wskazanego domu. Należał do patrycjusza z rodu Korneliuszów, jednej z pierwszych ofiar plagi. Wdowa miała na imię Sergia. Widząc taki orszak, odźwierny usiłował zatrzaskać nam drzwi przed nosem, odepchnąłem go jednak i siłą wdarłem się do środka. Na tyłach domu znaleźliśmy izbę, która kiedyś musiała być kuchnią, teraz jednak przeznaczono ją wyłącznie do przyrządzania rozmaitych wywarów. Spod sufitu zwisały pęki ziół, na ogniu stały bulgoczące garnki. Jeden był odstawiony na drewniany stojak dla schłodzenia, a obok przygotowane były małe gliniane flakoniki. Widać było, że Sergia tam rządzi, a pozostałe

kobiety to tylko służące. Kiedy nas zobaczyła i się domyśliła, po co przychodzimy, schwyciła flakonik i przechyliła do ust. Zdażyłem w porę wytrącić go z jej dłoni. Rozbiła się na podłodze, plamiąc mi tunikę zielonym płynem. Liktorzy ją unieruchomili... na szczęście, w jej oczach bowiem widziałem taką furję, że krew ścięła mi się w żyłach. Sergia odmówiła zeznań, ale po drobnej perswazji jej niewolnice wszystko pięknie wyśpiewały. Zaprowadziły nas do ponad dwudziestu domów, gdzie znaleźliśmy produkty z jej kuchni. Ależ to był dzień! Wpadaliśmy do mieszkań, widzieliśmy gniew kobiet, konsternację ich mężów, strach w oczach dzieci. Oskarżone zostały postawione przed konsulami wraz ze skonfiskowanymi flakonikami. Do tej pory nigdy nie było publicznego śledztwa w sprawie o otrucie. Takie incydenty zdarzały się rzadko i były załatwiane w czterech ścianach danego domu, a sprawiedliwość wymierzał *pater familias*. Jak mówi przysłowia, „pod tym dachem się zaczęło, pod tym samym niech się skończy”. Tym razem jednak było jasne, że sprawa wykracza poza kompetencje któregośkolwiek z panów domu. Nie znano podobnego precedensu... o tak rozległej pajęczej sieci zbrodni utkanej przez spisek licznych kobiet nie słyszano nigdy za ludzkiej pamięci! Konsulowie z trwogą myśleli o reperkusjach ze strony wpływowych rodów uwikłanych w tę sprawę. Skwapliwie się zgodzili, abym to ja, zwykły edyl, poprowadził przesłuchanie. Sergia w końcu zdecydowała się mówić. Twierdziła, że jej wywary to tylko leki na różne dolegliwości i żaden z nich nie jest trujący. Skoro tak, powiedziałem, to niech każda z oskarżonych wypije tę niby-leczniczą miksturę znaną w jej posiadaniu. Jakbym wsadził kij w mrowisko! Wszystkie zaczęły płakać, krzyczeć, drzeć włosy z głów. Długo trwało, zanim się nawzajem uspokoiły i w końcu przystały na tę próbę. Idąc za przykładem Sergii, jednocześnie podniosły do ust flakony... – Kwintus pokręcił głową. – Cóż to był za widok! Cóż za odgłosy! Na naszych oczach umierało ponad dwadzieścia kobiet! Trucizny nie były jednakowe, więc i ich działanie się różniło. Część winnych wiła się w konwulsjach, inne sztywniały i wykrzywiały twarze w okropnym grymasie. Byłem młody, ale miałem już za sobą kilka bitew, widziałem ginących wojowników i sam zadawałem śmierć... ale w życiu nie widziałem czegoś tak zdumiewającego i strasznego jak to publiczne samobójstwo!

Keso patrzył na kuchynia szeroko otwartymi oczami. Szczegóły tej sprawy były dlań zupełną nowością, a opowieść budziła w nim zarazem fascynację i obrzydzenie.

– Czy na tym to się skończyło, kuzynie?

– A skądże! Przyjaciółki i służące oskarżonych miały nam jeszcze dużo do powiedzenia. Odkrywaliśmy coraz więcej kobiet zamieszanych w spisek i zdaliśmy sobie sprawę, że jego skala jest większa, niż ktokolwiek mógł sobie wyobrazić. Ostatecznie za winne uznano ponad sto siedemdziesiąt osób i wszystkie skazano na śmierć. Morderstwa tylu wybitnych obywateli, szokujące śledztwo, egzekucje... wszystko to kładło się na miasto przerażającym cieniem. Dla niektórych prawda była zbyt wstrząsająca do zaakceptowania. Zarzucano mi, że posunąłem się za daleko, że wyciągałem błędne wnioski i umożliwiłem złym ludziom rzucanie oskarżeń

na żony i córki ich wrogów. Cóż, nawet bogowie nie są nieomylni! Uważam do dzisiaj, że przeprowadziłem dochodzenie sumiennie i bezstronnie i że nikt nie mógłby zrobić więcej ani lepiej. W każdym razie otrucia się skończyły, a obywatele nagrodzili mnie w następnych latach wyborami na wyższe stanowiska.

Keso pokręcił w zadziwieniu głową.

– Nie miałem pojęcia, że przestępstwa były tak liczne i tak niezwykle. Słyszałem przedtem tylko mgliste plotki.

– Nic dziwnego. Kiedy sprawa się skończyła, wszyscy pragnęli jak najszybciej o niej zapomnieć.

– Ale dlaczego one popełniały te zbrodnie?

– Wyjaśnienia, jakie podawały, były tak rozmaite jak trucizny, którymi się posługiwały. Chciwość, zemsta, zazdrość, czysta złośliwość... Raz popełniwszy morderstwo, nie mogły się powstrzymać przed kolejnymi. Zupełnie jakby je ogarnęło zbiorowe szaleństwo, chęć zabijania. Przyczyny nikt nie zdołał ustalić, a jedynym lekiem była egzekucja. Położyłem kres tej pladze i nigdy więcej się nie powtórzyła.

– Ależ to fascynująca historia!

– Tak uważasz?

– Absolutnie! Chciałbym się dowiedzieć więcej. Kim one były? Jak się nazywały? Kogo mordowały i dlaczego, i kiedy, i...

Rozbawiony, a i mile połączony entuzjazmem młodego kuzyna Kwintus wydał dobrotliwe prychnięcie, które zabrzmiało prawie jak śmiech.

– No, młodzieńcze, tak się składa, że zachowałem bardzo szczegółowe akta tej sprawy, choćby dla własnej ochrony, żebym w razie potrzeby mógł pokazać wszystkie zebrane dowody oraz okoliczności, w jakich je zdobyłem. Jest tam wszystko: nazwiska, daty, a nawet przepisy na różne trucizny sporządzane przez morderczynie. Część z nich umiała pisać i trzymała obszerne notatki o składnikach i działaniu tych mikstur.

– Czy pozwolisz mi to przejrzeć, kuzynie?

– Oczywiście. Wiesz, nikt mnie o to dotąd nie prosił... a przecież to śledztwo jest teraz częścią historii i naszego rodu, i Rzymu.

– Nie powinno zostać zapomniane – oświadczył stanowczo Keso.

– Dobrze mówisz, młodzieńcze. Te materiały muszą gdzieś być w moich szpargałach. Jak będę miał czas, odnajdę je i będziesz mógł sobie poczytać.

* * *

Wieczorem tego dnia, sam w swojej sypialni, Keso szykował się na spoczynek. Przy migotliwym świetle lampy oliwnej zdjął togę (od razu konstatując, że to znacznie łatwiejsze od jej wkładania), starannie ją złożył i przewiesił przez krzesło. Szybko pozbył się tuniki i

przepaski biodrowej i stał nago, tylko z otrzymanym od ojca darem, złotym fascinum na szyi. Wśród prezentów, jakimi go z okazji urodzin obsypano, było i niewielkie zwierciadło z polerowanego srebra, okrągłe i ozdobione grawerowanymi na brzegach miniaturowymi scenami z życia Herkulesa. Ofiarodawca, kolega ojca, z pewnością uznał, że to najlepszy podarunek dla młodego Fabiusza, potomka rodu wywodzącego się od otoczonego boską czią herosa. Niewolnik już je powiesił na ścianie. Patrząc teraz na swoje odbicie otoczone wizerunkami mocarza tym dobitniej sobie uzmysłowił, że nie jest naprawdę z krwi Fabiuszów.

– Dziś stałeś się mężczyzną, Kesonie Fabiuszu Dorso – szepnął. – Ale kim jesteś? Skąd przychodzisz? Twój dziadek był znajdą. Kto go spłodził... bóg czy Gal? Czy przeżyjesz życie i umrzesz nieświadomy swojego pochodzenia, czy też jest jakaś wyrocznia, która może ci ją wyjawić?

Bezwiednie zaczął się bawić Fascinusem. Światło lampy padło w pewnej chwili na złoty amulet, na moment olśniewając chłopca w półmroku izby.

* * *

Nazajutrz rano Keso znów odział się w togę, aby złożyć oficjalną wizytę człowiekowi, którego dotąd nie miał okazji poznać.

Appiusz Klaudiusz – potomek w siódmym pokoleniu osiadłego w Rzymie wodza Sabinów Attusa – zamrugał z niedowierzaniem, kiedy sekretarz zaanonsował przybycie gościa.

– Młody Fabiusz? Na pewno dobrze usłyszałeś imię?

Niewolnik tylko kiwnął głową. Klaudiusz zacisnął wargi i zaczął się gładzić po brodzie, wciąż jeszcze bardziej czarnej niż siwej.

– Dobrze, wprowadź go. Przyjmę go tu, w ogrodzie. Nie ma mnie dla nikogo innego, dopóki nie skończymy.

Ogród, do którego sługa poprowadził Kesona, z tarasami pełnymi róż i fontanną ozdobioną posągami trzech Muz, przewyższał wspaniałością posiadłość Kwintusa Fabiusza. Młodzieniec był pod wrażeniem, ale nie zaskoczony; jeżeli byli w Rzymie ludzie równie potężni i szanowani jak jego kuzyn, to na pewno należał do nich jego długoletni rywal, Appiusz Klaudiusz.

– Sądzę, że należą ci się powinszowania, młody człowieku – przywitał go gospodarz. – Dobrze się prezentujesz w todze.

Keso ubierał się rano z pomocą niewolnika, ale pospiesznie i nie do końca udało się im należycie ułożyć fałdy, ochoczo więc skorzystał z zaproszenia i usiadł na podsunętym mu krześle.

– Dziękuję, że zechciałeś mnie przyjąć, cenzorze.

Urząd cenzora, który piastował Klaudiusz, był pod pewnymi względami jeszcze ważniejszy od konsulów, co podkreślała specjalna purpurowa toga, przynależna tylko jemu. To w jego gestii było obsadzanie wakatów w senacie, on też miał pieczę nad spisem obywateli: mógł umieszczać na nim nowych ludzi, a także – w uzasadnionych wypadkach – skreślać już zapisanych. Lista określała podział na jednostki wyborcze, narzędzie polityczne od dawna wykorzystywane przez patrycjuszy. Za jej pomocą cenzor mógł manipulować wynikami wyborów. Appiusz Klaudiusz użył też swoich wpływów, aby zapewnić sobie kontrolę nad dwoma ogromnymi projektami publicznymi. Z tej właśnie przyczyny Keso zdecydował się go odwiedzić.

– Nie ukrywam, że jestem trochę zaskoczony, ale musisz zrozumieć, że bardzo dużo czasu upłynęło, odkąd ktokolwiek noszący nazwisko Fabiusz postawił stopę w tym ogrodzie.

Klaudiusz uśmiechał się równie łatwo, jak Kwintus marszczył brwi. Keso słyszał, że urok osobisty jest jego najbardziej rzucającą się w oczy cechą; w ustach Fabiuszów nie było to komplementem.

– Za każdym razem, gdy powstaje jakaś sporna kwestia polityczna, twój kuzyn Kwintus zajmuje przeciwne stanowisko do mojego – ciągnął lekkim tonem gospodarz. – Wygląda na to, że nie mamy wspólnych dróg... ani w przenośni, ani dosłownie.

– Nikt nie darzy Kwintusa Fabiusza większym szacunkiem niż ja, ale mam własne poglądy – odrzekł Keso, starannie ważąc słowa.

– Dobrze powiedziane! Ja sam aż za dobrze wiem, co to znaczy mieć sławnych... i niesławnych... krewnych. Na szczęście najgorsi z nich dawno już nie żyją. Jestem jednak, jak i ty, Kesonie, człowiekiem własnego zdania. Nie odpowiadam za przestępcze poczynania mojego prapradziadka decemwira, podobnie jak ciebie nie można obciążać za wsteczność i polityczny kretynizm twojego czcigodnego kuzyna. Jesteśmy obaj sami sobie sternikami i architektami własnego losu. Wypijemy za to?

Jak na komendę wyrósł przy nich niewolnik z dwoma kubkami wina. Keso czuł się trochę nielojalny wobec Kwintusa, ale pragnął się wkupić w łaski gospodarza, pociągnął więc niewielki łyk. Wino było nierozcieńczone i mocniejsze od tych, które dotąd miał okazję kosztować; niemal natychmiast poczuł rozlewające się po wnętrzu ciepło i leciutki szmerek w głowie.

Klaudiusz dał słudze znak, by dopełnił oba kubki.

– Przy tak chłodnych stosunkach między mną i Kwintusem Fabiuszem domyślam się, że miałeś ważny powód, by mnie odwiedzić.

Młodzieniec zdawał sobie sprawę, że wino zaczyna rozluźniać mu język. Kto wie, może wcale nie będzie tak trudno wyjawic temu człowiekowi swoich pragnień... Już otwierał usta, lecz gospodarz znów go ubiegł.

– Nie, nie... Widzę, że przybywasz z jakimś interese, a jest o wiele za wcześnie na poważne dyskusje. Poznajmy się najpierw lepiej. Może mamy wspólne zainteresowania? Czytasz po łacinie?

– Oczywiście, że czytam, cenzorze.

– A jak z greką?

– Z greką... trochę gorzej.

– Czyli ani w ząb. Szkoda! Myślałem, że pokażę ci moją bibliotekę, a trzeba ci wiedzieć, że nie ma w Rzymie równej. Ponieważ jednak wszystkie książki są po grecku, nic by ci to nie dało. Każdy Rzymianin powinien nauczyć się greki choć na tyle, by móc czytać wielkich dramaturgów: Ajschylosa, Sofoklesa, Eurypidesa. I oczywiście filozofów, jak Platona i Arystotelesa. Widzę jednak, że te imiona nic ci nie mówią?

– Niestety nie, cenzorze. Nigdy nie miałem ambicji zostać uczonym. Pierwszym obowiązkiem Rzymianina jest służba wojskowa...

– I słusznie! Żołnierzowi z pewnością jednak wyjdzie na dobre, gdy się zapozna z *Iliadą* Homera, albo jeszcze lepiej z *Czynami Aleksandra* Kallistenesa z Olintu. Dostałem egzemplarz nie dalej jak wczoraj, przysłany przez umyślnego od księgarza aż z Aten. O Aleksandrze chyba słyszałeś?

– Aleksandrze Wielkim z Macedonii? Kto o nim nie słyszał! Najpierw podbił Grecję, a potem wszystkie ziemie na południe i wschód... Egipt, Persję i dalekie krainy, których żadna mapa nie ukazuje. Jak mówi mój ojciec, całe szczęście, że nie zwrócił uwagi na zachód, bo przysłoby nam walczyć z nim nad Tybrem. Ale dziś nam to już nie grozi, bo Aleksander od dziesięciu lat nie żyje.

– Dokładnie od jedenastu, ale rzeczywiście wiesz o nim cokolwiek. Bardzo dobrze! – Klaudiusz się zaśmiał i wzruszył ramionami. – Dziś nigdy nie wiadomo, co młody człowiek może umieć, a czego nie. Przy dzisiejszym stanie nauczania... Wielu Rzymian potrafi wymienić swoich przodków do dziesiątego pokolenia... niewielki to zresztą wyczyn, skoro na ogół wszyscy mieli te same imiona... ale spróbuj kogoś zapytać, jak się nazywa obecny tyran Syrakuz albo gdzie leży Kartagina!

Teraz Keso się uśmiechnął.

– Ojciec mówi, że masz obsesję na punkcie tych miast.

– A mam! Przyszłość Rzymu leży bowiem na morskich szlakach, a te mogą kontrolować Syrakuzy, Kartagina... albo my.

– Według kuzyna Kwintusa naszej przyszłości trzeba szukać na północy, nie na południu. Najpierw podbijemy całą Italię, a potem uderzymy na Galię...

– Nonsens! Galowie nie mają nic, co by nas mogło interesować, nawet boga wartego kultu ani języka wartego poznania. Bogactwa świata zagarnie ten, kto zapanuje nad śródziemnomorskim handlem. W tym celu albo sami musimy stać się morską potęgą, albo podbić państwo, które już ma silną flotę. Czyli na przykład Kartaginę albo Syrakuzy. Źródłem

naszej niezgody jest właśnie to, że twój kuzyn nie rozumie przeznaczenia Rzymu. Ach, ale ja tu o polityce, a mieliśmy przecież szukać wspólnych zainteresowań! – Klaudiusz w zamyśleniu postukał palcem w usta. – Masz na imię Keso, więc powinieneś mieć swoje zdanie także w kwestii kontrowersji, jaką budzi litera K.

– Kontrowersji?

– Ja uważam, że powinna zostać wyeliminowana z łacińskiego alfabetu. Po co nam K, skoro jej rolę doskonale spełnia C? Twoje imię pisałoby się wówczas Caeso, a wymowa pozostałaby ta sama.

– Ale... K mi się raczej podoba...

– A co powiesz o Z? Ja twierdzą, że to okropność i trzeba się go pozbyć!

– Okropność?

– Dźwięk, jaki reprezentuje, jest nieokrzesany i nie ma dlań miejsca w cywilizowanym języku. Rani uszy i razi oko.

– Jak to, oko?

– Spójrz na moją twarz, gdy będę wymawiał tę głoskę. – Klaudiusz rozchylił usta, zacisnął zęby i wydał długi, brzęczący dźwięk. – Widziałeś? Człowiek wymawiający Z przypomina szczerzącą zęby czaszkę. Obrzydliwość! I dźwięk, i literę należy bezlitośnie usunąć z naszej pięknej mowy.

– Mówisz to z wielką pasją! – Keso się roześmiał.

– Pasja to życie, młody człowieku. A moją jest język. Czym ty się pasjonujesz?

Młodzieniec nagle otrzeźwiał. Rozmowa dotarła do kwestii, z którą tu przyszedł.

– Chcę zostać budowniczym, cenzorze.

– Budowniczym? – Appiusz uniósł brwi.

– Nade wszystko! Gotów jestem bić się za Rzym, oczywiście, a jeśli trzeba, bym poznał prawo i zajął się polityką, też to uczynię. Wezmę się nawet za grekę, jeżeli od Greków mogę się nauczyć architektury i budownictwa, to bowiem najbardziej pragnę robić: budować! Interesuję się tym od dziecka. Najprzyjemniej było mi się bawić klockami. Gdy podrosłem na tyle, by samodzielnie chodzić po mieście, zamiast przyglądać się atletom, wyścigom rydwanów albo ćwiczącym na Polu Marsowym żołnierzom, ja wolałem godzinami wystawać na budowie nowej świątyni albo choćby przy robotnikach naprawiających mury, patrzeć, jak działają bloki i dźwignie, jak miesza się zaprawę i układa kamienie, by tworzyły łuki i nadproża. Przyznaję, że nie mam odpowiedniego wykształcenia, ale umiem rysować... a wiem, że to niezbędne dla architekta... i dobrze sobie radzę z liczbami. O wiele lepiej niż z literami.

– Rozumiem. I dlatego przyszedłeś do mnie.

– Tak! Ludzie mówią, że droga, którą budujesz na południe do Kapui, będzie inna od wszystkich: prosta jak strzeł, płaska jak stół i twarda jak skała. A twój genialny pomysł dostarczania wody dla miasta ze źródeł w Gabiach jest na ustach wszystkich. Najpierw

tunelem, a potem wyniesionym ponad grunt kanałem wspartym na łukach, w sumie aż dziesięć mil. Zdumiewające! Te dwa projekty to najciekawsze rzeczy, jakie się zdarzyły w moim życiu. Niech się schowają bitwy czy wybory, a nawet opowieści o zdobywcach krańców świata. Chcę wziąć w nich udział. Wiem, że muszę się wiele nauczyć, ale jestem gotów ciężko pracować. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby pomóc przy budowie i drogi, i akweduktu.

– Twój entuzjizm mi pochlebia. – Klaudiusz patrzył na rozplómiętego chłopca z uśmiechem.

– Mówię z serca, cenzorze.

– Widzę to. Dziwne! Fabiusze zawsze byli wojownikami, kilku wyrosło na mężów stanu, ale żaden nie był budowniczym. Ciekawe, skąd u ciebie takie ciągoty?

Pytanie było Kesonowi nie w smak, przypomniało mu bowiem o jego niepewnym pochodzeniu, starał się jednak tego nie okazywać.

– Czy twój ojciec wie, że do mnie przyszedłeś?

– Tak. Wprawdzie nie aprobuje twojej polityki... nazywa cię radykalnym populistą...

– Radykalnym? Czy dlatego, że daję prostym obywatelom dobrze płatne zajęcia przy pracach publicznych, które przyniosą korzyść całemu miastu? Pewnie nazywa mnie też demagogiem?

Keso się zaczerwienił. Jego ojciec istotnie używał tego nienawistnego greckiego słowa na określenie pozbawionego skrupułów przywódcy żerującego na prymitywnych uczuciach i potrzebach plebsu.

– Mimo dzielących was różnic mój ojciec rozumie, jak bardzo pragnę dla ciebie pracować, cenzorze. Nie będzie mi w tym przeszkadzał.

– A twój szanowny kuzyn Kwintus?

– Nie rozmawiałem z nim o tym. Ale mam...

– Wiem, własne poglądy. – Klaudiusz bębnił przez chwilę palcami po kolanach, po czym skinął głową i się uśmiechnął. – Dobrze, Kesonie Fabiuszu Dorso. Znajdę ci odpowiednie miejsce w moich przedsięwzięciach.

– Dziękuję, cenzorze!

– A ty się tymczasem zastanów, czy nie zmienić K w twoim imieniu na C.

– Hmm... jeśli naprawdę uważasz to za konieczne...

– Kesonie, ja tylko żartuję! Niestety...

* * *

Zgodnie z instrukcją Klaudiusza następnego dnia o świcie Keso wyruszył z domu na Palatynie. Minał świętą chatę Romulusa i figowiec Ruminális, i zaczął schodzić ku Forum Schodami Kakusa. Idąc przez Forum Boarium (niegdyś zwanym Bovarium, jak się

dowiedział od cenzora; „v” dawno jednak w codziennym języku z nazwy bydłęcego targu zniknęło), patrzył na krzątanicę rozpoczynających dzień pracy handlarzy i robotników. Dalej stał ołtarz Ara Maxima, gdzie jego przodkowie Potycjusze i Pinariusze zapoczątkowali kult Herkulesa. Ten pierwszy ród po dziś dzień opiekował się ołtarzem, ale Fortuna od tak dawna nie darzyła go uśmiechem, że doroczne święto i składane ofiary były już tylko mizerną namiastką dawnej wystawności. Keso tylko słyszał o Ucztach Herkulesa, jakie odbywały się tam każdego lata, i nie wiedział, że to najstarszy religijny obrzęd w mieście. Nie miał też oczywiście pojęcia, że z racji więzów krwi on sam należy do spadkobierców tej tradycji.

Zmierzał ku placowi budowy u stóp Awentynu, między świątynią Ceres a północnym krańcem Circus Maximus. Wiedział, że jest na miejscu, gdy ujrzał wielkie kopce ziemi i sieć nasypów wzniesionych wokół wykopu. Zebrała się już tam mała armia robotników; kręcili się tu i tam, dowcipkowali i narzekali na konieczność tak wczesnego wstawania. Nakrapiane małymi chmurkami niebo z każdą chwilą jaśniało, wiała lekka bryza ze wschodu.

– Zapowiada się piękny dzień na pracę na świeżym powietrzu – rzucił któryś w pobliżu Kesona. – Szkoda, że trzeba będzie kisać pod ziemią!

Zjawił się nadzorca i cała grupa ustawiła się w rząd. Kolejno brali wydawane łopaty i znikali w ciemnym jak jaskinia otworze w stoku. Keso odczekał, aż nadzorca będzie miał wolną chwilę, i przedstawił mu się, jak kazał Klaudiusz. Mężczyzna był wysoki i szczupły, ale muskularny. Miał na sobie czystą tunikę, jednak pod jego paznokciami czerniał brud.

– A więc to ty jesteś młodym Fabiuszem, żądnym wiedzy o akwedukcie. Nazywam się Albinusz. Kieruję pracami w obrębie miasta, najciekawszymi dla inżyniera. Wiesz, skąd się czerpie wodę obecnie?

– Chyba z Tybru i ze źródeł znajdujących się w mieście. Niektórzy zbierają też deszczówkę.

– Zgadza się. I tak też było od samych początków Rzymu. Jednakże woda z rzeki nie zawsze jest tak czysta, jak by się chciało. Część źródeł wyschła, a na deszcz liczyć nie można. Im bardziej zaś Rzym się rozrasta, tym więcej potrzeba mu wody: do picia i gotowania, do nawadniania pól pod miastem, ale i do kąpieli. Większość ludzi lubi codziennie coś tam sobie oplukać, a wielu chciałoby się myć od stóp do głów. Na to trzeba masę wody! Popyt tak wzrósł, że dotarliśmy do granic możliwości rozwoju. Jeśli nie znajdziemy nowego źródła, Rzym nie będzie mógł przyjąć już ani jednego nowego mieszkańca. Cóż więc robić? Appiusz Klaudiusz powiedział: „Sprowadzimy wodę z daleka”. Niby jak, drwili sceptycy, beczkami na wozach? „Nie, wy głupcy”, ofuknął ich nasz szef. „Woda sama tu przyplynie kanałem, który zbuduję”. I tak dzięki geniuszowi cenzora narodził się akwedukt, pierwsza tego typu konstrukcja na całym świecie, która wkrótce stanie się przedmiotem zazdrości wszystkich spragnionych miast. Stoisz w miejscu, gdzie będzie się kończył, napełniając wielką publiczną studnię. A wiesz, gdzie się zaczyna?

– Dziesięć mil na zachód, przy źródłach pod Gabiami – odrzekł Keso.

– Tak jest. Woda popłynie z nich tunelem wyłożonym murowaną kamienną cembrowiną. Ponieważ po drodze stamtąd teren cały czas się obniża, tunel doprowadzi ją aż pod samo miasto, nieopodal Bramy Kapeńskiej. Już on sam jest imponującą konstrukcją, choćby z powodu ogromu prac ziemnych. Dziesięć mil to sporo kopania, wierz mi! Tym bardziej że nie poprowadzimy go w linii prostej, ale tak jak będzie dyktował teren, żeby zapewnić przez całą długość odpowiednie nachylenie spływu. Jeszcze większe wrażenie robi jednak to, co powstanie u jego wylotu. Klaudiusz chce doprowadzić wodę tutaj, gdzie teraz stoimy. Gdybyście chcieli to osiągnąć sposobem naturalnym, to znaczy wykorzystując ukształtowanie okolicy, trzeba by się przekopać przez sam środek toru wyścigów w Circus Maximus. To byłaby zbyt wielka ingerencja w zabudowę, Klaudiusz więc chce ominąć arenę. W tym celu drążymy tunel przez Awentyn. Rozumiesz? Kanał zniknie we wnętrzu góry i wychylnie na świat po jej drugiej stronie! Fantastyczne, co? Ale i to jeszcze nie najbardziej fascynująca część projektu. Chodź za mną.

Ruszyli wzdłuż wzgórza, przecinając otwarty plac na południe od Circus Maximus. Kiedy zbliżali się do Bramy Kapeńskiej, nowatorska konstrukcja Appiusza Klaudiusza ukazała się im w całej krasie, widoczna już wyraźnie mimo wciąż trwających prac: murowany kanał podtrzymywany przez rząd kamiennych łuków spinał dwa sąsiednie wzgórza; wychodząca przez bramę droga biegła wprost pod jednym z nich.

– Aby dać Rzymowi wodę, Appiusz nie tylko każe jej kryć się pod ziemią, ale i płynąć w powietrzu! – mówił z dumą nadzorca. – Ta wyniesiona część ma tylko kilkaset stóp długości, ale jakież to genialne rozwiązanie... podniebna rzeka! Nie ma żadnych przeszkód, by podobne budowle stawiać, gdziekolwiek dusza zapagnie, i ciągnąć je całymi milami. Wodę można teraz będzie doprowadzać z dowolnego wyższego punktu do każdego niższego... wystarczy tu wykopać tunel, ówdzie wzniesić akwedukt jak my tutaj. Od początku świata ludzie musieli budować miasta tam, gdzie było pod dostatkiem wody. Teraz możemy je zakładać tam, gdzie przyjdzie nam na to ochota. Tego dotąd jeszcze nie bywało. Akwedukt odmieni nie tylko Rzym, ale i cały świat!

Entuzjazm Albiniusza był zaraźliwy, ale i bez tych peanów Keso byłby pod wrażeniem. Chciałby spędzić resztę dnia u boku tego człowieka, ale polecenie Klaudiusza było inne, pożegnał więc rozmownego budowniczego. Przeszedłszy pod potężnym łukiem, minął Bramę Kapeńską i znalazł się poza murami miasta. Szybkim marszem dotarł do drugiego z wielkich przedsięwzięć swego nowego mentora.

Na budowie kipiało od aktywności. Wszędzie widać było robotników machających łopatami lub mieszających zaprawę, a całe ich zastępy woziły taczkami gruby żwir. Keso dopytał się o Decjusza, tutejszego nadzorcę, i wskazano mu najwyższego i najmocniej zbudowanego mężczyznę w polu widzenia.

– Chcesz się więc uczuć budować drogi, co? – Decjusz zmierzył go z góry na dół taksującym spojrzeniem. – No, ja się tym param całe życie. Nauczyłem się tego i owego przez

te czterdzieści ileś lat. Ale dzięki Appiuszowi Klaudiuszowi pierwszy raz widzę drogę zaplanowaną z tak wielką precyzją i starannością. Cały szlak jest dokładnie wytyczony, wszystkie niezbędne materiały zgromadzone i najlepsza brygada w Rzymie zebrana i zorganizowana... choć chłopcy od akweduktu mogliby się z tym nie zgodzić. Mogą nam jednak tylko się pokłonić! To będzie robota, z której wszyscy możemy być dumni. Jeszcze za tysiąc lat twoi potomkowie będą po niej jeździć i powtarzać za każdym razem: „Na Jowisza, ale arcydzieło pozostawił po sobie Appiusz Klaudiusz i jego ludzie!”

– Myślisz, że ta droga przetrwa aż tysiąc lat?

– Z całą pewnością!

Keso był przekonany, że to gruba przesada, kiedy jednak Decjusz opisał mu kolejne etapy budowy, zaczął podejrzewać, że to nie czcza przechwałka.

– Pierwsze drogi były niewiele lepsze od zwykłych wydeptanych ścieżek – mówił budowniczy. – Tak zresztą powstawały: ubite przez niezliczonych przechodniów albo i zwierzęta. One też mają swoje ulubione szlaki i są bardzo sprytnie, gdy idzie o pokonanie przełęczy albo ominięcie niedogodnego miejsca. Kiedy ludzie zaczęli używać wozów, koła wygniatały w gruncie koleiny i drogi stawały się szersze. W końcu jakiś bezimienny geniusz uznał, że czas zacząć budować drogi odpowiednie do potrzeb, zamiast czekać, aż same się ubiją. Ta, którą my dzisiaj tworzymy, pobiegnie starym szlakiem solnym i metalowym, istniejącym od stuleci. Appiusz mówi, że wożono tędy towary na długo przed założeniem Rzymu. Tu możesz się przyjrzeć, jak robotnicy pracują przy pierwszym etapie konstrukcji. Widzisz? Najpierw kopie się dwa równoległe rowy, które wyznaczają szerokość drogi. Będzie mierzyła piętnaście stóp, albo inaczej, tyle co trzech mężczyzn leżących w jednej linii. To znaczy, Rzymian. Galów wystarczyłoby dwóch i pół. Mówią, że Gal jest najlepszy przepołowiony, i to w tej części bez głowy! – Decjusz parsknął szczerym śmiechem z własnego dowcipu i klepnął Kesona z rozmachem w plecy, jakby chciał go wstrząsem pobudzić do tego samego. – A teraz chodźmy naprzód, to zobaczysz drugi etap. Wtedy usuwamy luźną ziemię między rowami aż do uzyskania twardego podłoża, na którym będzie można ułożyć materiał. Jak głęboko trzeba kopać, to zależy od terenu. Gdy droga wypada przez mokradła albo tam, gdzie gleba jest szczególnie sypka, trzeba nawet wbijać pale. Na szczęście tutaj tego nie musimy robić. Silny kopacz może dobrać się do twardej warstwy, nie przemęczając się zbytnio. Ci tutaj nawet się nie spocą. Prawda, chłopaki?

Robotnicy podnieśli głowy i wyszczerzyli zęby do Decjusza. Widać było, że nadzorca jest lubiany.

– Idziemy dalej. Zobaczysz, co się robi w następnej fazie robót. Widzisz tam, w dali, te stosy kamieni? Układamy z nich pierwszą warstwę. Są posortowane według wielkości. Na pierwszy ogień idą tak zwane podręczne, akurat takie, że się mieszczą w dłoni. Na nie przychodzi gruba na dwie dłonie warstwa tłucznia, dobrze ubita i zespolona wapnem. Tam dalej widać odcinek już gotowy.

– Powierzchnia jest trochę wyższa na środku niż po bokach, prawda? – zauważył Keso.

– Jesteś spostrzegawczy. Robimy to celowo, żeby woda deszczowa mogła spływać. Na koniec sypimy warstwę żwiru. Zazwyczaj na tym sprawa się kończy, ale w tym projekcie żwir jest tylko rozwiązaniem tymczasowym. Jeśli czas i budżety pozwolą, planujemy zgarnąć go z powrotem i ułożyć nawierzchnię z bloków z najtwardszego kamienia, jaki znajdziemy. Tu, wokół Rzymu, jest to na ogół bazaltowa lava. Kamienie nie są wszystkie jednakowe jak cegły, przycina się je w przypadkowe kształty, ale zręczni kamieniarze potrafią tak je dopasować, że w efekcie uzyskujemy gładką i równą powierzchnię z bardzo drobnymi tylko szczelinami. Widziałem mury układane tym sposobem, a nie ma żadnych przeszkód, by tak samo robić przy budowie dróg. Tam dalej mamy gotowy taki odcinek, na razie tylko pokazowy. Podejdźmy, to sobie obejrzysz. Śmiało, pospaceruj po nim, poskacz, a potem schyl się i przesun dłońią po kamieniach. Powierzchnia jest tak idealnie gładka, że przysiągłbyś, iż patrzysz na litą skałę, która jest tylko gdzieś zarysowana, co?

– Niesamowite! – zakrzyknął Keso. – Po prostu piękne!

– I przetrzyma więcej pokoleń, niż możesz się doliczyć nawet w twoim sławnym rodzie.

– Naprawdę myślisz, Decjuszu, że cała droga może być tak doskonale wykończona, aż do samej Kapui?

– Nie tylko do Kapui. Zobaczysz, kiedyś takie szlaki będą przecinać wzdłuż i wszerz całą Italię, a nawet dalej... tak daleko, jak tylko Rzymianin odważy się podróżować. Od Słupów Herkulesa do Pontus Euxinus ludzie będą mówić z szacunkiem: „Oto rzymska droga!” – Nadzorca się roześmiał. – Wiesz, co Appiusz Klaudiusz kiedyś mi powiedział? Aleksander podbił ze swoją armią pół świata, ale czy sobie wyobrazasz, czego mógłby dokonać, gdyby Grecy umieli budować rzymskie drogi?

* * *

– I jak długo to już trwa? – spytał gniewnie Kwintus Fabiusz.

– Około miesiąca. Od następnego dnia po moich urodzinach – odrzekł Keso.

– Tak myślałem. Ta zażyłość z Appiuszem Klaudiuszem to nic dobrego, młody człowieku. To po prostu niedopuszczalne!

Kwintus wezwał młodego kuzyna na tę wizytę, tym razem nie przyjął go jednak w ogrodzie, lecz w westybulu, niczym kupca przybyłego bez zaproszenia. Jakby tego było mało, ustawione zgodnie z patrycjuszowską tradycją w ściennych niszach woskowe popiersia przodków gospodarza surowymi minami witały każdego przybysza. Keso miał wrażenie, że nie tylko Kwintus gromi go wzrokiem, ale kilka przeszłych pokoleń Fabiuszów.

– Kuzynie, wiadomo mi o waszej niezgodzie z Appiuszem...

– To degenerat! Zatrul sobie umysł tak zwanym greckim wykształceniem. Daj mu tylko najmniejszą szansę, a zatruje i twój.

– Myślę, że nie musisz się o to martwić – odparł Keso.

Jak dotąd, wszelkie starania Klaudiusza, by nauczyć go greki, spełzły na niczym. Ku radości młodzieńca okazało się za to, że ma większą smykałkę do budownictwa, niż się spodziewał, i nawet cenzor był pod wrażeniem inteligencji i entuzjazmu swojego nowego protegowanego.

– Zwróciłem się do Klaudiusza tylko z powodu jego projektów budowlanych. Wiele się uczę o drogach i akweduktach...

– Wszystkiego, co powinienes wiedzieć o tych poronionych pomysłach, mogłeś się dowiedzieć ode mnie, młodzieńcze. Są wynikiem bezczelnego nadużycia władzy cenzora. Jakimś cudem Klaudiuszowi udało się obejść kontrolę senacką i splądrować skarbiec dla sfinansowania swoich nielegalnych knowań.

– Te knowania, jak je nazywasz, kuzynie, przyniosą korzyść całemu miastu.

– Na pewno przyniosą ją Klaudiuszowi, choćby przez to, że poszerzył swoją strefę wpływów! Dając im pracę, zapewnia sobie lojalność tysięcy obywateli, a poza tym na pewno sam napycha sobie kieszenie!

– Oskarżasz go o malwersacje? – spytał nachmurzony Keso.

– Na razie tylko posądzam – burknął Kwintus. – Jesteś młody, Kesonie. Za mało widziałeś świata, żeby umieć ocenić charakter człowieka. Wierz mi, Appiusz Klaudiusz nie należy do tych, z którymi warto przestawać.

– Przecież jest patrycjuszem jak ty i ja, prawda?

Czy Kwintus rzeczywiście się zawahał przed odpowiedzią? Czyżby myślał o niepewnym pochodzeniu Kesona?

– Klaudiusze zawsze byli próżni i zadufani w sobie, ale przynajmniej w dawnych czasach niezłomnie bronili patrycjuszowskich przywilejów. Appiusz jednak zrobił w tył zwrot i wykreował się na obrońcę maluczkich. O, głośno oczywiście opowiada się za naszymi ideałami i sławi naszych przodków, założycieli republiki, ale ma duszę demagoga. Flirtuje z motłochem, zabawia się niebezpiecznymi ideami demokracji, zapewne przejętymi od tych nędznych greckich filozofów, którymi tak się zachwyca. Nigdy nie powinno mu się powierzyć kontroli nad spisem obywateli.

– Ależ to należy do jego obowiązków jako cenzora!

– Należy do nich uaktualnianie list wyborczych, ale nie ich poprawianie, i to tak nieodpowiedzialnie! Tak, pewnie by ci powiedział, że po prostu reorganizuje grupy wyborcze w celu usprawnienia procedur, ale on zmierza do udemokratycznienia wyborów i przesunięcia punktu ciężkości od bloków patrycjuszowskich ku plebejskim... a to już bardzo niebezpieczna gra. Założyciele w swej mądrości celowo tak ustalili proces wyborów, by zapewnić większy wpływ tym rodom, których zasługi i osiągnięcia od dawna predestynowały je do zajmowania szczególnego miejsca w machinie państwa. Nie wolno dopuścić do zniszczenia tego systemu. Służył Rzymowi dobrze od narodzin republiki i tak samo dobrze będzie funkcjonował przez

następne dwieście lat. Jeszcze gorsze, młody człowieku, są nadużycia Klaudiusza przy korzystaniu z prawa do obsadzania wakatów senackich. Gdy tylko zwalnia się po kimś miejsce, natychmiast trafia na nie człowiek, którego jedyną zaletą bywa lojalność wobec cenzora. Ba! Niektórzy z tych nowych senatorów to wyzwoleńcy! Taka degradacja instytucji senatu byłaby nie do pomyślenia za czasów mojego dziadka. Do czego to doszło przez te lata!

– Czasy się zmieniają, kuzynie – zauważył Keso.

– I prawie nigdy na lepsze! Gdy jakiejś radykalnej idei raz się pozwoli zakorzenieć, nikt nie potrafi przewidzieć, jak szybko i daleko się ten chwast rozrośnie. Bardzo długo tylko patrycjusze mogli być wybierani na najwyższe urzędy. Nasz monopol na obejmowanie stanowisk konsulów stał się tradycją, która z biegiem lat nabrała mocy prawa. Ale tak zwani reformatorzy wnieśli sprzeciw i pięćdziesiąt pięć lat temu udało się im dopiąć swego. Zmieniono prawo i dopuszczono, by jeden z konsulów mógł pochodzić z plebsu. Mówili, że to gwoli sprawiedliwości. Jeśli plebejusz jest na tyle mądry i sprytny, żeby wygrać wybory, to dlaczego nie mielibyśmy mu tego umożliwić? Ale to był tylko początek. Trzydzieści lat temu reformatorzy przeforsowali nowy przepis i odtąd jeden z konsulów musiał... rozumiesz? musiał!... być plebejuszem. Czym to się skończy? Te zmiany zawsze inspirują podżegacze tłumy tacy jak Appiusz Klaudiusz, zdrajcy swojego stanu i własnej patrycjuszowskiej krwi. Klaudiusz jest niebezpiecznym człowiekiem i powinieneś trzymać się od niego z daleka.

Keso westchnął.

– Zrozum mnie, kuzynie. Podzielam twoje poglądy polityczne. Jak mógłbym się z nimi nie zgadzać? To idee wpajane mi przez ojca od małego. Ale jego udało mi się przekonać, by pozwolił mi pracować pod egidą Klaudiusza, mam więc nadzieję, że i ty wycofasz swoje obiekcje. Nie mam zamiaru wspierać go czynnie ani biernie w żadnych wywrotowych planach. Akwedukt i nowa droga są jednak budowane niezależnie od twoich poglądów, a ja chcę mieć w tym swój udział. Jeżeli takie przedsięwzięcia niosą korzyści także polityczne, to dlaczego ma je zgarniać tylko Appiusz Klaudiusz? Dlaczego Fabiusze nie mieliby się włączyć w ten nurt i nauczyć się, jak to robić? W przyszłości potrzeba będzie więcej podobnych dróg i akweduktów, a wtedy to ja chcę być tym Fabiuszem, który dzięki nim zdobędzie uznanie i majątek.

– Zapuszczasz się na grząski grunt, Kesonie... – Kwintus pokręcił głową. – Nauczyć się budować to nie jest zła rzecz, przyznaję. Ale Klaudiusz to przebiegły człowiek o dużym uroku. Uważaj, by cię nie zawiódł na manowce swojego sposobu myślenia.

– Zapewniam cię, kuzynie, że to mu się nie uda. Czy będziesz spokojniejszy, jeśli przyrzeknę, że nie nauczę się ani słowa po grecku? Łatwo przyjdzie mi tej obietnicy dotrzymać, bo i tak nie mam do tego głowy.

Kwintus obdarzył go namiastką uśmiechu.

– Oj, Kesonie, Kesonie! No cóż... Skoro przekonałeś ojca, to i ja nie będę się sprzeciwiał twoim planom, przynajmniej publicznie. Mam tylko nadzieję, że wiesz, co robisz. – Powiódł

wzrokiem po popiersiach antenatów. – Zawsze pamiętaj o swoich przodkach, Kesonie, i dbaj o godność imienia!

Być może Keso był na tym punkcie przewrażliwiony, ale znów mu się zdawało, że Kwintus na mgnienie oka się zawahał i zamrugał, przenosząc spojrzenie z woskowych wizerunków na jego twarz, tak do żadnego z nich niepodobną.

– Zaprosiłem cię tu jednak z innego powodu – powiedział gospodarz. – Mam coś dla ciebie... to znaczy, jeżeli jeszcze jesteś zainteresowany. Chodź za mną.

Keso powędrował za kuzynem do izby o ścianach wypełnionych półkami, na których w przegródkach spoczywały niezliczone papirusowe zwoje. Kwintus Fabiusz miał mniejszą bibliotekę niż Appiusz Klaudiusz, a i zawartością różniły się znacznie. Nie było tu ani jednego tekstu greckiego, ani żadnej książki opisującej historię obcych ludów. Na półkach widniały wyłącznie dokumenty prawne, tytuły własności, zapisy transakcji finansowych, kroniki rodowe i drzewa genealogiczne.

– Pamiętam, że wyraziłeś chęć obejrzenia różnych dokumentów związanych z moim śledztwem sprzed lat. Były nieco rozrzucone, ale chyba udało mi się je zebrać w całość. – Kwintus wskazał na skórzaną tubę, z której wystawała gruba rolka zwiniętych razem pergaminów. – To całe akta tamtej sprawy. Oczywiście teraz może nie masz na to czasu, zajęty nauką u Appiusza...

– Ależ nie, kuzynie! Bardzo dziękuję, że zechciałeś pamiętać o moim zainteresowaniu i zadałeś sobie dla mnie tyle trudu!

W rzeczywistości zaaferowanemu pracą dla Klaudiusza chłopakowi opowieść o spisku trucieliaków zupełnie wyleciała z głowy, ale nie mógł przecież się do tego przyznać dostojnemu krewniakowi. Ciekawe, czy Kwintus chce, bym ślęczał nad nimi w jego bibliotece? – pomyślał. Na to naprawdę nie miał czasu; spieszyło mu się do domu, by wykonać zleczone mu przez pryncypała zadanie – musiał przeliczyć pomiary odcinka akweduktu.

– Czy wolno mi będzie zabrać te dokumenty ze sobą, abym mógł spokojnie je przestudiować? – spytał, starając się, by to zabrzmiało przekonująco.

Kwintus zmarszczył brwi.

– Hmm... Normalnie bym na to nie pozwolił... Część tych zwojów zawiera bardzo poufne informacje, a niektóre są nie do zastąpienia. Ale... czemu nie? Proszę tylko, abyś starannie ich pilnował i w odpowiednim czasie zwrócił. Mam nadzieję, że uzmysłowi ci, jakie wyzwania stawia przed człowiekiem funkcja publiczna i jak wielką narzuca odpowiedzialność. Rola polityka może być bardzo trudna, ale też satysfakcjonująca. Musisz myśleć o przyszłości, Kesonie, nie tylko o pracy, którą dziś wykonujesz dla cenzora.

– To bardzo uprzejme z twojej strony, kuzynie. Przejrzę te zwoje jeszcze dziś wieczorem.

* * *

Jak się okazało, tego dnia Keso ślęczał nad swoim zadaniem zbyt długo, by choć zerknąć na skórzaną tubę od Kwintusa. Prosto od stołu zwałił się wyczerpany na łóżko i zasnął. Nie spał jednak dobrze. Może głowę miał zbyt nabitą rachunkami, a może też dezaprobata kuzyna ciążyła mu bardziej, niż się sam przed sobą przyznawał.

We śnie znów był w jego westybulu, sam na sam z woskowymi przodkami. Nagle wszystkie figury jednocześnie mrugnęły; pozbawione tułowi głowy zwróciły się ku niemu z nasrożonymi minami, a potem przemówiły głosami pełnymi jadu i nienawiści.

- On nie jest jednym z nas.
- Kim więc jest?
- Skąd się wziął?
- Kto wie, czyja krew płynie w jego żyłach!
- Może to pomiot Gala?
- Bękart zrodzony z gwałtu!
- Nieczysty!
- Niegodny!
- Brudny!
- Krew szlachetnych Fabiuszów ma całe wieki historii, a ten tu wziął się z niczego!
- Jest jak mucha wykluta na łajnie!

Keso wybiega z westybulu, gna na oślep i nagle znajduje się na Forum. Ojciec prowadzi go na Rostre. Zebrał się wielki tłum, by słuchać jego mowy, lecz gdy otworzył usta, wydobył się z nich tylko bezsensowny bełkot. Ludzie zaczęli go wyśmiewać i gwizdać. Głowy mieli z wosku jak podobizny zmarłych Fabiuszów.

Ucieka z Rostry do domu Appiusza Klaudiusza. Cenzor wita go ciepło, nie widząc, w jakim gość jest stanie. Rozwija mapę z zaznaczonym przebiegiem akweduktu. Czarna linia zamiast kończyć się pod Gabiami, ginie za marginesem w szarej nicości.

– Ale gdzie źródła? – pyta zdumiony Keso.

– Och, nie martw się o to – odpowiada Klaudiusz. – Wiem, skąd weźmiemy wodę. Nie wiem natomiast, młody człowieku, skąd ty się wziąłeś!

Nagle cenzor wbija w niego palące spojrzenie. Ma minę równie surową jak popiersia Fabiuszów.

Keso się obudził zlany zimnym potem. Lampa wciąż się paliła; w zmęczeniu zapomniał ją zgasić. Spragniony jakiegokolwiek zajęcia, które dałoby mu zapomnieć o koszmarze, sięgnął po przekazane przez Kwintusa dossier. Wyciągnął zwój dokumentów, przetarł oczy i zagłębił się w lekturze. Opis zbrodni i późniejszego dochodzenia podany był fragmentarycznie, przez co jednak fascynowała go tym bardziej. Porwany rozwijającą się przed jego oczyma opowieścią Keso czytał do późnej nocy.

W następnych miesiącach życie młodego Fabiusza toczyło się ustalonym, wygodnym torem. Pracował sumiennie pod przewodem Appiusza Klaudiusza, chłonąc wszelkie aspekty budowy wspaniałej drogi, którą już nazywano *via Appia*, oraz nie mniej wspaniałego akweduktu, również ochrzczonego od imienia pomysłodawcy i realizatora przedsięwzięcia. Nie było zajęcia czy to banalnego, czy najbardziej godnego, którego by nie poznał z pierwszej ręki – od kopania rowów po obliczanie ilości wody, jaka będzie przepływać przez dany przekrój akweduktu w danym czasie. Zdołał nawet wyuczyć się greckiego alfabetu i paru podstawowych zwrotów, gdy jednak Klaudiusz próbował go obarzyć zadaniem tłumaczenia ustępu z jakiejś pracy o problemach hydrauliki lub mechaniki, skomplikowany język nieodmiennie stawiał młodzieńcowi opór niczym opoka świdrom wiertaczy. „Jedno jest pewne”, powiedział mu kiedyś mentor, „nie może być w tobie ani kropli greckiej krwi”. Uwaga była zupełnie niewinna, ale wtrąciła Kesona w nowy cykl koszmarów odbierających mu spokojny sen.

Wieczorami po długich dniach ciężkiej pracy fizycznej i umysłowej Keso z przyjemnością czekał na solidną kolację spożywaną wspólnie z rodzicami. Po uczcie odpoczywał trochę w ogrodzie, a przed snem godzinę lub dwie studiował akta użyczone mu przez Kwintusa Fabiusza. Czytanie zeznań trucicielek, zapisków kuzyna, oficjalnych dekretów senatu i konsulów oraz najróżniejszych innych materiałów dowodowych przynosiło mu dziwne odprężenie. Jakaś niejasna wzmianka w którymś z dokumentów skłaniała go do szperania w następnych lub wracania do już przeglądanych, ale nie do końca zrozumiałych bez wiedzy, którą dawały mu te później poznawane elementy łamigłówek. Przypominająca układanie mozaiki sprawa bawiła go i wciągała; z pozornie nie związanych ze sobą fragmentów z wolna zaczynał się wyłaniać coraz klarowniejszy obraz całości. Szczególnie fascynowały go czytane po kilka razy zeznania winowajczyń. „Zrobiłam to, bo mój mąż spał z inną kobietą”, mówiła jedna. „Ten sklepikarz miał złe spojrzenie”, tłumaczyła druga. „Brat zawsze się ze mną kłócił i miałam już tego dosyć”. „Moje dwie siostry to zrobiły, a ja nie chciałam się czuć wyłączona”. Oslawiona Sergia wiele eksperymentowała z różnymi roślinami i substancjami, sporządzając szczegółowe notatki o możliwościach przygotowywania trucizn, ich względnej skuteczności, wywoływanych symptomach, czasie działania i o tym, jakie efekty przynosi ich mieszanie. W aktach były też jej dokładne szkice wielu ziół, które służyły jej niewolnicom jako przewodnik podczas zbierania. Typowym przykładem był jej zapis na temat akonityny, ilustrowany rysunkiem kwitnącej rośliny:

AKONITYNA – biały proszek uzyskiwany z tojadu, zwanego też hełmem Plutona, jako że jego fioletowe kwiaty rosnące w gronach kształtem przypominają hełm wojownika z wysokim grzebieniem i osłonami na policzki. Zioło może sięgać kolana lub nawet biodra i rośnie na glebach wilgotnych w cieniu drzew. Od greckiego kupca wiem, że jego ziomkowie

nazywają je królową trucizn. Według legendy miało wyrosnąć ze śliny trójgłowego psa Cerbera, stróża Hadesu. Wszystkie części rośliny są trujące, najbardziej jednak korzeń, z którego wyrabia się proszek. Spożycie go skutkuje śmiercią; może też zabić kobietę, jeśli zetknie się z jej genitaliami. Działanie bardzo szybkie – bywa, że otruty umiera w dziesięć minut, a z całą pewnością nie później niż po czterech godzinach. Ofiara szybko odczuwa drętwienie i mrowienie, a także suchość w ustach i gardle. Pojawia się też palący ból od przełyku po żołądek. Mrowienie obejmuje ręce i nogi, a potem całe ciało. Skóra jest zimna i lepka w dotyku, choć ofiara może się czuć, jakby ją z niej obdzierano. Potem słabną nogi, tępieje wzrok i słuch, ale jasność umysłu pozostaje niezmieniona aż do chwili zgonu. Mięśnie drżą lub się kurczą spazmatycznie, puls spowalnia, rozszerzają się źrenice. Najmniejszy wysiłek skutkuje utratą przytomności.

I tak dalej, i tak dalej. Keso czytał i czytał, póki nie zasnął z głową nabitą szczegółami morderstw sprzed wielu lat. Była to lektura w sam raz na relaks po trudach wypełnionego pracą dnia. Ostatnia świadoma myśl tuż przed zapadnięciem w sen najprawdopodobniej nie wiązała się z żadnym z technicznych problemów z akweduktem, ale raczej dotyczyła dostojnej matrony Kornelii, która zabiła męża podczas stosunku, wsadzając mu w odbył palec pokryty akonityną – takiej stymulacji od niej wymagał, choć było to dla niej odrażające. Trucizna zadziałała błyskawicznie; ofiara zmarła w kilka minut, ale przedtem, jeśli wierzyć Kornelii, osiągnęła wyjątkowo gwałtowny orgazm. Dossier Kwintusa Fabiusza pełne było takich niezwykłych szczegółów.

Ani one, ani żaden inny fragment tej łamigłówki nie mógł jednak uwolnić Kesona od snów, jakie nachodziły go w związku z niepewnością pochodzenia. Przychodziły znienacka, najczęściej wywołane z zakamarków świadomości czyjąś przypadkową uwagą usłyszaną w ciągu dnia, która nie miała nic wspólnego z jego pochodzeniem, ale sprawiła, że poczuł się obnażony i słaby – ten obcy, intruz, przybłąda podszywający się pod jedną z najstarszych i najszacowniejszych rzymskich rodzin.

* * *

Życie Kesona toczyło się zgodnie z ustaloną rutyną, aż w końcu nadszedł dzień, który miał je odmienić na zawsze – jednak z innego powodu, niż mu się wydawało.

Tego dnia odbyły się jego zaręczyny z dziewczyną o imieniu Galeria. Uroczystość była zwieńczeniem intensywnej negocjacji między dwiema patrycjuszowskimi rodzinami. Po stronie Fabiuszów najusilniej popychał Kesona do tego małżeństwa kuzyn Kwintus, który miał w tym swój ukryty cel. Młodzieniec wykazał się inteligencją i ambicją, ale był przy tym uparty i przekorny; odpowiedzialność za własną rodzinę mogła pomóc w okiełznaniu jego krnąbrnej natury i energii.

Sam Keso przyjął perspektywę ożenku z mieszanymi uczuciami, ale Galeria była ładną dziewczyną o figurze Wenus, a podczas kilku odbytych w towarzystwie przyzwoitki konwersacji przekonał się, że jest też czarująco wstydliva i słodka, bez większych oporów poszedł więc za wolą rodziny. Zaręczyny celebrowano w domu Kwintusa Fabiusza, który raczył gości najlepszym winem. Toasty spełniano ochoczo i atmosfera była świąteczna, ale Keso czekał chwili, gdy nie uchybiając towarzyskiej etykietce, będzie mógł się wreszcie wymknąć. Lekko podchmielony pomaszerował do domu Appiusza Klaudiusza, pragnąc podzielić się nowiną ze swym mentorem.

Odźwierny poprosił go, by zaczekał w przedpokoju biblioteki, wyjaśniając, że gospodarz przyjmuje akurat gościa przybyłego w sprawie urzędowej. Wieczór był ciepły i wszystkie drzwi pozostawiono otwarte. Keso całkiem wyraźnie słyszał dobiegającą z sąsiedniego pomieszczenia rozmowę.

– Nie przeczę, że to, o co zabiegasz, ma swój precedens – mówił Appiusz. – Religia państwowa stała się tak skomplikowana i tylu rytuałów trzeba dochowywać każdego dnia w całym mieście, że w ostatnich latach coraz więcej takich obowiązków cedowano na świątynnych niewolników, co prawda przeszkolonych przez kapłanów. Niemniej, Tytusie Potycjuszu, twoja propozycja jest trochę innego rodzaju i na pewno wzbudzi kontrowersje.

Nazwisko Potycjusza niewiele Kesonowi mówiło. Znał tę patrycjuszowską rodzinę i wiedział, że należy do najstarszych, ale nie liczy się w polityce i daleko jej do elitarnej sfery Fabiuszów. Mgliście sobie przypominał, że Potycjusze mają coś wspólnego z Ara Maxima, natomiast dopiero z tej mimo woli podsłuchiwanej rozmowy dowiedział się, że chodzi o dziedziczny przywilej i obowiązek opieki nad ołtarzem, w tej bowiem sprawie przyszedł Tytus.

– Proszę mnie zrozumieć, cenzorze. – Głos brzmiał, jakby mówiący był stary, zmęczony i przygnębiony. – Gdybym widział jakiegokolwiek inne rozwiązanie rodzinnych kłopotów, nigdy bym nie przyszedł z tą prośbą. To smutna prawda: Potycjuszów już nie stać na utrzymanie ołtarza i wydawanie dorocznych Uczt Herkulesa. Ara Maxima pilnie wymaga odnowienia. Byłeś tam ostatnio? To wstyd dla nas wszystkich! Uczta stała się żebraczym posiłkiem... Mówię to z wielkim zażenowaniem, ale to prawda. Nie możemy należycie spełniać naszych obowiązków, a to nie najlepiej świadczy i o nas, i o Rzymie, nie mówiąc już, że uwłacza bogu. Mimo usilnych starań tylko pograżamy się głębiej w ubóstwo. Gdyby wróciły czasy naszych przodków, kiedy ołtarzem mógł być zwykły płaski kamień, a za ucztę starczała choćby garść fasoli! Ale Rzym się zmienił. Jak rosła jego potęga i bogactwo, tak zwiększały się religijne wymagania. Miasto stać na opiekę nad ołtarzem i uczczenie Herkulesa biesiadą, z której wszyscy będziemy dumni. Potycjusze nie mogą tego zapewnić.

– Rozumiem twój punkt widzenia, Tytusie. W zamian za scedowanie tego przywileju na państwo oczekujesz zapewne szczodrej rekompensaty?

– Byłoby to właściwe.

– Suma powinna być dostatecznie wysoka, by wydobyć was z finansowego dołka, tak?

– Z hojnego wynagrodzenia zrobimy dobry użytek, cenzorze.

– A więc wyłączny, dziedziczny religijny obowiązek, zaszczyt zazdrośnie strzeżony przez długie wieki, stał się zwyczajnym towarem do kupczenia? Zdajesz sobie chyba sprawę, że tak właśnie niektórzy powiedzą?

– Z racji stanowiska jesteś władny, jak sądzę, zatwierdzić tę transakcję.

– Powiedzmy, że to zrobię. Co wtedy ludzie zaczną mówić o mnie? Appiusz Klaudiusz znów nadużywa urzędu! Nie dość, że zapelnia senat swoimi nisko urodzonymi przyjaciółmi i ustawia wybory, to jeszcze chce majstrować przy najstarszych religijnych tradycjach Rzymu!

Potycjusz westchnął.

– Wiem, że to dla ciebie trudna decyzja...

– Wprost przeciwnie! Z całego serca popieram twój pomysł.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Staroświecki pogląd, że pewne funkcje kapłańskie muszą pozostawać w wyłącznej gestii jakiejś konkretnej rodziny, jest dla mnie nie do przyjęcia. Każdy element naszej religii, który wpływa na całe państwo, powinien się znaleźć w państwowym ręku, pod kontrolą całego ludu. Z tego to powodu, zupełnie nie związanego z finansowymi problemami twojej rodziny, w pełni aprobuję twoją ofertę przekazania Ara Maxima i Uczty Herkulesa na rzecz miasta. Nie wątpię, że uda mi się załatwić dla was sprawiedliwą rekompensatę.

– Cenzorze, nie wiem, jak mam dziękować...

– Nie dziękuj więc, przynajmniej jeszcze nie teraz. Jak uprzedzałem, znajdą się zagorzali przeciwnicy takiego rozwiązania. Mnie oskarżą o bezbożność i przekraczanie kompetencji. Ciebie i twoich krewnych odsądzą od czci i wiary. Musicie być przygotowani na takie kalumnie.

– Rozumiem, cenzorze.

– To dobrze. Zanim pójdziemy dalej, muszę cię zapytać, czy rzeczywiście reprezentujesz wolę całego rodu. W spisie ludności...

Do słuchającego z zainteresowaniem Kesona dobiegł szelest rozwijanych zwojów, a potem niewyraźne mruknięcia Appiusza.

– Widzę, że jest was mniej, niż myślałem. Czy to możliwe? W całym Rzymie zostało tylko dwanaście odrębnych domostw Potycjuszów i raptem trzydziestu mężczyzn noszących to nazwisko?

– Niestety, tak. Nasza liczebność zmalała razem z majątkiem.

– I jesteś upoważniony do przemawiania w imieniu ich wszystkich?

– Jestem seniorem rodu. Tę sprawę omawialiśmy wielokrotnie i szczegółowo. To już postanowione.

– Niech więc tak będzie.

Klaudiusz wezwał sekretarza i wydał mu kilka poleceń. Z Tytusem Potycjuszem wymienił jeszcze parę uprzejmości, po czym odprowadził go do wyjścia. Ujrawszy w przedpokoju Kesona, przywitał go szerokim uśmiechem.

Keso z ciekawością patrzył na wychodzącego gościa. Potycjusz miał siwe włosy i brodę, co pasowało do jego starczego głosu, a jego toga dobre czasy miała już dawno za sobą. Obrzucił chłopaka przelotnym spojrzeniem, ale nagle stanął jak wryty i zaczął mu się bardziej badawczo przyglądać.

– Czy my się znamy, młodzieńcze? – spytał.

– Nie sędzę – odparł Keso.

– Pozwól, że ci przedstawię Kesona Fabiusza Dorso. – Appiusz Klaudiusz przejął inicjatywę. – Młodego człowieka z głową nie do pozłoty. Pomaga mi przy budowie nowej drogi i akweduktu. A to, Kesonie, jest czcigodny Tytus, *pater familias* rodu Potycjuszów.

– Jednego z naszych najstarszych. – Keso skłonił się lekko, żeby nie wydać się nieuprzejmym.

– Tak, przysłużyliśmy się miastu w jego wczesnych latach – rzekł Potycjusz. – Teraz kolej na innych, jak Fabiusze. Jestem pewien, że i ty będziesz miał w tym swój udział, młodzieńcze. Ale muszę powiedzieć... – Znów wpatrzył się w Kesona, mrużąc oczy i kręcąc głową. – Kogoś mi przypominasz... Wiem! Mojego kuzyna Marka, zmarłego przed kilku laty. Tak jest, wyglądasz zupełnie jak on za młodu. Niesamowite podobieństwo! Nawet mówisz trochę jak on. Aż się zastanawiam, czy możesz być z nim spokrewniony? Nie przypominam sobie małżeństw między Potycjuszami i Fabiuszami w ostatnich latach, ale może...

– Raczej nie – przerwał mu nieco opryskliwie Keso. – Jestem pewien, że nie ma tu żadnych koligacji.

– Kesonie, jesteś czerwony jak dachówka! – zauważył Klaudiusz.

– Trochę mi gorąco – mruknął chłopak. – To pewnie od wina. Trochę wypiliśmy u kuzyna Kwintusa.

– No cóż, podobieństwo jest więc przypadkowe – rzekł Potycjusz, nie przestając jednak świdrować Kesona wzrokiem. Po chwili spuścił oczy, ale tylko po to, by przyjrzeć się fascinum na jego szyi; Keso nałożył je z okazji zaręczyn. – Co to takiego?

Keso cofnął się o krok, poirytowany tymi oględzinami.

– Pamiątka rodzinna. Mój dziadek dostał to od słynnej westalki Pinarii w swoim dniu togi. Chyba nieraz widywałeś u ludzi fascinum?

– Takie błyskotki zazwyczaj robi się z taniego metalu, nie ze złota. Ta zaś na dodatek ma skrzydła... bardzo to niezwykle! A jednak twoje fascinum wydaje mi się dziwnie znajome. Tak, na pewno z czymś je kojarzę, tylko z czym? – Potycjusz podrapał się w głowę.

Keso zaczynał czuć do starego dziwaka rosnącą antypatię. Klaudiusz zorientował się w sytuacji i ująwszy Potycjusza pod ramię, zręcznie posterował nim w stronę westybulu.

– Na pewno pilno ci wrócić do rodziny i podzielić się dobrą nowiną – powiedział. – Żegnam, Tytusie Potycjuszu. Odźwierny odprowadzi cię do drzwi.

– Żegnam, cenzorze, i dziękuję!

Starzec uściskał obiema rękami dłoń gospodarza i odwrócił się, by odejść, nie omieszkawszy jednak rzucić ostatniego zaintrygowanego spojrzenia na Kesona i jego talizman.

– Nieprzyjemny człowiek – rzekł po chwili młodzieniec, gdy zostali sami z Klaudiuszem.

– Trochę stuknięty, ale nieszkodliwy.

– Wyobraża sobie, że znalazł we mnie krewniaka!

– Ja sam jestem z nim spowinowacony, choć to bardzo dalekie koligacje, jeszcze z pierwszych lat republiki. – Appiusz wzruszył ramionami. – Córka pierwszego Appiusza Klaudiusza wyszła za mąż za Potycjusza, okazał się on jednak zdrajcą i podniósł miecz na Rzym wraz z Koriolanem. Przez wiele pokoleń między naszymi rodami panowała waśń, ale to stare dzieje! A teraz przyszły na nich tak ciężkie czasy, że zasługują tylko na współczucie. Ale chodź, Kesonie, porozmawiajmy o radośniejszych rzeczach! Jeśli się nie mylę, masz do przekazania jakieś dobre wieści?

Keso opowiedział o swoich zaręczynach. Przy winie i wesołej konwersacji wkrótce udało mu się zapomnieć o nieprzyjemnym spotkaniu.

* * *

– Ale duży westybul! – zakrzyknęła matka Kesona, stanąwszy w drzwiach niewielkiego domu na Awentynie.

– To nie westybul, mamó, ale cały dom. Nie mamy westybulu.

– Co? Tylko jedna izba?

– Ależ nie! Pośrodku jest ogród...

– Mówisz o tym skrawku ziemi pod dziurą w dachu?

– A z tyłu jest jeszcze jedna izba, która służy nam za kuchnię i spiżarnię – ciągnął niezrażony Keso. – Za nią jest pomieszczenie dla służby, choć nie sądzę, abyśmy trzymali więcej niż dwoje niewolników. I tak będą chyba musieli spać jedno na drugim...

– No, przynajmniej niewiele wam trzeba, żeby urządzić to miejsce! – W wieku czterdziestu lat Herminia wciąż była ładną kobietą, miała jednak skłonność do robienia niemiłych min, które psuły jej urodę. – Doprawdy nie wiem, czy warto się fatygować, żeby przенosić się z rodzinnego domu do takiej ciasnej klitki.

– Nonsens! – zaproponował ojciec Kesona. – Ślubny dar kuzyna Kwintusa jest bardzo szczodry. Nie każda młoda para może celebrować zaślubiny we własnym domu. Oczywiście przydałoby się to i owo naprawić...

– Mam nadzieję, że Galeria lubi wyzwania – rzuciła Herminia.

– Najbardziej podoba mi się lokalizacja – rzekł Keso.

– Awentyn? – Matka skrzywiła się jeszcze bardziej. – Dobrze chociaż, że to północny stok...

– Wyjrzyj przez to okno. Zobaczysz, jaki stąd widok. Tylko uważaj na te luźne płytki. – Keso otworzył na oścież okiennice. – Pięknie, prawda?

– Widzę same dachy.

– Nie, mam, popatrz dalej... tam, między tymi dwoma domami.

– Ach, tak, widać kawałek akweduktu... tego brzydactwa, którym twój przyjaciel Klaudiusz zeszpecił miasto!

Ojciec Kesona odchrząknął.

– Czeka nas dziś jeszcze dużo zajęć, żono – zauważył dyplomatycznie.

– To prawda! Muszę sporządzić listę gości.

– W takim razie może już pójdziemy?

– Ja jeszcze trochę zostanę – uprzedził Keso.

– Tylko się nie zasiedź. – Matka pocałowała go w czoło i zamaszystym krokiem wyszła z izby.

Ojciec przystanął jeszcze na chwilę w drzwiach, postukując nogą w obluzowaną płytkę posadzki.

– Nie martw się, synu. Znajdziemy pieniądze, żebyś mógł zrobić tu remont.

– Zapominasz, że mam własne dochody, tato. Klaudiusz płaci mi całkiem nieźle.

– Chyba raczej miasto, nie Klaudiusz. Cenzor tylko ustala twoją pensję.

– Oczywiście, ojcie. Ale dołącz lepiej do mamy, zanim się zniecierpliwi!

Po chwili Keso został sam. Zgryźliwe uwagi matki nie zdołały zepsuć mu dobrego nastroju. Bogowie muszą się do mnie uśmiechać, pomyślał. Praca dla Appiusza Klaudiusza wciągała go coraz bardziej, dzień wesela zbliżał się wielkimi krokami, a wspianały dar Kwintusa nie tylko go zaskoczył, ale i do głębi wzruszył. Przypomniawszy sobie jeden z ulubionych aforyzmów Klaudiusza i wypowiedział go na głos:

– Każdy jest architektem własnego losu. – Wyjrzał przez okno ku dalekiej sylwetce akweduktu. – Jeżeli to prawda, to zaiste dobry ze mnie budowniczy!

– Na pewno nim jesteś – odezwał się czyjś głos za jego plecami.

Keso obrócił się na pięcie. Ojciec musiał zostawić otwarte drzwi. Pośrodku izby stał stary człowiek w spłowiałej tunice. Keso wpatrywał się weń przez chwilę, aż go rozpoznał.

– Tytus Potycjusz?

– A więc pamiętasz mnie.

– Niestety, tak. Co tu robisz?

– Przemawiasz ostrym tonem, młodzieńcze. Tak się nie zwraca do starszych... zwłaszcza jeśli są krewnymi.

– O czym mówisz, starcze? – Keso wyprostował się wyniośle, lecz w sercu poczuł ukłucie strachu.

– Mamy sobie wiele do powiedzenia, Kesonie.

– Nie mamy sobie nic do powiedzenia.

Potycjusz przechylił głowę i spojrzał na szyję młodzieńca.

– Nie założyłeś dzisiaj swojego fascinum.

Keso odruchowo położył dłoń na szyi, gdzie spoczywałby amulet.

– Zakładam go tylko na specjalne okazje.

– Znasz jego pochodzenie?

– Westalka Pinaria dała go...

– Ale przedtem? Skąd ona go miała?

– Nie wiem. Ale to bardzo stara rzecz.

– Nawet nie wiesz jak bardzo. Równie stara jak sami Potycjusze.

– Cóż to za niestworzone rzeczy opowiadasz!

– Jestem głową całego naszego rodu, jak również jego kronikarzem i historykiem. Przechowuję stare dokumenty, listy, skrawki pergaminu z notatkami, kto się z kim żenił, jakie miał potomstwo, co i kiedy robił i tak dalej. Mniemam, że u Fabiuszów tę samą funkcję pełni twój kuzyn Kwintus. Oba nasze klany są tak wiekowe, a nasi przodkowie dokonali tylu rzeczy... małych i wielkich, wspaniałych i strasznych... że trudno to wszystko ogarnąć! Czasem myślę, że lepiej by było, gdybyśmy wszyscy obrócili się w proch, a świat o nas zapomniał i toczył się po swojemu tak, jakbyśmy nigdy nie istnieli.

– Nie sądzę, aby Kwintus Fabiusz podzielał twoje zdanie.

Potycjusz wydał skrzekliwy dźwięk, w którym Keso domyślił się śmiechu.

– Pewnie masz rację. Ale wyobraź sobie, jakie rzeczy on musi wiedzieć! Rodzinny kronikarz ma dostęp do najróżniejszych sekretów. Do spraw, o których nikomu nie wolno mówić... O tajemniczych zgonach, nieślubnych dzieciach, bękartach spłodzonych z niewolnicami...

– Jeżeli masz mi coś do powiedzenia, to gadajże wprost!

– Dobrze. Łączą nas więzy krwi, Kesonie. Jesteś potomkiem Potycjuszów.

Keso poczuł nagłą suchość w gardle.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Po pierwsze, wystarczy na ciebie spojrzeć. Jak powiedziałem, najbardziej przypominasz mojego kuzyna Marka, ale z tymi oczami, podbródkiem, ustami... mógłbyś uchodzić za syna lub brata niemal każdego z moich krewnych. Z początku pomyślałem sobie, że to pewnie Marek zasiał swoje ziarno poza małżeńskim łóżem, ale kiedy zacząłem szperać w historii, stwierdziłem, że prawda jest o wiele bardziej skomplikowana i sięga znacznie głębiej w czasie. Przed chwilą dobrze się przyjrzałem twojemu ojcu, gdy stąd wychodził. I on ma rysy Potycjuszów, choć nie tak wyraźne jak ty. Bogowie zdecydowali, by nasze cechy rodzinne w

pełni się ujawniły właśnie w tobie. Kluczem do zagadki okazał się twój cenny amulet. Pamiętałem, że gdzieś w kronikach są wzmianki o skrzydlatym fascinum odlanym ze szczerzego złota, przekazywanym od dawien dawna z ojca na syna. Nosił je mój przodek, też o imieniu Tytus, który żył w czasach decemwirów. Po nim ślad się urywa. Jak jednak głosi rodzinna legenda, spłodził on nieślubne dziecko, które obrócono w niewolnika. Jak sobie możesz wyobrazić, raczej się tym epizodem nie chwalimy. Niewolnik to jednak forma własności, a my, Rzymianie, bardzo starannie księgujemy wszelkie nasze dobra... i ich pochodzenie. Kosztowało mnie to trochę żmudnej pracy, niemało perswazji i odrobinę dedukcji, ale udało mi się wytropić tego bękarta i prześledzić jego potomstwo aż do niewolnika zwanego Pennatussem. Słyszałeś o takim?

Keso z trudem przełknął ślinę. Miał wrażenie, że w gardle utkwiał mu kamień.

– Niewolnik o takim imieniu znalazł mojego dziadka w ruinach domu zniszczonego przez Galów – odpowiedział.

– Tak było! A czy wiesz, że ów Pennatus przez kilka miesięcy był uwięziony na oblężonym Kapitolu wraz z westalką o imieniu Pınaria, która jakimś sposobem weszła w posiadanie złotego skrzydlatego fascinum i z nieznanых pobudek czuła się zobowiązana przekazać je twojemu dziadkowi, gdy osiągnął wiek męski? Teraz ty je nosisz, Kesonie... i jesteś wykapanym Potycjuszem! Zaczynasz dostrzegać, jak się to wszystko ząbębia?

– To wszystko twoje wymysły i oszczerstwa! Oczerniasz pamięć świętej westalki! Nie masz żadnych dowodów!

– Ja nie mam. Ale bogowie znają prawdę o tobie, Kesonie. Teraz zaś poznałeś ją i ty.

Keso czuł, że nogi się pod nim uginają, a ściany izby zaczynają falować.

– Dlaczego mi to mówisz? – wyszeptał.

– Czy nie lepiej jest zawsze znać prawdę?

– Nie!

– Czy dobrze usłyszałem to, co mówiłeś do siebie, wyglądając przez okno? Coś o byciu architektem własnego losu? Jak możesz zbudować trwały pomnik, życie pełne cnót i osiągnąć, jeśli nie zaczniesz od solidnego fundamentu wiedzy o sobie?

– Jesteś głupim starcem, Tytusie Potycjusz! Ty i cała twoja nędzna rodzina zaprzepaściliście wszystko, co dobra Fortuna wam dała. Obraziliście bogów, sprzedając wasze dziedziczne prawo do Ara Maxima. Jak śmiesz przychodzić do mnie z takim łągarstwem, insynuując, że mój dziadek był bękartem westalki i niewolnika!

Potycjusz westchnął ciężko.

– Źle mi to wyszło. Nie miałem zamiaru cię obrazić. Nie martw się, Kesonie. Będę dyskretny. Wszystko, co odkryłem, zostanie tylko między nami. Nie powiedziałem ani słowa nawet najbliższej rodzinie.

– Możesz wykrzyknąć te brednie choćby z dachu świątyni Jowisza, jeśli się ośmielisz! Zrobisz tylko z siebie jeszcze większe pośmiewisko!

Tytus Potycjusz bez słowa odwrócił się i wyszedł. Keso z wściekłością kopnął w podłogę, wybijając jedną z płytek, która z trzaskiem rozbiła się o ścianę.

* * *

Tej nocy sen długo nie nadchodził. Kiedy się zjawił, koszmar był jeszcze żywszy, wyrazistszy i męczący niż kiedykolwiek przedtem. Obrazy raptownie przechodziły jedno w drugie, a w każdym czuł się rozpaczliwie samotny i rozdarty, wyśmiewany i pogardzany. W pewnej chwili poderwał się i usiadł na łóżku, zlany potem i drżący; złapał się za szyję i stwierdził, że ma na sobie fascinum, chociaż nie pamiętał, aby je przed snem zakładał. Zerwał łańcuszek i z furią cisnął amulet w mrok izby... ale ku swemu przerażeniu ujrzał, że wraca i leci wprost na niego! Wrzasnął przeraźliwie – i dopiero wtedy naprawdę się obudził.

Oboje rodzice stali w drzwiach sypialni, wpatrując się weń z przestachem; musiały ich obudzić jego krzyki. Zawstydził się swej nagości, ale nie było czym się okryć. Kiedy znów podniósł na nich wzrok, ujrzał, że ojciec ma twarz starego Tytusa Potycjusza. Usłyszał wypowiedane kojącym tonem słowa: „No, moje dziecko, nie bój się prawdy...”

Keso wciąż śnił. Kiedy w końcu się ocknął, czuł się bez reszty wyczerpany. Podejrzliwie popatrzył na sączący się przez szpary okiennic słoneczny blask, bojąc się, że koszmar wciąż trwa.

Wstał z łóżka i na drżących nogach poczłapał do półki pod ścianą, na której w drewnianym puzderku trzymał fascinum. Jego widok wzbudził w nim odrazę. Należałoby tę okropną rzecz wyrzucić! Wiedział jednak, że ojciec oczekuje od niego, by miał to na sobie w dzień ślubu; gdyby się teraz tego pozbył, tylko niepotrzebnie zwróciłoby to uwagę. Patrzył jeszcze przez chwilę na złoty przedmiot, po czym zatrasnął wieko.

W przeddzień zaślubin Keso udał się do domu na Awentynie, żeby się upewnić, iż wszystko jest gotowe na przyjęcie nowej gospodyni. Przed wejściem ustawiono ołtarz, na którym złoży się w ofierze owcę, a zaproszony augur odczyta auspicje. Wewnątrz stały ozdobne krzesła dla oblubieńców, gotowe do wyniesienia na ulicę, gdzie pod gołym niebem miała się odbyć cała ceremonia. Na krzesłach piętrzyły się girlandy z suszonych kwiatów, którymi nazajutrz miały być udekorowane drzwi. Na podłodze leżała owcza skóra, na której ułożył Galerię, przeniósłszy ją przez próg, jakby była jego sabińską branką. Serce zaczęło mu mocniej bić, gdy sobie uzmysłowił doniosłość nadchodzącej chwili: nazajutrz o tej porze będzie już żonatym mężczyzną.

Dom był skromnie umeblowany, ale posadzka została naprawiona, a cała izba do czysta wyszorowana. W malutkim ogródku zieleniły się nowo zasadzone krzewy i nierozkwitłe jeszcze kwiaty, w kuchni wisały patelnie i garnki. Zobaczył, że łóżko ustawiono pod ścianą przy oknie – nowe, większe od tego, w którym przywykł spać sam – i poczuł drganie erotycznej tęsknoty. Galeria jawiła mu się piękniejsza przy każdym spotkaniu; wkrótce ujrzy

ją naga, sam będzie nagi i ją posiadzie. Jeśli czuł do tej pory jakąkolwiek wątpliwość co do tego ożenku, to w tej chwili przybladła i się rozmyła, przykryta jak całunem myślami o czekających go cielesnych rozkoszach. Podszedł bliżej, chcąc się lepiej przyjrzeć meblowi.

– Masz bardzo ładny dom. – Głos był ledwo słyszalny.

Keso jak oparzony błyskawicznie odwrócił się ku intruzowi.

– Czego ty tutaj szukasz? Wynoś się!

W drzwiach stał Tytus Potycjusz.

– Czy nie wolno mi odwiedzić krewnego w przeddzień wesela, by życzyć mu pomyślności?

– Jesteś szaleńcem. Bogowie zaćmili ci umysł, żeby cię ukarać za kupczenie świętym dziedzictwem!

– W takim razie za tanio je sprzedałem.

– Appiusz Klaudiusz powinien był cię od razu wyrzucić i nie dać złamanego miedziaka.

– Dziwne, że wspominasz o pieniądzach. To drugi powód mojej wizyty. – Potycjusz stał ze złożonymi dłońmi i spuszczoną głową. – Galeria pochodzi z zamożnej rodziny i pewnie wniesie ci okazałe wiano. Na pewno też cenzor wyjednał dla ciebie godziwą pensję. Jesteś nawet posiadaczem własnego domu! Masz wielkie szczęście, Kesonie, że w tak młodym wieku jesteś niezależny finansowo.

– Ty zaś jesteś durniem, który na starość roztrwonił wszystko, co miał.

– Kłopoty Potycjuszów zaczęły się na długo przed moimi narodzinami. Jakież to typowe dla naszego losu, że jeden z najbardziej utalentowanych potomków swego pokolenia, który powinien być dziedzicem rodowych tradycji, nawet nie nazywa się Potycjusz! Mimo to mam nadzieję, że ów młodzieniec posłucha zewu krwi i nie odmówi krewnym wsparcia w potrzebie.

– Czego ode mnie chcesz? – wycedził Keso przez zaciśnięte zęby.

– Pożyczki, tylko tyle. Ot, drobnej sumy, jak to w rodzinie.

– Dlaczego teraz? Czemu psujesz mi dzień, w którym powinienem myśleć tylko o jutrzejszym ślubie?

– Moja prośba nie ma nic wspólnego z twoim małżeństwem... choć jestem pewien, że ojciec panny młodej byłby wstrząśnięty, gdyby się dowiedział, że wydaje córkę za potomka upadłej westalki i niewolnika.

Keso poczuł, że się przewróci, jeśli natychmiast nie usiądzie. Opadł ciężko na łóżko.

– Czyż to nie zadziwiające, że wybrałeś akurat zawód budowniczego? – Głos Potycjusza złagodniał. – Twój przodek, Tytus Potycjusz, przyjaciel Koriolana, też był architektem, wiesz? On zresztą pierwszy raz w naszej historii ściągnął na nas hańbę i niedolę. Szkoda byłoby, gdybyś miał i pod tym względem pójść w jego ślady.

– Ile chcesz?

Potycjusz wymienił kwotę. Keso zachnął się w pierwszej chwili, ale był szczęśliwy, że nie zażądano od niego więcej. Ustalili, że Potycjusz wróci po pieniądze za dwa dni.

* * *

Przy tylu emocjach, jakie przyniósł dzień, Keso sam się dziwił, że przespał tę noc łącie kamiennym snem. Nie trapiły go koszmary, nie budził się w nocy; wstał jeszcze przed pierwszym kurem, wypoczęty i rześki.

Zapalił lampę. Jakiś czas temu zakończył czytanie akt Kwintusa Fabiusza; miał je zwrócić, ale w ferworze przedślubnych przygotowań zapomniał o tym zupełnie. Sięgnął teraz po plik dokumentów i zaczął niektóre przeglądać, od czasu do czasu kiwając głową i mrużąc coś pod nosem. W końcu zdmuchnął lampę i znów się położył. Spał jeszcze godzinę, spokojny jak człowiek, który podjął nieodwracalną decyzję i pogodził się z wolą bogów i własnym sumieniem.

* * *

Kiedy Tytus Potycjusz zjawił się w umówionym dniu, przybył pod pretekstem złożenia życzeń nowożeńcom. Keso przyjął go bez cienia urazy; rozmawiał z nim nawet dość serdecznie i przeprosił za wcześniejsze ostre słowa, po czym przedstawił go żonie.

Potycjusz uznał, że ta nagła zmiana w zachowaniu Kesona to efekt nocy małżeńskiego szczęścia. Dlaczego nie? W końcu nie było powodu, aby ten młody człowiek zachowywał się wobec niego nieprzyjaźnie. Przekonawszy sam siebie, że sprzedaż praw rodziny do ołtarza Herkulesa nie jest niczym nagannym, tym łatwiej uznał, że postąpił racjonalnie, zwracając się do Kesona o wspomóżenie. Są w końcu rodziną, młokos ma pieniędzy w bród, a Potycjusze klepią biedę. Hojność jest miła bogom. Dlaczego ta... uczciwa przecież... transakcja miałyby się odbywać w niezgodzie? Ba! Keso właściwie powinien być dumny, że wspiera starszego krewniaka w potrzebie.

Mając głowę wypełnioną takimi argumentami, Potycjusz stracił dotychczasową czujność. Chętnie przyjął od gospodyni poczęstunek tradycyjną potrawę z fasoli, której sporo zostało po weselu – i nie zwrócił uwagi, że to sam gospodarz podaje mu miskę. Był wygłodzony, a fasola pachniała smakowicie. Kiedy się pożywił, Keso dyskretnie wsunął mu sakiewkę z monetami, po czym spieszenie odprowadził do drzwi. Potycjusz wiedział, że został splawiony za szybko, ale nie czuł urazy. To naturalne, że świeżo upieczeni małżonkowie pragną być sami. Ech, młodość! Poklepując przyjemnie pękaty mieszek i nućąc wesoło, starzec rażno szedł przez Awentyn do swojego domostwa po mniej eleganckiej, południowej stronie wzgórza. Przechodząc obok świątyni Junony Reginy zauważył, że jedna ze świętych gęsi uciekła z zagrody i człapie zadowolona z siebie po ulicy, kołysząc się na boki i wyciągając

szyję. Uśmiechnął się... i poczuł nagle mrowienie w gardle. W ustach miał sucho. Trzeba było poprosić o kubek wina do tej fasoli...

W następnej chwili cały przętyk zaczął go palić żywym ogniem. Ból był tak silny i dziwny, że od razu wiedział, iż jest z nim źle. Dobrnął już do takiego wieku, w którym człowiek może w każdej chwili umrzeć – nagle i bez widocznej przyczyny. Czy ta chwila nadeszła teraz dla niego? Czy bogowie postanowili na tym zakończyć jego historię życia?

Nie wiedząc, kiedy i jak się tam znalazł, leżał u stopni świątyni, niezdolny się poruszyć. Wokół niego zaczęli się zbierać gapie. Ich miny nie wróżyły nic dobrego. Mężczyźni kręcąc głowami, jakaś kobieta zakrywa twarz i zaczyna płakać...

– Zimno... – udało mu się wykrztusić. – Nie mogę się... ruszyć...

Jakby na przekór tym słowom jego nogi i ręce zaczęły konwulsyjnie drgać; najpierw lekko, a później tak gwałtownie, że najbliższy stojący cofnął się w przestkach. Wystraszona gęś jęła gęgać wniebogłosy.

Potycjusz zdał sobie sprawę, co się stało. Nawet nie myślał o tym jak o morderstwie, ale raczej jak o jeszcze jednym nieszczęściu spadającym na ich ród. Jakże bogowie muszą ich nienawidzić! Ani przez myśl mu nie przeszło, by ostatnim tchem oskarżyć Kesona; przyznanie się do szantażu splamiłoby jego własne imię i jeszcze bardziej upokorzyło rodzinę.

Konwulsje ustały, a wraz nimi i oddech. Tytus, *pater familias* Potycjuszów, umarł szybko i w milczeniu.

Dwaj liktorzy przysłani przez edyla kurulnego zabrali ciało na przechowanie do czasu, gdy upomną się o nie krewni. Jeden z nich poznał zmarłego, a spisując znalezione przy nim rzeczy, zdziwił się na widok wypełnionej srebrem sakiewki.

– Potycjusze zawsze się obnoszą ze swoim ubóstwem, a popatrz no tylko, ile stary miał przy sobie forsy!

– Pewnie zostało mu z zapłaty, jaką dostał od Appiusza Klaudiusza za sprzedaż prawa do opieki nad ołtarzem – odrzekł drugi. – Z takiego świętokradztwa nie może wynikać nic dobrego.

– Toteż nie wyniknęło. Biedny staruch się doigrał.

* * *

W oczach Kesona Tytus Potycjusz, syn zmarłego *pater familias*, wyglądał tylko odrobinę młodziej od ojca.

– Jak więc widzisz, wszystko, czego się zołałem dowiedzieć, wskazuje na to, że musiałeś być jednym z ostatnich ludzi, którzy go widzieli żywego – mówił gość. – Ojciec powiedział jednemu z niewolników, że zatrzyma się u ciebie po drodze do domu, ale nie wyjaśnił po co.

W głowę zachodzę, skąd miał przy sobie tyle pieniędzy. Od nikogo nie usłyszałem żadnej wskazówki co do ich źródła.

Dwaj mężczyźni siedzieli w małym ogródku w nowym domu Kesona. W głosie Potycjusza nie było cienia podejrzliwości ani insynuacji; mówił po prostu jak zrozpaczony syn, który stracił ojca i chce się jak najwięcej dowiedzieć o jego ostatnich godzinach życia. Keso jednak nie mógł się pozbyć uczucia niepokoju. Dobierał słowa starannie, przemawiając tonem, miał nadzieję, współczującym.

– To prawda, twój ojciec złożył nam tego dnia krótką wizytę. Spotkaliśmy się przedtem przelotnie w domu Appiusza Klaudiusza. Pomyślałem, że to miło z jego strony osobiście złożyć nam życzenia.

– Taki miły starszy człowiek – wtrąciła Galeria, siedząca nieopodal przy kołowrotku, zajęta przedzeniem w asyście niewolnicy. Mogła się pochwalić wieloma cnotami rzymskiej pani domu, ale milczenie nie było jedną z nich, a dom był zbyt mały, by mąż mógł rozmawiać z gościem poza zasięgiem jej słuchu. – Wydawało się, że bardzo cię lubi, prawda, Kesonie?

Potycjusz się uśmiechnął.

– Nawet się domyślam dlaczego. Przypuszczalnie przypomniałeś mu kuzyna Marka.

– Tak?

– Tak. Podobieństwo jest uderzające, a tato był bardzo sentymentalny. No i... potrafił się ludziom narzucać. – Gość spuścił wzrok. – Czy przypadkiem nie prosił cię o pieniądze? Niestety, miał ten brzydki zwyczaj zwracać się o pożyczkę nawet do ledwo poznanych osób.

– Ależ nie!

Potycjusz westchnął.

– No cóż, musiałem o to zapytać. Wciąż tropię jego niespłacone długi. Skąd, u licha, on mógł wziąć tę sakiewkę?

Keso pokiwał współczująco głową. Tytus młodszy najwyraźniej nic nie wiedział o tym, że jego ojciec próbował wyłudzić pieniądze. Niemniej jego uwagi o tajemniczej sakiewce i wzmianka o podobieństwie do jednego z Potycjuszów budziły w nim lęk. Wziął głęboki oddech i nie wypuszczał powietrza, dopóki motyle, które zdawały się trzepotać skrzydłami w jego piersi, nie znieruchomiały. Tak jak w tę noc przed weselem, decyzja przyszła sama, a z nią spłynął nań spokój. Spojrzał na gościa i rzekł z przejęciem:

– Jak mój drogi przyjaciel Appiusz Klaudiusz, jestem do głębi poruszony waszym losem. To, że tak szacowny i zasłużony ród popadł w ubóstwo i musi walczyć o przetrwanie, powinno być troską wszystkich patrycjuszy. Za wiele jest wśród nas wzajemnych animozji, a za mało solidarności. Jestem tylko początkującym architektem i prawie nie mam wpływów...

– Za mało się cenisz, Kesonie... Masz dostęp i do Kwintusa Fabiusza, i do Appiusza Klaudiusza. Mało kto w Rzymie może o sobie powiedzieć to samo.

– Chyba masz rację. Gdybym tylko mógł jakoś wam pomóc...

– Będę ci wdzięczny nawet za najmniejsze wsparcie – zapewnił z westchnieniem Potycjusz. – Być seniorem rodu to ciężkie brzemie.

– Może potrafię jakoś ci ulżyć w jego dźwiganiu. Spróbuję porozmawiać z kuzynem Kwintusem i z cenzorem. Kto wie, czy nie znajdzie się jakaś posada dla któregoś z twoich krewniaków? Musimy się jeszcze spotkać, Tytusie, może przy winie i jadle?

– Będę zaszczycony – odrzekł poważnie Potycjusz. – Mój dom nie jest godny tak znamienitego gościa, ale gdybyś zechciał wstąpić z małżonką na kolację...

I tak Keso zaczął zdobywać zaufanie nowego *pater familias* rodu Potycjuszów.

311 r. p.n.e.

Nowa studnia u wylotu akweduktu była nie tylko największa w Rzymie; było to prawdziwe dzieło sztuki. Płytki, wyniesiony nad otoczenie basen miał kształt koła o średnicy piętnastu stóp. Woda stale wlewała się do niego z ust trzech umieszczonych pośrodku rzecznych duszków, pięknie rzeźbionych w kamieniu. Na uroczyste otwarcie nowego źródła zebrało się wielu najszacowniejszych obywateli, wśród których brylował oczywiście odziany w purpurową togę cenzora i promieniejący uśmiechem Appiusz Klaudiusz. Nie zabrakło też Kwintusa Fabiusza z nieodmiennie naburmuszoną miną; przyszedł niechętnie – po części z obowiązku, a trochę wskutek perswazji młodego kuzyna. Keso czuł się zobligowany, by zająć miejsce u jego boku.

Jak wszystkie rzymskie uroczystości publiczne, także ta nie mogła się obejść bez auspicjów. Augur wypatrzył kołujące w pobliżu nad Tybrem wodne ptaki i obwieścił, że to pewny znak łaski bogów. Wygłoszono parę mów, a potem nastąpiła pełna oczekiwania cisza. Oczy wszystkich zwrócone były na inżynierów szykujących się do otwarcia zaworów. Kwintus nie wytrzymał i rzucił zgryźliwie:

– Więc to jest ta wymówka twojego przyjaciela Klaudiusza, by się trzymać stołka tak długo po upływie normalnej kadencji... studnia!

Keso ściągnął usta, ale spokojnie odpowiedział:

– Klaudiusz argumentował, że jego praca przy drodze i akwedukcie jest zbyt ważna, by ją przerwać, poprosił o przedłużenie mandatu i uzyskał na to zgodę senatu.

– Tylko dlatego, że poutykał w nim swoich sługusów! Jest tak samo przebiegły i uparty jak jego przodkowie, i nie mniej od nich niebezpieczny. – Kwintus w irytacji potrząsnął głową. – Te tak zwane wielkie przedsięwzięcia mają tylko zająć naszą uwagę, podczas gdy on uparcie dąży do przeforsowania swoich radykalnych reform ordynacji wyborczej. Nie spocznie, powiadam ci, dopóki nie zmieni Rzymu w grecką demokrację rządzoną przez jemu

podobnych demagogów. Do tej katastrofy nie dopuszczę jednak, póki będą się we mnie tliły resztki życia!

– Kuzynie, proszę! Przyszliśmy tu cieszyć się z sukcesu rzymskiej techniki, a nie kłócić o politykę. Nie zaprzeczysz chyba, że z akweduktu możemy być dumni.

Kwintus tylko burknął coś pod nosem, ale nagle się rozpogodził.

– Jak tam mały?

Keso się uśmiechnął. Galeria zaszła w ciążę wkrótce po ślubie i niedawno urodziła syna. Świeżo upieczony ojciec wiedział, że Kwintusowi sprawi to przyjemność, nie spodziewał się jednak po srogim kuzynie takiego przyływu uczuć do dziecka.

– Mały miewa się dobrze. Uwielbia grzechotkę, którą mu dałeś, jak i wszystkie inne zabawki.

– Świetnie! To bystry i mądry smyk. Z takimi płucami wyrośnie kiedyś na wielkiego oratora.

– No, słyhać go na pewno będzie z daleka!

Klaudiusz wszedł na Rostre i uniósł rękę, prosząc o ciszę.

– Obywatele! Wszystko już prawie gotowe do napełnienia studni. Najpierw jednak, jeśli pozwolicie, chciałbym powiedzieć kilka słów o tym, jak pracowaliśmy nad tym cudem techniki.

Mówca zaczął od podkreślenia znaczenia wody dla rozwoju miasta, wspomniał o olśnieniu, jakie zainspirowało go do podjęcia prac projektowych, i przytoczył kilka anegdot związanych z przebiegiem budowy. Przemówienie, wygłaszane z pamięci, było gęsto utkane dowcipami i zręcznymi zwrotami, i nawet Kwintus Fabiusz nieraz się mimo woli zaśmiał.

– Tak wielu ludziom winien jestem wdzięczność za ich wkład w to wielkie dzieło, że musiałem ich wszystkich spisać, żeby nikogo nie pominąć.

Klaudiusz odczytał długą listę nazwisk. Keso był mile połączony, ponieważ jego imię znalazło się na niej dość wysoko. Drgnął zaskoczony, kiedy nagle tuż przy uchu usłyszał szept kuzyna:

– Czemu on tak mruży oczy?

Młodzieniec zmarszczył brwi. Kwintus dotknął problemu, jaki coraz częściej zaprzętał mu głowę: pogarszającego się wzroku cenzora. Ostrość widzenia tak bardzo mu osłabła, że musiał niemal nosem dotykać swoich ulubionych greckich pism, żeby je studiować. Lista, którą teraz odczytywał, napisana była dużymi literami, a mimo to musiał najwidoczniej mocno wyęczać oczy, żeby je rozróżnić. Jego niepokój nie uszedł uwagi Kwintusa.

– A więc pogłoski są prawdziwe? Appiusz Klaudiusz ślepnie?

– Ależ skąd! – zachnął się Keso. – Po prostu ma przemęczony wzrok, tyle ostatnio pracował.

– Wiesz, co ludzie mówią?

– Ludzie są głupi – szepnął Keso. Rzeczywiście nieobce mu były zjadliwe plotki puszczane w obieg przez wrogów jego pryncypała. Mówiono, że cenzora, który tak uwielbia przyjemności lektury, bogowie karzą ślepotą za to, że zezwolił Potycjuszom na przekazanie religijnych powinności przy Ara Maxima świątynnym niewolnikom. – O jego polityce możesz myśleć, co chcesz, kuzynie, ale Appiusz Klaudiusz jest pobożnym człowiekiem i wolę bogów szanuje. Jeżeli traci wzrok, to nie dlatego że został przez nich ukarany.

– Ale innych twoich dziwnych przyjaciół boska kara jednak nie ominęła, co? I to jaka surowa!

Keso nachmurzył się, ale nic nie odpowiedział. W kwestii Potycjuszów działał we własnym interesie, za wszelką cenę starając się zatrzeć tajemnicę swego pochodzenia i zabezpieczyć przyszłość potomstwu. Czy to możliwe, że była w tym i boska ręka? Czyżby stał się narzędziem ich zemsty na bezbożnej rodzinie, skazanej na zagładę za świętokradczą decyzję?

– Chyba nie wątpisz, że tragiczny koniec Potycjuszów był skutkiem boskiego wyroku? – naciskał Kwintus. – Jakie widzisz inne wytłumaczenie tak niezwyklej serii zgonów? W kilka miesięcy zachorowali i zmarli wszyscy mężczyźni z tej rodziny. Nie został ani jeden, by ponieść w przyszłość ich nazwisko. Jeden z najstarszych rodów Rzymu przestał istnieć!

– Niektórzy mówią, że to jakaś zaraza – mruknął młodzieniec.

– Zaraza, która atakuje tylko jeden klan, i to samych mężczyzn?

– Sami Potycjusze w to wierzyli.

– Tak, i nawet udało się im przekonać senat, by wyznaczono dyktatora do wbicia dodatkowego gwoźdźca w tablicę Minerwy. Nie pomogło! Ale przynajmniej mieli jednego wiernego przyjaciela... ciebie. Inni się od Potycjuszów odwrócili w strachu, by zły los nie przeniósł się i na nich. Ty jednak, choć dopiero co się z nimi zaprzyjaźniłeś, pozostałeś lojalny do samego końca. – Kwintus pokiwał głową z powagą mędrca. – Kiedyś, dawno temu, Fabiusze też znaleźli się na krawędzi niebytu, jak dobrze wiesz. Była to jednak śmierć honorowa, w bitwie, a bogom podobało się ocalić jedynego z nas, by zachować naszą linię. Zupełnie inaczej historia oceni nieszczęsnych Potycjuszów. Bądź dumny z nazwiska, które przekazałeś synowi, Kesonie!

– Znaczy ono dla mnie więcej niż samo życie, kuzynie.

Appiusz Klaudiusz skończył wyczytywanie imion zasłużonych współpracowników. Przy powszechnym aplauzie dał ręką sygnał inżynierom, by otworzyli zawory.

– Niech popłynie woda!

Z ust kamiennych figur wydobył się jak przeciągłe westchnienie syk powietrza. Bulgoczący odgłos przypominał Kesonowi rżenie jego ofiar.

Ileż sprytu i pomysłowości, i zwykłej ciężkiej pracy kosztowało go zdobycie zaufania Potycjuszów i odwrócenie od siebie wszelkich podejrzeń! Lekcje uroku osobistego brał od Appiusza Klaudiusza; akta kuzyna Kwintusa nauczyły go wszystkiego, co można wiedzieć o

truciznach. Raz wstąpiwszy na tę drogę, dał się jej pochłonać bez reszty. Każdy kolejny sukces napełniał go coraz większym uniesieniem. Keso niemal żałował, że musi zabić ostatniego z Potycjuszów, ale kiedy to się już dokonało, poczuł niewysłowioną ulgę. Jego sekret był bezpieczny. Nikt już nie powie jego synowi o ich hańbiącym pochodzeniu.

Rzęzenie narastało. Dźwięk był tak niesamowity, że stojący najbliżej zaczęli się cofać, zaniepokojeni. A potem z trzech kamiennych gardeł jednocześnie trysnęły szerokie strumienie. Woda, szumiąc i pieniać się, zaczęła z wolna wypełniać basen studni. Widok był wspaniały! Podniosła się wrzawa i wiwaty. Klaudiusz wznosił ręce i przekrzykując tłum, zawołał:

– Obywatele! Oto wasza woda! Świeża i czysta, prosto ze źródeł Gabiów!

Odpowiedział mu gromki aplauz i tysięcznym echem powtarzany okrzyk.

– Niech żyje Appiusz Klaudiusz! Niech żyje twórca akweduktu!

279 r. p.n.e.

Podczas posiedzenia senatu Appiusz Klaudiusz, zwany teraz Cekusem, czyli Ślepcem, wygłaszał największą mowę swego życia. Ponad dwieście lat później słynny Cyncero ogłosił ją jednym z najbardziej wzniosłych osiągnięć oratorskich, a już znacznie wcześniej miała przynieść Appiuszowi miano ojca łacińskiej prozy.

Trwała właśnie debata nad dalszym oporem przeciwko awanturniczemu greckiemu królowi. Inwazja Pyrrusa na Italię była największym zagrożeniem dla Rzymu od czasu najazdu Galów. Jak przed półwieczem Aleksander Macedoński błyskawicznie podbił Wschód, tak Pyrrusowi rościło się szybkie podporządkowanie zachodnich „barbarzyńców” – którym to terminem Grecy określali wszystkie ludy nie mówiące po grecku. Na razie plany te wciąż były dalekie od zrealizowania, Rzymianie stawiali bowiem zacięty opór. Pyrrus wygrywał wprawdzie kolejne bitwy, ale te kosztowne sukcesy osłabiały jego armię i podrywały morale podkomendnych.

– Jeśli ujrzymy jeszcze wiele tych pyrrusowych zwycięstw, to król Pyrrus może wkrótce się ku swej zgrzozocie przekonać, że wygrał o jedną bitwę za dużo!

Ta uwaga wzbudziła salwy śmiechu. Nieprzemijające poczucie humoru i niezachwiany optymizm ślepego senatora wielce w tych ponurych latach ceniono.

– Niektórzy z was nawołują do zawarcia pokoju z Pyrrusem. Nie chcecie dalszego przelewania krwi Rzymian i naszych sprzymierzeńców, i gotowi jesteście na ustępstwa. Pozwolilibyście Grekowi założyć stały przyczółek w Italii i macie nadzieję, że zadowolą się tym małym państewkiem, rezygnując ze snów o stworzeniu na Zachodzie imperium równego Aleksandrowemu. Ja zaś mówię wam, że on nigdy na tym nie poprzestanie! Zawsze będzie

dążył do tego, by wszystko nam zrabować, a nas zamienić w niewolników. Wszyscy wiecie, że cenię grecką naukę i Kocham ich literaturę i sztukę. Nigdy jednak nie będę służył Grekowi i nie poddam się żadnemu prawu, które nie będzie spisane po łacinie! Do nas należy przyszłość Italii... do ludu i senatu rzymskiego. Nie do żadnego Greka ani króla. Musimy kontynuować walkę z Pyrrusem, nie oglądając się na straty i koszty, dopóki go nie wyżeniemy z naszej ziemi. Kiedy ostatni okręt odbije od brzegu z ostatnimi niedobitkami jego armii, wtedy dopiero Italia będzie nasza, a Rzym będzie mógł wypełnić dane mu od bogów przeznaczenie!

Większość senatorów zerwała się na nogi, klaszcząc i wznosząc okrzyki na cześć mówcy. Nawet ci, którzy optowali za rokowaniami z Pyrrusem, niechętnie przyłączyli się do owacji, widząc, że Klaudiusz zdecydowanie wygrał. Wojna z greckim najeźdźcą będzie toczyć się dalej.

Appiusz Klaudiusz jeszcze nie zszedł ze stopni kurii, wsparty na ramieniu niewolnika, gdy już zaczął układać następne przemówienie. Nie mogąc już pisać i czytać, nauczył się opracowywać tekst w myślach i potrafił snuć z pamięci długie wypowiedzi. Tym razem wziął się za temat stosunków z Kartaginą, dużym miastem portowym na wybrzeżu afrykańskim, założonym przez Fenicjan mniej więcej w tym samym czasie, gdy Romulus kładł fundament pod przyszłą potęgę Rzymu. Jego rozwój i wzrost znaczenia pod wieloma względami przypominały historię rzymską. Senat dopiero co podpisał z Kartagińczykami pakt o przyjaźni, a wtargnięcie Pyrrusa w ich wspólną sferę interesów uczyniło oba miasta sojusznikami – ale na jak długo? Klaudiusz był przekonany, że gdy tylko uporają się z Grekiem, musi dojść między nimi do rywalizacji o panowanie nad Sycylią, południową Italią i szlakami handlowymi zachodniego basenu Morza Śródziemnego.

– Oczywiście ci głupcy Fabiusze jak zwykle nie umieją dostrzec rzeczy oczywistych – mruknął pod nosem. – Wciąż myślą, że Rzym powinien sięgać na północ aż za Alpy, a wobec Kartaginy stosować politykę umiarkowaną. Ale nasze przeznaczenie leży na południu i na morzu. Starcie z Kartagińczykami jest nieuniknione!

Prowadzący go niewolnik milczał. Przywykł słyszeć, jak pan nie tylko rozmawia sam ze sobą, ale godzinami wiedzie skomplikowane dysputy, zmieniając nawet głos razem z punktem widzenia.

U zmierzchu życia, słaby i prawie niewidomy, mężczyzna mniejszego kalibru mógłby się poddać goryczy. Próby radykalnych reform, do jakich dążył, spełzły na niczym; kilka lat po jego kadencji cenzora urząd objął Kwintus Fabiusz i bezlitośnie unieważnił wszystkie populistyczne posunięcia Klaudiusza. Jakby tego nie było dosyć, Kwintusa wybierano jeszcze kilkakrotnie na konsula, a jego zwolennicy nadali mu przydomek Maximus. On, Appiusz Klaudiusz, przejdzie do historii jako „Ślepiec”, a o jego wrogu będzie się mówić „Największy”! Wiedział już, że prawdziwie ludowe rządy nigdy się w Rzymie nie zakorzenią – ale przynajmniej zostawi po sobie trwałe pomniki. Aqua Appia była cudem techniki, a

kamienna wstęga via Appia z każdym rokiem sięgała dalej i wiadomo było, że przetrwa wieki. Po tylu latach zwycięstw i porażek Appiusz bardziej niż kiedykolwiek przejmował się przyszłością Rzymu.

Z rozważań wyrwał go czyjś okrzyk.

– Senatorze! Czy mogę prosić o chwilę rozmowy?

Starzec zatrzymał się jak wryty. Był pewien, że zna mówiącego – ale przecież to niemożliwe! Ten głos, tak miły jego sercu i pamięci, należał do jego dawnego protegowanego, Kesona Fabiusza Dorso. Kesona nie było już jednak na świecie; zginął przed wieloma miesiącami w bitwie z Pyrrusem. Choć z biegiem lat ich drogi się rozeszły, Klaudiusz śledził jednak karierę młodego przyjaciela. Młodzieńczy zapał do inżynierii ustąpił z czasem talentowi żołnierskiemu; Keso jak typowy Fabiusz urodził się do wojaczki. Jego śmierć pograżyła Appiusza w żalu – a teraz ów głos uwolnił z zakamarków umysłu całą falę wspomnień.

Starzec ścisnął ramię niewolnika.

– Kto do mnie mówi? Co widzisz, sługo? Czy to człowiek czy cień?

– Zapewniam cię, senatorze, że jestem człowiekiem z krwi i kości – odezwał się nieznajomy. – Nazywam się Keso Fabiusz Dorso.

– Ach, musisz więc być synem mojego dawnego przyjaciela!

– Pamiętasz zatem mojego ojca?

– Oczywiście! Przyjmij moje kondolencje... wieść o jego śmierci wielce mnie zasmuciła.

– Ojciec zginął honorowo, w boju za Rzym. Walczyłem pod jego komendą i widziałem, jak pada. Po bitwie zająłem się ciałem.

– Możesz być z niego bardzo dumny.

– Jestem dumny. Był wielkim wojownikiem. Ludzie mówią, że w tej kampanii zabił więcej nieprzyjaciół niż ktokolwiek w legionie. Czerpał prawdziwą radość z zadawania śmierci najeźdźcom.

– Dla żądy krwi pole bitwy jest właściwym miejscem – zgodził się Klaudiusz. – Jego satysfakcja dobrze służyła chwale Rzymu i naszych bogów.

Keso sięgnął do wiszącego na szyi talizmanu – złotego fascinum, które zdjął z ciała ojca. Nie uchroniło wprawdzie właściciela od włóczni, ale było cennym rodzinnym dziedzictwem.

– Ile masz lat, Kesonie? – spytał senator.

– Trzydzieści dwa.

– A ile miał twój ojciec, gdy umarł?

– Skończył pięćdziesiąt.

– Jak tyle lat mogło minąć tak szybko? – Klaudiusz pokręcił głową. – Ale cóż to, młody człowieku? Słuch mnie chyba nie myli... Ty płaczesz?

– Nniee... Jestem bardzo zaszczycony, słysząc pochwałę ojca z ust człowieka tak szlachetnego i zasłużonego.

– Naprawdę? – Twarz Klaudiusza rozjaśniła się w promiennym uśmiechu.

Niewolnik obrzucił Kesona podejrzliwym spojrzeniem i szepnął mu do ucha:

– Panie! Toż to Fabiusz!

– Ano, Fabiusz. Ale jego ojciec był inny od nich wszystkich. Może syn jest do niego podobny? Zachowuje się z należyty szacunkiem.

– Senatorze, zapewniam, że mam wielkie poważanie dla twoich osiągnięć. Dlatego właśnie zwracam się dziś do ciebie w nadziei, że uczynisz mi ten zaszczyt i spełnisz moją prośbę.

– Być może, młodzieńcze... choć jestem raczej zajęty. Mów, o co chodzi.

– Ojciec często przytaczał twoje aforyzmy. Czasem miałem wrażenie, że co drugie zdanie zaczyna od słów: Jak mądrze powiedział Appiusz Klaudiusz... Czy mogę liczyć na to, że pomożesz mi w zebraniu tych sentencji? Wiele z nich znam na pamięć, ale nie chciałbym zmienić lub przestawić choćby jednego słowa, a poza tym wiele ich musiało pójść w niepamięć, a niektórych pewnie nikt nawet nie słyszał. Pomyślałem sobie, że gdybyś mi je podyktował, spisałoby się wszystkie i pogrupowało według tematyki. Można by się nawet pokusić o przekład na grekę...

– Znasz grecki?

– Na tyle dobrze, że mogłem służyć ojcu za tłumacza dokumentów przechwyconych od kurierów Pyrrusa.

– Syn Kesona nie tylko ma zacięcie literackie, ale też opanował język Sofoklesa i Platona! Zaprawdę, każde pokolenie jest lepsze od poprzedniego.

– O, nigdy chyba nie dorównam ojcu w roli pogromcy nieprzyjaciół Rzymu – odrzekł skromnie Keso.

– Chodź ze mną, porozmawiamy. Dzień jest ciepły, a mnie się przyda spacer. Pójdziemy na Kapitol, a ty opiszysz mi jego najnowsze ozdoby, sam ich już bowiem obejrzeć nie mogę, niestety.

Powolnym marszem wspięli się krętą drogą na szczyt wzgórza, gdzie w ostatnich latach miasto dawało upust upodobaniu do monumentalnych budowli publicznych. Naga skała, na której przed wiekami Romulus założył azyl dla wyrzutków, zamieniła się w dzielnicę majestatycznych świątyń i wspaniałych pomników z brązu.

– Na przykład ten nowy posąg Herkulesa... – mówił senator. – Czy rzeczywiście robi takie wrażenie, jak ludzie opowiadają? Dotykałem go, ale jest tak wielki, że mogłem tylko zbadać jego stopy.

Dla Kesona statua nie była nowa – stała tam od jego dzieciństwa – ale starcy pewnie inaczej mierzą czas, pomyślał.

– Hmm... Wprawdzie moja rodzina pochodzi od Herkulesa...

– Ach, żaden Fabiusz nie przepuści okazji, by nam, śmiertelnikom, o tym jak najczęściej przypominać!

– ...więc może tendencyjnie oceniam każdy jego wizerunek, a im większy, tym chętniej go sławię. Ale trzeba obiektywnie przyznać, że posąg odlany jest doskonale. Herkules przyodziany jest w skórę lwa nemejskiego, a w rękę dzierży maczugę. Minę ma iście srogą... Gdyby Galowie kiedykolwiek poważyli się tu wrócić, to chyba na sam jego widok czmychnęliby spod Kapitolu!

– A jak byś porównał go do tego wielkiego Jowisza przy świątyni?

– Och, Jowisz jest znacznie od Herkulesa wyższy, jak przystało na ojca i syna. Ludzie mówią, że widać go wyraźnie aż z góry Alba, o dziesięć mil stąd przy via Appia!

– Znasz historię jego powstania?

– Tak. Kiedy Spuriusz Karwiliusz rozgromił Samnitów, zebrał ich zbroje i hełmy i przetopił na posąg. Jego monumentalny rozmiar jest więc dosłownym obrazem wielkości naszego zwycięstwa nad odwiecznym wrogiem. Z pozostałego po odlaniu metalu konsul kazał wykonać własny wizerunek naturalnej wielkości, który ustawił u stóp boga.

– Tego nie musisz mi opisywać. Dokładnie pamiętam, jak brzydki jest Karwiliusz! A kwadryga na szczycie świątyni? Jak się prezentuje? Stara była zrobiona z terakoty, wiesz? To materiał wdzięczny w obróbce, ale dość delikatny. Od czasu do czasu trzeba było ją naprawiać, ale niektóre części były tak stare jak sama świątynia i prawdopodobnie stworzone ręką nie kogo innego, jak wielkiego Wulki. Teraz jednak pierwotną rzeźbę zastąpiła jej dokładna kopia z brązu.

– Pamiętam tę terakotową – przytaknął Keso. – Wierz mi, senatorze, że nowa robi o wiele większe wrażenie. Szczegóły twarzy Jowisza, rozszerzone nozdrza rumaków, ozdoby rydwanu... to wszystko aż zapiera dech!

– Ach, gdybym wciąż miał dawne oczy! Nową rzeźbę wykonali moi przyjaciele, Gnejusz i Kwintus Ogulniusze. Ciesz się, gdy młodsze pokolenie podejmuje sztandar populizmu. Kiedy obaj bracia służyli jako edyłowie kurulni, wytoczyli proces najgorszym lichwiarzom i doprowadzili do ich skazania. Za skonfiskowane dobra opłacili między innymi tę nową kwadrygę Jowisza, a także nowy pomnik Romulusa i Remusa na Palatynie, który stał się taką świętością dla prostego ludu.

– Wyobraź sobie, Appiuszu Klaudiuszu, że jeszcze go nie widziałem.

– Naprawdę? To tak jak ja, ale mnie usprawiedliwia ślepotą. Jakże twój kuzyn Kwintus musi nienawidzieć Ogulnuszów i ich polityki!

– Mojego czcigodnego kuzyna nazywamy teraz Maksymusem – powiedział Keso.

– Przypuszczam, że celowo zabronił całej rodzinie składać hołd ich wspaniałemu dziełu. Musimy więc tam niezwłocznie pójść, abyś je wreszcie zobaczył.

Zeszli z Kapitolu, ponownie przecięli Forum i Schodami Kakusa wspięli się na Palatyn. Niewolnik prawie nie był teraz Appiuszowi potrzebny, tak dobrze starzec znał tę drogę. U stóp figowca, nieopodal chaty Romulusa i Remusa, stała na piedestale rzeźba przedstawiająca bliźniaków. Trudno ją było nazwać monumentalną, ale wizerunek był przejmujący: pod

stojącą wilczycą dwa nagie niemowlęta siedziały z zadartymi głowami, sięgając ustami do sutków zwierzęcia.

– I jak ci się podoba, młodzieńcze?

– Jest niesamowita. Piękna i wzruszająca, a zarazem tchnie mocą.

– Jak myślisz, czy założyciel naszego miasta i jego nieszczęsny brat rzeczywiście zostali wykarmieni przez wilczycę?

– Tak mówi legenda.

– A ty nigdy legend nie kwestionujesz? Niektórzy są zdania, że wilczyca to tylko metafora albo zbyt dosłowna interpretacja przekazu ustnego. Tym samym słowem określa się w końcu także drapieżną odmianę kobiety... nierządnicę. Czy nie jest bardziej prawdopodobne, że bliźniaków wyniańczyła raczej taka kobieta, a nie dzikie zwierzę?

Klaudiusz nie mógł widzieć wyrazu twarzy rozmówcy, ale po nagłej ciszy się zorientował, że Keso jest zaszokowany. Roześmiał się jowialnie.

– Wybacz mi te obrazoburcze słowa! O takich rzeczach na pewno się nie mówi w statecznych domostwach Fabiuszów.

– Niektóre z twoich myśli są... są dla mnie nowością – przyznał Keso. – Ojciec opowiadał, że często krytykowałeś jego sposób myślenia, ale też byłeś dla niego inspiracją. Dziękuję, że pokazałeś mi wilczycę i bliźniaków.

– Stąd mamy niedaleko do mojego domu. – Klaudiusz znów się uśmiechnął. – Chciałbyś może zobaczyć moją bibliotekę? Powiększyła się znacznie od czasów, gdy usiłowałem twojego ojca nauczyć greki. Co miesiąc przybywają nowe papirusy. Sam ich oczywiście czytać nie mogę, ktoś musi to robić za mnie. A ty masz bardzo miły głos, Kesonie...

– Senatorze, byłoby to dla mnie zaszczytem.

Wkrótce potem wchodzili do westybulu willi Klaudiusza.

– Najpierw coś chyba przekąsimy – zaproponował gospodarz. – A potem możemy się zabrać do pracy nad tym zbiorem aforyzmów, o którym wspominałeś.

Keso kiwnął radośnie głową, ale po chwili zmarszczył brwi.

– Jedno z twoich powiedzeń ojciec uważał za szczególnie inspirujące. Coś o architekturze i losie...

– Każdy jest architektem własnego losu?

– Tak jest! Dla ojca była to życiowa dewiza.

– Jestem pewien, że nikt tak wiernie nie stosował się do niej jak mój przyjaciel Keso Fabiusz Dorso!

Cień Scypiona

216 r. p.n.e.

– Raz już rzuciliśmy tych przeklętych Kartagińczyków na kolana. Tak będzie i tym razem! – oświadczył Kwintus Fabiusz Maximus z miną tak surową, że nie powstydziłby się jej jego pradziadek, który jako pierwszy przybrał ten dumny przydomek.

W jednej dłoni trzymał kubek wina, drugą postukiwał po górnej wardze, co jeszcze bardziej zwracało uwagę patrzącego na dużą brodawkę – jedyny znak szczególny na przeciętnej poza tym twarzy, od którego przyjaciele żartobliwie ochrzcili go Werrukosusem.

Siedzący po przeciwnej stronie jadalni młody Keso ukradkiem zerknął na gospodarza – który budził w nim niemały lęk – i pomyślał, że wiele by dał, aby jego własne fizyczne niedoskonałości ograniczały się do jednej czy dwóch brzydkich narośli. Keso jedną nogę miał krótszą i dziwnie skrzywione przedramię, nie zawsze też mięśnie tej ręki chciały go słuchać. Chodził, lekko utykając, i nie był zdolny do jazdy konnej. To jeszcze nie byłoby najgorsze, ale na dobitkę cierpiał na epilepsję. Trzepotanie w głowie zjawiało się w najmniej odpowiednich momentach, a czasem pozbawiało go przytomności.

Pomimo tych ułomności matka zawsze zapewniała go, że jest pięknym chłopcem. Teraz, w wieku dwudziestu lat, Keso wiedział wystarczająco dużo, by móc spojrzeć krytycznie na swoje odbicie w lustrze i się przekonać, że nie były to matczyne pochlebstwa ani pobożne życzenia, ale po prostu prawda. Ze zwierciadła patrzyły nań spod grzywy lśniących włosów o barwie rozświetlonego słońcem miodu oczy o rzadkim odcieniu błękitu, osadzone w twarzy, która mogłaby być modelem dla greckich rzeźbiarzy. Cóż jednak komu po urodzie, jeśli ciało nie nadaje się do siodła, marszu czy walki, jak tego wymagają czasy? O wiele lepiej mieć silne, zdrowe członki i paskudnego pypcia wielkości ziarna grochu, jak wielki i potężny kuzyn Kwintus – który w tej właśnie chwili przyłapał go na gapieniu się i wbija w niego gniewne spojrzenie.

Keso spuścił wzrok i nerwowo poklepał czubkami palców złote fascinum na szyi, drogocenny rodzinny amulet, który włożył specjalnie na tę okazję.

Dwaj pozostali goście też byli w jego wieku. Jednym z nich był kuzyn Kesona i syn Maksymusa, również noszący imię Kwintus, a drugim przyjaciel ich obu, Publiusz Korneliusz Scypio. Atmosfera spotkania była poważna; nazajutrz z rana młody Kwintus i Scypio mieli wyruszyć na wojnę. Jakże Keso pragnął jechać z nimi!

Od poruszającej mowy Appiusza Klaudiusza Cekusa, nawołującego w senacie do niezłomnej walki z najeźdźcą Pyrrusem, upłynęło siedemdziesiąt lat. Ostateczny odwrót Greka z Italii był już tylko odległym wspomnieniem, ale żyli jeszcze starzy żołnierze, pamiętający większą wojnę, która nastąpiła potem. Jak przewidział Klaudiusz, gdy tylko wspólny wróg Rzymu i Kartaginy został pokonany, oba rywalizujące dotąd w handlu miasta obróciły oręż na siebie wzajem. Przez ponad dwadzieścia lat – na Sycylii i w Afryce, na morzu i lądzie – gorzała krwawa wojna. Zakończyła się zawarciem pokoju na warunkach dogodnych dla Rzymian, który przetrwał jedno pokolenie, teraz jednak przeciwnicy znów dobyli broni, a kartagiński wódz Hannibal przeniósł płomień wojny do samej Italii.

– Ruszając do boju, zawsze pamiętajcie o jednym – powiedział Maksymus, zwracając się do dwóch młodych żołnierzy, ale ostentacyjnie pomijając Kesona. – To nie Rzym naruszył pokój, ale ten szalony intrygant Hannibal, kiedy porwał się na naszych sprzymierzeńców w Hiszpanii. To człowiek bez wstydu, honoru i skrupułów. Przekleństwo na jego armię kundli z Libii, Numidii, Hiszpanii i Galii! Oby ich słonie się wściekły i wdeptały tę hołotę w ziemię!

– Na pohybel psubratom! – zakrzyknął buńczucznie Kwintus, unosząc puchar.

Był równie mało przystojny jak jego ojciec i robił równie groźne miny, na jego młodzieńczej twarzy wyglądające jak dąs.

Scypio przyłączył się do toastu. Jak Kesona, i jego bogowie obdarzyli uderzającą urodą, choć rysy miał bardziej ostre, a włosy ciemniejsze. Nosił je długie i zaczesane do tyłu; ludzie mówili, że wzorował się na Aleksandrze. Potężnie zbudowany, był mistrzem atletyki; jako uczeń szybko dorównał i przerósł swych nauczycieli; zdążył też już zyskać sławę na polu bitwy. Mężczyznom podobał się jego pewny krok i mocny uścisk dłoni, w kobietach budził tęsknotę – Publiusz Scypio robił wrażenie na każdym, z kim się spotykał.

Zamyślony Keso zbyt późno podniósł swój kielich; tylko Scypio mu odpowiedział, posyłając krótki uśmiech.

– To prawda, Maximusie, że wina leży po stronie Kartagińczyków – zwrócił się Scypio do gospodarza. Głos miał głęboki, ale miękki; w opinii wielu miał zadatki na dobrego oratora. – Chyba jednak się mylisz, nazywając Hannibala szaleńcem. Jest może obsesjonistą; wszyscy znamy tę opowieść, jak to jego ojciec, rozgoryczony upokorzeniem Kartaginy i ustępstwami, jakie na nich wymusiliśmy, kazał mu w dzieciństwie przysiąc wieczną nienawiść do wszystkiego, co rzymskie. Wygląda na to, że Hannibal wziął sobie tę przysięgę do serca. Nikt nie może go oskarżyć o sprzeniewierzenie się synowskim obowiązkom! Świadomie złamał pakt, atakując naszych hiszpańskich sojuszników, a potem, jak wieść niesie, przyśniła mu się przyszłość. Bóg posadził go na ogromnym wężu, a on jechał na nim przez świat, wywracając

drzewa i skały i niszcząc wszystko na swej drodze. W interpretacji Hannibala sen zwiastował mu, że jego przeznaczeniem jest zrównać całą Italię z ziemią.

– Tak powiedział swoim żołnierzom – odparł z ironicznym uśmiechem Kwintus. – Pewnie wymyślił go na poczekaniu, żeby im dodać ducha.

– Tak czy inaczej wyruszył z Hiszpanii południowym wybrzeżem Galii. Wszyscy mówili, że Alpy go zatrzymają. Nikomu przez myśl nie przeszło, że jego armia w komplecie ze słoniami może przebyć góry bez szwanku. On jednak znalazł dogodną przełęcz i ani się spostrzeżliśmy, a runął na nas jak grom z jasnego nieba! Przegrywaliśmy bitwę za bitwą. Byłem z ojcem w pierwszym starciu tej wojny, nad rzeką Ticinus, w której tak fatalnie nam poszło...

– Nie bądź przesadnie skromny, Publiusz – wtrącił Kwintus. – Uratowałeś ojcu życie, kiedy padł ranny. Wszyscy o tym wiemy.

– Każdy syn zrobiłby to samo na moim miejscu.

Scypio bagatelizował własne wyczyny, ale też nazbyt gładko prześliznął się po kwestii wielokrotnych rzymskich porażek. W druzgocącej kampanii italskiej Hannibal zyskał reputację wodza o niemal nadludzkiej pomysłowości i odporności. Okazał się mistrzem kamuflażu, dzięki przebraniom i perukom nieraz uchodząc skrytobójcom. Wylizał się ze strasznych ran, z powodu jednej z nich tracąc oko. Wymyślał i realizował błyskotliwe strategie. Jednej ciemnej nocy wpędził rzymską armię w popłoch – przywiązał płonące pochodnie do bydłęcych rogów i pędził wielkie stado wprost na obóz, co w oczach zaskoczonych we śnie legionistów wyglądało na atak niezliczonych hord nieprzyjaciela, następujących ze wszystkich stron. Choć jego zacięta nienawiść i pozorna niezwyciężoność budziły w Rzymianach strach i odrazę, zaczęto go też, chcąc nie chcąc, darzyć podziwem, a Scypio mówił o nim nawet z szacunkiem.

– Teraz jednooki Kakus i jego najemne psy wdarły się do samego serca Italii. – Kwintus niemal zazgrzytał zębami, wypowiadając to zdanie. – Grasują po naszych ziemiach bez przeszkód i kolejno wykańczają naszych sojuszników. Ale już niedługo, co, Scypionie?

– Pewnie, że tak. Jutro ruszamy, zapojujemy na Hannibala i to my go wykończymy raz na zawsze!

– Wiecie, co o tym sędzę – mruknął posępnie Maksymus.

Przed rokiem mianowano go dyktatorem i nadano specjalne uprawnienia. Podczas gdy jego koledzy w senacie gardłowali za kolejną walną bitwą z najeźdźcami, Fabiusz zaczął praktykować wojnę podjazdową, tropiąc krok w krok kartagińską armię Hannibala i nękając ją atakami z doskoku, unikał jednak bezpośredniego starcia. I wtedy, i obecnie optował za ostrożnością i cierpliwością w działaniu. Dowodził, że należy kontynuować walkę z Kartaginą na innych arenach – na morzu, w Hiszpanii i na Sycylii – natomiast w Italii nie próbować frontalnych ataków na szarżujące słonie i groźną numidyjską konnicę Hannibala. Trzeba spokojnie odczekać, twierdził, aż logistyczne problemy wyżywienia i znalezienia

zimowego leża dla pięćdziesięciu tysięcy wojska i dziesięciu tysięcy koni zrobią swoje. Proponowana przez niego taktyka została jednak wyśmiana i wzgardzona. Wrogowie nazwali go Kunktatorem, „Przeczekiwaczem”, i tak to Kwintus Fabiusz Maksymus stał się najbardziej niepopularnym człowiekiem w Rzymie. Bohaterem chwili było nowo wybrany konsul Gajusz Terencjusz Warro, populistyczny awanturnik, zdecydowany chwycić kartagińskiego byka za rogi. Wraz ze współrządzającym konsulem Lucjuszem Emiliuszem Paulusem miał nazajutrz poprowadzić największą siłę w historii Rzymu, ponad osiemdziesiąt tysięcy żołnierzy. Plan był prosty: zdławić przeciwnika przewagą liczebną. Pomimo ojcowskich obiekcji wobec tak rozumianej strategii młody Kwintus miał wziąć udział w kampanii w randze trybuna wojkowego, podobnie jak Scypio.

Keso patrzył na obu przyjaciół, boleśnie świadomy swych fizycznych ograniczeń. Miał szczęście, że jego ułomność nie zmanifestowała się wyraźnie przy narodzinach, inaczej mógłby zostać porzucony na pastwę losu, jak to było z jego dwoma starszymi braćmi, którzy przyszedli na świat z poważnymi deformacjami. Zrezygnowana matka nie powiła już potem żadnego potomka. Po śmierci ojca w bitwie nad Ticinusem Keso został *pater familias* swojej niewielkiej gałęzi rodu Fabiuszów, ale jego wolność i status nie przyniosły mu nic dobrego: niezdolny do odświeżenia w wojsku wymaganych dziesięciu lat, nigdy nie będzie mógł stanąć do współzawodnictwa w *cursus honorum*, na ścieżce zaszczytów jak nazywano sekwencję funkcji publicznych wiodących do senatu i najwyższych urzędów państwowych.

Keso spoglądał na Scypiona targany mieszanymi uczuciami. Jakże go podziwiał! Jak mu zazdrościł! Wierna przyjaźń, jaką go darzył Publiusz, pozwalała mu czuć się wyróżnionym, a mimo to za każdym razem, gdy mimo woli z nim się porównywał, miał dla siebie tylko pogardę. Scypio był wszystkim, czym Keso być nie mógł.

– Czy mam dodać i głuchotę do listy twoich ułomności, młody człowieku?

Keso drgnął, wyrwany z rozmyślań ostrym tonem gospodarza, i popatrzył na niego nieprzytomnie.

– Uciążliwy to gość, który każe się gospodarzowi powtarzać! – skarcił go Maksymus. – Poprosiłem cię o wzniesienie toastu. Podobno jesteś zręczny w mowie... jeśli nie w czymkolwiek innym. Chyba ci dwaj młodzi wojownicy zasługują na kilka słów zachęty od tych z nas, którzy przesiedzą wojnę w domu?

– Keso przez cały wieczór był dziwnie milczący – zauważył Scypio. Jego ciepły uśmiech i łagodny głos zdecydowanie kontrastowały z szorstkością Fabiusza. – To do niego niepodobne. Zazwyczaj jest tak dowcipny! Podejrzewam, że mojemu drogiemu przyjacielowi krążą dziś po głowie nader poważne myśli.

– Pomyślałem... – Keso urwał, by odchrząknąć. – Pomyślałem, jak wielką rację ma nasz mądry kuzyn Maksymus. Cokolwiek mówią inni, właściwą strategią w walce z Kartagińczykiem jest gra na przeczekanie. Niech się wykrwawi w boju z naszymi sojusznikami. Im więcej zagarnie ziem, tym więcej ma ich do obrony. Pozwólmy mu się

uwiązać i rozdrobnić siły na całą Italię. Zostawmy pola odłogiem i patrzmy, jak jego wojska ściska głód. Poczekajmy na zimowe burze. Niech przyniosą do ich obozów chłód i choroby. Jak nieraz mówiłeś, kuzynie, nowy konsul Warro jest w gorącej wodzie kąpanym głupcem. Nie zwykłeś się bawić w piękne słówka, prawda? Nawet wobec biednego kaleki jak ja. Ale... – Keso wziął głęboki oddech. – Ale jeśli już musi dojść do bitwy, i to szybko, Rzym nie mógłby pragnąć lepszych żołnierzy od tej dwójki! – Wzniósł wysoko kielich, lekkim skinieniem głowy kłaniając się kolejno obu przyjaciółom. – Gdyby wszyscy w armii Warrona i Paulusa byli tacy jak wy, to zaiste lepiej byłoby dla Hannibalowych słoni, gdyby już teraz podkuliły trąby i wyniosły się z Italii, póki mogą!

Dwaj młodzi wojownicy ze śmiechem unieśli puchary.

– Teraz mówisz jak mój Keso! – zakrzyknął Publiusz. – Zawsze umiesz mnie rozbawić!

Pławiąc się w czułym spojrzeniu druha, Keso zapomniał o uczuciu zazdrości i własnej nicości.

Niewolnicy wnieśli ostatnie danie: cebulę duszoną w wołowym rosole. Kwintus chciał wznieść pożegnalny toast, ale Maksymus go powstrzymał, dając znak służbie, by zabrała kielichy.

– Jutro mi podziękujecie, kiedy będziecie wyjeżdżać z Rzymu z trzeźwymi głowami na karku!

Goście wkrótce potem szli już do westybulu. Keso włókł się o parę kroków za gospodarzem, który objął Kwintusa za ramię i mówił mu coś do ucha głosem zniżonym, ale nie na tyle, by go nie było słyhać.

– Cieszę się, synu, że mogliśmy spędzić razem ten czas... choć jeśli mam być szczery, powinna to być uczta tylko dla wojowników. Nigdy bym nie zaprosił twojego kuzyna Kesona, gdyby Scypio się nie uparł. Doprawdy nie pojmuję, co on widzi w tym chłopaku!

Kwintus wzruszył ramionami.

– Scypio zawsze powtarza, że życie nie kończy się na wojnach i polityce. Mają z Kesonem wspólne zainteresowania, kochają książki, poezję...

– Może i tak, ale...

Uwagę Kesona nagle odwróciła czyjaś ręka, chwytająca go za ramię.

– Zdaje się, że za dużo dzisiaj wypiełeś, stary – rzekł Scypio. – Masz takie wypieki...

Młodzieniec szybkim ruchem sięgnął za tunikę i wyciągnął ciasno zwinięty kawałek papirusu, który wcisnął przyjacielowi w dłoń.

– Co to jest?

– Pożegnalny prezent. Nie, teraz go nie rozwijaj. Później przeczytasz.

– Cóż to takiego?

– Zamówilem u Enniusza wiersz. Wiem, że to twój ulubiony poeta.

– Specjalnie dla mnie napisany? Dlaczego w takim razie nie odczytałeś go przy kolacji? Wieczór byłby trochę mniej nudny.

Keso zaczerwienił się jeszcze bardziej. Nie był to wiersz, którym chciałby się podzielić z ciskającym oczyma grom za gromem Maksymusem.

– Enniusz jest żołnierzem jak ty – wyjaśnił. – Wiersz ma zagrzewać do boju. Jest naprawdę poruszający, zapewniam cię. Nikt tego nie umie lepiej niż on.

– Tak, będzie kiedyś sławniejszy od Homera, zapamiętaj moje słowa!

– Trochę to za pompatyczne, jak na mój gust. – Keso wzruszył ramionami. – Ale wiem, jak bardzo lubisz jego poezję. Przeczytaj go przed bitwą, pomoże ci zebrać odwagę. Albo po bitwie, gdy będziesz świętował zwycięstwo.

– Jeśli ją przeżyję.

Keso poczuł nagły chłód.

– Nie mów takich rzeczy, Scypionie.

– W najbliższych dniach, niezależnie od tego, jak się potoczą koleje wojny, wielu ludzi odda życie. Mogę się znaleźć wśród nich.

– Nie! Bogowie będą cię chronić!

– Dzięki za błogosławieństwo, Kesonie. – Publiusz się uśmiechnął znajomym, ciepłym uśmiechem. – I za wiersz też.

* * *

Scypio z Kwintusem ruszyli w jedną stronę, Keso w drugą. Noc była ciepła i jasna – akurat przypadała pełnia. Młodzieniec posepnie śledził wzrokiem swój cień – utykającą ciemną sylwetkę skaczącą po bruku i murach. Wrogie nastawienie Kunktatora i wypowiedź Publiusza o możliwości śmierci wprawiła go w żalony i niespokojny nastrój, wiedział jednak, gdzie może – nawet o tak późnej godzinie – odetchnąć swobodniej i się odprężyć.

Minąwszy Forum, znalazł się w znacznie uboższej części miasta. Wąskie i kręte uliczki Subury oferowały wszelkie możliwe rozrywki, zwłaszcza o tak późnej godzinie. W tę ostatnią noc przed wymarszem na wojnę tawerny, szulernie i domy płatnej miłości były pełne żołnierzy. Gdzieś w pobliżu Keso słyszał odgłosy bijatyki, z innej strony dobiegał chóralny, pijacki śpiew. Wszędzie unosił się odór kwaśnego wina, moczu i wymiocin. Na piętrze mijanego budynku z trzaskiem otworzyły się okiennice; uśmiechnięta prostytutka w kusej tunice spojrzała z góry na Kesona i niedwuznacznie zapraszającym gestem zaoferowała swoje usługi. Chłopak przyspieszył kroku, usilnie starając się patrzeć prosto przed siebie.

W końcu trafił na alejkę, której szukał. Wilgotny zaułek był tak wąski, że można było swobodnie dotknąć obu ścian. Ani jedna pochodnia nie rozświetlała mroku, księżyc też jakby bał się tam zapuszczać. Keso był u celu. Zastukał do prymitywnie zbitych drzwi. Otworzyło się małe okienko, spojrzało nań czyjeś oko. Powiedział swoje imię i wejście natychmiast stało otworem. Keso wszedł do zatłoczonej izby, gdzie panowała atmosfera zupełnie inna od patrycjuszowskiej sztywności w domu Maksymusa. W jednym rogu flecista grał żywą

melodię, ledwo go jednak było słycać w ogólnym gwarze. Goście w różnym wieku i z różnych sfer, niektórzy w bogatych szatach, inni w lichym przyodziewku, siedzieli ściśnięci na sofach, dywanach i gdzie popadło; było tam nawet kilka kobiet. Nie było widać dłoni bez kubka. Gospodarz – tęgi brodac w wieku około trzydziestu lat – lał w podstawiane naczynia wino z glinianego dzbanka z odłamanym uchem. Tytus Makejusz Plaut napotkał spojrzenie Kesona, uśmiechnął się szeroko i ruszył ku przybyłemu. Gwałtowny ruch sprawił, że trochę wina wylało się na jednego z gości, delikatnej budowy młodzieńca, który parsknął piskliwym śmiechem.

Plaut znalazł po drodze pusty kubek, wcisnął go Kesonowi w dłoń i napełnił trunkiem.

– Proszę, szefie! Lekarstwo na melancholię!

– Czemu myślisz, że takiego potrzebuję?

– Widzę po tych głębokich zmarszczkach na twoim szlachetnym czole. Ale zaraz je przepędzimy, szefie! – Plaut poklepał Kesona po plecach jak dobry wujek.

– Nie nazywaj mnie tak, zwariowany sybaryto.

– Ale przecież jesteś moim szefem! Jestem komediopisarzem, a trupa w sporej części należy do ciebie. To zaś czyni cię zwierzchnikiem moim i wszystkich tu obecnych. No, przynajmniej aktorów, nie ich wielbicieli.

Keso rozejrzał się po izbie. Wystawianie sztuk teatralnych wprawdzie sponsorowało państwo jako składnik rozmaitych świąt religijnych, ale aktorstwo nie było zajęciem dla szanujących się obywateli. Większość komediantów Plauta była niewolnikami lub wyzwolencami najróżniejszych narodowości. Ci, którzy grali role herosów lub dziewcząt, byli na ogół bardzo młodzi, a niektórzy wyróżniali się też niezwykłą urodą. Wszyscy jednak byli ekstrawertykami; nie znalazłby się tam nikt skromny albo nieśmiały.

Jeden z aktorów, śniady Hiszpan, zerwał się nagle z podłogi i zaczął żonglować kubkiem, miedzianą broszką i małą glinianą lampką. Reszta odstawiła wino i zaczęła klaskać w rytm granej na flecie melodii. Żongler był jeszcze na tyle trzeźwy, żeby jakoś utrzymać wirujące przedmioty w powietrzu, celowo się jednak zataczał i potykał, zagrażając, zdawałoby się, zdrowiu i życiu najbliższej siedzących. Całe towarzystwo ryczało ze śmiechu za każdym razem, kiedy o mało nie upuścił któregoś z fantów.

Obserwując tę burleskę, Keso odetchnął głęboko i poczuł, że się powoli rozluźnia. Czuł się tu o wiele lepiej niż u surowego, wyniosłego krewniaka. Jego wzrok padł na jednego z młodszych aktorów, nowicjusza o posągowych kształtach i długich jasnych włosach. Chłopak przypominał trochę Scypiona.

– Trudno ci mieć za złe, że pożerasz oczyma naszego Greka – szepnął mu do ucha Plaut.

– Dzisiaj musimy jednak zrobić wrażenie na kimś innym. Widzisz tego gościa w todze, która musiała kosztować majątek?

– Kto to jest?

– Sam Tyberiusz Grakchus, przyjacielu, potomek bardzo bogatego plebejskiego rodu. Niedawno został edylem kurulnym, do niego będzie więc należała organizacja dorocznych rzymskich igrzysk we wrześniu. Oprócz procesji religijnych i Ucztę Jowisza, wyścigów rydwanów i zawodów pięściarskich, przewidziany jest dzień komedii dla rozrywki ludu. To Grakchus będzie pokrywał rachunki, a że uwielbia teatr, jest osobiście zainteresowany doborem programu.

– Jak się domyślam, przedłożyłeś mu już scenariusz do zatwierdzenia?

– A jakże! Beczkę śmiechu, którą zatytułowałem *Żołnierz samochwał*. To oczywiście adaptacja greckiego oryginału, jak dziś nakazuje moda, ale myślę, że udało mi się nadać sztuce zdecydowanie rzymski charakter. Grakchus przyszedł oddać skrypt i powiedzieć, co o nim myśli.

– I co?

– Jest zachwycony! Powiedział, że tak się śmiał, że zleciał z sofy. Widzi w tytułowym bufonie i kobieciarzu karykaturę naszego bojowego konsula Warrona. Uznał, że sztuka jest zabawna i na czasie. I bardzo dobrze, zażądałem bowiem za jej wystawienie większej sumy, niż kiedykolwiek się ośmieliłem.

– Twoje dzieła są tego warte, Tytusie. Twoja trupa jest najlepsza w mieście, a żaden pisarz nie dorówna twoim dialogom. Czym Enniusz jest dla liryki, tym ty dla komedii.

Plaut przewrócił oczyma.

– Ha! I pomyśleć, że wychowałem się jako biedny wieśniak w Umbrii. Przybywszy do Rzymu, musiałem zarabiać na życie jako piekarz. Myślałem, że do końca życia nie wypłuczę mąki z włosów! Przez lata byłem tylko jednym z wielu kandydatów na aktorów ze śmiesznym pseudonimem... tak, Plautem nazwano mnie z powodu płaskostopia, ale mi to nie przeszkadzało, liczyłem bowiem, że takiego przydomka nikt łatwo nie zapomni. Koło Fortuny toczy się jednak i toczy... i oto z klauna Plauta wyrósł najlepszy komediopisarz w okolicy. Szefie, bo się zarumienie!

– Mówię ci, żebyś mnie tak nie nazywał!

Nagle rozległ się głośny trzask. Żongler upuścił wszystkie przedmioty naraz. Lampa rozbiła się na ścianie, kubek potoczył się po podłodze, a broszka uderzyła jednego z aktorów w czoło. Poszkodowany poderwał się na nogi i rzucił z pięściami na winowajcę. Flecista zmienił rytm i grał, okrutnie fałszując, jakby chciał jeszcze bardziej podjudzić przeciwników. Plaut podskoczył, by zażegnać bójkę.

Keso usłyszał za sobą chichot.

– Wiedziałem, że tak się skończy! Usunąłem się mu z drogi w samą porę. Mam przyjemność z Kesonem Fabiuszem Dorso, jeśli się nie mylę?

– To ja. – Keso odwrócił się do zagadującego. – A ty jesteś Tyberiusz Grakchus.

– To ja – powtórzył jak echo mężczyzna.

Trudno było określić jego wiek. Włosy zaczynały mu się srebrzyć na skroniach, ale na ogorzałej od słońca twarzy prawie nie było zmarszczek. Miał silnie zarysowaną szczękę i policzki, pewną chropawość rysów łagodził jednak szelmowski błysk w szarych oczach. Jeśli był pijany, dobrze to maskował. Trzymał się prosto i z godnością, ale nie była to wymuszona poza.

Potoczyła się rozmowa. Mówił przede wszystkim Grakchus; głównie o wyzwaniu, jakim dla niego było urządzenie igrzysk, ale niemało pochlebnych słów znajdował też dla sztuki Plauta. Miał zdumiewającą pamięć: recytował długie fragmenty dialogów z *Żołnierza samochwała* bez zająknienia, interpretując tekst tak znakomicie, a przy tym z kamienną twarzą, że Keso nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Nie padło ani słowo o Hannibalu lub o śmierci; takie ciężkie tematy byłyby nie na miejscu w domu Tytusa Plauta.

Po jakimś czasie Keso znów natrafił wzrokiem na owego młodego Greka, który tym razem to zauważył i odpowiedział uśmiechem.

– Nazywa się chyba Hilarion – zauważył Grakchus, idąc za spojrzeniem rozmówcy.

– Dziwne imię.

– Po grecku znaczy wesoły. Pasuje do niego. Dlaczego nie spróbujesz swoich szans u niego, zanim przejdzie przez ręce wszystkich pozostałych?

– Nie bardzo wiem, co masz na myśli – mruknął Keso.

Grakchus uśmiechnął się domyślnie.

– Zabaw z chłopcami nasi stateczni przodkowie nie aprobowali, choć podejrzewam, że niejeden z nich tego sportu próbował. Nawet dzisiaj twój szanowny kuzyn Maksymus miałby ci to za złe. Żyjemy jednak w nowej epoce, Kesonie. Zamieszkujemy świat znacznie większy niż nasi antenaci... i większy, niż potrafią dostrzec ludzie jego pokroju. Spartanie, słynni wojownicy, uważają, że nie ma nic bardziej męskiego od miłości dwóch żołnierzy. Spartańska oblubienica w noc poślubną musi ściąć włosy i nałożyć chłopięcą tunikę, żeby wzbudzić w mężu pożądanie. Ateńczycy umieścili związek starszego mężczyzny z młodszym w samym centrum swojej filozofii. Kartagińscy wodzowie kochają się z młodymi oficerami, zanim pozwolą im się żenić ze swymi córkami. Jowisz miał swojego Ganimeda, Herkules Hylasa, Achilles Patroklesa, Aleksander Hefajstiona... a może na odwrót, jako że to król był od partnera młodszy. Natura daje nam popędy, a te trzeba zaspokajać. Jeśli wpadł ci w oko przystojny i przystępny grecki niewolnik, dlaczego nie miałbyś pójść za tą zachcianką? Oczywiście jeśli zachowasz dominującą rolę, jak przystało na Rzymianina.

Keso skinął głową. Rozgrzana winem krew przyjemnie pulsowała mu w żyłach. Patrzył na długowłosego aktora i pozwolił sobie poczuć pożądanie, ale w głębi serca tęsknił za Scypionem.

* * *

Czerwiec tego roku był wyjątkowo upalny. Wszyscy narzekali na gorąco i duchotę, ludzie byli niespokojni i wybuchowi. Zamglone powietrze drżało nad rozpalonym brukiem i murami, potęgując atmosferę złowrogiego napięcia. Dzień w dzień Forum zapełniało się żądnymi nowin z wojny obywatelami, ale wieści nadchodziły zawsze te same: konsulowie i Hannibal tropili się wzajemnie po całej Italii, manewrując tak, by doprowadzić do konfrontacji w najdogodniejszym dla siebie miejscu. Walna bitwa była tylko kwestią czasu i mogło do niej dojść każdego dnia.

Keso kuśtykał przez Forum, wesoło pogwizdując po kolejnym mile spędzonym wieczorze u komediopisarza Plauta, kiedy do miasta dotarła straszliwa wiadomość. Nieopodal świątyni Westy przebiegła mu drogę zapłakana kobieta. Niedługo potem natknął się na dwóch starców w senatorskich togach. Z początku myślał, że się kłócą, jeden bowiem krzyczał coś do drugiego.

– Wszyscy? Jak to możliwe? Nie wierzę ci!

– To nie wierz. – Jego towarzysz wzruszył ramionami. – Oficjalnego potwierdzenia nie ma. I nie będzie, skoro nie przeżył żaden oficer, który mógłby wysłać posłańca do miasta!

– To nie może być prawda, po prostu nie może!

Keso poczuł, że włosy jeżą mu się na głowie.

– Co nie może być prawdą? – spytał.

Senatorowie spojrzeli na niego. Twarze mieli poszarzałe ze zgrozy.

– Katastrofa, jakiej jeszcze nie było! – odrzekł ten cichszy. – Konsulowie starli się z Hannibalem pod Kannami w Apulii. Nie wiadomo jak, ale nasza armia dostała się w okrążenie i została unicestwiona. Los Warrona jest nieznany, Paulus poległ, a z nim większość senatorów.

– Skąd macie te wiadomości?

– Grupy niedobitków zaczęły dziś docierać na Forum. Wszyscy mówią to samo. To była masakra! Największa armia, jaką kiedykolwiek zebrano... nie istnieje. Nie było gorszego dnia w naszej historii. Nawet najazd Galów nie może się równać z tą tragedią. Teraz nie ma już kto powstrzymać Hannibala przed marszem na Rzym i obróceniem go w perzynę. Nie mamy już armii!

– Nie może być aż tak źle! – wyszeptał Keso, kręcąc z niedowierzaniem głową.

* * *

Było źle. Hannibal zadał Rzymianom druzgocącą klęskę. Drugiego czerwca na polu bitwy padło ich ponad siedemdziesiąt tysięcy, a dziesięć tysięcy znalazło się w niewoli. Uciec zdołało zaledwie trzy i pół tysiąca żołnierzy, a wielu z nich było rannych. Tak ogromnych strat republika jeszcze nie poniosła.

W chaosie, jaki ogarnął miasto, jedynym człowiekiem zdolnym do objęcia kierownictwa okazał się Kwintus Fabiusz Maksymus. Mądrość jego wzgardzonej strategii była teraz oczywista dla wszystkich, a pewna ręka, jaką trzymał ster rządu, budziła podziw i szacunek. Senat, złożony teraz prawie wyłącznie z posiwiatych starców, przyznał mu władzę dyktatorską – jednogłośnie, bo nie miał kto oponować. Praktycznie wszyscy zdolni do walki senatorowie albo zginęli pod Kannami, albo walczyli z Kartagińczykami poza Italią. W mieście nie pozostał ani jeden mąż, który mógłby dorównać Maksymusowi doświadczeniem i pozycją. Z tych samych powodów, jako jeden z nielicznych ocalałych urzędników, edyl kurulny Tyberiusz Grakchus został powołany na stanowisko *magister equitum*, prawej ręki dyktatora.

Maksymus zaczął od rozesłania jeźdźców w poszukiwaniu rozproszonych niedobitków z pogromu, w nadziei że mogło ich ocaleć więcej. Kiedy patrole wróciły, prowadząc ze sobą tylko garstkę ocalałych, tragiczna prawda została potwierdzona.

Aby utworzyć nową armię, wódz zadekretował o wcieleniu do wojska nieletnich chłopców. Gdy ich liczba okazała się niewystarczająca, ogłosił pobór niewolników. Zgłosiło się ich osiem tysięcy; było to wydarzenie bez precedensu, nikt jednak nie umiał wymyślić lepszego rozwiązania.

Również Keso ochoczo odpowiedział na apel o zaciągnięcie się pod sztandary, ale wprost przed prowadzącym rekrutację oficerem, na oczach zgromadzonych na Polu Marsowym ochotników, uległ atakowi epilepsji. Odniesiono go do domu nieprzytomnego, a Maksymus zabronił mu po raz drugi stawać do poboru, nie chcąc się wstydzić za krewnego.

Wśród panującej atmosfery hysterii dwie westalki, Opimia i Flornia, zostały oskarżone o złamanie ślubów czystości. Wiadomość wzbudziła wielkie wzburzenie; przed domem westalek zgromadziła się rozjuszona tłuszcza, domagając się ukarania niegodziwych za ściągnięcie kłęski na miasto. Proces był szybki, a wynik do przewidzenia. Opimia popełniła samobójstwo, Flornia została pogrzebana żywcem za Bramą Kollińską, odprowadzona w kondukcie przez tysięczny tłum. Współwinnym występku mężczyzn publicznie zatłukł maczugą na śmierć sam pontifeks.

Każdego dnia potwierdzały się wiadomości o śmierci kolejnych tysięcy Rzymian. Zgromadzone na Forum kobiety reagowały niepohamowaną rozpaczą: darły na sobie ubrania, wrywały włosy, wiły się na ziemi, zawodząc i krzycząc. Żałoba ogarnęła wszystkich i nie było ulicy, na której dzień i noc nie słyszano by szlochania. Rzym stanął na krawędzi obłąkania. Maksymus w końcu uciekł się do obwieszczenia, że tak ekstremalne przejawy emocji są obrazą bogów, którzy zniecierpliwieni kakofonią powszechnego lamentu mogą się wynieść z miasta na dobre. Rozkazał, by wszystkie kobiety zamknięto w domach, i wprowadził nakaz milczenia. Ustalono, że okres żałoby po Kannach będzie ograniczony do trzydziestu dni, a potem wszystko ma wrócić do normalnego porządku.

* * *

– Przedstawienie musi się odbyć! – stwierdził Plaut, przekrzykując stukot młotków.

– To ty tak mówisz – mruknął Keso.

– Tak mówi twój kuzyn, a nasz dyktator Maksymus. To samo mówi nasz przyjaciel Tyberiusz Grakchus, który zapewnia mnie, że igrzyska rzymskie odbędą się zgodnie z planem. Jak wszyscy, uznałem, że w tak kryzysowym czasie dzień komedii zostanie odwołany. Komu dziś naprawdę chce się śmiać? Dyktator jednak jest zdania, że ścisłe trzymanie się normalnego kalendarza doda ludziom ducha. Należy tylko mieć nadzieję, że Hannibal nie stanie *ante portas* akurat wtedy, gdy zaczniemy grać pierwszą scenę *Żołnierza samochwała*.

Pracujący na rusztowaniu cieśla upuścił młotek. Narzędzie świsnęło Plautowi koło ucha, o włos mijając głowę.

– Ty kretynie! – wrzasnął komediopisarz. – Tyle mam zysku z tego, że zatrudniam wolnych robotników, zamiast jak człowiek nająć sobie niewolników. No, może stać pod rusztowaniem to nie jest najlepszy pomysł...

Znajdowali się na terenie Circus Maximus, gdzie na północnym wirażu wznoszono tymczasową scenę dla potrzeb igrzysk. Półkoliste trybuny miały posłużyć za widownię, a dla najbiedniejszych widzów przewidziano miejsca stojące na torze. Sama scena – wyniesiona drewniana platforma z udekorowaną tylną ścianą jako tłem – miała stanąć tuż przed przedstawieniem i jeszcze szybciej zostać rozebrana, aby następnego dnia nie przeszkadzała w zawodach atletów. Odpowiednio do tego dostosowana była jakość wykonania, nie wyższa niż absolutnie było trzeba. Ozdobne kolumny i reliefy tła były iluzją stworzoną z drewna, gipsu, tkaniny i farby, tandetną, gdy spojrzeć z bliska, ale przekonującą na odległość.

– Czy to prawda, że Grecy mają stałe teatry wzniesione z kamienia? – spytał Keso.

– A jakże! Czasem są wkomponowane w zbocze wzgórza, czasem wolno stojące. Akustyka jest w nich tak doskonała, że aktorzy nie muszą specjalnie podnosić głosu, aby było ich słychać nawet w ostatnich rzędach. No, ale Grecy to lud dekadentów i sybarytów, dbających tylko o zmysłowe przyjemności... w przeciwieństwie do nas, Rzymian. My lubimy, owszem, pośmiać się na dobrej komedii, ale tylko przy okazji religijnych świąt, a scena i dekoracje muszą zniknąć, zanim jeszcze okazja przeminie. Idiotyzm, ale przynajmniej ci durni cieśle mają zatrudnienie. Coś dzisiaj jesteś zamyślony, szefie?

– Niepokoję się o przyjaciół. Nie mam jeszcze żadnych wieści o kuzynie Kwintusie... i o Scypionie.

– Brak wieści to dobra wieść.

– Może masz rację.

– A najlepsza nowina to ta, że nie słychać, żeby Hannibal maszerował na Rzym. Ciekawe, co go powstrzymuje?

– Maksymus ostatnio powiedział w przemówieniu, że to ręka samego Jowisza powściągnęła kartagińskiego potwora.

– Czy teraz Enniusz pisuje mu przemówienia? – Plaut skrzywił się z niesmakiem. – Ciemny lud uwielbia takie religijne kliki. Dodają im ducha, podobnie jak igrzyska urządzone w przeddzień możliwego końca świata. – Pokręcił głową i dodał: – To naprawdę dziwne. Aż się zastanawiam, czy aby nasz kartagiński potwór nie przypomina trochę swoich słoni... wielki i groźny, ale koniec końców raczej przygłupi.

– Tyberiusz Grakchus uważa, że Hannibal woli najpierw przeciągnąć na swoją stronę naszych wrogów i zamknąć w oblężeniu sojuszników, i w ten sposób zabezpieczyć całą Italię, podczas gdy my możemy się tylko bezsilnie temu przyglądać.

– Po cóż miałyby się męczyć z mozolnym piłowaniem jej kończyn, skoro mógłby jednym cięciem pozbawić Italię głowy? Dni jednak płyną, a Hannibal nie nadchodzi.

– Wiadomości o Scypionie też nie... – szepnął Keso.

– Patrz, oto i nasz Grakchus... coś nietęgą ma minę.

Tyberiusz był rzeczywiście wyjątkowo ponury. Bez zwykłego błysku w oczach wyglądał wreszcie tak surowo, jak przystało na przybocznego dyktatora w najczarniejszej godzinie Rzymu.

– Złe wieści? – spytał Plaut.

– I złe, i jeszcze gorsze – odrzekł Grakchus.

– No, to zacznijmy od tych złych – westchnął komediopisarz.

– Po bardzo długiej i nieprzyjemnej dyskusji uznaliśmy z dyktatorem, że *Żołnierz samochwał* nie jest odpowiednią sztuką na igrzyska.

– Co takiego? Chyba nie mówisz poważnie? – Plaut był wzburzony. – Kasujecie więc dzień komedii?

– Nie, inne sztuki będą wystawione zgodnie z planem.

– Odrzucacie *Żołnierza*? Ja mam z miastem kontrakt, Grakchusie, przez ciebie podpisany!

– Pomyśl logicznie! Twoja komedia wyśmiewa postać wojaka bufona i rozpustnika.

Kogo to rozśmieszysz po tym, co zaszło pod Kannami?

– Sam mówiłeś, że to dobra komedia, a w bohaterze dopatrzyłeś się Warrona.

– Który ledwo uszedł z życiem! Ludzie są wciąż wstrząśnięci jego klęską, przerażeni potwornym błędem strategii i otepiali od tłumionej furii. Nikt nie zechce patrzeć, jak z niego się wyśmiewasz, gdy tam zginęło siedemdziesiąt tysięcy ludzi.

Plaut potarł czoło u nasady nosa.

– Ach, głowa mi pęka od tego nieustannego stukotu... Tak, rozumiem twój punkt widzenia. Co zatem robimy?

– Zastąpisz *Żołnierza* inną sztuką.

– W ostatniej chwili? To niemożliwe!

– Coś musisz mieć w zanadrzu. Pomyśl!

– No... jest jeden scenariusz, nad którym pracowałem. Ani w połowie nie tak śmieszny, ale cóż... Zatyłowałem go *Cistellaria*. To taka milutka farsa o dziewczynie porzuconej w niemowlęctwie, która w końcu odnajduje rodziców. W tych okolicznościach ma przynajmniej tę zaletę, że niczyich uczuć nie urazi... Ale musiałbym nad nią popracować. Kilka scen trzeba napisać zupełnie od nowa.

– W takim razie zabieraj się do roboty – powiedział Grakchus. – Dasz sobie radę, Tytusie. Najlepsze pomysły przychodzą ci do głowy, kiedy piszesz pod przymusem.

– Nie, dostaję niestrawności, kiedy piszę pod przymusem. Ale jeśli trzeba... Jakoś z tego wybrnę. Jeśli Hilarion zagra dziewczynę...

Grakchus zaszepczał jeszcze bardziej. Plaut zesztywniał, widząc tę zmianę.

– Złe wieści i jeszcze gorsze, powiedziałaś. O co chodzi, Tyberiuszu?

Grakchus spuścił oczy. Jaka wiadomość mogła skłonić drugiego w mieście dostojnika do odwrócenia wzroku? Keso wstrzymał oddech.

– Pamiętacie sprawę westalek oskarżonych o nieczystość?

– Jak mógłbym zapomnieć? – Plaut wzruszył ramionami. – Przez kilka dni o niczym innym w mieście nie mówiono. Ludzie mogli na chwilę zapomnieć o Hannibalu i mieli wreszcie kogo obwiniać za katastrofę pod Kannami. Jak gdyby utrata dziewictwa przez dwie dziewczyny mogła być przyczyną tylu ofiar! Jeżeli w ogóle westalki były winne. Jak ludzie chcieli się na kimś wyładować, to powinni raczej pogrzebać żywcem Warrona, a nie te biedne kapłanki!

– Zapominasz o moim stanowisku, Tytusie! – obruszył się Grakchus. – Jako *magister equitum* reprezentuję państwową religię tak samo jak pontifeks. Kwestionowanie wyroku na westalki jest równoznaczne z bluźnierstwem!

– Skoro tak mówisz... Ale dla mnie, prostego chłopaka z Umbrii, rzymska religia wciąż jest trochę niezrozumiała.

– Ja nie żartuję. Ludzie nie są w nastroju do antypaństwowych i antyreligijnych wypowiedzi. Lepiej uważaj, co mówisz.

– Przyjęte do wiadomości! – Komedio pisarz cmoknął niecierpliwie. – Ale kontynuuj, proszę.

– Flornia została stosownie ukarana, ale Opimia wykpiła się od wyroku, popełniając samobójstwo. Augurowie stwierdzili, że bogowie są z tego niezadowoleni i trzeba coś zrobić, by ich przebłagać. Pontifeks zarządził, by szukać porady w księgach Sybilli.

Grakchus zacytował wybrane wersety:

Gdy jagnię ofiarne przed czasem swym zginie,
Czworo zwierząt zabij, nim miesiąc upłynie.
Parę weź z północy, zza gór gołoborza,
Drugą zaś dobieraj zza wschodniego morza.

Plaut skrzywił się, jakby połknął cytrynę.

– Ech, gdybyż tak moi sponsorzy byli równie tolerancyjni wobec moich rymów, jak król Tarkwiniusz wobec Sybilli! I jak też zinterpretowano tę poetycką perełkę?

– Kapłani długo debatowali, aż w końcu uradzili, że aby oczyścić miasto z grzechu westalek, trzeba pogrzebać żywcem dwóch Galów i dwóch Greków.

– Składanie ludzi w ofierze to zwyczaj kartagiński! – Plaut pokręcił głową. – Między innymi dlatego uważamy ich za barbarzyńców.

– Nie mnie i nie tobie kwestionować proroctwa sybillińskie – upomniał go Grakchus, po czym dodał z westchnieniem: – Kapłani przyszli do mnie po listę imion.

– Do ciebie?

– Edylowie kurulni utrzymują rejestr wszystkich cudzoziemców zamieszkałych w Rzymie, a także spis niewolników z podaniem narodowości. Oni zażądali wglądu, więc je udostępniłem. Czym się kierowali w wyborze konkretnych osób, nie wiem, ale dziś rano zostałem oficjalnie poinformowany o ich decyzji.

Plaut prychnął wzgardliwie.

– Ciekawe. Ja sam mam paru Galów, a ilu Greków! – Nagle urwał i poblady spytał: – Na Herkulesa, to dlatego tu jesteś, tak? Odwołanie przedstawienia to była tylko zła wiadomość. A ta gorsza?

– Jednym z wyznaczonych Greków jest Hilarion.

Keso, który dotąd słuchał rozmowy w milczeniu, głośno wciągnął powietrze.

– Dostaniesz, oczywiście, stosowną rekompensatę – pospieszył z zapewnieniem Grakchus, nie patrząc pisarzowi w oczy.

– Rekompensatę?

– Za poświęcenie twojej własności.

– Ale dlaczego akurat Hilarion?

– Mówiłem ci, że nie wiem. Kapłani wybierali ofiary, a pontifeks zatwierdził listę.

– To znaczy, że nie mam już w tej sprawie nic do powiedzenia?

– Nic. Do twojego domu posłano liktorów, zanim ja tu dotarłem. Sądzę, że już aresztowali Hilariona. Robotnicy zaczęli kopać grób na Forum Boarium jeszcze wczoraj wieczorem. Pogrzeb ma się odbyć dziś po południu.

– Jak mówi etruskie przysłowie, co masz zrobić jutro, zrób dzisiaj – powiedział Plaut z goryczą i złapał się za głowę. – Ach, ten piekielny łomot!

Grakchus spiesznie się pożegnał i odszedł. Keso miał wrażenie, że lada chwila upadnie. W głowie czuł znajome wibracje, jakie czasem poprzedzały ataki epileptyczne. Obraz rozmył mu się w oczach, łzy wezbrały pod powiekami. Zadrżał, ale powstrzymał się od szlochu.

– Szaleństwo! – szepnął Plaut. – Kiedy wydarzy się tragedia jak ta pod Kannami, czy ludzie reagują współczuciem, rozsądnym myśleniem, dobrocią? Nie! Muszą rzucić winę na

kogoś z zewnątrz i ukarać niewinnego. A jeśli zwrócisz im uwagę, nazwą cię zdrajcą i bluźniercą! Bogom dziękuję, że mam naczynie, do którego mogę przelewać moje najmroczniejsze uczucia... moje komedie! Inaczej oszalałbym jak cała reszta.

– Twoje komedie nie są mroczne – odparł machinalnie Keso. – Rozśmieszają ludzi.

– Komedia jest mroczniejsza od tragedii, Kesonie. Nie ma śmiechu, który by się narodził inaczej jak z czyjegoś cierpienia. Zazwyczaj mojego. A teraz... biedny Hilarion!

Stali bez ruchu przez długi czas, nie zważając na hałas. Nagle Keso zamrugał i zmarszczył brwi, patrząc na otwartą przestrzeń toru wyścigowego.

– Czy mnie wzrok nie myli? To... chyba mój kuzyn Kwintus!

Od drugiego końca Circus Maximus kroczył zamasyżycie młody oficer z insygniami trybuna wojskowego. Keso rzucił się mu na spotkanie.

Kwintus wyglądał źle: blady, zmęczony, w poszarpanej odzieży. Na czole widniała świeża blizna, ale poza tym wydawał się cały, jeśli nie zupełnie zdrowy.

– Żyjesz! – wykrzyknął Keso.

– Z woli bogów.

– Nie mieliśmy żadnych wieści. Twój ojciec o mało się nie rozchorował z niepokoju.

– Mimo to jakoś udaje mu się utrzymać miasto w porządku, jak widzę. Słyszałem, że został dyktatorem?

– Nie widziałeś się z nim jeszcze?

– Dopiero co się zjawiłem.

– Jakie przynosisz nowiny? – spytał Keso, z góry bojąc się odpowiedzi.

– Nowiny?

– No, o Scypionie.

Kwintus się uśmiechnął.

– A jak myślisz? Znowu udowodnił, jak jest odważny, nie gorzej niż nad Ticinusem. Jeśli tylko jednego Rzymianina spod Kannów mógłbym nazwać bohaterem, to na pewno wybrałbym jego.

– Opowiadaj!

– Te psy nas otoczyły i zaczęła się jedna wielka rzeź. Tylko nielicznym z nas udało się przedrzeć na zewnątrz i ująć z życiem. W wirze bitwy zostaliśmy rozdzieleni. Byliśmy poranieni, oszołomieni, w każdej chwili spodziewaliśmy się schwytania. Kilka dni minęło, zanim zaczęliśmy się odnajdywać, cały czas chowając się przed najemnikami Hannibala. Kiedy w końcu odskoczyliśmy na bezpieczną odległość i mogliśmy złapać oddech, zaczęła się dysputa: dokąd mamy iść i kto ma nas poprowadzić? Przyznaję, że byłem wśród tych, którzy opowiadali się za opuszczeniem Italii. Byliśmy przekonani, że Hannibal, nie zwlekając, pociągnie na Rzym, spali miasto i weźmie wszystkich do niewoli. W Hiszpanii jest rzymska armia, a na morzu walczą nasze okręty. Dołączmy do nich, argumentowałem, i zdajmy się na Fortunę, bo Rzym jest już skończony i nie mamy dokąd wracać. Scypio jednak

nie chciał o tym nawet słyszeć. Choć mój ojciec i wuj są w Hiszpanii, powiada, ani myślę tam jechać, dopóki Rzym potrzebuje obrony. Wyśmiał nasze lamenty i zawstydził nas dokumentnie, a potem wymógł, abyśmy przysięgli na Jowisza, że nigdy nie porzucimy naszego miasta i raczej padniemy w boju, niż je poddamy Hannibalowi. Kiedy już wypowiedzieliśmy słowa przysięgi, jakby ktoś zdjął z nas ogromny ciężar! Wiedzieliśmy, że teraz możemy wszystko wytrzymać, bo Scypio przywrócił nam honor. A potem czekaliśmy i obserwowaliśmy. Mijały dni, a Hannibal nie ruszał się z miejsca. Byliśmy najpierw zdumieni, a później rozradowani. Ruszyliśmy ku Rzymowi, idąc bocznymi drogami, żeby nie wpaść w oko kartagińskim podjazdom. Droga była mozolna. Część ludzi odniosła poważne rany, a Scypio nie chciał ich zostawić. W końcu dotarliśmy do *via Appia*, a ja ruszyłem przodem. Przybywam pierwszy.

– A co ze Scypionem?

– Powinien się zjawić jutro lub pojutrze.

– A więc żyje?

– Żyje, żyje.

– Jesteś pewien?

– Absolutnie.

Keso nie wytrzymał dłużej i przepojony radością rozszlochał się bezwstydnie, choć wcześniej nie zapłakał nad Hilarionem, o którego losie w jednej chwili teraz zapomniał. Także Kwintusowi, który patrzył na straszne rzeczy pod Kannami i przeżył rozpacz możliwości utraty ojczyzny, łzy ciekły strużkami po policzkach. Wzięli się pod rękę i razem poszli poszukać Maksymusa.

* * *

W przeddzień igrzysk, zwanych *ludi Romani*, Rzymem wstrząsnął kolejny kryzys. Do bram miasta przybył emisariusz Hannibala, nobil Kartalo. W imieniu wodza zaoferował zwolnienie wielu rzymskich jeńców w zamian za wysoki okup. Wraz z nim przyjechało kilku ich przedstawicieli, aby zaapelować do współobywateli o przyjęcie propozycji, ponieważ w rzymskiej tradycji leży odwracanie się plecami do tych, którzy poddali się nieprzyjacielowi. Pomimo zakazu na Forum zebrał się też nieprzebrany tłum kobiet, zdecydowanych walczyć o uwolnienie swych mężów, ojców i synów.

Senat obradował nad tą kwestią za zamkniętymi drzwiami. Wysłannicy jeńców bronili swego wyboru. Pozostali na polu bitwy tak długo, aż otoczył ich wał trupów, a potem ostatnim zrywem udało im się wyrwać z okrążenia i schronić za szaniami rzymskiego obozu. Nazajutrz rano, w obliczu przeważających sił wroga, wybrali niewolę zamiast pewnej śmierci. To prawda, że ani nie zginęli z honorem, ani nie okazali się dość sprytni, by uciec. Czy jednak

nie lepiej zapłacić za powrót prawdziwych rzymskich żołnierzy, niż zbroić niewolników do obrony miasta?

Przeciwnicy okupu odpowiadali na to, że kto się poddaje, zamiast walczyć do końca, jest tchórzem zasługującym na niewolę, a nie na miano wojownika, a poza tym każda suma wypłacona z miejskiego skarbu tylko wzbogaci Hannibala i umożliwi mu zatrudnienie nowych najemników.

Ostatecznie zadecydowano, że okup nie zostanie wypłacony, a jeńcy zostawieni własnemu losowi. Większość z nich miała trafić do Kartaginy jako niewolnicy, a ich rodziny nigdy już ich nie ujrzały. Miasto ogarnęła nowa fala rozpacz i wzburzenia, aż Maksymus musiał wysłać liktorów, aby przywrócili porządek.

W takiej to atmosferze nadszedł dzień rozpoczęcia tradycyjnych igrzysk. Inwokacja do Jowisza na Kapitolu tchnęła desperacją. Procesja spod świątyni do Circus Maximus szła w przygnębieniu, a nieobecność wielu senatorów i urzędników, którzy w normalnych czasach paradowaliby z dumą na jej czele, rzucała się w oczy każdemu. Uczta Jowisza niewiele przewyższała skąpe dzienne racje, jakie na czas kryzysu kazał wydzielać dyktator.

Trupa Plauta odegrała *Cistellaria*. Aktorzy nie mieli dość czasu na próby, a straszny los Hilariona podkopał ich morale. Przedstawienie wypadło fatalnie i na pociechę autor miał tylko to, że widownia była jeszcze bardziej posepną niż wykonawcy. Nikt nie zwrócił uwagi na opóźnione wejścia, przegapione sygnały inspicjenta i przekreścone kwestie. Nikt nie gwizdał, nikt się też nie zaśmiał.

Zawody atletów były równie bezbarwne. Wielu najlepszych biegaczy i pięściarzy poległo pod Kannami, a wyspecjalizowani niewolnicy osiągający najlepsze wyniki w wyścigach rydwanów zostali powołani do wojska. I uczestnicy, i widzowie markowali tylko udział, spełniając patriotyczny obowiązek – doroczne igrzyska były tradycją datującą się jeszcze na czasy królów. Masakra armii, skandal z westalkami i rozdzierająca serca odmowa wykupienia jeńców odebrały świętu cały sens i charakter. Rzym pogrążył się w odrętwieniu z żałoby i niepokoju. Przyszłość miasta nigdy jeszcze nie wydawała się tak niepewna.

212 r. p.n.e.

Cztery lata później wojna z Kartaginą wciąż trwała i nie było widać jej końca. Hannibal nie zdecydował się zaatakować Rzymu. Ten dziwny fakt stał się częścią legendy miasta, kolejnym elementem jego mistyki: w chwili największego osłabienia, kiedy praktycznie nie mogłoby się obronić, oszczędzone mu zostało oblężenie, które musiałyby się zakończyć jego ostatecznym zniszczeniem. Jak i dlaczego Rzym przetrwał? Swoją zasługę miał na pewno Kwintus Fabiusz Maksymus, który w krytycznym momencie twardą ręką ujął ster rządów, a

także Publiusz Korneliusz Scypio, którego męstwo natchnęło młode pokolenie; większość Rzymian z kapłanami na czele wierzyła jednak, że to sam Jowisz osłonił ich przed nienawiścią Hannibala, dając im czas na zebranie sił.

Hannibal ze swą grabieżczą armią wciąż grasował w Italii. Jego przejrzysta strategia – izolacja Rzymu i osłabienie jego dominacji przez skaptowanie sojuszników siłą lub perswazją – odniosła tylko połowiczny sukces. Od tragicznej bitwy Rzymianie konsekwentnie unikali bezpośredniej konfrontacji, za to bezlitośnie uderzali na miasta, które ich zdradziły. Przegrupowując siły, zbierając środki i odbudowując morale, raz jeszcze wykazali się wyjątkową odpornością i elastycznością.

Tymczasem teatr wojny poszerzył się o nowe obszary. Walki toczyły się jak przedtem w Hiszpanii i na Sycylii, a teraz zagrożenie pojawiło się na wschodzie. Filip Macedoński, następca Aleksandra w jego ojczyźnie, sprzymierzył się z Kartaginą. Aby stworzyć przeciwwagę dla nowego nieprzyjaciela, rzymscy posłowie ruszyli do Grecji i Azji na poszukiwanie nowych sojuszników. W miarę jak wojna między dwoma potężnymi miastami powoli obejmowała cały basen śródziemnomorski, od Słupów Heraklesa po Hellespont, punkt ciężkości rzymskiej polityki zagranicznej przesunął się coraz bardziej na zewnątrz. Wizjonerzy wśród senatorów snuli śmiałe sny o imperium sięgającym daleko poza granice Italii. Rzym coraz bardziej przypominał legendarnego feniksa, który ginął w płomieniach tylko po to, by się odrodzić z popiołów silniejszy niż kiedykolwiek.

* * *

Bieg wydarzeń przyniósł też nieoczekiwanie coś dobrego Kesonowi. Z powodu jego ułomności i braku widoków na karierę polityczną rodzice wyzbyli się nadziei na znalezienie dla niego odpowiedniej żony. Po hekatombie kanneńskiej w mieście zabrakło jednak młodych kawalerów i tylko dzięki temu matka zdołała w końcu dopiąć swego.

Sestia, dziewczyna z szanowanej patrycjuszowskiej rodziny, nie była piękna. Mówiono, że ma męskie rysy, ale Kesonowi wydała się miła. I ona nie sądziła, że kiedyś znajdzie męża, była więc wdzięczna Fortunie za ten niespodziewanie osiągnięty status matrony. Satysfakcjonowało ją prowadzenie domu i nie wymagała od Kesona więcej zainteresowania niż on od niej. Nigdy nie pytała go o interesy i wydatki, o nagłe wyjścia i powroty o dziwnych porach, woń egzotycznych perfum, która często przesycała jego ubrania. Jej proste potrzeby i brak ciekawości bardzo mu pasowały.

Od samego początku oboje się zgodzili, że zasadniczym celem ich związku jest spłodzenie potomka. Kochali się regularnie, choć bez szczególnego entuzjazmu. Ich pracowite starania nie pozostały bez nagrody: w rok po ślubie Sestia powiła córkę.

Kiedy Keso się przekonał, że mała Fabia urodziła się bez fizycznych wad, poczuł niezmierną ulgę. Bał się, że dziecko może być potworkiem jak jego nieszczęśni bracia, albo w

najlepszym razie ułomne i niezgrabne jak on sam. Dziewczynka była jednak zupełnie zdrowa. Złożywszy dziękczynienie bogom, Keso przysiągł wtedy sobie, że nigdy więcej nie zostanie ojcem.

Poprzestać na córce? Jakież to mało rzymskie! Rodzina i teściowie usilnie namawiali Kesona, by spróbowali z Sestią postarać się o syna, on jednak nie chciał kusić losu, a że i do rozkoszy małżeńskiego łoża specjalnie go nie ciągnęło, postawił sprawę jasno: po Fabii – teraz już trzyletniej – nie będzie innych dzieci.

Sestia wniosła do małżeństwa niewielkie, ale przydatne wiano, dzięki któremu Keso mógł wykupić udziały pozostałych współników i został wyłącznym właścicielem trupy teatralnej Plauta. Nie liczył, że się na tym wzbogaci, a już na pewno nie zyska szacunku krewnych i innych patrycjuszy, ale spełniał się w roli impresaria i aktywnie kierował swoim zespołem. Wspólnie z Plautem dobierał grecki materiał do adaptacji, targował się z urzędnikami o honoraria i budżet na przedstawienia, a szczególnie lubił przesłuchiwać młodych niewolników, których podsuwał pisarz jako potencjalnych nowych aktorów.

Czwarta rocznica bitwy pod Kannami nadeszła i minęła, przynosząc gorzkie wspomnienia klęski, ale też poczucie odnowy i nadzieję. Niewymowna rozpacz tamtych dni wydawała się teraz odległa i nierealna jak zły sen. Kiedy sierpień przechodził we wrzesień, Keso coraz niecierpliwiej wyglądał nadejścia igrzysk – jego drogi przyjaciel Scypio został bowiem wybrany na edyla kurulnego i do niego należało ich urządzenie.

Według prawa Publiusz Korneliusz Scypio był za młody, by kandydować na urząd publiczny. W dniu wyborów grupa rozentuzjasmowanych zwolenników porwała go jednak na ramiona i poniosła przez miasto, pieśnią, skandowanymi okrzykami i ogłuszającymi wiwatami domagając się jego mianowania. Na ulicach dołączali do niej nowi ludzie, a kiedy procesja dotarła pod urny, była już tak liczna i niesforna, że urzędnicy z komisji wyborczej... nie mieli wyboru. Po szybkiej naradzie zezwolili na bezprecedensową nominację dwudziestoczteroletniego młodzieńca na edyla.

Scypio zaprzeczał później – choć z uśmiechem i mrugnięciem – jakoby miał coś wspólnego ze zorganizowaniem „spontanicznego” zrywu ludności zakończonego objęciem przezeń urzędu. „Jeżeli cały Rzym chce mnie zrobić edylem”, powiedział, „to chyba muszę być w odpowiednim wieku”. Czy sytuacja go zaskoczyła, nie wiadomo, ale na pewno czuł się przygotowany do nowych obowiązków. Tuż po inauguracji jego kadencji ogłosił szczegółowy plan urządzenia najwystawniejszych igrzysk, jakie Rzym kiedykolwiek widział:

– Miastu potrzeba święta i radości, ucieczki od długich lat ciągłego zmartwienia i niepokoju!

Paru malkontentów narzekało, że złamano ordynację wyborczą, która tyle wieków dobrze służyła Rzymowi, tylko po to, by nagrodzić zarozumiałego młokosa, i że jego nieprzekonujące odpieranie zarzutów autoreklamy świadczy o jego fałszu i przebiegłości. I co z tego? – pomyślał Keso. O którym polityku nie można powiedzieć tego samego? A jeżeli

ktokolwiek zasługuje na to, by nagiąć na jego korzyść parę zasad i przepisów, to chyba właśnie Scypio, młody bohater walk nad Ticinusem i pod Kannami. Keso podziwiał upór w dążeniu do celu i ambicję przyjaciela, a jego nadzwyczajna popularność ani trochę go nie dziwiła. Nie widział nikogo godniejszego miłości każdego Rzymianina.

Nikogo też nie zdziwiło, że do programu teatralnego Scypio zamówił komedię u zespołu Kesona. Po konsultacji z Plautem szef zaproponował wystawienie *Żołnierza samochwała*. Było to śmiałe zagranie. Po Kannach Grakchus odwołał sztukę w obawie, że karykatura próżnego i lubieżnego wojaka może zostać odebrana jako niesmaczne drwiny z pobitych wodzów rzymskich. Teraz jednak, z kilkoma nowymi dowcipami i sugestywnymi kostiumami – „Czy przepaska na oku nie będzie zbyt oczywistą aluzją?” – w tytułowym bohaterze można będzie się doszukać parodii najbardziej aroganckiego z wojowników: Hannibala. Do tej pory strach Rzymian przed Kartagińczykiem był zbyt wielki, by czynić go przedmiotem satyry, ale przez lata, jakie upłynęły od Kannów, okazał się wodzem niezdecydowanym i coraz częściej omylnym. Rzym wciąż go nienawidził; czy był gotów się z niego śmiać?

Kiedy Scypio zaszedł do domu przyjaciela po kopię tekstu, Keso się spodziewał, że zabierze zwój do siebie i przestuduje go w wolnym czasie. Scypio jednak od razu zabrał się do czytania. Gospodarz zostawił go samego w gabinecie, a sam przez chwilę nerwowo spacerował po ogrodzie. Potem usłyszał jego śmiech. Przez następną godzinę Scypio chichotał jak najęty, aż w końcu ukazał się w drzwiach, w jednej ręce ściskając zwinięty papirus, drugą ocierając łzę z oka. Błysnął szelmowskim uśmiechem i przez chwilę wyglądał jak beztroski chłopak.

– Prześmieszne! Urocze! Istna uczta dla ducha! Kochankowie połączeni, samochwał dostaje nauczkę... solidne baty prosto na scenie! „Wszystkich takich smagać w rzędzie, a rozpuście koniec będzie”... Święte słowa! To idealna sztuka na tę okazję. Sam nie wiedziałem, jak bardzo było mi to potrzebne! Zdrowy śmiech przyda się każdemu w Rzymie. Ludzie będą zachwyceni, a i mnie pokochają za taki prezent! – Postukał zwojem w pierś przyjaciela. – Sprytny z ciebie gość, Kesonie Fabiuszu Dorso.

– Nie mnie chwal, lecz Plauta.

– Jego też. Ale gdybyś ty nie zapewniał finansów, autor nie miałby sceny, a wtedy wszystkie te zręczne rymy byłyby tylko jak szept na wietrze. Nie sprzedawaj się za tanio, Kesonie. Potrafisz dostrzec talent jak dobry wódz odwagę żołnierza. Warto być twoim znajomym.

Przeczytana komedia wprawiła Scypiona w tak wesoły nastrój, że spontanicznie potargał Kesonowi czuprynę i klepnął papirusem w pośladki. Keso aż znieruchomiał, ale zaraz zaczął się śmiać wraz z nim. Śmiał się z siebie i z absurdów życia, śmiał się z pyszałkowatego żołnierza samochwała, aż go boki rozboleły i łzy pociekły z oczu. Tak, zdrowy śmiech przyda się każdemu w Rzymie.

* * *

Tegoroczne *ludi Romani* okazały się widowiskiem na skalę, jakiej Rzym jeszcze nie widział. Otwierająca igrzyska ceremonia religijna na Kapitolu przesycona była uniesieniem i optymizmem; ludzie intonowali prastare formułki z uśmiechem na ustach, dedykując rozpoczynający się dwutygodniowy maraton uroczystości, zabaw i zawodów ojcu bogów, Jowiszowi. Jakże odmienna była procesja do Circus Maximus od tej sprzed czterech lat! Zamiast ponurego powłóczenia nogami – radosny marsz tanecznym niemal krokiem; zamiast szarzyzny i przygnębienia – jaskrawe szaty jeźdźców i woźniców, pysznie prężone mięśnie bokserów w skąpych przepaskach biodrowych i tancerze wywijający oszczepami przy wtórze fletów, lir i bębnow. Przebrani za satyrów mimowie co rusz wpadali w szpaler gapiów, szczypiąc pośladki piskliwie chichoczących dziewcząt i kobiet. Dym z niesionych na tyczkach kadzielnic w kształcie głów gryfów wypełniał powietrze słodkawym aromatem, który jednak przed samym Circus Maximus musiał ustąpić pola wszechobecnej woni skwierczącego na ulicznych straganach mięsa, świeżo wyjętego z pieców chleba, marynowanych ryb i solonych oliwek. Żaden edyl kurulny nie nakarmił dotąd Rzymian tak dobrze i obficie. Jadła wszędzie było tyle, że do kramów nie musiały się tworzyć długie kolejki, jak to z reguły bywało, a każdy mógł się częstować tyle razy, ile chciał i zdołał. Uczta Jowisza trwała do wieczora i przeciągnęła się jeszcze na następny dzień. Przez te dwa dni każdy obywatel mógł się poczuć bogaczem – najeść się do syta smakołyków, jakich na co dzień, a czasem i w ogóle nie oglądał, i spędzać długie godziny na rozrywkach i leniuchowaniu, pewny przy tym Jowiszowego błogosławieństwa.

W samym środku tej powszechnej biesiady młody i urodziwy chłopiec o silnym głosie – jeden z aspirujących do zawodu aktora uczniów Plauta – stanął na beczce i zaczął reklamowy popis.

– Obywatele! Przestańcie na godzinkę opychać się jak wieprze i chodźcie obejrzyć *Żołnierza samochwała!* To nowa komedia Plauta... tak jest, tego platusowatego pisarczyny z Umbrii, który tak bezlitośnie was rozśmiesza, że aż popuszczacie w tuniki! Chodźcie popatrzeć na samego żołnierza-pyszałka Pyrgopoliniksa, jak się dobiera do swej kochanicy, przecudnej Filokomazji!

Stojący najbliżej zaczęli rechotać już choćby z językowych łamańców, jakie młody aktor wyczyniał, wymawiając skomplikowane greckie imiona.

– Przybywajcie, spragnieni dobrej rozrywki i kunsztownych rymów, pocieszcie Pleuzyklesa, zakochanego młodzieńca ze złamanym sercem, i wraz z nim ratujcie jego ukochaną z łapsk lubieżnika! Wydrwijcie złego starucha Peryplektomenusa... – Chłopak uniósł brwi i położył palec na ustach. – I pod żadnym pozorem nie mówcie mu o tajemnym przejściu z jego willi do domu wojaka, bo byście zepsuli całą intrygę! Przyjrzyjcie się dobrze

chytrym niewolnikom Palestrionowi, Skeledrusowi i Lurkionowi... Ci zawsze wiedzą więcej, niż się przyznają!

Aktor zeskoczył z beczki, dobył zza pazuchy flet i grając skoczną melodię, poprowadził roześmianych już teraz na całego widzów na tor Circus Maximus.

Keso stał pod sceną nieopodal zapadni – Plaut wymyślił kilka podobnych sprytnych urządzeń na potrzeby scenariusza – i spoglądał przez dziurkę w ścianie na wypełniające się trybuny. Zauważył, że Scypio zjawił się w towarzystwie gromadki kolegów i przyjaciół jako jeden z pierwszych, zajmując miejsce w sektorze dla dygnitarzy. Dzień był ciepły i niebo czyste, nie groził nawet przelotny deszczyk. Uczta wprawiła widzów w błogi nastrój i teraz gotowi byli na rozrywkę. Oby tylko obzarci po brzegi nie pozasypiali pod ciepłym słońcem, pomyślał.

To jednak byłoby niemożliwe. Ktokolwiek próbowałby urządzić sobie choćby krótką sjęstę, natychmiast zostałby wyrwany z drzemki przez kolejną salwę śmiechu. Aktorzy przechodzili samych siebie. Podczas prób Keso nigdy nie widział, by z takim wigorem atakowali swoje kwestie – tak mobilizująco wpływała na nich żywiołowa reakcja widowni. Tego dnia ujrzał najdobitniejszy, żywy dowód twierdzenia, jakim kiedyś autor podzielił się z nim przy winie: „Wiesz, kiedy komedia wznosi się na szczyty doskonałości? Wtedy, gdy w równej mierze współpracują ze sobą autor, wykonawcy i widzowie, tworząc harmonijną całość, radującą niebo muzyką ludzkiego śmiechu. Kiedy ludzie się śmieją, wraz z nimi śmieją się bogowie... i na krótką chwilę nasz żaloszny świat staje się nie tylko znośny, ale i piękny”.

Aplauz na koniec przedstawienia był ogłuszający. Ludzie pod niebiosa wychwalali aktorów, zwłaszcza odtwórcę roli tytułowej. Plaut kilkakrotnie wychodził na scenę z ukłonami, ale najbardziej zaskoczony, choć i uszczęśliwiony był Publiusz Scypio, którego towarzysze porwali na ramiona i ponieśli w triumfalnej paradzie przed rozentuzjasmowaną i wdzięczną widownią.

Keso patrzył na to wszystko ze swej kryjówki pod sceną. Bardzo pragnął być teraz ze Scypionem, ale w tym ścisku nawet zbliżyć się do niego było niepodobna. Spostrzegł jednak w pewnej chwili, że jego przyjaciel wydaje jakieś polecenie niewolnikowi, który kiwnął głową i zaczął się zwinnie przeciskać przez tłum w jego stronę, a po chwili stał już obok niego i lekko zdyszany wyrecytował:

– Mój pan, Publiusz Korneliusz Scypio, pozdrawia cię i śle wyrazy żalu, że choć chciałby ci osobiście, panie, pogratulować, to jednak obowiązki dnia wzywają go gdzie indziej. Jednakże za trzy dni, kiedy igrzyska się skończą, będzie zaszczycony, jeśli zechcesz spożyć z nim kolację.

– Oczywiście, że przyjdę... to jest, przyjdziemy – poprawił się spieszenie Keso. – Plaut będzie uradowany.

Niewolnik się uśmiechnął i pokręcił głową.

– Mój pan prosi, abyś przybył sam, panie. Zapowiedział, że pisarza ugości kiedy indziej, ale zaraz po świętach pragnie tylko odpocząć w spokoju w towarzystwie starego przyjaciela.

Żadna siła na ziemi nie zdołałaby Kesona powstrzymać przed spełnieniem życzenia Scypiona.

* * *

– Ależ to były szalone dni! Szkoda, że mój ojciec nie mógł tego widzieć – rzekł Scypio i zakrećwiwszy kielichem, wpatrzył się w wirujące rubinowe wino.

Keso zauważył, że jego przyjaciel bardzo niewiele wypił tego wieczoru. Być może dostatecznej stymulacji dostarczał mu sukces igrzysk.

– Twój ojciec jest tam, gdzie Rzym go najbardziej potrzebuje. Na czele legionów w Hiszpanii, razem ze swym bratem. Miałeś od nich jakieś wieści?

– Ostatni list odebrałem prawie dwa miesiące temu, a kilka dni później odezwał się stryj Gnejusz. Od tamtej pory zupełna cisza.

Keso wzruszył ramionami.

– Listy czasem się po drodze zawieruszą. Obydwaj są na pewno bardzo zajęci, aż się dziwię, że w ogóle znajdują czas na pisanie. Hiszpanię ludzie nazywają gniazdem zmij, czyż nie? Stamtąd wyruszył na nas Hannibal. Wszyscy są zgodni, że nie ma dziś ważniejszej kampanii.

– Ani bardziej zajadłych walk. Trwa to już całe lata, a wciąż nie udaje się wyprzeć stamtąd Kartagińczyków. Ojciec utrzymuje, że jeśli ktokolwiek może nas bardziej nienawidzić niż Hannibal, to tylko jego brat Hazdrubal, który dowodzi ich siłami w Hiszpanii.

Keso skinął głową, nie bardzo wiedząc, co mówić dalej. Miałby ochotę na drugi kielich wina, ale nie wypadało pić więcej od gospodarza. Scypio zdawał się traktować swój ledwie ruszony puchar jak czerwone lustro, na którym może skupić uwagę.

– W ostatnim liście ojciec narzekał na tchórzostwo miejscowych – rzekł po chwili milczenia Publiusz. – Jego iberyjscy sprzymierzeńcy z dnia na dzień opuścili rzymski obóz. Tłumaczyli się plemiennym zjazdem na drugim końcu kraju, ale było oczywiste, że po prostu wieją, bo wystraszyli się wieści o armii Suessonów, nadciągającej z Galii w sukurs nieprzyjacielowi. Pisał, że i tak już się czuje przytłoczony przewagą Kartagińczyków i Numidyjczyków. Jak dobrą jazdę mają te afrykańskie łotry, przekonaliśmy się na własnej skórze pod Kannami! Oni się chyba rodzą w siodle. W Hiszpanii dowodzi nią śmiały, młody książę Masynissa. To niemal chłopiec, ale wyjątkowo pewny siebie. Ojciec bardziej się przejmuje nim niż samym Hazdrubalem.

– Może to ten Masynissa był pierwowzorem naszego żołnierza samochwała? – zaryzykował żart Keso; odetchnął, gdy przyjaciel się roześmiał.

– Ale świetna była ta sztuka! Trzeba przyznać, że twój zespół spisał się doskonale, Kesonie. Byłem z nich naprawdę dumny. Odsiedziałem swoje na wszystkich pozostałych komediach, ale żadna mnie tak nie ubawiła jak wasza.

– Cała zasługa po stronie Plauta, ale w jego imieniu rad przyjmuję pochwałę. Zdrowie Plauta! – Keso wznosił puchar i zadowolony spostrzegł, że Scypio wychyliła swoje wino do dna.

Efekt był widoczny prawie natychmiast – być może dlatego, że wstrzemięzliwy zazwyczaj młody urzędnik był bardziej podatny na działanie trunku niż zaprawiony w boju biesiadnik, taki jak Keso.

– Taak, świetna sztuka... – powtórzył sennie Publiusz. – Ale i zawody atletów były równie dobre. Pasjonujące były wyścigi rydwanów! Piękne walki pięścicarzy, wyrównana stawka w biegach, oszczepnicy też się popisali... najbardziej mi się jednak podobały pokazy zapasów w stylu greckim, choć zawodnicy nie byli zupełnie nadzy jak w Grecji. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Może ty też byś wolał większą zgodność z oryginałem, co, Kesonie?

Keso zająknął się, nie mogąc znaleźć słów, ale Scypio wcale nie oczekiwał słownej szermierki. Wystarczało mu w zupełności samo mówienie o igrzyskach, tak był jeszcze nimi podekscytowany.

– A jakie wrażenie zrobiła na tobie Uczta Jowisza? – spytał.

– Och, ogromne! Nie pamiętam drugiej tak wystawnej. Rozdawanie wszystkim porcji oliwy było doskonałym pomysłem, a jadłospis z drugiego dnia był jeszcze lepszy niż pierwszego.

– Ha! Ślinka ciekła, co? Pieczona wieprzowina i drób, pikantne cebulki z rożna i groszek z garum. Och, jak ja uwielbiam garum! Oczywiście to naprawdę dobre, nie za słodkie i nie za słone, a już na pewno nie tę tanią breję, jaką sprzedają w Suburze. Musi być odpowiednio przefermentowane i tak ostre, że o mało głowy nie rozsądzi. Założę się, że większość ludzi w życiu nie próbowała tak dobrego garum, jakim ja ich poczęstowałem. Będą je długo wspominać, a mnie przy okazji też.

– I na ciebie głosować?

– A jak! – Scypio zachichotał po chłopięcemu i odgarnął do tyłu gęste kasztanowe włosy.

– Ehm... – Keso aż musiał odchrząknąć, żeby pokonać nagły ucisk w gardle. – Te igrzyska musiały cię kosztować fortunę!

– Żebyś wiedział! Większość pieniędzy dostałem od ojca, ale i tak nie starczyło. Nawet sobie nie wyobrażasz, ile to wydatków! Czuję się, jakbym prowadził kampanię wojenną. Logistyka, dostawy, transport... Cóż, przyszło mi się dość poważnie zapożyczyć.

– Ach, Scypionie! Teraz czuję się winny, że zażądaliśmy zbyt wysokiego honorarium.

– Nonsens. Każdy polityk wpada w długi, żeby móc sfinansować rozrywkę dla wyborców. Od tego mamy lichwiarzy, nie? Wiesz co, chyba się jeszcze napiję tego świetnego wina. W końcu wliczone jest w koszt igrzysk!

Scypio sam nalał im obu, nie oglądając się na niewolnika.

– To za naszą przyjaźń! – zakrzyknął.

– Za przyjaźń – wyszeptał Keso i obaj wychylili kielichy niemal do dna.

Oczy Publiusza błyszczały w świetle lamp.

– Cenię ją sobie bardzo, Kesonie – powiedział. – Jesteś tak inny od większości ludzi, z którymi teraz przestaję. Wszyscy są tak niepohamowanie ambitni, wiecznie prą naprzód, zajęci wyłącznie polityką i walką między sobą. Ich życie ma tylko jeden wymiar: *cursus honorum*, poza którym nie istnieje i nie liczy się nic. Małżeństwo jest tylko środkiem do osiągnięcia celu, podobnie jak tak zwana przyjaźń. Nie inaczej jest z wykształceniem. Pilnie kują na pamięć po kilka ustępów cudzego tekstu, żeby móc od czasu do czasu błysnąć erudycją, nie umieją jednak docenić pięknej prozy i wielkich idei, Enniusza nie odróżniają od Homera. Nawet religia znaczy dla nich tylko tyle, ile może im pomóc w karierze. Ech... – westchnął smętnie. – Taki już pewnie jest ten nasz świat, ale ty i ja, Kesonie, wiemy, że życie to nie tylko gonitwa za bogactwem i zaszczytami. Jest w nas jakaś iskra, jedyna w swoim rodzaju i odmienna od wszystkiego, święty płomień, który trzeba hołubić i chronić, jak westalki strzegą ognia Westy. Czasem o tym zapominam w ferworze codzienności. Nieraz ci zazdrościłem, że tak stoisz na uboczu tej ścieżki zaszczytów.

Kesonowi udało się wydobyć z siebie urywany śmiech.

– Chyba sobie ze mnie żartujesz, Scypionie.

Wpatrzony w przyjaciela sycił oczy jego urodą, boleśnie świadomy jego osiągnięć i sukcesów, adoracji, jaka zewsząd go otaczała, i nawet nie mógł sobie wyobrazić, aby Scypio zazdrościł komukolwiek, a cóż dopiero jemu.

Publiusz nagle spowaźniał. Ujął dłoń Kesona i patrząc mu prosto w oczy, powiedział:

– Nie, nie żartuję. Twoja przyjaźń jest inna od wszystkich i wiele dla mnie znaczy... Ty wiele dla mnie znaczysz.

Keso zerknął na dłoń nakrywającą jego dłoń. Gdyby się ośmielił poruszyć palcem wskazującym, otarłby się o palec Scypiona – w niedwuznacznie intymnym geście.

– To chyba wino mówi, nie ty – szepnął.

– Może. Ale jak mówi przysłowie, *in vino veritas*. Czy ty nie masz podobnych uczuć wobec mnie?

Krew zaczęła mocniej pulsować w żyłach Kesona. W głowie mu się kręciło, w ustach nagle zaschło. Wino, daj mi siłę, bym mógł powiedzieć prawdę, pomyślał. Czy jednak się na to odważy? Nie bał się, że przyjaciel go wyśmiejie lub skarci albo w jakikolwiek sposób poniży, ale byłby zdruzgotany, gdyby ujrzał choć najdrobniejszy i przelotny grymas litości

lub niesmaku na jego twarzy. Otworzył usta, by coś odpowiedzieć, ale spostrzegł, że Scypio nie patrzy na niego, tylko gdzieś ponad jego głową. Do komnaty wszedł niewolnik.

– O co chodzi, Dafnisie?

– Przybył posłaniec, panie. Mówi, że to pilna wiadomość.

Scypio prychnął wzgardliwie.

– Pewnie jeden z przedsiębiorców zaangażowanych przy igrzyskach nie może się doczekać wypłaty.

– Nie, panie. To centurion z listem od twego stryja z Hiszpanii.

Publiusz cofnął dłoń z ręki Kesona. Wyprostował plecy i wziął głęboki oddech. Wino jakby z niego w jednej chwili wyparowało – wyglądał, jakby nie wziął do ust ani kropli.

– Wprowadź go.

Centurion miał posępną minę. Bez słowa wyciągnął rękę z małą tabliczką woskową, jakich powszechnie używano do zapisywania krótkich informacji. Scypio patrzył na nią bez ruchu, po czym pokręcił głową.

– Nie, centurionie, przeczytaj mi to na głos.

Żołnierz drgnął.

– Jesteś pewien, edylu?

– Czytaj!

Posłaniec rozwiązał sznurek i otworzył złożoną tabliczkę. Wpatrywał się przez długą chwilę w drobne, równe literki, aż wreszcie odchrząknął i zaczął:

– Do mego bratanka Publiusza. Ślę ci tragiczną wiadomość. Twój ojciec, a mój ukochany brat... – Żołnierz urwał, ale zacisnął zęby i czytał dalej. – Mój ukochany brat nie żyje. Wyruszywszy naprzeciw Suessonów, zanim się połączyli z Kartagińczykami i Numidyjczykami, niespodziewanie natknął się kolejno na wszystkich trzech wrogów. Dostał się w okrążenie. W wirze bitwy nie oszczędzał się – bił się jak lew, zagrzewał swoich ludzi, był zawsze tam, gdzie bój był najcieńszy – aż w końcu włócznia przebiła mu...

Scypio krzyknął i przycisnął pięść do ust, ale po chwili dał znak centurionowi, by czytał dalej.

– ...przebiła mu bok. Spadł z konia. W Rzymianach na ten widok upadły serca i wojsko rzuciło się do ucieczki, ale nie zdołali się przedrzeć przez zwarty krąg numidyjskiej jazdy. Z życiem uszli tylko ci, którym udało się dotrzeć do zmroku, kiedy ciemność położyła kres walce i pozwoliła im się wymknąć nieprzyjacielowi. Publiuszu, dzielę twoją rozpacz, ale więcej teraz napisać nie mogę. Bohaterska śmierć twego ojca tym bardziej rozzuchwaliła Hazdrubala i Masynisę. Cisną nas coraz mocniej, a nasi hiszpańscy sojusznicy kolejno nas opuszczają. Jowiszu, bądź mi tarczą! Marsie, kieruj moim mieczem! Żegnaj, bratanku. Twój stryj Gnejusz.

Skończywszy czytać, centurion ponownie podał tabliczkę Scypionowi, który ją wziął, ale nie mógł się zmusić do spojrzenia na wyryte w wosku litery. Odłożył ją na bok i spytał głosem wyzutym z emocji:

– Czy to wszystko, co mój stryj przesyła? Nie dołączył żadnej pamiątki po moim ojcu? Choćby fragmentu zbroi albo sygnetu?

– Twój stryj...

– Mów!

– Twój stryj także nie żyje, edylu. Z powodu sztormów musiałem długo czekać na statek płynący z Hiszpanii do Italii. Zanim wsiadłem na pokład, dogonił mnie inny posłaniec, przynosząc wieści o drugiej bitwie, w której poległ Gnejusz Korneliusz Scypio. Nieprzyjaciel obległ go w obozie i wdarł się przez szańce. Gnejusz zamknął się w wieży strażniczej, a oni ją podpaliłi. Wódz ze swymi ludźmi wyszedł i zginął w nierównej walce. Nie znam innych szczegółów, ale jestem pewien, że była to zaszczytna i bohaterska śmierć.

Publiusz siedział wpatrzony w filujący płomień lampy. Kiedy przemówił, słowa zabrzmiały głucho, jakby dochodziły zza ściany.

– Mój ojciec i stryj... Obaj nie żyją?

– Tak jest, edylu.

– To niemożliwe!

– Zapewniam cię...

– Kto w takim razie dowodzi legionami w Hiszpanii?

– Nie wiem, edylu.

Zapadło milczenie. Centurion, nawykły do czekania na rozkazy, stał nieruchomo. Keso ledwo śmiał podnieść wzrok na przyjaciela, bojąc się go ujrzyć w rozpacz. Scypio siedział jednak tak prosto i spokojnie, jakby był posągiem Aleksandra. Bez ruchu, bez wyrazu patrzył w płomień i się nie odzywał. W końcu drgnął i potoczył po izbie zdziwionym spojrzeniem, jakby zapomniał, kim jest i gdzie się znajduje. Po chwili wstał i zdecydowanym krokiem wyszedł z komnaty. Keso wybiegł za nim.

– Dokąd idziesz, Scypionie?

– Tam, dokąd mnie bóg wzywa – odrzekł Publiusz bez dalszych wyjaśnień.

W westybulu zatrzymał się, by popatrzeć na woskowe popiersia przodków, a potem tak jak stał, w lekkiej tunice i cienkich sandałach, wyszedł z domu.

Szedł pewnie ciemnymi, pustymi ulicami. Minąwszy Forum, skierował się ku ścieżce wiodącej na Kapitol. Keso trzymał się za nim w pewnej odległości. Czytał w sztukach i wierszach o ludziach nawiedzonych przez bogów, ale nigdy się z nikim takim nie zetknął. Czy to się stało ze Scypionem? Jego reakcja na tragiczną wiadomość wydawała się tak dziwna, a ruchy tak opanowane i celowe, że Keso nie mógł uwierzyć, iż jest to działanie z własnej woli.

Widząc, że Scypio wchodzi do świątyni Jowisza, jego przyjaciel nie śmiał dalej iść, zatrzymał się więc u podnóża schodów i czekał. Znana okolica w nocnym mroku wydawała mu się obca i trochę upiorna. Wszędzie panował idealny spokój, cisza i bezruch, jakby nawet sami bogowie posnęli. Nie trwało to jednak długo; uwagę Kesona przykuło migotliwe światło pochodni. Do świątyni zbliżała się grupa dygnitarzy i kapłanów, na której czele szedł sam pontifeks. Poznał młodzieńca i pozdrowił go skinieniem głowy.

– Jesteś młodym kuzynem Maksymusa, prawda?

– Tak jest. Nazywam się Keso Fabiusz Dorso.

– Słyszałeś już wiadomość? Katastrofa! Najgorsza klęska od Kannów!

– Tak, słyszałem. Byłem akurat w domu edyla kurulnego – odrzekł cicho Keso. – Przyszedłem tu za nim.

– Młody Scypio jest w świątyni?

– Wezwał go tu Jowisz.

– Wezwał?

– Tak powiedział Scypio.

Kapłan zerknął niepewnie na otwarte wrota sanktuarium i zawahał się, ale zdecydował się wraz z orszakiem zaczekać na dziedzińcu. Wkrótce zaczęli do nich dołączać okoliczni mieszkańcy; straszna nowina rozprzestrzeniała się szybko, podobnie jak wieść o samotnym czuwaniu Scypiona przed ołtarzem. Po jakimś czasie zebrał się już spory tłum, a w powietrzu niósł się szmer przyciszonych rozmów, tłumionego szlochu i okrzyków żalu. Pochodni paliło się tyle, że zrobiło się jasno niemal jak w dzień. Jeśli bogowie rzeczywiście spali, pomyślał Keso, to teraz musieli się obudzić.

W końcu Publiusz wynurzył się ze świątyni. Ludzie zaczęli wykrzykiwać jego imię, a także imiona jego ojca i stryja, błagali Jowisza o opiekę i wybawienie od zła. Wielu zgromadzonych wierzyło, że Scypio obcuje z bogiem, i czekało teraz na jego słowa.

Młody edyl stał tak długo na szczycie schodów, nieruchomy i jakby nieświadomy obecności tłumu, że Kesona przeszył lęk. Czyżby Scypio stracił zmysły?

Nagle zrobił krok naprzód, uniósł ramiona i krzyknął:

– Obywatele, uciszcie się! Czy nie słyszycie głosu Jowisza? Uciszczone się!

Ludzie zamilkli w jednej chwili. Wszystkie oczy zwrócone były na Scypiona. Edyl przechylił głowę i ze zdumieniem potoczył wzrokiem po zgromadzeniu; potem, jakby udało mu się rozwiązać zagadkę, uniósł brwi i pokiwał głową.

– Nie, żaden z was nie słyszy tego co ja... Ale mój głos do was dociera, słuchajcie więc, co mam do powiedzenia. Obywatele! Raz w bitwie uratowałem ojcu życie, dawno temu nad Ticinusem. Kiedy jednak połączone siły naszych nieprzyjaciół otoczyły go w Hiszpanii, nie było mnie przy nim i nie mogłem mu pomóc. Kiedy zwrócili swą furię przeciwko memu stryjowi Gnejuszowi, ani ojciec, ani ja nie mogliśmy ruszyć mu na ratunek. Mój ojciec i stryj polegli. Legiony w Hiszpanii są rozbite i pozbawione dowództwa. Rzym stanął bezbronny

wobec wrogów z zachodu. Gdyby Hazdrubal przybył do Italii i połączył się ze swym bratem Hannibalem... gdyby przywiódł ze sobą numidyjskiego szczeniaka Masynisę... co by się wtedy stało z Rzymem?

Wśród tłumu rozległy się niespokojne okrzyki.

– Do tego nie można dopuścić! – krzyknął Scypio. – Krwawiącą ranę w Hiszpanii trzeba zszyć! Musimy wyprzeć stamtąd Hazdrubala i Masynisę, i ukarać zdradzieckich Suessionów. Dziś, jak tu stoję przed wami na schodach domu boga, składam przysięgę, jakiej zażądał ode mnie Jowisz. Przysięgam, że zajmę miejsce mego ojca... jeśli lud rzymski uzna mnie za godnego dowództwa. Przysięgam, że pomszczę jego śmierć i nie spocznę, dopóki nie zmuszę jego zabójców do ucieczki z Iberii, a kiedy to zadanie wykonam, stanę do walki z tym jednookim zbójem tu, w Italii, i zepchnę go do morza wraz ze wszystkimi jego najemnymi kundlami. Na wschodzie wymierzę karę Filipowi Macedońskiemu za sprzymierzenie się z naszymi wrogami. A potem poniesiemy żagiew wojny do samej Kartaginy. Pożalują, że porwali się na Rzym! Może to zająć wiele lat. Może przyjdzie mi poświęcić na to resztę moich dni... ale kiedy skończę, możecie być pewni, że Kartagina nigdy już nam nie zagrozi. Tego wszystkiego dokonać przyrzekam wam i Jowiszowi, największemu z bogów. Jego będę błagał o siłę i wytrwałość. Was proszę tylko o jedno: powierzcie mi komendę nad legionami mojego ojca!

Jego słowa znalazły natychmiastowy odzew. Jęki i szlochanie zamieniły się w okrzyki uniesienia. Nie minęła nawet minuta, a już cały plac rozbrzmiewał gromkim hasłem: „Posłać syna do Hiszpanii!”

Keso spojrział na twarze stojących na przedzie dostojników i kapłanów. Nie przyłączyli się do skandowania, ale nie odważyli się też ludzi uciszać. Zdał sobie sprawę, co myślą: mądry człowiek argumentowałby, że Scypio jest o wiele za młody i niedoświadczony, aby powierzyć mu tak ważne strategiczne zadanie – i tak już senat poszedł mu na rękę, zgadzając się na objęcie stanowiska edyla kurulnego. On jednak z prośbą o dowództwo zwrócił się bezpośrednio do ludu, a czy ktokolwiek mógł wątpić, że lud mu je przyzna? Keso pochylił głowę, ganiąc się w myśli za własne zuchwalstwo. Jak mógł pomyśleć, choćby przez ułamek sekundy, że może rościć sobie prawo do uczuć męża tak kochanego przez wszystkich? Scypio wstąpił na drogę, która doprowadzi go albo do triumfu, albo do klęski; była to jednak droga, którą on nigdy nie będzie mógł za nim podążyć.

* * *

– Myślę, że czułem wtedy to samo, co musieli odczuwać ludzie w obecności Aleksandra – powiedział Keso.

Plaut obrzucił go ironicznym spojrzeniem.

– To znaczy, byli w goście do szaleństwa zakochani?

– Co za durnoty ci przychodzą do łba, zbereźniku? – Keso uśmiechnął się krzywo. Nawet w bezpruderyjnej atmosferze domu przyjaciela nie chciał rozmawiać o swoim afekcie do Scypiona.

– Durnoty? Ludzie Macedończyka kochali go bez wyjątku... bo i czemu nie? Podobno nie było nigdy mężczyzny piękniejszego i bardziej ognistego. Miał w sobie boską iskrę. Aleksander też kochał przynajmniej jednego z nich, towarzysza od dzieciństwa, Hefajstiona. Mówi się, że oszalał z rozpaczy po jego śmierci i wkrótce podążył za ukochanym do Hadesu. Kto powiedział, że nie możesz być Hefajstionem dla Scypiona?

– Nie bądź śmieszny! Hefajstion był przynajmniej równy Aleksandrowi jako atleta i wojownik. Poza tym Grek Grekiem, a Rzymianin Rzymianinem.

Plaut pokręcił głową.

– Ludzie są wszędzie tacy sami. Dlatego właśnie komedia to uniwersalny środek wyrazu... i bogom za to niech będą dzięki! Śmiech to śmiech, czyś jest w Koryncie, czy na Korsyce... czy nawet, śmiem twierdzić, w Kartaginie. Każdy mężczyzna lubi się pośmiać, najeść, wykochać i dobrze wyspać. Zazwyczaj w tej właśnie kolejności.

Keso tylko wzruszył ramionami i wypił spory łyk wina. Komedio pisarz patrzył na niego z uśmiechem.

– Co by nie mówić o boskich iskrah, twój przyjaciel Scypio zaniedbuje obowiązki towarzyskie. Czyż nie mówiłeś, że chce mnie ugościć i uczcić nasz wspólny sukces? Już prawie miesiąc minął od igrzysk, a ja wciąż czekam na... moje... zaproszenie.

– Chyba nie mówisz poważnie, Tytusie – obruszył się Keso. – Nie rozumiesz, jak musi być teraz zajęty, szykując się do objęcia dowództwa w Hiszpanii? Nie ma czasu na podejmowanie gości! Byłem chyba ostatnią osobą, która miała okazję z nim zasiąść do stołu.

– W takim razie powinieneś się czuć zaszczycony i szczęśliwy.

– I tak się właśnie czuję. Wiele czasu zapewne upłynie, zanim Scypio uśmiechnie się tak, jak się uśmiechał podczas naszej uczy: rozluźniony, radosny i bez cienia troski w sercu. Teraz dźwiga na barkach brzemień przeznaczenia.

– Powinieneś się wziąć do pisania hymnów, stary. Ennius przy tobie wysiada. Ale trzeba przyznać, że chłop wziął na siebie żmudne i trudne zadanie. Albo go przygniecie, albo wyniesie na szczyt.

– Czas pokaże, Tytusie – szepnął Keso, modląc się w myśli do Jowisza o opiekę nad ukochanym. – Wszystko w rękach bogów.

201 r. p.n.e.

Jedenaście lat później Scypio wypełnił przysięgę złożoną Jowiszowi, ceniom swego ojca i stryja oraz ludowi rzymskiemu. Po decydujących zwycięstwach w Hiszpanii przeniósł wojnę do Afryki i zagroził samej Kartaginie. Uczynił to wbrew nieprzejednanym sprzeciwom Fabiusza Maksymusa, który przekonywał w senacie, że Hannibala trzeba rozgromić w Italii, zamiast go z niej odciągać, i przestrzegał przed niepewnością i komplikacjami zamorskiej kampanii. Strategia Scypiona przyniosła jednak błyskotliwy sukces. Ulegając panice, Kartagińczycy wezwali Hannibala do powrotu i obrony stolicy. Historia się powtórzyła w lustrzanym odbiciu: jak wcześniej italskie miasta zdradzały Rzym i sprzymierzały się z najeźdźcą, tak teraz sąsiedzi Kartaginy przechodzili na stronę Rzymianina. Scypio bezlitośnie wykorzystywał każdą sposobność i nacierał nieubłaganie. Bitwa pod Zamą, o sto mil w głąb lądu od Kartaginy, przyniosła pierwsze przesilenie w długoletniej wojnie.

W ostatniej chwili Hannibal próbował pertraktacji. Poprosił Scypiona o rozmowę i spotkał się z nim w jego namiocie. Przez długą chwilę siedzieli w milczeniu, zdjęci wzajemną nienawiścią, ale też podziwem. Kartagińczyk przemówił pierwszy, prosząc o pokój, choć słowo to zostawiło mu gorzki smak na języku. Zaoferował Rzymowi korzystne warunki – ale nie dostatecznie dobre. Scypio pragnął zwycięstwa, nie traktatu. Tylko nim mógł dopełnić wziętego na siebie zobowiązania wobec Jowisza.

Hannibal chwycił się ostatniej szansy – perswazji osobistej.

– Byłeś dzieckiem, Scypionie, gdy ja wydawałem wojnę Rzymowi. Ty dorosłeś, ja się zestarzałem. Twoje słońce wschodzi, ja widzę już zmierzch. Wiek niesie zmęczenie, ale też mądrość. Wysłuchaj mnie, młodzieńcze. Im większy mężczyzna zdobywa szczyt, tym mniejsze jest prawdopodobieństwo, że się na nim utrzyma. Fortuna może się od niego odwrócić w okamgnieniu. Wierzysz, że w tej bitwie masz przewagę, ale kiedy już zaczniesz szaleństwo i ziemia spłynie krwią, prawdopodobieństwa przestają mieć znaczenie. Czy postawisz na tę jedną kartę tyle ludzkiego poświęcenia i tyle lat walki?

Apel nie zrobił na Scypionie wrażenia. Odparł, że Rzym nieraz proponował pokój, na co Kartagina zawsze była głucha. Negocjacje przestały już wchodzić w grę, a co się tyczy Fortuny, to on zdążył dobrze poznać jej kaprysy. Odebrała mu najbliższych, ale też dała szansę ich pomszczenia.

Hannibal wrócił do swego obozu z niczym.

Następnego dnia dwaj najsławniejsi wodzowie poprowadzili dwie najsilniejsze armie świata do boju. Zażarte zmagania były prawdziwą próbą wytrzymałości obu stron. Scypio modlił się o rozgromienie przeciwnika; modły nie zostały jednak wysłuchane. Odnosił zwycięstwo, choć nie tak decydujące, jak by sobie życzył. Pokonany, wyczerpany, porzucony przez kapryśną boginię szczęścia Hannibal zrejterował za mury stolicy.

Rzymianie postawili twarde warunki. Zmuszona do oddania okrętów i zapasów broni Kartagina została praktycznie wasalem zwycięzców. Wojna, która na siedemnaście lat pograżyła w chaosie cały basen śródziemnomorski, była skończona, a Rzym wyszedł z niej

silniejszy niż kiedykolwiek: mógł teraz rywalizować ze słynnymi imperiami, jak Egipt i Persja u szczytu ich ówczesnej potęgi. Ci, którym dane było przeżyć i zwyciężyć, mogli się uważać za najświetniejsze pokolenie w dziejach państwa – a największym wśród nich był bez wątpienia Publiusz Korneliusz Scypio, odtąd zwany Afrykańskim.

* * *

– Obciął włosy! Kiedy to się stało? Nigdy nie widziałem go bez tej wspaniałej kasztanowej grzywy – mówił tęsknym tonem Keso.

Patrzył przez dziurkę w ścianie pod sceną na zatłoczone trybuny Circus Maximus, gdzie Publiusz Scypio zajmował honorowe miejsce. Tłum przywitał go długotrwałą owacją na stojąco, skandując jego nowy przydomek. Kiedy w końcu widownia się wyciszyła i ludzie zaczęli siadać, miał wreszcie dobry widok na bohatera dnia.

– Rozczarowany, szefie? – rzucił Plaut, sprawdzający po raz ostatni przed spektaklem działanie zapadni. To proste zajęcie przyprawiło go o lekką zadyszkę – lata sukcesów odłożyły mu się warstwą tłuszczu wokół bioder. – Czyżby nie do twarzy mu było z krótką fryzurką?

– Przeciwnie, wygląda bardzo korzystnie! – Keso zmrużył oczy; nie miał już tak ostrego wzroku jak kiedyś. – To już nie efeb...

– Ja myślę! Musi mieć ze trzydzieści pięć lat!

– Ale wrócił przystojniejszy niż kiedykolwiek. Już nie przypomina Aleksandra... raczej Herkulesa. Był wtedy niemal zbyt ładny, wiesz? Teraz nabrał surowej, męskiej urody...

– Na Wenus i Marsa, bo mi tu zaraz omdlejesz! – Plaut wybuchnął śmiechem. – Facet jak facet, nie?

– Tak? A widziałeś go w triumfalnym pochodzie?

– Trochę. Za długo to się wlokło, żebym został do końca.

– Tylu jeńców, tyle zdobyczy! Jaką wspaniałą miał kwadrygę i zbroję! Cały Rzym wykrzykiwał jego imię...

– No, w każdym razie ja się cieszę, że uznał za stosowne włączyć do tej całej pompy także popołudniową komedię... chociaż przyznam, że byłem zaskoczony, gdy wybrał *Żołnierza samochwałę*.

– A dlaczego nie? Ta sztuka się wiąże z samym początkiem jego kariery. Ludzie do dzisiaj sobie opowiadają o tamtych igrzyskach. Poza tym w ten sprytny sposób daje publiczności do zrozumienia, że nie traktuje siebie z przesadną powagą. Widzowie mogą ujrzeć w *Żołnierzu* dobroduszną karykaturę najukochańszego z naszych wojowników, który zapracował sobie na prawo do przechwałek, niezwyciężonego Scypiona Afrykańskiego. Pozwalając im pośmiać się z niego, tym bardziej sobie zjedna ich serca.

– Podczas gdy twojego, drogi szefie, już bardziej sobie zjednać nie może.

Keso nie odpowiedział. Zamyślił się głęboko nad niesamowitym powodzeniem przyjaciela. Jego własne życie wydawało mu się beznadziejnie przyziemne i byle jakie w porównaniu – wygodne, lecz pozbawione miłości małżeństwo, córka, z którą nigdy nie czuł się specjalnie związany i nie kończący się korowód romansów z aktorami i młodymi niewolnikami, a do tego ledwie starczające na to wszystko dochody z teatru i zespołu skrybów, specjalizujących się w kopiowaniu greckich ksiązek na sprzedaż dla wykształconej elity.

Plaut klepnął go w plecy.

– Ocknij się, przyjacielu! Byłeś cieniem Scypiona przez całe życie. Podziwiałeś go, pożądałeś, idealizowałeś, zazdrościłeś mu... jedyne chyba uczucie, jakiego do niego nie pokazujesz, to nienawiść.

– Tego się po mnie nigdy nie doczekasz!

– Och, jesteś więc jakimś odmieńcem, Kesonie. Cała reszta dziś go uwielbia... ba! Czci jak boga!... ale któregoś dnia zwrócą się przeciwko niemu, zobaczysz.

– To niemożliwe!

– To nieuniknione. Widownia to kapryśny żywioł, szefie. Tylko ty jeden jesteś wierny jak westalka... Czy on cię choćby zaprosił na kolację, odkąd ostatni raz rozmawialiśmy przy okazji zamawiania spektaklu?

– Był bardzo zajęty – bronił swojego idola Keso, zmarszczył jednak mimowolnie brwi.

Nagle kątem oka uchwycił jakiś ruch. Jeden z aktorów zapomniał, z której strony ma wejść na scenę, i teraz korzystał z przejścia, by się dostać na właściwą. Był to nowy nabytek zespołu, bardzo jeszcze młody. W ogóle ci aktorzy robią się coraz młodszy, pomyślał Keso. Ten był także wyjątkowo przystojny, barczysty i z długimi włosami. Przechodząc, rzucił szefowi szeroki uśmiech.

Plaut obejrzał się przez ramię, potem zerknął na Kesona i też się uśmiechnął.

– Ach, to ten nowy, z Massilii. Scypionowi może i dobrze w krótkiej fryzurze, ale jak widzę, nie straciłeś zupełnie zainteresowania długowłosymi mężczyznami.

– Na to wygląda – odrzekł Keso, odwzajemniając uśmiech.

Nad ich głowami zadudniły kroki. Przedstawienie się rozpoczęło. Z widowni dobiegły pierwsze salwy śmiechu; Kesonowi się zdawało, że wyraźnie słyszy Scypiona, śmiejącego się głośniejszy i szczerzej niż ktokolwiek.

191 r. p.n.e.

– Nie wiem, jak to się dzieje, ale ostatnio prawie wcale się nie spotykamy poza teatrem – zagadnął Scypio. – Kiedy ostatnio się widzieliśmy, Kesonie? Toż to musiało być ze dwa lata temu!

Okazją do spotkania stała się uroczystość otwarcia nowej świątyni na Palatynie, poświęconej nowej bogini, Kybele, Wielkiej Matce bogów, którą Rzymianie nazwali Magna Mater. Jej kult sięgał, jak mówiono, czasów prehistorycznych, nie był jednak dotąd znany ani w samym Rzymie, ani w całej Italii: został przejęty od jednego z nowych sojuszników na Wschodzie, królestwa Frygii. Od rozgromienia Kartaginy sfera rzymskich wpływów stale się poszerzała, co z kolei owocowało napływem obcych ludzi, języków, idei – i oczywiście religii. Kybele nie była podobna do żadnej z dotąd czczonych czy choćby tylko znanych w Rzymie bogiń. Jej posąg w nowej świątyni przedstawiał ją w egzotycznych szatach, obwieszoną girlandami z byczych jąder. Wraz z nią przybyli do miasta także jej kapłani, zwani gallami – grupa bardziej może nawet egzotyczna dla Rzymian niż ich patronka, wszyscy byli bowiem eunuchami.

Dla uświetnienia ceremonii zorganizowano dodatkowe igrzyska, a przed świątynią stanął prowizoryczny teatr. Trupa Plauta szykowała nową komedię, a Keso zdecydował, że na premierze zasiądzie wśród widzów, zamiast swoim zwyczajem trzymać się za kulisami, i zaprosił Scypiona, aby obejrzał spektakl razem z nim. Zanim zdążył odpowiedzieć na pytanie przyjaciela, uwagę obydwu odwróciło drobne zamieszanie na widowni. Gallowie przybyli w komplecie i przeciskali się do zarezerwowanych dla nich honorowych miejsc, w pobliżu Kesona i Scypiona. Kapłani byli ubrani w jaskrawe czerwone turbany i żółte szaty, nosili bransolety i mieli pomalowane twarze.

– Wyobrażasz sobie naszych pradziadków wpisujących zamorskich eunuchów na państwową listę płac? – spytał Publiusz. – Dla nich eunuchowie byli tylko sługusami królów, bezpłodnymi półmężczyznami, a więc mniej ambitnymi i niegroźnymi dla przyszłości dynastii. Ponieważ w republice królów nie ma, to i eunuchowie nie są potrzebni. A tu proszę... dzięki Kybele doczekaliśmy się ich i w Rzymie! Fascynujące stworzenia, co? Słyszałem, że sami sobie obcięli jądra. Wprowadzają się w taki trans, że nawet nie czują bólu. Zdumiewające, do jakich czynów może człowieka pobudzić religijna żarliwość!

Keso wzdrygnął się na samą myśl, że ktoś może się z własnej woli wykastrować, ale po chwili złapał się na tym, że wpatruje się w jednego z gallów, ciemnookiego, niespotykanej urody młodzieńca o wydatnych ustach i alabastrowej cerze. Słyszał gdzieś, że jeśli mężczyznę pozbawi się jąder już po okresie dojrzewania, nie traci on erotycznego apetytu. Ciekawiło go, jakie skłonności może mieć w tej materii ktoś, kto jest zdolny do takiego poświęcenia dla swej bogini? Głośno jednak zauważył:

– Jeśli ktoś może dziwić Wielką Matkę i jej kapłani, to chyba nie ciebie, Scypionie. W końcu to ty oficjalnie powitałeś ich w mieście i przyjąłeś w darze czarny kamień.

Czarny kamień zajmował ważniejsze miejsce w nowej świątyni niż sama statua Kybele. Miał podobno spaść z nieba, a w jego obłych kształtach można się było dopatrzeć niewyraźnych zarysów ciała kobiety w zaawansowanej ciąży. Nigdy dotąd nie widziano w Rzymie czegoś podobnego, ale kiedy gallowie z frygijskiego miasta Pesynunt ofiarowali go w darze i poprosili o zaszczepienie kultu bogini, okazało się, że w księgach sybillińskich jest werset wzywający do jego przyjęcia.

Niezależnie od religijnego charakteru sprowadzenie Kybele miało istotny wymiar polityczny. Ludzie o szerokich horyzontach, wśród nich i Scypio, byli zdania, że przyszłość Rzymu leży teraz na wschodzie. Po rozprawieniu się z Hannibalem Rzymianie obrócili całą energię na walkę z Filipem V, w której wydatnie pomogła im Frygia. Spodziewno się, że inauguracja nowego kultu przyczyni się do zacieśnienia przyjaźni ze świeżo upieczonym sojusznikiem. Kiedy statek wiozący czarny kamień przybił do portu w Ostii, zgodnie z nakazem Sybilli tylko największy z Rzymian mógł go w imieniu miasta przyjąć. Wybór jednogłośnie padł na Publiusza Korneliusza Scypiona Afrykańskiego.

Może to był wpływ rozważań o gallach, że Keso dotknął złotego fascinum, które miał tego dnia na szyi. Dawno temu odłożył tę rodzinną pamiątkę do szkatułki i prawie zapomniał o jej istnieniu. Przypadkiem na nią natrafił, przeglądając domowe starocie – błysk złota przykuł jego wzrok, a on spontanicznie postanowił znów ją nakładać na specjalne okazje, jak to mieli w zwyczaju jego przodkowie.

Dotyk talizmanu skierował jego myśli na inny tor. Odchrząknął i powiedział od niechcenia:

– Tyle ostatnio nowych wierzeń napływa do Rzymu... niektóre z całą pompą, inne... hmm, mniej oficjalnie. Co sądzisz o tak zwanym kulcie Bachusa? Podobno jego wyznawcy odprawiają rytuał inicjacji, obiecujący ekstatyczne uwolnienie od świata materii.

Scypio spojrzał na niego z ukosa.

– Kult Bachusa jest, mówiąc ogólnie, kontrowersyjny. Owszem, słyszałem o nim. Wygląda to na pochodną greckiego obyczaju czczenia boga wina i płodności. Ile z tego, co o jego wyznawcach mówią, można przyjąć za prawdopodobne, albo jak bardzo ten kult jest rozpowszechniony, nie mam pojęcia. Wiem tylko, że nie jest uznawany przez państwo.

– Ale nie jest nielegalny?

– Technicznie nie. Jednak z tego, co słyszałem, te ich ekstatyczne obrzędy to nic innego jak pijackie orgie, podczas których, by tak rzec, wszystkie erotyczne chwytły są dozwolone. Ponadto... – Scypio zniżył głos do szeptu. – Inicjacja mężczyzn wymaga od nich poddania się penetracji analnej. Jakby byli młodymi niewolnikami! Zresztą cały ten niby-kult to podobno tylko przykrywka dla bandy bezlitosnych przestępców. Rzekomi kapłani i kapłanki to w rzeczywistości fałszerze, szantażyści, a nawet mordercy. Radzę ci, trzymaj się z daleka od wszelkich nieoficjalnych religii, a już na pewno od kultu Bachusa!

– Tak, tak. Oczywiście – mruknął Keso i spiesznie zmienił temat. – Wiesz, zostałem niedawno dziadkiem!

– Słyszałem. – Scypio z uśmiechem skinął głową. – Moje gratulacje.

– Moja córka ma szczęście, że trafiła na młodego Meneniusza. Żaden inny mąż nie mógłby dać jej piękniejszego dziecka. Szkoda tylko, że moja żona tego nie doczekała.

– Tak, wieść o śmierci Sestii bardzo mnie zasmuciła.

Keso wzruszył ramionami.

– Szczerze mówiąc, nie byłem najlepszym mężem. Ojcem zresztą też nie, ale rola dziadka pasuje do mnie jak ulał. Nigdy Fabii tak nie rozpieszczałem jak teraz małą Menenię. Ale co u ciebie, Scypionie? Przecież tobie też urodziło się dziecko.

– I to jakie! Jeśli myślisz, że rozpieszczasz Menenię, to trzeba by ci widzieć mnie z Kornelią!

– Jakie to dziwne, że twoja córka i moja wnuczka są prawie w tym samym wieku, co?

– Może się zaprzyjaźnią, gdy podrosną, jak kiedyś ty i ja?

– Też bym tego chciał – przytaknął Keso. – Nawet nie wiesz jak bardzo.

Nie odrywał wzroku od przyjaciela. Kasztanowe włosy Scypiona, wciąż krótko przycinane, przeplatała teraz siwizna. Z wyrazistych rysów zniknęła cała młodzieńcza miękkość i tylko oczy błyszczały po staremu, zwłaszcza gdy się śmiał. To był jeden z powodów, dla którego Keso zaprosił go na przedstawienie; uwielbiał słuchać jego śmiechu.

Z zamyślenia wyrwał go aplauz i ruch na trybunach. Wielu widzów podrywało się z ławek i klaskało z całych sił. Do teatru właśnie wszedł Plaut i zmierzał ku pustemu miejscu obok niego. Komedio pisarz z Umbrii miał teraz sześćdziesiąt trzy lata i był nestorem rzymskiej sceny. Publiczność знаła go z widzenia i przywitała go owacją na stojąco. Tylko gallowie spoglądali po sobie zdziwieni, ale poszli za przykładem większości i przyłączyli się do aplauzu.

Plaut serdecznie objął Kesona i wymienił pozdrowienia z Publiuszem. Cała trójka zajęła miejsca i wrzawa na widowni z wolna ucichła.

– No, mój płaskostopy przyjacielu, czym nas dzisiaj uraczysz? – spytał Scypio.

– Och, taką sobie błahostką, zatytułowaną od głównej postaci, przemądrzałego niewolnika Pseudolusa.

– Błahostka? Toż to twoje arcydzieło! – oburzył się Keso.

– Powiedziane z całym przekonaniem, jakiego należy oczekiwać od właściciela trupy – odparł ze śmiechem Plaut. – Nie przeczę, że dialog miejscami wyszedł błyskotliwie, ale gdzie mu tam do słownych brylantów, jakie trafiają się w prawdziwym życiu. Mam na myśli, Scypionie, pogawędkę, jaką sobie uciąłeś z twoim starym wrogiem Hannibalem, kiedy się ostatnio na siebie natknęliście podczas twojej misji na wschodzie... Jeśli można wierzyć plotkom. To jak, można?

Publiusz zdążył już opowiedzieć tę anegdotę Kesonowi, zanim weszli na trybunę, ale powtórzył ją na życzenie pisarza.

– Owszem. Kiedy byłem w Efezie, dowiedziałem się, że on akurat też tam przebywa, więc zaaranżowałem spotkanie. Nasi szpiedzy donieśli, że od dawna tułał się po tamtych stronach, oferując swe usługi każdemu królowi, który chciałby rzucić wyzwanie Rzymowi. To przez tę nieszczęsną przysięgę złożoną ojcu, że będzie szukał z nami zwady, póki mu tchu w piersi starczy. Jak dotąd nikt się nie pokwapił, by skorzystać z oferty. Właściwie to już sobie tam z niego podrywają.

– I o czym też rozmawialiście?

– O tym i owym... W pewnej chwili spytałem, kto według niego był największym wodzem wszech czasów.

– Podchwytiliwe pytanie! I co on na to?

– Oczywiście Aleksander, powiada. A drugi po nim? Pyrrus. A na trzecim miejscu, pytam? Wyobraź sobie, że wskazał na siebie! Nie mogłem się nie roześmiać. W takim razie, pytam dalej, gdzie byś siebie umieścił, gdybyś mnie pokonał? Hannibal popatrzył mi w oczy i mówi: W takim wypadku umieściłbym siebie przed Pyrrusem... a nawet przed Aleksandrem. W samej rzeczy, przed wszystkimi wodzami, którzy kiedykolwiek żyli na ziemi!

– Fantastyczne! – Plaut klepnął się w kolano. – Takiej kwestii nawet ja bym nie wymyślił, ani takiej postaci jak on!

– To takie kartagińskie pochlebstwo, nie rozumiesz? – odrzekł Scypio. – Pokrętnie i nie wprost, ale i tak poczułem się mile połączony. Ech... – Westchnął smętnie. – Albo on sam się targnie na własne życie, albo ktoś go kiedyś zamorduje, co do tego nie mam wątpliwości. Nie ja, naturalnie, ale ci, co przyjdą po mnie.

Keso potrząsnął głową.

– Nigdy nie będzie człowieka dość wielkiego, by zająć twoje miejsce.

Scypio się zaśmiał, trochę smutno, a trochę z goryczą.

– Miłe to słowa, przyjacielu, ale niestety, z każdym dniem staję się mniejszy i coraz łatwiej będzie mnie zastąpić. Czuję, że moje wpływy się kończą. Świat się mną znudził tak samo jak Hannibalem. Dziś na dźwięk jego imienia nikt już nie drży, tylko się wzgardliwie uśmiecha. Na dźwięk mojego ludzie wzruszają ramionami. Polityczni wrogowie otaczają mnie jak wilki, czekając na szansę powalenia mnie jakimś wydumanym oskarżeniem. Ci sami małostkowi ludzie, którzy wbiliby nóż Hannibalowi, prędzej czy później doprowadzą do mojego wygnania.

– Co ty mówisz? – jęknął Keso. – Nie wierzę! Jesteś przecież u szczytu potęgi. To ciebie wybrano, abyś przyjął czarny kamień Kybele. Na twoją cześć buduje się wspaniały łuk triumfalny jako bramę na Kapitol. Przez setki lat będzie głosił chwałę Scypiona Afrykańskiego!

– Być może. Pomniki są długowieczne, ludzie nie. A co do chwały... – Scypio pokręcił głową. – Kiedy pierwszy raz spotkałem się z Hannibalem, przed bitwą pod Zumą, powiedział mi coś, co na zawsze wryło mi się w pamięć: im większy szczyt mężczyzna zdobywa, tym mniejsze jest prawdopodobieństwo, że się na nim utrzyma. Obaj zostaniemy zmieceni z areny, ja i on, połknięci przez nurt czasu. Chcesz ujrzeć przyszłość? Popatrz tam! – Publiusz wskazał na siedzącego pośrodku widowni senatora o pociągłej twarzy z orlim nosem, który toczył wzrokiem po publiczności, pochylony do przodu i spięty. – Moja nemezis, Marek Porcjusz Katon. *Homo novus*, „nowy człowiek”, pierwszy ze swego rodu wybrany do senatu. Ale jego status neofity nie przeszkadza mu rzucać na mnie oszczerstwa przy każdej okazji i pomrukiwać za moimi plecami o dokończeniu wojny z Kartaginą... Jak gdyby istniał jakikolwiek powód, abyśmy atakowali ten okaleczony port bez wodza, floty i kolonii. Twierdzi, że moje postępowanie po Zamie było nijakie, na pograniczu nieudolności. Według niego na dłuższą metę nic nie osiągnąłem, zaniechałem bowiem egzekucji Hannibala i spalenia Kartaginy do gołej ziemi. Atakuje mnie także na gruncie osobistym. Zarzuca mi, że zgreczałem, bo lubię łaźnie i teatr. Przy jego nienawiści do wszystkiego, co nierzymskie, jestem trochę zdziwiony, że się tu zjawił. Czego on tu, na Hades, szuka?

Jakby na sygnał inspicjenta Katon podniósł się z ławki.

– Obywatele! Obywatele! Słuchajcie mnie! – krzyknął tak mocnym, ostrym głosem, że w mig zwrócił na siebie uwagę widowni. – Obywatele, znacie mnie dobrze. Jestem Marek Porcjusz Katon. Rzymowi służę, odkąd jako siedemnastolatek zaciągnąłem się do armii, kiedy temu łajdakowi Hannibalowi Fortuna pozwalała pustoszyć Italię. Od tamtej pory całe życie poświęciłem dla ratowania tego miasta i zachowania naszych rzymskich wartości. Przed czterema laty uhonorowaliście mnie wyborem na konsula i wysłaniem do Hiszpanii, skąd powróciłem jako triumfator po rozgromieniu tamtejszych buntowników. Jeśli potem doszło tam do ponownych rozruchów, to chyba możemy powiedzieć, że z winy mojego następcy.

Scypio zmełł na ustach przekleństwo. To on właśnie objął dowództwo w Hiszpanii po Katonie.

– W kategoriach doświadczenia na wysokim urzędzie niektórzy zwaą mnie nowym człowiekiem. Ale jeśli idzie o odwagę i żołnierską sprawność moich przodków, zapewniam was, że jestem równie stary jak każdy z was! Mam więc nadzieję, że użyciecie mi dzisiaj ucha i rozważycie, co mam do powiedzenia. Obywatele! Co wy tu robicie? Co to za dekadentkie widowisko, w którym bierzecie udział? Pomyślcie: przyszłście tu oglądać sztukę opartą na greckim oryginale, wystawianą dla uczczenia azjatyckiej bogini sprowadzonej z kraju rządzonego przez króla, aby grupka tamtejszych eunuchów poczuła się mile widziana! Ja temu wszystkiemu mówię: Nie! Nie! Po trzykroć nie! Jak mogło dojść do takiej obrzydliwości? Powiem wam jak. Bogactwo i wszystkie płynące z niego przywary... chciwość, umiłowanie luksusu, podły oportunizm... zwodzą was na manowce i sprawiają, że zapominacie o cnotach waszych przodków. Rozglądam się wokoło i wszędzie widzę

rozwiąłość myśli, mowy i uczynków! A teraz co się dzieje? Świadomie plamimy naszą czystą wiarę, rozwadniając i osłabiając szacunek dla odwiecznych naszych bogów, którzy mają nas w opiece od tylu wieków! Na tym nie koniec, dalej będzie jeszcze gorzej! Sprowadzanie kastrowanych kapłanów to już dostateczne zło, ale słyszy się o jeszcze dziwniejszych i bardziej podstępnych obcych kultach, jakie zaczynają się wśród nas szerzyć. Sztuka, którą was tu dzisiaj uraczą, będzie, śmiem twierdzić, wulgarna jak wszystko co greckie, ale i tego niektórym mało. Oto paru senatorów, którzy powinni lepszy użytek robić z rozumu, mówi ostatnio o budowie stałego teatru, wymurowanego z kamienia! Czy my, Rzymianie, mamy stać się równie leniwi i gnuśni jak Grecy? A ty, Marku Juniuszu Brutusie... – Katon wyciągniętą ręką wskazał na pretora, który sponsorował igrzyska. – Co by powiedział twój heroiczny antenat, który pomścił gwałt na Lukrecji i obalił ostatniego króla, gdyby ujrzał ten smutny widok? Czy nasze ukochane miasto po to wzniosło się na takie wyżyny chwały, by runąć w otchłań hańby? Obywatele, błagam was! Jeżeli moje słowa rozpały w waszych sercach choćby najbłedszą iskierkę patriotyzmu, posłuchajcie mnie i natychmiast opuśćcie to miejsce! – Katon ostentacyjnie poprawił fałdy togi i skierował się do wyjścia. Po paru krokach przystanął i odwróciwszy się znów ku widowni, dodał: – A poza tym uważam, że Kartagina powinna zostać zburzona!

To rzekłszy, wyszedł z teatru, a za nim cały jego liczny orszak. Garstka ludzi z różnych miejsc na trybunach poszła za jego przykładem, ale więcej było takich, którzy zaczęli gwizdać i pokrzykiwać. Ludzie niespokojnie patrzyli po sobie, nad teatrem podniósł się szmer przyciszonych rozmów.

Scypio wstał z miejsca. Nie odezwał się ani słowem, by zwrócić na siebie uwagę, ale stopniowo wszystkie twarze zaczęły się zwracać ku niemu. Zapadła cisza.

– Obywatele, gdyby senator, który właśnie nadużył naszej cierpliwości i zaburzył radosny charakter dzisiejszej uroczystości, nie zaatakował mnie osobiście... co ma zwyczaj robić odruchowo, jakby to był nerwowy tik... przez myśl by mi nie przeszło narzucać się wam z własną przemową. Czuję się jednak w obowiązku powiedzieć, że człowiek, który zostawia po sobie chaos, nie ma prawa rzucać kalumnii na tego, kto przychodzi po nim. Najpierw musiałem posprzątać bałagan, jaki został po słoniach Hannibala, a potem przyszło mi robić to samo po Katonie w Hiszpanii!

Słuchacze wybuchnęli śmiechem. Napięcie, jakie wywołało wystąpienie Katona, prysło w jednej chwili.

– Po drugie, jeżeli po długich latach mojej służby dla ludu rzymskiego mogę sobie rościć prawo do przemawiania w jego imieniu, pozwólcie, że przeproszę naszych honorowych gości, kapłanów Kybele, za zachowanie naszego senatora. Zapewniam was, że nie wszyscy Rzymianie są tak gburowaci i niegościnni.

Gallowie, którzy z kamiennymi twarzami przeczekali filipikę Katona, uśmiechnęli się w uznaniu kurtuazji Scypiona.

– Chciałbym też przeprosić za prostacki atak, jaki mój kolega przypuścił na ciebie, Marku Juniuszu Brutusie, hojny sponsorze dzisiejszego święta. Zamiast przywoływać pamięć twojego wielkiego pradziada dla wątpliwej retoryki, powinien był się posłużyć przykładem jednego z własnych sławnych przodków. Ach, ale cóż ja wygaduję? Zapomniałem, że Katon nie ma sławnych przodków.

Brutus się roześmiał i zawołał:

– Dobrze powiedziane, Scypionie!

– A co do całej reszty tych bredni, jakie się wylały z ust szanownego senatora, powiem tylko tyle. – Publiusz wskazał na Plauta. – Skoro w strasznym roku klęski pod Kannami cała moc Hannibala nie zdołała powstrzymać nas od wystawienia dzieła tego pisarza, to dziś na pewno nie dokaże tego byle histeryk. Zaczynamy spektakl!

Wśród śmiechu i okrzyków widzowie zrywali się na nogi, klaszcząc i wiwatując na cześć Scypiona. Reakcja tłumu dodała Kesonowi otuchy. Oto dowód, pomyślał, że jego ponure prorocтва są bezpodstawne. Ale jakie brzemię musi dźwigać jego przyjaciel, zmuszony znosić zniewagi ze strony ludzi pokroju Katona! Keso miał swoje drobne problemy, ale przynajmniej nie musi się niepokoić pozbawionymi skrupułów rywalami knującymi na jego zgubę. Może jednak nijakie, szare życie ma swoje zalety? Przypomniał sobie powiedzenie Hannibala z opowieści Scypiona i parafrazując je, mruknął pod nosem:

– Im mniejszy szczyt zdobywa mężczyzna, tym pewniejszy może być, że się na nim utrzyma.

– Coś mówiłeś? – spytał Plaut, gdy wrzawa trochę przycichła.

– Nie, nic. Nic ważnego.

* * *

Przedstawienie było bezapelacyjnym sukcesem. Keso wymówił się od zaproszenia na kolację do Plauta i samotnie ruszył przez miasto. Uroczystość się zakończyła, ale na ulicach wciąż było jeszcze rojno i gwarno; często go potrącano, kilka razy o mało nie wdepnął w kałużę wymiocin. Prawie nie dostrzegał tych irytujących niedogodności – jak zawsze po spotkaniu ze Scypionem był wytrącony z równowagi, głowę zaprzętały mu myśli o tym, jak inaczej mogłoby wyglądać jego życie, gdyby się urodził innym człowiekiem, który mógłby być dla przyjaciela także towarzyszem broni, godnym dzielić z nim przygody, sławę i namiot...

W miarę jak zbliżał się do celu, pewnego domu w porządnej dzielnicy na Awentynie, ulice coraz bardziej pustoszały. Odetchnął z ulgą, rad, że wyrwał się z tłumu. Tam, dokąd zmierzał, będzie mógł się uwolnić od wszelkich ziemskich trosk. Wkrótce stał już przed nie wyróżniającym się w otoczeniu budynkiem i zastukał do drzwi. Otworzyło się małe okienko. Przez chwilę się bał, że nie pamięta hasła, ale szybko sobie przypomniał.

– Na górze w Kampanii rosną grona, z których robi się falerna.

Hasło często zmieniano, ale zawsze wiązało się z winem, ponieważ było darem Bachusa dla ludzkości i niezbędnym elementem jego kultu.

Drzwi się otworzyły i szybko zatrzasnęły, gdy wszedł. Zawarte były też wyjścia do ogrodu, a na oknach mimo zamkniętych szczelnie okiennic dodatkowo zawieszono grube, tłumiące dźwięk zasłony, ciemność w domu rozpraszało tylko słabe światło lamp. Fleciści grali egzotyczną melodię w rytm wybijany na bębenkach, leniwy i senny, to znów gorączkowo pulsujący. Z cienia wynurzyły się znajome twarze, uśmiechnięte i pochylone z szacunkiem.

– Witaj, wielki kapłanie – przywitał go chór męskich i kobiecych głosów.

Ktoś szepnął mu do ucha:

– Mamy nowego wyznawcę, czekającego na inicjację.

Keso uniósł ramiona, rozkrzyżowując je poziomo. Zdjęto z niego ubranie i namaszczono od stóp do głów słodko pachnącym olejkiem. Ktoś przyłożył mu do ust kubek wina, odchylił więc głowę do tyłu i pił łączywie. Wino wylewało mu się na pierś i brzuch, ale zaraz zlizywały je chciwe języki. Liczne dłonie przesuwaly się po jego ciele, pieszcząc go, ugniatając, stymulując. Dwie osoby poprowadziły go za ręce do izby przesyconej wonią potu i kadzidła. Powietrze było gęste od słodkiego dymu. Muzyka była tu głośniejsza, a chór ciasno stłoczonych nagich postaci skandował cichą inwokację do Bachusa, bóstwa wina i euforii, którego błogo uśmiechnięty posąg spoglądał na wyznawców z wysokiego piedestału.

Keso podniósł wzrok na okolone wieńcem z winnych liści oblicze boga z nabożeństwem i wdzięcznością. Pojawienie się tego kultu w Rzymie wyznaczyło w jego życiu nową epokę. W ciepłym i skrytym objęciu Bachusa wreszcie znalazł cel istnienia.

Poczuł nagle znajome trzepotanie w głowie, nie odczuwał już jednak niepokoju. Kapłani nowego boga wyjaśnili mu, że ta przypadłość nie jest przekleństwem, lecz wyróżnieniem, oznaką szczególnej jego łaski. Jak Jowisz wydawał się wyjątkowo bliski Scypionowi, tak teraz Keso odkrył własną, wyższą płaszczyznę obcowania z Bachusem.

Trzepotanie ustało tak szybko, jak się pojawiło. Dziś więc bóg postanowił tylko przez niego przejść, nie odbierając mu przytomności.

Tuż przy uchu usłyszał ten sam głos:

– Wielki kapłanie, nowicjusz jest gotowy do inicjacji.

Czyjaś ręka chwyciła jego wyprężoną męskość, a inny głos szepnął:

– A i ty wyglądasz na gotowego do rytuału!

Keso dotknął fascinum spoczywającego na nagiej piersi i mocno zacisnął powieki. Akolici krok po kroku prowadzili go naprzód, aż jego członek napotkał opór, a potem został wchłonięty przez ciasny uścisk. Usłyszał stłumiony okrzyk nowicjusza, a zaraz potem jęk. Pozwolił się ponieść fali uniesienia. Kto dziś wstępował w szeregi czcicieli Bachusa? Młody czy stary, mężczyzna czy kobieta? Nie wiedział i nie chciał wiedzieć. Pod zamkniętymi

powiekami widział Scypiona – takiego jak przed laty, z długimi, kasztanowymi włosami i bez choćby jednej blizny szpecącej jego młodzieńczą doskonałość ciała. To w niego wlewał całą miłość i tęsknotę, jaka go od lat przepełniała. Nawet w konwulsji ekstazy wiedział, że to tylko fantastyczna wizja, ale błogość czuł jak najbardziej realnie. Kiedy wszystko było powiedziane i dokonane, tylko te ulotne chwile spełnienia stanowiły rzeczywistość, a cała reszta jawiła się iluzją. Ziemską chwała była niczym. Sam Scypio to przyznawał; osiągnął szczyt tak zwanej wielkości niedostępny innym ludziom, ale czy kiedykolwiek dane było mu dostąpić szczytów niewypowiedzianej rozkoszy, jakich doświadczał Keso, odkąd przystał do kultu Bachusa?

183 r. p.n.e.

Keso przesunął palcami po siwiejącej czuprynie i zamknął oczy, pozwalając im przez chwilę odpocząć. Jakże słaby stał się jego wzrok w ostatnich latach! Kiedy był młodszy, nawet dobrze po czterdziestce, mógł bez wysiłku czytać wszystkie wiersze Enniusza i sztuki Plauta, choć obydwaj pisali drobnym maczkiem. Teraz mógł mrużyć i wyteżać oczy, ile chciał, a i tak nie widział liter na rozłożonych na stole dokumentów. Czytanie należało do obowiązków jego sekretarza, ale Keso chciał sam dopilnować, by nie było w nich żadnego błędu. Zdecydował się niedawno na upłynnienie swoich aktywów. Znalazła się grupa chętnych na jego trupę teatralną, a skrybów sprzedawał indywidualnym nabywcom. Sporządził też testament, choć z tym najmniej było kłopotu: cały majątek miał przejść na fundusz powierniczy na rzecz jego wnuczki Menenii.

Keso otworzył oczy i rozejrzał się po gabinecie, tocząc wzrokiem po wypełnionych zwojami półkach. Gromadził księgozbiór w oczekiwaniu na długie lata emerytury, które miał spędzać w towarzystwie literatury. Między szafami znajdowało się miniaturowe sanktuarium: mały kamienny ołtarzyk z figurką Bachusa. Popatrzył teraz przez długą chwilę w roześmiane oczy boga, po czym odwrócił wzrok.

– Twoja praca skończona – odezwał się do sekretarza. – Przyślij tu Kletusa.

Niewolnik wyszedł z gabinetu, a po minucie zjawił się przystojny, długowłosy młodzieniec o szerokich ramionach.

– Kletusie, chcę dziś pospacerować.

– Tak jest, panie. Pogoda jest piękna.

Chłopak podał mu muskularne ramię. Keso właściwie nie potrzebował wsparcia, ale dotyk młodego ciała sprawiał mu przyjemność. Wolnym krokiem ruszyli na długą przechadzkę po mieście. Najpierw odwiedzili łuk wzniesiony dla uczczenia zwycięstw Scypiona. Masywna, z daleka widoczna budowla stała u wejścia na prowadzącą na Kapitol

drogę. Pokrywające ją płaskorzeźby scen bitewnych nieodmiennie Kesona zachwycaly. Tak, to był pomnik godny jego przyjaciela.

Następnie poszli do nekropolii za Bramą Eskwilińską, gdzie złożył kwiaty na skromnym grobie Plauta. Tego dnia przypadała pierwsza rocznica śmierci komediopisarza. Och, jak mu go brakowało – jego przenikliwości, ciętego dowcipu, niezachwianej lojalności wobec przyjaciół. Jego pomnikiem będą stworzone przezeń dzieła; Keso trzymał w bibliotece ich pełny zbiór.

Coraz silniej się opierając na ramieniu Kletusa – szybko teraz zaczynał odczuwać zmęczenie – skierował się ku Awentynowi, ostatniemu celowi dzisiejszej wędrowki. W pobliżu Circus Maximus zauważył grupę silnie podekscytowanych mężczyzn, pograżonych w żywiołowej dyskusji. Wyglądało na to, że mają jakieś szczególnie ważne wiadomości – po ich minach i gestach nie mógł się jednak zorientować, czy dobre czy złe. Rozpoznał wśród nich starego znajomego Lucjusza Pinariusza i posłał po niego Kletusa.

– Co się dzieje, Lucjuszu? – spytał, gdy tamten wyszedł mu na spotkanie.

– Nie słyszałeś nowiny?

– Gdybym słyszał, nie pytałbym cię o nią.

– Hannibal nie żyje.

Keso głośno wciągnął powietrze. Jak to prosto brzmi: Hannibal nie żyje. A przecież znaczyło to tyle, co powiedzieć: wyszło morze. Albo: księżyc spadł z nieba. Musi to jednak być prawdą. Prosta i nieunikniona: Hannibal nie żyje.

– Jak umarł?

– Popułnił samobójstwo. Miał sześćdziesiąt cztery lata i wciąż knuł przeciwko nam, usiłując wicherzyć w Grecji i Azji. Senat miał tego w końcu dosyć i wysłał oddział wojska, by go aresztował i sprowadził do Rzymu. Myślę, że nie mógł znieść myśli o hańbie procesu i egzekucji. Połknął truciznę, przed śmiercią jednak podyktował skrybie ostatnie słowa: „Oto kładę kres wielkim niepokojom Rzymian, dla których za długim i ciężkim zadaniem było poczekać, aż znienawidzony starzec umrze”.

– Jaki to gorzki koniec, Lucjuszu.

– Ale jakże spóźniony! Scypio Afrykański...

– Tak, wiem. Scypio powinien był go zabić, kiedy była po temu okazja, i spalić Kartaginę do gołej ziemi. Nie chcę jednak słyszeć ani słowa kalającego pamięć mojego drogiego zmarłego przyjaciela, a już na pewno nie dzisiaj!

Keso odwrócił się i zawołał Kletusa, by podał mu ramię.

Jakże przewidujący okazał się Scypio! Wszystko potoczyło się tak, jak prorokował. Trzeba jednak przyznać, że to niezwykle zrządzenie Fortuny: dwaj wielcy wodzowie, którzy ongiś dosiadali świata jak tytani, odeszli z niego niemal jednocześnie, w niespełna rok po sobie!

Wolno i mozolnie wspinali się zboczem Awentynu, aż wreszcie stanęli przed skromnym domem Enniusza. Poeta mieszkał samotnie, z jedną tylko niewolnicą do posług. Otworzyła gościowi drzwi i zaprowadziła do gabinetu. Kletus został w westybulu.

– Chyba słyszałeś wieści? – zagadnął Keso.

– O Hannibalu? Tak. – Enniusz, znany z braku dbałości o strój i wiecznie nieogolony, wyglądał jeszcze niechlujniej niż zazwyczaj. – Chyba nie przychodzisz zamówić dla niego epitafium? Z tego, co słyszałem, sam sobie napisał całkiem niezłe.

Keso się uśmiechnął.

– A co z epitafium dla Scypiona? Skończyłeś wreszcie?

– Tak. Jest gotowe do wyrycia na steli. Byłem wielce zaszczycony, że to mnie poprosił w testamencie o jego ułożenie.

– A do kogóż miałby się z tym zwrócić? Zawsze byłeś jego ulubionym poetą. No więc?

Enniusz podał mu kawałek papirusu, na co Keso zrobił kwaśną minę.

– Wiesz, że nie przeczytam ani linijki. Wyrecytuj mi to sam.

Enniusz odchrząknął i zadeklamował:

Słońce, co wschodzi daleko nad bagnistym brzegiem jeziora Meotis
Nie pada na męża, który dorównałby mi czynami.
Jeśli ktokolwiek z ludzi może wnijść między nieśmiertelnych,
To tylko przede mną brama niebios stoi otworem.

Keso uśmiechnął się krzywo.

– Trochę to za pompatyczne na mój gust, ale akurat czegoś takiego Scypio by oczekiwał. Tylko gdzie, u licha, jest jezioro Meotis?

Enniusz uniósł brwi.

– Daleko za Pontus Euxinus, na samym krańcu cywilizowanego świata. Nie pamiętam go z tego życia, ale myślę, że w pierwszym musiałem tam być. Oczywiście nie mógłbym zobaczyć wschodu słońca, ponieważ w tamtym wcieleniu byłem niewidomy.

Keso skinął głową. Odkąd poeta został zwolennikiem idei greckiego filozofa Pitagorasa, uwierzył w wędrówkę dusz i nabrał pewności, że rozpoczął egzystencję w ciele Homera, autora *Iliady*. W następnych inkarnacjach był pawiem, kilkoma wielkimi wojownikami i samym Pitagorasem.

Enniusz wciąż mówił, ale Keso, którego podobne koncepcje nudziły i irytowały, pozwolił swoim myślom podryfować z własnym nurtem. Powrócił do Scypiona i jego proroczych wizji przyszłości. Tak jak przewidział, jego wrogom udało się go osaczyć. Poprowadził jeszcze ostatnią zwycięską kampanię przeciwko zadufanemu w sobie królowi Antiochowi, który poważił się zakwestionować rzymską hegemonię w Grecji, ale był to sukces na miarę Pyrrusa; wróciwszy do Rzymu został oskarżony o przyjęcie od przeciwnika łapówki i chęć

współrządzenia królestwem. Trudno o cięższy zarzut wobec republikańskiego polityka niż ciągoty do berła i korony. *Spiritus movens* oskarżenia był oczywiście Katon. Nie chcąc stawać przed sądem, Scypio wyprowadził się z Rzymu do swej nadmorskiej posiadłości w Liternum. Tam za solidnymi murami, z kolonią wiernych weteranów dla ochrony, wycofał się z wojaczki, polityki i życia. Złamany i zgorzkniały, zmarł w wieku pięćdziesięciu dwóch lat. Nie minął nawet rok, a w zaświaty odszedł także Hannibal.

– Dwaj giganci, zaszcuci przez gorszych od siebie – mruknął pod nosem.

– Jeśli chcesz znać moje zdanie, to dla Scypiona tak było lepiej – skomentował gospodarz. – Rzym stał się siedliskiem goryczy. Atmosfera jest tu trująca, odkąd przewagę zdobyli reakcyjni przeciwnicy w rodzaju Katona.

– Ale zmieniły się też ludzkie gusty – odrzekł Keso. – Wyraźnie to widać w teatrze. Nie gra się już komedii Plauta, na afiszu są tragedie Enniusza, z których widzowie wychodzą w posepnym nastroju, pasującym do tych ponurych czasów.

– Chętnie bym, napisał komedię, gdyby było z czego się śmiać – burknął obruszony poeta. – Jak to się stało? Pamiętasz, jakie panowało uniesienie i radość, kiedy wreszcie pobiliśmy Kartaginę? Jak dobrze wszyscy się czuliśmy i jak sobie bliscy? Potem przyszły zwycięstwa na wschodzie, dni chwały, napływ niezmiernych bogactw i nowych idei... Ale zmiany były zbyt szybkie i ludzie zaczęli się czuć nieswojo. Katon i jemu podobni żerowali na ich obawach i dziś mamy to, co mamy. Najgorszym chyba przejawem tej fali były te okropne represje wobec kultu Bachusa.

Keso znieruchomiał. Otworzył usta, by zmienić temat, ale Enniusz dopiero się rozgrzewał.

– Cóż to były za straszne dni! Oficjalne śledztwo, naciągane oskarżenia o zbrodnie i antypaństwowy spisek, delegalizacja kultu... Tysiące mężczyzn i kobiet skazanych na śmierć, wygnanych, doprowadzonych do samobójstwa. Nienawiść, z jaką rzucono się na tych ludzi, była przerażająca, a nie dało się nic zrobić, by się jej przeciwstawić. Powiedziałbyś słówko w ich obronie, a już by cię napiętnowano jako sympatyka i zaszcuzono razem z nimi! Ja oczywiście nigdy do tego ruchu nie należałem, ale znałem paru z nich. Nawet tak odległe powiązania na jakiś czas rzuciły na mnie cień podejrzewania. Nie masz pojęcia, jak się bałem... – Poeta wzdrygnął się na samo wspomnienie. – Ale mimo to niewykluczone, że jakieś niedobitki wyznawców Bachusa jeszcze przetrwały. Zaczęły się nowe serie aresztowań. Nie dalej jak wczoraj byłem świadkiem jednego z nich, tu, na mojej ulicy. Scena była aż nadto znajoma: oszołomiony i dygoczący ze strachu mężczyzna wyciągany z domu przez liktorów z kamiennymi twarzami, a niewolnik, który nieszczęśnika zdradził, stał na uboczu i udawał niewiniątka. Aż mnie dreszcz przeszedł, mówię ci!

Keso dłużej nie mógł tego znieść. Wstał raptownie i powiedział, że musi już iść.

– Tak szybko? Miałem nadzieję że...

– Nie mam czasu, Enniuszu. Chciałem tylko usłyszeć epitafium Scypiona. Dziękuję, ale na mnie pora, bo sam dziś oczekuję gości.

– Urządzasz ucztę?

– Niezupełnie.

* * *

Wróciwszy do domu, zmęczony długim marszem Keso usiadł samotnie w bibliotece i zapatrzył się na swój bogaty księgozbiór. Zwoje papirusu były dlań jak starzy przyjaciele, z którymi musi się na zawsze pożegnać. Upewnił się, że testament leży na właściwym miejscu. Choć nie mógł go przeczytać, odszukał ustęp, który polecił sekretarzowi podkreślić. Mowa była w nim o fascinum; nakazywał Menenii nosić go przy uroczystych okazjach i wspomnieć wtedy o dziadku. Przebiegł wzrokiem po rozplywających się literach, po czym zwinął dokument, zdjął z szyi talizman i okręcił łańcuszek wokół papirusu.

Sięgnął po karafkę i nalał sobie kubek wina – doskonałego falerna – a potem wsypał do niego proszek z małego pudzera. Z winem w ręku ukląkł przed ołtarzem Bachusa, ucałował posążek i czekał.

Nie minęło dużo czasu, gdy od westybulu dobiegło głośnie łomotanie w drzwi. W chwilę potem do biblioteki wbiegł Kletus.

– Zbrojni ludzie, panie! Domagają się, by im otworzyć.

– Niech wejdą. Spodziewałem się ich.

– Panie? – Niewolnik wyraźnie pobladł.

– Czy nie o tej godzinie kazałeś im przyjść? Słyszałem wczoraj twoją rozmowę z tym człowiekiem na Forum, Kletusie. Dlaczego mnie zdradziłeś?

W korytarzu rozległy się kroki. Liktorzy nie czekali pod zamkniętymi drzwiami... Kletus odwrócił się, nie umiejąc ukryć poczucia winy.

Keso szybko wypił truciznę. Przynajmniej umrze ze smakiem ulubionego daru boga w ustach.

Przyjaciel Grakchów

146 r. p.n.e.

– Córka, matka, żona, wdowa...

Wypowiadając te słowa, Kornelia składała kolejno palce obu dłoni w oratorskim geście, jaki podpatrzyła u ojca. Kornelia była jeszcze dzieckiem, gdy umarł Publiusz Scypio, ale zdążył wywrzeć na nią wielki wpływ. Przejęła od niego wiele min, ruchów, a nawet zwrotów. Odziedziczyła też jego słynną urodę. Teraz, w wieku niespełna czterdziestu lat, była uderzająco piękną kobietą. Jej kasztanowe włosy połyskiwały miedzą i złotem w jasnym, przetykanym cieniem ogrodowego listowia słońcu.

– Córka, matka, żona, wdowa... – powtórzyła. – Jak myślisz, Menenio, która z tych ról jest najważniejsza w życiu kobiety?

– Myślę... – Jej przyjaciółka uśmiechnęła się trochę wstydliwie. Były rówieśniczkami i obie wdowami. Choć nie tak urodziwa, emanowała takim wdziękiem, a przy tym godnością, że mężczyźni pożerali ją wzrokiem na równi z piękniejszą Kornelią, nawet gdy się pokazywały razem. – Myślę, że zapomniałaś o jeszcze jednej kategorii.

– Jakiej?

– O kochance.

Menenia sięgnęła dłonią do odziedziczonego po dziadku złotego talizmanu, a drugą delikatnie dotknęła ramienia siedzącego obok niej mężczyzny, wymieniając z nim długie, znaczące spojrzenie.

Blozjusz był filozofem urodzonym w Kurne. Mężczyznę o długich, siwiejących włosach i elegancko przystrzyżonej bródce otaczała aura nie mniejszej godności niż Menenię. Kornelia była wzruszona, widząc tę szczególną iskrę między swą najdroższą przyjaciółką i nauczycielem jej dzieci. Oto dwoje dojrzałych ludzi, dawno wyrosłych z wieku szalonych romansów, którzy jednak umieli znaleźć w drugim nie tylko towarzysza życia, ale i bratnią duszę.

– Co cię skłoniło, by o to zapytać? – spytał Blozjusz, który jako pedagog z kręgu stoików wolał raczej kwestionować pytania, niż udzielać odpowiedzi.

Kornelia przymknęła oczy, podnosząc twarz ku słońcu. Dzień był ciepły, a na Palatynie panował spokój i cisza; najgłośniejszym dźwiękiem był dobiegający z dachów ptasi świergot.

– To takie moje luźne przemyślenia. Przyszło mi do głowy, że obie z Menenią wcześniej straciłyśmy ojców i obie jesteśmy wdowami po znacznie od nas starszych mężczyznach. Po śmierci ojca krewni zaaranżowali moje małżeństwo z droгим starym Tyberiuszem Grakchusem. Ty zaś byłaś drugą żoną Lucjusza Pinariusza, prawda? – dodała, spojrzawszy na przyjaciółkę.

– Trzecią. Mojemu staruszkowi bardziej był potrzebny opiekun niż żona.

– A jednak dał ci wspaniałego syna.

– Tak, a Tyberiusz tobie całą gromadkę.

– Dwanaścioro to rzeczywiście niemało. Wszystkie kochałam, ale przeżyła tylko trójka, niestety.

– Ale za to jaka! – pochwaliła Menenia, a ściskając ramię kochanka, dodała: – Niemała w tym zasługa także nauk Blozjusza. Sempronia jest już szczęśliwą mężatką, a świat pokłada wielkie nadzieje w Tyberiuszu i Gajuszu.

Kornelia skinęła głową.

– Myślę, że w ten sposób pospołu odpowiedziałyśmy na moje pytanie. Ponieważ nie mam ojca ani męża... ani czasu na kochanka!... moją najważniejszą rolą jest macierzyństwo. Moim osiągnięciem będą moi synowie. Chcę, by dokonali tak wielkich rzeczy, żeby po mojej śmierci ludzie mówili o mnie nie jako o córce Scypiona Afrykańskiego, lecz jak o matce Tyberiusza i Gajusza Grakchów.

Blozjusz ściągnął usta.

– Szlachetne aspiracje. Czy jednak kobieta musi istnieć tylko poprzez mężczyzn w jej życiu... ojców, mężów, synów... i kochanków? – Rzucił ciepłe spojrzenie Menenii. – Stoicyzm uczy, że każdy człowiek jest wartością sam w sobie, niezależnie od pozycji, jaką zajmuje. Obywatel czy niewolnik, konsul czy zwykły legionista, wszyscy posiadają niepowtarzalną iskierkę boskiej esencji. Ale co z kobietami? Czyż i one nie mają własnej wartości, wykraczającej poza rolę pełnioną względem ich mężczyzn?

Kornelia parsknęła śmiechem.

– Drogi Blozjuszu, tylko stoik może się poważić na takie radykalne koncepty! Pokolenie temu już samą taką sugestią mógłbyś się narazić na bezlitosną banicję.

– Być może. Ale pokolenie temu dwóm takim kobietom raczej nie dane byłoby siedzieć bez przyzwoitki w ogrodzie i żonglować konceptami z filozofem.

– Nawet dzisiaj niejeden tradycjonalista byłby zaszokowany, gdyby podsłuchał naszą rozmowę – powiedziała Menenia. – A jednak tu siedzimy i dyskutujemy. Świat się zmienia.

– Świat się zawsze zmienia – przytaknął filozof. – Tylko czasami na gorsze.

– A więc od naszych dzieci będzie zależało, czy zmienią go na lepsze – rzekła Kornelia.

– A który z twoich synów zapowiada się na większego reformatora świata? – spytała z uśmiechem Menenia.

– Och, trudno powiedzieć... Tacy są różni. Tyberiusz jest poważny i sumienny jak na osiemnastolatka, nad wiek dojrzały. Teraz, gdy został żołnierzem i wojuje z tymi biednymi Kartagińczykami, jeśli ich jeszcze trochę zostało, mam nadzieję, że mi jeszcze bardziej nie sposepnije. Mały Gajusz ma dopiero dziewięć lat, ale jaki to inny charakter! Obawiam się, że jest nader impulsywny i porywczy.

– Za to wysokiego mniemania o sobie – wtrącił Blozjusz. – Zwłaszcza jak na dziewięciolatka. Jako ich nauczyciel mogę stwierdzić, że obaj bracia są bardzo pewni siebie. Po mamie, jak sądzę.

– Ja bym raczej powiedziała, że po dziadku, choć zmarł na długo przed narodzinami starszego. Jak ja żałuję, że nie mogli go poznać i że mnie też nie było dane mieć go dłużej! Zrobiłam jednak, co mogłam, aby w chłopcach zaszczepić szacunek dla jego dokonań. Noszą nazwisko Grakchów z dumą, ale muszą też okazać się godnymi pamięci Scypiona Afrykańskiego.

Menenia westchnęła.

– Jeśli chodzi o mojego Lucjusza, to pragnę tylko, by wrócił cały i zdrowy z wojny Katona.

Tak wielu Rzymian nazywało wznowioną kampanię przeciwko Kartaginie. Sam Katon nie dożył jej rozpoczęcia, ale do końca życia nie przestał za nią agitować. Przez długie lata każde przemówienie w senacie – niezależnie od tematu – kończył tym samym zdaniem: „Ceterum censeo Carthaginem delendam esse”. Ludzie śmiali się z tej jego obsesji, ale w końcu dopiął swego, choć dopiero zza grobu. Wydawało się, że jego marzenie zostanie zrealizowane. Najnowsze informacje z Afryki mówiły o oblężeniu Kartaginy przez siły rzymskie i prawdopodobieństwie jej rychłego upadku.

Kornelia zamrugała i przysłoniła oczy dłonią. W ogrodzie nagle zrobiło się za gorąco, a słońce nadmiernie raziło. Ucichły nawet ptasie trele.

– Mówią, że to nie jest już kwestia, czy Kartagina zostanie zniszczona...

– ...Tylko kiedy – wszedł jej w słowo Blozjusz.

– A gdy to nastąpi...

– Kartagina będzie drugim w ciągu kilku miesięcy miastem, które spotkał ten los z rzymskich rąk. – Filozof mieszkał w domu Kornelii i oboje widywali się niemal codziennie, a ich myśli często biegły tym samym torem, niczym dwa konie zaprzężone do jednego rydwanu. – Kiedy Mummiusz zdobył Korynt, na ulicach Rzymu zapanowała radość...

– ...A w Koryncie płacz. – Kornelia pokręciła głową. – Wszyscy mężczyźni zabici, wszystkie kobiety zniewolone! Jedno z najbardziej wyrafinowanych i bogatych miast zburzone przez Rzymian.

– Według Mummiusza miała to być przestroga dla każdego, kto by się ośmielił kwestionować naszą hegemonię.

– Świątynie zbezczeszczone, bezcenne dzieła sztuki zniszczone przez szalejących żołnierzy. Nawet najbardziej antygrecko nastawieni ludzie wstydzili się za to barbarzyństwo...

– Kornelia nagle urwała, i przechyliła głowę, nasłuchując. Zamiast śpiewu ptaków sponad dachu dobiegał teraz inny odgłos. – Słyszycie? Jakies zamieszanie.

– Na Forum? – spytała Menenia.

– Chyba gdzieś bliżej. Myronie!

Młody niewolnik siedzący na ziemi poderwał się na nogi. Kornelia posłała go, by sprawdził, co się dzieje. Czekał na jego powrót, cała trójka siedziała w milczeniu, dzieląc ten sam niepokój. Wrzawa na ulicach mogła oznaczać tylko jedno: nadeszły jakieś ważne wiadomości. Dobre lub złe.

W końcu Myron powrócił zdyszany, ale uśmiechnięty.

– Pani, wspaniałe nowiny! Kartagina wzięta i wojna skończona! Do Ostii przybił dziś rano statek i gońcy dopiero co dotarli do Rzymu. Więcej na razie nie mogłem się dowiedzieć, ale jeśli każesz, pobiegnę na Forum.

Menenia zalała się łzami i Błozjusz mocno ją objął. Na Kornelię w ogóle nie zwracali uwagi. Patrząc na nich, poczuła się nagle bardzo samotna. Upał coraz bardziej dawał się jej we znaki, a jaskrawy blask słońca sprawił, że oczy zaczęły jej łzawić.

– Tak, Myronie, idź i wywiódź się o wszystko. Może coś wiadomo o... naszych stratach.

– Już biegnę, pani.

Myron odwrócił się i rzucił ku drzwiom, zderzył się jednak z wchodzącym właśnie mężczyzną. Gospodyni przyjrzała mu się, osłaniając oczy przed słońcem.

– Nikomedes! To naprawdę ty? – wykrzyknęła.

Był to jeden z niewolników Tyberiusza, który towarzyszył panu na wyprawie kartagińskiej.

– Co tu robisz? Dlaczego nie jesteś przy swoim panu? – Mimo gorąca Kornelia zadrżała.

– Niechże mój pan sam odpowie – odrzekł Nikomedes z uśmiechem i podał jej składaną woskową tabliczkę wyjętą z sakwy przewieszanej przez ramię.

– List? Od Tyberiusza?

– Własnoręcznie przeze mnie zapisany, jak mi dyktował pan, który nie tylko ma się jak najlepiej, ale został bohaterem wszystkich legionów.

– Bohaterem?

– Wszystko wyjaśnia w liście.

Kornelia kiwnęła głową. Opanowała ją dziwna niemoc.

– Myronie, przyprowdź tu Gajusza. Powinien tu być przy odczytywaniu listu od brata. Błozjuzu, mogę cię prosić? – Podana filozofowi tabliczkę. – Ręce mi drżą i chyba litery skakałyby mi przed oczyma.

Po chwili do ogrodu wbiegł mały, ładny chłopiec.

– Czy to prawda, mamó? Kartagina zdobyta i jest list od Tyberiusza?

– Tak, Gajuszu. Siądź tu obok mnie, Błozjusz nam go przeczyta.

Nauczyciel odkaszlnął.

– Do mej ukochanej matki, córki wielkiego Scypiona. Piszę te słowa z miasta, które kiedyś zdobył mój dziadek i które dzisiaj znów wpadło w rzymskie ręce. Po raz trzeci już zdobywać go nie będziemy. Od dzisiaj Kartagina nie istnieje. Wraz z tym listem Nikomedes przywiezie pamiątkę ode mnie. To korona w kształcie miejskich fortyfikacji, przyznana mi w nagrodę jako pierwszemu żołnierzowi, który wdarł się na mury.

Nikomedes wyjął z worka odlaną ze srebra koronę. Przypominała zwieńczony blankami mur obronny z kilkoma basztami.

– Twój syn, pani, otrzymał ją przed frontem całego legionu i nosił ją podczas uczty wydanej z okazji zwycięstwa, na której zasiadał na honorowym miejscu. Przesyła ją przeze mnie, abyś ty pierwsza w całym Rzymie ją zobaczyła – rzekł, podając ją Kornelii.

– Pierwszy wdarł się na mury! – szepnął Gajusz, wpatrzony w koronę w dłoniach matki. – Pierwszy Rzymianin w Kartaginie! Wyobrażasz sobie, jakie to musiało być niebezpieczne?

Kornelia świetnie to sobie wyobrażała. Od samej myśli czuła zawroty głowy, ale zmusiła się do uśmiechu i założyła koronę Gajuszowi. Była za duża na jego głowę i zsunęła mu się prawie na oczy. Wszyscy się roześmieli, a on gniewnie zepchnął ją z czoła, aż upadła z brzękiem na bruk.

– To wcale nie jest śmieszne, mamó! Ona nie jest dla mnie!

– Cicho, Gajuszu. – Kornelia z westchnieniem schyliła się po koronę i położyła sobie na kolanach. – Posłuchajmy, co pisze dalej twój brat. Błozjusz, czytaj, proszę.

– Dla twej przyjaciółki Menenii też mam dobre wieści. Jej syn Lucjusz bił się dzielnie, zabił wielu wrogów i nie odniósł ani jednej rany.

– Bogom niech będą dzięki! – krzyknęła Menenia, sięgając odruchowo do ręki Błozjusza, on jednak tego nie dostrzegł, zajęty listem. Wpatrywał się w równo zapisane linijki, czytając cicho dalsze akapity.

– Błozjusz, czytajże! – zniecierpliwiła się gospodyni. – Co jeszcze napisał Tyberiusz?

– Tylko... trochę opisów... samej bitwy. Nic natury osobistej.

– Dobrze. Słuchamy więc.

– Nie jestem pewien, czy powinienem to czytać na głos przy chłopcu. Przy tobie zresztą też. To chyba oznaka wielkiego szacunku, jakim syn cię darzy, że pisze tak szczerze, jakby mógł się zwracać do ojca...

– Co nie tak dawno mówiłeś, Błozjusz, o wartości kobiet?

– To nie kwestia wartości, tylko... delikatności.

– Nonsens. Jeśli ty nie chcesz, to ja przeczytam.

Kornelia wstała, odłożyła koronę na stolik i wzięła z jego rąk tabliczkę.

– Co się tyczy Kartaginy... – zaczęła. – Cień Katona może wreszcie spocząć w pokoju: miasto, równie stare jak Rzym, jest doszczętnie zniszczone. Port zablokowany, domy spalone, ołtarze, na których składano ofiary z ludzi, zburzone. Nawet ogrody zostały wykarczowane, a wspaniałe mozaiki na placach całe pokryte krwią. Mieszkańców ścinałiśmy, póki nam ręce nie omdlały, a ci, co uszli z pogromu, będą niewolnikami. O ile wiem, wszystkie kobiety zostały zgwałcone, niezależnie od wieku i stanu. Wiele zabito, choć błagały o litość – taki szal niszczenia i mordy ogarnął zwycięskich żołnierzy. Jeńców podzieli się według płci i zostaną sprzedani na rynkach odległych o setki mil, aby żaden Kartagińczyk nie spotkał już żadnej Kartaginki, a cała rasa wymarła wraz z nimi. Zanim trafią na targ, wytnie się im języki, aby także ich mowa, a nawet imiona ich bogów na zawsze zniknęły z powierzchni ziemi. Sama ziemia będzie wyjałowiona. Gdy to piszę, ludzie zaorywują sól na polach, aby przez całe pokolenie nic tam nie wyrosło. Jak mnie uczył Błozjusz, Rzym się narodził dzięki tej cennej przyprawie, wydaje się więc słuszne, by sól przypieczętowała też śmierć Kartaginy. Kiedy Aleksander podbił Persję, zostawił Babilon nietknięty, a tamtejszy lud uczynił swymi poddanymi. Za tę łaskawość sławili go ludzie i kochali bogowie. My poszliśmy za dawniejszym przykładem, bezlitosnych Greków, którzy złupili Troję i zostawili po sobie zgliszcza i ruiny. Grecy autorzy opowiadają o licznych nieszczęściach, jakie potem spadały na zwycięzców – Ajaksa, Ulissesa, Agamemnona i innych. Modłę się, aby bogowie zaaprobowali to, cośmy zrobili z Kartaginą, i zesłali piękne przeznaczenie rzymskiemu ludowi, który dokonał tych straszliwych spustoszeń ku chwale Jowisza.

Kornelia drżącą ręką zamknęła i odłożyła tabliczkę.

– Och, gdybym ja mógł tam być! – zawołał Gajusz z błyszczącymi z podniecenia oczyma. – Cóż to musiał być za wspaniały dzień! Teraz nigdy się nie powtórzy, bo Kartaginy nie ma i nie będzie już z nią następnej wojny, a ja byłem za mały, żeby tam jechać. Nie mogę się doczekać Tyberiusza, żeby mi dokładnie wszystko opowiedział!

Menenia spuściła oczy.

– Wojny były, są i zawsze będą w ludzkiej naturze – powiedział cicho Błozjusz. – Najwyraźniej rzymscy bogowie są potężniejsi od kartagińskich i za to musimy być wdzięczni. A jednak... boję się o przyszłość Rzymu. Jaką przenikliwość wykazał Tyberiusz, przywołując przykład Greków i Troi! Przypomina mi się ich heros Achilles, niemal niezwyciężony... a przecież, gdy zbecześcił zwłoki Hektora, bogowie ukarali go za *hybris* i przestali go chronić, zginął więc w boju jak pierwszy lepszy śmiertelnik. Rzym wkroczył w nową erę. Wraz ze zburzeniem Koryntu nasz szacunek dla greckiej sztuki zamienił się w rozpasaną grabież. Po zniszczeniu Kartaginy nie mamy już rywala na morzu. Jak jednak Rzym udźwignie odpowiedzialność związaną z potęgą i bogactwem bez precedensu w historii świata? Musimy się modlić, aby bogowie zsyłali nam mądrych ludzi, którzy poprowadzą nas w przyszłość... i mądre kobiety, które ich będą musiały wychować!

Blozjusz, Menenia i Kornelia jednocześnie spojrzeli na Gajusza. Natchniony wizją rzezi w Kartaginie ośmielił się sięgnąć po koronę i sam ją przymierzał, nieświadomy, że obserwują go trzy pary oczu.

133 r. p.n.e.

– Tyberiusz się pakuje w kłopoty, mamó. Poważne kłopoty. Nie ma pojęcia, na co się porywa. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

Lucjusz Pinariusz, młodzieniec o kasztanowych włosach i jasno-zielonych oczach typowych dla wielu członków ich rodu, podniósł do ust łyżkę gotowanej kapusty marynowanej w garum. Ta potrawa, podawana na zimno, latem cieszyła się w ich domu dużym powodzeniem. Blozjusz też się poczęstował, choć na ogół przyprawiała go o niestrawność. Wprawdzie wszystkie dzieci Kornelii były już dorosłe, on jednak wciąż mieszkał w jej domu, ale większość czasu spędzał tu, u Menenii – zaledwie o kilka kroków dalej. Ci dwoje nie mogli nawet myśleć o małżeństwie – ona patrycjuszka, on filozof z prowincjonalnego Kurne – lecz ich związek przetrwał próbę czasu. Wdowa i stoik żyli i starzeli się razem.

Menenia nawet nie spróbowała kapusty. W upalne dni nie miała apetytu; czasami się nawet żaliła, że przez cały sierpień nie może nic włożyć do ust. Stojący za nią niewolnik wachlował ją pękiem pawich piór.

– Tyberiusz Grakchus zawsze był ci przyjacielem, Lucjuszu – powiedziała. – Powinieneś się cieszyć wraz z nim. Dlaczego nie spojrzysz na jego trybunat jak na szansę dla siebie? Przez cały rok celowo go unikałeś. Weźmy na przykład tę ustawę, którą zdołał wprowadzić w życie, powołując komisję do spraw przydziału gruntów ornych? Mógłbyś w niej służyć.

– I zakończyć karierę, zanim się jeszcze zaczęła? To się skończy katastrofą, zobaczysz.

– Niekoniecznie – rzekł Blozjusz. – To prawda, że Tyberiusz wiele ryzykuje. Szczerze mówiąc, jego śmiałość mnie zadziwia, choć właściwie nie powinna. W końcu jest wnukiem swego dziadka, a przede wszystkim synem swej matki.

– I uczniem Blozjusza! – rzucił poirytowany Lucjusz. – Wy, stoicy, uparcie twierdzicie, że najlepszą formą władzy nie jest republika, ale sprawiedliwy monarcha. Nawbijaliście Tyberiuszowi do głowy wiele takich niebezpiecznych idei.

Blozjusz umiał trzymać nerwy na wodzy, ale kapusta zaczynała już krecią robotę w jego żołądku.

– Tyberiusz jest wizjonerem. Jeśli moje nauki go zainspirowały, to mogę być tylko dumny ze swego osiągnięcia.

– Czy jednak poniesiesz konsekwencje wraz z nim, gdy ten jego zamek na piasku się rozsypie?

– Tyberiusz jest najbardziej kochanym człowiekiem w Rzymie.

– I najbardziej znienawidzonym – zareplikował Lucjusz.

– Lucjusz! Blozjusz! Przestańcie się kłócić! Dzień jest na to za gorący – skarciła ich Menenia z westchnieniem. – Teraz wyjaśnijcie mi jeszcze raz, każdy po kolei ze swojego punktu widzenia, co takiego właściwie Tyberiusz zamierza i dlaczego ma mu to przynieść tak wielki sukces... albo katastrofę.

Filozof popatrzył na nią spod oka.

– Udajesz tylko ignorancję, moja droga, żeby nas skłonić do obrony stanowisk za pomocą logiki, a nie emocji. Potrafiłabyś to podsumować równie dobrze jak każdy z nas.

Menenia się roześmiała.

– Jeśli to was uciszy, to proszę bardzo, podsumuję! Dawno temu, kiedy nasi przodkowie podbijali Italię kawałek po kawałku, Rzym wszedł w posiadanie wielkich połaci gruntów publicznych. Później jeszcze więcej ziemi przechwycono od miast, które przeszły na stronę Hannibala. Polityka miasta zawsze była taka, że te zdobycze rozdawano rzymskim obywatelom i italskim sprzymierzeńcom w nagrodę za służbę wojskową. Miało to dwojaką zaletę: małe gospodarstwa stabilizują ekonomię i dostarczają żołnierzy, ponieważ ich właściciele są zobowiązani do służby. Działki wyznaczano małe i pilnowano ich sprawiedliwego podziału, ograniczona więc była ilość ziemi, jaką mógł posiadać pojedynczy właściciel. Jak jednak mówi etruskie przysłowie, pieniądz wszystko zmienia. Za mojego życia do Rzymu napłynęły oszałamiające ilości złota i srebra z podbijanych miast i prowincji, a w rezultacie bardzo mała grupa obywateli stała się bajecznie bogata. Niektórzy z nich znaleźli sposób na obejście prawnych limitów i nabyli wielkie dobra ziemskie, w komplecie z niewolnikami do ich uprawiania. W konsekwencji wolni ludzie w całej Italii zostali wyparci z gospodarstw i musieli się osiedlić w miastach, gdzie z trudem wiążą koniec z końcem, unikają zakładania i powiększania rodzin i nie mają obowiązku służyć w armii. Ta sytuacja nie jest korzystna dla nikogo poza tą wybraną grupką bogatych latyfundystów. Ubogie masy Italii zostały pozbawione ziemi, a Rzym nie ma skąd brać żołnierzy. Coś trzeba zrobić, żeby można było odzyskać nielegalnie zagarnięte majątki wielkich posiadaczy i zwrócić je prostym ludziom – zakończyła Menenia, wielce z siebie zadowolona. – Proszę uprzejmie. Czy zadowala was moje podsumowanie?

– Sam nie mógłbym tego zrobić lepiej – pochwalił ją Blozjusz. – Dodałbym może tylko, że skutki tego stanu rzeczy wykraczają daleko poza samo tylko zarządzanie ziemią. Weźmy toczącą się wojnę w Hiszpanii. Nieuzasadnione, przeciągające się, katastrofalne przedsięwzięcie, wielokrotnie partaczone przez rządzącą klikę w senacie. Prowadzi to do wielkiego niezadowolenia w naszych szeregach, na co dowódcy odpowiadają wprowadzaniem surowej i upokarzającej dyscypliny. Myślę tu o incydencie z dezertkami,

których wytropiono, osaczono, pobito i sprzedano w niewolę. – Zerknął tęsknie na misę z kapustą, ale nie zdecydował się na dokładkę. – Napływ wielkiej liczby niewolników stał się źródłem innych problemów, jak choćby wielki bunt, jaki wybuchł na Sycylii i może ogarnąć całą wyspę! A to tylko najnowsza i największa taka rewolta. Liczba niewolników urosła w całej Italii do alarmującego poziomu, a wielu właścicieli traktuje ich bardzo brutalnie. Sytuacja z każdym dniem staje się niebezpieczniejsza. Rolnicy ograbieni z ziemi, poniewierani i marnie opłacani żołnierze, masy zdesperowanych niewolników. Rzymianie się domagają naprawy, a Tyberiusz Grakchus zadeklarował, że potrafi to zrobić.

– Zaledwie dwadzieścia dziewięć lat, a już jest trybunem! – rzekła Menenia. – Kornelia musi być bardzo dumna.

Lucjusz przyjął to jako afront. Ironiczny uśmiezek nieprzyjemnie wykrzywił mu twarz.

– No, trochę mu pomogło, że ma teścia ważniaka! Appiusz Klaudiusz jest dziś chyba najbardziej wpływowym senatorem.

– Ach, zawsze ci Klaudiusze! Z każdym pokoleniem prowadzą coraz bardziej radykalną politykę – podchwycił Blozjusz. – Tak, Tyberiusz ma w nim potężnego sprzymierzeńca. Wielcy posiadacze nie cofną się jednak przed niczym, by utrzymać majątki. Widzieliśmy, jak do tej pory toczyła się rozgrywka. Tyberiusz przedłożył projekt rozdziałów ziemi, ale wystarczy głos tylko jednego z dziewięciu trybunów, aby go zawetować, a latyfundystom udało się przekonać do tego Marka Oktawiusza.

Lucjusz był coraz bardziej poruszony.

– I tu dochodzimy do odpowiedzi na pytanie, dlaczego nie chcę mieć nic wspólnego z Tyberiuszem i jego polityką. Kiedy Oktawiusz zgłosił sprzeciw, Grakchus wniósł o jego odwołanie w drodze głosowania i chciał go zmusić do złożenia urzędu. Oktawiusz odmówił, na co jeden z wyzwolenców Tyberiusza siłą ściągnął go z Rostry. Wywiązała się bijatyka, w której jeden ze sług Oktawiusza stracił oczy. Teraz krytycy Tyberiusza nazywają go wrogiem ludu, dokonał bowiem tego, co nie udało się nawet Koriolanowi: pozbawił trybuna stanowiska!

– Działanie Tyberiusza było całkowicie legalne...

– Nie wiem, czy usunięcie Oktawiusza było zgodne z prawem czy nie. Wiem za to, że Tyberiusz uciekł się do przemocy. Tak, dopiął swego. Jego propozycja nabrała mocy urzędowej. Żeby przeprowadzić reformę ziemską, trzeba powołać komisję. A kogo Tyberiusz do niej wyznaczył? Siebie, swojego teścia i młodszego brata Gajusza, który dopiero co skończył dwadzieścia jeden lat!

– Potrzebni mu są zaufani ludzie – bronił ulubieńca Blozjusz.

– Toż to na miłą trąci nepotyzmem! Wspomniałaś, mamó, wcześniej, że mogłem sobie załatwić miejsce w tej komisji. Otóż oświadczam ci, że nie ma takiej siły, która by mnie do tego nakłoniła! A co powiecie o ostatnim gambicie Tyberiusza? Masz rację, mamó, że pieniądź zmienia wszystko. Popatrzcie: umiera król Pergamonu Attalos i w testamencie

przekazuje całe królestwo Rzymowi. Jesteśmy teraz właścicielami ziem należących ongiś do Trojan. Przychody z nich będą ogromne. Normalnie całe to złoto i łupy trafiłyby prosto do skarbcza senatu, ale nasz trybun ma inny pomysł. Powiada, że należy to rozdać bezpośrednio ludowi, wraz z nadaniami ziemi, aby mieli za co kupić narzędzia i ziarno na siew. Jego przeciwnicy nazywają to publiczną łapówką na niespotykaną skalę i oskarżają Tyberiusza o zamiar obwołania się królem.

– Bzdury! – prychnął filozof.

– Może i bzdury, ale w najlepszym razie dąży on do gruntownego przeniebowania naszego systemu rządów. Kwestionuje zwierzchność senatu, wykorzystując urząd trybuna do robienia rzeczy, jakich żaden trybun dotąd nie robił.

– Wiecie, to wszystko zaczyna mnie naprawdę fascynować – wtrąciła Menenia. – Dlaczego jesteś tak przekonany, że Tyberiusz przegra?

– Dlatego, mam, że z każdym dniem traci poparcie. Szarzy obywatele, nie patrząc, czy to dla nich korzystne czy nie, uwierzyli w argument, że usuwając jednego z trybunów, naruszył ich suwerenne prawa. Jeśli zaś myśli, że uda mu się obejść senat i przechwycić bogactwa Pergamonu dla własnych celów politycznych, to naprawdę igrza z ogniem. Czy zaś chce zostać królem, jak twierdzą jego nieprzyjaciele? – Lucjusz spojrział na filozofa. – Dwór już ma... i greckiego filozofa jako doradcę.

– Moja filozofia pochodzi z Grecji, ale ja sam jestem rodem z Kampanii, i to ze szlacheckiego rodu! – zaperzył się Blozjusz. – Tyberiusza uczyłem od dziecka. Jeśli chce się mnie radzić jako dorosły, dlaczego nie miałby tego robić?

– Dlatego że rzymscy urzędnicy nie konsultują się z greckimi filozofami w sprawach wagi państwowej... chyba że chcą wyglądać na greckich tyranów. Ja tylko powtarzam, co mówią wrogowie Tyberiusza. Pytają też o coś innego. Kiedy pergamoński poseł przybył do Rzymu, komu doręczył królewski testament i insygnia zmarłego Attalosa? Senatorom? Nie! Udał się prosto do domu Tyberiusza!

– Ale nie po to, by go namaścić na króla! – zaprotestował Blozjusz. – Złożył mu po prostu kurtuazyjną wizytę. Powiązania dyplomatyczne między Grakchami a dworem w Pergamonie sięgają poprzedniego pokolenia. Trzydzieści lat temu ojciec Tyberiusza na czele specjalnego poselstwa badał zarzut próby wszczęcia buntu, jaki postawiono ojcu Attalosa, i całkowicie go uniewinnił. Od tamtego czasu oba rody pozostawały w kordialnych stosunkach.

– Niezależnie od wyjaśnień wyglądało to jednak podejrzenie.

– Nonsens! Wrogowie Tyberiusza gotowi są chwycić się najgorszych oszczerstw, byle doprowadzić do jego upadku. Stanął w obronie ludu, a złodzieje ziemi krzyczą, że chce władzy królewskiej. Wyborcy powinni mieć dość rozumu, by nie wierzyć w takie brednie.

– Ile go mają, przekonamy się już wkrótce – odparł Lucjusz. – Tyberiusz ubiega się o drugą kadencję. W wypadku innych urzędów jest to nielegalne...

– Ale nie, jeśli chodzi o trybunat. Pewien precedens pozwala aktualnemu trybunowi pozostać na stanowisku: jeżeli w danym roku nie znajdzie się dziesięciu nowych kandydatów...

– Czy to właśnie knuje Tyberiusz? Chce zatrzymać urząd przez przekupienie lub zastraszenie potencjalnych rywali?

– Potencjalni rywale zrezygnują sami, tego bowiem zażąda lud.

Lucjuszowi opadły ręce.

– Nie widzisz, do czego to wszystko prowadzi? Jeżeli Tyberiuszowi pozwoli się po raz drugi stawać do wyborów przez jakiś kruczek proceduralny, a on je wygra, tym bardziej jego przeciwnicy będą chcieli go powstrzymać. To zaś oznacza eskalację przemocy. Jeśli zaś przegra, utraci immunitet, a oni natychmiast postawią go przed sądem pod jakimś wydumany pretekstem i poślą na wygnanie. Tak czy owak, Tyberiusz znalazł się w bardzo niebezpiecznym położeniu.

Zapadło długie milczenie, które w końcu przerwało westchnienie Lucjusza.

– To nie jest tak, że ja się nie zgadzam z jego propozycją redystrybucji ziemi. To szczytny cel i trzeba to zrobić, i kiedyś na pewno do tego dojdzie. Gdyby on tylko chciał działać wolniej, kolejnymi małymi krokami...

– Wtedy chciwi latyfundiści tym silniej by oponowali – odezwał się zachrypnięty głos za ich plecami.

– Tyberiusz! – zakrzyknęła Menenia i zerwała się, by uścisnąć przybyłego. – Skąd się tu wzięłeś?

– Prosto z Forum, ma się rozumieć. Zbliży się dzień wyborów. Tak myślałem, że cię tu znajdę, Błozjuszu – zwrócił się do filozofa.

Tyberiusz Grakchus wyrósł na uderzająco przystojnego mężczyznę; wielu porównywało go z popiersiami jego dziadka i twierdziło, że wnuk jest jeszcze bardziej urodziwy. Tego dnia wyglądał trochę mizernie; nieustanne trudy kampanii wyborczej odcisnęły na nim swoje piętno. Mimo oczywistego zmęczenia jakby roztaczał aurę silniejszą od zwykłej fizycznej obecności – ów wymykający się definicji magiczny urok, przez Greków zwany *charisma*. Przytulnie urządzony ogród Menenii wydawał się za mały, by go pomieścić.

Błozjusz też wstał na powitanie gościa. Zamienili kilka przyciszonych słów, a potem Tyberiusz zwrócił się do Lucjusza, który pozostał na krześle i się nie odzywał.

– Słyszałem niektóre twoje uwagi, Lucjusz. Przywykłem bronić swego stanowiska przed wrogami... Tymczasem może powinienem poświęcić więcej czasu na jego wyjaśnianie przyjaciółom.

Zagadnięty podniósł się i wyprostował ramiona.

– Nie chciałem cię urazić, Tyberiuszu. Tu, w domu matki, nie robię jednak tajemnicy ze swoich poglądów. Rozmawiałem z Błozjuszem szczerze.

– I na pewno mnie bronił. Nawet on nie może jednak powiedzieć ci czegoś, co ja ci powiem od serca, bo nie doświadczył tego, co było moim udziałem przez ten ostatni rok. Menenio, czy dostanę trochę wina? Gardło mam zdarte od przemawiania.

Niewolnik natychmiast przyniósł mu kubek. Gość pił łapczywie, ale na chrypkę mu to nie pomogło.

– Lucjuszu, kiedy rok temu zaczynałem po raz pierwszy się ubiegać o trybunat, niewiele się różniłem od pozostałych kandydatów. Szukałem odbicia do dalszej kariery, chciałem wyrobić sobie nazwisko. Tak, wierzyłem w to, co mówiłem... a raczej w to, co mówił Błozjusz, on bowiem pisał mi przemówienia. Naprawdę uważałem, że potrzeba nam reform, lepszego traktowania żołnierzy i tak dalej. Były to jednak dla mnie nie cele same w sobie, tylko raczej środki do innych, ważniejszych celów: chciałem zdobyć elektorat i zapewnić sobie dobry start w *cursus honorum*. A potem wyruszyłem w podróż. Przemierzyłem wzdłuż i wszerz całą Italię, a to, co ujrzałem, przeraziło mnie. Na wsi już prawie nie spotyka się wolnych ludzi. Zupełnie jakby jakiś tytan złapał Italię za dwa końce i podniósł tak, że wszyscy na łeb, na szyję pospadali do Rzymu, gdzie się usypała z nich cała piramida. Dzisiaj ledwo można się przecisnąć przez Suburę, taki tam tłok. Tymczasem wieś zaludniono ponownie, ale już inaczej. Teraz na polach i w winnicach Italii na grupkę bogaczy, którzy zagarnęli całą ziemię, pracuje cała armia przywleczonych z czterech stron świata niewolników. Pracuje to złe słowo. Oni harują w strasznych warunkach, póki nie padną. Dosłownie! Pracują, póki sił, padają tam, gdzie stoją, i umierają, czym nikt się nie przejmuje. Nieraz zdarzało mi się widzieć leżącego trupa, wokół którego dalej pracowali inni, poganiani biczem bezlitosnego nadzorca. Niewolnicy stali się tak tani, że właściciele traktują ich gorzej niż bydło. – Tyberiusz pokręcił głową. – Wszyscy wiemy, że tak tam jest. Dyskutujemy o tak zwanym problemie ziemi jak o abstrakcyjnej koncepcji, zastanawiamy się, jak to zmienić, i spieramy się o detale. Ale ujrzeć rzeczywistość z pierwszej ręki, dzień po dniu jeżdżąc z miejsca na miejsce, to zupełnie odmienne doświadczenie. Wróciłem do głębi wstrząśnięty. Naprawdę zmieniłem się jednak pod wpływem czegoś innego. Powiedziałem przed chwilą, że na wsi nie ma już wolnych ludzi. To nie do końca prawda. Tu i ówdzie trafiałem na ubożego rolnika, który jakimś cudem utrzymał tytuł własności ziemi i uprawia ją tradycyjnym sposobem: rodzina pracuje na polu wraz z paroma niewolnikami, dzieląc z nimi trud i strawę. Te gospodarstewka są jak otoczone morzem wielkich posiadłości wyspy dawnej italskiej wsi. Ponieważ ci ludzie nabyli grunt dzięki służbie wojskowej, a często mają synów w legionach, nierzadko widuje się tam fragmenty zbroi lub repliki sztandarów dumnie wywieszane na bramach. Raz spojrzysz i od razu jasno widzisz związek: prężne społeczności drobnych rolników, silna armia, zdrowe i prosperujące miasto. Przejeżdżając obok jednego z takich gospodarstw w Etrurii, na bramie zauważyłem wymalowany na desce napis: Tyberiuszu Grakchusie, pomóż nam zachować ziemię. – Uśmiechnął się posepnie. – W moim imieniu był błąd, a litery strasznie koślawe, ale we mnie jakby grom trafił. A to był dopiero pierwszy z

takich znaków. Potem niemal na każdym mijanym domostwie, nawet tych z dala od głównych dróg, widywałem podobne napisy. Tyberiuszu, powstrzymaj napływ niewolników... Oddaj nam ziemię i pracę... Pomóż... Wstaw się... Wieść o mojej wyprawie wędrowała szybciej ode mnie, podawana z ust do ust. Kiedy wróciłem do Rzymu... – Głos Tyberiusza był naładowany emocją i tak ochrypli, że trudno było mu mówić. Menenia podała mu wino; napił się i odkaslnął. – Misja, której się podjąłem, jest wielka i może mnie przerasta. Politycy przychodzą i odchodzą, małostkowi, kłótlivi, gotowi na wszystko, byle popchnąć do przodu karierę, bezwstydni. Liczy się przeznaczenie Rzymu i los jego ludu, zwłaszcza zaś tych, którzy go żywią i bronią, wylewają pot i krew, poświęcają siebie i potomstwo dla chwały naszego miasta.

Umilkł. Przez długą chwilę panowało milczenie, aż wreszcie odezwał się Blozjusz. Miał łzy w oczach.

– Mój drogi chłopcze! Przechwalam się, że cię uczyłem, ale uczeń dalece przerósł mistrza! Zawsze byłeś mądry, poważny i zdyscyplinowany... ale nigdy nie przypuszczałem, że chłopiec Kornelii wyrośnie tak wysoko, że wszyscy się znajdziemy w jego cieniu.

– Blozjuszu, chyba nie do końca mnie rozumiałeś. – Tyberiusz uśmiechnął się blado. – Mówiąc, że politycy przychodzą i odchodzą, a trwa tylko lud, to właśnie miałem na myśli. Nie łudzę się, że jestem wielki albo że trwale zapiszę się w historii, chyba że znajdę sposób na wykorzystanie siły ludu na jego korzyść i dla większej chwały Rzymu.

– Oczywiście. Dobrze powiedziane! – Filozof otarł łzy rękawem tuniki. – Ale, ale... Mówiłeś, że przyszedłeś mnie szukać?

– Tak. Jest kilka czysto praktycznych spraw, które chciałbym z tobą omówić. Appiusz Klaudiusz sugeruje, że powinienem przed wyborami zaproponować skrócenie okresu służby wojskowej. Uważa też, że warto rzucić hasło dopuszczenia osób spoza senatu do stanowisk sędziowskich.

– O, to wymaga poważnej dyskusji. Może u twojej matki?

– Jak najbardziej. Menenia i Lucjusz i tak z wielką cierpliwością wysłuchali moich tyrad.

– Cóż ty opowiadasz! – zaprotestowała pani domu. – Jesteś tu zawsze mile widziany, Tyberiuszu. Wiesz, jak lubię cię słuchać! Musisz jednak coś zrobić z tą chrypką. Gorący napar z mięty i miodu może zdziałać cuda.

– Spróbuję – obiecał trybun. – Do widzenia, Menenio. Na razie, Lucjusz. – Uśmiechnął się do dawnego przyjaciela, ale ten tylko skinął w odpowiedzi głową.

Po odejściu Tyberiusza i Blozjusza ogród nagle wydał się nienormalnie cichy i pusty. Matka i syn siedzieli w milczeniu, pogrążeni w myślach.

Opowiadanie o napisach na wiejskich domostwach nie poruszyło serca Lucjusza. Osądził, że Tyberiusz albo jest uzależniony od polityki i nie potrafi ani na chwilę zaprzestać agitacji, albo jest prawdziwym idealistą, zaślepionym wizją wielkości i obojętnym na straszliwe

niebezpieczeństwa czyhające na obranej drodze. Jego z pasją wypowiedane słowa bardziej Lucjusza zaniepokoiły niż kiedykolwiek przedtem.

Menenia myślała o swej przyjaciółce i o tym, na jak odmiennych mężczyzn wyrosli ich synowie. Co jest lepsze: być matką człowieka, który zostawia za sobą ognisty ślad jak kometa, przy całej niepewności i niebezpieczeństwach takiego życia, czy też mieć syna statecznego i przewidywalnego jak gruda ziemi. Menenia musiała sama przed sobą się przyznać, że zazdrości Kornelii – przynajmniej w tej chwili. Czy jednak nie przyjdzie czas, że zazdrość zamieni się we współczucie?

* * *

– Gdyby tylko wybory nie przypadały na środek lata! – narzekał Tyberiusz. – Akurat wtedy moi najwierniejsi stronnicy są poza Rzymem, szukając pracy przy żniwach. Błozjuszu, czy mógłbyś...

Jedna z fałd jego togi uparcie się przekrzywiła i filozof poprawił mu ją.

– To nie przypadek – odparł. – Patrycjusze zawsze starali się tak manipulować wszystkimi aspektami elekcji, by sobie zapewnić maksymalnie korzystne warunki, a kandydatom plebejskim jak najgorsze. Jeśli jednak sprawa jest słuszna, a kandydat niezłomny, woli ludu nie da się przeciwstawić.

Do izby weszła Kornelia.

– No, Tyberiuszu, niech ci się przyjrę – powiedziała.

Syn posłusznie przybrał pomnikową pozę.

– Wyglądasz wspaniale! – orzekła z uśmiechem. – Ojciec i dziadek byliby z ciebie dumni. Szkoda tylko, że twój brat cię nie widzi.

Gajusz został wysłany na prowincję, by apelować do sympatyków Tyberiusza o powrót do Rzymu i udział w wyborach. Kornelia cmoknęła syna w policzek.

– Chodźmy więc – zakomenderowała. – Augur już przybył i czeka w ogrodzie. Przestań przewracać oczyma, Błozjuszu! Wiem, co myślisz o naszych religijnych obrzędach, ale to stara tradycja i trzeba jej dochować. Ani ojciec, ani dziadek Tyberiusza nie pokazaliby się wyborcom w dniu elekcji bez zasięgnięcia rady wróżbity.

Augur postawił na środku ogrodu klatkę z trzema kurami. Okrążył ją trzykrotnie, zanosząc inwokację do bogów i cieni przodków kandydata, po czym rozsypał trochę ziarna na lewo i prawo od klatki i otworzył drzwiczki. Auspicje odczytywało się z zachowania ptaków: czy trzymają się razem, czy rozbiegają i w którą stronę. Jeśli na prawo, oznaczałoby to, że bogowie sprzyjają zamiarom zamawiającego wróżbę, jeśli na lewo, to lepiej z nich zrezygnować.

Kury jednak nie chciały w ogóle ruszyć się z klatki. Gdakały i kręciły się w ciasnej przestrzeni, jakby nie zauważyły, że mają wolną drogę. Augur tupnął nogą, zamachał rękami,

a w końcu schwycił za róg klatki i mocno potrząsnął. Jedna z kokoszek zdecydowała się wyjść, ale nie zwracała uwagi na ziarno. Uniosła na chwilę lewe skrzydło, jakby chciała się przeciągnąć, a potem zawróciła i podreptała z powrotem do klatki.

Augur wyglądał na mocno zakłopotanego.

– Auspicje są... niewyraźne – oznajmił.

Kornelia zmarszczyła brwi.

– Lewe skrzydło... – szepnęła, ogarnięta nagle złym przeczuciem.

– Niestety, sztuka wróżenia nie jest nauką ścisłą – powiedział Tyberiusz. – Przyszłość jest skryta za zasłoną, ale nadejdzie tak czy inaczej.

Matka i syn wymienili spojrzenia. Widziała, że jest poruszony, ale nic nie powiedziała. Tyberiusz ruszył do wyjścia. W westybulu przystanął i przez chwilę patrzył na podobizny przodków. Dotknął woskowego czoła Scypiona Afrykańskiego, po czym dał odźwiernemu znak, by otworzył drzwi.

Na ulicy czekał na niego spory tłum zwolenników. Wielu spędziło przed jego domem całą noc, zmieniając się na warcie u drzwi. Kampania dobiegała końca i atmosfera była coraz gorętsza. Między poszczególnymi frakcjami dochodziło do tak zajadłych bójek, że niejeden obawiał się o życie Tyberiusza. Krążyły pogłoski, że jego wrogowie zamawiają się, by go zamordować jeszcze przed wyborami; oponenci głosili, że to on sam rozsiewa takie plotki, by podjudzić swoich stronników. Niezależnie od pobudek ludzi zebrało się sporo, a kiedy ujrzeli go w drzwiach, zaczęli wiwatować.

Tyberiusz uśmiechnięty zrobił krok naprzód, ale potknął się o próg i stracił równowagę. Ratując się przed upadkiem, uderzył dużym palcem lewej nogi o wystający kamień z taką siłą, że był przekonany, iż złamał kość. Na pewno zdarł sobie paznokiec; krew musiała płynąć obficie, bo wkrótce przesiąknęła przez cienką skórę buta. Zrobiło mu się słabo, musiał nawet zwalczyć mdłości. Odruchowo wyciągnął rękę, szukając pomocy; natrafił na ramię Błozjusza i wsparł się na nim mocno.

– Zraniłeś się! – szepnął filozof.

– Myślisz, że to zauważyli? – Tyberiusz trzymał głowę spuszczoną i mówił przez zaciśnięte zęby.

Błozjusz potoczył wzrokiem po rozkrzyczanym tłumie.

– Chyba nie.

– Dobrze. Ruszamy więc jakby nigdy nic.

– Możesz iść?

– Jeśli mi pomożesz. Najpierw jednak muszę do nich przemówić. Ci ludzie warowali tu przez całą noc, czekając na tę chwilę.

Tyberiusz stanął wyprostowany i nawet zdobył się na uśmiech. Uniósł ręce, by uciszyć zgromadzonych.

– Wierni moi stronnicy i przyjaciele, drodzy Rzymianie! Długa noc się skończyła i cokolwiek tam nasi wrogowie knuli, my dalej żyjemy!

Odpowiedziała mu kolejna salwa wiwatów i śmiechu.

– Pilnowaliście mnie od zmroku do świtu i za to wam z serca dziękuję. Za waszą lojalność odpłacę służbą! Jeśli zostanę trybunem na drugą kadencję, przyrzekam czuwać nad waszym dobrem... zwrócić wam ziemię, do której macie niezbywalne prawo, i chronić was przed chciwymi grabieżcami i ich bandziorami! Obiecuję dołożyć wszelkich starań, by uczynić Rzym waszych dzieci lepszym, bogatszym i bardziej sprawiedliwym miejscem dla wszystkich ciężko pracujących obywateli! Jednakże abym mógł spełnić tę obietnicę, muszę te wybory najpierw wygrać. Nie będzie to takie proste, zwłaszcza że aby móc kandydować, muszę żyć. A zagrożenie ze strony nieprzyjaciół jest realne. Mogą mnie zaatakować w każdym miejscu i czasie. Nie boję się walki. Stoczyłem w życiu niejedną. Pierwszy wdarłem się na mury Kartaginy, za co wyróżniono mnie specjalną koroną. Znacie mnie, niejedyn z was, dzielnych ludzi, bił się ze mną ramię w ramię w Hiszpanii. Tu, w Rzymie, nie jestem jednak żołnierzem, tylko zwykłym obywatelem. Nie noszę broni, więc to wy musicie być mi strażą. Bez waszej ochrony jestem bezbronny.

– Obronimy cię! – krzyknął ktoś z tłumu, co podchwycili i inni. – Życie za ciebie oddamy, jeśli będzie trzeba!

– Do tego nigdy nie dojdzie, modłę się o to do Jowisza. Jeśli jednak wyczuję niebezpieczeństwo i będę potrzebował kręgu dzielnych ludzi, możecie mnie nie dosłyszeć. Głos mam ochrypły i może zginać we wrzawie. Dam wtedy taki sygnał. – Tyberiusz uniósł wysoko obie ręce i ugiął łokcie tak, że dłonie wskazywały na głowę. Gest był zrozumiały: do mnie!

Ludzie jęli klaskać i skandować jego imię. Grakchus ścisnął ramię Blozjusza, wolną ręką pomachał zwolennikom i ruszył przed siebie, starając się nie krzywić z bólu.

– Może to i dobry znak, że się uderzyłem – szepnął do filozofa. – Wróżba wskazywała na zły początek... no, to teraz mam go już za sobą!

Utykając lekko – zraniony palec rwał go niemiłosiernie – Tyberiusz pomaszerował ku Kapitolowi, gdzie miały się odbyć wybory. Kiedy schodził zboczem Palatynu, do jego orszaku przyłączali się kolejni stronnicy, a jeszcze więcej czekało ich na Forum. Rozstępowali się przed nim, wiwatując na jego cześć i wyciągając ręce, by go dotknąć, a potem ruszali za pochodem.

Na stopniach wiodących na wzgórze trybun przystanął pod łukiem Scypiona Afrykańskiego i popatrzył na reliefy przedstawiające sceny triumfów dziadka w Afryce i Azji. Scypio przeżył bitwę pod Kannami, w której zawstydził swą niezłomną postawą innych oficerów, potem stracił ojca i pomścił go, a przed ostatecznym rozgromieniem armii Hannibala starł się z nim także na słowa i wygrał. Tyberiusz roześmiał się na myśl, że taka błażostka jak rozbity palec miałyby teraz powstrzymać wnuka bohatera. Przysiągł sobie w

duchu, że wejdzie na plac wyborów bez utykania i bez pomocy Blozjusza, nie okazując cierpienia.

Przeszedł pod łukiem, ale po kilkunastu krokach jego uwagę zwrócił nagły hałas dobiegający gdzieś od góry. Skrzecząc przeraźliwie i bijąc skrzydłami, dwa kruki zwały się w walce na dachu najbliższego budynku. Po lewej stronie drogi... Strąciły dachówkę, która upadła prosto pod nogi Tyberiusza, roztrzaskując się na kawałki.

– Nieudane auspicje, potknięcie, a teraz to... – Trybun drgnął. – Jedna zła wróżba za drugą...

– Bzdury! – tchnął mu w ucho Blozjusz. – Kury jak to kury, głupie ptaszyska. Ludzie się codziennie potykają i kaleczą palce. Kruki się biją. Tyberiuszu, jeśli zaczniesz widzieć zły omen w każdym wypadku i przypadku, to rzeczywiście będzie ci można zarzucić królewską pychę. Tylko tyran wyobraża sobie, że wszechświat obraca się wokół niego. Ptak strącił luźną dachówkę... ot i wszystko!

Grakchus skinął głową, poprawił togę i ruszył naprzód.

Kiedy pochód dotarł na wielki plac przed świątynią Jowisza, było tam już tłoczno. Tylko plebejusze mogli głosować na trybunów, a w tym celu musieli się najpierw pogrupować w okręgi wyborcze, *tribus*. Nawet w najspokojniejszy czas urzędnicy nadzorujący elekcję z trudem utrzymywali porządek; dla własnej obrony i powściągnięcia temperamentów wolno im było nosić drzewca włóczni pozbawione grotów. Wiadomość o przybyciu Tyberiusza wzbudziła ogromny zgiewk. Wiwaty mieszały się z szyderstwami, okrzyki poparcia z przekleństwami. Tłum zafalował. Popychano się wzajemnie i potracano, wybuchały utarczki słowne i bójki na pięści.

Z biegiem wieków plac zgromadzeń na Kapitolu stawał się coraz ciasniejszy. Ubywało miejsca, zajmowanego przez coraz to nowe świątynie i pomniki, przybywało zaś uprawnionych do głosowania obywateli – prosta procedura dzielenia na *tribus* stała się prawdziwym wyzwaniem organizacyjnym. Wybory można było wygrać lub przegrać w zależności od tego, czy zwolennicy kandydata zdołali się gremialnie stawić na wezwanie. Stronnictwo Tyberiusza gromadziło się od wczesnych godzin w dużej liczbie, aby zająć dla niego najlepsze miejsca do przemawiania i utrzymać między nimi wolne przejścia. Gdyby udało się utrzymać sympatyków jego rywali na obrzeżu albo w ogóle ich nie dopuścić na plac, szanse trybuna znacznie by wzrosły.

Z Blozjuszem u boku, w otoczeniu najzagorzalszych popleczników Tyberiusz przeżeglował przez to ludzkie morze i wszedł na schody świątyni. Na jego widok podniosła się nowa fala wiwatów pośrodku placu i gwizdów na jego skraju. Chciał wygłosić mowę, ale w tej nieustającej wrzawie było to niemożliwe. Nigdy jeszcze nie widział równie rozgorączkowanego zgromadzenia wyborczego. W zasięgu wzroku nie dostrzegł ani jednej statycznej postaci; wydawało się, że wszyscy są w ciągłym ruchu, gestykulują i krzyczą. Tu i ówdzie, zwłaszcza w bardziej oddalonych miejscach lub przy utrudniających przepływ ludzi

pomnikach, dochodziło do potyczek. Przez głowę przemknęła mu myśl, że przypomina to pole bitwy.

Niektórzy urzędnicy w irytacji tupali lub uderzali drzewcami o bruk, głośno wołając o spokój i nakazując ustawianie się okręgami. Wyborcy jednak nie zamierzali ich słuchać albo ich po prostu nie słyszeli. Na placu panował coraz większy chaos. Tyberiusz dojrzał, że ludzie się rozstępują, robiąc komuś przejście. Nadbiegł zdyszany Fulwiusz Flakkus, jeden z jego sojuszników w senacie, przynosząc alarmującą wieść.

– Tyberiuszu, właśnie wracam z nadzwyczajnego posiedzenia. Przez cały ranek twoi wrogowie domagali się, żeby konsul Scewola uznał dzisiejsze wybory za nielegalne zgromadzenie...

– Nielegalne? Lud ma prawo wybierać trybunów!

– Oni twierdzą, że panuje zbyt wielkie zamieszanie, zagrożenie bezpieczeństwa publicznego... albo i gorzej.

– Gorzej?

– Twój kuzyn Scypio Nazyka mówi, że podżegasz tłum do obalenia republiki i że po rozprawieniu się z przeciwnikami w senacie ogłosisz się królem...

– Nazyka! – Tyberiusz niemal wypluł to nazwisko.

Dwaj kuzyni z odrębnych linii potomków Scypiona Afrykańskiego serdecznie się nie znosili. Nie było w senacie większego konserwatysty od Publiusza. Kiedy Tyberiusz kreował się na obrońcę prostych obywateli, krewniak nie krył pogardy ani dla nich, ani dla niego. Nawet gdy zabiegał o głosy plebsu, nie mógł się powstrzymać od znieważania go. „Ja lepiej od was wiem, co jest dobre dla państwa!” – krzyknął kiedyś do nieprzyjaznego tłumy. Jego rywale drwili sobie wówczas, że Nazyka tak sobie wyobraża skuteczny slogan polityczny. Pewnego razu, ściskając sękate łapsko robotnika rolnego, zapytał z przekąsem: „Jak się dostaje takich odcisków? Czyżbyś chodził na rękach?”

– Konsul Scewola jest dobrym człowiekiem – odezwał się Błozjusz.

– To prawda – przytaknął Flakkus. – Odmówił zgody na jakiegokolwiek próby odwołania wyborów. To jednak Nazyki nie powstrzymało. Jeśli konsul nie chce działać w obronie państwa, powiedziano, to muszą się tym zająć osoby prywatne. On i jeszcze kilku senatorów zebrali wokół siebie bandę rzezimieszków, największych zbójów, jakich można sobie wyobrazić.

– Musieli to z góry zaplanować – rzekł filozof.

– Oczywiście, że tak! – krzyknął Flakkus. – Idą tu teraz, zbrojni w pałki. Chcą cię zabić, Tyberiuszu! Uwierzyli, że to ich święta misja. Senatorowie zarzucili na głowy purpurowe brzegi tog, jak kapłani składający ofiarę!

Grakchus poczuł zimny dreszcz. Popatrzył na wciąż rozkrzyczany, niczego nie podejrzewający tłum.

– Tyberiuszu, znak! – krzyknął Błozjusz. – Daj im znak!

Trybun natychmiast uniósł ręce. Ruch od razu zwrócił uwagę zgromadzonych. Kiedy prawie wszystkie oczy zwróciły się na niego, wolno dotknął dłońmi głowy.

Jego zwolennicy natychmiast zrozumieli gest. Zaczęli wrywać urzędnikom drzewca, łamać je i przekazywać kawałki kolegom. Dłuższe mogły zastąpić pałki, a krótsze i ostro zakończone z powodzeniem posłużyć za sztylety. Rozbijano także stojące gdzieś ławki.

Przeciwnicy Tyberiusza wzięli jego sygnał za coś zupełnie innego.

– Pokazuje na głowę! – krzyknął któryś. – Żąda korony!

– Patrzcie na jego sługusów! – wołali inni. – Zbroją się, chcą zająć Kapitol siłą! Zobaczycie, że obwołają swego idola królem!

Zamieszanie rosło, nastroje sięgały wrzenia, gdy nagle od strony Forum zakotłowało się jeszcze bardziej. Zapowiedziany przez Flawiusza Flakkusa Nazyka przybył na czele swego oddziałku. Była to ostatnia kropla, która przelała czarę. Rozgorzała zajadła walka, której echa słyszano w najdalszych częściach miasta: na Forum, Palatynie, a nawet na Zatybrzu. Grupa stronników Tyberiusza rzuciła się ku niemu, ofiarowując mu własną broń, on jednak odmówił i odwróciwszy się ku świątyni, uniósł dłonie do modlitwy.

– Jowiszu, największy z bogów, który chroniłeś w boju mego dziadka...

Blozjusz chwycił go za fałdy togi i krzyknął:

– Biegnij do świątyni! Kiedy po ciebie przyjdą, żądaj azylu...

Urwał nagle. Uderzenie pałki w bok odebrało mu dech i rzuciło na kolana. Las rąk wyciągnął się ku Grakchowi. Napastnicy zdarli zeń togę i szarpali za tunikę; wyrwał się i wbiegł po stopniach, utykając z powodu zranionego palca. Na ostatnim potknął się i runął jak długi. Zanim zdążył się podnieść, czyjaś pałka trafiła go w skroń. Na pół ogłuszony z trudem się pozbierał i stanął na chwiejnych nogach. Ktoś inny uderzył go z całej siły maczugą w czoło. Rozległ się okropny odgłos pękającej kości.

Blozjusz właśnie zdołał się podnieść, gdy krew i mózg Tyberiusza spryskały mu ubranie. Stanął jak sparaliżowany, wpatrując się w zakrwawione zwłoki przyjaciela.

Ktoś z zabójców go rozpoznał.

– To ten Grek filozof! Miał być doradcą niedoszłego tyrana!

– Strącić go z Tarpejskiej!

Wśród śmiechu i wrzasków schwycili Blozjusza za ręce i nogi i ponieśli na skraj Kapitolu, przeciskając się przez walczący tłum i omijając leżące ciała, których z każdą chwilą przybywało. Dotarłszy nad urwisko, nie postawili go na nogi, by zepchnąć w przepaść, tylko dla zabawy rozhuścili go jak worek i na komendę puścili. Przez mgnienie oka Blozjusz miał wrażenie, że opiera się sile ciężenia i wisi w powietrzu, ale nagle poczuł ucisk w żołądku. Spadał.

Oprawcy cisnęli go daleko poza krawędź. W normalnych warunkach obilby się kilka razy o skałę i spadł do samego podnóża. Tego dnia jednak wielu ludzi zepchnięto ze Skały

Tarpejskiej. Kilku z nich udało się cudem uchwycić wystającego kamienia czy wczepić palcami w szczelinę i wisieli teraz uczepieni niemal pionowej ściany Machając rozpaczliwie rękami, Blozjusz natrafił na tunikę jednego z nich, odruchowo zacisnął dłoń i spowolnił upadek; niemal w tej samej sekundzie materiał wysliznął mu się z palców i filozof wylądował na następnym podobnym nieszczęśniku. Było ich tylu, że na przemian spadając i chwytając za czyjeś szaty, pokonał większą część wysokości, ale w końcu sam, wyczerpany z resztek sił i woli, runął jak kamień w dół. Nie upadł jednak na twardą ziemię, lecz na stos trupów. Wkrótce przysypały go inne, lecące z nieba jak upiorny grad.

* * *

Z nadejściem nocy zabójcy zebrali zwłoki, załadowali na wózki i powieźli przez Forum Boarium, aby wrzucić je do Tybru.

Blozjusz w końcu się ocknął. Przeszyła go paniczna myśl, że został żywcem pogrzebany, ale wkrótce do niego dotarło, że przygniatający go ciężar nie jest ziemią, lecz płataniną ludzkich ciał. Wózek podskakiwał i kołysał się na wybojach, wzbudzając pulsujący ból we wszystkich członkach; chciał jęknąć, ale nie mógł złapać powietrza. Jak przez watę dobiegały go odgłosy z zewnątrz. Jakieś kobiety krzyczały i szlochały, któraś się domagała, by oddano jej choć zwłoki męża, na co męski głos ostro nakazał jej odejść.

Wózek zatrzymał się w końcu i świat się zaczął przechylać. Ciała drgnęły i zsunęły się, pociągając go za sobą. Znalazł się nagle pod wodą. Wstrząs przywrócił mu całkowicie przytomność. Krztusząc się i wymachując dziko rękami, wydostał się na powierzchnię i łąpczywie wciągnął chłodne powietrze. Zobaczył nad głową rozgwieżdżone niebo. Rzeka pokryta była unoszonymi przez bystry nurt zwłokami. Mimo oszołomienia zdołał się zorientować, gdzie leży bezpieczny prawy brzeg, i popłynął w tamtą stronę. Co rusz zderzał się z trupami; jeden z nich jakby celowo chwycił go w objęcia i Blozjusz w panice zaczął się wrywać. Mężczyzna miał strzaskaną czaszkę. Kiedy filozof wreszcie się od niego uwolnił, trup odwrócił się twarzą do góry.

Był to Tyberiusz.

Powodowany impulsem Blozjusz chciał go chwycić, prąd jednak zniósł go dalej i wyciągnięta ręka przeszła tylko wodę. Wyczerpany do reszty i nagle rozslochany wyczołgał się na brzeg i zemdlał.

* * *

– Gdybym cię posłuchał, mam... gdybym związał swój los z Tyberiuszem... tylko sobie wyobraź, jaki mógł być tego skutek! – Lucjusz Pinariusz nerwowo krążył po ogrodzie. – Teraz ty musisz posłuchać mnie. Wyrzuć tego niebezpiecznego głupca z naszego domu!

Wskazał na Blozjusza, który siedział obnażony do pasa, cierpliwie pozwalając Menenii smarować liczne rany driakwiami i nakładać bandaże. Trzy dni minęły od jego bliskiego spotkania ze śmiercią, a on wciąż nie mógł się otrząsnąć z szoku. Coś takiego nie wydarzyło się za pamięci żadnego z żyjących: po raz pierwszy od czasów Tarkwiniusza i burzliwych pierwszych lat republiki Rzymianie zabijali się wzajemnie. Bezmyślne zbezczeszczenie zwłok oburzyło nawet wielu przeciwników Tyberiusza i wzbudziło powszechny gniew. Jednakże frakcja senatorska Nazyki, która doprowadziła do śmierci Tyberiusza Grakcha, nie zamierzała się kajać. Zdobywszy przewagę, kontynuowała represje, nakazując aresztować, przesłuchiwać i ścinać bez sądu każdego zamieszanego w, jak to nazywali, „rewolte Grakcha”. Do listy podejrzanych wciąż dopisywano nowe nazwiska; zatrzymanych torturowano, dopóki nie rzucili oskarżenia na następnych. W mieście zapanował strach, a pomówieniom i denuncjacjom nie było końca. Na Tybrze tłoczno było od łodzi uwożących ludzi do Ostii, gdzie mieli nadzieję dostać się na statki i opuścić Italię.

Blozjusz skrzywił się boleśnie, gdy Menenia przyłożyła mu do skaleczenia na ramieniu maść, po czym ujął jej doń i pocałował.

– Twój syn ma rację – powiedział. – Uszedłem z masakry na Kapitolu i jak dotąd siepacze Nazyki mnie nie znaleźli, ale lada chwila mogą po mnie przyjść.

W tym momencie jak na zawołanie rozległo się łomotanie do drzwi. Po chwili do ogrodu wkroczył oddział liktorów. Dowódca, ledwo przesunąwszy spojrzeniem po Menenii i Lucjuszu, wbił wzrok w Blozjusza, który zdążył wstać i włożyć tunikę.

– Tuś mi, filozofie! Poszliśmy cię szukać najpierw w domu niedoszłego króla. Ładnieś się urządził tu, w Rzymie, pasożytując na córce wielkiego Scypiona! Myślałeś, że nas zmylisz, melinując się tutaj? A może tak właśnie filozofowie się utrzymują, przenosząc się od jednej samotnej wdowy do drugiej, spijając ich wino i brudząc łoża swym podłym nasieniem?

Lucjusz rzucił się naprzód, rozgniewany, ale cofnął się natychmiast, gdy tylko liktor podniósł pałkę. Jego matka okazała się mniej strachliwa. Zanurzwszy palce w słoiku, prysnęła mu rzadką maścią prosto w twarz. Mężczyzna upuścił broń i zaczął przecierać podrażnione oczy.

– Suko! – wrzasnął. – Gdybyś nie była kobietą, liczyłoby się to za akt buntu. Dostałabyś za swoje!

Pochylił się, by podnieść pałkę, a prostując się, zniechęca uderzył Blozjusza w brzuch. Skulonego z bólu dwaj liktorzy chwycili pod ramiona i wywlekli na ulicę. Menenia skryła twarz w dłoniach i zaczęła płakać.

– Aż tak ci będzie tęskno za starym stoikiem? Wygląda mi trochę za lichy na ogiera. Chyba mogłaś sobie znaleźć silnego młodego Rzymianina, żeby cię dosiadał? – szydził dowódca, patrząc z ukosa na Lucjusza; obelga była wymierzona tyleż w matkę, ile w niego, by go sprowokować do ataku.

Lucjusz zacisnął tylko pięści i stał ze spuszczoną głową, kipiąc z bezsilnej furii i wstydu.

Ledwo liktorzy wyszli, Menenia schwyciła syna za rękę.

– Idź za nimi – poprosiła. – Zrób dla Blozjusza, co będzie można.

– Mamo, jemu już nikt nie może pomóc!

– To chociaż idź i zobacz, dokąd go zabierają i co z nim zrobią! Nie przeżyłabym tego, gdyby tak po prostu zniknął bez wieści. Błagam cię, synu, zrób to dla mnie!

Nie mogąc znieść jej łez, Lucjusz wybiegł na ulicę. Z bijącym sercem szedł w bezpiecznej odległości za liktorami, obserwując, jak wchodzi do kolejnych domów i wyprowadzają coraz to nowych aresztantów. Więźniów wiązano razem i prowadzono rzędem w dół, ku Forum. Doszedłszy tam, Lucjusz ujrzał widok rodem z nocnego koszmaru raczej niż rzymskiej codzienności. Grupa dobrze ubranych mężczyzn, wśród nich kilku senatorów, przyglądała się, nie szczędząc szyderczych komentarzy, jak liktorzy wpychają człowieka w poszarpanej i zakrwawionej odzieży do drewnianej skrzyni, w której ledwo się mieścił. Zanim zatrzasnęli wieko, wysypali do środka z glinianego słoja kłęb wijących się zmij. Krzyki mężczyzny, choć tłumione przez drewniane ścianki, słychać było na całym placu. Krąg widzów ze śmiechem drażnił jeszcze zamknięte z nieszczęśnikiem gady, uderzając kijami w skrzynię.

Uwięzionych doprowadzono przed trybunał. Lucjusz dołączył do tłumu gapiów, trzymając się z tyłu i usiłując nie zwracać na siebie uwagi. Wśród zasiadających na podwyższeniu sędziów był i Scypio Nazyka, który osobiście prowadził przesłuchania. Na pierwszy ogień poszedł Blozjusz.

– Ty jesteś Blozjuszem z Kurne, filozofem ze szkoły stoików?

– Dobrze wiesz, że tak.

– Odpowiadaj tylko na pytania! Wobec cudzoziemców stosujemy inny protokół niż wobec obywateli. Czy jesteś Blozjuszem z Kurne?

– Jestem nim. Nazywasz mnie cudzoziemcem, ja jednak jestem rodowitym mieszkańcem Italii.

– Italia to nie Rzym.

– Pochodzę jednak z rodziny nobilów z Kampanii.

Nazyka uniósł brwi.

– Tak, trybunał dobrze pamięta, że twoi przodkowie zdradzili Rzym i nakłaniali ziomków do walki u boku Hannibala.

Blozjusz westchnął.

– To było dawno temu.

– Może i dawno. Pochodzisz więc z Kurne?

– Tak.

– Jak powiedziałem, Italia to nie Rzym, a z kolei Kurne trudno nawet uznać za jej część. Wy tam mówicie po grecku, praktykujecie greckie bezceństwa i wysyłacie filozofów, aby siali chore greckie idee tu, w Rzymie.

– Kiedy Tyberiusz Grakchus był chłopcem, uczyłem go cnót, a nie bezceństw. Kiedy stał się mężczyzną, byłem mu doradcą i przewodnikiem...

– Trybunał nie jest zainteresowany twoją wątpliwą karierą. Prowadzimy dochodzenie w sprawie bardzo realnej próby rewolty, a nie twojej wydumanej filozofii. Interesuje nas przede wszystkim, co wiesz o działalności niedoszłego króla Tyberiusza Grakcha i jego niedawnej próbie obalenia naszego państwa.

– To absurd! Żadnej takiej próby nie było!

– Czy byłeś przy tym, jak Grakchus przyjmował wizytę posła z Pergamonu, który przywiózł do Rzymu testament króla Attalosa?

– Tak jest.

– I czy widziałeś, jak Grakchus odbiera z jego rąk koronę i królewski purpurowy płaszcz?

– Tak, ale...

– Czy włożył tę koronę na głowę?

– Może i tak, na chwilę, dla żartu...

– Czy nie sporządziłeś na jego polecenie projektu rozdysponowania skarbu zapisanego Rzymowi przez Attalosa?

– To była wersja czysto hipotetyczna, uzależniona od...

– Widzę, Błozjuszu, że nie zwykłeś odpowiadać na pytanie krótkim tak lub nie. Jak wy, filozofowie, kochacie słyszeć swój głos! Może dla przyspieszenia śledztwa każę obciąć ci język? Wtedy będziesz mógł odpowiadać na przykład tupnięciami. Jedno na tak, dwa na nie...

Błozjusz przybladł, część widzów wybuchnęła śmiechem. Lucjusz skulił się, najchętniej wskoczyłby w myślia dziurę. W trakcie tej indagacji stawało się coraz bardziej jasne, że senatorowi nie zależy specjalnie na obwinieniu Błozjusza, ale raczej na usprawiedliwieniu swojego zamachu na Tyberiusza. Zadawał pytania wyraźnie sugerujące odpowiedź i nie dopuszczał komentarzy.

– Z twoich zeznań wynika, że wszelkie występki, jakich się dopuściłeś przeciwko państwu rzymskiemu, popełniałeś za namową Tyberiusza Grakcha. Czy tak było?

– Jak mogę odpowiedzieć na takie pytanie? – westchnął filozof.

– W takim razie inaczej je sformułuję. Wszelkie działania, które miały wpływ na państwo rzymskie, podejmowałeś na zlecenie Tyberiusza Grakcha. Tak czy nie?

– Tak.

– Doskonale. Ostatnie pytanie. A gdyby Grakchus kazał ci podpalić Kapitol? Zrobiłbyś to?

– To szaleństwo! Tyberiusz nigdy by takiego rozkazu nie wydał!

– Odpowiadaj!

– Gdyby Tyberiusz nakazał coś podobnego... – wycodził przez zaciśnięte zęby Błozjusz – ...na pewno byłoby to słuszne, ponieważ on nigdy nie zlecał niczego, co by nie leżało w najlepszym interesie rzymskiego ludu!

Nazyka wyprostował się na krześle, zakładając ręce na piersi z teatralnym niesmakiem.

– Otóż i macie, obywatele! Filozof przemówił, a wy teraz widzicie, jak zepsute i złe są jego myśli! Nie mam więcej pytań. Czy ktokolwiek wśród obecnych chciałby złożyć zeznania na korzyść oskarżonego?

Senator potoczył wzrokiem po publiczności. Lucjusz pochylił głowę i ukrył się za plecami sąsiadów. Sędziowie odbyli krótką naradę, po czym Nazyka wstał i zwrócił się do ludzi.

– Ogłaszamy, że Blozjusz z Kurne z własnej woli i prawdziwie zeznawał w sprawie zdrady stanu, jaką popełnił Tyberiusz Grakchus. Oświadczamy, że własnymi słowami zdyskredytował siebie, swoje nauki i każdego, kto kiedykolwiek był jego uczniem. Gdyby był obywatelem, za tę zdradę zostałby skazany na śmierć. Ponieważ jest jednak tylko cudzoziemcem, zostanie na zawsze wygnany z Rzymu. Może odejść wolny, musi jednak opuścić miasto jutro przed świtem, inaczej zostanie niezwłocznie uśmiercony. Wprowadzić następnego więźnia!

* * *

– Ani jednego pytania o moje poglądy! Ani jednego zarzutu związanego z ideą stoicyzmu lub wartościami, jakie wpajałem Tyberiuszowi! Jak wielka jest arogancja tych ludzi... Ja, Blozjusz z Kurne, znaczę dla nich za mało, żeby sobie zawracali głowę egzekucją!

Filozof spakował swoje rzeczy i opuścił dom Kornelii, a teraz przyszedł się pożegnać z Menenią.

– Powinam jechać z tobą. Nic mnie tu już nie trzyma – szepnęła.

Jej głos był bezbarwny i martwy. Groza ostatnich dni, ulga na wieść o uwolnieniu kochanka, a tuż potem okrutna nowina o jego wygnaniu wyczerpały jej siły.

– Nonsens – zaoponował filozof. – Tu jest twój syn. Czyż nie doszliśmy nie tak dawno do wniosku, że najważniejszą rolą kobiety jest macierzyństwo?

– To była konkluzja Kornelii, nie moja.

– Ona teraz potrzebuje twojej przyjaźni bardziej niż kiedykolwiek. Śmierć Tyberiusza ją zdruzgotła.

– Powinam jednak jechać z tobą, Blozjuszu. – Menenia pokręciła głową.

– Nie, kochanie. Wygnanie nie jest dla ciebie.

Lucjusz stał w pobliżu, nie odzywając się ani słowem. Miał wtedy rację, a dziś życie dostarczyło na to dowodu: radykalna polityka Tyberiusza skończyła się klęską dla niego i wszystkich, którzy się z nim związali. Ta świadomość nie przyniosła mu jednak satysfakcji; czuł tylko wstyd i gorycz.

– Dokąd się udasz? – spytała Menenia.

– Najpierw wynajmę łódź do Ostii...

– Chcesz płynąć w środku nocy?

– Ostatnio to pora największego ruchu na rzece – mruknął Blozjusz. – Nie ja jeden uciekam z miasta! W porcie wsiądę na pierwszy statek odpływający na wschód. Musi gdzieś w Grecji czy Azji być jakiś monarcha, który udzieli mi azylu... sympatyk stoicyzmu... ktoś, kto się nie boi Rzymu...

Czyli taki sam głupiec jak ty, pomyślał Lucjusz. Zmilczał jednak.

129 r. p.n.e.

Lucjusz Pinariusz wyjął list z drżących rąk matki. Napisany był po grecku, na pergaminie najwyższej jakości. Czytał powoli, starannie wymawiając – i notując w pamięci – każde słowo.

Od Blozjusza do Menenii, z pozdrowieniami i najgłębszym uczuciem.

Jakąż pociechą są dla mnie Twoje listy, istnym balsamem na rany! Każdy dzień, w którym posłaniec przynosi wieści od Ciebie, jest dla mnie świętem. Rad jestem, że wraz z Lucjuszem cieszyć się dobrym zdrowiem i że interesy Twego syna idą dobrze. Na kontraktach państwowych zawsze się dobrze zarabia, a w budownictwie szczególnie.

Dzięki za wiadomości o Kornelii. Uważam, że żałoba po Tyberiuszu jej przystoi, choć już minęły trzy lata. Rodzaj śmierci, jaka go spotkała, sponiewieranie zwłok i wszystko, co działo się potem, usprawiedliwia znacznie dłuższy okres żałoby niż normalnie.

Donosisz jednak, że brat Tyberiusza już się nie nosi na czarno. Cóż, Gajusz jest młody i jego życie musi się toczyć swoją koleją. Jego decyzja o wycofaniu się z polityki i poświęceniu – jak Lucjusz – wyłącznie interesom, wzbudziła we mnie mieszane uczucia. Jako potencjalny przywódca pod pewnymi względami nawet brata przewyższał, wielka szkoda zatem, że rezygnuje z *cursus honorum*! Któż jednak może go winić za szukanie innej drogi życiowej po tym, co spotkało Tyberiusza?

Lecz zastanawiam się mimo wszystko, czy Gajusz w końcu nie poczuje pociągu do życia publicznego. Politykę ma wszak we krwi!

Co się zaś tyczy mojej kariery, z dumą mogę donieść, że król Arystonikos darzy mnie coraz większym zaufaniem. Tak, jestem dumny, że mogę nazywać go monarchą, choć Rzymianie nie uznają jego tytułu i okrzyknęli go buntownikiem. Tron Pergamonu zajął siłą, ale miał do tego moralne prawo, podobnie jak do tego, by uznać testament zmarłego Attalosa za nieważny. Ach, jakże to musi złościć rzymskich senatorów, gdy widzą, jak rozwiewają się ich marzenia o położeniu łapy na królewskim skarbie! Przecież to właśnie między innymi z tego powodu posunęli się do zamordowania Tyberiusza!

Król Arystonikos jest wyjątkowym człowiekiem. Mam całkowitą pewność, że dzięki moim radom osiągnie stoicki ideał sprawiedliwego monarchy. Często rozmawiamy o nowej stolicy, jaką pragnie założyć – nazwiemy ją Heliopolis, Miastem Słońca – w której ludzie wszystkich stanów, także niewolnicy, będą się cieszyć wolnością. A dzięki bogom, jest on także geniuszem strategii! Niezłomnie będzie bronił Pergamonu przeciw rzymskim legionom. Kiedy zaś nad nimi zatriumfuje, jest nadzieja, że także inni władcy w Grecji i Azji powstaną, by zrzucić jarzmo Rzymu i jego skorumpowanych rządów. Dla reszty świata jedyną nadzieją jest bowiem opierać się rzymskiej dominacji na wszystkich frontach.

Ale czemu ja tu się rozpisuję o polityce! Wybacz mi, ukochana. Bez Ciebie u boku nie mam nic innego, czym mógłbym zajmować myśli. Całe moje życie straciło równowagę. Ta moja część, którą należałoby nazwać żywą – cielesny człowiek zdolny kochać, pragnąć, płakać i śmiać się – jest zdrewniała i przywędłała jak mocna ongiś winorośl wyrwana z żyznej, wilgotnej ziemi. Jakże mi cię brakuje! Twoich słów, lica, muzyki Twego głosu, ciepła Twego ciała! Może kiedyś – w Heliopolis? – znów będziemy razem. Ten czas jeszcze, niestety, nie nadszedł.

Jak zawsze, zaklinam Cię, abyś zniszczyła ten list zaraz po przeczytaniu. Oprzyj się wszelkim sentymentalnym pokusom, by moje listy zachować. Spal je wszystkie! Ja robię to samo z Twoimi listami, choć potem łzami zraszam popiół. To dla Twego, nie mojego bezpieczeństwa. Przekonaliśmy się ku naszemu bólowi, jak bezwzględni stali się wrogowie sprawiedliwości i jak przebiegle umieją obrócić słowa sprawiedliwych przeciwko nim.

Z wyrazami miłości...

Lucjusz opuścił rękę z listem i zadrżał. Nie wiedział, co go bardziej złości – protekcjonalny, dwuznaczny komplement stoika dla jego poświęcenia się interesom, peany na cześć samozwańca Arystonikosa czy te frywolne metafory dotyczące jego matki. Ogrodnik się znalazł! Ongiś mocna winorośl wyrwana z wilgotnej ziemi, szlag by go...

– Powiedz mi, mamu, że zrobiłaś tak, jak ci radził... zniszczyłaś jego listy?

Menenia spojrzała na niego mokrymi od łez oczyma. Zmarszczyła brwi i lekko wzruszyła ramionami.

– Na Herkulesa i Hades! Nie spaliłaś ich, tak? Trzymasz je gdzieś nadal!

– Nie wszystkie! – szepnęła. – Tylko te najbardziej... osobiste. Nie ma w nich nic, co mogłoby...

– Każdy list Blozjusza jest niebezpieczny, mamu! Nie rozumiesz? Musimy zniszczyć wszystko, co świadczy o tym, że utrzymujesz z nim jakikolwiek kontakt po jego wyjeździe z Rzymu, a już zwłaszcza po jego związaniu się z Arystonikosem. Treść tu nie ma żadnego znaczenia... choć ten ostatni list nie mógłby nas bardziej obciążyć! Gdzie masz pozostałe? Przynies je zaraz. Nie posyłaj niewolnika! Sama przynieś. Już rozpalam ogień.

Zostawszy na chwilę sam w ogrodzie, Lucjusz spuścił głowę i zgarbił się. Kolana miał jak z waty i przez moment bał się, że upadnie. Na użytek matki nałożył maskę, ukazując jej tylko gniew, nie zaś panikę, jaka wzbierała w nim od chwili, gdy na Forum doszły go wieści z Pergamonu. Samozwaniec Arystonikos został uwięziony, jego siły unicestwione, a królestwo i jego wielkie skarby wpadły wreszcie w rzymskie ręce. Wódz Marek Perperna już się pysznił triumfalnym pochodem, jaki urządzi po powrocie do Rzymu, i zapowiadał, że popędzi króla nagiego przez ulice, publicznie chłoszcząc go dopóty, dopóki sam nie zacznie błagać o śmierć, a potem osobiście go udusi w mrocznych kazamatach Tullianum.

Usłyszawszy nowiny, Lucjusz puścił się niemal biegiem do domu, szorstko powiedział matce o upadku Pergamonu i zażądał, by przyniosła całą korespondencję od Blozjusza, jaką trzyma u siebie. Nie powiedział jej jeszcze, co się stało z nim samym, a ona na razie była zbyt wstrząśnięta lub zbyt przerażona, by o to zapytać. Bał się teraz tej chwili panicznie.

Menenia wróciła z kilkoma arkuszami pergaminu. Po ich sfatygowanym wyglądzie poznał, że musiała je czytać nieskończenie wiele razy. Z westchnieniem wyjął listy z jej rąk.

– To na pewno już wszystkie?

– Tak, Lucjuszu.

– W bogach nadzieja, że on sam robił tak, jak napisał, i palił każdy twój list.

Kolejno wrzucił pergaminy do paleniska i oboje patrzyli bez słowa, jak się zwijają w płomieniach, czernieją i rozpadają na popiół.

– Wszystkie jego listy... jego słowa... – szepnęła i zebrawszy siły, spytała: – A co z Blozjuszem?

– Blozjusz nie żyje, mamó. Postąpił mądrze i godnie. Gdyby go schwytali... – Lucjusz nie mógł się zdobyć na wypowiedzenie tych słów: upokorzenia, tortury, męczeńska śmierć. Odchrząknął. – Wolał umrzeć, niż wpaść w ich ręce. I umarł jak Rzymianin.

– Umarł jak stoik – poprawiła go Menenia.

Zamknęła oczy, czekając, aż żar ognia, który pochłonął ostatnie pamiątki po utraconej ostatniej miłości, osuszy łzy na jej policzkach.

Lucjusz patrzył na matkę w milczeniu. Cokolwiek myślał o Blozjusz, był poruszony jej cierpieniem. Podobnie jak w dniu wyjazdu filozofa na wygnanie, nie czuł nic poza głębokim wstydem i smutkiem.

124 r. p.n.e.

– Kiedy byłem chłopcem... – powiedział Gajusz Grakchus, uśmiechając się do słuchaczy
– ...mój nauczyciel Blozjusz wymógł na mnie, bym przeczytał całego Eurypidesa, do ostatniej

linijki. Poczciwy stary Blozjusz! Niewiele z tego zostało mi w pamięci, stwierdzam to z przykrością, poza tymi oto paroma wersami z *Bachantek*.

Bogowie mają mnogie twarze.
Bogowie znają bieg wydarzeń,
A człek na oślep drogi szuka.
Innego końca czekał,
Lecz zakpił bóg z człowieka
I z jego próżnych marzeń –
I tak się kończy sztuka.

Ale, drodzy przyjaciele, do końca naszej sztuki jeszcze daleko, choć bogowie już pokazali, że może się skończyć inaczej, niż niejeden oczekiwał. Dziewięć lat temu, kiedy ginął mój brat Tyberiusz, któż z nas mógł przewidzieć dzień dzisiejszy?

Gajusz zamilkł, pozwalając słowom dotrzeć do odbiorców. Policzył w myśli do dziesięciu. Celowa, dobrze zaplanowana pauza była oratorską sztuczką, jakiej nauczył go Tyberiusz. „Za szybko pędzisz, braciszku. Zatrzymaj się czasem na chwilę, zwłaszcza po jakimś ważkim stwierdzeniu albo choćby zręcznym zdanku. Złap oddech, policz do dziesięciu... niech trochę pomyślą, poczują”.

Nie przemawiał do tłumu na Forum, ale do ścisłego kręgu najwierniejszych stronników w oświetlonym lampami ogrodzie domu matki na Palatynie. Spotkali się, by świętować zwycięstwo. Gajusz Grakchus, który po tragicznej śmierci brata poprzysiągł nigdy nie brać się do polityki, został właśnie wybrany na trybuna ludowego, w ten sposób idąc w ślady Tyberiusza.

– No, może przewidziała to moja matka – podjął wątek, lekko skłoniwszy się Kornelii siedzącej na sąsiedniej sofie. – W dzieciństwie nie było dnia, aby mnie nie napomniała choć raz: pamiętaj, kim był twój dziadek, i staraj się mu dorównać. Słyszałem to bez przerwy... a jednak największą dla mnie inspiracją i zarazem największym wyzwaniem był jej własny przykład. Czy kiedykolwiek żył śmiertelnik, mężczyzna lub kobieta, który by jej dorównywał siłą charakteru i odwagą? Przyłączcie się do mnie wszyscy i razem oddajmy jej hołd, Kornelii, córce Scypiona Afrykańskiego, żonie Tyberiusza Grakcha, który dwakroć był konsulem i ma swój pomnik na Forum, matce Tyberiusza, męczennika sprawy ludu!

Kornelia uśmiechnęła się tak wdzięcznie, że można by pomyśleć, iż słyszy te słowa po raz pierwszy. W rzeczywistości pojawiała się u boku syna przy niezliczonych okazjach podczas kampanii, w całym Rzymie i okolicach, grając rolę dumnej matki i rozpromienionej odbiorczynie wylewnych synowskich pochwał. Stronnicy Gajusza uwielbiali ją, a jego tym bardziej kochali za okazywane jej publicznie uczucie.

W ostatnich dniach agitacji wyborczej tak liczne tłumy się garnęły, by słuchać jego mów, że przerastało to jego najśmielsze wyobrażenia. Nawet Tyberiusz u szczytu popularności nie przyciągał takich rzesz zwolenników. W dniu elekcji do Rzymu ściągnęło tylu wyborców, że dla większości zabrakło miejsca w gospodach i zajazdach. Ludzie spali przy drodze, na dachach, a nawet w konarach drzew.

Jednym ze skutków czystki sprzed dziewięciu lat była zmiana lokalizacji elekcyjnych komicjów. Wyborów nie organizowano już na ciasnym Kapitolu, ale na Polu Marsowym, za miejskimi murami, gdzie było dość miejsca na gromadzenie się *tribus*. Zbudowano tam drewniane płoty przypominające zagrody dla owiec, wzdłuż których głosujący musieli podchodzić pojedynczo do urn; jednakże nawet te nowe konstrukcje okazały się niewystarczające dla tej liczby obywateli, jaka zjawiała się owego dnia, by okazać poparcie swojemu kandydatowi. Atmosfera była gorąca i nieraz się wydawało, że za chwilę dojdzie do rozruchów, ale ostatecznie elekcja zakończyła się bez rozlewu krwi, zdecydowanym zwycięstwem Gajusza. Młodszy z Grakchów uzyskał mandat do przeprowadzenia pakietu reform jeszcze bardziej radykalnych niż te, które chciał przeforsować Tyberiusz.

– Nie zapominajmy też o moim drogim przyjacielu Lucjuszu Pinariuszu. Nawet on się nie spodziewał mojego powrotu do polityki. Mimo to, gdy zdecydowałem się ubiegać o urząd trybuna, ten człowiek postawił na szali mojej kampanii i siebie, i swoją nie małą fortunę. Lucjusz reprezentuje nową, liczącą się siłę w mieście: stan zwany ekwitami, wyrosły z tradycji naszych przodków, zgodnie z którą najlepszych wojowników nagradzano bojowymi rumakami nabywanymi za państwowe pieniądze. Dziś status ekwity przyznaje obywatelom cenzor, a wyznacznikiem nie jest męstwo ani bojowa sprawność, tylko zgromadzony majątek. To ludzie, którzy wyrzekli się *cursus honorum* i tworzą odrębną elitarną grupę, nie związaną z senatem. Lucjusz okazał się tak zręcznym przedsiębiorcą, że musi mieć co najmniej taką żyłkę do interesów jak ja do polityki. To jednak nie politycy, ale ekwici, którzy ciężko pracują i ryzykują własną fortunę, są przyszłością Rzymu. Gnuśni senatorowie, przejadający więcej, niż produkują, a przy tym patrzą z góry na nas wszystkich, reprezentują martwą przeszłość. Lucjusz jest budowniczym, odpowiada za prace prowadzone w wielu punktach miasta. Ma oddaną żonę i małego synka, odniósł też wiele sukcesów, jakich każdy mógłby sobie życzyć. Przez długie lata byliśmy partnerami i znamy się tak dobrze, że...

– Możemy kończyć za siebie zdania? – zażartował Lucjusz.

– Z ust mi to wyjąłeś! A jednak, kiedy oznajmiłem, że zamierzam stanąć do wyborów, był nie mniej zaskoczony od innych. Nie mniej niż ja, kiedy usłyszałem, że i on skoczy ze mną na głęboką wodę polityki... a może raczej za mną, woli bowiem rolę działacza zakulisowego. Pokłońcie mu się wraz ze mną, przyjaciele... niech żyje Lucjusz Pinariusz, szanowany ekwita, mój druh, sponsor i powiernik!

W przeciwieństwie do Kornelii Pinariusz nie nawykł do publicznych pochwał. Miał teraz prawie czterdzieści lat, ale zarumienił się jak chłopiec.

Wszyscy znali historię Gajusza: traumę śmierci brata, wycofanie się ze sceny publicznej i zakończony dzisiejszym triumfem powrót do polityki. Nikt jednak poza samym zainteresowanym nie znał historii Lucjusza. On jeden wiedział, jaki splot emocji doprowadził go do tego wieczoru. Wstyd za bezczynność w chwili morderstwa Tyberiusza i w późniejszych latach nigdy nie przestał go gryźć. Kariera była dlań lukratywnym środkiem nasennym dla sumienia; życie rodzinne dało mu wiele szczęścia, a wejście do stanu ekwitów wielką satysfakcję. Żaden sukces nie mógł jednak zaćmić poczucia wewnętrznej klęski. Ukojenie znalazł dopiero wtedy, gdy postanowił iść w ślady Gajusza, odrzucić ostrożność i zagrać na nosie reakcyjnym siłom, które zniszczyły szczęście jego matki i jego własne poczucie wartości.

– Obok Lucjusza siedzi jego rodzicielka, czcigodna Menenia – kontynuował bohater wieczoru. – A za nią moja droga żona Licynia. Dziękuję wam obu za to, że wraz z moją matką cierpliwie czekałyście na moje spóźnione powroty w te wszystkie wieczory, kiedy musiałem postawić kolejkę wina wyborcom.

Licynia przechyliła głowę i spytała:

– Ale, Gajuszu, czy musiałeś stawiać kolejkę każdego wieczoru, każdemu wyborcy i we wszystkich tawernach Rzymu?

Wzbudziło to salwę jowialnego śmiechu i zwiększony popyt na wino.

– Przyjaciele, mógłbym całą noc spędzić na dziękowaniu kolejno wam wszystkim razem i z osobna, ale to uczta na cześć zwycięstwa, usłyszycie więc mowę zwycięzcy. Wszystkie moje obietnice dobrze znacie, wiem... ale jest jedna różnica. Wcześniej słyszeliście to z ust zwykłego kandydata, a dziś przemawia do was trybun ludowy! – Gajusz odczekał, aż ucichnie burzliwy aplauz. – Po pierwsze, w kwestii służby wojskowej postuluję, aby państwo zaczęło płacić za odzienie żołnierzy, zamiast kazać im nabywać je za własne pieniądze. Ponadto uważam, że do służby należy powoływać dopiero od siedemnastego roku życia. Co ważniejsze, trzeba zakładać nowe kolonie, by zapewnić weteranom przydział ziemi. Ci dzielni ludzie, którzy ryzykowali dla Rzymu głowę i poświęcili mu swoje najlepsze lata, nie mogą na starość wałęsać się bez celu po ulicach! Walczyli w imię lepszego życia i ta obietnica musi być spełniona! Po drugie, dla wspólnego dobra będę się domagał, aby państwo odgórnie ustaliło cenę zboża. Nie mówię, że ludziom trzeba je rozdawać za darmo, jak proponowali moi rywale, lecz sprzedawać za rozsądną kwotę, stabilizowaną przez dotacje państwowe i magazynowanie nadwyżek plonów w państwowych spichrzach. Cóż komu bowiem po państwie, które nie potrafi zapewnić, by każdego pracującego na utrzymanie rodziny obywatela stać było na zakup żywności? Po trzecie, chcę wprowadzić program budowy sieci dróg, nadzorowany przez fachowców z warstwy ekwitów, zatrudniający wolnych robotników, a nie niewolników. Skarb pęka w szwach od łupów wojennych; dlaczego całe to bogactwo ma leżeć w nim bezczynnie, skoro możemy je oddać w ręce obywateli, otrzymując w zamian nowe, lepsze drogi? Reformy wymaga też wymiar

sprawiedliwości. Od niepamiętnych czasów to senatorowie dzierżą prawo sądenia innych. Są sędziami w procesach cywilnych i karnych, także własnych. Kiedy na przykład namiestnik prowincji zostanie oskarżony o nadużycia, to jego koledzy z senatu stanowią o jego winie lub niewinności. Do grupy trzystu senatorów mogących pełnić funkcję sędziów proponuję dodać trzystu ekwitów. Wyrwie to system sądowniczy ze stagnacji, a my może wreszcie zobaczymy, że naprawdę każdy odpowiada za swoje czyny! W tych czterech postulatach, moi przyjaciele, zawiera się cały mój program, dziś tak gremialnie zatwierdzony przez wyborców. Zjednamy sobie prostych ludzi przez subsydiowanie zboża, tworzenie miejsc pracy i nowych kolonii. Bogatych ekwitów zdobędziemy perspektywą lukratywnych kontraktów i nowych przywilejów sędziowskich. Aż mi trochę żal biednych senatorów... nie zostanie im nic poza urażoną godnością!

Odpowiedziały mu oklaski i ciepłe okrzyki. Ktoś rzucił pytanie:

– A co z reformą agrarną?

Gajusz skrzywił się, po czym uśmiechnął się kwaśno.

– Właśnie, co z tą reformą? – powtórzył. – Przez ostatnie dziewięć lat większość niezbędnych zmian w systemie własności ziemi została już dokonana. Cóż to za ironia losu! Mój brat Tyberiusz dostrzegał palącą potrzebę ich wprowadzenia i odważnie się ich domagał. Został za to zamordowany, a potem jego oprawcy się zorientowali, że reforma jest nieunikniona... inaczej czekałaby nas rewolucja... i co powiecie? Te cyniczne gady zaczęły gardłować za postawionymi przez Tyberiusza postulatami, rozważniając jego projekty ustaw i przyklejając na nich swoje nazwiska, a potem poklepywały się po plecach i gratulowały sobie nawzajem uratowania republiki!

Gajusz mówił coraz głośniej, szybciej i coraz wyższym tonem. Stojący za nim sługa podniósł do ust piszczałkę i zadał. Narastające napięcie prysło w jednej chwili, zastąpione nowymi wybuchami śmiechu i sporadycznymi oklaskami. Widać było wyraźnie, że i Gajusz się rozluźnił. Uśmiechnął się, odwrócił i objął ramieniem niskiego, łysiejącego mężczyznę.

– Znacie wszyscy Licyniusza. To jeden z wyzwoleńców mojej żony. Pomaga mi praktykować jeden z oratorskich trików, jakie przejąłem od brata. Gdy tylko zaczynam tracić panowanie nad sobą, ulegać emocjom, on dmie w tę swoją fujarkę, a ja natychmiast ściągam sobie cugle. Nieźle mnie wytresował, nie uważacie? – Gajusz złożył na łysinie sługi demonstracyjny pocałunek, co przyjęto z nową falą wesołości. – No, dobrze, wracam więc do tematu. Dotarliśmy do głównego i najambitniejszego punktu mojego programu: postulatu przyznania pełnych praw obywatelskich wszystkim naszym sprzymierzeńcom w Italii. Od dawna patrzymy na nadużycia rzymskich urzędników, od których cierpią mieszkańcy innych miast, płacący nam podatki i walczący w naszej armii, pozbawieni jednak naszych przywilejów. Dajmy im je, a Rzym odczuje napływ nowej krwi, lojalnych obywateli... a ci nowi wyborcy będą pamiętać trybuna, który je dla nich wywalczył. Z takim zapleczem politycznym ów trybun będzie mógł powieść Rzym ku najwyższemu przeznaczeniu. – Gajusz

spuścił oczy. – Kiedy byłem chłopcem, Blozjusz opowiadał mi o złotym wieku Aten i o wielkim przywódcy, który je do tego rozkwitu doprowadził, człowieku nadzwyczajnych wizji, Peryklesie. Mimo wszystkich osiągnięć Rzym ma taką złotą erę dopiero przed sobą. Po tych wyborach będę jednak zanosił modły, aby się okazało, że nasze miasto znalazło wreszcie swojego Peryklesa.

Lucjusz omal się nie zachłysnął winem. To był zupełnie nowy chwyt retoryczny; Gajusz nigdy dotąd nie mówił o złotym wieku ani nie porównywał się do Peryklesa. To już był karkołomny manewr, wskazujący na ambicje sięgające daleko wyżej, niż śmiał marzyć Tyberiusz. Słuchając słów przyjaciela, poczuł dreszcz ekscytacji, ale i obawy. Zerkając na twarze matki i dwóch pozostałych kobiet, ujrzał na nich te same mieszane uczucia.

Gajusz zakończył przemowę poważniejszą nutą.

– Gdziekolwiek mnie zawiodła kampania wyborcza, ludzie zadawali mi te same dwa pytania. Co mnie skłoniło do ubiegania się o urząd i czy się nie obawiam, że spotka mnie ten sam los, co brata. Dziś wam na nie odpowiadam: miałem sen, który mnie poruszył i kazał odrzucić gnuśność i strach, i przestać się chować przed światem. Usłyszałem w nim głos Tyberiusza. Bracie, wołał z daleka, czemu zwlekasz? Przeznaczeniu nie umkniesz. Każdy ma jedno życie i jedną śmierć. Żyć i umrzeć trzeba godnie, a najlepiej w służbie ludu.

Wszyscy goście słyszeli już tę historię niejedną raz, ale jak zwykle nagrodzili ją brawami i wiwatami, a niejedni i łzę uronił. Gajusz ruszył między nich, każdemu osobiście dziękując za wsparcie, po czym odszedł na stronę, gdzie czekały nań matka, żona i Menenia, a po chwili dołączył do nich także Lucjusz.

– Stałeś się wytrawnym mówcą – orzekła Menenia. – Wiesz, myślę, że przerosłeś nawet swojego brata. Gdyby tylko Blozjusz mógł cię słyszeć! To miłe, że zawsze tak ciepło i z szacunkiem go wspominasz.

– Przyprawileś mnie jednak o dreszcz tym opowiadaniem o śnie – powiedziała Kornelia.
– Tak lekko mówisz o śmierci...

– To dobra historia, mamo. Widziałas, jak im się podobała. Za każdym razem reakcja słuchaczy jest taka sama. A poza tym to prawda. Rzeczywiście miałem taki sen i naprawdę odmienił mi życie.

– Tak, ale prorokować własną śmierć...

– Nie ma w tym żadnego proroctwa. Oczywiście, że umrę w służbie ludu! Może w samym środku przemówienia na Rostrze, może prowadząc armię do walki, może we własnym łóżku, dzisiaj czy za pięćdziesiąt lat. Jak Tyberiusz, jestem patriotą i politykiem. Jak inaczej miałbym umrzeć, niż służąc Rzymowi?

– Fe, Gajuszu, cóż to za cyniczne słowa! – Kornelia zmarszczyła nos, ale widać było, że jego zręczna odpowiedź przyniosła jej ulgę.

Także Lucjusz się w duchu odprężył. Kto wie, może właśnie ten ukryty cynizm zachowa Gajusza Grakcha przy życiu?

122 r. p.n.e.

– Gdzie się wszyscy podziali?

Lucjusz krążył po perystylu, zaglądając do zapuszczonego ogrodu i wychodzących na niego izb. Nowy dom w Suburze był większy, lecz nie tak ładny jak rodowa siedziba Grakchów. Podczas drugiej kadencji trybuna Gajusz celowo przeniósł się z eleganckiego Palatynu do sporej, ale lichej willi w tej kiepskiej dzielnicy, pragnąc mieszkać między prostymi ludźmi, wśród których cieszył się najgorętszym poparciem. Lucjusz rozumiał polityczne motywy tej przeprowadzki, niemniej czuł się w tym otoczeniu nieswojo: na każdym rogu jak nie sprzedajne dziewczki, to żebrzący inwalidzi wojenni, a w powietrzu koktajl wyjątkowo niemiłych woni. I czemu dziś tak tu pusto? Gdzie ubiegający się o państwowe kontrakty przedsiębiorcy i budowniczowie, gdzie urzędnicy, żołnierze, uczeni i zagraniczni posłowie, których tak zawsze było pełno w domu Kornelii podczas pierwszej kadencji, kiedy niespożyta energia i nieugięty zapał reformatorski uczyniły młodego trybuna najbardziej liczącym się politykiem w państwie?

– Wróć – odrzekł Gajusz, wynurzając się zza jednej z kolumn perystylu.

Głos miał zmęczony i nie dźwięczała już w nim zwykła pewność siebie. Właśnie wrócił z kilkutygodniowego pobytu na ziemiach Kartaginy, gdzie wytyczał zarysy powstającej rzymskiej kolonii. Od czasu, gdy Tyberiusz wspinał się na mury wrogiego miasta, przeminęło całe pokolenie i zasolone ziemie znów odzyskały dawną żyzność. Nowe miasto miało się nazywać Junonia.

– I jak tam sprawy... w Junonii? – spytał Lucjusz.

– Coś ostrożnie pytasz, Lucjuszu. Co słyszałeś?

– Ot, plotki.

– I założę się, że niedobre – westchnął trybun. – Muszę przyznać, że auspicje wypadły bardzo niepomyślnie. Zerwał się silny wiatr, porwał sztandary i zdmuchnął ofiarę z ołtarza. Cholerna wichura! Kapłan powiedział, że słyhać w niej było upiorny rechot Hannibala.

– No i... podobno... wilki porwały graniczne słupki kolonii?

– To już wierutne kłamstwo, wymyślone przez moich wrogów! – krzyknął oburzony Gajusz, po czym zamknął oczy i wziął głęboki oddech. – Gdzie ten Licyniusz z piszczałką, żeby mnie uspokoić? Widzisz, najważniejsze jest to, że mimo wszelkich przeszkód Kartagina się odradza jako rzymska kolonia. – Uśmiechnął się. – Będzie tam dla ciebie sporo pracy, Lucjuszu, jeśli kiedykolwiek zabraknie ci dróg do budowania w Italii. Co porabiałeś, gdy mnie nie było?

Lucjusz zastanawiał się przez chwilę, zadowolony ze zmiany tematu, i nagle głośno się roześmiał.

– Jeśli masz się z czego śmiać, to na Herkulesa, podziel się ze mną! – ponaglił go trybun.

– Już się dzielę. Parę dni temu byłem na Forum Boarium, gdzie stała długa kolejka z talonami na zakup zboża w państwowym spichrzu. Mijam ją i kogo widzę? Tego starego ropucha, Pizona Frugi.

– Pizon w kolejce po zboże? Bujasz!

– On we własnej osobie. Wyobrazasz sobie? Senator, który najgoręcej sprzeciwiał się wprowadzeniu subsydiów! Stanąłem i gapię się na niego, a w końcu spytałem, jak śmie korzystać z przywileju, który tak zajadle zwalczał?

– I co ci odpowiedział?

– Stary chciwiec tylko zamrugał kaprawymi oczkami i zadarł nos. Gdyby ten złodziej Grakchus, powiada, ukradł mi wszystkie buty i jedynym sposobem odzyskania chociaż jednej pary byłoby stanąć po nią w ogonku ze wszystkimi, to też bym to zrobił, choćby dla samej zasady. Skoro zamiast moich butów kradnie państwowe pieniądze, żeby kupować zboże dla swoich popieczników, to się nie dziw, że staram się wydobyć z tego jak najwięcej dla siebie.

– Nie do wiary! – Gajusz pokręcił głową. – Ale to już właściwie norma, że ci, co najgłośniej krzyczą przeciwko wszelkim przywilejom dla prostego obywatela, gotowi są rozpychać się łokciami, byle przed innymi z nich skorzystać.

– Też to zauważyłem.

– Co jeszcze działo się w Rzymie pod moją nieobecność? – Ton pytającego był lekki, ale wyraz oczu dodawał słowom wagi. Kiedy Lucjusz zwlekał z odpowiedzią, Gajusz burknął niecierpliwie: – No, Lucjuzu, niech się dowiem najgorszego! To Liwusz Druzus, tak? Co ten wredny intrygant znowu knuje?

Kłopoty Grakcha z drugim trybunem ludowym zaczęły się jeszcze przed wyjazdem do Afryki. Gajusz miał nadzieję, że zdąży przedtem przeforsować swoje koronne dzieło – ustawę zgromadzenia ogólnego nadającą prawa obywatelskie wszystkim italskim sojusznikom Rzymu. Dosłownie w ostatniej chwili trybun Liwusz, zawsze wspierający projekty kolegi, zaczął agitować przeciwko niej, odwołując się do najniższych instynktów tłumu. „Myślicie, że teraz jest źle, gdy trudno o dobre miejsce w teatrze? Poczekajcie, aż zwałą się do nas na święta wszyscy Italikowie! Przyjemnie się wam wystaje w długich kolejkach po dotowane zboże? To będziecie uszczęśliwieni, gdy wepchną się przed was nowi obywatele z pipidówek, o których nawet nie słyszeliście! Chcecie, żeby wszystkie wasze przywileje przeciekły wam przez palce, żeby Gajusz Grakchus mógł zaskarbić sobie wdzięczność swoich nowych faworytów?” Kiedy Druzus zawetował projekt ustawy, miał za sobą powszechne poparcie i Gajusz w przeddzień wyjazdu poniósł bolesną porażkę.

– Tak, Druzus nie zasypiał gruszek w popiele – przyznał Lucjusz. – W samej rzeczy nieustępliwie dążył do podminowania twojej pozycji. Ludzie mówią, że większy z niego Grakchus niż z samego Gajusza.

– Mów jaśniej.

– Najpierw wniósł o zakładanie kolonii na jeszcze dogodniejszych warunkach niż proponowane przez ciebie. Potem oskarżył cię o wyzysk ubogich...

– Co takiego?

– ...ponieważ według twojego prawa pobiera się od ludzi opłatę za dzierżawę ziem państwowych.

– Ale symboliczną! To było ustępstwo niezbędne dla pozyskania szerszego poparcia dla ustawy!

– Druzus proponuje teraz zwolnić biednych dzierżawców z czynszu.

– A co na to nasi gruboskórni reakcyjniści z senatu?

– Popierają Druzusa na całej linii. Nie rozumiesz? On jest teraz ich oczkiem w głowie. Kreując się na większego Grakcha od ciebie, odbiera ci elektorat. Twoi wrogowie na razie godzą się głosować wbrew własnym interesom, rzucając parę ochłapów pospólstwu...

– ...a gdy już mnie unieszkodliwią, będą mogli ludziom napluć w twarz i działać po staremu.

– Właśnie. Smutne to, ale obywatele nie potrafią przejrzeć strategii Druzusa. Zdobył ich sobie tą cczą gadaniną.

Gajuszowi opadły ręce. Wyglądał teraz na wyczerpanego do cna.

– Podczas pierwszej kadencji nic nie mogło pójść źle, choćbym się starał. W drugiej nic mi nie wychodzi! Mogę mieć tylko nadzieję, że w trzeciej...

– Trzeci rok trybunem? Gajuszu, to niemożliwe! Już drugą kadencję zatwierdzono ci tylko dzięki przepisowi, który chciał wykorzystać Tyberiusz. Zostałeś na urzędzie, bo nie było dość kandydatów, by zająć wszystkie dziesięć stanowisk... a żeby to osiągnąć, trzeba było zapewnić sobie współdziałanie potencjalnych rywali.

– I w tym roku będzie tak samo, ponieważ ludzie będą na to nalegać!

Lucjusz był innego zdania, ale uznał, że lepiej trzymać język za zębami.

121 r. p.n.e.

– O tak, oni by chcieli mnie wmanewrować w użycie siły. Na tym właśnie im zależy... zapędzić mnie w kozi róg, znieważać, doprowadzić do ostateczności, abym stracił panowanie nad sobą. A potem mnie zniszczyć i twierdzić, że zrobili to dla dobra Rzymu.

Wzburzony Gajusz miotał się po swym zachwaszczonym ogrodzie jak zwierzę w klatce. Od przegranej w wyborach na trybuna jego pozycja stawała się coraz bardziej niepewna.

– Ta elekcja była farsą – rzucił z pasją. – Aż się roilo od uchybień prawnych...

– To już wydeptana ścieżka, Gajuszu. Przemierzaliśmy ją tysiąc razy. Przeszłości nie da się zmienić.

Lucjusz nigdy nie miał zwyczaju rozmyślać, chodząc; teraz też stał nieruchomo jak kolumna, o którą się opierał. Zamartwiał się wewnątrz, nie okazując tego innym. Kiedy ten Gajusz przestanie gadać o ukradzionych mu wyborach? Fakty były niewzruszone: strategia kopania pod nim dołka przyniosła pożądany przez wrogów rezultat i trybun Grakchus stracił większość zwolenników. Po wyborach, kiedy jeszcze przez miesiąc pełnił swą funkcję, jego wpływy systematycznie malały, a początkowa frustracja zamieniła się w bezmyślną krewkość.

– Przyznaję, to był błąd...

– To był zasadniczy błąd!

– ...kiedy nakazałem swoim stronnikom zniszczyć ławki przygotowane na walki gladiatorów. Ale miałem ważny powód. Płatne trybuny dla bogatych zasłaniałyby widok ubogim...

– Ale użyłeś przemocy.

– Tylko wobec mienia. Nikt nie odniósł ran... w każdym razie poważniejszych.

– Wzniciłeś zamieszki, Gajuszu. Zatańczyłeś dokładnie tak, jak ci nieprzyjaciele zagrali. Nazywają cię teraz niebezpiecznym podżegaczem motłochu i demagogiem.

Lucjusz westchnął ponuro. I tę rozmowę toczyli już wielokrotnie. Teraz, gdy Gajusz złożył już urząd, wrogowie zaczęli systematycznie niszczyć jego osiągnięcia, odwołując ustawę za ustawą. Tego dnia nadeszły najgorsze, jak dotąd, wieści: senat miał obradować nad wycofaniem się z projektu założenia Junonii. Kolonia miała być najtrwalszym pomnikiem Grakcha, łączącym go jedną linią z bohaterstwem brata-zdobywcy Kartaginy i geniuszem dziadka, pogromcy Hannibala. Teraz groziło jej unicestwienie, zanim jeszcze powstała. Gajusz był rozgoryczony, ale i wystraszony. Nabrał przekonania, że przeciwnicy nie spoczną, dopóki nie zobaczą jego krwi.

– Czy to prawda, co mówi się o... dobroczynnym akcie Kornelii? – spytał ostrożnie Lucjusz.

– Co masz na myśli?

– Twoja matka stworzyła program sprowadzania do Rzymu bezrobotnych żniwiarzy, aby tu szukali zatrudnienia.

– Wszyscy to wiedzą. Nawet Pizo Frugi nie zgłaszał sprzeciwu. Dzięki temu będziemy mieli zapewnioną tanią siłę roboczą.

– Są tacy, którzy dopatrują się w tym tylko pretekstu do powiększenia szeregów twoich stronników... na wszelki wypadek.

– Na jaki wypadek?

– Na wypadek aktów przemocy, do jakich obie strony się szykują. – Lucjusz obejrzał się przez ramię. Kilku takich imigrantów ze wsi było akurat w domu jego przyjaciela. Kręcili się po ogrodzie lub siedzieli beczynnie, uzbrojeni jednak w kije i kosy. – Co ma się stać, Gajuszu?

– Cokolwiek to będzie, ty nie będziesz w to zamieszany.

– Nie dzielisz się już ze mną swoimi planami. Odkąd wróciłeś z Junonii, poszedłem w odставку. Organizujesz spotkania bez mojego udziału, nie poradziłeś się mnie przed akcją niszczenia trybun. Nic też nie wiedziałem o planach Kornelii.

– Jeżeli cię wyłączyłem z mojego kręgu, Lucjusz, to dla twojego dobra. Ludzie nie wymieniają twojego nazwiska jednym tchem z moim. Przy odrobinie szczęścia zapomną, że kiedyś byłeś moim najgorętszym stronnikiem wśród ekwitów. Jesteś przedsiębiorcą, nie politykiem. Nie rywalizujesz o urzędy i nie przedstawiasz zagrożenia dla moich wrogów w senacie. Dlaczego miałbyś dzielić mój los?

– Bo jestem twoim przyjacielem.

– Byłeś nim i dla Tyberiusza, a jednak nie kiwnąłeś palcem w jego obronie, podobnie jak nie pomogłeś Blozjuszowi.

Lucjusz głośno wciągnął powietrze. Desperacja wydobywała na powierzchnię małostkową, złośliwą stronę charakteru Grakcha.

– Kiedy Fortuna ci sprzyjała, cieszyłem się korzyściami z twojej przyjaźni, Gajuszu. Teraz ona się od ciebie odwróciła, ale po mnie się tego nie spodziewaj.

Grakchus wzruszył ramionami.

– Dobrze, chodź więc ze mną.

– Dokąd?

– Na Forum. Ma się tam odbyć demonstracja przeciwko wnioskowi o porzucenie projektu Junonii. – W Gajusza zdawał się wstępować nowy duch. Zaczął krążyć po ogrodzie, zwołując swoją drużynę. – Wszyscy wstawać! Na co czekacie? Dostyc beczynności! Ruszamy pod kurie!

Pchnięty nagłym impulsem Lucjusz podskoczył do gabinetu i zabrał woskową tabliczkę i rylec. Gajusz był największym oratorem swoich czasów. Przy tak ważnej okazji może powiedzieć coś wartego zanotowania. Metalowy rylec przyjemnie ciążył mu w dłoni; dobre, eleganckie narzędzie, a przy tym solidnej roboty, z bardzo ostrym czubkiem.

* * *

Dzień był duszny i upalny, burza wisiała w powietrzu. Gdy orszak Grakcha zbliżał się do gmachu senatu, z bocznych drzwi wyszedł mężczyzna z płytką misą w rękach. Był to Kwintus Antyliusz, sekretarz konsula Opimiusza. W misce niósł świeże kozie wnętrzności;

przed każdym dniem obrad senatorowie składali rytualną ofiarę i słuchali wróżby augura. Najwidoczniej było już po wszystkim i sekretarz wynosił resztki zwierzęcych organów na śmietnik.

Przechodząc obok kolumny Gajusza, Antyliusz rzucił z pogardliwym uśmiechem:

– Z drogi, wy uliczne śmiecie! Zrobić przejście porządnemu obywatelowi!

Zniewaga ukłuła Lucjusza boleśnie, wywołując w nim przypływ gniewu. Krew zapulsowała mu w skroniach, poczuł gorący rumieniec na policzkach.

– Kogo śmiesz nazywać śmieciem?

– A to chodzące łajno! – Urzędnik wskazał na Gajusza.

Misa zachybotowała się i krew prysnęła na togę Grakcha. Gajusz odskoczył odruchowo, co rozśmieszyło Antyliusza.

Lucjusz nie zdążył pomyśleć, co robi; impulsywnie podskoczył naprzód i z całej siły wbił rylec w pierś sekretarza.

Ludzie aż jęknęli. Antyliusz upuścił miskę i wnętrzności rozprysnęły się na wszystkie strony. Najbliżej stojący cofnęli się. Zraniony usiłował złapać i wyciągnąć rylec, ale narzędzie było zbyt cienkie i śliskie od krwi. Na jego todzie rosła czerwona plama. Antyliuszem targnęły konwulsje, a po chwili upadł martwy na bruk.

Gajusz stał jak wryty, nie mogąc oczu oderwać od trupa, po czym przeniósł pełen niedowierzania wzrok na Lucjusza.

Ktoś z przechodniów widział zajście i pobiegł zawiadomić senatorów. Nie minęło pół minuty, a zaczęli się wysypywać na ulicę i głównym wejściem, i bocznymi, otaczając półkołem Grakcha i jego ludzi. Gdy konsul Opimiusz ujrzał zwłoki leżące w kałuży krwi, na jego twarzy najpierw pojawił się wyraz gniewu, szybko jednak ustąpił ledwie tłumionej radości.

– Morderco! – krzyknął, wbijając wzrok w Gajusza. – Zabiłeś senackiego urzędnika podczas świętej misji!

– On obrzucił krwawymi wnętrznościami trybuna ludowego! – odparł Grakchus. – Czy to ty kazałeś mu tak zrobić?

– Nie jesteś już trybunem, tylko zwykłym szaleńcem... i mordercą!

Obie strony zaczęły się przekrzykiwać, miotając na siebie wzajem obelgi i oskarżenia. Jeden z ludzi Gajusza pobiegł, by sprowadzić jego stronników gromadzących się po drugiej stronie budynku. Kiedy wyłonili się zza rogu, część senatorów pomyślała, że to celowy manewr i że wkrótce zostaną okrażeni. Wybuchła panika, zaczęła się bijatyka. Nagle powietrze rozdarła błyskawica. Gajusz wrzasnął do swoich, by zachowali spokój, ale jego słowa utonęły w przerażającym grzmocie. W chwilę potem otworzyły się niebieskie upusty i lunął ulewny deszcz, niesiony niezwykle silnym wiatrem. Walczące strony rozpieczęły się i na smaganej potokami wody ulicy zostało tylko martwe ciało Antyliusza. Wychowany na historycznych księgach Lucjusz przypomniał sobie opowieść z najwcześniejszych dni

republiki i poczuł dreszcz strachu. Romulus, założyciel miasta i pierwszy król, zniknął bez śladu w taką właśnie gwałtowną burzę. Gajusza oskarżano o dążenie do korony... i oto na Rzym spada huragan, jakiego Lucjusz jeszcze w życiu nie widział. Nie miał pojęcia, jaką rolę odegrał jeden z pierwszych Pinariuszów w tej tajemniczej historii, wiedział jednak aż nadto dobrze, że jego własny bezmyślny akt przypieczętował los Gajusza Grakcha.

* * *

Następnego dnia Lucjusz zrobił coś, co zdarzyło mu się dotąd tylko jedyny raz w życiu. Nałożył rodzinne fascinum.

W dzieciństwie widywał je czasem na szyi matki. Kiedy sam został ojcem, Menenia uroczyście przekazała mu amulet jako odwieczne rodowe dziedzictwo; opowiedziała, jak daleko w przeszłość sięga jego historia i wszystko, co o niej wiedziała (było tego bardzo niewiele). Nie omieszkała też dodać, że fascinum ma szczególną moc i chroni posiadacza przed wszelkim złem. Lucjusz nałożył je wtedy i nosił do wieczora, ale tylko po to, by zrobić matce przyjemność; później je schował i zapomniał o jego istnieniu.

Tej nocy jednak, wśród wciąż szalejącej burzy, fascinum pojawiło się w jego śnie, unoszące się w powietrzu przed wielkim ogniem. Kiedy się obudził, natychmiast odszukał amulet między spletanymi ozdobami, które trzymał w jednym zamykanym kuferku, i nałożył na szyję. Dotyk ukrytego pod tuniką złota był chłodny. Lucjusz nie należał do ludzi szczególnie religijnych, ale jeśli kiedykolwiek mógł potrzebować magicznej ochrony, to właśnie tego dnia.

Żeby dotrzeć do domu Gajusza Grakcha w Suburze, musiał przeciąć Forum. Od strony senatu z daleka słychać było krzyki i płacz: Rzymianie tłumnie lamentowali nad zabitym Kwintusem Antyliuszem.

U Gajusza panował większy ścisk niż kiedykolwiek przedtem, atmosferę zaś, choć zaskakująco radosną, przepełniało podniecenie graniczące z histerią. Z twarzy uwijających się wszędzie mężczyzn bił niemal święteczny nastrój. Po raz ostatni Lucjusz widział podobną mieszankę strachu, oczekiwania i braterstwa, kiedy stał u boku Tyberiusza Grakcha pod murami Kartaginy tuż przed ostatecznym szturmem. Czuło się wtedy, że rodzi się nowy świat, nie wiadomo – lepszy czy gorszy, i wiedziało się, że wielu z nich już go nigdy nie zobaczy.

Gajusz, stojący przy grupie wieśniaków z kosami, spostrzegł przyjaciela i kiwnął nań ręką.

– Przyszedłeś przez Forum? – spytał.

– Tak, ale kurie obszedłem z daleka. Słyszałem krzyki, tylko nie widziałem, co...

– Nieważne. – Ton Gajusza był dziwnie wyniosły. – Moje oczy i uszy są wszędzie. Co chwila mam świeże wiadomości. Ciało Antyliusza złożono na marach pod Rostrą i

senatorowie jeden przez drugiego starają się wygłosić jak najbardziej poruszającą mowę pogrzebową. Żałobnicy płaczą i rwą włosy z głów, tymczasem część moich co gorliwszych zwolenników zaczyna się zbierać na obrzeżach placu. Nie doszło jeszcze do walki, krzyżują się na razie tylko wyzwiska. Ilekroć jedni krzykną: Antyliusz!, drudzy odpowiadają: Tyberiusz! Oczywiście zwłoki mojego brata ciągnięto ulicami jak zdechłe zwierzę i wrzucono do rzeki. Nikt nie może mnie oskarżyć o podobne zbezczeszczenie ich drogiego zmarłego.

– Gajuszu... to, co wczoraj zrobiłem, było niewybaczalne...

– I zupełnie do ciebie niepodobne! – Grakchus się uśmiechnął, ale jego oczy pozostały smutne. – Same Furie musiały wyzwolić twój gniew. Któż mógł wiedzieć, że tyle go w sobie dusisz? Cóż, Kwintus Antyliusz nie jest wielką stratą dla świata. Opimiusz oczywiście okrzyknął mnie mordercą. Do tej pory obrzuca mnie przed senatorami najdziwsiymi inwektywami, imputując mi chęć wymordowania ich hurtem. Grakchus szykuje krwawą łaźnię!, krzyczy. Ciekawe, że tego typu ludzie najgłośniej oskarżają opozycję o te same zbrodnie, które sami cichaczem knują...

– Myślisz, że dojdzie do rozlewu krwi?

– Spytaj o to Opimiusza. Jak umie, stara się podburzyć senatorów. Proponuje uchwalenie nadzwyczajnego prawa, które nazwał *senatus consultum ultimum*. Brzmi groźnie, prawda? Ma ono pozwolić senatowi na wprowadzenie wszelkich niezbędnych środków dla obrony państwa. Innymi słowy, będą upoważnieni do zabicia każdego obywatela na miejscu, bez sądu i wyroku.

– Gajuszu, nie może być!

– A jednak jest i bogowie na to pozwalają. Człek o ograniczonym umyśle jak nasz Opimiusz oczywiście nie zdaje sobie sprawy, że takie wygodne prawo nie pozostanie aktem jednorazowego użytku. To prawdziwa puszcza Pandory. Pozwól państwu raz zamordować obywateli, a to samo będzie się powtarzać przez następne wieki. – Beznamiętny dotąd ton Grakcha nagle zadźwięczał rozpaczą. – Ach, Lucjuszu, co się stanie z naszą republiką? Z naszą nieszczęsną, rozszarpaną, beznadziejną republiką?

Objął przyjaciela na chwilę, po czym odwrócił się do stojących w milczeniu kosiarzy.

– Słuchajcie mnie wszyscy! Zbierzcie wszystko, co może posłużyć jako broń! Filokratesie, przynieś mój miecz. Nie zamierzam im pozwolić, by mnie zaatakowali we własnym domu. Pójdę na Forum i zaniosę modły pod posągami mojego ojca.

Licynia wybiegła z izby i chwyciła go za fałdy togi.

– Mężu, nie idź tam! W domu jesteś bezpieczny, twoi wierni stronnicy cię obronią!

– Teraz tylko bogowie mogą mnie obronić.

– Idź więc bez broni! Jeśli wyjdiesz uzbrojony i na czele zbrojnego oddziału, na pewno dojdzie do walki, a winą za to obciążą cię!

– Wolę zginąć w walce niż zaszlachtowany jak zwierzę ofiarne – odparł z krzywym uśmiechem.

– Gajuszu, to nie żarty! Ci sami ludzie, którzy zamordowali Tyberiusza, teraz chcą uśmiercić i ciebie!

– Póki oddycham, jestem wolnym obywatelem Rzymu i nie będę więźniem we własnym domu.

Gajusz wyrwał się z jej uścisku i ruszył w stronę drzwi.

Licynia została na miejscu, wstrząsana spazmatycznym płaczem. Lucjusz chciał ją pocieszyć i otoczył ramieniem, odtrąciła go jednak gwałtownie. Kiedy ostatni człowiek z orszaku zniknął za drzwiami, Lucjusz rzucił się, by ich dogonić.

Kiedy Gajusz kroczył uliczkami Subury, w mijanych domach otwierały się okiennice. Ludzie pozdrawiali go okrzykami, mało kto się jednak kwapił, by do niego dołączyć. Lucjusz rozejrzał się niespokojnie. Gdzież jest ten wielki, ochoczy tłum obrońców byłego idola plebsu, którzy nie tak dawno przysięgali oddać za niego życie? Kiedy ich niewielki oddziałek wkroczył na Forum, przechodnie przystawali i gapili się na nich z rozdziawionymi ustami, ale szybko wyczuwali, co się święci, i znikali w bocznych zaułkach.

Doszedłszy do pomnika ojca, Gajusz Grakchus zatrzymał się i długą chwilę patrzył w milczeniu na spiżową postać. Po jednej stronie miał wiernego młodego niewolnika Filokratesa, po drugiej stanął Lucjusz Pinariusz. Gajusz przemówił rozmarzonym głosem.

– Mój dziadek rzucał długi cień. Ludzie znają mnie jako wnuka Scypiona Afrykańskiego, a nie jako syna Tyberiusza Grakcha. Mój ojciec też był jednak wielkim Rzymianinem. Jego zwycięstwa w Hiszpanii przypieczętowały pokój, który przetrwał dwadzieścia pięć lat. Jako poseł do Azji był powiernikiem królów. Dwukrotnie wybierano go na konsula, dwukrotnie honorowano triumfami, służył też jako cenzor. Także mój brat doczekałby się wielkości, gdyby mu pozwolono żyć. Miałem nadzieję, że może i ja... – Głos mu się na chwilę załamał, a z oczu pociekły strużki łez. – Czy żyliśmy i umieramy za nic?

Do uszu Lucjusza dobiegła wzmożona wrzawa od strony kurii, a potem szybko narastające odgłosy walki. Szarpnął przyjaciela za ramię.

– Gajuszu, musimy wracać do twojego domu! Za mało nas, żeby przyjąć wyzwanie.

Gajusz drgnął jak obudzony ze snu. Nastawił uszu, po czym pokręcił głową.

– Walka już się toczy na drodze do Subury, nie przedrzemy się. Tu będzie mój ostatni szaniec i tu padnę, jeśli tak ma być.

Serce w Lucjuszu upadło, wziął jednak głęboki oddech i oświadczył:

– Nie opuszczę cię, Gajuszu.

– Jesteś prawdziwym przyjacielem, Lucjuszu.

W oddali pojawili się zbrojni mężczyźni. Spostrzegli Grakcha, wydali głośny okrzyk i rzucili się w ich stronę. Mieli przytłaczającą przewagę nad orszakiem byłego trybuna. Ludzie oglądali się na niego, czekając na rozkazy, on jednak stał nieruchomy i milczący jak statua jego ojca. Część obecnych uległa panice i zaczęli pierzchać na wszystkie strony. W końcu Gajusz zdesperowany krzyknął:

– Lucjusz! Filokratesie! Wszyscy za mną!

Odrzucił togę, a za jego przykładem wszyscy, którzy je nosili, aby móc swobodniej biec. Ścigani przez deptający im po piętach tłum, pomknęli przez Forum, minęli podnóże Palatynu i skierowali się ku Circus Maximus. Na wąskich uliczkach Awentynu zdołali się oderwać od prześladowców, aż w końcu stanęli pod świątynią Diany.

Gajusz wbiegł do środka. Garstka lojalnych do końca stronników, którzy weszli tam za nim, ujrzała, jak pada na kolana przed posągiem bogini.

– Królowo myśliwych! – zawołał. – Córkę Jowisza, siostrę Apollina! Przyjmij tę ofiarę!

Oparł głowę miecza o posadzkę i skierował ostrze w swą pierś. Zanim jednak zdążył rzucić się naprzód, dwaj ludzie schwycili go i odciągnęli, a jeden podniósł miecz i oddał go Filokratesowi.

Gajusz zaszlochał, bijąc pięściami w kamienną płytę.

– Niewdzięczni, zdradzieccy Rzymianie! Przeklinam was! – krzyknął. – Wskazałem wam drogę ku wolności, a wy zwróciliście się przeciwko mnie. Zaryzykowałem dla was wszystko, a teraz mnie opuszczacie. Bądźcie więc na wieki niewolnikami morderców z senatu!

Lucjusz był pewien, że przyjaciel oszalał. Zawsze był najdzielniejszy, z wojowników, a teraz pragnął sam zadać sobie śmierć i umrzeć bez walki. Był tak pewien słuszności swojej sprawy, a porzucał ją; oddany bez reszty rzymskiemu ludowi, dziś rzucał na niego klątwę. Lucjusz był przerażony, nie osądzał jednak przyjaciela. Sam w końcu dał się ponieść chwilowemu szaleństwu, kiedy wbijał rylec w serce Kwintusa Antyliusza...

Do świątyni wbiegł zdyszany mężczyzna.

– Są tuż za mną! – krzyknął. – Idą tutaj!

Lucjusz i Filokrates podnieśli Grakcha za ramiona i postawili na nogi, kierując do wyjścia. Jak w malignie wybiegł na ulicę; prześladowcy natychmiast go wypatrzyli i z triumfalnym wrzaskiem rzucili się w pogoń.

Lucjusz biegł na łeb, na szyję jak w sennym koszmarze. Kręte ulice Awentynu, stara studnia u wylotu Aqua Appia, składy soli nad Tybrem, rojne place Forum Boarium wydawały mu się znajome, a jednocześnie dziwnie obce. Mijani przechodnie na ich widok śmiali się i dopingowali jak atletów na zawodach, inni jawnie z nich szydzili i ciskali rzodkiewkami, kawałkami mięsa czy grudami błota.

Na moście nad Tybrem grupa mężczyzn zatrzymała się i zwróciła ku nieprzyjaciółom, zdecydowana walczyć do końca. Błagali Grakcha, by uciekał dalej, przyrzekając bronić przejścia dopóki się da. Gajusz w towarzystwie tylko Lucjusza i Filokratesa dostał się na drugi brzeg w tym samym czasie, gdy czoło pościgu dotarło na przyczółek mostu. Szczęk broni niósł się nad wodą i długo jeszcze rozbrzmiewał w uszach uciekających.

Zachodni brzeg Tybru był przeważnie dziki i nie nosił wielu śladów ludzkiej działalności. Zdyszana trójka skręciła z bitej drogi na wąską ścieżkę w nadziei, że gęste listowie osłoni ich przed pogonią. Dróżka zawiodła ich do kępy starych drzew. Miękka ziemia tłumiała ich kroki;

w zacienionym gaju na małej polance ujrzeli omszały kamienny ołtarz. Lucjusz miał coraz silniejsze wrażenie, że to wszystko jest złym snem.

– Co to za miejsce? – spytał szeptem.

– To Gaj Furi – odrzekł głucho Gajusz. – Tyzyfony, Megajry i Alekto, mściwych sióstr, które karzą grzesznych śmiertelników szaleństwem. Składa się im w ofierze tylko czarne owce. Widzisz ich wizerunki na ołtarzu? Niosą bicze i pochodnie, zamiast włosów mają węże. Są starsze niż sam Jowisz. Zrodziły się z krwi wylanej, gdy tytan Kronos kastrował swego ojca Uranosa... ze zbrodni syna przeciwko ojcu! A przecież ja zawsze czciłem mego ojca i dziadka! Dlaczego one mnie tu przywiodły?

Upadł przed ołtarzem na kolana. Od strony drogi dobiegły stłumione krzyki; prześladowcy musieli pokonać opór obrońców mostu i byli już blisko.

– Filokratesie, masz mój miecz?

Młody niewolnik skulił się z przestachu.

– Panie, ja...

– Zabij mnie. W świątyni Diany straciłem na chwilę zmysły i pozwoliłem im sobie przeszkodzić. Zrób to teraz dla mnie, Filokratesie.

Odchylił głowę i nadstawił wyprężoną pierś.

– Panie, nie zdołam tego uczynić!

– Filokratesie, rozkazuję ci, zrób to!

Szlochając i drżąc, niewolnik zwrócił ostrze miecza przeciw sobie i rzucił się naprzód. Jego śmiertelny krzyk rozległ się echem wśród drzew; ścigający dosłyszeli go i zaczęli się nawoływać. Byli tuż, tuż.

Gajusz przyklęknął przy niewolniku, pogładził go po włosach, po czym wyrwał miecz z jego piersi. Spojrzał na Lucjusz i podał mu broń ręką naprzód.

– Tego chcą Furie – szepnął. – I tego żądają od ciebie, Lucjuszu. Sprowadziłeś na nas ten kryzys, zabijając Antyliusza. Teraz musisz go zakończyć.

– Robiąc to, czego najbardziej w świecie nie chcę uczynić? – wykrzyknął Pinariusz.

– Pozwoliłbyś wrogom mnie schwytać i torturować?

Lucjusz ujął miecz. Nie mógł spojrzeć Gajuszowi w twarz. Okrążył go, stanął z tyłu, przyklęknął i mocno objął lewą ręką. Przyłożył ostrze do gardła przyjaciela.

Ostatnim tchem Gajusz Grakchus wypowiedział przekleństwo.

– Niech na zawsze tkwią pod senatorskim jarzmem!

Miecz przeciął mu szyję. Gajusz zadygotał. Gorąca krew pociekła na wciąż ściskające go ramię. Minęła długa chwila, zanim Lucjusz puścił martwe ciało i z trudem stanął na nogach. Gajusz upadł ramię w ramię z niewolnikiem. Pinariusz spojrział na nich ostatni raz i położył broń między nimi. Cofnął się w zarośla i ukrył pod liśćmi akurat wtedy, gdy na polanę wpadło kilku prześladowców.

– Na jądra Numy! – krzyknął jeden z nich. – Już nie żyją! Popatrzcie no na nich... Dał się zarznąć niewolnikowi, a potem sługa sam się zabił. Podły tchórz okpił nas!

– Co cię to obchodzi – odparł drugi. – Nagroda jest taka sama, nieważne, kto go tam wykończył. Konsul Opimiusz obiecał sowitą zapłatę dla tego, kto przyniesie głowę każdego z tych zdrajców, a największą za Grakcha. Będzie moja!

Odpychając kolegów, mężczyzna uniósł miecz i rąbał tak długo, póki nie odciął głowy Gajusza. Podniósł ją za włosy i z triumfalnym rykiem okręcił się na pięcie. Kilka kropli krwi padło przez liście na twarz obserwującego tę scenę Lucjusza, on jednak ani drgnął.

– A co z niewolnikiem? – spytał inny.

– Bezwartościowy. Zostawmy go tutaj i wracajmy do miasta. Jeszcze dużo będzie dziś zabijania!

Walcząc z mdłościami, osłabły, płonący gniewem, ale zarazem sparaliżowany bezgłośnie strachem Lucjusz Pinariusz pozostał sam, leżąc nieruchomo i bezgłośnie pod osłoną zbawczych krzewów. Dopiero kiedy ucichły ostatnie strzępy rozmowy oddalających się zbirów, odważył się sięgnąć ręką do szyi i ścisnąć w palcach talizman pod tuniką. Zdumiony, że wciąż żyje, wyszeptał modlitwę do nieznanego mu bóstwa, które uznało za stosowne go uratować.

* * *

Przez następne kilka dni na mocy *senatus consultum* uśmiercono ponad trzy tysiące Rzymian. Cały ruch Grakchów został unicestwiony. Co najdziwniejsze, Lucjusz Pinariusz uszedł z pogromu nietknięty. Przez wiele dni siedział ukryty w domu, w każdej chwili spodziewając się łomotu do drzwi, co jednak nie nastąpiło. Jego imię nie pojawiło się na oficjalnej liście wrogów państwa, czego też nie umiał sobie wytłumaczyć. Wprawdzie pod koniec działalności Gajusza ich kontakty stały się coraz rzadsze i mniej publiczne, niemniej nie były tajemnicą – z niewiadomych powodów ich wrogowie go przeoczyli. Był to łut szczęścia, nad którym Lucjusz do końca życia nie przestał się głowić.

Wydawało mu się, że jego przeznaczenie toczy się jakimś zupełnie bezsensownym torem. Wyparł się Tyberiusza i Blozjusza i dzięki temu przetrwał ich klęskę, choć ku swemu wstydowi i żalowi. Śmiało rzucił się w wir polityki Gajusza, a mimo to przeżył i jego tragiczny koniec, okupując to jeszcze większym poczuciem hańby. Doszedł w końcu do wniosku, że jego życiem steruje jakaś niepojęta moc, nadając mu dziwną niezależność od kaprysów Fortuny. Przez pozostałe lata życia odwrócił się od polityki i poświęcił interesom; zajęcia mu nie brakowało, bo zawsze gdzieś była jakaś droga do zbudowania. Stał się też bardziej religijny. Każdego wieczora przed zaśnięciem odmawiał dziękczynną modlitwę do boga mieszkającego w jego fascinum, któremu zawdzięczał życie. Zmarł w późnej starości,

we własnym łożu, jako ukochany mąż i ojciec, doskonały i zasłużony budowniczy oraz wielce szanowany filar stanu ekwitów.

Konsula Opimiusza postawiono w końcu przed sądem za zabójstwo tyłu obywateli, został jednak uniewinniony; *senatus consultum ultimum* zatwierdzono jako akt prawny i to ochroniło go przed karą. Później został jednak skazany za przyjęcie łapówek od numidyjskiego króla Jugurty, do którego posłował. Opimiusz dożył swych lat jako zgorzkniały i zniechęcony starzec i zmarł w niesławie. W spadku pozostawił Rzymowi ów złowrogi dekret, który zgodnie z proroctwem Gajusza Grakcha jeszcze nieraz przywoływano w coraz bardziej chaotycznej i krwawej historii republiki.

Biorąc przykład z ostatnich lat życia ojca, Kornelia opuściła Rzym i zamieszkała w willi na wybrzeżu, na skalistym cyplu zwanym Mizenum, zabierając z sobą do towarzystwa Menenię. Podejmowała tam dygnitarzy i filozofów, zyskała też sobie nieśmiertelną sławę za stoickie opanowanie w obliczu tak wielkiej tragedii. Gdy ją ktoś pytał, chętnie opowiadała o swoim ojcu, ale jeszcze chętniej o synach. Mogła mówić o Tyberiuszu i Gajuszu bez rozpacz, jak gdyby recytowała biografię dawnych herosów z pierwszych lat Rzymu. Po śmierci w mieście wystawiono jej pomnik, który stał się ulubionym sanktuarium Rzymianek.

Kornelia często wyrażała pragnienie, by ją zapamiętano nie jako córkę wielkiego Scypiona, lecz jako matkę Grakchów. Tak się też stało. Dwaj bracia w śmierci pozostali równie gorąco kochani i nienawidzeni jak w życiu, a ich podwójna tragedia uczyniła z nich ośrodek legendy. Jak matka, zostali uhonorowani posągami, a w miejscach, gdzie zginęli, wzniesiono świątynie, ich imiona zaś politycy wspominali w mowach – jako przykład albo cnót, albo wcielonego zła – dopóty, dopóki trwała sama republika.

Głowy na Forum

81 r. p.n.e.

– Jak mogło do tego dojść? – mruknął Lucjusz Pinariusz.

Mówił sam do siebie, aby po prostu dodać sobie odwagi, przemykając się przez Forum. Mimo przyjemnego wiosennego ciepła miał na sobie opończę z kapturem. Bezwiednie obracał w palcach wisiołek – złote fascinum, pamiątkę po dziadku – i szeptem modlił się do wszystkich bogów, by chronili go od złej przygody. Krwistoczerwona kula słońca prawie dotykała już dachów, spowijając miasto w długie cienie. Mijając Rostre, Lucjusz jak zwykle przyspieszył kroku. Wysoka mównica dla polityków i adwokatów, od dawna przystrojona dziobnicami zdobycznych okrętów, w ostatnich miesiącach zyskała dodatkowe dekoracje o charakterze trofeów. Usilnie starał się tam nie patrzeć, ale mimo woli rzucił okiem na zatknięte na okalających platformę rzędach tyk odcięte ludzkie głowy.

Niektóre tkwiły tam od miesiąca lub dłużej i były w zaawansowanym stadium rozkładu, z nierozpoznawalnymi już rysami; inne ociekały jeszcze krzepnącą krwią, umieszczone tam tak niedawno, że w ich szklistych, wytrzeszczonych oczach widać jeszcze było zastygły strach i grozę. Lucjusz szybko przebiegł wzrokiem po tych najświeższych i podziękował w duchu bogom – nie znalazł żadnej znajomej twarzy.

Z tyłu górował nad Rostrą inny nowy element na Forum. Na wysokim cokole stał konny posąg wodza. Połączona figura lśniła w promieniach zachodzącego słońca czerwonym blaskiem, tak jasnym, że oczy bolały od dłuższego patrzenia. Rzeźbiarz idealnie uchwycił pewną siebie posturę i ostre rysy Lucjusza Korneliusza Sulli. Posąg zdawał się spoglądać ponad upiornym wieńcem głów z łagodnym uśmiechem satysfakcji.

W dali za pomnikiem widniało kolejne dobitne świadectwo dramatycznych czasów, jakie przeżył niedawno Rzym: urwisty szczyt Kapitolu, na którym jak nie zagojona rana sterczały w niebo szerniałe ruiny świątyń. Przed dwoma laty przez wzgórze przetoczył się groźny pożar, który zniszczył wszystko na swej drodze, w tym prastarą świątynię Jowisza. Kapłani naturalnie uznali to za wyjątkowo zły omen; okazało się, że był zwiastunem

niewypowiedzianych okropności wojny domowej i makabrycznej zemsty zwycięzcy na pokonanych.

Lucjusz zostawił Rostre za sobą, spiesząc dalej, póki nie zatrzymał się pod ścianą ogłoszeń. Stała tam grupka mężczyzn czytających najnowsze tak zwane listy proskrypcyjne. Umieszczano na nich nazwiska ludzi oficjalnie uznanych za wrogów Sulli. Każdy, kto się na nich znalazł, mógł zostać bezkarnie zabity przez kogokolwiek, nawet we własnym domu. Za jego głowę zabójcy wyłacano nagrodę, majątek zaś ulegał konfiskacie i trafiał na publiczną licytację.

Paru czytających odetchnęło z ulgą. Kilku wydało stłumione okrzyki grozy. Niemal wszyscy kryli twarze i Lucjusz uczynił to samo, naciągając kaptur głęboko na czoło. Dopiero wtedy przepchnął się do przodu, by przeczytać nazwiska proskrybowanych. Tego, którego szukał – młodszego brata żony – nie znalazł; znów dotknął fascinum, szepcząc krótkie dziękczynienie.

– A cóż to? – Mężczyzna stojący za nim wyciągnął szyję i mrużąc oczy, wpatrywał się w listę. Mówił nienaturalnie głośno. – Czyż to możliwe? Widzę, że dopisano dziś niejakiego... Lucjusza Pinariusza!

Lucjuszowi omal serce nie stanęło. Obrócił się na pięcie, by zobaczyć, kto to powiedział. Poznał go; był to jakiś znajomy znajomego, którego imię wyleciało mu z pamięci. Widząc jego minę, mężczyzna się zaśmiał, co zabrzmiało jak krakanie.

– Tylko żartowałem – wyjaśnił.

– To nie jest nic śmiesznego! – krzyknął Lucjusz łamiącym się ze zdenerwowania głosem. – Jak można tak żartować? Mógłby mnie ktoś tu na miejscu trupem położyć, ty idioto! Trupem na miejscu, zanim bym zdążył otworzyć usta, rozumiesz?

Była to prawda. Podobne historie zdarzały się ostatnio co dnia. Ktoś podchodził, aby przeczytać listę, ku swemu przerażeniu spostrzegał nagle swoje nazwisko, zdradzał się okrzykiem przerażenia i rozpaczy – i w kilka chwil dopadali go czyhający zawsze w pobliżu zabójcy, tylko czekający na okazję, by odciąć głowę wrogowi dyktatora i zgłosić się po nagrodę.

Lucjusz precyzyjnie się pozbierał i ruszył spiesznie z powrotem, starając się jednak nie zwracać na siebie uwagi zbyt szybkim krokiem. Wybrał stromą, ale najkrótszą drogę na Palatyn – ścieżkę za świątynią Kastora, prostą linią przecinającą zbocze – i wkrótce był już na szczycie. Od domu dzielił go już tylko krótki marsz.

Skreślił w wąską uliczkę i stanął jak wryty. Banda opryszków wyciągała akurat z domu jednego z sąsiadów. Mężczyzna złapał się framugi i przez chwilę udawało mu się bronić, ale nie miał szans; szarpnięty przez kilka silnych rąk poleciał naprzód, przewracając się na bruk. Z otwartych drzwi dobiegały krzyki i płacz rodziny.

Nieliczni gapie szybko się odwrócili i uciekli. Został tylko Lucjusz, zbyt zaskoczony i przerażony, by się ruszyć z miejsca. Zdjęty grozą patrzył, jak zabójcy dobywają sztyletów i

zadają ciosy. Żona i dzieci mordowanego wybiegły na ulicę w chwili, gdy jeden z nich właśnie odcinał mu głowę. Wyprostował się, unosząc ją wysoko z triumfalnym okrzykiem. Lucjusz poznał go; był to niejaki Korneliusz Fagita, jeden z bardziej znanych siepaczy Sulli.

– Dacie wiarę? – zwrócił się do kompanów. – Był na liście od miesiąca! Chował się gdzieś cały czas i dopiero dzisiaj ośmielił się wrócić do domu. Myślał, że przechytrzy Fagitę, głupiec jeden! Za takich jak on jest specjalna premia. Zarobimy na nim niemałą sumkę! – zakończył z szerokim uśmiechem, ukazując krzywe zęby ze szparą pośrodku.

Ujrzawszy Lucjusza, wbił weń wzrok z tak groźną miną, że ten o mało nie zemdlął ze strachu.

– Na co się gapisz, obywatelu?

Lucjusz nie odezwał się nawet, tylko spuścił oczy i skulony przemknął dalej. Wrócił do domu wstrząśnięty i musiał się na chwilę oprzeć o ścianę w westybulu, gdy odźwierny w pośpiechu ryglował za nim drzwi. Żona stała w atrium, trzymając na ręku ich nowo narodzonego synka, a parę kroków dalej czekała niania, by położyć go spać. Widząc przerażoną minę Lucjusza, Julia pocałowała dziecko i oddała je niewolnicy. Odczekała, aż dziewczyna odejdzie, zanim spytała:

– Zła wiadomość, tak? Lucjuszu, mów szybko!

– To nie to, co myślisz – zaprzeczył pospiesznie, chwytając ją w objęcia, by uspokoić ją i siebie. – Widziałem... coś strasznego po drodze. Ale na dzisiejszej liście...

– Był na niej Gajusz, tak?

Wyrwała mu się i ścisnęła za ramiona, aż poczuł ból.

– Nie, Julio, nie ma go! Uspokój się.

– Jeszcze nie ma – odezwał się ochryply głos z cienia. – Ale lada dzień mnie dopiszą. Tak mówią moi informatorzy.

Julia puściła męża i podbiegła do skulonej postaci.

– Braciszku, czemu wstałeś z łóżka? Jesteś jeszcze zbyt chory.

Gajusz Juliusz Cezar miał dopiero osiemnaście lat, ale wychudła twarz, zgarbiona sylwetka i sztywne ruchy znacznie go postarzały. Był nieogolony, a zmierzwione, przetłuszczone włosy zadawały kłam jego rodowemu przydomkowi. Kilka pokoleń wcześniej Cezarem, czyli „Pięknogrzywem”, nazwał się jeden z przodków, najwyraźniej wyróżniający się bujną i starannie utrzymaną czupryną.

– Już mi znacznie lepiej, siostrzyczko. Naprawdę. Gorączka minęła, nie mam już dreszczy.

– Ale wróć. Tak już jest przy febrze czterodniowej. Ataki przychodzą i mijają, dopóki choroba sama nie wygaśnie.

– Widzę, że z ciebie niezły lekarz, siostro.

Julia pocałowała go w czoło.

– Rzeczywiście jesteś jakby chłodniejszy. Dasz radę przełknąć trochę rosółu? Musisz nabierać sił.

* * *

Cała trójka stała w jadalni, a Lucjusz trzymał w uniesionych dłoniach małą srebrną czarzę. Skłonił głowę i zaintonował modlitwę.

– Azyleusie, ofiarujemy ci najlepsze kęsy z naszej stawy. Ty, którego szczególnie czcił nasz praojciec Romulus, patronie włóczęgów i wygnańców, którego prastary ołtarz na Kapitolu dawał schronienie tym, co nie mogli go znaleźć nigdzie indziej... chroń ten dom i naszego drogiego gościa, szwagra Gajusza. Tą ofiarą cię błagamy, udziel mu w naszych murach azylu.

– Azyleusie, chroń mego brata! – szepnęła Julia.

– Chroń nas wszystkich – dodał Juliusz.

Lucjusz ułożył się na sofie obok żony, ale nie miał apetytu. Nie jadł nic od rana, ale po przeżyciach tego dnia sam widok pieczonego mięsa przyprawiał go o niestrawność. Julia także ledwo przełknęła parę kęsów, Gajusz jednak szybko uporał się z kubkiem rosółu i zabierał się do następnego. Widząc badawcze spojrzenie gospodarza, posłał mu słaby uśmiech.

– Postąpiłeś odważnie, szwagrze, udając się na Forum. Dziękuję ci.

– Zrobiłem to dla własnego spokoju. – Lucjusz wzruszył ramionami. – Dopóki nie ma cię na liście, Julia i ja nie możemy zostać ukarani za ukrywanie poszukiwanego.

– Jutro się wyniosę, obiecuję.

– Nonsens! – obruszyła się Julia. – Możesz u nas zostać, jak długo ci się podoba.

Lucjusz jęknął w duchu, ale szwagier oszczędził mu zakłopotania.

– Dzięki, siostrzyczko, ale dla własnego bezpieczeństwa muszę się stąd ruszyć. Gdy tylko będę mógł, opuszczę miasto i pojedę tak daleko od Italii jak się da. Gdyby nie ta przeklęta febra, już by mnie tu nie było. Sulla chce mojej śmierci.

Lucjusz pokręcił głową, powtarzając nachodzące go pytanie.

– Jak mogło do tego dojść? Za naszych dziadków zabójca Gajusza Grakcha też dostał nagrodę, a ciało zamordowanego wrzucono do Tybru jak padlinę, ale wówczas budziło to oburzenie porządnych Rzymian. Dzisiaj co dnia pod Rostrą pojawiają się nowe głowy, a Tybrem spływają dziesiątki trupów, nikt nie reaguje. Słyszałeś o ich najnowszym skandalu? Sulla kazał odkopać i osobiście zbezczeszczył zwłoki twojego wuja Mariusza, jedyne go człowieka, który umiałby położyć kres temu szaleństwu. Pociął ciało na kawałki, wysmarował je ekskrementami, wydlubał oczy i wyciął język. W jakich my czasach żyjemy! Silni ludzie już się nie boją bogów, zło nie zna żadnych granic!

Juliusz zbladł.

– To prawda? Na coś takiego chyba nawet on by się nie poważył!

– Szepcze o tym całe miasto. Dlaczego miałyby to być kłamstwem? Sulla nie zna miary w karaniu wrogów. Torturuje ich za życia i ścina, ale widać mu to nie wystarcza.

Gajusz zapatrzył się w oczka tłuszcza na rosole. Jego mina nic nie wyrażała, Lucjusz widział jednak, że szwagier pogрузzył się w myślach. Młody Cezar był z natury beznamiętny i miał analityczny umysł. Choć złożony chorobą i w wielce niepewnej sytuacji, potrafił zachować tak pełną kontrolę nad emocjami, że Lucjusz mu tego nawet zazdrościł.

– Pytasz, Lucjuszu, jak do tego doszło. Sam otarłeś się o odpowiedź, wspominając Gajusza Grakcha. Za czasów naszych dziadków przeznaczenie Rzymu leżało na jednej z dwóch dróg: tej, którą chcieli pójść obaj Grakhowie, i tej, której trzymali się ich wrogowie. Wygrali optymaci, poszliśmy złą drogą. Od tamtej pory nic nie szło dobrze. Gajusz Grakchus próbował rozszerzyć prawa prostych ludzi i nadać je naszym sprzymierzeńcom. Jego krótkowzroczni, samolubni przeciwnicy storpedowali te plany, ale problemy wynikające z niesprawiedliwości i nierówności nie zniknęły. To, co Grakhowie mogli osiągnąć na drodze pokojowej, zostało wymuszone w kolejnej długiej i krwawej wojnie. Cóż za marnotrawstwo! Grakchów zamordowano, ponieważ mieli lepszą wizję przyszłości. Ich zabójcy pozostali bezkarni... i od tej pory ludzie potężni nigdy już się nie wahali użyć przemocy. Wtedy opinia publiczna była wstrząśnięta tym, że Rzymianie zabijają Rzymian. Dziś przeżyliśmy wojnę domową na wielką skalę, zakończoną katastrofalnym wydarzeniem, nie do pomyślenia dla naszych przodków... rzymska armia obległa Rzym!

Z perspektywy czasu wojna domowa, o której mówił Juliusz, mogła się wydawać nieunikniona. Coraz dalej sięgająca militarna ekspansja Rzymu doprowadziła do utworzenia nadmiernie rozbudowanej armii, której dowódcy gromadzili coraz więcej bogactw. Era podbojów zrodziła pokolenie wodzów, którzy doszli do takiej potęgi, że usunęli w cień nawet sam senat. Kierowani raczej własną ambicją i wzajemnymi podejrzeniami niż pobudkami politycznymi, ci wybitni stratedzy zaczęli najpierw rywalizować między sobą, a potem otwarcie się zwalczać. Z krótkiej, ale morderczej wojny zwycięsko wyszedł Sulla, pokonując Mariusza i Cynnę. Idąc za ciosem, pomaszerował na Rzym, rozpoczął oblężenie i zmusił senat do ogłoszenia go dyktatorem.

– I teraz zwycięzca trzyma miasto w żelaznym uścisku – kontynuował Juliusz. – Oficjalnie przyrzeka odbudować republikę i przywrócić należne miejsce senatowi, ale najpierw musi oczyścić państwo ze wszystkich prawdziwych i domniemanych wrogów i obdzielić ich majątkami swoich popleczników.

Gajusz Juliusz znów zapatrzył się w kubek. Jako siostrzeniec Mariusza, a od niedawna mąż Kornelii, córki Cynny, był przekonany, że dyktator zaliczył go do swych najgroźniejszych nieprzyjaciół.

– To, że może rządzić nami taki potwór, świadczy o naszym upadku moralnym – oświadczyła Julia. – Bogowie są rozgniewani i nas karzą. W dawnych czasach tytuł dyktatora

wiązał się z wielkim respektem. Nasi przodkowie powierzyli tę funkcję Cyncynatowi, a on uratował miasto i natychmiast oddał władzę. Po Sulli słowo dyktator na zawsze będzie synonimem czegoś podłego i brudnego.

– Masz rację, nazywając go potworem – mruknął Lucjusz, nerwowo gryząc paznokiec. – To szalenie! Pamiętacie dzień, kiedy zostały wywieszane pierwsze proskrypcje? Aż osiemdziesiąt nazwisk! Osiemdziesięciu obywateli odartych z wszelkich praw, zamienionych w zwierzynę, na którą każdy mógł zapolować. Nie posiadaliśmy się z oburzenia... takie bezkarne deptanie prawa! Już sama liczba proskrybowanych przerażała. Tymczasem na drugi dzień wywieszono dodatkowe dwieście nazwisk, a po następnej dobie następne dwieście! Czwartego dnia Sulla wygłosił mowę o przywracaniu prawa i porządku. Ktoś się ośmielił zadać mu pytanie, ilu jeszcze ludzi zamierza wciągnąć na te listy. Odpowiedział tonem niemal przeproszającym, niczym urzędnik, który zaniedbał obowiązki: dotąd proskrybowałem tylu wrogów, o ilu pamiętałem, ale na pewno paru umknęło mojej pamięci. Obiecuję jednak, że gdy tylko ich sobie przypomnę, na pewno ich nazwiska także poznacie.

– To miał być żart – wyjaśnił ponuro Gajusz. – Trzeba przyznać, że Sulla ma poczucie humoru, choć raczej wisielcze.

– Jest obłąkany jak Kasandra! – upierał się Lucjusz. – Zabójstwa nigdy się nie skończą. Codziennie pojawia się nowa lista, a ktokolwiek udzieli schronienia proskrybowanemu, nawet jego ojciec, sam automatycznie trafia na następną. Synowie i wnuki nieszczęsnych tracą nie tylko dziedzictwo, ale i obywatelstwo. Tak się dzieje nie tylko w Rzymie, lecz w całej Italii. Ludzie są mordowani każdej minuty każdego dnia, a za wszystkich zabójcy inkasują nagrody, nawet jeśli to niewolnik zabija pana lub syn ojca. To już nie tylko szaleństwo, ale obraza naszych przodków i zbrodnia wobec bogów!

– W tym szaleństwie jest jednak metoda – rzekł Gajusz. – Sulla i jego przyjaciele gromadzą w ten sposób ogromne bogactwa. Pierwsi ludzie na listach byli rzeczywiście ich wrogami, przeciwnikami z wojny domowej. Potem zaczęliśmy napotykać inne nazwiska, ekwitów, którzy nigdy się nie parali polityką, czy zamożnych rolników, których noga w mieście nigdy nie postąpiła. Dlaczego zostali proskrybowani? Żeby Sulla mógł zająć ich majątki. Państwo sprzedaje te dobra na publicznych licytacjach, ale poza wybranym kręgiem zauszników dyktatora nikt nie śmie stawać do przetargu.

– A więc obywateli morduje się dla ich własności – podsumował Lucjusz.

– To ich własność ich morduje – sprostował Cezar. – Niedawno byłem w Albie. Przejeżdżałem obok pięknej wiejskiej willi otoczonej ogrodami i winnicami, a mój towarzysz powiedział: Oto posiadłość, która zabiła Kwintusa Aureliusza.

– Gajuszu, to nie jest zabawne! – zaprotestowała Julia.

– Wobec tego chyba nie będziesz się śmiała, gdy usłyszysz, że ludzie, którzy dopuścili się zwykłego mordu, załatwiają pośmiertne dopisywanie ich ofiar na listy. Mówią, że taki numer

zrobił Lucjusz Sergiusz Katylina, ukatrupiwszy swego szwagra. Nie tylko udało się mu zalegalizować morderstwo, ale jeszcze zgarnął za nie niezłą sumkę!

Cała trójka zamilkła na długą chwilę. Gajusz wypił jeszcze trochę rosółu, Lucjusz jednak tylko patrzył na jedzenie, nie mogąc się zmusić do przełknięcia ani kęsa. Ciszę przerwała Julia.

– Myślicie, że można Sulli wierzyć, gdy obiecuje złożyć dyktaturę i wrócić do statusu zwykłego obywatela? Ma to zrobić w rok lub najwyżej dwa.

– Możemy tylko się modlić, aby to się okazało prawdą – burknął Lucjusz.

– A jeśli jest? – spytał Cezar. – Co się zmieni, gdy Sulla odda władzę? Znow będą się odbywać wybory i senat wznowi urzędowanie... tylko że wszyscy ludzie Mariusza będą się temu mogli przyglądać z Hadesu, a ich miejsce zajmą przyjaciele Sulli. Państwo jednak wciąż będzie okaleczone, rachunki krzywd nie spłacone, przepaście nie zasypane, jedynie spięte prowizorycznymi kładkami. Gajusz Grakchus, gdyby dano mu tę szansę, mógł uporządkować ten bałagan i tchnąć w republikę nowe życie. Małostkowy i mściwy tyran jak Sulla się do tego nie nadaje. Rzym uratuje ktoś inny, kto będzie umiał połączyć polityczne wizjonerstwo Grakchów i geniusz wojskowy Scypiona Afrykańskiego z odrobiną okrucieństwa Sulli.

Oczy Cezara wyglądały jak zasnute mgłą – zupełnie, jakby mówił o własnych ambicjach na przyszłość. Nie, to absurd, pomyślał Lucjusz. Gorączka przyprawia szwagra o manię wielkości, podczas gdy powinien się martwić, czy zdoła utrzymać głowę na karku przez najbliższe dni i tygodnie, zamiast roić sny o ratowaniu republiki... Głośno zaś powiedział:

– Być może człowiekiem, o którym myślisz, jest Pompejusz Magnus.

Był to jeden z protegowanych Sulli, utalentowany wódz starszy od Cezara zaledwie o sześć lat. Sulla, który uwielbiał nadawać przydomki – sam siebie nazywał Felix, czyli „Szczęśliwy” – pół żartem, pół serio ochrzcił młodego Gnejusza Pompejusza „Wielkim”, co wkrótce do niego przylgnęło na stałe.

– Pompejusz! – Cezar prychnął pogardliwie. – Chyba żartujesz. On nie ma za grosz siły charakteru, jakiej trzeba prawdziwemu przywódcy.

Lucjusz tylko uniósł brwi. Nie darzył Pompejusza sympatią, ale był zdania, że Gajusz Juliusz za mało zdążył się otrząść w świecie, by wygłaszać takie kategoryczne opinie o innych.

Cezar zauważył jego sceptycyzm.

– Czy muszę usprawiedliwić tę uwagę? – spytał. – Dobrze. Dość będzie jednego przykładu, by ukazać zasadniczą słabość Pompejusza. Jaki jest największy... poza głowami na Forum... przejaw despotyzmu Sulli? Aranżowanie małżeństw w swoim otoczeniu. Tu nie chodzi tylko o stare poczciwe swaty. Zmuszał kobiety do wychodzenia za jego ulubieńców, a to już nie małżeństwo, ale gwałt i obraza boska. Posuwał się nawet do anulowania istniejących związków, każąc małżonkom brać rozwód i poślubić inne, wskazane przez niego osoby.

– To kolejny objaw jego szaleństwa.

– Możliwe. Ale jeśli Pompejusz podziela twoje zdanie, to nie okazał się dostatecznie wielki, by się postawić swemu panu. Sulla kazał mu się rozwieść z kochającą i oddaną żoną Antystią... i ożenić się ze swą pasierbicą Emilią, choć była już w ciąży z własnym mężem! I co uczynił nasz Magnus? Jak sługus jakiegoś azjatyckiego monarchy posłuchał bez cienia skargi. To ma być człowiek, który wyprowadzi Rzym z tego bagna? Szczerze wątpię! – Juliusz pokręcił głową. – Ja nigdy bym się nie zgodził na tak upokarzający, niegodny postęp tylko po to, żeby zaskarbić sobie czyjąkolwiek łaskę, niezależnie od konsekwencji. Nigdy!

– No, to módlmy się, abyś nigdy nie musiał stawać przed tak strasznym dylematem – rzekła Julia, pragnąc rozładować napięcie. – Oby twoje małżeństwo z Kornelią było długie i owocne. – Uśmiechnęła się blado. – Wiesz, Gajuszu, ilekroć myślę o dobrym małżeństwie, przychodzą mi na myśl nasi rodzice. Zawsze wydawali się tak szczęśliwi. Gdyby tylko bogowie nie zabrali taty tak nagle...

Julia i Gajusz stracili ojca przed trzema laty. Gajusz senior był zdrowym, pełnym wigoru mężczyzną w kwiecie wieku, ale pewnego dnia przy nakładaniu butów nagle upadł i już nie wstał, martwy. Także jego ojciec zmarł młodo w podobnych okolicznościach. Rodzeństwo bardzo przeżyło tę śmierć i stało się sobie jeszcze bardziej bliskie. Widząc smutek na twarzy siostry, Gajusz pochylił się ku niej i delikatnie dotknął dłonią jej ramienia.

Nagle od strony westybulu dobiegł tak głośny hałas, że cała trójka aż podskoczyła. To już nie było łomotanie do drzwi; ktoś próbował je wyważyć. Dał się słyszeć trzask pękającego drewna i zgrzyt wykrzywianych zawiasów. Gajusz chciał uciekać, ale zdążył zrobić zaledwie kilka kroków. Był za słaby na wysiłek; zachwiał się i byłby upadł, gdyby Julia nie rzuciła się z pomocą.

Do jadalni wpadła grupa zbrojnych. Lucjusz zbladł, ujrawszy ich przywódcę.

Fagita się uśmiechnęła, ukazując szczerbę między zębami.

– Ach, oto ten, którego szukam... młody Cezar!

Julia wysunęła się przed brata jak kwoka starająca się zasłonić kurczęta. Lucjusz, choć nogi się pod nim zatrzęsły, podszedł do intruza, który przewyższał go co najmniej o głowę, i rzekł z podniesionym czołem:

– Mylisz się. To brat mojej żony, Gajusz Juliusz Cezar. Jego nazwiska nie ma na liście proskrypcyjnej.

Sullańczyk się roześmiał.

– Nazwiska nie ma na liście proskrypcyjnej! – powtórzył, przedrzeźniając gospodarza. – Ile to już razy słyszymy to zdanko, co, chłopaki?

– To prawda! Sam sprawdziłem przed godziną. Widziałeś mnie na ulicy, jak wracałem z Forum. Nie przypominasz sobie?

Fagita zmrużył oczy, przypatrując mu się uważnie.

– Hmm... Może i tak. Jeśli nie ma go na liście, jak mówisz, to zawsze można je tam później dopisać – powiedział, ale w jego głosie słychać było nutę wątpliwości.

Lucjusz wyczuł ją i naciskał dalej.

– Zabijanie proskrybowanych to jedno, Fagito, ale morderstwo niewinnego człowieka to już zupełnie inna sprawa. Prędzej czy później Lucjusz Korneliusz Sulla, jak sam przyrzekł, ustąpi ze stanowiska. Sobie zapewnił dożywotni immunitet, ale wątpię, by rozciągnął go i na ciebie. Chyba że się mylę?

– Nie – odrzekł Fagita, marszcząc brwi.

– Cóż, w takim razie kiedyś przyjdzie się rozliczyć... z pomyłek. Teraz chcesz popełnić taki właśnie błąd, Fagito. Gajusza Juliusza Cezara nie ma na liście. To pełnoprawny obywatel, a nie wróg państwa. Nie masz prawa robić mu najmniejszej krzywdy.

Mężczyzna odwrócił się do jednego ze swych podkomendnych, który wyjął kawałek papirusu, i obaj studiowali go przez chwilę, spierając się o coś szeptem. W końcu wyprostował się dumnie i podszedł do Lucjusza, patrząc nań z góry.

– A ile gotów jesteś mi zapłacić, żebym nie popełnił... błędu?

Lucjusz zagryzł wargę. Po namyśle wyszeptał proponowaną sumę.

– Nie dziwię się, że nie chcesz mówić głośno! – Fagita parsknął śmiechem. – Wstydzilibyś się oferować tak mało za bezpieczeństwo braciszka żoneczki! Pomnóż to przez cztery, a się zastanowię.

Lucjusz przełknął ślinę.

– Dobrze.

– No, to już brzmi lepiej. Teraz musisz już tylko mnie ładnie poprosić, abym przyjął pieniądze, a sobie pójdę.

– Co takiego?

– Proś, powiedziałem. Muszę mieć jakąś rozrywkę, nie? Na kolana i błagaj, żebym się zgodził.

Lucjusz zerknął na Julię, ale odwróciła wzrok. Gajusz wyglądał, jakby strach odebrał mu resztki sił; chłopak ledwo się trzymał na nogach. Lucjusz opadł na kolana.

– Zaklinam cię, Korneliuszu Fagito, przyjmij moje pieniądze i zostaw nas w spokoju!

Sullański siepacz zarechotał i potargał mu włosy.

– No, widzisz, człowieczku, umiesz to robić! Dobrze, dawaj forszę. Ale ci powiem, że kiepski ubiłeś interes. Twój szwagierek nie doczeka następnych idów. Pieniądze wezmę i Cezar zachowa głowę, a później, jak już się znajdzie na liście, po raz drugi zapłaci mi za nią Sulla!

Lucjusz wręczył mu sakiewkę i cała grupa bez słowa wyszła na ulicę. Julia nie była zdolna wykrztusić ani słowa, a Gajusz dowlókl się do sofy i opadł na nią bezwładnie. Lucjusz dotknął jego czoła. Wyglądało na to, że gorączka wróciła z nową siłą.

* * *

Pomimo choroby młodzieńca jeszcze tego samego wieczoru Lucjusz zamówił lektykę i wywiózł szwagra do innej kryjówki. Jeśli Fagita wpadł na jego trop, mógł to zrobić i ktoś inny. To jedynie, że jego nazwiska jeszcze nie było na liście proskrypcyjnej, nie gwarantowało mu bezpieczeństwa. Przez następne dni Gajusz, choć wciąż nękała go febra, nieustannie zmieniał miejsce pobytu, podczas gdy starszyzna rodu Juliuszów prowadziła gorączkowe negocjacje z kręgiem najbliższych zauszników dyktatora, usiłując zapewnić mu immunitet. Lucjusz spotykał się z krewnymi żony dzień w dzień, czekając na dobrą nowinę.

Proskrypcje trwały dalej. Co dnia na listach pojawiały się nowe nazwiska i Lucjusz zaczął się obawiać, że w końcu przeczyta i swoje. Wyłamane przez bandę Fagity drzwi wymienił na mocniejsze, a sam nie rozstawał się ze sztyletem. Kupił też od jakiegoś podejrzanego typa z tybrzańskiego portu szybko działającą truciznę i oddał Julii na przechowanie. Śmierć od miecza będzie przynajmniej szybka, powiedział sobie, drżał jednak na myśl, co stałoby się z Julią, gdyby jego zabrakło. Chciał jej zapewnić sposób na szybkie odejście. W jakich czasach żyjemy, pomyślał, że człowiek musi mieć podobne plany awaryjne!

Pewnego dnia zjawił się u niego gość z silną ochroną – urodziwy młodzieniec ze wspaniałą grzywą blond włosów. Lucjusz rozpoznał Chryzogonosa, faworyta Sulli. Dyktator od młodości miał słabość do aktorów, szczególnie jasnowłosych. Chryzogonos miał na sobie tunikę z doskonałej zielonej tkaniny, haftowaną srebrną nicią. Musiała kosztować majątek; Lucjuszowi przemknęło przez głowę pytanie, kto musiał zginąć, aby kochanek Sulli mógł w niej paradować.

– Nie zabawię długo – rzekł Chryzogonos, rozglądając się wprawnym okiem po westybulu, jakby oceniał swą przyszłą własność. – Mój przyjaciel Felix przesyła ci wiadomość.

Gospodarz z trudem opanował niesmak, słysząc, jak były niewolnik i aktor z taką poufałością mówi o najpotężniejszym z Rzymian. Gość, jakby wyczuwając tę niechęć, wbił w niego zimne spojrzenie, od którego Lucjuszowi zaschło w ustach.

– Jaka to wiadomość?

– Brat twojej żony będzie oszczędzony...

– Na pewno? – Julia, która dotąd trzymała się w ukryciu, podbiegła do męża.

– Może pozwolisz mi skończyć? – Chryzogonos uniósł brwi. – Gajusz Juliusz Cezar będzie oszczędzony, ale pod warunkiem że zgodzi się na spotkanie z Feliksem.

– Żeby mógł patrzeć, jak go ścinają? – warknął Lucjusz.

– Dyktator odwiedzi cię dziś wieczorem. Jeżeli Juliuszowi zależy na ułaskawieniu, będzie tu na niego czekał.

* * *

Zgodnie z zapowiedzią, gdy tylko zaczęło zmierzchać, przed domem Lucjusza zjawił się rozbawiony orszak. Oprócz Chryzogonosa było w nim jeszcze kilku aktorów i mimów obojga płci; dowcipkowano i śmiano się rubasznie, niczym na beztroskiej przechadzce przy pochodniach. Ochrona bardziej przypominała ulicznych rzeźmieszków niż kojarzących się dotąd z tą funkcją statecznych, posepnych liktorów. Trzeźwość była w tym gronie rzadkim zjawiskiem; większość obecnych ledwo się trzymała na nogach, co przyglądający się orszakowi przez okienko w drzwiach Lucjusz skwitował pełnym niesmaku cmoknięciem.

Sam Sulla przyjechał w lektyce z czerwonymi zasłonami niesionej przez kilkunastu krępych niewolników. Jeden z nich przyklęknął na czworakach, służąc wysiadającemu za podnóżek. Na widok dyktatora Lucjusz aż sapał z odrazy. Że też losy republiki i jej obywateli dostały się w ręce takiego zepsutego indywiduum! Niegdyś żyłasty i muskularny, uosobienie rzymskiego wodza, Sulla był dziś grubasem z obwisłymi policzkami. Cerę zawsze miał plamistą – „morwy w owsiance”, jak czasem mawiano – teraz jednak jej skomplikowany deseń wzbogacił się o siateczkę fioletowych żyłek.

Dyktator zabębnił pięścią w drzwi. Lucjusz cofnął się i dał znak odźwiernemu, sam stając o dwa kroki z tyłu. Sulla wkroczył pewnie do środka i bez słowa minął gospodarza, wchodząc do westybulu. Był sam; nie zabrał ze sobą ani jednego ochroniarza. Może miał się za nietykalnego? W końcu sam siebie nazwał szczęściarzem...

Gajusz Juliusz czekał na niego w atrium. Pod względem powierzchowności trudno byłoby o dwa większe przeciwieństwa. Z natury szczupłego Cezara dodatkowo wycieńczyła choroba, a z ziemistą cerą pociągłej twarzy kontrastowały błyszczące od gorączki oczy. Mimo słabości postawę miał dumną; stał z wyprostowanymi ramionami i podniesionym podbródkiem. Na tę okazję przywdział pożyczoną od szwagra togę, która mimo starań i krawieckich sztuczek Julii wisiała na nim jak na drążku. Sulla podszedł bliżej, mierząc go badawczym spojrzeniem.

– A więc to jest młody Cezar – powiedział po chwili. – Patrzę na ciebie, a ty nie spuszczasz wzroku. Marszczę brwi, a ty się nie kulisz ze strachu. Za kogo ty się masz, młodzieńcze?

– Jestem Gajusz Juliusz Cezar, syn pretora i potomek Juliuszów, prastarego patrycjuszowskiego rodu, który szczyli się pochodzeniem od samej Wenus.

– Może i tak. Kiedy jednak na ciebie patrzę, widzę drugiego Mariusza.

Lucjusz wstrzymał oddech. Czy Sulla zamierza zabić Gajusza gołymi rękami?

Dyktator jednak się tylko roześmiał.

– Niemniej postanowiłem darować ci życie i tego dotrzymam... jeżeli spełnisz moje warunki.

Lucjusz podszedł o krok bliżej.

– Dyktatorze, postawiłeś warunek, że Cezar ma się z tobą spotkać, więc się spotkał. Czegóż żądasz jeszcze?

– Po pierwsze – odpowiedział Sulla, nawet nie zerknąwszy na gospodarza. – Musisz się rozwieść z Kornelią, a potem...

– Nigdy!

Cezar się nie poruszył i na jego twarzy nie było widać żadnych emocji, głos jednak brzmiał stanowczo. Sulla był wyraźnie zdziwiony.

– Powtarzam raz jeszcze: musisz się rozwieść z Kornelią. W waszym związku łączą się domy obu moich wrogów, Mariusza i Cynny, a na to pozwolić nie mogę...

– Odmawiam.

– Coś ty powiedział?

– Odmawiam. Nawet dyktator nie może żądać czegoś podobnego od wolnego obywatela rzymskiego.

Sulla patrzył na niego bez wyrazu, ale twarz mu wyraźnie poczerwieniała. Powoli skinął głową.

– Rozumiem...

Lucjusz zebrał się w sobie i sięgnął za tunikę po sztylet, zastanawiając się, czy miałby odwagę go użyć. Cóż sobie ten Gajusz myśli? Tak przemawiać do dyktatora! Chyba ta gorączka odbiera mu zmysły.

I wtedy Sulla wybuchnął śmiechem. Śmiał się głośno, długo i szczerze. W końcu się opanował i powiedział tonem wyrażającym czyste zadziwienie:

– Sam już nie wiem, czy upatrywać w tobie Mariusza, młodzieńcze, czy siebie samego? No cóż, skoro tak, to zostawię ci na karku i głowę, i żonę. Zgodzisz się chyba jednak, że w zamian za to ustępstwo ktoś z twojej rodziny powinien zrobić mi przyjemność i zmienić stan matrymonialny. – Dyktator obejrzał się przez ramię. Po raz pierwszy od wejścia do domu popatrzył prosto w oczy Lucjuszowi. – Może ty?

– Ja, dyktatorze?

– Tak, ty. Kim jesteś dla tego młodego człowieka? Szwagrem?

– Tak jest.

– A gdzie jego siostrzyczka, a twoja małżonka? Pewnie czai się gdzieś w kącie... One zawsze tak robią. No, wychodź, kobieto! Stań w atrium, żebym mógł cię zobaczyć!

Zaczerwieniona Julia potulnie wyszła z za rogu korytarza.

– No proszę, wykapany brat! Może więc go zastąpić. Jak ci tam na imię, człowieku?

– Lucjusz Pinariusz, dyktatorze.

– A więc, Lucjusz Pinariuszu, natychmiast rozwiedziesz się z żoną. Ponieważ pochodzi ona z patrycjuszowskiego rodu, należy dochować pewnych formalności. Daję wam zatem dwa dni, ale nie więcej. Rozumiecie mnie obydwójce?

– Dyktatorze, błagam, nie czyn tego! – szepnął Lucjusz.

– Po rozwiązaniu małżeństwa możesz robić, co ci się żywnie podoba, Pinariuszu. Ty, Julio, musisz jednak niezwłocznie ponownie wyjść za mąż. Jesteś siostrzenicą Mariusza i córką Juliusza... a ja muszę mieć na was wszystkich oko. Tylko kogo by ci wybrać na męża? Niech pomyślę... – Sulla stuknął się dłonią w czoło i strzelił palcami. – Mam! Kwintus Pediusz będzie w sam raz dla ciebie.

– Ja go nawet nie znam! – Julia z trudem wstrzymywała łzy.

– Nie martw się, wkrótce poznasz go dobrze! – Sulla uśmiechnął się szeroko. – No, to załatwione. Młodego Cezara skreśli się z przygotowywanej listy proskrypcyjnej... ale i tak radziłbym ci zniknąć z miasta, młodzieńcze. Wypadki chodzą po ludziach... A wy dwoje bierzecie rozwód...

– Dyktatorze...

– Nazywaj mnie Feliksem.

– Lucjusz Korneliuszu Sullo... Feliksie... Błagam, abyś zmienił zdanie. Jesteśmy z żoną bardzo sobie oddani. Pobraliśmy się... – Lucjusz ugryzł się w język. Chciał powiedzieć: z miłości, ale czuł, że zbrukałby ich uczucie, mówiąc o nim komuś takiemu jak Sulla. – Mamy małego synka, Julia wciąż go karmi...

– Może go oczywiście zabrać. – Sulla wzruszył ramionami. – Zrzekniesz się praw ojcowskich i niech go Pediusz adoptuje.

Pinariusz zaniemówił ze zgrozy. Julia nie wytrzymała i zaniósła się spazmatycznym szlochem. Blady jak ściana Gajusz postąpił parę kroków naprzód, chwiejąc się na nogach.

– Dyktatorze, pojąłem, że źle czynię, sprzeciwiając się twej woli – powiedział. – Zrobię, jak każesz. Rozwiędę się z Kornelią...

– Nic podobnego!

– Ja nie chciałem...

– Twoje intencje nic tu nie znaczą. Liczy się tylko moja wola! Uchodzisz z życiem i zachowujesz żonę, to się ciesz. Ale twoja siostra odepjdzie od męża. – Odwrócił się do Lucjusza. – Wybieraj: albo to, albo jutro znajdziesz się na liście, a twoja głowa na tyczce!

Z teatralnym gestem godnym Chryzogonosy Sulla odwrócił się i wyszedł. Czekający pod domem orszak powitał go pijackimi okrzykami i śmiechem, co jednak szybko stłumiły zawarte pospiesznie przez odźwiernego drzwi. Lucjusz stał ze wzrokiem wbitym w podłogę.

– Po wszystkich naszych staraniach... poświęceniach... nieprzespanych nocach... łapówce dla Fagity... takie upokorzenie, taka tragedia!

– Szwagrze... – szepnęła Cezar. – Skąd mógłbym przypuszczać...

– Nie nazywaj mnie tak! Już nie jestem twoim szwagrem!

Z pokoju dziecinnego dobiegł płacz niemowlęcia. Julia osunęła się na kolana, nie przestając zawodzić. Lucjusz rzucił Gajuszowi wrogie spojrzenie.

– To ja i Julia musimy zapłacić taką cenę za twoją dumę. Przyszło nam wyrzec się wszystkiego, aby ocalić twoją głowę i tak cenną godność! Wszystko tracimy, rozumiesz?

Cezar otworzył usta, ale nie mógł znaleźć żadnego odpowiedniego słowa.

– Jesteś naszym dłużnikiem! – krzyknął gospodarz. – Nigdy o tym nie zapominaj! Póki ci życia starczy, zawsze będziesz miał wielki dług wobec mego syna i jego synów!

* * *

Tysiące Rzymian ginęły albo uciekały na obczyznę, a choć szaleńcze tempo proskrypcji stopniowo malało, Sulla wciąż trzymał miasto żelazną ręką.

Rozwód uczynił Lucjusza Pinariusza człowiekiem złamanym i zgorzkniałym. Nikt go nie winił za nieszczęście, jakie spadło na jego rodzinę; przyjaciele, z których wielu również sporo wycierpiało, starali się go pocieszać, a nawet wysławiali za tak nadzwyczajne poświęcenie. „Zrobiłeś to, co musiałeś, aby ratować życie krewniaka”, mówili. „Zrobiłeś to dla żony i dziecka. Gdybyś nie posłuchał rozkazu, Sulla by cię proskrybował, a wtedy rodzina zostałaby bez środków do życia”. Żaden argument nie mógł jednak złagodzić jego cierpienia i żalu. Ratując rodzinę, utracił ją. Ratując głowę, wyzbył się godności.

Nowy mąż Julii, Kwintus Pediusz, nie zabraniał mu odwiedzać syna – ani nawet Julii – Lucjusz jednak wstydził się przed nimi stanąć. Człowiek, który bił czołem przed dyktatorem, jest niewiele lepszy od niewolnika; Rzymianin bez honoru przestaje być Rzymianinem. Uznał, że najlepiej będzie, gdy najbliżsi będą go uważać za zmarłego. Niech Julia czuje się jak wdowa, która powtórnie wyszła za mąż. Niech syn się wychowa jako pólsierota. Naprawdę lepiej by było dla wszystkich, gdyby Lucjusz umarł. Czemu nie zaraził się febrą od Gajusza!

Skoro więc miał być martwy, wołał zawczasu przekazać synowi cenne dziedzictwo: złote fascinum, od niepamiętnych czasów przechowywane przez ród Pinariuszów. Talizman był już bardzo sfatygowany i trudno się w nim było dopatrzeć oryginalnego kształtu, niemniej Lucjusz posłał go Julii wraz z tradycyjną modlitwą, jaka mogła chronić ich syna przed wszelkim nieszczęściem – choćby takim, jakie spadło na jego ojca. Takim sposobem Fascinus trafił do kolejnego pokolenia.

Lucjusz Pinariusz nie pragnął powtórnego ożenku i mieszkał samotnie w domu na Palatynie, przybity i zrezygnowany.

Gajusz Juliusz Cezar wziął sobie do serca słowa Sulli i opuścił Rzym, gdy tylko ozdrowiał na tyle, by móc podróżować. Przyjął funkcję wojskową na wybrzeżu Morza Egejskiego, służąc pod rozkazami pretora Minucjusza Termusa.

Lucjusz starał się nie myśleć o byłym szwagrze, ale któregoś dnia mijał na Forum grupę mężczyzn i mimo woli usłyszał, że rozmawiają o Cezarze. Przystanął i słuchał.

– Tak, Gajusz Juliusz Cezar – powtórzył jeden. – Ten sam, któremu ojciec zmarł nagle parę lat temu.

– Biedaczysko! Może z początku widział w królu Nikomedesie zastępczego ojca... ale żaden Rzymianin nie powinien się oddawać innemu mężczyźnie, nawet królowi.

– Zwłaszcza królowi!

Tę uwagę skwitowano salwą rubasznego śmiechu. Lucjusz podszedł do rozmawiających i zapytał wprost:

– O czym wy mówicie?

– O poczynaniach młodego Cezara na Wschodzie – odrzekł jeden z plotkarzy. – Pretor Termus wysłał go z misją do Nikomedesa, króla Bitynii. Kiedy Cezar tam się znalazł, już nie chciał wracać. Jak się zdaje, trochę za bardzo się z królem zaprzyjaźnili, jeśli wiesz, co mam na myśli... Życie w dworskim przepychu przewróciło chłopakowi w głowie, a poza tym ten cały Nikomedes to przystojniak, jeśli sądzić po jego monetach. Tymczasem Termus jak zdradzony mąż śle list za listem, wzywając go do powrotu, Cezarowi jednak niespieszno wygramolić się z wygodnego królewskiego łóża!

– Skąd możesz wiedzieć takie rzeczy? – rzucił zirytowany Lucjusz. – Jeżeli rzeczywiście coś go tam zatrzymało, to wyjaśnienie może być setka...

– Daj spokój! – Mężczyzna przewrócił oczami. – Wszyscy o tym mówią. Słyszałeś ostatni dowcip? Sulla pozwolił mu zachować głowę i dziedzictwo, za to Nikomedes zabrał mu cześć i dziewictwo!

Cała grupa wybuchnęła śmiechem. Lucjusz odszedł z niesmakiem, zaciskając zęby i pięści. Łzy napłynęły mu pod powieki. Czy po to poświęcił całe dotychczasowe życie? Aby ten bezmyślny młokos mógł zdezerterować z armii i pędzić luksusowe, rozwiązłe życie w Bitynii? Cóż to za Rzymianin, który z podziwem mówi o Grakchu i roi mu się odbudowa republiki, a potem daje dyla, by służyć za zabawkę azjatyckiemu monarsze? Trzeba było pozwolić Sulli zabrać tego głupka i zrobić z nim, na co miał ochotę!

78 r. p.n.e.

Wbrew najgorszym obawom wrogów – tych nielicznych, którzy przeżyli proskrypcje – Sulla dotrzymał słowa i po dwuletniej dyktaturze ustąpił ze stanowiska. Oświadczając, że jego misja jest wypełniona, przywrócił pełną władzę senatorom i wybieralnym urzędnikom. Sam usunął się z życia politycznego i zajął dyktowaniem pamiętników. Przechwalał się w nich z dumą, że pozbywszy się najgorszych „wichrzycieli” (jak nazywał przeciwników), wprowadził reformy, które miały przywrócić republice jej „złoty wiek, jaką przeżywała, zanim Grakhowie namieszali i postawili wszystko na głowie”.

Nawet on nie mógł jednak zawrócić czasu. Od zniszczenia Kartaginy motorem rzymskiej polityki było zdobywanie niezmiernych bogactw i niepoohamowana ekspansja, pociągające za

sobą jeszcze większą niesprawiedliwość i nierówność. Rzym potrzebował wielkich wodzów, którzy by podbijali nowe terytoria i zniewalali nowe ludy – jak inaczej miałyby się bogaci? Co jednak robić, kiedy ci wodzowie zaczynają sobie wzajemnie zazdrościć łupów i wpływów, a kierowani chciwością lub urazą obywateli czują się zobowiązani wybierać między nimi? Raz już doprowadziło to do wojny domowej, a w reformach Sulli nie było nic, co w przyszłości mogłoby zapobiegać nowym takim konfrontacjom. Jego własny przykład mógł zachęcić potencjalnych naśladowców, śniących o władzy absolutnej. Korneliusz pokazał, że można bezlitośnie wymordować całą opozycję i nazwać swoje działania legalnymi i uzasadnionymi, a na koniec odejść w glorii i pędzić wygodne i dostatnie życie, w otoczeniu przyjaciół i stronników, którym zapewnił fortuny.

Sulla zmarł z przyczyn naturalnych w marcu w swojej nadmorskiej willi pod Neapolis. Miał sześćdziesiąt lat. Nie była to lekka śmierć, a w odrażających symptomach choroby niektórzy dopatrywali się ręki Nemezis, bogini przywracającej równowagę świata po popełnionych przez człowieka niegodziwościach.

Zaczął się od owrzodzenia jelit wynikłego z nadmiaru wina i luksusowych potraw. Później zaczęło go toczyć robactwo, z którym medycy nie umieli dać sobie rady. Z porów sączył się ohydny śluz w takich ilościach, że służba nie nadążała zmieniać przesiąkniętych ubrań i pościeli. Nawet jednak w tym żalonym stanie Sulla wciąż prawie normalnie pracował. W dniu śmierci podyktował ostatni rozdział wspomnień, kończąc go dumnym zdaniem: „Kiedy byłem młody, chaldejski wróżbita przepowiedział mi, że będę wiódł życie uczciwe i godne i umrę u szczytu powodzenia. Miał rację”. Sekretarz przypomniał mu wtedy, że jest proszony o rozsądzenie sprawy miejscowego urzędnika oskarżonego o malwersacje. Dygnitarz chciał się bronić i czekał w przedsionku na posłuchanie. Sulla się zgodził i po chwili wprowadzono owego człowieka. Lecz nim przybyły zdążył odezwać się choćby słowem, niedawny dyktator rozkazał niewolnikom udusić go na miejscu. Byli to jednak zwykli pokojowcy, nie najemni zabójcy; widząc ich wahanie, Sulla wpadł w furję i zaczął na nich wrzeszczeć. Wysiłek i nerwy spowodowały, że pękł mu ropień na szyi i zaczął obficie krwawić. Urzędnik skorzystał z zamieszania i po prostu wziął nogi za pas. Wezwani lekarze usiłowali zatamować krwotok, ale to był już koniec. Sulla stracił przytomność; przeżył jeszcze noc i następnego ranka umarł.

* * *

Jakaś niezdrowa, lecz przemożna chęć śledzenia strasznego widowiska do końca, a może potrzeba absolutnej pewności, że potwór naprawdę nie żyje, skłoniła Lucjusza Pinariusza do wyjścia poza mury domostwa i wzięcia udziału w pogrzebie Sulli.

Cała ludność wyległa na ulice, by przyglądać się konduktowi. Lucjusz znalazł dogodne miejsce z dobrym widokiem i nawet dziwił się takiemu szczęściu, dopóki nie zdał sobie

sprawy, dlaczego akurat ten skrawek ziemi jest wolny. Tuż obok stał żebrak w łachmanach, od którego bił taki odór, że wszyscy inni odsunęli się na bezpieczną odległość. Lucjusz nie zwracał jednak na to uwagi. Widok Sulli na marach wart był tej drobnej niewygody.

Na czele procesji wieziono wizerunek zmarłego, replikę połączonego konnego pomnika z Forum. Posąg wydzielał tak intensywną korzenną woń, że przytłumiła nawet smród żebraka. Obszarpaniec spojrział na Lucjusza i uśmiechnął się, ukazując bezzębne dziąsła.

– Mówią, że to jest zrobione z kadzidła, cynamonu i bogowie raczą wiedzieć jakich jeszcze drogich przypraw. Podobno zbierali je od wszystkich kobiet w Rzymie. Mają tę wonną rzeźbę spalić na stosie razem z ciałem. Dym zaperfumuje całe miasto!

Lucjusz zmarszczył brwi.

– Sulla ma być spalony? Korneliuszów zawsze grzebano w ziemi.

– Może i tak – odparł żebrak, najwyraźniej dobrze poinformowany. – Taka jednak była ostatnia wola dyktatora. Chciał, żeby pozostał z niego tylko popiół. Możesz się domyślić dlaczego.

– Dlaczego?

– Pomyśl! Co się stało po śmierci z jego rywalem Mariuszem? Sulla kazał otworzyć kryptę i zrobił kupę na zwłoki! Możesz być pewien, że znalazłby się niejeden chętny, by tak samo potraktować i jego szczątki. Wolał dać się spalić, niż im to umożliwić.

Lucjusz spojrział z ukosa na żebraka. Mężczyzna nie miał lewej ręki i wspierał się na kuli; twarz znaczyła mu długa blizna, był też ślepy na jedno oko.

Za kadzidlana statua szli konsulowie i inni urzędnicy państwowi, a dalej senatorowie, wszyscy w żałobnej czerni. W dalszej kolejności widać było najważniejsze osoby spośród ekwitów. Za nimi szedł Pontifex Maximus i westalki, a dalej maszerowały setki weteranów spod sztandaru Sulli, których prowadził młody Pompeusz Magnus. Za wojskiem ciągnęła grupa flecistów i lirników, żałobną melodią wtórujących chórowi zawodowych płaczek pogrzebowych. Posępny nastrój przełamało pojawienie się mimów, wśród których było paru najslawniejszych aktorów Rzymu. Żebrak ochoczo ich wskazywał przygodnemu towarzyszkowi.

– Patrz, to komediant Roscjusz! Widziałem go kiedyś w roli żołnierza samochwała. Podobno jest bogatszy od większości senatorów. O, a tam masz starego Metrobiusza. Specjalizuje się w rolach kobiecych. Mówią, że długie lata grał pierwszą damę w łóżku Sulli, zanim nie wygryzł go ten piękniś Chryzogonos. Trzeba przyznać, że mimo wieku wciąż nieźle wygląda w stoli... A kto się wcielił w postać zmarłego? Tak, to oczywiście Soreks. No, chód i gesty Sulli opanował do perfekcji, nie sądzisz? Oby nie zaczął ścinać gapiów!

Po aktorach w pochodzie szli „przodkowie” Sulli – grupa mężczyzn w woskowych maskach i ceremonialnych szatach, którzy nieśli wieńce, korony i inne wojskowe trofea, jakie zmarły otrzymał w swej długiej, zwycięskiej karierze. Dopiero za nimi zza rogu ulicy wyłoniła się gwardia honorowa, niosąca wykonane z kości słoniowej mary ozdobione złotem,

purpurą i cyprysowymi wieńcami. Kondukt zamykała wdowa po dyktatorze, Waleria, i dzieci z jego pięciu małżeństw.

Lucjusz się zorientował, że procesja nie kieruje się ku nekropolii za Bramą Eskwilińską, tylko w przeciwną stronę.

– Dokąd oni go niosą? – wyrwało mu się.

– Nie słyszałeś? – zdziwił się żebrak. – Stos ułożono na Polu Marsowym. Grobowiec Sulli też już jest gotowy.

– Na Polu Marsowym? Przecież tam grzebano tylko królów!

– Może i tak. Taka była jednak ostatnia wola naszego dyktatora.

Ludzie zaczęli podążać za konduktem i Lucjusz, zdecydowany zobaczyć, jak ogień trawi zwłoki, poszedł w ich ślady. Żebrak ruszył tuż za nim; ilekroć później Pinariusz wspominał pogrzeb Sulli, nieodmiennie kojarzył mu się on z odrażającym zapachem rozsiewanym przez tego człowieka.

Kiedy już Pole Marsowe wypełniło się żałobnikami i zwykłymi gapiami, zaczęły się zbierać burzowe chmury. Niebo w krótkim czasie tak pociemniało, że odpowiedzialni za całopalenie wszczęli nerwową naradę. Ku powszechnemu zdziwieniu wkrótce znów się jednak rozjaśniło, a na mury padł snop promieni słonecznych.

– Wiesz, co ludzie będą mówić? – Żebrak precyzyjnie się bliżej Lucjusza; teraz też jego odór utorował im drogę do pierwszych rzędów. – Powiedzą, że szczęście towarzyszyło Sulli aż pod stos pogrzebowy i że to sama Fortuna zawróciła deszcz!

Zaczęły się mowy pogrzebowe. Sławiono Sullę jako zbawcę republiki, przytaczano opowieści dowodzące jego cnót i geniuszu. Peany brzmiały w uszach Lucjusza jak upiorne brzęczenie roju szarańczy. W końcu podpalono stos. Płomienie szybko strzeliły w górę. Pinariusz stał tak blisko, że czuł na twarzy ich żar, a na włosy padały mu wirujące w powietrzu sadze. Żebrak wskazał na stojący w pobliżu grobowiec – imponującą budowlę zasługującą na miano małej świątyni. Powiedział coś, ale trzask płonących bierwion zagłuszył jego słowa. Widząc, że Lucjusz marszczy czoło i nadstawia ucha, powtórzył głośniejszym głosem:

– Co jest napisane na frontonie? Podobno Sulla sam ułożył swoje epitafium!

Falujące nad ogniem powietrze utrudniało odczytanie, ale po chwili Lucjuszowi udało się rozróżnić litery.

– Nigdy żaden przyjaciel nie wyświadczył mi dobra ani żaden wróg zła nie uczynił, za które on by w pełni nie odplacił.

Żebrak parsknął śmiechem.

– Kim jesteś? – Zdumiony Lucjusz spojrzał na niego ze współczuciem zmieszonym z odrazą.

– Ja? Nikim. Albo kimkolwiek. Powiedzmy, że jednym z wrogów, któremu Sulla w pełni odplacił za zło. Byłem żołnierzem Cynny, a potem Mariusza... zawsze walczyłem przeciwko Sulli, choć bez szczególnej przyczyny. A popatrz na mnie teraz! Tak, dyktator dobrze mi

zapłacił. A ty, obywatelu? Sądząc po twoich eleganckich ciuchach i po tym, że masz wszystkie członki zdrowe, musiałeś się zaliczać do tej drugiej grupy. Sulla zaserwował ci należny deser, co?

Lucjusz miał przy sobie małą sakiewkę. Sięgnął już do niej, by wyjąć dla żebraka monetę, ale się rozmyślił. Dał mu cały mieszek, a zanim nieznajomy zdążył podziękować, wmieszał się już w tłum i zniknął mu z oczu, kierując się z powrotem do miasta.

Forum było puste. Szybkie kroki Lucjusza rozbrzmiewały głuchym echem. Mijając Rostre, poczuł chłodny dreszcz. Podniósłszy głowę, ujrzał złocony posąg Sulli w aureoli słońca wiszącego akurat za pomnikową głową. Nawet po śmierci dyktator rzucał cień na jego życie.

74 r. p.n.e.

Zima tego roku była niezwykle ostra. Na miasto często spadały nawałnice, trafiał się nawet deszcz ze śniegiem. Rankami doliny spowijała zimna mleczna mgła, a wzgórza pokrywał szron, zamieniając strome uliczki w niebezpiecznie śliskie pochylnie. Już na początku sezonu Lucjusz Pinariusz poważnie się przeziębził i długo nie mógł się otrząsnąć z choroby. Rzadko wychodził z domu, mało kto go też odwiedzał, dlatego z dużym opóźnieniem dowiedział się od gadatliwego rzemieślnika, który naprawiał mu ciekący dach, nowiny znanej już każdemu plotkarzowi na Forum: podróżujący po Morzu Egejskim Gajusz Juliusz Cezar został porwany przez piratów.

Lucjusz nie widział Julii i syna od wielu miesięcy. Rzadkie wizyty w jej nowym domu były zbyt bolesne i kłopotliwe dla wszystkich zainteresowanych; słysząc jednak tę wieść, domyślał się, jak musi być zdenerwowana, i poczuł nagłą chęć spotkania. Trapił go wciąż silny kaszel, wdział jednak ciężką wełnianą opończę i zabrawszy ze sobą niewolnika, ruszył na drugą stronę Palatynu, gdzie Julia mieszkała teraz z Kwintusem Pediuszem.

Wyglądało na to, że jej przymusowe małżeństwo okazało się udane. Na początku, choć zrozpaczona, uznała, że najlepiej będzie się pogodzić z losem, skoro nikt nie mógł przewidzieć, jak długo jeszcze Sulla będzie rządzić. Julia dość szybko się dostosowała do nowej sytuacji, wykazując wyjątkową zdolność przetrwania. Jak jej braciszek, pomyślał Lucjusz z goryczą. On sam też się dostosował – na swój sposób. Żeby nie zwariować, na samym początku zmusił się do porzucenia wszelkich nadziei, że może kiedyś Julia odejdzie od Pediusza i wróci do niego. Po śmierci Sulli od czasu do czasu pozwalał sobie czasem na takie marzenia, gdy samotność zaczynała mu doskwierać zbyt mocno. Nic jednak nie mógł zrobić: akt uległości wobec dyktatora odarł go z honoru, a bez niego nie miał ani prawa, ani

chęci upominać się o swoje. Nie było sensu obwiniać bogów, Gajusza, a nawet Sulli. Człowiek musi znosić, co mu pisane, i tyle.

Odźwierny wpuścił go do westybulu. Zaskoczona i trochę nieufna Julia przyjęła go w izbie od ogrodu, ogrzanej przez płonące w żelaznym koszu szczapy. Jej widok był dlań jak nóż w sercu; nawet przez luźne fałdy stoli widać było, że jest w ciąży. Spostrzegła jego wzrok i spuściła oczy.

Lucjusz z trudem wstrzymywał kaszel.

– Przyszedłem, bo dowiedziałem się o twoim bracie.

Julia zeszywniała.

– A co o nim słyszałeś?

– Że porwali go piraci.

– I nic ponadto?

– Nic.

Julia zmarszczyła brwi. Wiadomość dawno przestała być nowiną; Lucjusz zaniepokoił ją, pomyślała bowiem, że ma świeższe informacje – i teraz była na niego zła.

– Jeśli mógłbym w czymś pomóc... – wyszeptał niezręcznie.

– To miło z twojej strony, ale Kwintus i ja już zebraliśmy okup. Został wysłany jakiś czas temu i teraz możemy tylko czekać.

– Rozumiem...

Na ustach Julii pojawił się słaby uśmiech.

– Ci piraci muszą być niepiśmienni. Gdyby mogli przeczytać, co Gajusz o nich pisze w listach, nigdy by się nie zgodzili ich wysłać.

– W listach?

– Tak. To dzięki nim dowiedzieliśmy się o jego porwaniu. Droga siostrze, napisał, jestem w pirackiej niewoli... rzeczowo jak zawsze! Czy byłabyś tak miła i zapłaciła za mnie okup? A zaraz potem obrzucił ich najgorszymi inwektywami i wyśmiewał ich głupotę. Można by pomyśleć, że nimi rządzi! Wydaje rozkazy, domaga się lepszej strawy, wygodniejszego łóżka, a nawet stara się nauczyć ich lepszych manier. Z takimi stworzeniami trzeba ostro, powiada, jak z psami. Zupełnie jakby cała ta historia była dla niego tylko ciekawym doświadczeniem albo lekcją, jak sobie radzić z dzikimi piratami! – Julia znowu spuściła oczy. – Och, być może chce mnie tylko uspokoić albo sam siebie podtrzymać na duchu... To w końcu rabusie i mordercy. Słyszysz się takie straszne historie...

Julia zadrżała i głos się jej załamał. Lucjusz musiał wyteńczyć całą siłę woli, żeby nie podbiec i nie chwycić jej w ramiona. Opanował impuls, ponieważ nie byłoby to właściwe... i nie zniósłby, gdyby go odepchnęła.

– Gajusz umie sobie radzić w życiu – zapewnił ją, dodając w myślach: „Jak i ty”. – Na pewno wszystko skończy się dobrze i... – Urwał, nie mogąc już wstrzymać się od kaszlu.

– Lucjuszu, jesteś chory!

– Ech, to tylko tak groźnie brzmi. Pójdę już. Chciałem ci tylko zaproponować... –
Wzruszył ramionami. – Właściwie to nie wiem, po co przyszedłem.

– Chciałbyś zobaczyć...? – Julia nie dokończyła i zapatrzyła się w płomienie.

– Lepiej nie.

– Rośnie szybko. Ma dopiero sześć lat, a już umie czytać, wiesz? Wie o wujku, miewa złe sny o piratach. Podobny jest do ciebie.

Lucjusz poczuł nagły ucisk w piersi, jakby ktoś położył mu na żebrach gład. Źle zrobiłem przychodząc tutaj, pomyślał. Miał już wychodzić, kiedy niewolnik przyniósł zwój papirusu, ciasno przewiązany i zapieczętowany. Ujrawszy go, Julia otworzyła szeroko oczy.

– Czy to...

– Tak, pani. List od waszego brata.

Chwyliła papirus i niecierpliwie rozwinęła. Przebiegła wzrokiem po tekście i łzy pocięły jej na policzki. Lucjusz zastygł w oczekiwaniu, przekonany, że to zła wiadomość. Ona jednak nagle uniosła głowę i roześmiała się.

– Jest wolny! Gajusz żyje, jest zdrowy i wolny! Och, jaka wspaniała nowina! Lucjuszu, musisz tego posłuchać.

Droga siostrzyczko, przez czterdzieści dni trzymano mnie w niewoli, ale dzięki przysłanemu przez Ciebie okupowi zwrócono mi wolność. Doświadczenie było wielce niemiłe, ale wyszedłem bez uszczerbku i nie muszę się obawiać o życie. Nie mogą tego samego powiedzieć o sobie piraci... Gdy tylko stanąłem na brzegu, zabrałem się do organizowania karnej ekspedycji. Nie było to heroiczne zadanie: głupim nieokrzesancom tak było pilno wydać zdobyty łup, że zawinęli do pierwszego portu, gdzie była tawerna i lupanar. Wyłapaliśmy ich bez trudu i odzyskaliśmy znaczną część okupu. Zwrócę Ci, ile zdołam, a resztę splacę później. Piratów zaś ukrzyżowaliśmy na wzgórzu widocznym dla wszystkich przepływających statków. Ostrzegałem ich, że się z nimi policzę, i tak też zrobiłem. Patrzyłem, jak umierają jeden po drugim. Proszę, rozpowiedz o tym w całym Rzymie. Przyznam Ci się, że jestem z siebie raczej dumny. Sprawiedliwości stało się zadość i honor Rzymianina jest ocalony. Ta historia będzie doskonałym punktem kampanii, kiedy przyjdzie pora na *cursus honorum*.

Julia skończyła czytać i się roześmiała.

– Ach, ten Gajusz! Zawsze jednym okiem patrzy w przyszłość! Myślę, że kiedyś zostanie konsulem, nie sądzisz?

Lucjusz czuł suchość w gardle i ból w piersi od kaszlu.

– Może będzie z niego nowy Sulla – powiedział.

– Lucjuszu! Jak możesz tak mówić!

– Albo drugi Grakchus... tylko że jemu się na pewno uda.

Zanim Julia zdołała odpowiedzieć, do izby wpadł jak burza ich syn, a za nim, lekko zdyszany, wszedł jego grecki nauczyciel.

– Pani, nie mogłem go powstrzymać. W domu już się rozeszło, że dostałaś listy od brata. Mały Lucjusz chce wiedzieć...

– Gdzie jest wujek Gajusz? – krzyknął chłopczyk. – Czy jeszcze u piratów?

Matka ujęła w dłonie jego twarzyczkę.

– Nie, synku. Dzielny wujek Gajusz im uciekł.

– Uciekł?

– Tak jest. I wiesz, co potem zrobił? Ruszył za nimi w pościg i wszystkich pozabijał.

– Wszystkich piratów?

– Co do jednego! Przybił ich do krzyży i zadał im straszną śmierć, na jaką zasłużyli. Już nigdy nikogo nie skrzywdzą.

– Bo wujek ich pozabijał?

– Tak jest. Nie muszą ci się już śnić. A teraz popatrz... jest tu ktoś, z kim musisz się przywitać.

Julia obejrzała się, ale Lucjusza już nie było.

Szedł ulicą, wstrząsany kaszlem, zostawiając za sobą rozwiewające się szybko kłębki pary. Niewolnik musiał dobrze wyciągać nogi, żeby za nim nadążyć. Parł przed siebie bez celu, pogrążony w chaosie myśli. Gorące łzy cisnęły mu się pod powieki i rozmazywały widok. Nie zauważył przed sobą zamarznętej kałuży. Niewolnik krzyknął ostrzegawczo, ale było za późno.

Lucjusz postawił stopę na lodzie. Pośliznął się; zamachał rękami, bezskutecznie usiłując odzyskać równowagę. Przewrócił się do tyłu i uderzył głową o kamień; zadrzał konwulsyjnie, a potem znieruchomiał. Na bruku zaczęła się rozlewać plama krwi.

Widząc pustkę w szeroko otwartych oczach pana i dziwnie skreconą szyję, niewolnik krzyknął rozpaczliwie, ale było już po wszystkim. Lucjusz Pinariusz był martwy.

Spadkobierca Cezara

44 r. p.n.e.

Nadeszły idy lutowe. Od czasów króla Romulusa w tym właśnie dniu przypadało święto Luperkaliów. Geneza tego zwyczaju – młodzieńczy wybryk Romulusa i Remusa, do którego wciągnęli swego przyjaciela Potycjusza i biegali po Siedmiu Wzgórzach odziani tylko w wilcze maski – dawno już zginęła w mrokach niepamięci, podobnie jak początki wielu innych świąt rzymskich. Rzymianie jednak całymi wiekami trwali przy odziedziczonych po przodkach tradycjach i z wielką dbałością o najdrobniejsze nawet szczegóły dopełniali niezliczonych skomplikowanych obrzędów, składali ofiary i wyprawiali rytualne uczty, choć często nikt już nie wiedział, dlaczego obowiązuje taka właśnie ich forma.

Rzymski kalendarz pełen był takich tajemniczych ceremonii, nad którymi miały pieczę powołane w tym celu kolegia kapłanów. Niemal wszystkie działania państwa były podyktowane bądź usprawiedliwione względami religijnymi, dlatego też specjalne komisje senackie studiowały zapisy historycznych precedensów i na tej podstawie ustalały dni, w których pewne procedury legislacyjne mogły być realizowane (*dies fasti*) i te, w których sądy nie powinny pracować (*dies nefasti*).

Ta niezwykła wierność nakazom tradycji miała swoje paradoksalnie racjonalne wytłumaczenie. Przodkowie Rzymian przestrzegali pewnych rytuałów, w zamian za co bogowie darzyli ich łaskami większymi niż inne ludy. Było więc jak najbardziej logiczne, aby ich spadkobiercy szli tą samą, choćby i niezrozumiałą drogą, każda próba odejścia od tradycji bowiem byłaby tylko kuszeniem losu. Ta właśnie logika stanowiła fundament rzymskiego konserwatyzmu.

Nikogo więc nie dziwiło, że w dniu Luperkaliów nie tylko młodzieńcy z dobrych i najlepszych domów, ale i włodarze miasta rozbierali się do naga i biegali po ulicach, wymachując rzemieniami z kozłej skóry lub strzelając nimi jak z bata. Brzemienne lub pragnące dziecka młode kobiety ochoczo nadstawiały im dłonie, wierząc, że smagnięcie rzemykiem magicznie wzmocni ich płodność i zagwarantuje łatwe rozwiązanie. Skąd się to

przekonanie wzięło, nikt nie wiedział; było po prostu częścią wielkiego obyczajowego dziedzictwa, a tym samym rytuałem wartym przestrzegania.

Obchodom Luperkaliów przewodniczył rozparty na ustawionym na Rostrze złotym tronie, odziany we wspaniałe purpurowe szaty i otoczony okazałą świtą Gajusz Juliusz Cezar. Miał teraz pięćdziesiąt sześć lat, ale wciąż był przystojnym mężczyzną. Zachował szczupłą sylwetkę, choć bardzo przerzedziły mu się włosy, zwłaszcza na czubku głowy i skroniach – co było czystą złośliwością losu, zważywszy na jego przydomek. To, co z dawnej bujnej czupryny mu zostało, zaczesywał na czoło w próżnym wysiłku ukrycia łysiny. Mężczyźni z orszaku – skrybowie, ochrona, oficerowie legionów i najróżniejsi pochlebcy – łowili chciwie każde jego słowo. Zwyczajni obywatele, tłumnie zgromadzeni, by uczestniczyć w Luperkaliach, wpatrywali się w niego z lękiem, podziwem, szacunkiem, nienawiścią, a nawet z miłością – ale nigdy obojętnie. Cezar pod każdym względem przypominał monarchę otoczonego przez poddanych – z tą jedynie różnicą, że nie nosił korony.

Na te wyżyny doprowadziło go życie wypełnione machinacjami politycznymi i udanymi kampaniami wojennymi. Już w początkach kariery stał się mistrzem procedur politycznych. Nikt tak jak on nie potrafił tak zręcznie lawirować w gąszczu skomplikowanych przepisów; wielokrotnie udało mu się pokrzyżować przeciwnikom szyki, powołując się na jakiś kruczek prawny. Okazał się też geniuszem wojskowym – w niespełna dziesięć lat podbił całą Galie, zniewolił milionowy lud i zgromadził ogromny majątek. Kiedy wystraszeni i zawistni przeciwnicy w senacie chcieli pozbawić go dowództwa, a tym samym całej potęgi, Cezar pomaszerował wprost na Rzym. Stało się to, czego od czasów Sulli każdy Rzymianin obawiał się najbardziej – wybuchła następna wojna domowa.

Pompejusz Wielki, niejednokrotnie sojusznik Cezara, tym razem stanął na czele opozycyjnej koalicji. Ponościł jednak porażkę za porażką, aż wreszcie w bitwie pod greckim miastem Farsalos jego siły zostały doszczętnie rozbite i rozproszone. Sam Pompejusz salwował się ucieczką do Egiptu, gdzie jednak spotkała go śmierć z rąk sług młodocianego króla Ptolemeusza. Jego głowę Egipcjanie przekazali w darze Cezarowi.

Zwycięzca krążył wokół Morza Śródziemnego, unicestwiając wszelkie przejawy opozycji. Uładził sytuację w państwach podporządkowanych Rzymowi, zapewniając – przede wszystkim sobie – lojalność ich władców. Egipt, ówczesne światowe zagłębie zbożowe, pozostał niepodległy, ale Cezar pozbył się króla Ptolemeusza i osadził na tronie jego nieco starszą siostrę, Kleopatę. Związek Cezara z młodą królową miał charakter zarówno polityczny, jak i osobisty. Podobno Kleopatra urodziła mu syna. Obecnie wraz z dzieckiem rezydowała we wspaniałej willi na Zatybrzu, godnej głowy zaprzyjaźnionego państwa przebywającej z oficjalną wizytą.

Władza Cezara była absolutna. Jak wcześniej Sulla, ogłosił się dyktatorem, z góry jednak zapowiadając, że zamierza pełnić tę funkcję dożywotnio. Choć samo słowo „król” było w Rzymie politycznym tabu, Cezarowi w tym względzie brakowało jedynie oficjalnego tytułu.

Zlikwidował instytucję wyborów powszechnych i sam mianował urzędników na kilkuletnie kadencje; na urząd konsula wprowadził Marka Antoniusza, swą prawą rękę. Szeregi senatorów, znacznie przerzedzone przez wojnę domową, zostały uzupełnione nowymi członkami, wybranymi osobiście przez Cezara. Ku oburzeniu wielu Rzymian znalazło się wśród nich nawet kilku Galów! Nie było jasne, jaką funkcję miał od tej pory pełnić senat – jego rola sprowadzała się właściwie tylko do zatwierdzania decyzji dyktatora. Także mennica i skarbiec państwowy zostały oddane w zarządzanie wyzwolencom, a nawet niewolnikom Cezara, który w ten sposób zapewnił sobie pełną kontrolę i nad ustawodawstwem, i nad finansami państwa. Jego osobisty majątek, zgromadzony przez lata podbojów, był niewyobrażalnie wielki; nawet najbogatsi Rzymianie mogli się przy nim wydawać biedakami.

Nikt nie miał wątpliwości, że niezależnie od używanego przez Cezara tytułu jego triumf oznacza śmierć republiki. To był koniec rządów senatu jako grupy równych sobie i równoważących wzajemnie swoje wpływy rywali; odtąd nad miastem panował pojedynczy człowiek, dzierżący władzę absolutną – także nad życiem i śmiercią wolnych obywateli. Długa wojna domowa wprowadziła wielki zamęt w sferze odwiecznych tradycji – a skoro cała władza znalazła się teraz w rękach dożywotniego dyktatora, do niego też należało sterowanie powrotem do normalności. Dlatego właśnie w idy lutowe tego roku to Gajusz Juliusz Cezar siedział na tronie ustawionym na Rostrze i przewodniczył Luperkaliom.

Wśród rozgrzewających się na Forum biegaczy znajdował się Lucjusz Pinariusz, wnuk nieżyjącej już Julii, jednej z sióstr Cezara. Jego dziadkiem był Lucjusz Pinariusz Infelix – „Pechowiec” – nazywany tak w rodzinnych przekazach z powodu przedwczesnej śmierci na skutek poślizgnięcia się na oblodzonej ulicy. Lucjusz miał siedemnaście lat i już przedtem brał udział w Luperkaliach, ale tego dnia czuł się szczególnie podekscytowany, gdyż uroczystości celebrował jego wielki krewniak, Gajusz Juliusz.

W pewnej chwili podszedł do niego krzepki mężczyzna z szerokim, mocno owłosionym torse, mocarnymi ramionami i muskularnymi nogami. Skończywszy trzydzieści sześć lat, niektórzy mężczyźni zaczęli tracić tężyznę i tyć, ale Marka Antoniusza to nie dotyczyło. Tchnął ogromną pewnością siebie; publiczna nagość w niczym go nie krępowała, a nawet sprawiała mu wyraźną przyjemność. Lucjusz wciąż miał szczupłą chłopięcą budowę i gładką skórę, atletyczna budowa Antoniusza budziła więc w nim podziw mieszany z zazdrością. Fascynowała go także sława człowieka używającego życia, jaką cieszył się konsul. Nikt nie mógł dorównać Antoniuszowi w hazardzie, picciu, bijatykach i rozpuście. Był jednak tak przystępny, że Lucjusz nigdy nie czuł się przy nim zakłopotany ani onieśmielony – co nazbyt często mu się zdarzało w towarzystwie wuja.

– Co to takiego? – Antoniusz stuknął palcem w złoty wisiołek na łańcuszku, który Lucjusz miał na szyi.

– Amulet na szczęście, konsulu – odparł chłopak.

Antoniusz prychnął z niesmakiem

– Mów mi po imieniu, bardzo cię proszę. A jeśli kiedyś stanę się taki nadęty, że przyjaciele będą musieli mnie tytułować, wbij we mnie jakąś długą szpilę.

– Dobrze, Marku. – Lucjusz się uśmiechnął.

– Skąd go masz? – zainteresował się Antoniusz. – Prezent od Cezara?

– Ależ nie, to rodowa pamiątka po ojcu. Dał mi go w dzień togi w zeszłym roku.

Antoniusz przyjrzał się bliżej amuletowi. Oczy miał przekrwione po wczorajszych hulankach.

– Nie widzę, co to za kształt?

– Nie ty jeden. Dziś już nikt nie pamięta, co wyobrażał. Ojciec mówi, że przeżuł go ząb czasu. Talizman jest bardzo, bardzo stary, prawdopodobnie z czasów królów, a może nawet jeszcze starszy.

Antoniusz skinął głową.

– Z czasów królów, powiadasz... Tak ludzie mówią o tak odległej historii, że nie sposób sobie tego wyobrazić. Myślałby kto, że czasy królów nie mogą już nigdy powrócić! – Spojrzał w górę na Rostre i skinął głową Cezarowi.

Cezar odpowiedział mu tym samym gestem, po czym wstał i przemówił do tłumu.

– Obywatele!

To jedno słowo sprawiło, że na Forum w mig zapadła cisza, a wszystkie oczy zwróciły się na mówcę. Wśród wielu umiejętności Cezara krasomówstwo nie należało do poślednich. Był on jednym z najlepszych oratorów w Rzymie; głos miał bardzo donośny i potrafił bez przygotowania elokwentnie mówić na dowolny temat. Tym razem wypowiedział się zwięźle i rzeczowo.

– Obywatele, zebraliśmy się tu dzisiaj, aby wziąć udział w jednym z najstarszych i najważniejszych świąt, Luperkaliach. Do tradycyjnego biegu stają najwyżsi urzędnicy państwowi i młodzieńcy z najszacowniejszych rodów. Luperkalia wywodzą się z pasterskich czasów naszych przodków, kiedy Rzymianie żyli blisko ziemi, swoich stad i blisko bogów, którzy obdarzyli nasze miasto płodnymi polami i obfitością dóbr. Obywatele, w ostatnich latach wojna sprawiła, że wielu rytuałów zaniechano lub odprawiano je bez należytej dbałości. Do Luperkaliów stawało niewielu mężczyzn i świętu brakowało zwykłej radosnej atmosfery. Zanedbując obowiązki religijne, sprzeniewieramy się jednak tradycji naszych przodków. Ceremonie odbywane bez przekonania są aktem raczej lekceważenia bogów niż pobożności. Lecz dziś, co mogę stwierdzić z wielką przyjemnością, mamy pełną obsadę krzepkich zawodników. Nieszczęsna wojna wyludniła nasze ukochane miasto. Straciliśmy wielu wspaniałych ludzi. Niech trzask świętych rzemieni obudzi wasze serca, Rzymianie! Niechaj żadna kobieta w płodnym wieku nie chowa przed nimi dłoni! Oby bogowie wrócili nam radość i obfitość! Obywatele, poleciłem augurom odczytać auspicje na dzisiejszy dzień i wszystkie wypadły dobrze. Dlatego z radością i nadzieją w sercu mogę dać wam sygnał. –

Mówca uniósł dłoń. – Ja, Gajusz Juliusz Cezar, wasz dyktator, ogłaszam wszem i wobec: niech się rozpoczną Luperkalia!

Tłum przywitał te słowa głośnym aplauzem. Biegacze ruszyli naprzód; trasa prowadziła przez różne zakątki miasta i mieli ją pokonać trzykrotnie.

Lucjusz trzymał się blisko Antoniusza. Podobało mu się bezpośrednie zachowanie konsula, jakby byli kumplami od napitki albo towarzyszami walki. Pochlebiało mu, że z nim rozmawiał, żartował z obwisłych pośladek jednego z dygnitarzy albo rzucał sprośne uwagi o czekających wzdłuż trasy kobietach. Na widok Antoniusza szeptały i chichotały, prowokując się nawzajem do wystąpienia i podstawienia mu nadgarstków pod uderzenie. Z jaką swobodą Marek z nimi flirtował!

Kiedy Antoniusz zauważył, że Lucjusz trzyma się z boku, zaczął zachęcać go do większej aktywności.

– Rusz no się, chłopcze! Obiegnij którąś wokoło, warcz na nie i wyj po wilczemu, one to uwielbiają! Widzę, że się krępujesz patrzeć im w oczy, a tu trzeba jak najbezczelniej mierzyć je wzrokiem od stóp do głów! Wyobraź sobie, że jesteś wilkiem i wybierasz najtłustszą owcę.

– Ależ, Marku, jakże mam...

– No, no, tylko bez ociągania! Słyszałeś, co mówił twój wuj, młody człowieku? To twój religijny obowiązek! Biegnij po prostu za mną i rób to co ja. Niech ci doda odwagi ten twój amulet!

Lucjusz wziął głęboki wdech i zrobił, co mu kazano. Mając Antoniusza za instruktora, nieźle sobie radził! Poczul siłę swych nóg, pewnie niosących go naprzód, i rzeźkość powietrza chwytanego w płuca. Widział uśmiechnięte twarze dziewcząt zebranych wzdłuż trasy i odpowiadał uśmiechem. Strzelił rzemieniem w powietrzu, odrzucił głowę i zawył.

Poddał się ogarniającej go euforii i nagle pojał święty charakter rytuału. Kiedy wcześniej biegał w Luperkaliach, wypełniał po prostu niezrozumiały obowiązek, nie czując szczególnej atmosfery. Na czym dziś polegała różnica? Hmm... Po pierwsze, był już mężczyzną, a poza tym miał przy boku samego Marka Antoniusza, a jego wuj Gajusz został niekwestionowanym władcą Rzymu i głosił odrodzenie dawnych wartości. Lucjusz wyraźnie czuł, jak pulsuje w nim owa potężna siła płodności ziemi, uzewnętrzniona w odwiecznej tradycji Luperkaliów. Kiedy pierwszy raz smagnął rzemieniem przegub jakiejś roześmianej trzpiotki, było to jak olśnienie: oto nawiązał duchową łączność z czymś świętym, czego nigdy przedtem nie doświadczył. Odczucie to miało i swój fizyczny objaw. Od czasu do czasu czuł przyjemne drzenie i ciężar między nogami. Zerknął ukradkiem na przyrodzenie Antoniusza i zobaczył, że jego znamienity przyjaciel też jest lekko podniecony.

Konsul dostrzegł tę przemianę Lucjusza i zaśmiał się.

– Dobrze, młody człowieku! Tak trzymać!

Skończyli pierwsze okrążenie i biegli z powrotem w stronę Forum, gdzie pod Rostrą zebrał się jeszcze większy tłum. Ludzie chcieli być świadkami zakończenia biegu, po którym

miało nastąpić wielkie ucztowanie. Kiedy biegacze mijali mównicę, Cezar nie wstał z tronu, ale podniósł rękę w geście pozdrowienia.

– Zaczekaj tu na mnie, Lucjuszu.

Antoniusz odłączył się od grupy i kilkoma skokami wbiegł na Rostre. Nie wiadomo skąd – nie miał przecież żadnej sakwy – wydobyl złoty diadem owinięty liśćmi laurowymi. Uniósł go wysoko w górę, żeby widać go było z daleka; przyklęknął przed Cezarem, po czym wstał i zawiesił koronę w powietrzu nad jego głową.

Ten gest zaskoczył wszystkich. Każdy wiedział, że to nie była część rytuału Luperkaliów. Niektórzy się roześmieli, inni jęli wiwatować, rozległy się też jednak sporadyczne gwizdy i okrzyki dezaprobaty. Cezar stłumił cisnący mu się na usta uśmiech; z bardzo poważną miną podniósł dłoń i powstrzymał Antoniusza przed włożeniem mu korony na głowę.

Tłum wybuchnął aplauzem. Juliusz siedział nieruchomo, rzucając tylko badawcze spojrzenia, jakby studiował ludzkie reakcje. Po chwili gestem nakazał Antoniuszowi dołączyć z powrotem do biegaczy.

– O co w tym właściwie chodziło? – zapytał zaintrygowany Lucjusz, gdy konsul zszedł z Rostry, niedbale trzymając w ręku odrzuconą przez Cezara koronę.

– Oślepił mnie blask bijący od łysiny twojego wuja. Pomyślałem, że przydałoby się czymś ją przykryć.

– Marku, nie żartuj sobie ze mnie.

– Myślisz, że to żart? Dla mężczyzny w wieku Cezara nie ma nic poważniejszego niż łysina.

– Marku!

Antoniusz nie zamierzał jednak niczego więcej wyjaśniać. Warknął, zawył i podskoczył ku gromadce młodych kobiet, które natychmiast jęły piszczeć z podniecenia. Zapominając o wszystkim, Lucjusz pobiegł za nim, chcąc znów poczuć euforię, jakiej doświadczył podczas pierwszego okrzyku.

Kiedy po raz drugi mijali Rostre, tłum jeszcze zgęstniał. Antoniusz znowu znalazł się na podwyższeniu i powtórzył ten sam teatralny gest koronacji. Grupa najbliższych zaczęła skandować: „Ukoronuj go! Ukoronuj go!”, ale inni odpowiadali: „Nigdy króla, nigdy korony! Nigdy króla, nigdy korony!”

Spektakl został odegrany tak samo jak za pierwszym razem: Antoniusz niby próbował umieścić diadem na czole Cezara, ten jednak łagodnie go odtrącił, opędzając się jak od natrętnej muchy. Tłum zareagował nawet bardziej żywiołowo niż przedtem. Wiwaty przeplatały się z przekleństwami, ludzie tupali i wymachiwali rękami. Po chwili Antoniusz zszedł z Rostry i dołączył do grupy biegaczy.

– Marku, co się dzieje? – spytał Lucjusz.

Antoniusz odchrząknął.

– Cezar jest moim dowódcą. Pomyślałem, że narażony na atak jego łysy placek wymaga strategicznej osłony.

– Marku, to nie jest śmieszne!

Antoniusz potrząsnął głową i się zaśmiał.

– Nie ma nic śmieszniejszego niż łysina twojego wuja!

Kończyło się ostatnie, trzecie okrażenie. Pod Rostrą kłębił się teraz jeszcze większy tłum; oprócz tych, którzy przybyli z pobudek religijnych oraz zwykłych amatorów darmowej uczt, z całego miasta ciągnęli gapie poruszeni rozchodzącą się lotem błyskawicy wieścią o incydencie z koroną i jej odrzuceniem przez Cezara. Kiedy tym razem Antoniusz wszedł na Rostrę, wrzawa wybuchła ze zdwojoną siłą. Przekrzykujące się frakcje nie szczędziły gardeł.

– Ukoronuj go! Ukoronuj go!

– Precz z monarchią, precz z koroną!

Po raz trzeci powtórzyła się scena z próbą nałożenia Cezarowi diadem i jego stanowczym protestem. Aplauz był potężny. Po chwili jednak Gajusz Juliusz wstał i wznosił obie ręce w uciszającym geście. Na oczach całego Rzymu wziął diadem od Antoniusza i uniósł go wysoko nad głowę. Tłum zamarł w napięciu: wszystkim się zdawało, że dyktator zamierza sam się ukoronować.

– Obywatele! – krzyknął. – My, Rzymianie, znamy tylko jednego króla. Jest nim Jowisz, władca ludzi i bogów. Marku Antoniuszu, zabierz ten diadem! Zanieś go do jego świątyni i złóż na ołtarzu w imieniu moim i ludu rzymskiego!

Rzekłbyś, tysięczne gromy przetoczyły się nad Forum – tak ogłuszający był ryk, jaki na te słowa wydarł się z niezliczonych gardeł. Cezar raz jeszcze musiał uciszać zebranych.

– Stwierdzam, że Luperkalia odprawiliśmy rzetelnie i zgodnie z tradycją. A teraz pora na ucztę!

Lucjusz stał pod Rostrą zdezorientowany, wpatrując się w wuja. Nie wiedział, co myśleć o scenie, której był świadkiem, ani o reakcji tłumu. Wydawało mu się, że ci, którzy krzyczeli: „Ukoronuj go!”, najgłośniej wiwatowali, kiedy Cezar odepchnął koronę – jakby samo odrzucenie symbolu władzy monarszej dawało mu do niej prawo. Ci, którzy protestowali, teraz przyjęli jego gest równie owacyjnie jak frakcja przeciwna. Czy są tak głupi, by uwierzyć, że skoro Juliusz korony nie przyjął *de iure*, to i *de facto* nie będzie królem? „W polityce najważniejsze są pozory”, usłyszał kiedyś od Antoniusza. Lucjusz wiedział jedno: sytuacja jest wielce skomplikowana.

Nie miał też pojęcia, jak oceniać Cezara. Każdy z Rzymian, mąż, niewiasta, starzec czy dziecko, albo go bezgranicznie uwielbiał, albo serdecznie nienawidził; Lucjusz zawsze jednak widział w nim tylko wuja Gajusza – człowieka na pewno nieprzeciętnego, ale na wskroś ludzkiego, wiecznie czymś pochłoniętego, z bezskutecznie ukrywaną łysiną i dziwną manierą wysławiania się na swój temat w trzeciej osobie. Przez całe życie tkwił w jego cieniu, czuł przy tym, że wuj odnosi się do niego nieco powściągliwie, jeśli nie obojętnie. Kiedy zaś

zdarzało się im pozostać sam na sam, Lucjusz miał wrażenie, że Gajusz jest zakłopotany: często odwracał wzrok, unikając jego spojrzenia. Dlaczego?

Ojciec Lucjusza robił czasami niejasne aluzje do długu, który Cezar jakoby zaciągnął u ich rodziny, ale nigdy tego nie wyjaśnił szerzej. Młodzieniec domyślał się, że w przeszłości musiało się wydarzyć coś tragicznego lub wstydliwego – jedna z tych rzeczy, o których dorośli nigdy nie rozmawiają przy dzieciach. Odnosił wrażenie, chociaż nie wiedział dlaczego, że miało to coś wspólnego z jego dziadkami, Julią i Lucjuszem Pechowcem. Co takiego Cezar im zrobił albo z czego się nie wywiązał? Prawdopodobnie chodziło o pieniądze bądź skazę na honorze, a może jedno i drugie. W porównaniu z podbojem Galii lub rzezią wojny domowej musiała to być jakaś drobnostka, ale Lucjusz był jej wielce ciekaw. Czy teraz, kiedy stał się mężczyzną, powie mu, co zaszło w tych tajemniczych dawnych czasach przed jego przyjściem na świat?

Miesiąc później, w przeddzień idów marcowych, Lucjusz Pinariusz uczestniczył w uroczystym obiedzie u Marka Lepidusa na Palatynie. Lepidus walczył pod komendą Cezara i teraz sprawował funkcję dowódcy jazdy. Wśród biesiadników był sam dyktator, a także konsul Marek Antoniusz i kilku innych najbardziej zaufanych oficerów.

Antoniusz pił więcej niż inni. Nie zdradzał żadnych oznak upojenia – nie bełkotał, panował nad gestami – ale w jego oczach czaił się złośliwy błysk.

– Więc powiedz, wodzu, co też chcesz nam obwieścić, skoro nas tu wszystkich wezwałeś?

Cezar się uśmiechnął. Trzymał ich w napięciu przy rybach i dziczyźnie, ale widział, że Antoniusz nie weźmie się do deseru, dopóki jego ciekawość nie zostanie zaspokojona.

– Łatwo się nudzisz i brak ci cierpliwości, Antoniuszu. Cóż, chyba sam ostatnio czuję się trochę znudzony. Dlatego poprosiłem Lepidusa, aby tak właśnie dobrał gości. Niektórzy z was służyli ze mną w Galii i widzieli kapitulację Wercyngetoryksa. Inni walczyli pod Farsalos, gdzie rozbiliśmy armię Pompejusza, czy też pomagali mi zaprowadzić spokój w Aleksandrii, lawirując wśród zdrad i podstępów zwaśnionych Egipcjan. Są tu i tacy, którzy pod Tapsus byli świadkami śmierci Katona. Wszyscy sprawdziliście się w bitwach albo wkrótce się sprawdzicie. – Uśmiechnął się, spoglądając na Lucjusza. – Jesteście wybrańcami, elitą rzymskich wojowników i moimi najbardziej zaufanymi żołnierzami, dlatego chciałem się z wami spotkać dziś wieczorem, przed oficjalnym oświadczeniem, które wygłoszę jutro.

– Tak! – szepnął Antoniusz. – To będzie...

– Partia – oznajmił Cezar, nie chcąc pozwolić, by ktokolwiek go uprzedził, nawet najlepszy druh. – Długo się zastanawiałem, czy porwać się na wojnę z Partami, a teraz podjąłem decyzję.

W izbie nastąpiło poruszenie. Wszyscy się domyślali, co za chwilę usłyszą, ale chodziło o sprawę tak wielkiej wagi, że dopóki te słowa nie padły, nikomu nie wydawała się realna.

– Jaka to decyzja? – Antoniusz wiercił się jak mały chłopiec.

Cezar się roześmiał.

– Cierpliwości, Antoniuszu, cierpliwości! Teraz przed nami deser. Będziemy się delektować delikatnymi kawałkami drobiowego i wieprzowego mięsa w kremie jajecznym przyprawionym garum, zgadza się, Lepidusie? Nasz gospodarz ma jednego z najlepszych kucharzy na Palatynie...

– Wodzu, nie dręcz nas!

– No cóż, w takim razie z lasowaniem trzeba będzie poczekać. – Juliusz odchrząknął. – Chyba powinienem wygłosić to na stojąco... a wy wszyscy unieście kielichy. Moi przyjaciele... jutro Cezar przedstawi w senacie wniosek, a czcigodni senatorowie, jestem tego dziwnie pewien, go zatwierdzą.

Rozległy się ciche śmiechy.

– Cezar wystąpi o powierzenie mu dowództwa nad armią. Celem kampanii wojskowej, którą poprowadzi, będzie... Antoniuszu, wyglądasz, jakbyś miał zaraz pęknąć. – Odczekał, aż przebrzmi nowa salwa śmiechu, a w końcu wypowiedział słowo, na które wszyscy czekali: – Partia!

– Partia! – zakrzyknęli, wznosząc toast.

A więc pogłoski były prawdziwe, pomyślał Lucjusz, wychylając kubek wraz z innymi. Wujowi nie wystarcza panowanie nad całym basenem śródziemnomorskim i wymyślił sobie kolejny podbój: ziemie dawnej Persji, od czasów Aleksandra przekształcone w królestwo Partów.

W całym ówczesnie znanym świecie była to jedyna potęga zdolna rywalizować z Rzymem. Kiedy Lucjusz miał dziewięć lat, Marek Licyniusz Krassus, który zasłynął stłumieniem buntu niewolników pod wodzą Spartakusa, poprowadził kampanię przeciwko Partom, wykorzystując Syrię jako bazę dla swoich działań. Krassus był najbogatszym człowiekiem w Rzymie, a znaczeniem politycznym dorównywał Pompejuszowi i Cezarowi. Przez pewien czas tworzyli tak zwany triumwirat, na chwilę zapominając o rywalizacji, choć żaden nie zaprzestał snucia intryg dla zdobycia wyraźnej przewagi. Krassus zdecydował się rzucić wyzwanie losowi i najechał na Partię, licząc na powtórzenie galijskich sukcesów Cezara – z tą różnicą, że spodziewane fantastyczne łupy ze Wschodu miały przyćmić wszystko, co jego rywal zdołał wycisnąć z prymitywnych krain za Alpami.

Tymczasem zamiast oszałamiającego zwycięstwa Krassus trafił na swoją Nemezis. W bitwie pod Carrhae jego armia dostała się w okrążenie. Rzymskie pancerze okazały się niedostateczną osłoną przed partyjskimi strzałami. Syn Krassusa, Publiusz, zginął podczas próby przebicia się na czele oddziału jazdy przez pierścień wrogów. Partowie odcięli mu głowę i szyderczo wystawili na pokaz wciąż walczącemu ojcu. Zginęło dwadzieścia tysięcy rzymskich legionistów, a dalsze dziesięć tysięcy wzięto do niewoli; dopiero wtedy Partowie zaproponowali Krassusowi rozejm, a gdy go przyjął, zdradziecko go zgładzili. Zwycięzcy z wielką pompą święcili triumf nad rzymskimi najeźdźcami, a głowę ich wodza ofiarowali w

prezencie swojemu sojusznikowi, królowi Armenii, który podobno wykorzystał ją w inscenizacji *Bachantek* Eurypidesa. *Sic transit gloria mundi** – Krassus chciał panować nad światem, a skończył jako teatralny rekwizyt.

Od tamtej pory Rzymian prześladował cień tej klęski, a imperium Partów jawiło się im jako tajemnicza i niepokonana siła. Teraz, gdy walka o władzę w rozdartej wojną domową republice była zakończona, wydawało się naturalne, że nowy przywódca znowu kieruje uwagę na Wschód.

– Powiem wprost, że wartości bojowej Partów nie wolno lekceważyć – oznajmił Cezar. – Nie należy jej też jednak przeceniać. Klęska Krassusa nie może nas odstraszyć od tego zamiaru. Szczerze mówiąc, jako dowódca nie dorównywał on żadnemu z tu obecnych... mówię także o tobie, Lucjuszu, choć nie miałeś jeszcze okazji sprawdzić się w walce. Jako młodszy oficer Marek Licyniusz dobrze służył Sulli, ale zawsze był w cieniu Pompejusza. Wprawdzie sprawnie i bezlitośnie stłumił powstanie Spartakusa, ale potem senat odmówił nagrodzenia go triumfem... i słusznie. Świątowanie zwycięstwa nad armią niewolników nie byłoby godne Rzymianina. Kampania partyjska była dla Krassusa rozpaczliwą próbą wykazania się talentem stratega, zadanie go jednak przerosło.

– Może i tak – powiedział Antoniusz. – Skoro jednak mamy się zająć Partami, to na wszelki wypadek uaktualnij testament.

Konsula zawsze trzymał się czarny humor, zwłaszcza przy winie. Ta uwaga wzbudziła szmer dezaprobaty, Cezar jednak wziął go w obronę.

– Antoniusz mądrze mówi. I ja sporządziłem testament. Przechowują go westalki. Mężczyzna musi zawczasu myśleć o dniu, kiedy zostanie po nim tylko jego imię. Dopóki będzie ono na ustach ludzi, żyć będzie i jego chwała, ale o dobra doczesne sam się musi zatroszczyć i tak nimi rozporządzić, by trafiły we właściwe ręce. – Juliusz rzucił okiem na Lucjusza, a potem na Antoniusza, ale znaczenie tych spojrzeń trudno było odgadnąć.

Jakie zapisy zawierał testament dyktatora, nikt nie wiedział. Cezar był jedynowładcą, ale nie miał następcy. Syna Kleopatry nigdy nie uznał. Plotka głosiła, że jego bękartem był też jeden z przeciwników w wojnie domowej, Marek Juniusz Brutus, później ułaskawiony; sam Cezar jednak się do tego nie przyznawał. Najbliższymi krewnymi płci męskiej byli potomkowie jego dwóch sióstr – siostrzeniec Kwintus Pediusz, który służył pod Cezarem w Galii, oraz ich młodzi wnukowie, Gajusz Oktawiusz i Lucjusz Pinariusz. Z tej trójki tylko Lucjusz był obecny na uczcie; dwaj pozostali pełnili służbę wojskową poza Rzymem.

– Szkoda, że twoi pozostali dwaj siostrzeńcy nie mogą być tu z nami – zauważył Marek Antoniusz.

– Tak. Ale wszyscy trzej będą mieć okazję okryć się chwałą w nowej kampanii. Kwintus jest już wytrawnym żołnierzem. Jeśli chodzi o Gajusza... – Cezarowi rozbłyły oczy, bardzo bowiem lubił młodego Oktawiusza. – Ma tylko osiemnaście lat, ale nie brak mu ducha.

* Tak przemija postać świata.

Przypomina mi mnie samego, kiedy byłem w tym wieku. Choć w ostatnich latach Fortuna go nie oszczędzała, zsyłając nań choroby i katastrofę morską, zdołał wziąć udział w ostatniej ofensywie przeciwko niedobitkom sił Pompejusza w Hiszpanii i dobrze się tam spisał. Obaj bardzo wcześnie straciliśmy ojców, starałem się więc nim jak najlepiej zaopiekować. Jest też niezłym mówcą.

– Miał najlepszego z nauczycieli – stwierdził Antoniusz.

– To nie moja zasługa. – Cezar potrząsnął głową. – Jemu to przychodzi z łatwością. Do dzisiaj pamiętam jego mowę pogrzebową, jaką wygłosił na cześć swojej babki, mając zaledwie dwanaście lat.

– A co z tym oto młodym człowiekiem? – Konsul uśmiechnął się do Lucjusza.

Lucjusz przez chwilę się bał, że zostanie poczochny jak mały chłopiec. Słuchając, jak wuj chwali kuzyna Gajusza, boleśnie uzmysłowił sobie brak własnych osiągnięć.

– Lucjusz dopiero zaczyna karierę – odrzekł Cezar. – Ale mam na niego oko. Partia da mu okazję, żeby pokazać światu, z jakiej jest gliny.

– Wypijmy więc za nową kampanię! – Lucjusz impulsywnie chwycił i wznosił wysoko puchar.

– Za kampanię partyjską! – powtórzył Antoniusz.

Wszyscy przyłączyli się do toastu, a Juliusz skinął głową z aprobatą. Służba wniosła nowe dania i dzbany wina. Rozmowa zesłała na inne tematy. Lepidus skomentował fakt, że Cezar uznał za stosowne naprawić pomniki Sulli i Pompejusza, które po jego zwycięstwie tłum obalił i roztrzaskał. Czemu ponownie stawia swoich wrogów na piedestale?

– Lepidusie, wiesz przecież, że Cezar zawsze stosował politykę łagodności. Mściwością na dłuższą metę nic się nie zyska. Sulla popełnił wiele zbrodni, Pompejusz zaś wiele fatalnych błędów, ale obaj byli wielkimi Rzymianami i zasługują na pamięć. Tak więc z rozkazu Cezara złożony konny pomnik Sulli wkrótce wróci na dawne miejsce za Rostrą, a figurę Pompejusza już ustawiono w sali teatru na Polu Marsowym, który w końcu właśnie jemu zawdzięczamy. Jutro zwołuję tam posiedzenie senatu i Pompejusz będzie spizowym świadkiem mojego wniosku o dowództwo w Partii. – Juliusz wziął do ust kawałek ciasta i uśmiechnął się. – Tak, Pompejusz dobrze zrobił, dając Rzymowi pierwszy stały teatr, i chwała mu za to. Sulla dowiódł politycznej głupoty, zrzekając się dyktatury... lecz gdyby tak nie postąpił, kim byłby dzisiaj Cezar?

– Kim bylibyśmy my wszyscy? – zapytał Antoniusz, wietrząc okazję do nowego toastu.

Wino i koleżeńska atmosfera w końcu na tyle ośmieliły Lucjusza, by się włączył do rozmowy.

– Wuju, czy wolno mi zapytać, jakie masz zamiary wobec Rzymu?

– Co masz na myśli, młodzieńcze?

– Pytam o twoje plany wobec samego miasta. Krąży plotka, że przemyśliwasz o przeniesieniu stolicy na miejsce starożytnej Troi lub nawet do Aleksandrii.

– Skądże się takie plotki biorą? – W oczach Cezara błysnęły iskierki humoru. – Dlaczego akurat do Troi, ciekaw jestem?

Lucjusz wzruszył ramionami.

– Moi nauczyciele twierdzą, że związek między Troją a Rzymem datuje się od starożytności. Dawno temu, w czasach przed Romulusem i Remusem, trojański wojownik Eneasze przeżył zagładę miasta i umknął przez morze, po czym się osiedlił nad Tybrem. Z jego to krwi podobno pochodzimy.

– I z tego powodu Cezar miałby porzucić swe rodzinne miasto i przenieść stolicę do Troi? Owszem, położenie na azjatyckim wybrzeżu czyni ją punktem centralnym między Wschodem i Zachodem, zwłaszcza jeżeli nasza dziedzina poszerzy się o Partię, a może jeszcze dalej. Odpowiedź brzmi jednak: Nie! Nie planuję zbudować nowej Troi. A czemu niby miałbym przenieść stolicę do Aleksandrii? Źródeł tej pogłoski oczywiście się domyślam. Między Rzymem a Egiptem istnieją teraz, by tak rzec, szczególne powiązania.

– No, w końcu to ty umieściłeś pomnik królowej Kleopatry w nowej świątyni Wenus, zaraz obok samej bogini – zauważył Antoniusz.

– Tak jest. Uznałem to za właściwy gest dla upamiętnienia jej oficjalnej wizyty. A Aleksandria jest bardzo starym miastem, ośrodkiem cywilizacji i kultury...

– Założonym przez zdobywcę i nawykłym do królewskiego jedynowładztwa.

– Niemniej nie mam zamiaru uczynić z niego stolicy świata.

– Lecz chyba rozumiesz, wuju, dlaczego ludzi takie pogłoski niepokoją – ciągnął Lucjusz.

– Boją się, że przeniesiesz skarb i urzędy za morze, a zdegradowany Rzym stanie się zaściankiem na prowincji, senat zaś ledwie tylko radą miejską.

Cezar się zaśmiał.

– Choć to iście zabawny pomysł, nie żywię podobnych zamiarów. Ale masz rację, że powinienem chyba jasno obwieścić moją wolę w jutrzejszej mowie do senatorów, to ich uspokoi. Jest wolą bogów, aby Rzym na zawsze był centrum świata. Nie tylko nie porzucę miasta, ale chcę je rozbudować i wzbogacić. Moi inżynierowie już pracują nad planem zmiany koryta Tybru i zbudowania falochronów wzdłuż wybrzeża, aby Ostia stała się tak wielkim portem jak kiedyś Kartagina. Pomyślcie, jak dobroczynnie wpłynęłoby to na rozwój naszego handlu!

– A skoro już mowa o Kartaginie... – wtrącił Antoniusz.

Cezar skinął głową.

– Tak, już zacząłem tworzyć nowe kolonie i tam, i w Koryncie, dwóch wielkich miastach, które nasi przodkowie zburzyli w jednym roku. Grecy będą nas chwalić za odrodzenie Koryntu, a kolonia afrykańska będzie spełnieniem dawnego marzenia Gajusza Grakcha. Tak, szykują się wielkie zmiany, zaiste wielkie...

Z każdym kolejnym dzbanem wina rozmowa stawała się coraz swobodniejsza. Lucjusz zauważył, że Cezar pije wyraźnie mniej niż inni, Antoniusz zaś zdecydowanie więcej.

Lepidus poruszył temat śmierci.

– Wiemy wszyscy jak umarł Sulla. We własnym łóżku, złożony potworną chorobą, ale do samego końca zachowywał się jak krwawy tyran, szafując śmiercią i cierpieniem. Krassus też skończył marnie. Po Farsalos Pompejusz odpłynął do Egiptu, licząc, że tam zbierze siły do ostatniego starcia, jednak sługusy Ptolemeusza zadźgały go, zanim zdążył postawić stopę na brzegu, a jego głowę darowali tobie, Cezarze, jako trofeum. Po bitwie pod Tapsus Katon rzucił się na swój miecz, ale wierni słudzy go znaleźli i pozszywali. Musiał czekać, aż pozasypiąją, żeby rozerwać szwy i własnymi palcami dokończyć dzieła.

– Spodziewam się, że tą makabryczną wyliczanką chcesz nam coś powiedzieć, Lepidusie? – spytał Antoniusz.

– To, że śmierć ma niejedno oblicze. Jeżeli można by wybierać, to jaka byłaby najlepsza?

– Nagła i nieoczekiwana, choćby krwawa i bolesna – odparł bez wahania Cezar. – Taka zawsze jest lepsza od przewlekłej agonii. Ze wszystkich historii, które wymieniłeś, Lepidusie, za najlepszą uznaję śmierć Pompejusza. Inni widzieli jej cień na długo przedtem, zanim ich dopadła, i musieli myśleć o niej w strachu, tymczasem on do samego końca miał nadzieję, nieważne, że płonna i krucha. Śmierć była dlań wstrząsem jak dla każdego, ale nieoczekiwanym. Wprawdzie jego ciało zbezczeszczono, ale później zadbałem, aby je oczyszczono i odprawiono nad nimi właściwe ceremonie. Mam nadzieję, że jego cień spoczywa w pokoju.

* * *

Uczta dobiegła końca i goście zaczęli się rozchodzić. Cezar oznajmił, że zamierza pójść sam z Lucjuszem i odprowadzić go pod dom rodziców.

– Jest sprawa prywatnej natury, którą pragnę omówić z moim siostrzeńcem – powiedział, patrząc na Lucjusza, a potem odwrócił wzrok.

– Sami? Tylko we dwóch? – zapytał Antoniusz.

– Czemu nie?

– Przynajmniej kilku z nas powinno iść z tobą – obruszył się Antoniusz. – Dla twego bezpieczeństwa. Jeżeli chcesz rozmawiać w cztery oczy, będziemy się trzymać kilka kroków z tyłu.

Wódz potrząsnął głową.

– W jakimże celu Cezar tak się starał przypodobać ludowi rzymskiemu wielkimi ucztami i rozrywkami, jeśli nie po to, by móc bezpiecznie chodzić po mieście bez ochrony?

– Bardzo ładna teoria – prychnął Antoniusz. – Ale w rzeczywistości...

– Nie, Antoniuszu. Nie będę chodzić ulicami mojego miasta, drżąc ze strachu. Umiera się tylko raz. Lęk przed śmiercią powoduje więcej cierpienia niż sama śmierć i ja mu się nie

poddam. Do Pinariusza mamy stąd niedaleko, a jeszcze bliżej jest stamtąd do mojego domu. Będę całkowicie bezpieczny.

Antoniusz zaczął protestować, lecz Cezar uciszył go spojrzeniem.

Kiedy we dwóch przecinali skąpany w księżycowej poświacie Palatyn, Lucjusz jak zwykle w towarzystwie wuja czuł lekkie zakłopotanie i miał wrażenie, że Cezar także jest nieswój. Kilka razy zaczynał mówić, ale milkł w pół słowa. Największy wódz na świecie i drugi najlepszy orator (bo nawet sam Cezar oddawał palmę pierwszeństwa złotoustemu Cynceronowi) najwyraźniej miał problem z doborem słów.

– Do Hadesu z tym! – mruknął w końcu. – Powiem najprościej jak umiem, Lucjuszu. Twój dziadek...

– Ten, którego nazywają Pechowcem?

– Ten sam. Wyświadczył mi kiedyś wielką przysługę. Uratował mi życie.

– Jak tego dokonał, wuju?

– Bardzo trudno mi o tym mówić. Po prawdzie nigdy tej historii nikomu nie opowiadałem. Ale ty zasługujesz na to, aby znać prawdę o swoich dziadkach, Lucjuszu, i o ofierze, jaką dla mnie ponieśli. Działo się to podczas dyktatury Sulli, w najgorszym czasie proskrypcji. Byłem bardzo młody, zaledwie jakiś rok starszy niż ty teraz. Znalazłem się w wielkim niebezpieczeństwie, a na dodatek trawiła mnie malaryczna gorączka. – Cezar podniósł wzrok na lśniącą misę księżycy i w tym miękkim świetle Lucjuszowi przez mgnienie oka błysnęła twarz młodzieńca, którym kiedyś był jego wuj. – Może dlatego teraz odrzucam strach przed śmiercią, zaznałem go dość już za młodu. Przemykałem od domu do domu, ukrywając się przed siepaczami Sulli, ale w końcu w domu twoich dziadków dopadł mnie jeden z nich, niejaki Fagita...

Opowiedział Lucjuszowi o łapówce, którą wręczył jego dziadek za pozostawienie go w spokoju, a potem o niezwykłym żądaniu samego Sulli, który kazał się Juliuszowi rozwieść z żoną. Gdy odmówił, tyran wymógł na jego siostrze Julii i szwagrze Lucjuszowi Pechowcu rozwiązanie ich małżeństwa i jej powtórne zameście z wybranym przez niego mężczyzną.

– Twoja babka rozpaczała, ale szybko się pogodziła z losem. To leżało w jej naturze. Twój dziadek jednak nigdy już nie wrócił do siebie. To wszystko go złamało. Zachował się honorowo, a jednak czuł się skalany. Nie wiedział, jak naprawić zło, które mu wyrządzono. Gdyby żył, może znalazłbym w końcu jakiś sposób, by mu to zrekompensować i by odzyskał szacunek do samego siebie. Zmarł jednak jako młody jeszcze człowiek, zanim ja zdołałem cokolwiek osiągnąć i zdobyć wpływy.

Szli wolnym krokiem. Cezar nagle przystanął i zwrócił się ku młodzieńcowi.

– Czy wiesz, jak zmarł twój dziadek?

– Pośliznął się na oblodzonym chodniku.

– Tak. A wiesz gdzie?

– Gdzieś tu, na Palatynie, jak sądzę. – Lucjusz wzruszył ramionami.

– Dokładnie w miejscu, w którym teraz stoimy.

W srebrnym świetle księżycy nietrudno było wyobrazić sobie bruk lśniący od lodu. Lucjusz się wzdrygnął.

– W twojej opinii, wuju, była to ta dobra śmierć, szybka i bez ostrzeżenia. Może bogowie zesłali mu ją w drodze łaski.

– Być może. Ale dług, który miałem wobec twojego dziadka, był mi odtąd brzemieniem. Nawet bogowie nie potrafią zmienić przeszłości, a zadośćuczynić zmarłemu się nie da. Mogę za to zadbać, żebyś ty, Lucjuszu, miał wszelkie możliwości zrobienia kariery. I tak bym ci pomagał, bo jesteś moim krewnym, ale chciałem, żebyś wiedział o ofierze twojego dziadka i dobrze zrozumiał, co między nami wtedy zaszło. Jeżeli tobie uda się osiągnąć pozycję i zaszczyty, jakich jemu nie dane było zdobyć, będzie to dla mnie najlepszą nagrodą.

Lucjusz milczał przez chwilę, rozważając słowa Cezara.

– Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś, wuju. Doprawdy nie wiem, co więcej mógłbym powiedzieć.

Co miały znaczyć słowa „pozycja i zaszczyty”? Przecież w państwie rządonym przez króla dawna „ścieżka zaszczytów”, drabina kariery politycznej, na której każdy ambitny mężczyzna mógł rywalizować z równymi sobie, całkowicie straci znaczenie.

Wuj zdawał się czytać w jego myślach.

– W przyszłości *cursus honorum* nie będzie już tym samym co w czasach naszych przodków. Jedno się wszakże nie zmieni: ambitny młodzieniec nadal będzie mógł na polu bitwy zasłużyć na wdzięczność Rzymu, a przy okazji zdobyć majątek i okryć się chwałą. Czy mogę powierzyć ci sekret, Lucjuszu? Coś, o czym nie powiedziałem nawet Antoniuszowi? – Cezar ruszył naprzód; byli już niedaleko domu Lucjusza. – Moje plany wojenne... moje ambicje wobec Rzymu... są nawet większe, niż sobie wyobraża mój przyjaciel konsul i inni. Sam widziałeś, jak bardzo ich ekscytuje zamysł podbicia Partii, ale dalej ich wyobraźnia już nie sięga. Plany Cezara są jednak o wiele śmielsze. Tak, marzy mi się podbój Partii, ale tylko po to, aby obejść całe wybrzeże Pontus Euxinus i zataczając koło, zdobyć Scytię i Germanię oraz wszystkie graniczące z nimi ziemie, dojść do Morza Północnego i przepłynąć się do Brytanii, a potem wrócić do Italii przez Galię, by dopełnić dzieła mego życia. Kiedy Cezar dopnie swego, Rzym będzie światowym imperium, wspartym na dwóch oceanach!

Lucjusz był oszołomiony ogromem tej wizji i mile polechtany okazanym mu przez wuja zaufaniem. Juliusz jednak jeszcze nie skończył.

– Nigdy przedtem takie imperium nie istniało. Nawet państwo Aleksandra nie było tak rozległe, a poza tym po jego śmierci podbite ziemie rozdrapali spadkobiercy, co się nie obyło bez wielkiego zamętu i rozlewu krwi. Najlepiej na tym wyszedł Ptolemeusz, biorąc sobie Egipt. To w prostej linii przodek królowej Kleopatry, wiesz? A co się stanie z imperium rzymskim, kiedy ja umrę, Lucjuszu? Czy pozostanie spójnym mocarstwem z jednym władcą,

czy też moi następcy podziela ją zgodnie między siebie i będą rządzić w trwałym przymierzu? A może rozpadnie się na zbrojnie walczące ze sobą królestwa?

– Czy nie mogłoby na powrót stać się republika, wuju?

Cezar uśmiechnął się, jakby chodziło o młodzieńczy kaprys.

– Wszystko jest możliwe, nawet i to! Nikomu z mojego pokolenia nie udało się sprawić, by republika zaczęła dobrze funkcjonować, ale może uda się to ludziom, którzy przyjdą po nas. Ja tymczasem sięgam w przód i staram się jak najlepiej wytyczyć przyszły bieg wydarzeń. Może dożyję sędziwego wieku i wymyślę sposób, aby moje dziedzictwo przekazać potomnym w nienaruszonym stanie, a może umrę dziś wieczorem, powalony przez bogów bez ostrzeżenia, jak ojciec i dziadek. W aktualnym testamencie każdemu z krewnych, w tym oczywiście i tobie, Lucjuszu, zapisuję godny legat. Jeśli jednak będę żył dłużej, zachowam władzę i zrealizuję plany, to wtedy będą potrzebne bardziej złożone rozwiązania. Mówię ci o tym wszystkim, ponieważ może tak być, że bogowie wyznaczyli ci szczególny los. Jako potomek Juliuszów, pochodzisz od samej Wenus, jak i ja. Po ojcu dziedziczysz jedno z najstarszych nazwisk Rzymu. Pinariusze mają bardzo długą historię, ale ty, Lucjuszu, jesteś bardzo młody. Nie osiągnąłeś jeszcze niczego, ale też nie popełniłeś żadnych błędów. Przygotuj się. Bądź wobec mnie lojalny. Wykaż się w walce. Obserwuj postępowanie innych, przejmuj ich zalety i unikaj przywar. Myślę zwłaszcza o Antoniuszu. Wiem, że czujesz się z nim blisko związany. Masz jednak w sobie coś, dzięki czemu możesz zajść dalej niż on.

– Ufasz przecież Antoniuszowi, prawda? – Lucjusz zmarszczył brwi.

– Tak, ale nie jestem ślepy na jego wady.

Ośmielony tak wielkim zaufaniem wuja, Lucjusz zdobył się na odwagę, by zapytać o incydent sprzed miesiąca, kiedy podczas Luperkaliów Antoniusz trzykrotnie ofiarowywał Cezarowi diadem.

– Byłeś tam i sam widziałeś, co się działo – odrzekł Juliusz. – Co wtedy myślałeś?

– Pomyślałem, że sam to wszystko zainscenizowałeś niczym przedstawienie, aby sprawdzić reakcję obywateli. Ujrzawszy, jak wielu ludziom to się nie podoba, upewniłeś ich, że nie masz zamiaru zostać królem.

Cezar przytaknął skinieniem głowy.

– W polityce pozory liczą się nie mniej od rzeczywistości. Nie można zajmować się tylko jednym i zaniedbywać drugie. Człowiek musi określić, kim jest, i wiedzieć, za kogo inni go uważają. Niebezpieczna sprawa z tymi koronami i tytułami. Zdradzić ci jeszcze jedną tajemnicę?

Lucjusz skinął głową.

– Jutro przed debatą nad wojną z Partią jeden z lojalnych wobec mnie senatorów obwieści nową wróżbę z ksiąg Sybilli. Wygląda na to, że kapłani odpowiedzialni za ich interpretację natrafili na bardzo szczególny fragment, z którego wynika, iż Partów może podbić tylko król. Odrzuciłem diadem oferowany mi przez Antoniusza w czasie Luperkaliów, co lud przyjął

owacyjnie. Ale co by było, gdyby to senat poprosił Cezara o przyjęcie tytułu królewskiego, aby zagwarantować zwycięstwo na Wschodzie?

– Czyli jednak chcesz zostać królem? – zapytał Lucjusz. – I to właśnie stanie się jutro?

Cezar się uśmiechnął.

– Plan jest taki: senat ogłosi Cezara królem we wszystkich prowincjach rzymskich poza Italią, z prawem do noszenia korony na lądzie i morzu. W ten sposób i wilk będzie syty, i owca będzie się czuć bezpieczna. Technicznie Cezar uzyska władzę monarszą, ale z punktu widzenia obywateli Rzym nadal będzie republiką. Cezar będzie królem reszty świata w ich imieniu.

Lucjusz zmarszczył brwi.

– Auspicje i wróżby, sybillińskie proroctwa... czy to tylko narzędzia w rękach człowieka? Czy nie wyrażają prawdziwej woli bogów?

– A może jedno i drugie? Auspicje i cała reszta są narzędziami, to prawda, ale człowiek, który je opanował i się nimi posługuje, może to czynić tylko dlatego, że jest ulubieńcem bogów. Niezwykłe, jak często wola boska pokrywa się z wolą ludzi sukcesu. – Juliusz się uśmiechnął. – Oczywiście nie każdy omen jest przychylny. Gdybym słuchał wszystkich przestroż wróżbitów, które słyszę niemal na każdym rogu ulicy w Rzymie, mógłbym w ogóle nie wychodzić z domu i na pewno nie wybrałbym się przemawiać jutro w senacie!

– Otrzymałeś jakieś konkretne ostrzeżenie?

– Zbyt wiele, żeby je wyliczyć! Spadające gwiazdy, dwugłowe koźlątka, płaczące pomniki, listy tajemniczo pojawiające się na piasku... było tego wiele w tym miesiącu. Niektóre z ostrzeżeń dotyczyły konkretnie id marcowych. To dlatego Antoniusz tak mi ostatnio matkuje. Uważa, że nie powinienem się rozstawać z silną ochroną. Cezar jednak nic sobie nie robi z tych wróżb i postąpi zgodnie z własną wolą.

Ich cichą rozmowę przerwały nagle donośne głosy z zaułka. Szła ku nim grupa mężczyzn. Cezar chwycił Lucjusza za ramię i pociągnął chłopca do najbliższej bramy. Nadchodzący zaczęli głośno śpiewać, okrutnie fałszując; byli porządnie podchmieleni. Jeden z nich zauważył kryjące się w cieniu odrzwi sylwetki i podszedł, by się im bliżej przyjrzeć.

– Na jądra Numy! Toż to pomiot Wenus we własnej osobie, nasz najukochańszy dyktator!

– Kto? – zakrzyknął jeden z jego towarzyszy.

– Gajusz Juliusz Cezar!

– Zalewasz!

– Nie, przysięgam! Chodź i sam zobacz!

Mężczyźni stłoczyli się wokół bramy. Rozpoznawszy Cezara, przez chwilę stali w oszołomieniu, ale zaraz zaczęli pajacować, kłaniając się i padając przed nim na kolana.

– Król Cezar! – wołali. – Chwała królowi!

Juliusz nie okazał strachu. Uśmiechnął się i odpowiedział na ich gesty łaskawym skinieniem głowy.

Jeden z pijaków zatoczył się w tył i rozłożył ramiona, naśladując ukrzyżowanie.

– Patrzcie na mnie! Jestem piratem! O, wielki Cezarze, zlituj się nade mną!

Inny naciągnął sobie tunikę na głowę.

– Patrzcie na mnie! Jestem Pompejusz po lądowaniu w Egipcie! Litościwy Cezarze, oddaj mi głowę!

– A ja jestem królową Nilu! – powiedział inny, krygując się i pięściami wetkniętymi pod tunikę imitując wielki biust. – Zgwałć mnie, o Cezarze! Nasze dziecko będzie nowym królem Egiptu!

Błaznowali tak jeszcze przez chwilę, ale wkrótce najwyraźniej ich to znudziło. Pomachali Juliuszowi i Lucjuszowi na pożegnanie i poszli dalej, znów rycząc pijacką śpiewkę. Dopiero kiedy zniknęli za najbliższym rogiem, Cezar uwolnił ramię Lucjusza z uścisku.

Młodzieniec spojrział na twarz wuja, białą w świetle księżyca. Oczy Cezara lśniły dziwnym podnieceniem. Przez krótką chwilę dyktator autentycznie się bał; gdy jednak lęk minął, nie pozostawił po sobie ani złości, ani roztrzęsienia, lecz najprawdziwszą euforię.

* * *

Następnego dnia wypadały idy marcowe.

Lucjusz obudził się zlany potem. W pokoju panowała prawie absolutna ciemność i tylko przez szpary w okiennicach sączyło się słabe niebieskie światło przedświt. Gdzieś z oddali niosło się pianie koguta.

Miał dziwny sen, w którym był zarazem uczestnikiem i obserwatorem wydarzeń świadomym, że śni, a jednak niezdolnym się z niego wyrwać. W tym śnie wuj Gajusz był martwy. Na Forum zebrał się wielki tłum, miano bowiem odczytać jego testament. Na stopniach świątyni westalka wręczyła zwój pergaminu Markowi Antoniuszowi. Konsul rozwinął dokument i zaczął czytać. Lucjusz stał w pierwszym rzędzie, ale choć wyteżał słuch, nie mógł rozróżnić odczytywanych nazwisk – tak głośna panowała wrzawa. Chciał nakazać ludziom, żeby się uciszyli, ale nie mógł otworzyć ust; nie był nawet zdolny się poruszyć. Antoniusz czytał i czytał, ale do niego nic nie docierało.

Nie był to właściwie koszmar, ale Lucjusz obudził się roztrzęsiony i mokry od potu. Zwlókł się z łóżka, otworzył okiennice. Znów zapiał kogut. Za oknem widział stłoczone dachy, nieregularne iglice cyprysów, a w dali sylwetę świątyni Jowisza na Kapitolu, odbudowanej ze zgliszczy po pożarze, który strawił ją w czasach Sulli. Całe miasto zalane było miękkim światłem, w którym budynki i drzewa wyglądały jak prastare rzeźby ze zwietrzałego marmuru, bez barw i ostrych krawędzi.

Młodzieniec wciągnął do płuc zimne, orzeźwiające powietrze. Warstwa potu wyparowała, a poranny chłód przyprawił go o gęsią skórę. Sen był nieprzyjemny i niepokojący, ale miał go już za sobą. Na dachach załśniły pierwsze promienie słońca; świat budził się do nowego dnia taki sam, jaki Lucjusz wieczorem zostawił.

A przecież miał to być dzień szczególny. Już za parę godzin Cezar wystąpi do senatu z wnioskiem o wypowiedzenie wojny Partom i powierzenie mu dowództwa kampanii. Jeśli wszystko pójdzie po jego myśli, zostanie ogłoszony królem wszystkich prowincji poza Italią. Skończy się era republiki, zacznie się nowa karta w dziejach Rzymu.

Chcąc jak najszybciej opuścić sypialnię i zapomnieć o niemiłym śnie, Lucjusz pospiesznie nałożył najlepszą tunikę, jaskrawobłękitną z żółtym rąbkiem, i najlepsze buty. Kiedy ludzie zaczną wiwatować na wieść o szykującym się nowym podboju, młodemu krewnemu dyktatora nie będzie wypadało pokazać się w codziennych ciuchach.

Wyszedł z domu i przez jakiś czas chodził bez celu, patrząc, jak miasto się budzi. W willach na Palatynie niewolnicy otwierali drzwi wejściowe, żeby wywietrzyć westybule, gasili palące się całą noc lampy i zamiatali przedproża. W prześwicie między dwoma domami widać było fragment Forum Boarium i tybrzańskie nabrzeże. Na rynku panował już ożywiony ruch: kupcy otwierali kramy, pojawiali się pierwsi kupujący. Na wielu straganach piętrzyły się gotowe koszyki z żywnością, przy kilku stały już kolejki. Dopiero teraz Lucjusz sobie przypomniał, że to dzień Anny Perenny, święto obchodzone wyłącznie przez plebejuszy.

Anna Perenna była boginią-staruchą, zawsze przedstawianą z siwymi włosami, pomarszczoną twarzą i zgarbionymi plecami. Jej legenda pochodziła z początków republiki, kiedy plebejusze na znak protestu przeciwko zbyt niemu uprzywilejowaniu patrycjuszów zorganizowali pierwszą secesję, wyprowadzając się masowo z miasta. Gdy wyczerpały się im zapasy, pojawiła się wśród nich stara kobieta, przedstawiająca się jako Anna Perenna, obnosząc kosze jedzenia. Ludzie brali z nich, ile chcieli, a one w cudowny sposób wciąż pozostawały pełne i nikt nigdy nie cierpiał głodu.

Po secesji Anna Perenna zniknęła i nigdy więcej jej nie widziano. W idy marcowe, dniu jej poświęconym, plebejskie rodziny opuszczały miasto, aby biwakować na brzegach Tybru, zabierając z domów kosze z jedzeniem albo kupując gotowe na rynku. Rozbijali małe namioty i rozkładali koce; dzieci bawiły się i grały w piłę na trawie; młode pary czuliły się do siebie skryte w listowiu. Wszyscy jedli i pili do syta, po czym drzemali nad rzeką. O zachodzie słońca następował tłumny powrót do miasta w nieformalnym pochodzie, ze śpiewem na ustach ku czci opiekuńczej bogini.

Dla Lucjusza święto nie miało wielkiego znaczenia. Jako patrycjusz nigdy nie brał w nim udziału. Tego dnia jednak, gdy tak szedł spacerkiem przez Forum i lawirował między wędrującymi nad rzekę rodzinami, czuł, jak udziela mu się ogólny radosny nastrój. Tym bardziej bawiła go myśl, że w całym tym beztroskim i rozbawionym tłumie tylko on jeden

wie, jaki istotny i pamiętny okaże się ten dzień, a to za sprawą niezwyklej petycji, jaką wkrótce jego wuj przedstawi senatorom.

Myśląc o tym nadchodzącym wydarzeniu, Lucjusz zmierzał w kierunku dzielnicy przylegającej do Forum od północy. W ostatnich latach sumptem Cezara zniwelowano tam i zabudowano spory kawał ziemi, nazwany od ich rodowego nazwiska Forum Julium. Otaczał je ogromny prostokątny portyk z lśniących marmurowych kolumn. Na jednym końcu stała nowa świątynia Wenus, zbudowana w całości z marmuru; Juliusz ufundował ją, wypełniając ślub złożony bogini przed bitwą pod Farsalos. Plac przed sanktuarium zdobiła fontanna z figurkami nimf, a pośrodku górował nad otoczeniem wspaniały pomnik Cezara w bojowej zbroi, na białym rumaku.

Prace nie zostały jeszcze zakończone. Portyk miał prowadzić do sal sądowych i biur prawnych. W przyszłości, kiedy zaczną się tam krzątać skrybowie i sekretarze, adwokaci i ławnicy, Forum Julium stanie się najbardziej ruchliwym miejscem w Rzymie. Na razie było tam jednak pusto i cicho. Lucjusz przeszedł pod pomnikiem Cezara, z rozbawieniem patrząc na utrwalony przez rzeźbiarza niesłychanie poważny wyraz twarzy wuja; potem minął fontannę pełną wody, ale nie tryskającą. W nieruchomej tafli odbijały się idealne proporcje olśniewającej fasady świątyni Wenus.

Lucjusz wszedł po schodach. Słyszając jego kroki, niewolnik świątynny przy wejściu ocknął się z drzemki. Rozpoznał Lucjusza na pierwszy rzut oka – krewni dyktatora często bowiem gościli w świątyni swej boskiej pramatki – i pospiesznie otworzył przed nim drzwi.

Zdaniem Lucjusza cella świątyni była najpiękniejszym wnętrzem w Rzymie, a może i na całym świecie. Posadzki, ściany, sufit i kolumny z litego marmuru o wspaniałej gamie kolorów były świeżo polerowane i każda powierzchnia lśniła lustrzanym połyskiem. W krótkim westybulu przeciwległe ściany zdobiły dwa z najsłynniejszych malowideł na świecie, *Szalejący Ajaks* i *Dzieciobójstwo Medei* pędzla znamienitego artysty Timomachosa z Bizancjum. W celli wystawiono sześć gablot z niezwykle kolekcją klejnotów i kamieni szlachetnych, które Cezar zgromadził przez lata swoich podróży. Lucjusza najbardziej fascynował złowrogo wyglądający napierśnik z dalekiej wyspy Brytanii, ozdobiony małymi perełkami.

W odległym końcu sali na piedestale stała Wenus Genetrix w całej okazałości, zaklęta w marmur przez Arkesilaosa, najlepiej opłacanego rzeźbiarza na świecie. Bogini zgiętą ręką dotykała ramienia, drugą lekko wyciągała ku patrzącemu. Szczególne wrażenie robiły niezwykle delikatne rysy twarzy posągu i misternie oddane fałdy cienkiej szaty, odsłaniającej jedną pierś.

Obok Wenus stał równie imponujący posąg Kleopatry, odlany z brązu i pozłacany. Królową przedstawiono nie w dziwacznym stroju, jaki Ptolemeusze przejęli od dawnych egipskich faraonów, ale w eleganckiej greckiej sukni, skromniejszej niż u bogini, z prostym diademem na głowie. W oczach Lucjusza Kleopatra nie była szczególnie urodziwą kobietą, a

już na pewno nie tak piękną, jak jej boska sąsiadka, przyznawał jednak, że artyście udało się dobrze uchwycić ten nieokreślony urok, któremu nie mógł się oprzeć nawet Cezar. Umieszczenie jej posągu w nowej świątyni Wenus wywołało żywe spekulacje co do jego zamiarów. Jeżeli budując sanktuarium, Juliusz chciał uczcić pramatkę swego rodu, to co w nim robi królowa Egiptu? Czyżby Cezar zamierzał uczynić ją matką swego potomstwa? Lucjusz tylko raz spotkał królową. Było to podczas jej uroczystego powitania w Rzymie, kiedy został jej zdawkowo przedstawiony jako jeden z młodych krewnych dyktatora. Kleopatra odniosła się do niego uprzejmie, ale wyniośle, on zaś... zapomniał języka w gębie. Cezar oddał potem do jej dyspozycji okazałą willę z ogrodem na Zatybrzu, gdzie królowa wydała kilka wystawnych przyjęć, aby godnie się zaprezentować przed elitą miasta.

Wpatrując się w posąg, Lucjusz poczuł nagły impuls, by odwiedzić Kleopatę. Dlaczego nie? Przyjazne zachowanie Cezara poprzedniego wieczoru przydało mu pewności siebie. Był nie tylko jednym z jego spadkobierców, ale i powiernikiem. Miał takie samo prawo złożyć towarzyską wizytę królowej Egiptu jak każdy inny Rzymianin. Wprawdzie toga byłaby na tę okazję stosowniejszym strojem... ale w końcu miał na sobie najlepszą tunikę. Odwrócił się, wyszedł ze świątyni i skierował się na most na Tybrze.

Na Forum Boarium porwał go nurt ludzkiej rzeki. Plebejusze tak tłumnie szli świętować dzień Anny Perenny, że do przeprawy ustawiła się długa kolejka. Po drugiej stronie ciżba szybko się przeredziła, wszyscy bowiem skręcali z mostu na ogólnodostępne nadrzeczne łąki, Lucjusz zaś pomaszerował dalej, w kierunku wielkich prywatnych posiadłości, które stały zwrócone ku najbardziej malowniczym odcinkowi Tybru. Tu właśnie rzymscy bogacze stawiali swoje podmiejskie domy, zakładali wspaniałe ogrody i modne ostatnio pszczele pasieki, urządzali prywatne kąpieliska. Miał tam swą willę i Gajusz Juliusz; w niej właśnie rezydowała teraz Egipcjanka.

Kiedy Lucjusz zapukał do bramy, otworzył się mały wizjer, przez który egipski niewolnik o oczach obwiedzionych kręgami z proszku antymonowego obrzucił go nieufnym spojrzeniem, czekając, aż gość się przedstawi.

– Lucjusz Pinariusz, siostrzeniec Gajusza Juliusza Cezara.

Drzwi się otworzyły. Odźwierny był roslym i muskularnym mężczyzną. Wyrżał na drogę, po czym z lekkim zdziwieniem spytał po grecku:

– Jesteś sam?

Lucjusz się roześmiał.

– Spodziewam się, że królowa niewielu miewa gości przychodzących bez pokaźnej świty i to piechotą. Tak, jestem sam. Mój wuj jest dziś zajęty ważnymi sprawami, o czym królowa zapewne wie.

Został wprowadzony do nasłonecznionego, dobrze zaprojektowanego ogrodu z widokiem na rzekę. Krzewy były porządnie przystrzyżone, ścieżki wysypane jasnym żwirem, a powietrze przesyciła słodka woń róż. Całości dopełniały strategicznie rozlokowane urokliwe

greckie rzeźby. Lucjusz zauważył figurę skrzydlatego Erosa, klękającego, by dotknąć motyla. Nieopodal zastygł pochylony kamienny młodzieniec, pochłonięty wyciąganiem ciernia ze stopy. Lucjusz siadł na marmurowej ławce i patrzył na rozmigotaną w porannym słońcu powierzchnię rzeki.

– Masz iście posagową urodę.

Młodzieniec drgnął, wyrwany z zamyślenia. Odwrócił się i ujrzał stojącą o parę kroków za jego plecami królową.

– Proszę, nie wstawaj – powiedziała. – Rozkoszowałam się twoim widokiem. Wyglądałeś jak jedna z rzeźb w ogrodzie... rzymski chłopiec patrzący na Tyber.

– Nie jestem chłopcem, wasza królewska mość – powiedział Lucjusz, nieco obruszony. – Wiem, że powinienem nałożyć togę, ale...

– Ach, ci rzymscy mężczyźni i ich togi! Nie obraż się, ale dla mnie zawsze wyglądają trochę śmiesznie.

– Mężczyźni czy togi?

– Bystry jesteś. – Kleopatra się uśmiechnęła. – I oczywiście nie jesteś chłopcem. Nie chciałam cię urazić. Wiem, jak łatwo takie rzeczy mogą irytować młodego człowieka, który nade wszystko pragnie, by go poważnie traktowano.

Kleopatra sama nie miała więcej niż dwadzieścia pięć lat. Posąg w świątyni wygląda poważniej, pomyślał Lucjusz. Kiedy ją pierwszy raz widział, miała na sobie królewską szatę i diadem; dziś włożyła prostą lnianą suknię bez rękawów, przewiązaną w talii szarfą ze złotogłowi. Włosy, wtedy upięte w wysoki kok, opadały teraz luźnymi pasmami po obu stronach twarzy. Było wcześniej i królowa najwyraźniej nie oczekiwała oficjalnych wizyt.

– Dziękuję, że zechciałaś mnie przyjąć, pani – powiedział.

– Nie mogłam przecież odesłać krewnego Cezara z kwitkiem. Czy dziś jest jakieś święto? Straże mi mówią, że nad rzekę wyległo mnóstwo ludzi. Czy to ma jakiś związek z dzisiejszym wystąpieniem Cezara w senacie?

Lucjusz skwitował jej pomyłkę uśmiechem.

– Uroczystość ku czci Anny Perenny to pradawne święto plebejskie. Nie ma nic wspólnego ani z Cezarem, ani z moją wizytą. Wuj rzeczywiście zamierza przemawiać dziś przed południem, ale dużo później.

– Rozumiem. Muszę się jeszcze wiele dowiedzieć o rzymskich obyczajach. Może ty mógłbyś być moim nauczycielem?

– Ja, wasza królewska mość?

– Po prawdzie sam Cezar powinien się tym zająć. Kiedy przebywał w Aleksandrii, to ja uczyłam go egipskiego protokołu dworskiego. Ale on jest zbyt zajęty, a w tym mieście znam tak niewielu godnych zaufania ludzi...

– Przecież od czasu przyjazdu poznałaś wiele osób, pani. Na twoje wspaniałe uczyt przychodzi cała rzymska śmietanka.

– Tak, a potem odchodzą całkowicie oczarowani królową Egiptu... albo udają oczarowanych, aby zyskać łaski Cezara. Czasami dociera do mnie echo prawdziwej reakcji. Na przykład ten okropny Cyncero. W oczy prawił mi pochlebstwa i słał uśmiechy, a potem napisał list do przyjaciela, skarżąc się, że ledwo zniósł moją obecność w tej samej izbie.

– Skąd o tym wiesz, pani?

Wzruszyła ramionami.

– Księżniczka nie może przetrwać w Aleksandrii, jeśli nie posiadzie umiejętności docierania do prawdy. Szczerze mówiąc, nie rozumiem, dlaczego Cezar pozwala temu człowiekowi zachować głowę. Czy Cyncero nie występował przeciw niemu w wojnie domowej i nie walczył po stronie Pompejusza?

– Tak. Brutus też był przeciw niemu, ale po Farsalos wuj im obu wybaczył. Jest znany z łaskawości.

Oczy królowej się zwęziły.

– No tak, skoro się chce funkcjonować w ramach republiki, to łaskawość jest niezbędnym narzędziem politycznym. Ale Cezar szybko się nauczył nowych sposobów traktowania wrogów, kiedy w końcu dał sobie spokój z tą prymitywną formą rządzenia.

– Prymitywną? – Lucjusz się wyprostował na ławce. Och, jak teraz żałował, że nie ma na sobie togi, która daje mężczyźnie poczucie władzy i autorytetu! – Rzym jest znacznie starszy niż Aleksandria. O ile wiem, nasza republika poprzedza założenie twojej dynastii o prawie dwieście lat, pani.

– Być może. Ale kiedy mój przodek Ptolemeusz odziedziczył władzę nad Egiptem po Aleksandrze, przyjął tytuł, insygnia i święty status faraonów. Ich dynastie można prześledzić na tysiące lat wstecz, do samego początku dziejów. Cywilizacja rzymska jest w porównaniu z Egiptem bardzo młoda, by nie powiedzieć, dziecinna. Wielkie piramidy stały już od wielu wieków, kiedy Grecy zabierali się do oblężenia Troi... a Rzym założono setki lat po jej upadku. – Kleopatra zmarszczyła brwi. – Gościłam tu niedawno grupę rzymskich uczonych, którzy ciekawi byli skarbów biblioteki Aleksandryjskiej. Dyskusja zeszła na temat początków Rzymu i usłyszałam od nich całkiem nową teorię. Twierdzili, że trojański wojownik Eneasza umknął ze zdobytego miasta, dopłynął do brzegów Italii i osiadł nad Tybrem, tak więc krew Trojan przetrwała w was, Rzymianach. Kiedy jednak zapytałam o dowody, nie umieli żadnych przedstawić. Trudno się nie zastanowić, czy wasi uczeni trochę nie fantazjują, mówiąc o tym powiązaniu.

– Są tacy którzy twierdzą, że historię tworzą sami historycy – przyznał Lucjusz.

– Ja wolałabym raczej wymyślać przyszłość – odrzekła Kleopatra z uśmiechem. Podeszła do miejsca, skąd miała lepszy widok na wodę. W dole rzeki widać było malutkie z tej odległości sylwetki ludzi zażywających słonecznej kąpieli. – Tak mało wiemy o naszych przodkach, nawet jeśli umiemy wymienić ich imiona na kilka pokoleń wstecz. Jeśli się nie mylę, to Pinariusze są bardzo starym rodem, prawda?

– Pinariusz mieszkał tu, na Siedmiu Wzgórzach, kiedy pojawił się Herkules i zabił potwora Kakusa. Korzenie Juliuszów sięgają równie daleko w przeszłość. Cezar mówi, że ich linię zapoczątkował związek śmiertelnika z Wenus.

– Co by znaczyło, że jest prawie tak samo boski jak ja, a z pewnością zachowuje się jak bóg. – Uśmiechnęła się, ale zaraz zmarszczyła brwi. – Przebywając na ziemi, bogowie dokonują wielkich czynów, ale kiedy już odejdą, milkną tak samo jak martwi śmiertelnicy. Często modłę się do pierwszego Ptolemeusza, który z całą pewnością był bogiem. Mówię do niego, ale on nigdy nie odpowiada. Walczył u boku Aleksandra, razem z nim chadzał do łaźni, jadł z nim przy jednym stole. Chciałabym mu zadać tysiąc pytań. Jak brzmiał śmiech Aleksandra? Czy chrapał? Jak pachniał? Ale na te pytania nie ma odpowiedzi i nigdy nie będzie. Zmarli są tylko pyłem. Przeszłość pozostaje równie niepoznawalna jak przyszłość. Kiedy Cezar i ja obrócimy się w proch, czy przyszłe pokolenia też będą znać tylko nasze imiona i nic więcej?

Lucjusz nie umiał udzielić odpowiedzi. Nigdy nie słyszał kobiety – ani zresztą mężczyzny – wypowiadających się w taki sposób. Nawet wielki Cezar częściej rozmyślał o zaopatrzeniu armii i przebiegu kampanii niż o wieczności.

– To ciekawe, że jestem taka młoda, a Cezar taki stary, prawie dwukrotnie starszy, gdy tymczasem z naszymi królestwami jest akurat odwrotnie. Egipt to dojrzała królowa, majetna, światowa, ozdobiona klejnotami, wyrafinowana od stóp do głów. Rzym zaś to krzepki, obcesowy awanturник zaczynający karierę. Nie musi być między nimi konfliktu. W pewien sposób są naturalnymi sojusznikami, tak jak jesteśmy nimi Cezar i ja.

– Tak byś to nazwała? Sojuszem?

– Cezar nie podbija Partii bez pomocy Egiptu.

– Ale na pewno łączy was coś więcej.

Patrząc, z jaką gracją Kleopatra się porusza, jak wdzięcznie słucha i jak zajmująco mówi, Lucjusz zaczął rozumieć, dlaczego wydała się Cezarowi atrakcyjna. Dostrzegł też w niej cechy, które musiały być odstręczające dla mężczyzny pokroju Cyncerona, uznającego tylko stateczną i milczącą postawę rzymskich matron. Po raz pierwszy przemknęło mu przez myśl, że jego wuj może naprawdę planować rozwód z żoną. Miał po temu uzasadniony powód: Kalpurnia nie dała mu syna. Jeśli król Rzymu poślubi królową Egiptu, czy Partia będzie prezentem dla ich syna? Co się wtedy stanie z innymi spadkobiercami Cezara?

Z odległego końca ogrodu rozległo się dziecinne kwilenie. Pojawiły się dwie trochę zdenerwowane służące, trzymające za rączki małego chłopczyka, starając się go powstrzymać, wyraźnie bowiem się im wyrywał, pragnąc podbiec do matki.

Kleopatra zaśmiała się i klasnęła w dłonie.

– Chodź do mnie, Cezarionie!

Dziecko nieporadnie rzuciło się w jej stronę. Kilka razy Lucjusz wstrzymywał oddech, bo zdawało się, że malec upadnie jak długi, zdołał jednak się utrzymać na nogach. Wpadł z

impetem na matkę i przywarł do jej nóg, a potem spojrzał nieśmiało na Lucjusza. Najwyraźniej nie różnił się niczym od innych dzieci.

– Ile ma lat? – zapytał Lucjusz.

– Trzy.

– Jest duży jak na swój wiek.

– To dobrze. Musi szybko dorosnąć. – Królowa skinęła na służące, które przyszły zabrać Cezariona i zajęły go zabawą w ogrodzie. – Teraz musisz mi wybaczyć, Lucjuzu Pinariuszu. Cezar wybiera się dziś do mnie po wystąpieniu w senacie i muszę się przygotować. Cieszę się, że mnie odwiedziłeś. Musimy się lepiej poznać.

* * *

Lucjusz ruszył z powrotem w stronę miasta. Wybrał drogę prowadzącą przez Gaj Furii. Święte ustronie było zupełnie puste, z oddali tylko dobiegał śpiew ludzi bawiących się nad rzeką. Mijając ołtarz, Lucjusz przypomniał sobie historię Gajusza Grakcha, która dopełniła się w tym właśnie miejscu: ścigany przez wrogów zginął z ręki zaufanego sługi, który potem sam odebrał sobie życie. Opowiadano mu, że jego prapradziadek był przyjacielem Grakcha, ale nie wiedział nic o wydarzeniach, które ich ze sobą związały. Znow zadźwięczały mu w uszach słowa Kleopatry: „Tak mało wiemy o naszych przodkach, nawet jeśli umiemy wymienić ich imiona na kilka pokoleń wstecz”. Jakże prawdziwe stwierdzenie! Co on, Lucjusz Pinariusz, wie o tych, którzy żyli przed nim? Zna ich imiona z dokumentów rodzinnych, a także z oficjalnych rejestrów prowadzonych przez miejskie urzędy. O niektórych słyszał jakieś historyjki, choć i te różniły się szczegółami w zależności od osoby opowiadającego. W domu jego ojca, jak u wszystkich patrycjuszów, w westybulu znajdowały się woskowe podobizny przodków, Lucjusz więc miał niejakie pojęcie o tym, jak wyglądali. Jakimi jednak byli ludźmi, o czym marzyli, jakie targały nimi namiętności, co było dla nich osobistą porażką, a co triumfem? O tym nie miał zielonego pojęcia. Przodkowie byli dla niego jak obcy.

Do minionej nocy nie wiedział nawet o strasznej ofercie, jaką ponieśli jego dziadkowie, aby ratować życie Cezara. O ilu jeszcze rzeczach nie słyszał? Skala tej niewiedzy wydawała mu się przytłaczająca – tak wiele życiorysów, pełnych zdarzeń i uczuć, a wszystkie utracone dla niego całkowicie i nieodwracalnie. Co powiedziała Kleopatra? „Przeszłość pozostaje równie niepoznawalna jak przyszłość”. Nagle zobaczył swoje istnienie jako punkcik oświetlony wąziutką smugą światła – terażniejszością – zawieszony pomiędzy dwiema nieskończonymi ciemnościami: tego, co było przed nim, i tego, co będzie po nim.

Wyszedł z gaju, przeszedł przez most i przeciął Forum Boarium. Niedaleko świątyni Herkulesa stał Ara Maxima, najstarszy ołtarz w całym Rzymie, wzniesiony na cześć herosa, który obronił lud przed Kakusem. Czy bohater i potwór rzeczywiście istnieli? Tak twierdzą

kapłani, historycy się z nimi zgadzają, zabytek to potwierdza. Jeżeli ta historia była prawdziwa, to już wtedy żył wśród przodków Rzymian jakiś Pinariusz, a od tamtych czasów aż do pierwszych stuleci republiki do ich rodu należał święty obowiązek opieki nad Ara Maxima i celebrowania tradycyjnej Uczty Herkulesa, dzielony ongiś z Potycjuszami. Ten ród obecnie już nie istniał. Dlaczego Pinariusze wyrzekli się tego zaszczytu? Co się stało z ich dawnymi partnerami? Tego Lucjusz także nie wiedział.

Od strony świątyni Herkulesa usłyszał człowieka wołającego „Sio! Sio!” W otwartych drzwiach pojawił się niewolnik świątynny wymachujący wiązką z końskiego włosia, który starał się wypłoszyć z sanktuarium muchę. Wszyscy wiedzieli, że muchom nie wolno wlatywać do świątyni, ponieważ podczas zmagania z Kakusem roily się wokół Herkulesa, rozpraszając jego uwagę. Do świątyni nie wolno było się także zbliżać psom, ponieważ owczarek Herkulesa nie ostrzegł go o zbliżaniu się potwora. To wszystko musiało się zdarzyć, w przeciwnym razie po cóż miałyby istnieć i trwać przez niezliczone pokolenia upamiętniające je zwyczaje i rytuały?

Albo ta historia gęsi kapitolńskich, myślał dalej młody Pinariusz. Galowie oblegający wzgórze omal nie zaskoczyli śpiących Rzymian i gdyby nie gęganie zaniepokojonego ptactwa, mogłoby się to skończyć tragicznie, psy bowiem znów zawiodły. Aby upamiętnić to wydarzenie, co roku jedną ze świętych gęsi Junony obnoszono w lektyce w uroczystej procesji, na której końcu niesiono zatknięte na tykę psie truchło. Kiedy Lucjusz zobaczył to przedstawienie po raz pierwszy jako dziecko, był wstrząśnięty i czuł obrzydzenie, dopóki ojciec nie wyjaśnił mu jego znaczenia. Teraz doroczny pochód dodawał mu otuchy i był dlań łącznikiem z historią miasta, a także z własnym dzieciństwem. Myśląc tak o wielu ważnych i drobnych obrzędach odprawianych w ciągu roku i o wszystkich tradycjach skrupulatnie pielęgnowanych przez całe wieki, Lucjusz czuł się pokrzepiony. Religia istniała po to, aby czcić bogów, dziękować im za łaski i łagodzić ich gniew, ale zarazem dzięki niej przeszłość i przyszłość stawały się nieco mniej tajemnicze, a przez to mniej przerażające.

Zamyślony, Lucjusz powędrował w stronę domu. Skręcając w kolejną uliczkę, zdał sobie sprawę, że znalazł się bardzo blisko willi Brutusa. I tak jak wcześniej z Kleopatrami, jakiś impuls kazał mu zajrzeć do niego. Brutus, jak głosiły plotki, także zaliczał się do potencjalnych spadkobierców dyktatora. Wszyscy wiedzieli, że Cezar był kochankiem matki Brutusa, Serwili. Prawda ta wyszła na jaw jeszcze przed narodzinami Lucjusza, i to... w szacownych murach kurii. Serwilia była przyrodną siostrą Katona, wnuka sławnego imiennika, który tak obsesyjnie się domagał zniszczenia Kartaginy. Katon należał do najzacieklejszych wrogów Cezara. Dwadzieścia lat wcześniej, podczas gorącej debaty w senacie na temat domniemanego spisku radykała Katyliny, zauważono, że Juliusz odebrał wiadomość od posłańca. Katon, podejrzewając, że może to być list od spiskowców, nalegał, by jego treść została głośno odczytana. Cezar odmówił. Wzmogło to podejrzania adwersarza, który tak długo się upierał przy swoim, aż w końcu nagabywany uległ i odczytał otrzymany

tekst. Był to list miłosny od Serwili. Katon został upokorzony, a Cezar miał niezłą uciechę. Od tamtej pory jednak jego romans stał się powszechnie znany i zaczęto spekulować, że to on może być ojcem jej syna, Marka Juniusza Brutusa. Szczególne względy, okazywane przez Cezara Brutusowi nawet wtedy, gdy ten sprzymierzył się z Pompejuszem, tylko podsyciły owe pogłoski.

Bez względu na prawdziwy charakter ich stosunków pewne było, że Brutus należy do grupy wybrańców dyktatora, który obsadził nimi wiele stanowisk, kiedy rozpoczynał reorganizację rządów. Obecnie Brutus pełnił funkcję pretora, ale w nadchodzącym roku czekało go namiestnictwo Macedonii. Ponieważ planowana kampania w Partii mogła zatrzymać dyktatora na długi czas poza Rzymem, wszystkie tego rodzaju nominacje opiewały na pięć lat, a nie jak zazwyczaj – rok.

Brutus był też jednym z ważniejszych senatorów i Lucjuszowi przyszło na myśl, że może go już nie zastać w domu. Okazało się jednak, że gospodarz najwyraźniej jeszcze nie udał się na Pole Marsowe, gdzie w teatrze pompejańskim miało się odbyć to nadzwyczajne posiedzenie; zbliżywszy się do willi, Lucjusz spostrzegł, że odźwierny wpuszcza do środka kilku mężczyzn w senatorskich togach. Uznał, że musieli się umówić na wspólne wyjście. Zdecydowanie nie był to dobry moment na niezapowiedzianą wizytę; Lucjusz szedł jednak dalej, nie rezygnując z zamiaru.

Nagle usłyszał za sobą odgłos licznych kroków. Dogoniła go i wyprzedziła duża grupa mężczyzn. Przez chwilę otoczyły go powiewające togi, mignęły znajome twarze. Niektórzy senatorowie z pewnością musieli go rozpoznać, żaden jednak go nie pozdrowił. Wszyscy zdawali się unikać jego wzroku, a wśród przyciszonych szeptów Lucjusz ku swemu zdziwieniu dosłyszał własne imię. Senatorowie dotarli do domu Brutusa, zastukali do drzwi i zniknęli w środku.

Lucjusz stanął na progu i bezmyślnie zagapił się na bramę. Co się działo za tym murem? Coś było nie w porządku. Przyszło mu na myśl, że senatorowie mogli przynieść złe wieści – może coś na temat Cezara? Zebrał się na odwagę i zapukał.

Odsłonięto wizjer. Lucjusz podał swoje nazwisko. Para oczu przyjrzała mu się badawczo, po czym okienko na powrót się zatrzasnęło. Lucjusz czekał tak długo, że już uznał, iż o nim zapomniano, i miał zamiar odejść, kiedy drzwi się otworzyły i ponuro wyglądający niewolnik wpuścił go do westybulu.

– Zaczekaj tu – powiedział i zniknął w głębi domu.

Lucjusz niespiesznie chodził tam i z powrotem, pobieżnie przyglądając się popiersiom przodków w niszach. Jego uwagę przykuło jedno z nich, wyraźnie otoczone większą ciężką niż reszta, umieszczone w specjalnej wnęcie ze świecami wotywnymi w lichtarzach po obu stronach. Maskę robiła wrażenie bardzo starej. Twarz, którą przedstawiała, była znana każdemu Rzymianinowi z posągów stojących w całym mieście.

– To oczywiście tylko kopia – usłyszał czyjś głos. – Maski woskowe nie są wieczne, a poza tym nie tylko nasza gałąź rodu rości sobie do niego prawa, więc muszą istnieć duplikaty. Ale ta jest naprawdę stara i, jak możesz sobie wyobrazić, to dla nas wyjątkowa świętość. Te świece płoną przy niej zawsze, dzień i noc.

Przed młodzieńcem stał Marek Juniusz Brutus. Ciekaw, czy zdoła odkryć podobieństwo, Lucjusz przeniósł wzrok z twarzy gospodarza na wizerunek jego słynnego przodka i imiennika – bratanka ostatniego króla Tarkwiniusza, człowieka, który pomścił gwałt na Lukrecji, doprowadził do obalenia monarchii i został pierwszym konsulem, a potem nie zawahał się skazać własnych synów na śmierć za zdradę republiki.

– Z tego, co widzę, w ogóle nie jesteście podobni – zauważył.

– Nie? Może nie fizycznie, ale chyba dzielimy ten sam los. W każdym razie zawsze mnie inspirował... szczególnie dziś.

Czyżby Brutus miał gorączkę? Lucjusz odnosił wrażenie, że jego oczy nienaturalnie lśnią.

– Co cię do mnie sprowadza? – spytał Brutus.

– Właściwie to nic konkretnego. Przypadkiem tędy przechodziłem i widziałem, że masz gości. Wydawało mi się, że coś... że może stało się coś złego...

Umilkł, gdyż za Brutusem pojawił się inny mężczyzna. Lucjusz poznał Gajusza Kasjusza Longinusa, szwagra gospodarza. Przypomniał sobie, że był on w grupie senatorów, którzy minęli go na ulicy. Skinął mu na powitanie.

– Życzę ci miłego dnia, Kasjuszu.

Longinus nie odpowiedział, szeptał tylko coś do ucha Brutusowi. Był blady i wyraźnie spięty. Brutus coś mu odpowiedział; obrzucili Lucjusza ukradkowym spojrzeniem, po czym znów wymienili jakieś uwagi. Wyglądało to tak, jakby się o coś spierali i nie mogli podjąć decyzji. Lucjusz poczuł się nieswojo.

W pewnej chwili Marek chwycił Kasjusza za ramię i odciągnął go w drugi koniec pomieszczenia, ale jego szept był tak donośny, że Pinariusz słyszał go wyraźnie.

– Nie! Uzgodniliśmy to już. Cezara i nikogo innego! Inaczej okazalibyśmy się nie lepsi niż...

Kasjusz uciszył go syknięciem; zmierzył Lucjusza lodowatym wzrokiem i pociągnął Brutusa do przyległej izby. Młodzieniec nie wiedział, czy nadal się spierają. Gwałtowne bicie serca wypełniło mu uszy tak głośnym szumem, że nie słyszał niczego innego. Obejrzał się na drzwi frontowe i stwierdził, że wyjście blokuje ponury odźwierny. Z atrium wyszło kilku innych niewolników, a za nimi Brutus.

– Nie skrzywdźcie go! – zawołał. – Macie go tylko obezwładnić. Zatrzymamy go tutaj dopóki...

Nie było czasu do namysłu. Przerażony Lucjusz instynktownie rzucił się w stronę drzwi. Czyjeś ręce chwyciły go za ramiona; usiłował je strząsnąć z siebie, lecz daremnie. Zebrał wszystkie siły i wyrwał się prześladowcom, po czym przeszedł do kontrataku. Zamachnął się

pięścią i trafił kłykciami w twardą szczękę jednego z niewolników, aż ból przeszył mu ramię. Niewolnik nie pozostał mu dłużny i uderzył go na odlew w bark. Lucjusz powtórzył cios, tym razem trafiając przeciwnika prosto w twarz, aż tamten się zachwiał i krew popłynęła mu z nosa.

Teraz na drodze stał mu tylko odźwierny. Pinariusz skoczył ku niemu i pochyloną głową uderzył go w żołądek. Niewolnik krzyknął z bólu i zgiął się wpół, chwytając się za brzuch. Lucjusz z łatwością go odepchnął na bok i zdołał się prześliznąć między półotwartymi skrzydłami drzwi na ulicę. Zamierzał pobiec prosto do Cezara, ale drogę zagradzała mu inna grupa mężczyzn; odwrócił się więc i popędził w przeciwnym kierunku, oddalając się od Forum, Pola Marsowego i teatru Pompejusza.

Lucjusz był młody i szybki, dobrze znał ulice Palatynu. Zyskał sporą przewagę nad pościgiem. Skręcił za róg, potem kolejny i już ich za sobą nie widział. Był jednak zmęczony i potrzebował schronienia. Zauważył w pobliżu dom Publiusza Serwiliusza Kaski. Z pewnością mógł mu zaufać; ten pulchny, rumiany niezgrabiasz miał wobec Cezara poważny dług, a poza tym był niegroźnym bufonem, którego trudno podejrzewać o złą wolę.

Lucjusz przystanął na chwilę, żeby zebrać siły, po czym ruszył biegiem do skrzyżowania i skręcił w przecznicę. Miał przed sobą dom Kaski – i jego samego w otwartych drzwiach, jakby zatrzymał się dla sprawdzenia, czy niczego nie zapomniał. Szukał czegoś w fałdach obszernej togi i sprawiał wrażenie oszołomionego.

Podniecony biegiem i udaną ucieczką Lucjusz odetchnął głęboko. Kaska, zaskoczony jego nagłym pojawieniem się, drgnął i potknął się o próg.

– Kaska! Czego tak szukasz? – rzucił zdyszany Lucjusz. – Jeżeli możesz ukryć mnie choć w połowie tak skutecznie...

Zanim dokończył, Kaska znalazł to, czego szukał. W zaciśniętej pięści trzymał krótki, lecz groźnie wyglądający sztylet. Wyraz jego oczu przyprawił Lucjusza o gęsią skórę.

Usłyszał za sobą krzyki. A więc jednak nie udało mu się zmylić pogoni! Lucjusz rzucił się do ucieczki, ale Kaska był szybszy. I silniejszy, niż na to wyglądał; wezwał też na pomoc niewolników. Lucjusz się nie poddawał, lecz gdy się wreszcie uwolnił, nagły ból przeszył mu ramię – to ostrze sztyletu zaznaczyło na nim krwawą linię. Poczul przyływ mdłości, przemógł się jednak i pobiegł przed siebie, bojąc się nawet obejrzeć.

Ścigali go całą drogę w dół stoku, przez dolinę obok Circus Maximus, i w górę, krętymi uliczkami Awentynu. Dobiegłszy do świątyni Junony, Lucjusz nabrał w końcu pewności, że ich zgubił. Ukrył się w przedsionku. Serce mu waliło, a płuca zdawały się płonąć. Strużka krwi na ramieniu już krzepła, płytka rana piekła jednak jak przypiekana żelazem.

Gdzie jest teraz Cezar? Z pewnością już w drodze do senatu. Oczywiście ma u boku Antoniusza i innych, którzy go obronią. Czy jednak można ufać konsulowi? Juliusz może zresztą znów się nie zgodzić na ochronę; Lucjusz zadrżał, wspomniawszy ryzyko, jakie obaj podjęli ubiegłej nocy, samotnie wędrując przez uśpiony Palatyn. Wiedział, że musi dotrzeć do

wuja i go ostrzec... tylko jak? Był dobrym biegaczem, jednak nawet gdyby nagle wyrosły mu skrzydła, Cezar i tak przybędzie do teatru Pompejusza przed nim. Jeżeli Brutus i reszta tam na niego czekają, to...

Musiał spróbować. Wziął głęboki wdech, wyszedł na ulicę i popędził naprzód. Gnał w dół Awentynu, minął fontannę akweduktu Appiusza, potem Ara Maxima. Nagle dopadło go zmęczenie. Nogi zmieniły się w ołów, a na piersi czuł ucisk, jakby zakuto go w ciasną żelazną obręcz. Na stopach miał już pęcherze; eleganckie sandały, które włożył tego ranka, nie nadawały się do tego.

Biegł jednak dalej, sam się dziwiąc, skąd jeszcze bierze siły. W końcu wyłoniła się przed nim masywna fasada teatru. Aby uniknąć typowych oskarżeń o hellenofilstwo, Pompejusz oficjalnie zadeklarował, że budowla będzie miała przeznaczenie sakralne; dzięki sprytniej architektonicznej sztuczce rzędy amfiteatralnych siedzeń służyły także jako schody prowadzące do sanktuarium Wenus na szczycie. Od teatru odchodziło kilka ozdobionych setkami rzeźb portyków. W ich arkadach i między nimi kryły się kaplice, ogrody, sklepy i sale publiczne, w tym także obszerna aula, w której miało się odbyć dzisiejsze posiedzenie senatu.

Ku zaskoczeniu Lucjusza plac i szerokie stopnie wiodące do głównego portyku były puste. Miał nadzieję zastać tam wielu senatorów, zazwyczaj gromadzili się tam bowiem grupkami przed wejściem. Czyżby posiedzenie już się zaczęło?

Jednakże nie wszyscy jeszcze weszli do auli: Lucjusz dostrzegł dwie postacie pogrążone w poważnej rozmowie. Pospieszył przez plac i dotarł do podnóża schodów. Z bliska dojrzał, że to Antoniusz i znany mu z widzenia senator Treboniusz.

Lucjusz wielkimi susami pokonał schody. Mężczyźni dostrzegli, że się zbliża, i przerwali rozmowę. Młodzieniec stanął przed nimi na chwiejnych nogach; kręciło mu się w głowie i z trudem łapał oddech. Konsul chwycił go za ramię, żeby nie upadł.

– Na Herkulesa, wyglądasz fatalnie! – Antoniusz się uśmiechnął. Wydawał się bardziej rozbawiony niż zaniepokojony pojawieniem się Lucjusza. – O co chodzi, młody człowieku?

Lucjusz przemówił z trudem, nie mogąc złapać tchu.

– Cezar... – zdołał wykrztusić.

– Jest w środku, wraz z całą resztą – odparł Antoniusz.

– Dlaczego... dlaczego nie jesteś przy nim?

– Treboniusz miał do mnie ważną sprawę... – Antoniusz uniósł brwi.

– Którą musimy przedyskutować w cztery oczy. – Senator rzucił Lucjuszowi groźne spojrzenie.

– Ale już skończyliśmy, prawda, Treboniuszu? Naprawdę powinniśmy wejść. Jeszcze nie zamknęli drzwi, zgadza się? – Antoniusz zerknął przez ramię w stronę wejścia do auli. Przed stojącymi otworem potężnymi drzwiami z brązu kapłani uprzęta z kamiennego ołtarza krew i zwierzęce wnętrzności pozostałe po odczytywaniu auspicyjów. – Nie uwierzyłbyś, jakie tu

były jatki! – zwrócił się do Lucjusza ze śmiechem. – Jedno biedne stworzenie po drugim zarzynane i ćwiartowane... Pierwszy kurczak nie miał serca, co zaniepokoiło kapłanów. Cezar nakazał następną ofiarę, potem kolejną, ale kapłani za każdym razem powtarzali, że wnętrzności są splątane i wróżba jest niepomyślna. W końcu powiedział im: do Hadesu z tymi bzdurami, znaki przed bitwą pod Farsalos były jeszcze gorsze. Niech się senat zabiera do pracy!

Antoniusz uśmiechnął się szeroko. Skąd u niego tak jowialny nastrój? Lucjusz odsunął się trochę. Nie wiedział, czy może mu zaufać. Poczł się słabo. Zawirowało mu przed oczami. Chwila wydawała się nierealna jak scena ze snu. Zapatrzył się na zmywany przez kapłana ołtarz. Widok przesiąkniętej krwią szmaty wzbudził w nim dreszcz paniki. Przepchnął się między mężczyznami i pobiegł do wejścia.

Sala miała kształt owalnej studni z siedzeniami po obu stronach obniżającymi się schodkowo do podłogi. Sesja jeszcze się nie rozpoczęła. Słysząc było cichy szmer rozmów. Większość senatorów zajęła już miejsca, ale sporo kręciło się jeszcze na dole, przed krzesłem – Lucjusz nie ośmielił się nawet w myśli nazwać go tronem – na którym siedział Cezar. Jak spokojnie wyglądał, jak pewnie! W jednej ręce trzymał rylce do pisania, obracając go zwinnie w palcach. Była to jedyna oznaka nerwowego podniecenia, jakie musiał odczuwać w tak doniosłym dniu.

Jeden z senatorów, Tyliusz Cymber, podszedł doń bliżej z lekkim ukłonem, jakby chciał o coś prosić. Cezar najwyraźniej uznał prośbę za niestosowną. Pokręcił głową i odmownie machnął rylcem. Zamiast się wycofać, Cymber podszedł bliżej i chwycił dyktatora za togę na ramieniu.

– Nie! – krzyknął Lucjusz.

Jego głos zabrzmiał wysoko i przenikliwie, po chłopięcemu. Zaskoczeni senatorowie zwrócili się ku niemu. Juliusz podniósł wzrok, a ujrawszy siostrzeńca, zmarszczył brwi, ale zaraz ponownie skupił uwagę na Cymberze.

– Zabierz rękę, Tyliuszu! – wycedził przez zaciśnięte zęby.

Cymber jednak szarpnął tak gwałtownie, że Cezar niemal spadł z krzesła. Toga się przekrzywiła, odsłaniając nagie ramię. Nie wypuszczając materiału z dłoni, senator obejrzał się do tyłu z twarzą wykrzywioną grymasem szaleństwa.

– Na co czekacie? – krzyknął. – Teraz! Zróbcie to teraz!

Spomiędzy zebranych wyszedł Publiusz Kaska. Na czole perlił mu się pot, minę zaś miał równie dziką jak Cymber. Uniósł nad głowę rękę ze sztyletem.

Na ten widok rozległy się okrzyki grozy. Jeden Cezar zdawał się nie rozumieć, co go czeka; rozeźlony i zdezorientowany nie przestawał gromić wzrokiem Cymbera. Odwrócił się ku Kasce dopiero w chwili, gdy cios już opadał. Ostrze noża przeszło odsłoniętą skórę pod szyją. Na twarzy dyktatora odmalował się szok. W nagłej ciszy Lucjusz wyraźnie usłyszał mdlący dźwięk metalu tnącego ciało.

Cezar ryknął z bólu i gniewu. Schwycił Kaskę za nadgarstek i wbił mu rylec głęboko w przedramię. Senator kwiknął z bólu, wyrwał zakrwawiony nóż z rany i odskoczył, omal się nie przewracając.

Jego miejsce zajęli inni ze sztyletami.

Cezar wyrwał się wreszcie z uchwytu Tyliusza. Na jego twarzy furia mieszała się z bezgranicznym zdumieniem. Tęgi miał w takim nieładzie, że nogi mu się w nią zaplątały. Z rozciętej szyi lała się krew.

Jeszcze wtedy Lucjusz pomyślał, że katastrofie da się zapobiec. Juliusz był ranny, ale trzymał się na nogach. Miał namiastkę broni, rylec. Gdyby zdołał się obronić przed zamachowcami jeszcze chwilę, lojalni senatorowie pospieszyliby mu z pomocą. Jeszcze wszystko może się skończyć dobrze. Jakże żałował, że nie ma przy sobie broni!

I gdzie, u licha, jest ten Antoniusz?

Lucjusz spojrział w stronę drzwi wejściowych. Antoniusz właśnie się w nich pojawił, zorientowawszy się, że dzieje się coś bardzo niedobrego, i stał jak wryty z wyrazem zdumienia na twarzy.

– Antoniuszu! Na co czekasz? Szybko! – zawołał Lucjusz.

Kiedy jednak ponownie spojrział na wuja, stracił wszelką nadzieję. Zabójcy otoczyli Cezara ciasnym kręgiem. Upuścił rylec i rozpaczliwie usiłował zasłonić się rękoma przed ciosami. W zamieszaniu wydawało się, że kilku niechcący poraniło się nawzajem.

Krew była wszędzie. Przesiąkła nią toga Cezara, szaty napastników zyskały nowy, czerwony deseń. Posadzka była już tak zboczona, że Kaska pośliznęła się i upadła.

Między unoszącymi się i opadającymi ramionami, wśród błysków sztyletów, Lucjuszowi mignęła twarz wuja, w agonii zmieniona nie do poznania. Ranny wydał zwierzęcy wrzask, od którego młodzieńcowi włosy stanęły dęba i krew zmroziła się w żyłach.

Cezar zdołał się wyrwać z kręgu zamachowców. Zatoczył się do tyłu, potknął o togię i ciężkim, chwiejnym krokiem dowlóknął się ku ścianie, gdzie na honorowym miejscu stał posąg fundatora teatru. Upadł bokiem na cokół i osunął się po nim na podłogę, rozsmarowując krew na inskrypcji. Znieruchomiał w półleżącej pozycji, z szeroko rozrzuconymi nogami. Toga w niczym nie przypominała już uroczystej szaty Rzymianina, a podwinięta tunika nieskromnie odsłaniała krocze. Dyktator był w agonii, do ostatniej chwili starał się jednak zachować godność. Jedną ręką usiłował zasłonić twarz rąbkiem togi, a drugą zakryć swą nagość.

Niektórzy z zamachowców wyglądali na przerażonych tym, co zrobili. Inni otwarcie triumfowali, wznosząc radosne okrzyki. Wśród nich był Kasjusz, cały zboczony krwią. Podszedł do trzymającego się na stronie Brutusa, na którym nie było widać nawet kropli czerwieni. Także sztylet w jego dłoni lśnił nieskałanym połyskiem.

– Ty też, Brutusie! – powiedział.

Marek Juniusz Brutus stał jak statua, ze zmartwiałą twarzą, niezdolny się poruszyć.

– Musisz to zrobić – nalegał Kasjusz. – Żaden z nas nie może się wyłamać. Dwudziestu trzech odważnych ludzi, dwadzieścia trzy ciosy dla wolności. Uczynń to!

Brutus powoli zbliżył się do targanej konwulsjami zakrwawionej postaci u stóp posągu Pompejusza. Wydawał się przerażony tym, co widzi. Z trudem przełknął ślinę, mocniej uchwycił sztylet i ukląkł obok.

Z broczących krwią ust Gajusza Juliusza Cezara wydobyły się ostatnie, urywane słowa:

– I ty, Brutusie... mój synu... przeciwko mnie?

Dla Brutusa były bodźcem do działania. Zacisnął zęby, wziął zamach i zatopił sztylet w odsłoniętym miejscu, gdzie udo łączy się z pachwiną. Cezar zwinął się i zadrgał w konwulsjach. Na ustach miał krwawą pianę. Zesztywniał, wydał ostatni jęk i już się nie poruszył.

Przyglądający się temu z dala Lucjusz widział całą scenę wyraźnie. Obezwładniony przerażeniem, nie zwracał uwagi na rozbiegających się w panice senatorów. Poczł dłoń na ramieniu i zadygotał ze strachu. Był to jednak tylko Antoniusz. Twarz miał poszarzałą i głos mu drżał.

– Pójdź ze mną, Lucjuszu. Nie jesteś tu bezpieczny.

Młodzieniec pokręcił głową. Wydawało mu się, że wrasta w posadzkę i już nigdy się stąd nie ruszy. Przybył, by ostrzec Cezara. Zawiódł na całej linii.

Brutus zbliżył się do nich wolnym, spokojnym krokiem. Szaleńczy błysk zdażył już zniknąć z jego oczu. Szedł wyprostowany, z uniesioną głową. Wyglądał jak ktoś, kto stanąwszy przed dylematem, musi dokonać czegoś najtrudniejszego... i dobrze się sprawił.

– Nikt cię nie skrzywdzi, Lucjuszu Pinariuszu. Nie masz się czego obawiać. Ani ty, Antoniuszu, dopóki nie użyjesz swego miecza przeciw nam.

Sala niemal opustoszała. Jedyjni senatorowie, którzy jeszcze zostali na miejscu, byli po prostu zbyt starzy, by móc szybko uciekać. Brutus z niesmakiem pokręcił głową.

– Nie takiej reakcji oczekiwaliśmy. Miałem po wszystkim wygłosić mowę, wyjaśnić nasz czyn innym. Ale oni uciekli jak stadko wystraszonych gęsi!

– Mowę? – spytał z niedowierzaniem Antoniusz.

Brutus sięgnął za fałdy togi i wyjął kawałek pergaminu. Jego palce zostawiły na dokumencie krwawe smugi. Zmarszczył brwi z niezadowoleniem.

– Pracowałem nad nią całą noc. Cóż, jeśli nie dziś, wygłoszę ją jutro, kiedy senat podejmie normalną pracę.

– Normalną pracę? – powtórzył znowu konsul.

– Tak jest. Normalną pracę, jak przystało na rzymskich nobilów wyzwolonych spod władzy tyrana. Republika została ocalona. Ludzie będą się radować. Pięćset lat temu mój przodek Brutus oswoił Rzym spod jarzma okrutnego króla. Dziś poszliśmy za jego przykładem...

– Przed kim innym wygłaszaj tę mowę! – krzyknął Lucjusz.

Odepchnął Brutusa i ze szlochem pobiegł do wyjścia.

Po chwili dogonił go Antoniusz.

– Chodź ze mną, Lucjuszu. Bez względu na to, co mówi Brutus, nie jesteśmy bezpieczni. Mój dom ma ciężkie drzwi, wysokie mury...

Znalazłszy się na schodach, ruszyli w kierunku placu. W zasięgu wzroku nie było żywego ducha.

– Ale... co z jego ciałem? – spytał Lucjusz. – Przecież oni mogą go wrzucić do Tybru, jak to było z Grakchami!

– Do tego na pewno nie dopuszczę – odparł ponuro Antoniusz. – Cezar będzie miał godny pogrzeb. Klnę się na mój honor Rzymianina!

* * *

W chwilach zdenerwowania głos Gajusza Oktawiusza stawał się dość piskliwy. Przydałoby mu się ćwiczenie w sztuce oratorskiej, żeby uporać się z tym defektem, pomyślał Lucjusz. Od dnia zabójstwa Cezara i powrotu Gajusza Oktawiusza do Rzymu zdążyła znużyć go ta nieprzyjemna nuta w głosie kuzyna.

– Od dziś, Antoniuszu, będziesz mnie nazywał Cezarem – oznajmił jeszcze bardziej piskliwie i nerwowo niż zwykle Oktawiusz. – Nie proszę o to, ale żądam!

– Żądasz? Ty żądasz czegoś ode mnie? – Antoniusz odchylił się w krzesło i założył ręce na piersi, pogardliwie marszcząc nos. – Przede wszystkim, młody człowieku, to mój dom i ja tutaj wydaję rozkazy. Wypełniałem polecenia Cezara, ponieważ był moim dowódcą, ale on już nie żyje. Był ostatnim człowiekiem, który miał prawo ode mnie czegokolwiek żądać. Z pewnością nie spełnię poleceń bachora jego siostrzenicy... i nie będę nazywał cię jego imieniem! A skoro już mowa o tytułach, to może powinieneś zwracać się do mnie per konsulu, skoro jestem jedynym w tym pomieszczeniu, który faktycznie sprawuje urząd.

– Tylko dlatego, że Cezar zechciał cię mianować. Tak jak uznał za stosowne uczynić mnie swoim synem i spadkobiercą! – ostro wszedł mu w słowo Oktawiusz.

Antoniusz się nasrożył.

– To mój dom, Oktawiuszu. Jesteś w nim gościem...

Lucjusz zerwał się z krzesła.

– Marku! Kuzynie Gajuszu! Czy to spotkanie musi upłynąć na kłótniach? Całe miasto to dziś jedno gniazdo żmij. Jeśli będę chciał posłuchać zjadliwych sprzeczek i nienawistnych słów, to wystarczy mi wyjść za próg. Czy między sobą nie możemy rozmawiać z zachowaniem form?

– Niezły pomysł, kuzynie – stwierdził Oktawiusz. – Dobre formy zaczynają się od zwracania się do mężczyzny jego prawowitym nazwiskiem. Zgodnie z testamentem Cezara

stałem się jego adoptowanym synem i przyjąłem jego nazwisko. Nazywam się odtąd Gajusz Juliusz Cezar Oktawian.

– Ja to rozumiem – odrzekł Lucjusz. – Ale jeśli Antoniuszowi zdarzy się nazwać cię poprzednim imieniem, czemu nie miałbyś mu na to pozwolić? Oktawiusz to godne patrycjuszowskie miano i używanie go oznacza szacunek wobec twoich przodków i ciebie samego. Antoniusz jest naszym przyjacielem, kuzynie. Potrzebujemy go. Oslania nas przed ludźmi, którzy zamordowali naszego wuja. Czy nie jesteśmy sprzymierzeńcami, których łączy wspólny cel? Czy nie jesteśmy sobie dość bliscy, by zwracać się do siebie po imieniu, nazwisku czy jakkolwiek zapagniemy? Na razie daj spokój tej kwestii, Gajuszu. Problem nie w tym, jak się będziemy do siebie zwracać, czy oceniać słusność ostatniej woli Cezara, ale jak zachować głowy!

Oktawiusz i Antoniusz zamilkli na chwilę. Lucjusza wciąż zaskakiwało, że potrafi przyciągnąć ich uwagę i argumentować z taką pewnością siebie. Niemal w jednej chwili, gdy minął pierwszy szok związany z zabójstwem Cezara, poczuł w sobie zmianę. Przestał być nieopierzonym młodzikiem, który waha się brać udział w rozmowach starszych, i przedzierzgnął się w dojrzałego spadkobiercę wujowej idei, gotowego do desperackiej walki o przyszłość.

Może nie było w tym nic dziwnego. W gruncie rzeczy Oktawiusz był zaledwie kilka lat starszy od niego i niewiele więcej miał doświadczenia. Posmakował wprawdzie bitwy, ale nie na tyle, by móc uchodzić za utalentowanego stratega, a tym bardziej bohatera. Jego hardość i duma brały się raczej z próżności niż z osiągnięć. Pod pewnymi względami, przynajmniej w opinii Lucjusza, kuzyn miał wiele braków – już choćby jego umiejętności krasomówcze pozostawiały wiele do życzenia, cokolwiek myślał o nich Cezar.

Antoniusz był znacznie bardziej błyskotliwym i przekonującym oratorem, czego dowiodła wygłoszona przezeń mowa pogrzebowa, zarazem dramatyczna i wzniosła. Antoniusz nie powiedział ani słowa przeciw zabójcom, ale głosząc chwałę zamordowanego wy dobył z tłumnie przybyłych słuchaczy i łzy żalu, i okrzyki gniewu. Nie mówiąc tego wprost, przekonał wszystkich, że zabójstwo wybitnego przywódcy nie było dla Rzymu wyzwoleniem od tyraństwa, ale wielkim dyshonorem. Antoniusz ujawnił także jeden z punktów testamentu Cezara: ze swego olbrzymiego osobistego majątku dyktator zadysponował hojną wypłatę siedemdziesięciu pięciu attyckich drachm dla każdego obywatela mieszkającego w Rzymie. Czyż trzeba więcej, by nastawić tłum wrogo wobec jego zabójców?

Antoniusz też jednak miał słabe strony i Lucjusz aż za dobrze dostrzegał je w ostatnich dniach. Przede wszystkim konsul za dużo pił. W szczęśliwszych czasach jego rozwiązłe apetyty robiły na Lucjuszu wielkie wrażenie i wzbudzały podziw, teraz jednak wydawały mu się tylko przejawem nieodpowiedzialności. Niebezpieczna sytuacja, w jakiej się znaleźli, wymagała wyjątkowo trzeźwego myślenia. Antoniusz zdradzał też małostkowość. Odmowę nazywania Oktawiusza Cezarem można było jeszcze zrozumieć, ponieważ wiązała się z

bolesną prawdą: to on został bowiem głównym beneficjentem w testamencie, podczas gdy Antoniusz, ku zaskoczeniu wszystkich, został całkowicie pominięty. Tak czy inaczej jego uparte i celowe drażnienie młodzieńca niczemu dobremu nie służyło.

Testament mógł rzeczywiście być prawdziwą kością niezgody. Cezar pośmiertnie adoptował Oktawiusza i pozostawił mu połowę swych posiadłości, drugą dzieląc równo między swego siostrzeńca Kwintusa Pediusza, który wciąż przebywał poza miastem, i ciotecznego wnuka Lucjusza Pinariusza. Tylko tyle więc znaczyły słowa wuja o szczególnym długu do spłacenia za ofiarę poniesioną przez jego dziadka, pomyślał sobie Lucjusz. To Oktawiusz zasłużył na adopcję, nie on! Miał zatem własne powody, by żywić niechęć do kuzyna, był jednak zdecydowany odłożyć je na bok.

Testament ani słowem nie wspominał o Cezarionie, synu Kleopatry. Natychmiast po zamachu egipska królowa opuściła willę Cezara i pożegłowała z powrotem do Aleksandrii.

Polityczne zadanie utrzymania w mocy edyktów Cezara i zachowania narzuconego przezeń porządku rzeczy przypadło długoletnim jego podwładnym, Antoniuszowi i Lepidusowi, brakowało im jednak oparcia we władzy dyktatora. Dlatego też współpraca trzech spadkobierców Juliusza miała dla nich kluczowe znaczenie. Każdy z trzech kuzynów odziedziczył ogromny majątek, a jako najbliżsi krewni wodza mogli mieć wielki wpływ na jego pogrążonych w żalu stronników. Sami z kolei potrzebowali ochrony, rady i doświadczenia, którymi mogli służyć Lepidus i Antoniusz. Ten wymuszony przez okoliczności sojusz od początku był niełatwy, obfitował we wzajemne podejrzenia i pretensje, co szczególnie wyraźnie widać było w przypadku Oktawiusza i Antoniusza.

Po zabójstwie Cezara Rzym kipiał od intryg. Do spisku przeciwko dyktatorowi przystąpiła grupa co najmniej sześćdziesięciu osób; część z nich brała bezpośredni udział w zamachu, inni tylko udzielili im poparcia. Czy należało tych ludzi okrzyknąć przestępcami i postawić przed sądem, czy raczej nagrodzić jako zbawców republiki? Trzy dni po idach marcowych senat przegłosował ostrożnie sformułowaną uchwałę amnestyjną dla zamachowców, w której ani nie uznawano ich winy, ani nie chwalono za patriotyzm.

Mimo amnestii najbardziej krewcy zwolennicy obu stron uciekali się do przemocy. Niewinny trybun o nazwisku Cynna, omyłkowo wzięty za jednego ze spiskowców, został dosłownie rozerwany na strzępy przez rozjuszony tłum. Gdy Kasjuszowi i Brutusowi zagrożono spaleniem domów, obaj spiesznie opuścili Rzym, aby z wyprzedzeniem objąć wyznaczone im przez Cezara stanowiska zarządców prowincji.

To zrodziło kolejne pytanie: czy rozporządzenia Cezara nadal mają obowiązywać? Brutus i Kasjusz argumentowali, że był on tyranem i uzurpatorem. Jeżeli tak, pytano, to jakim cudem którykolwiek z wydanych przezeń dekretów, w tym nominacje ich obydwu, może nadal być prawomocny?

Każde działanie władz spotykało się teraz z automatycznym sprzeciwem i krytyką jednej z frakcji. Spierano się zajadle, komu i z czyjego nadania ma przyspaść rola prawodawcy. Tych,

którzy mieli nadzieję, że śmierć Cezara pociągnie za sobą szybkie i bezproblemowe przywrócenie dominacji senatu, spotkało gorzkie rozczarowanie. Rzym balansował na ostrzu politycznego noża i lada chwila mógł się od nowa pogrążyć w chaosie. Po tylu latach niszczącej wojny domowej perspektywa wybuchu następnej była nie do zniesienia, ale prawdopodobieństwo takiego rozwoju wydarzeń rosło z każdym dniem. Przyszłość pozostawała niepewna i dlatego właśnie Lucjusz i jego kuzyn znaleźli się w domu Antoniusza; zamiast jednak dyskutować nad drogami wyjścia z kryzysu, rozmówcy nie mogli przestać się obwiniać o rzeczy minione.

Pełne napięcia milczenie przerwał Oktawiusz.

– Z konspiratorami należało rozprawić się od razu, zaraz po morderstwie. Ty, Antoniuszu, jako konsul byłeś władny ich aresztować. Mogłeś się odwołać do *senatus consultum*...

– Jak miałbym to przeforsować, skoro większość senatorów dała drapaka!

– Niemniej gdybyś podjął natychmiastową akcję przeciw mordercom mojego ojca, zamiast umykać do własnego domu...

– Jeśli sądzisz, że to takie proste, młody człowieku, jesteś bardziej naiwny niż sądziłem. I z pewnością nie jesteś synem Cezara!

– Dosyć tego! – krzyknął Lucjusz. – Skończcie już tę jałową sprzeczkę i wracajmy do spraw bieżących. Trzeba się zająć Kasjuszem i Brutusem. Nie wiadomo, czy da się przekonać senatorów do uznania zabójstwa Cezara za pospolitą zbrodnię. Większość będzie brać przykład z Cyncerona i tak długo się wahać, dopóki nie będzie wiadomo, jak się sprawy potoczą. Na razie wiemy jedno. Jest amnestia i mordercy są nietykalni, ale uważam, że przedwczesne objęcie prowincji przez Kasjusza i Brutusa było absolutnie nielegalne. Można by to posunięcie zinterpretować jako akt wrogi wobec państwa... a tym samym usprawiedliwić podjęcie przeciwko nim działań wojskowych, do czego uprawnienia masz ty, Antoniuszu.

– Jeżeli zdecydujemy się na jakąkolwiek operację militarną, Cezar musi wziąć w niej udział – oświadczył Oktawiusz, jakby wraz z dziedzictwem po Juliuszu przejął jego manierę wysławiania się w trzeciej osobie; Antoniusz natychmiast to zauważył, co było widać po zaciśniętych zębach. – Dzięki jego majątkowi można będzie zebrać i wyposażać legion i to jego imieniu przysięgną wierność weterani. Jeżeli jednak mam dowodzić ekspedycją, muszę mieć pełne uprawnienia konsularne.

– To niemożliwe! – zaprotestował Antoniusz. – Jesteś o wiele za młody.

– Niby dlaczego? Mój wuj nieraz powoływał na urzędy ludzi, którzy nie osiągnęli jeszcze wymaganego wieku, mamy więc precedens prawny...

– Skoro mowa o prawie, kuzynie – przerwał mu Lucjusz – to przede wszystkim wszyscy muszą widzieć, że postępujemy zgodnie z nim. Każda akcja, zwłaszcza militarna, musi być postrzegana jako sprawiedliwa i konieczna. Nie możemy nikomu dać podstaw do oskarżenia,

że rozpoczęliśmy... – Urwał, zawahawszy się przed wypowiedzeniem tych słów. – Że rozpoczęliśmy wojnę domową dla własnych korzyści czy osobistej zemsty. Musimy zyskać poparcie senatu, legionów i całego ludu. Ale jak? Przy takich właśnie wyzwaniach niepokonany był wuj Gajusz...

Lucjusz westchnął głęboko, spoglądając to na jednego, to na drugiego. Nie miał złudzeń, że sam potrafiłby zastąpić Cezara, ale coraz wyraźniej widział, że to zadanie przerasta i Antoniusza, i Oktawiusza, choć jeden był prawą ręką dyktatora, a drugi jego wybranym dziedzicem. Jak mogą się porywać na tak tytaniczną pracę, skoro ledwie się hamują, by nie skoczyć sobie do oczu?

Jakby na dowód, że się nie myli, obaj zaczęli mówić jednocześnie. Żaden nie ustąpił, starając się przekrzyczeć drugiego. Lucjusz zakrył uszy rękami.

– Marku! Kuzynie Gajuszu! Zamilknijcie i posłuchajcie, co mam do powiedzenia. Obaj jesteście ambitni. Pragniecie rządzić państwem. I bardzo dobrze! Bogowie patrzą łaskawym okiem na ambicję, szczególnie u Rzymian. Mam ją i ja... ale moją jedyną ambicją jest pomścić śmierć Cezara. Wszyscy zamachowcy muszą zostać uznani za wyjętych spod prawa. Należy ich ścigać, schwytać i zabić. Główny cel to Brutus i Kasjusz. Chętnie się podejmę tego zadania. Dajcie mi miecz, a z radością będę służył każdemu z was... tobie, Gajuszu, lub tobie, Marku, i nie dbam o to któremu! Jednak nie wierzę, by któryś z was zdołał doprowadzić to do końca bez pomocy drugiego. Błagam, zaprzestańcie sporów i nagnijcie swą dumę dla wspólnej sprawy!

Spojrzał w oczy Antoniuszowi i nie odrywał od niego spojrzenia, aż tamten wzruszył w końcu ramionami i skinął głową. Następnie wbił wzrok w kuzyna. Oktawiusz był wyraźnie zaskoczony jego postawą.

– Oczywiście masz rację. Dziękuję, kuzynie Lucjuszu. Trzeba nam było tak wyraźnego określenia celu, żeby utrzymać się na właściwym kursie. Cóż, Antoniuszu, wracamy do tematu?

Dalsza dyskusja była już rzeczowa i owocna. Lucjusz cieszył się w duchu, że zabrał głos. Spoglądając to na jednego, to na drugiego rozmówcę, wiedział jednak, że nie był z nimi szczery. Powiedział, że nie dba o to, kto obejmie przywództwo, ale nie miał wątpliwości, którego z nich by wołał: krewkiego, szczerego, kochającego przyjemności, a czasem prostackiego Antoniusza. Być może podświadomie chciał w ten sposób odwzajemnić sympatię, jaką konsul mu okazywał; tym bardziej że nie przepadał za próżnym i wyrachowanym kuzynem. Tak, Antoniuszowi służyłby z entuzjazmem, Oktawiuszowi zaś z konieczności.

Lucjusz zaniósł w duchu modlitwę do bogów, aby nigdy nie kazali mu między nimi wybierać.

1 r. p.n.e.

Lucjusz Pinariusz miał znowu ten stary, powracający sen – koszmar, który po raz pierwszy nawiedził go dawno temu w idy marcowe, kiedy był jeszcze wchodzącym w życie młodzieńcem.

W tym śnie był jednocześnie uczestnikiem wydarzeń i ich obserwatorem; wiedział, że śni, ale nie mógł się przebudzić. Cezar umarł. Zgromadził się wielki tłum, żeby wysłuchać jego testamentu. Marek Antoniusz, rozwinął podany przez westalkę dokument i zaczął głośno czytać. Chociaż Lucjusz stał w pierwszym rzędzie, nie słyszał wymienianych nazwisk. Docierał do niego tylko ryk zebranych, przypominający uderzenia fal o morski brzeg. Chciał uciszyć ludzi, ale nie mógł otworzyć ust ani się poruszyć. Antoniusz czytał i czytał, ale do niego nic nie docierało.

Obudził się oblany potem z przerażenia. Sen był jak stary wróg, nękający go przez te wszystkie lata wspomnieniem młodości i obietnic świetlanej przyszłości, zniweczonych wraz ze śmiercią Gajusza Juliusza Cezara; z czasem jednak Lucjusz zaczął go przyjmować niemal jak starego przyjaciela. Gdzie indziej niż we śnie mógłby znów zobaczyć twarz Antoniusza żywego, z najlepszych lat, u szczytu kariery?

Przetarł oczy, powoli dochodząc do siebie. Mimo licznych przeciwności losu Lucjusz Pinariusz dożył starości. Miał teraz sześćdziesiąt lat. Wielu mężczyzn z jego pokolenia zginęło w wojnach domowych, które wybuchły po śmierci Cezara, a tych, którzy je przeżyli, wypadki i choroby w końcu zabierały do Hadesu, on jednak wciąż żył.

Wstał z łóżka, ulżył sobie, korzystając z nocnika, i się ubrał. Później miał włożyć senatorską togę, był to bowiem ważny dzień, ale na razie wystarczyła mu tunika.

Kucharz przygotował dla niego proste śniadanie z mąki ugotowanej z odrobiną mleka na wodzie lekko osłodzonej miodem. Lucjusz miał jeszcze mocne zęby, ale jego żołądek nie trawił już tak dobrze jak dawniej; teraz im prostsze i bardziej mdłe było jedzenie, tym lepiej. Przeżuając papkę, wrócił myślą do dni niekończących się uczt w Aleksandrii. Wina z Grecji, daktyle z Partii, jaja nilowych krokodyli... piękne dziewczęta z Nubii, tancerki z Etiopii, kurtyzany z Antiochii! Cokolwiek ludzie mówili o Antoniuszu i Kleopatrze, nie sposób było zaprzeczyć, że ta para potrafiła urządzić przyjęcia – tym wspanialsze, im bliższy był koniec obojga.

To wszystko przez ten cholerny sen, który przywiódł mu na myśl Marka Antoniusza. Wspomnienia zazwyczaj zasmucały Lucjusza; dzisiaj też polewka nagle jakby nabrała w jego ustach gorzkiego smaku. Nie był to jednak dzień na rozpamiętywanie przeszłości. Dziś liczyła się przyszłość: spodziewał się wizyty wnuka.

Akurat gdy pomyślał o chłopcu, odzwierny zaanonsował, że młody Lucjusz Pinariusz właśnie przybył i czeka w westybulu.

– Już? – zdziwił się Lucjusz. – Przyszedł więc wcześniej. No, niech wobec tego przez kilka minut podziwia podobizny swych przodków, a ja jeszcze wmuszę w siebie trochę tej papki bez smaku... Każ tymczasem tragarzom przynieść lektykę przed frontowe drzwi.

– Którą, panie?

– Och, tę frymuśną, z żółtymi firankami, wyszywanymi poduszkami i tymi błyskotkami z mosiądzu. Dzisiaj jest wyjątkowy dzień!

* * *

– Dawno, dawno temu, zanim nasza na mnie ta przekłeta sztywność w kolanach, poszedłbym do term Agryppy pieszo, choć to kawał drogi, aż za Pole Marsowe. Ale oto my, dwaj Rzymianie, dajemy się wieźć ulicami w lektyce. Rumienię się na myśl o tym, co nasi przodkowie pomyśleliby o podobnym zbytku! – Lucjusz uśmiechnął się do wnuka, który siedział obok i kręcił głową na wszystkie strony, chłonąc mijane widoki z nienasyconą ciekawością dziesięciolatka. Lucjusz wolałby z tym zaczekać do dnia togi wnuka, ale od tej chwili dzieliły ich jeszcze całe lata i mógł tego nie dożyć. Lepiej wypełnić obowiązek teraz, kiedy jeszcze nie stracił rozumu i czuł żywo bijący puls.

– Czemu nazywają to miejsce Polem Marsowym, dziadku?

– Niech pomyślę... W zamierzchłych czasach nosiło chyba nazwę Pola Mamersa, ponieważ tak dawniej brzmiało imię Marsa. Przypuszczam, że ktoś zbudował bogu ołtarz, więc nazwa musiała się niejako naturalnie pojawić.

– Tak, ale dlaczego pole? Tu nie ma żadnego pola. Widzę tylko ulice i budynki.

– A, rozumiem, co masz na myśli. Tak, teraz wszystko jest zabudowane. Ale nie zawsze tak było. Pamiętam czasy, kiedy Pole Marsowe, przynajmniej znaczna jego część, wciąż pozostawało pustą przestrzenią, gdzie żołnierze ćwiczyli musztrę i można było urządzać wielkie zgromadzenia. Teraz miasto się rozrosło i wypełniło każdy skrawek ziemi między pierwotnymi murami a Tybrem. Popatrz, właśnie mijamy teatr Pompejusza. Byłem prawie w twoim wieku, kiedy został otwarty.

Lucjusz powiódł wzrokiem po stopniach prowadzących do głównego portyku. Ilekroć tędy przechodził, zawsze wspominał straszne wydarzenie, którego był tu świadkiem; nie miał jednak ochoty o tym mówić i czuł ulgę, że chłopiec o to nie zapytał.

– Ta budowla przed nami na górze to oczywiście Panteon, zbudowany przez Marka Agryppę, prawą rękę imperatora. Niedaleko są termy, które wódz postawił w tym samym czasie. Ich otwarcie dwadzieścia lat temu było wielkim wydarzeniem, ponieważ nie było w Rzymie tak wspaniałych łaźni. Kiedy zaczęły działać, w pobliżu jak grzyby po deszczu wyrosły najrozmaitsze sklepy i przybytki rozrywki.

Chłopiec zmarszczył brwi.

– Czy przedtem nie mieliście w Rzymie łaźni? To gdzie się wszyscy kąpali?

Lucjusz się uśmiechnął. Wnuk przynajmniej był ciekaw przeszłości. Tak wielu współczesnych zdawało się nie pamiętać o tym, co działo się przedtem. Zupełnie, jakby Rzym zawsze żył w pokoju pod rządami imperatora – jakby nigdy nie było republiki, nie trapiło jej przekleństwo wojen domowych i nie istniał człowiek zwany Markiem Antoniuszem.

I znów pomyślał o Antoniuszu...

– Łaźnie Agryppy nie były pierwsze w Rzymie, ale przewyższały wszystkie poprzednie wielkością i pięknem. I po raz pierwszy udostępniono je wszystkim za darmo. To był dar Augusta dla ludu, cieszyły się więc wielką popularnością. Do łaźni chodzi się nie tylko dla higieny, ale także w celach towarzyskich. Tam wypada bywać, widzieć innych i być widzianym. Ma się też sposobność obcowania z ludźmi z innych stanów. Ekonomiczne i społeczne różnice między obywatelami znikają, kiedy wszyscy są nadzy i mokrzy.

Młody Lucjusz wybuchał śmiechem.

– Mówisz przezabawne rzeczy, dziadku.

– Staram się. A skoro mowa o łaźniach, jesteśmy na miejscu.

* * *

Poranek przyniósł Lucjuszowi wiele radości. Zawsze cenił czas spędzany z wnukiem, a rozrywki oferowane w termach należały do najlepszych dostępnych w mieście. Zaczął dzień od poddania się goleniu przez najbardziej zaufanego niewolnika. Młody Lucjusz przyglądał się tej czynności z wielkim zainteresowaniem. Jego ojciec nosił brodę, chłopiec nie przywykł więc do widoku starannej obróbki męskiej twarzy ostrzem groźnie wyglądającej brzytwy.

Wyszli potem na zewnątrz, nad basen na wolnym powietrzu – sztuczne jezioro, jak czasem go nazywano z powodu niezwykłych rozmiarów – gdzie ramię w ramię przepłynęli kilka okrążeń. Ruchy chłopca były niepewne, ale technika oddychania dobra. Dokądkolwiek zaprowadzi go życie, młody Lucjusz z pewnością będzie miał okazję podróżować statkiem i umiejętność pływania na pewno mu się przyda. Ilu to żołnierzy Antoniusza utonęło w decydującej bitwie pod Akcjum nie dlatego, że zbroje wciągały ich pod wodę, ale ponieważ po prostu nie umieli pływać?

Znów złapał się na myśli o Antoniuszu...

Jeden z gimnazjarchów skrzykiwał właśnie chłopców na zawody na długiej bieżni wzdłuż basenu. Lucjusz zachęcił wnuka, by wziął w nich udział. Z przyjemnością i dumą patrzył, jak dzieciak dystansuje rywali w dwóch pierwszych wyścigach; w trzecim został pokonany, ale tylko o włos.

Nieco dalej ktoś inny zorganizował turniej zapasów. To już była zabawa dla starszej młodzieży i Lucjusz usiadł z dziadkiem wśród widzów. Zapaśnicy, jak greccy efebowie, walczyli nadzy i wysmarowani oliwą. Taka rozrywka, podobnie jak korzystanie z lektyki,

świadczyła, zdaniem Lucjusza o zniewieścieniu. Co pomyśleliby jego przodkowie? Prawdziwi Rzymianie woleli oglądać walki gladiatorów na śmierć i życie.

Lucjusz przypomniał sobie, jak Oktawiusz podczas zaciętej wojny propagandowej przeciw Antoniuszowi i Kleopatrze krytykował niebezpieczny wpływ obcych obyczajów, twierdząc, że były konsul dał się zepsuć tej pół-Greczynce, która rozbudziła w nim apetyt na wschodnie luksusy. Jednakże gdy imperator zatriumfował nad rywalami, przekształcił Rzym w miasto istic kosmopolityczne: pozwolił Agryppie na budowę łaźni, przeniósł na rodzimy grunt kult egzotycznych bogów i starał się usilnie zaspokajać pragnienie rozrywki i przyjemności obywateli.

Po zakończeniu porannych ćwiczeń Lucjusz z wnukiem wzięli kąpiel. Zaczęli od zeskrobania potu z ciała. Uczynili to w cieniu słynnego posągu dłuta Lizypa przedstawiającego nagiego atlete, który robił to samo, wyginając muskularne ramię, by przesunąć skrobakiem po wyciągniętej prawej ręce. Zainstalowanie tej pięknej rzeźby w termach odbyło się z wielką pompą. Chociaż sporządzono wiele kopii *Apoksyomenosa*, jak nazywali go Grecy, odlany w brązie oryginał wprost nie miał ceny. Był to kolejny hojny prezent imperatora dla rzymskiego ludu.

Dwaj Pinariusze, *pater familias* i najmłodsza latorośl rodu, na przemian zanurzali się w basenach z wodą o zróżnicowanej temperaturze. Po ćwiczeniach od kąpieli w najchłodniejszym, *frigidarium*, niemal szczękały im zęby; najgorętszy, *caldarium*, otulała zasłona gęstej pary, a wchodzić do niego należało ostrożnie i stopniowo. Nawet podłogi były tam ogrzewane gorącym powietrzem płynącym w rurach pod kaflami. Ściany wyłożone były płytami z marmuru, a nawet najbardziej wilgotne miejsca dekoratorzy Agryppy ozdobili malowidłami, dodając do farb pszczelego wosku, a potem utwardzając obrazy w wysokiej temperaturze. Obrazy przedstawiały bogów, boginie i herosów, którzy zdawali się unosić w lekkiej mgielce.

Po kąpieli owinęli się w lniane prześcieradła i w pobliskim portyku zjedli lekki posiłek. Chłopiec pałaszował kawałki chleba grubo posmarowane gęstym garum. Lucjusz nie odważył się skosztować ostrego rybnego sosu i zadowolił się pastą figową.

Rozmawiali potem o nauce chłopca. Malec czytał właśnie *Eneidę* nieżyjącego już Wergiliusza, ulubionego poety imperatora, epeję na miarę *Iliady* i *Odysei*, napisaną na prośbę Augusta. Długi poemat o przygodach Eneasza wysławiał trojańskiego wojownika jako syna Wenus i praprzodka Rzymian. Eneas, jak się okazało, był przodkiem nie tylko imperatora oraz jego wuja, boskiego Juliusza, ale też samych Romulusa i Remusa. Lucjusz miał wątpliwości co do historycznej wiarygodności *Eneidy*, nie zdradził się z tym jednak przed chłopcem. Wergiliusz bezsprzecznie pozostawił wiekopomne dzieło i August był nim całkowicie usatysfakcjonowany.

Po jedzeniu przyszedł czas na odpoczynek. Kilku starych przyjaciół i kolegów podeszło się przywitać i Lucjusz z przyjemnością przedstawił im wnuka. Potoczyła się zwykła

towarzyska rozmowa na temat importu, cen niewolników, zalet i wad transportu lądowego w porównaniu z morskim oraz o tym, komu przypadły kontrakty na rozmaite prace budowlane w mieście.

– Jak więc widzisz, mój chłopcze, w dzisiejszych czasach więcej interesów załatwia się w łaźniach niż na Forum – wyjaśnił potem chłopcu dziadek.

Dawniej wszystkie takie spotkania kończyłyby się oczywiście dyskusją o polityce i wojnie. Obecnie, jeżeli mówiono o jakichś działaniach wojennych, dotyczyło to odległych rubieży państwa i tego, czy nie ucierpi na tym handel; polityka zaś – ta prawdziwa, w pełnym znaczeniu tego słowa, jakie znali ich praojcowie, kiedy w senacie wszyscy się kłócili ze wszystkimi, przekrzykując się nawzajem – odeszła w niepamięć. Można było spekulować o intrygach w rodzinie imperatora lub snuć domysły na temat wpływów jego popleczników, ale tylko szeptem.

Wykapani, zrelaksowani i najedzeni udali się do przebieralni. Młody Lucjusz narzucił na siebie tunikę, w której tu przybył, ale jego dziadek włożył togę, w czym pomagał mu ten sam niewolnik, który go wcześniej golił. Gdy chłopiec się przyglądał tej skomplikowanej czynności, Lucjusz senior skorzystał z okazji, by go pouczyć, jak ten uroczysty strój należy nosić.

– Mężczyzna nie owija się togą – wyjaśnił. – Nosi ją z godnością i dumą. Plecy proste, głowa uniesiona. Drapowanie powinno opadać jak należy. Zrobisz za mało fałd, a będziesz wyglądał, jakby ktoś narzucił na ciebie prześcieradło. Zrobisz zbyt wiele, to ludzie pomyślą, że dźwigasz toból prania.

Śmiech wnuka uradował Lucjusza. Widać było, że mały pilnie go słucha; na naukę zawsze jest dobry czas.

Niewolnik wręczył swojemu panu lśniący wisior na złotym łańcuszku. Lucjusz założył naszyjnik przez głowę i schował pod togę.

– Co to jest dziadku? Jakiś amulet?

– Nie jakiś amulet, mój chłopcze, tylko bardzo stara rodowa pamiątka. To wielka świętość, a dziś zakładam go po raz ostatni w życiu. Ale o tym pomówimy później. Na razie pokażę ci to i owo. Chcę, żebyś pewne rzeczy zobaczył moimi oczami.

– Czy mam wezwać lektykę? – zapytał niewolnik.

– Właściwie nie. Ciepła kąpiel tak rozluźniła moje kolana, że chętnie się przespaceruję. Ale musisz być cierpliwy, Lucjuszu, i nie wybiegać do przodu.

– Zostanę przy tobie, dziadku.

Lucjusz skinął głową. Chłopiec był taki grzeczny, zawsze pełen szacunku i dobrze wychowany, a przy tym pilny, czysty i schludny. Prawdziwy wytwór nowych czasów. Świat stał się miejscem o wiele porządniejszym, spokojniejszym, bardziej uładowym niż za dawnych dni. Przodkowie byliby dumni z młodego Lucjusza i harmonii panującej w świecie ich potomków, wywalczonej w krwi i znoju.

Gdy wyszli z łaźni, chłopcu zabłyśły oczy, ale zaraz nerwowo przygryzł wargę.

– O co chodzi, mój mały?

– Pomyślałem sobie, dziadku, że skoro idziemy pieszo i jesteśmy tak blisko... ale ojciec mówi, że nie lubisz o tym opowiadać. Ale ty naprawdę tam byłeś, kiedy to się stało...

– A, tak. Chyba wiem, o czym mówisz. Tak, to będzie nasz pierwszy przystanek, ale muszę cię ostrzec, że nie ma tam nic do oglądania.

– Nic?

– Sam się zaraz przekonasz.

Wolnym krokiem podeszli do teatru Pompejusza. Lucjusz pokonywał schody powoli, ale nie z powodu obolałych kolan. Gdy dotarli na górę, czuł, że serce wali mu w piersi. Dostał gęsiej skórki i oddychał ciężko. Choć od tamtych chwil minęło tyle czasu, on wciąż czuł zgrozę, zbliżając się do tego miejsca.

Podeszli do ceglanej ściany.

– To było tutaj – powiedział. – W tym miejscu boski Juliusz, twój cioteczny dziadek, zakończył swą ziemską wędrówkę.

Chłopiec zmarszczył brwi.

– Myślałem, że to się stało w jakiejś sali, u stóp posągu Pompejusza.

– Tak było. Wejście było tutaj, a do miejsca, w którym upadł Cezar, jest stąd nie więcej jak pięćdziesiąt kroków. Sala została jednak zamurowana. Kilka lat temu imperator wydał dekret... to znaczy, z jego inicjatywy senat podjął uchwałę, że miejsce to należy uznać za przeklęte i nie pozwolić, by ktokolwiek mógł je oglądać czy odwiedzać. Posąg Pompejusza przeniesiono do innej części teatru, a wejście do auli zapieczętowano jak grobowiec. Idy marcowe zostały ogłoszone dniem hańby, w którym po wieczne czasy senatorowie nie będą się mogli zbierać. Tak jak ci powiedziałem, nie ma tu nic do oglądania.

– Ale czy to prawda, dziadku, że tu byłeś? Widziałeś to na własne oczy?

– Tak. Widziałem atak zamachowców, patrzyłem, jak Cezar pada. Słyszałem jego ostatnie słowa do niesławnej pamięci Brutusa. Antoniusz też tam był, choć przybył po mnie. Celowo zatrzymano go na zewnątrz, częściowo żeby nie mógł bronić Cezara, ale też, jak sądzę, dlatego że jego zabić nie chcieli. Spiskowcy mieli jeszcze resztki poczucia honoru. Szczerze wierzyli, że robią to dla dobra Rzymu.

– Ale jak to możliwe? To byli żądni krwi mordercy.

– Tak, to też się zgadza.

Chłopiec zastanawiał się chwilę.

– Antoniusz? Myślałem, że był...

– Nie mówimy już o tym – przerwał wnukowi Lucjusz. – Mam ci jeszcze tyle do pokazania...

Poszli w stronę starszej części miasta. Na Forum Boarium Lucjusz pokazał chłopcu Ara Maxima i objaśnił, jaką rolę odgrywali kiedyś Pinariusze w pielęgnowaniu kultu Herkulesa.

Rodzina dawno temu wyrzekła się tej religijnej funkcji, ale że w związku z nią ich ród po raz pierwszy pojawił się na kartach historii, nie powinno się o niej zapominać. Dzielili ten zaszczytny obowiązek z innym rodem, jednak Potycjusze już dawno wymarli, podobnie jak wiele rodzin patrycjuszowskich, których nazwiska przetrwały tylko w annałach i inskrypcjach.

Weszli na Palatyn, powoli pokonując pradawne schody Kakusa. Wiodły obok niszy w skalnej ścianie, gdzie według podań istniała ongiś jaskinia, w której czaił się ów legendarny potwór. Zatrzymali się w cieniu figowca zwanego Ruminalis, potomka, jak utrzymywano, rosnącego w tym samym miejscu drzewa, pod którym Akka Larencja karmiła piersią Romulusa i Remusa. Odwiedzili chatę Romulusa, która nawet na chłopięce wyobrażenia wyglądała na zbyt nową, by mogła być prawdziwym domem założyciela Rzymu. Mały Lucjusz się nie mylił, ponieważ przez stulecia niejednokrotnie ją odbudowywano.

Po wizycie na Palatynie zeszli na Forum, w ostatnich latach jeszcze ściślej zabudowane pomnikami i świątyniami.

– Dawno temu było tu ponoć jezioro – powiedział Lucjusz. – Trudno w to uwierzyć, prawda? Pierwsze świątynie budowano z drewna.

– Teraz wszędzie widzę marmur – powiedział chłopiec.

Lucjusz skinął głową.

– Zgodnie z dumną przechwałką imperatora o tym, że zastał Rzym ceglany, ale zostawił marmurowy. Za jego rządów istotnie wiele budynków odnowiono, naprawiono, a nawet przebudowano od fundamentów. Odświeżono zapomniane sanktuaria, wypolerowano stare wspaniałości. Wszystko jest większe i piękniejsze niż przedtem. August dał nam pokój i dobrobyt, uczynił Rzym najbardziej olśniewającym ze wszystkich miast, jakie kiedykolwiek istniały, niekwestionowanym pępkiem świata.

Dotarli do pomnika imperatora, jednego z wielu rozsianych po mieście. Ten przedstawiał go jako młodego wojownika, urodziwego i męskiego, w pełnym bojowym rynsztunku. Inskrypcja mówiła o wielkim zwycięstwie pod Filippi w Macedonii, kiedy miał zaledwie dwadzieścia jeden lat: „Wygnałem morderców mego ojca, a kiedy wypowiedzieli wojnę republice, pokonałem ich w boju”. Lucjusz był zdania, że artysta chciał się przypochlebić jego kuzynowi: Oktawiusz nigdy nie był tak przystojny, a już z pewnością nie tak szeroki w ramionach ani muskularny. Chłopiec spojrzał na posąg mniej krytycznym okiem.

– Tata mówił, że ty też byłeś pod Filippi, dziadku, kiedy Brutusa i Kasjusza dosięgła ręka sprawiedliwości, i walczyłeś u boku imperatora.

– No, to niezupełnie tak było. – Lucjusz jak dziś pamiętał, że Oktawiusz prawie całą bitwę przeleżał chory w łóżku, poza jej początkową fazą, kiedy to ukrył się na bagnie po ataku Brutusa na obóz. – Ja sam nie przelewałem krwi pod Filippi. Byłem odpowiedzialny za zaopatrzenie legionów dowodzonych przez Marka Antoniusza.

– Antoniusza? – zdziwił się chłopiec. – Ale on był wrogiem imperatora, prawda? Stał się uległym niewolnikiem egipskiej dziwki!

Lucjusz skrzywił się boleśnie.

– Nie, to było później, znacznie później. Pod Filippi Oktawiusz i Antoniusz...

– Oktawiusz?

– Och, przejęczyłem się. Takie imię imperator otrzymał przy narodzinach. Potem, kiedy został adoptowany przez boskiego Juliusza, zaczął używać imienia Cezara. Jeszcze później przyjął majestatyczny tytuł Augusta, tak więc dziś nazywamy go Cezarem Augustem. Ale odbiegłem od tematu. Jak mówiłem, pod Filippi imperator i Marek Antoniusz byli jeszcze sprzymierzeńcami i ramię w ramię walczyli, by pomścić boskiego Juliusza. Kasjusz i Brutus zostali pokonani i popełnili samobójstwo. Ale Filippi to był zaledwie początek. W spisek przeciw Cezarowi było zamieszanych około sześćdziesięciu senatorów i minęło parę lat, zanim wszyscy ponieśli karę. Niektórzy zginęli w katastrofach morskich, inni w bitwie, kilku odebrało sobie życie... i to tymi samymi sztyletami, które podnieśli na Cezara. Nawet ci, którzy nie brali czynnego udziału w knowaniach, też dali głowy, a taki Cycero, który stał się wrogiem Antoniusza, stracił ponadto i rękę.

– Jak to?

– Cycero był wielkim oratorem i wygłaszał niktzemne mowy przeciw Antoniuszowi, więc kiedy ten rozkazał go zgładzić, polecił, by wraz z głową odcięto mu dłonie, które śmiały napisać tak obelżywe słowa. Tak, wnuczku, Antoniusz był mściwym człowiekiem.

– I dlatego imperator go uśmiercił? Za zamordowanie Cycerona?

– Nie. – Lucjusz westchnął. Prawda była tak złożona... a na dodatek o wielu sprawach nie wolno było głośno mówić. – Jeszcze przez wiele lat pozostawali może nie przyjaciółmi, ale przynajmniej sprzymierzeńcami. Potem Antoniusz połączył siły z Kleopatram i niektórzy myśleli, że razem z nią będzie rządzić Egiptem i Wschodem, a Oktawiusz Rzymem i Zachodem. Jednakże słusznie nas uczą filozofowie, że jak jedne są niebiosa pod władzą Jowisza, tak i ziemia pragnie zjednoczenia pod władzą jednego imperatora. Marzenie Antoniusza legło w gruzach.

– Z powodu tej egipskiej dziwki?

Lucjusz znów się skrzywił.

– Chodź ze mną, młody człowieku. Chciałbym ci pokazać coś jeszcze.

Poszli na Forum Julium. Rozpoczętą przez Gajusza Juliusza budowę portyków, w których zamierzał umieścić biura i sale sądowe, dokończył imperator. Nad placem górowała wspaniała statua Cezara na bojowym koniu. Jemu zbroja o wiele bardziej pasuje niż adoptowanemu potomkowi, pomyślał przelotnie Lucjusz. Na placu było rojno i gwarno: ludzie spieszyli w różne strony, taszczyli góry dokumentów, rozmawiali i sprzeczali się ze sobą. Pod władzą Augusta kodeksy prawne stały się bardziej skomplikowane niż

kiedykolwiek i prawnicy mieli teraz o wiele więcej zajęcia niż za czasów republiki, rozwiązując prywatne spory, orzekając bankructwa i negocjując kontrakty handlowe.

Dziadek i wnuk minęli szemrzącą fontannę i weszli do świątyni Wenus. Lucjusz do dzisiaj uważał jej wystrój za najpiękniejszy w całym Rzymie, nieprześcigniony nawet przez najbardziej wymyślne projekty władcy. Według niego żaden malarz jeszcze nie dorównał sławnym wizerunkom Ajasa i Medei pędzla Timomachosa, a żaden skarbiec nie przewyższył wystawionych dla publiczności gablot z klejnotami, które Cezar zebrał podczas swych kampanii.

Trzymając chłopca za rękę, Lucjusz pociągnął go przed dwa posągi w odległym końcu sanktuarium. Patronka świątyni, Wenus wyobrażona przez Arkesilaosa, także pozostawała niedoścignionym wzorem dla innych rzeźbiarzy. Obok niej wciąż zaś stała – mimo nieszczęść i odium, jakie spadły na pierwowzór z krwi i kości – złocona statua królowej Kleopatry, ostatniej z długiej linii Ptolemeuszów, którzy rządili Egiptem od czasów Aleksandra Wielkiego. Wielu Rzymian było przekonanych, że imperator każe posąg usunąć, na razie jednak wciąż tkwił tam, gdzie umieścił go jeszcze sam Juliusz Cezar.

– Cokolwiek o niej słyszałeś, Kleopatra dziwką nie była – cicho powiedział Lucjusz. – Z tego, co wiem, przez całe życie spała tylko z dwoma mężczyznami: boskim Juliuszem i Markiem Antoniuszem. Obu dała potomstwo. Imperator w swej mądrości dopilnował egzekucji Cezariona, ale oszczędził jej dzieci spłodzone przez Antoniusza.

– Ale wszyscy mówią, że...

– To, co mówią wszyscy, nie zawsze jest prawdą. Nazywanie jej dziwką i kusicielką służyło celom Oktawiusza, ale naprawdę to była wielka kobieta. Uważała się za boginię i tak się też w każdej sytuacji zachowywała.

Chłopiec zmarszczył brwi.

– Ale kiedy skusiła Antoniusza, by do niej dołączył, ty stanąłeś u boku imperatora, żeby z nimi walczyć?

– Nie. Nie na początku. Najpierw walczyłem po stronie Antoniusza.

– Antoniusza? Z Kleopatą? Przeciw imperatorowi? – Chłopiec nie posiadał się ze zdumienia.

– Antoniusz był moim przyjacielem, a w niebezpiecznych dniach po morderstwie Cezara, kiedy byłem bardzo młody, także moim protektorem. On był do końca wierny Juliuszowi, a ja czułem się zobowiązany do lojalności wobec niego. Służyłem więc pod jego komendą pod Filippi i pozostałem w jego służbie nawet wtedy, gdy wybuchła kolejna wojna domowa i imperator ogłosił go wrogiem Rzymu. Antoniusz powierzył mi posterunek w Cyrenie, żebym pilnował jego zachodniej flanki. Wiesz, gdzie leży Cyrena?

– Nie bardzo.

– Na wybrzeżu libijskim, na zachód od Aleksandrii, która była stolicą Kleopatry. Gdyby ona i Antoniusz wygrali, mój chłopcze, dzisiaj to tam, a nie w Rzymie byłby środek świata. Mieszkalibyśmy w prowincjonalnym zaścianku.

– Niemożliwe!

– Może masz rację. Słyszałem kiedyś, jak sam boski Juliusz oświadczył, że bogowie wybrali Rzym, by rządził światem. Jak mógłbym zapomnieć? Ale wtedy, w tamtych ekscytujących czasach mojej młodości, gdy Antoniusz i Kleopatra igrali z ogniem, wszystko wydawało się możliwe. Wszystko! – Westchnął melancholijnie. – W każdym razie znalazłem się w Cyrenie. Miałem być czujką Antoniusza na wypadek, gdyby jego wrogowie próbowali pożeglować w stronę Egiptu tuż przy libijskim brzegu. A tymczasem, gdy tak obserwowałem morze i czekałem, musztrując swoich żołnierzy, biłem monety, aby Antoniusz mógł spłacać długi. Wojna kosztuje! A to mi przypomina, że... mam tu dla ciebie srebrnego denara. To właśnie jedna z tych monet z Cyreny. – Lucjusz sięgnął za fałdy togi. – Dziś to wielka rzadkość. Większość z nich została przetopiona na rzymskie denary.

Chłopiec przyjął ciężką monetę i przyglądał się jej z wielkim zainteresowaniem.

– Poznaje, to skrzydlata bogini zwycięstwa. W ręku ma laurowy wieniec... ale coś jeszcze, czego nie umiem rozpoznać...

– Liść palmowy – wyjaśnił Lucjusz. – Palmy rosną dziko nad Nilem.

Chłopiec obrócił monetę.

– A kim jest ten mężczyzna z rozwianą brodą?

– To sam król bogów, Jowisz.

– Ale tu ma baranie rogi!

– Dlatego, że to jego egipskie wcielenie, które greccy Aleksandryjczycy nazywają Zeusem Amonem. Czcili go sam Aleksander Wielki i jego następca Ptolemeusz, który odziedziczył Egipt. On to założył dynastię, która władała tym krajem przez następne trzysta lat, aż wygasła wraz ze śmiercią Kleopatry.

– I mówisz... że nie była dziwką? – Chłopiec najwyraźniej nie był przekonany.

– W Rzymie tak o niej mówili wrogowie, dopóki żyła. Teraz, długo po jej śmierci, wszystkim się wydaje, że tak było naprawdę. Ale ani Cezar, ani Antoniusz tak nie uważali. Ona sama podawała się za wcielenie egipskiej bogini Izydy, a nie ma chyba kobiety, która by lekce sobie ważyła sprawy prokreacji, wiedząc, że z każdego cielesnego związku może się narodzić bóg!

– Wszystko jednak straciła, prawda? I pociągnęła za sobą na dno Antoniusza?

Lucjusz skinął głową.

– Antoniusz i Kleopatra zebrali wielką flotę i pożeglowali do Grecji, aby tam wydać bitwę cesarzowi. Ja zostałem w Cyrenie i czekałem na wieści. Do starcia na morzu doszło pod Akcjum. Flota imperatora pod dowództwem Marka Agryppy rozgromiła wrogą armadę. To

był już koniec i wszyscy zdawali sobie z tego sprawę. Antoniusz przesłał mi rozpaczliwą wiadomość, że nadciąga, by przejąć moje oddziały.

– I co było potem?

Przez twarz Lucjusza przemknął cień.

– Zabiłem posłańca i wysłałem Antoniuszowi informację, że nie będzie w Cyrenie mile widziany. Bo widzisz, wnuku, w końcu odzyskałem rozum. Zobaczyłem, że bogowie sprzyjają imperatorowi i stali przy nim od początku, więc tylko człowiek bezbożny mógłby nadal walczyć przeciwko niemu.

Chłopiec poważnie skinął głową jak przy morale z bajki, zadowolony, że bohater w końcu poszedł po rozum do głowy. Lucjusz jednak się na dobre zasepił.

– Antoniusz i Kleopatra schronili się w Aleksandrii i tam czekali końca. Według niektórych spędzili te ostatnie miesiące na najdzikszej rozpuście, pragnąc wycisnąć z życia przyjemność do ostatniej kropli. Być może to tylko kolejne oszczerstwo, ale według mnie brzmi wiarygodnie. Jak ci dwoje uwielbiali ucztę i zabawy! Kleopatra zaczęła też wypróbować na swych niewolnikach różne trucizny, szukając takiej, która powoduje najmniej bolesną śmierć. Kiedy imperator na czele legionów przybył do Egiptu i nie było już żadnej nadziei, Antoniusz rzucił się na swój miecz. Ona jednak...

– Tak, dziadku? Co się stało z Kleopatą? – Chłopiec badawczo przyglądał się dziadkowi zaokrąglonymi z wrażenia oczyma. – Widziałeś to? Byłeś w Aleksandrii kiedy...?

– Tak, Lucjusz, byłem. Oktawiusz, to znaczy imperator, nalegał, bym mu towarzyszył. Był zdecydowany wziąć Kleopatę żywcem. Chciał sprowadzić ją do Rzymu i napawać się jej upokorzeniem podczas triumfalnego wjazdu. Ale królowa miała inne plany.

Ile z tej ponurej historii powinien chłopcu opowiedzieć? Z pewnością nie całą prawdę. Tego nigdy nikomu nie wyjawiał...

* * *

Antoniusz nie żył. Armia Kleopatry zniknęła jak dym na wietrze. Okupowana przez siły Oktawiusza Aleksandria wstrzymywała oddech. Królowa zamknęła się w pałacu, ukryta z dwiema służącymi w zamurowanej komnacie, do której można było się dostać wyłącznie po linie spuszczonej przez drzwi ukryte w podłodze. Nie mogła umknąć, ale nie dało się też wziąć jej siłą.

Lucjusz Pinariusz, wezwany na taras pałacu ze wspinałym widokiem na zatokę i słynną latarnię Faros, stanął przed obliczem Oktawiusza. Imperator, nie tracąc czasu na powitanie, przeszedł wprost do sedna sprawy.

– Znacie się z nią od dawna, kuzynie. Kleopatra ci ufa.

– Już nie. Zdradziłem ją.

– Jeśli nawet tak uważa, to i tak masz większe szanse wywabić ją z kryjówki niż ja. Chcę mieć ją żywą. Idź do niej. Pomów o Antoniuszu i starych dobrych czasach, o tym, co mogło być. Schlebiaj jej, przymilaj się. Gdy odzyskasz jej zaufanie, powiedz, co tylko zechcesz, byle ją przekonać, żeby mi się poddała. Zapewnij, że zamierzam przyjąć ją z całym szacunkiem należnym jej pozycji i urodzeniu. Musi pójść w moim triumfie w kajdanach, ale nie będzie źle traktowana.

– Czy to prawda?

Oktawiusz się zaśmiał.

– Oczywiście, że nie! Zanim nędznie szejnie, chcę ją widzieć zupełnie załamana i upokorzona. Rzym domaga się całkowitego unicestwienia tej egipskiej dziwki. Będzie gwałcona i bita, zakuta w łańcuchy, głodzona i torturowana. Kiedy ludzie zobaczą, jak pełźnie nago za moim rydwanem, będą się zastanawiać, jakim cudem takie brzydactwo mogło uwieść Antoniusza. Potem się ją udusi w Tullianum, ale najpierw na jej oczach zabijemy jej pomiot, Cezariona.

– Ależ to jeszcze dziecko! Ma ledwie czternaście lat – zaprotestował Lucjusz.

– I nigdy nie ukończy piętnastu.

Lucjusz nie miał wyboru. Zgodził się zostać posłańcem Oktawiusza.

Przez drzwi w podłodze szeptem negocjował ze służącymi królowej, Charmion i Iras. Kleopatra zgodziła się przyjąć go następnego dnia, ale pod warunkiem że przybędzie sam.

Nazajutrz stawiał się punktualnie w umówionym czasie z darem dla królowej. Usłyszawszy poprzedniego dnia, że Kleopatra ma apetyt na figi, przyniósł cały koszyk starannie wybranych owoców, ułożonych na figowych liściach. Odebrała go Iras, a chwilę później Charmion opuściła linę i Lucjusz mógł się wspiąć na górę.

Spodziewał się zastać trzy zastraszone kobiety w jakiejś nędznej, mrocznej izdebce, znalazł się jednak we wspaniałej komnacie. Nie było tam wprawdzie okien, ale oświetlenie zapewniały wąskie szpary pozostawione w tym celu w murze. Podłogę miała z czarnego marmuru, kolumny z czerwonego granitu, a ściany wymalowane na jaskrawe kolory. Kleopatra siedziała na wspaniałym tronie w kształcie sępa z rozpostartymi skrzydłami, ozdobionym złotem, srebrem i lapisem. Na głowie miała diadem w kształcie kobry, a jej szata bogato wyszyta była klejnotami. U jej stóp siedziała Iras z koszem fig.

– Nie zmienisz zdania, wasza królewska mość? – zapytał Lucjusz.

– Już na to za późno – odparła Kleopatra. W dłoni trzymała figę; na nadgarstku widniały dwie drobne, krwawe plamki – ślady po ukąszeniu żmii, którą Lucjusz osobiście odebrał od jednego z agentów królowej i ukrył w koszyku pod warstwą figowych liści. – Dziękuję ci, Lucjuszu Pinariuszu. Kiedy spotkam się w Elizjum z Antoniuszem, opowiem mu, jak wielką oddałeś mi przysługę.

Powieki jej zadrżały i opadły, głowa przechyliła się na bok. Z martwych palców wypadła figa i potoczyła się po posadzce.

Oczy Lucjusza wypełniły łzy.

– Czy była to godna śmierć dla twojej pani? – spytał służącą.

Iras nie odpowiedziała. Dołączyła już do swej pani w krainie śmierci. Słaniając się na nogach, Charmion resztką sił poprawiła diadem na głowie Kleopatry.

– Godniejszej nie mogłaby sobie życzyć ostatnia dziedziczka faraonów – wyszeptła.

Lucjusz nie mógł dłużej się powstrzymać i zapłakał. Trzeba było teraz zebrać odwagę, by przekazać Oktawiuszowi złe wieści...

* * *

Pinariusz otrząsnął się ze wspomnień. Wnukowi powiedział tylko:

– Królowa pozwoliła się ukąsić zmi. Imperator chciał jej ostatecznego upokorzenia podczas triumfalnej parady, ona jednak pozbawiła go tej satysfakcji.

– Ale i tak był to największy triumf wszystkich czasów – stwierdził chłopiec.

– To prawda, widowisko było olśniewające. Tego właśnie dnia mój kuzyn Gajusz, który urodził się jako Oktawiusz, ale przez adopcję stał się Cezarem, przyjął tytuł Augusta, celebując w ten sposób własne wyniesienie do boskości. Całemu światu udowodnił, że zasługuje na cześć większą niż zwyczajny monarcha, jest bowiem żywym bogiem.

Lucjusz przez długą chwilę wpatrywał się w pozłacane lico Kleopatry, po czym wziął chłopca za rękę i poprowadził do wyjścia. Gdy opuszczali świątynię Wenus, plac obiegnęła fala poruszenia.

– Imperator! Imperator! – krzyčeli ludzie.

Z jednej z ulic wyłoniła się wspaniale zdobiona purpurą i złotem lektyka, otoczona istną armią sług. Gapie cofali się z nabożnym szacunkiem, robiąc orszakowi przejście. Wyraźnie było widać wspartego na purpurowych poduszkach Augusta. Lucjuszowi przemknęło przez myśl, że mimo obwisłych policzków, siatki zmarszczek i innych spustoszeń dokonanych przez czas, we władcy wciąż widać dawnego Oktawiusza – nieopierzonego smarkacza, który zuchwale sięgnął po dziedzictwo Cezara, błyskawicznie przebył drogę od nicości do wielkości, wyeliminował wszystkich rywali i nigdy nie oglądał się wstecz.

Kapryśne i nieprzewidywalne są boskie wyroki, myślał Lucjusz, a ich metody często irytująco niejasne, ale historia rodzaju ludzkiego niezmiennie toczy się wyznaczonym przez nich torem. Po wielu wstrząsach świat wreszcie osiągnął bliski ideałowi stan stabilizacji i pokoju: jedno imperium, wciąż się powiększające, rządzone z jednego miasta przez jednego władcę. *Omne trinum perfectum* *.

Ludzie tacy jak Romulus, Aleksander czy Cezar pojawiali się na świecie nie wiedząc skąd i wszystko zmieniali. Kiedy człowiek przeobraża się w boga, nie ma rzeczy niemożliwych. Czy starzy bogowie mogą któregoś dnia umrzeć jak zwykli śmiertelnicy? Czy

* Wszystko, co potrójne, doskonałe.

ktokolwiek może wiedzieć, co w danym momencie dzieje się gdzieś daleko? Któż zaręczy, że w jakimś podłym miasteczku na skraju imperium nie rodzi się właśnie człowiek lub ruch, który po raz kolejny odmieni los świata i ludzkości? Może nawet sam Jowisz utraci swój boski tron na rzecz jakiegoś nowego króla niebios? Już nie tylko jedno imperium, jeden władca i miasto, ale i jeden bóg: czy dopiero taka poczwórna jedność oznaczałaby doskonałość?

Lucjusz odrzucił te bluźniercze dywagacje i skupił uwagę na ziemskim splendorze oddalającego się orszaku. Cezar August, władca Rzymu, z pewnością jest największym z ludzi, jacy kiedykolwiek żyli i żyć będą. Zatopiony w myślach omal nie zapomniał o najważniejszym. Drgnął i sięgnął do szyi, zdjął łańcuszek z talizmanem.

– To dla ciebie, mój chłopcze. Powinienem poczekać z tym darem do twojego dnia togi, ale myślę, że już jesteś na to gotowy.

– Co to za pamiątka, dziadku? – spytał chłopiec.

– Jego pochodzenie jest niepewne. Nie znam nawet imienia boga, którego wyobraża. Kiedy go otrzymałem, powiedziano mi, że talizman ten jest starszy niż Rzym. Przekazywano go sobie w naszej rodzinie od niezliczonych pokoleń, jeszcze przed czasami Romulusa.

Młody Lucjusz z ciekawością zerknął na błyszczący przedmiot, ale nie potrafił stwierdzić, co przedstawia. Przetrwawszy tyle stuleci i tyle pokoleń właścicieli, stracił dawny kształt uskrzydłonego fallusa. Teraz przypominał właściwie prosty krzyż – dość podobny do tych, na których w Rzymie tracono przestępców.

– Przekazał mi go mój ojciec – powiedział uroczyście jego dziadek. – Teraz więc ja przekazuję go tobie, mój wnuku i imienniku. Musisz przysiąc, że zrobisz to samo w przyszłości.

Chłopiec raz jeszcze spojrzął na wisior i uroczyście nałożył łańcuszek na szyję.

Od autora

Początki i wczesne lata Rzymu to dzisiaj jeden z najbardziej ekscytujących tematów badań historycznych. Przez większość XX wieku w modzie było odrzucanie zapisanych w antycznych źródłach relacji o założeniu Wiecznego Miasta jako konfabulacji, ale ostatnie odkrycia archeologów przydały wiarygodności przekazom uważanym wcześniej za legendy. Dlatego właśnie na motto tej książki wybrałem epigram z *The Foundation of Rome: Myth and History* Alexandre'a Grandaziego: „Legenda jest historyczna, podobnie jak historia jest legendarna”.

Studia nad materiałami do Rzymu zacząłem od parokrotnego przeczytania pracy T.J. Cornella *The Beginnings of Rome: Italy and Rome from the Bronze Age to the Punic Wars, c. 1000 to 264 B.C.* (Routledge 1995). Jest ona interesująca ze względu na teksty źródłowe do tego okresu.

Już we wstępie uderzył mnie komentarz autora, że „historia zawsze zawiera element fikcji”, oraz spostrzeżenie, iż w przeciwieństwie do współczesnych historyków ich starożytni koledzy otwarcie praktykowali pewne techniki, które dziś są domeną beletrystyki historycznej. W powieści osadzonej w przeszłości, pisze Cornell, „oraz w dawnej historiografii (...) autorom wolno rekonstruować według własnej wyobraźni odczucia, aspiracje i motywy działania osób i grup, tworzyć wiarygodne sceny – na polu bitwy, na ulicy czy w sypialni – a nawet wkładać własne słowa w usta osób dramatu. Tę konwencję bez zastrzeżeń akceptowano w starożytności, kiedy historia przynajmniej w części była czymś w rodzaju ćwiczeń retorycznych”.

R.M. Ogilvie (cytuje za Betty Radice w jej przedmowie do *Livy: The War with Hannibal*) wyraźnie porównuje tego wielkiego rzymskiego historyka do twórcy fikcji literackiej: „Podobnie jak pisarz”, Liwiusz „podporządkowywał kronikarską precyzję wymogom postaci i wątków. Swobodnie posługiwał się inwencją i wyobraźnią, aby przedstawić jak najbardziej żywy obraz”. Mimo to, jak z ironią zauważa Radice, Liwiusz „nigdy nie wpada w pułapkę usiłowania stworzenia atmosfery przez zapożyczanie pełnymi stronami z bedekera – George Eliot i lord Lytton przeszli samych siebie w opisach XV-wiecznej Florencji i Pompejów, ale martwe kamienie nie przemawiają. Liwiusz wprowadza tylko niezbędne minimum

«przewodnikowych» informacji, wskrzesza za to ducha Rzymu przez odwoływanie się do odczuć ludzi epoki”.

Tytus Liwiusz żył za panowania Augusta. Jego monumentalna historia *Ab Urbe condita* jest dla nas głównym źródłem literackim dla pierwszych kilkuset lat dziejów Rzymu, od jego tonących we mgle mitu początków do wyciosowywania zrębów przyszłego imperium. W kategoriach czystej przyjemności i rozrywki lektura *Dziejów Rzymu od założenia miasta* jest doświadczeniem porównywalnym z czytaniem Tolkiena, Tolstoja czy Manna – innymi słowy, wspaniałym przeżyciem czytelniczym.

Wśród innych źródeł traktujących o pierwszych stuleciach rzymskiej historii poczesne miejsce zajmują biografie pióra Plutarcha, *De republica* Cyserona, *Geografia* Strabona, historie Dionizjosa z Halikarnasu, Diodora Sycylijszyka, Kasjusza Diona i Polibiusza, sztuki Plauta i *Fasti (Kalendarz)* Owidiusza, mniej znana praca wielkiego rzymskiego poety, w której znajdujemy wiele fascynujących szczegółów na temat pochodzenia i praktykowania rozmaitych obyczajów i obrzędów. Informacji o późniejszych latach republiki dostarczają między innymi *Historia rzymska* Appiana z Aleksandrii i biografia Juliusza Cezara spisana przez Swetoniusza.

Spośród książek współczesnych autorów, którym szczególnie dużo zawdzięczam, wymienię tu *The Foundation of Rome* (Edinburgh University Press 2005) Augusta Fraschettiego (po raz pierwszy wydaną we Włoszech pod tytułem *Romolo il fondatore*, 2002); T.P. Wisemana *Remus: A Roman Myth* (Cambridge University Press 1995); Jacquesa Heurgona *Rzym i świat śródziemnomorski do wojen punickich*, PIW, Warszawa 1973; Nigela Bagnalla *The Punic Wars 264-146 B.C.* (Osprey 2002) oraz Keitha Richardсона *Daggers in the Forum: The Revolutionary Lives and Violent Deaths of the Grakchus Brothers* (Cassell 1976).

Inspirację czerpałem też z *Pieśni starorzyskich* Thomasa Babingtona Macaulaya, pełnej inwencji XIX-wiecznej „rekonstrukcji” antycznych pieśni, oraz z dzieł Szekspira: tragedii *Koriolan* i poematu *Gwałt na Lukrecji*.

Codziennymi moimi towarzyszami były *Dictionary of Greek and Roman Antiquities* Williama Smitha (mam wydanie z 1869 roku, a także o rok późniejszy trzypięciotomowy *Dictionary of Greek and Roman Biography and Mythology* tegoż autora) oraz *A Topographical Dictionary of Ancient Rome* Samuela Balia Platnera (mój egzemplarz pochodzi z 1928 roku). Obie te pozycje można znaleźć w wersji elektronicznej on-line, podobnie jak wiele innych tekstów, map i informacji dodatkowych, na stronie zatytułowanej „LacusCurtius”, założonej przez Billa Thayera. Ile razy zaglądałem do tego rogu obfitości, trudno zliczyć. Kiedy potrzebna mi była „prawdziwa” książka, odwiedzałem biblioteki University of California w Berkeley.

Czytelnicy, którzy chcieliby poznać dokładną lokalizację pomników i ważniejszych budowli, powinni przejrzeć książkę *Mapping Augustan Rome* („Journal of Roman Archaeology

Supplementary Series”, 2002), napisaną głównie przez historyków z University of Pennsylvania. Zamieszczone w niej mapy o dużej skali to efekt żmudnych badań i starannego projektowania. Dla czystej przyjemności można zerknąć na mapę zatytułowaną *Roma Arcaica* (publikacja Museo della Civiltà Romana, dostępna poprzez American Classical League) – widok miasta z wczesnego okresu republiki, ukazany z lotu ptaka.

Powieść ta była największym i najbardziej skomplikowanym przedsięwzięciem, na jakie się kiedykolwiek porwałem. Winien jestem wdzięczność tym, którzy wspomagali mnie w tej pracy. Jej początków należy szukać u Nicka Robinsona z Constable, mojego brytyjskiego wydawcy: to właśnie on mi zasugerował, że powinienem spróbować napisać książkę wykraczającą poza sferę cyklu „Roma sub rosa”, i w jego mieszkaniu później po raz pierwszy rzuciłem pomysł, z którego taka książka wyrosła. Podczas spaceru wzdłuż Barton Creek w Austin szerzej omówiłem go z Keithem Kahlą, moim redaktorem z St. Martin’s Press, który w lot zrozumiał, z czym będę miał do czynienia; kilka lat (i około dwustu tysięcy słów) później z wdzięcznością przyjąłem jego wnikliwe komentarze do pierwszej wersji rękopisu. Krystyna Green, mój redaktor z Constable, także brała aktywny udział w powstawaniu tej książki. Dziękuję również Gaylanowi DuBose, nauczycielowi łaciny i autorowi *Farrago Latina*, za jego cenne uwagi. Szczególnie pragnę też podziękować – jak zawsze – memu współnikowi Rickowi Solomonowi oraz agentowi Alanowi Nevinsowi, zawsze gotowym mnie wesprzeć, kiedy tego potrzebowałem.

* * *

Przedstawione w *Rzymie* polityczne zmagania i intrygi, choć mogą się wydać dziwnie znajome, nie są moim wymysłem; nie starałem się też zbyt uwspółcześniać charakteru sporów. Wielowiekowa walka między patrycjuszami i plebejuszami, cyniczna taktyka wojowniczej warstwy rządzącej, umiejętnie wykorzystującej religijną retorykę i strach przed zagrożeniami zewnętrznymi, polityczny dryf potomków Appiusza Klaudiusza od ultraprawy ku radykalnej lewicy, polowanie na czarownice, które wyplenilo „nieprawomyślny” kult Bachusa, zauroczenie pozbawionego praw plebsu ideami cieszącymi się arystokratycznymi przywilejami Grakchów – wszystkie te historyczne zdarzenia ze szczegółami opisują źródła literackie z epoki. Republika rzymska przetrwała niemal dwukrotnie dłużej niż – jak dotąd – amerykańska, borykając się z wszystkimi paradoksami i paradygmatami walki klasowej na kilkanaście wieków przed nami. Czy historia Ameryki też się skończy wyłonieniem wszechpotężnego jedynowładcy, pokaże czas.

Czy Fascinus był pierwszym bóstwem Rzymian, jak to podaję w powieści? Według *Historii naturalnej* Pliniusza boga o tym imieniu czciły kapłanki Westy, które zawieszały fascinum, czyli amulet w kształcie uskrzydłonego penisa, pod rydwanami triumfatorów. Miało to ich chronić przed „fascynacją” (dziś powiedzielibyśmy, na przykład, „złym okiem”).

U Warrona czytamy, że w tym samym celu podobne falliczne talizmany umieszczano w ogrodach, domowych paleniskach, nosiły je też często rzymskie dzieci. Każdy, kto odwiedzi Pompeje, zauważy falliczne rzeźby i graffiti, mało kto jednak wie, że to, co dziś się wydaje obsceniczne, dla Rzymian było święte.

Motyw mistycznego fallusa wyłaniającego się z płomieni pojawia się w legendzie o królu Serwiuszu Tulliuszu, a jeszcze wcześniej w jednym z wariantów historii Romulusa podanym przez historyka Promathiona. Tacy jak on wcześnie greccy autorzy pierwsi zastanawiali się nad pochodzeniem i początkami Rzymu, często patrząc na nie przez pryzmat własnej mitologii; później sami Rzymianie mieli łączyć swe korzenie z grecką legendą o zburzeniu Troi (co stało się osnową *Eneidy* Wergiliusza). „Szczególnie uderza u Promathiona”, pisze T.P. Wiseman w *Remusie*, „że ów grecki autor najwyraźniej przytacza rdzennie rzymską opowieść. Falliczna zjawia jest motywem absolutnie nie-greckim; żaden z helleńskich bogów nie objawiał się w takiej postaci”.

Jeżeli przedstawiony przez Promathiona „boski fallus” wziął się z autentycznego wczesnorzymskiego mitu i jest tożsamy z późniejszym Fascinusem, to być może naprawdę był on pierwszym bogiem z rzymskiego panteonu. Przypuszczam, że ta moja hipoteza spotkałaby się ze zrozumieniem Tytusa Liwiusza.